



57.1
PUBL
P.28198 P.32652



7.119

WYDAWNICTWA AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI W KRAKOWIE.
BIBLIOTEKA PISARZÓW POLSKICH.

3664/II

LUDOWIKA ARYOSTA

ORLAND SZALONY

PRZEKŁADANIA

PIOTRA KOCHANOWSKIEGO.

WYDAŁ

JAN CZUBEK

TOM II.



z KSIĘGOWNI
STEFANA HEMPLA

KRAKÓW.

NAKŁADEM AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI
SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI SPÓŁKI WYDAWNICZEJ POLSKIEJ
1905.



MIEJSKA
BIBLIOTEKA PUBLICZNA
w Radomiu

P. 2048

P. 28198



12984

850-1

PIEŚŃ SIEDMNASTA.

ARGUMENT.

Karzeł na Rodomonta ludzie swoje wiedzie.
Gryfon do Norandyna na gonitwy jedzie,
W których nikczemny Martan ukazuje tyły
I daje znać, że słabe ma serce i siły;
Potem, aby sromoty Gryfona nabawił,
Zbroję mu jego ukradł i znowu się stawił
Na dwór, od Norandyna barzo szanowany;
Hańbę ma za Martana Gryfon rozumiany.

ALLEGORYE.

Przez Rodomonta w tej siedemnastej pieśni, który przybiegł i spalił część wielką Paryża, a żaden mu się oprzeć nie śmiał, pokazuje się nikczemność wielka, która się pospolicie znajduje w niskiem i podłym gminie. Przeciwnem obyczajem w cesarzu Karle, który z wielką dzielnością idzie przeciwko niemu z swoim rycerstwem, pokazuje się męstwo, które się pospolicie znajduje w szlachetnych i wysokich animuszach. W Norandynie mamy przykład wjernego i prawdziwego miłośnika i wielkiego i hojnego króla. W Martanie ukazuje się, jako zawsze ludzie serca niskiego i podłego są źli i siła o sobie rozumieją.

SKŁAD PIERWSZY.

Bóg sprawiedliwy, kiedy nasze nieprawości
Mijają kresy łaski i jego litości,
Aby pokazał, że jest niemniej sprawiedliwy,
Jako dobry, łaskawy, jako litościwy,
Częstokroć na świat srogie tyranny podawa
I na złe jem dowcipu i siły dodawa;
Tak okrutnego Sylłę, tak i Maryusza,
Tak obudwu Naronów, tak dał i Kajusza.

II.

Tak i Domicjana, tak i Antonina,
Ostatniego tak wzięwszy z plugawego gmina,
Podwyszczył i cesarstwo dał Maksyminowi
I dawniejszego wieku Teby Kreontowi;
Tak chciał Mezencyusza mieć agilińskiego
Ludu srogiem tyrannem, tak czasu bliższego
Za jego dopuszczeniem włoski kraj Gotowie
I Hunnowie psowali i Longobardowie.

III.

Co mam o Ecelinie albo o Attyli
I inszych wielu mówić, którzy świat niszczyli
I których często podług swej sprawiedliwości
Bóg daje na karanie naszych nieprawości?
Nie tylko dawnych wieków siła tego mamy
Przykładów, ale i dziś tego doznawamy,
Kiedy nam, nędznem trzodom, w te dni nieszczęśliwe
Miasto pasterzów daje wilki drapieżliwe,

IV.

Co na tem mało mają, iż się, żal się, Boże,
Tak wiele mięsa w brzuchach ich zmieścić nie może,
Ale głodniejszych wilków poźrzeć nas wołają,
Którzy za wysokimi górami mieszkają.
Nie mogą się porównać kości pod Kannami,
Trebią, Trazymenem — mem zdaniem — z kośćciami
Temi, które po brzegach i po polach leżą,
Gdzie Roncus, Mela, Tarus i Atesis bieżą.

V.

Bóg pozwala, abyśmy za nasze złośliwe
Ustawiczne występki i grzechy brzydliwe,
Byli karani jeszcze przez gorsze narody,
Odnosząc spustoszenia i niezmierne szkody.
Przydzie ten czas, że i my także ich pójdziemy
Ziemie psować, jeśli się kiedy polepszymy,
Kiedy i oni także przez swe nieprawości
Przywiodą wieczną Dobroć do zapalczywości.

VI.

I ci na on czas pewnie musieli swojemi
Boga barzo urazić grzechami ciężkimi,
Bo poganie wszystkie ich miejsca napełnili
Obelżeniem i wszytek ich kraj połupili;
Ale najbarziej byli nędzni dnia onego,
Obciążeni od gniewu Rodomontowego.
Powiedziałem, że o niem dano znać Karłowi
I że biegał, aby go znalazł, ku rynkowi.

VII.

Widzi, jadąc, pobite ludzie, rozwalone
Kościoły i pałace pyszne popalone,
Wielką część miasta pustą, że rzadko słychano,
Rzadko takiej srogości przykłady widziano.
»Dokąd, o nikczemnicy, uciekać myślicie?
»Przynamniej się na szkody swoje obejrzyćcie!
»Jaka ucieczka albo jakie wam zostanie
»Insze miasto, jeśli wam to wezmą poganie?

VIII.

»I takli jeden tylko, waszem z każdej strony
»Murem tak, że nie może uciec, obtoczony,
»I mogę tak rzec, w mieście waszem poimany,
»Ujdzie, zbiwszy wszytek lud, zdrów, bez żadnej rany?»
Tak w on czas cesarz mówił, gniewem zapalony
I sromotą i hańbą oną poruszony,
Przypadszy przed swój pałac wielki, tam, gdzie psował
I gdzie wściekły poganin lud jego mordował.

IX.

Tam się była pospólstwa wielka część zbierała.
Gdzie się jakiej pomocy naleść spodziewała,
Bo pałac był obronny i chwilę gwałtowi
Mógł wytrzymać przeciwko nieprzyjacielowi.
Plac wszytek przed pałacem wielkiem odbieżany,
Od wściekłego pohańca był opanowany,
Który szablą skrwawioną w jednej ręce błyska,
Drugą ogień pożerze i tam i sam ciska.

X.

I tłucze wielką bramę i mocne podwoje
 Wysokiego pałacu tak, że drżą pokoje.
 Ludzie lękliwi z góry, z wież i z wierzchu bramy
 Zmiatają sztuki murów i wysokie tramy,
 Dachy psują i czego jeno dopaść mogą,
 Na poganina jedną posyłają drogą;
 Lecą drzewa, kamienie i balki złożone
 I posadzki i drogie filary zwalone.

XI.

Głowę i piersi jasną stałą przyodziany
 W bramie królik z Algieru stoi, krwią pijany,
 Nieinaczej, jako wąż jadowity, który
 Z ziemi świeżo wyszedłszy, pyszny z nowej skóry,
 Czując, że mu z dostanej dopiero młodości
 Przybyło więcej siły i więcej rzeźwości,
 Ogień w oku ma, trzema językami świszczący,
 Gdzie mija, zwierzwie mu ustępują wszyscy.

XII.

Kamienie, drzewa, cegły i tramy zwalone,
 Strzały gęste, i z łuków i z kusz wyrzuczone,
 Nie mogą wciągnąć jego popędliwej ręki;
 Tłucze wielkie podwoje i wrota przez dzięki
 I już w bramie uczynił, nieuhamowany,
 Taką dziurę, że widział i mógł być widziany
 Od wybladłych i strachem twarzy napełnionych,
 Na podwórzu wielkiego zamku zgromadzonych.

XIII.

Po przestronych pokojach i salach wołania
 I wrzaski i niewieście słyhać narzekania.
 Białogłowy żalosne wszędzie się mieszają
 I zapamiętawszy się, po domu biegają,
 Ojczyście swoje łóża i miłe podwoje
 Ostatnie obłapiając, już jako nie swoje.
 Do tego było przyszło, kiedy z przebraniami
 Cesarz skwapliwy przypadł rycerzmi swojemi.

XIV.

Obróciwszy się do swych bohaterów onych,
 Nie w jednej już potrzebie przedtem doświadczonych,
 »A zaście nie wy ze mną — rzecze — w Aspramencie
 »Otrzymali zwycięstwo na wielkiem Almoncie?
 »Nie wyście Agolanta z Trojanem zabili?
 »Nie wyście sto tysięcy ich wojsk porazili?
 »Inszych wielkich swoich dzieł teraz nie pomnicie,
 »Że się jednego tylko tejsze krwie boicie?

XV.

»Dlaczego mniejszej siły i serca być macie
 »Teraz, aniżeli przedtem? Czego się lękacie?
 »Ukażcie swoje męstwo temu psu wściekłemu,
 »Psu wściekłemu, lichy gmin pożerającemu!
 »Serce mężne, by tylko śmierć była uczciwa,
 »Nic nie dba, lubo późna, lubo jest skwapliwa:
 »Ja mniemam, żeście są ci, coście przedtem byli,
 »Ci, którzyście mię zawżdy zwyciężcą czynili«.

XVI.

To wyrzekłszy, zwarł konia i biegł z wielkiem gniewem
 Na króla z Algieru z pochylonem drzewem;
 I wojewoda Ugier właśnie w tejsze chwili
 I Nam równo z cesarzem do niego skoczyli.
 W tenże czas i Awokon tuż i z Oliwierem,
 Awin i mężny Otton z cnem Berlingijerem,
 Wszyscy do Rodomonta konie rozpuścili
 I w piersi go i w boki drzewy uderzyli.

XVII.

Ale już kiedykolwiek bojom pokój dajmy
 I o śmierci i o krwi więcej nie śpiewajmy
 I tego poganina niemniej okrutnego
 Zapomnimy na chwilę, jako i mężnego —
 I takem się jem więcej, niż trzeba, zabawił —
 A pódźmy do Gryfona, któremu zostawił
 Z niewierną Orygillą w Damaszku bogatem
 I z jej gamratem, co się mienił być jej bratem.

XVIII.

Miedzy wschodnimi miasta kładą najludniejszy
I najpierwszy Damaszek i najbudowniejszy,
Damaszek piękny, który tak daleko słynie,
W wielkiej i urodzajnej i żyznej równinie,
Zbyt wesołej tak lecie, jako czasu zimy,
Siedm dni jazdy leżący od Jerozolimy;
Przyległa miastu góra od jednego końca
Bierze pierwsze promienie wschodzącego słońca.

XIX.

Dwie rzece kryształowe miasto przedzielają,
Które swą wilgotnością gęste odżywiają
Zawždy pełne i liścia i kwiecica ogrody,
Rozsyłając przez różne strumienie swe wody.
Twierdzą, że w niem tak wiele wód cedrowych, żeby
I młyny jemi mogły mleć według potrzeby,
I że kto przez ulicę idzie, w każdej stronie
Czuje ze wszystkich domów wychodzące wonie.

XX.

Jedna między inszemi główna ulicami
Wszystka była z różnych barw nakryta suknami,
Insze zaś były kryte ziołami wonnemi,
Albo ogrodowemi albo też polnemi.
Wszystkie bramy i okna wszystkie są ubrane
W kobierce drogie, z różnych jedwabów utkane,
Ale najbarziej w dziwnie piękne białełtawy,
Strojne w perły, w kamienie, w świetne złotogłowy.

XXI.

Widać było na wielu miejscach tańczące
Ludzie w sieniach i różne muzyki grające;
Na koniach się piękna młódź przejeżdżała wszędy,
Przybranych w drogie siodła i bogate rzędy.
Ale nawiętszą czynił ozdobę bogaty
Dwór królewski z ubranych paniąt w świetne szaty,
W perły, w kamienie i w to, co Indyje mają
I czego w Erytrejskiem morzu dostawają.

XXII.

Powoli z towarzystwem Gryfon postępował
I wszystkim się i tam i sam przypatrował,
Kiedy był od jednego na drodze wciągnięty
I żeby zsiadł do jego pałacu, proszony;
I według tamtych krajów zwyczajnej ludzkości
Wszystkie swe ofiarował dostatki dla gości,
Wprzód jem, aby się zmyli w jego łaźni, radził,
Potem je u bogatej wieczerzy posadził.

XXIII.

I powiedział jem, jako ich król zawołany
Damaski i syryjski, Norandyn nazwany,
Zapraszał cudzoziemskie rycerze i swoje
Na dwór swój, na gonitwy i surowe boje,
Które się począć miały rano dnia przyszłego,
Skoroby weszły słońca promienie nowego,
Radząc, jeśli z postawą zgodne męstwo mieli,
Żeby się z niem ukazać na tem placu chcieli.

XXIV.

Lub tam Gryfon przyjechał dla czego inszego,
Nie wymówił się w on czas z wezwania takiego;
Bo gdziekolwiek się trafi miejsce i pogoda
Oświadczyć swoje męstwo, opuszczać jej szkoda.
Potem się dowiadował pilnie, jeśli one
Gonitwy z dawnych były czasów ustawione
I jeśli się na każdy rok odprawowały,
Czy się nowo od króla teraz wywołały.

XXV.

On szlachcic na to: »Te — pry — gody zawołane,
»Co cztery miesiące być mają sprawowane.
»Jeszcze żadne nie były i pierwsze być mają
»Te, które się po ranu jutro poczynają
»Na pamiątkę, że tego dnia był wyzwolony
»Król nasz, w niebezpieczeństwie wielkiem położony,
»Bywszy cztery miesiące swą własną osobą
»W wielkiem strachu i mając śmierć zawsze przed sobą.

XXVI.

- »Ale iż chcecie wszystko dostatecznie wiedzieć,
- »Wolę wam wszystkę sprawę z początku powiedzieć.
- »Miłował król Norandyn od czasu dawnego
- »Gładką córkę możnego króla cypryjskiego;
- »Nakonec jej u ojca dostawszy za żonę,
- »Prowadził ją wesoły na zad w swoją stronę,
- »W towarzystwie rycerze i białą płęć mając,
- »Prosto się do Syryej w drogę obracając.

XXVII.

- »Ale skorośmy poszli pełnemi żaglami
- »I ziemia i port został daleko za nami,
- »Tak sroga niepogoda nagle nastąpiła,
- »Że samego starego szypra przeraziła.
- »Trzy dniśmy i trzy nocy po morzu bładzili
- »I tam i sam krzywemi ścieszkami kolili;
- »Wysiedliśmy nakonec na brzeg utrudzeni
- »U wesołych pagórków i chłodnych strumieni.

XXVIII.

- »Zaczemeśmy namioty piękne rozbijali
- »I odpoczynki morskiem trudom gotowali;
- »Jedni z nas drwa nosili i ognie niecili,
- »Drudzy ławy i stołki i stoły stawili,
- »A wtem króla naszego chęć wzięła w doliny
- »Przechodzić się i w lasy głębsze dla zwierzyny,
- »Lub jelenia lub sarnę naleść zamysłając,
- »Dwu sług z sobą, co za niem strzały nieśli, mając.

XXIX.

- »Kiedyśmy tak wesoło tam odpoczywali
- »I wracającego się króla wyglądali,
- »Ujrzeliśmy z daleka Cyklopa straszniego,
- »Brzegiem morskiem przeciw nam prosto bieżącego.
- »Strzeż was Boże, panowie, widzieć twarz straszną
- »Okrutnego Cyklopa i postać gniewliwą!
- »Lepiej, żebyście o niem z powieści wiedzieli,
- »Anizli, żebyście go gdzie z bliska widzieli.

XXX.

- »Tak miąwszy jest, tak wielki i tak słuszną miarę
- »Wzrostu przeszedł, że temu nie każdy da wiarę.
- »Miasto oczu pod czołem ma z twarzy wydane
- »Brzydkie, szpetne, straszliwe dwie gałki kościane.
- »Zda się, że się pagórek ruszył, gdy nad brzegiem
- »Przeciwno nam, jakom rzekł, biegał wielkiem biegiem;
- »Zanadrze ma skrwawione, nos długi, a z gęby
- »Ukazuje tak, jako świnia, krzywe zęby.

XXXI.

- »Pysk przy ziemi tak właśnie, jako ogar, niesie,
- »Kiedy zająca szuka i szlakuje w lesie.
- »Zajrząwszy go, wszyscy się okrutnie strwożemy
- »I tam, gdzie nas strach pędzi, uciekać poczniemy.
- »Że go ślepem widzimy, mało nam pomoże,
- »Kiedy samem wążaniem tylko więcej może,
- »Niż drugi, co ma z węchem dobrem zdrowe oczy,
- »I trzeba skrzydła, kto chce zdrów uść jego mocy.

XXXII.

- »Ten tam, ten sam ucieka, ale uciec jemu
- »Próżno było, z wiatrami równo bieżącemu.
- »Wszystkich naszych czterdzieści pełna osób było,
- »A tylko dziesięć w okręt zdrowo przypłynęło:
- »Jednych w łono, w zanadrze wielkie drugich sobie,
- »Drugich pod obie pachy nakładł w onej dobie;
- »Niektóremi napełnił torbę swą przestroną,
- »Tak, jako u pasterza, przed się zawieszoną.

XXXIII.

- »Zaniósł nas dziw straszliwy potem między skały
- »Przy brzegu, w które były gęste morskie wały;
- »Gdzie z marmuru jest jego jama wykowana
- »Tak białego, jako jest karta niepisana.
- »W niej jedna białagłowa społem z niem mieszkała,
- »Która serce żałosne i twarz zawždy miała,
- »I pań i panien siłą mając w swem opieku,
- »Gładkich, szpetnych i stanu i różnego wieku.

XXXIV.

»Niedaleko jaskiniey, w której mieszkał, onej,
 »Jakoby w samym wierchu góry wyrobionej,
 »Była druga nie mniejsza, w której stado swoje
 »Zamykał w nocy albo w południowe znoje;
 »Które od niego lecie i zimie pasione,
 »Dla wielkości swojej być nie mogło zliczone,
 »A dla zabawy je swej raczej miał i chował,
 »Niż, żeby go zażywał albo potrzebował.

XXXV.

»Bo mu mięso człowiecze lepiej smakowało,
 »Jakoż się to, niżli wszedł w jamę, pokazało;
 »Bo z onych towarzyszków naszych nieszczęśliwych
 »Trzech zjadł zaraz albo ich raczej pożarł żywych,
 »Potem kamień odwala i jamę otwiera
 »I stado z niej wygania, a nas w niej zawiera;
 »Potem idzie, na paszą owce poganając
 »I w piszczałkę pasterską sobie przygrawając.

XXXVI.

»Wtem się z lasu Norandyn wraca i przygody
 »I nieszczęście i swoje zrozumiewa szkody:
 »Wszędzie cicho i pełno wielkiego milczenia,
 »W namiotach nie zastawa żywego stworzenia.
 »Nie może się domyślić, kto mu zostawiony
 »Lud rozegnał i na brzeg bieży, potrwożony,
 »I widzi swe żeglarze, że kotwie wciągają
 I żagle ukwapliwi na maszty stawiają.

XXXVII.

»Oni, skoro na brzegu króla obaczyli,
 »Z okrętu łódź po niego małą wyprawili;
 »Ale skoro usłyszał, kto mu szkodę onę
 »Uczył w jego ludziach i uniósł mu żonę,
 »Zarazem się namyśla jeszcze świeżem tropem
 »Tak długo, aż go dojdzie, biec za Cyklopem,
 »Bo albo żywot stracić i bez dusze zostać,
 »Albo swojej Lucyny chce koniecznie dostać.

XXXVIII.

»Gdzie się pokazowała w piasku świeża stopa
 »Podle brzegu morskiego wielkiego Cyklopa,
 »Jako mu wściekła miłość każe, pędem bieży,
 »Aż przypadnie, gdzie ona jama jego leży,
 »W którejśmy zawarci straszno czekali
 »Pasterza i gotowej śmierci wyglądali;
 »Na każdy dźwięk zdało się, żeśmy go słyszeli
 »I żeśmy od niego pożarci być mieli.

XXXIX.

»Tak szczęście jego chciało i tak mu zdarzyło,
 »Że jego żonę zastał, samego nie było;
 »Która skoro go jeno z daleka ujrziała,
 »»Uciekaj! Oto zginiesz: uciekaj!« wołała.
 »»Wszystko — prawi — za jedno; zginę lub nie zginę.
 »»Ja chcę widzieć koniecznie drogą swą Lucynę.
 »»Nie błąd, ale mię żądza prowadzi w tę drogę,
 »»Bo żyć bez swej małżonki nie chcę i nie mogę.«

XL.

»Potem pytał: »Powiedz mi o tych, moja pani,
 »»Którzy naprzód na brzegu byli poimani,
 »»Których znać pasterz srogi poniósł na to miejsce,
 »»Jeśli zabił Lucynę, jeśli żywa jeszcze.«
 »Odpowiada mu na to żona Cyklopowa,
 »Że ta, o której pytasz, i żywa i zdrowa,
 »I cieszy go i ludzko z Norandynem gada,
 »Powiadając, że Cyklop białychłów nie jada.

XLI.

»»I ja — pry — i te wszystkie insze białełowy,
 »»Które widzisz, podeprą mej prawdziwej mowy,
 »»Bo ani jem ani mnie Cyklop nic nie szkodzi,
 »»Krom, że żadna od jamy daleko nie chodzi.
 »»Na te, co zamyślają uciekać, karanie
 »»Srogie kładzie i wiecznie zwykł się gniewać na nie:
 »»Albo je w łańcuch wsadza, albo żywo grzebie,
 »»Lub cały dzień na słońcu nago ma u siebie.

XLII.

- »Twei ludzie od niego dzisiaj przyniesieni,
- »Nie byli od białychgłów jeszcze rozdzieleni,
- »Ale jako je przyniósł, razem poimane,
- »Do jaskinie je wpuścił, społem pomieszane.
- »Samem węchem mężczyzny zarazem poczuje
- »I białą płęć, ale tej nigdy nie morduje,
- »Same tylko mężczyzny; tych siła umiera,
- »Bo ich pięć jednego dnia albo sześć pożera.

XLIII.

- »Jakobyś miał wybawić żonę, nie rozumiem,
- »Z tego miejsca i radyć dać na to nie umiem.
- »Dosyć możesz mieć na tem, że żywo została
- »I będzie tu z nami złe i dobre cierpiała.
- »Ale uciekaj, synu! dla Boga, uciekaj
- »I Cyklopa, aby cię nie pożarł, nie czekaj,
- »Bo skoro przydzie, wacha wkoło i poczuje
- »I biedną mysz, jeśli się w domu gdzie najduje.«

XLIV.

- »Odpowie król, że nie chce odejść z tamtej strony,
- »Jeśli pierwej nie ujrzy swojej miłej żony,
- »I że tam z nią pospołu woli umrzeć raczej,
- »Niż żyć bez niej, ani chce uczynić inaczej.
- »Ona skoro ujrziała, że go zbyć nie mogła
- »Z tak wielkiego uporu, aby mu pomogła,
- »Wszystkie swe siły zaraz na to obróciła
- »I wszytek zmysł i wszytek dowcip w to włożyła.

XLV.

- »Zawsze w domu pobitych baranów niemało,
- »Owiec i kóz i jagniąt i kozłów wisiało,
- »Któremi sama siebie i swoje żywiła;
- »Z dachu skór powieszonych widać było siła.
- »Król za radą życzliwej onej białejgłowy
- »Zebrał około nerek wszystek łój kozłowy
- »I mazał się tak długo od głowy do pięty,
- »Aż jeg pierwszy zapach wszystek był odjęty.

XLVI.

- »Skoro porozumiała, że zapachem nowem
- »Dobrze trącił Norandyn i parchem kozłowem,
- »Skórę jako największą kozłową obrała
- »I ubrać się w nią zaraz królowi kazała.
- »On, jako nauczony był od swej mistrzyni,
- »Na bałuku znienagła lezie do jaskini,
- »Tam, gdzie pięknej Lucyny była ulubiona
- »Twarz, kamieniem ogromnem w jamie przywalona.

XLVII.

- »I jako mu kazała, kryty cudzą skórą,
- »Stoi podle jaskiniej tuż nad samą dziurą,
- »Aby w nią wszedł z owcami, kiedy je z ugora
- »Przyżenie, i cierpliwy czeka do wieczora.
- »Wieczór słyszy piszczałkę, której zwykł używać
- »Srogi pasterz i stada do domu zwoływać;
- »Sam sobie przygrawając, znienagła za niemi
- »Idzie na odpoczynek krokami wielkimi.

XLVIII.

- »Osądźcie, jeśli nie drżał i był próżny trwogi,
- »Kiedy poczuł, że się już wracał Cyklop srogi,
- »I kiedy ujźrzał, że się do niego przymykał
- »Z straszną twarzą i wielką jaskinią odmykał.
- »Lecz więcej miłość mogła, niż strach, niewątpliwie,
- »A wy uznajcie, jeśli miłował prawdziwie.
- »Wprzód przydzie wielki Cyklop i kamień odłoży;
- »Król wchodzi, wmieszawszy się między gęste kozy.

XLIX.

- »Gdy weszło stado, Cyklop sam się w jamę wpuszcza,
- »Ale pierwej za sobą wielkie drzwi zapuszcza;
- »Chodzi, wszystkich wachając, na ostatek bierze
- »Dwu naszych towarzyszków do srogiej wieczerze.
- »Gdy mi wspomnieć na jego straszne zęby przydzie,
- »I teraz drzę od strachu i pot przez mię idzie.
- »Król skórę, skoro Cyklop wyszedł precz z jaskinie,
- »Zrzuciwszy, u szyje się uwiesza Lucynie.

L.

- »Ona nędzna, widząc go, co się cieszyć miała,
- »Więtszą żalność i smutek z jego przyścia miała:
- »Widzi, że musi zginąć i więcej nie może
- »Stamtąd wynieść i onej najmniej nie pomoże.
- »W tem żalu, w którym mię mieć zła fortuna chciała,
- »Wielką pociechę — prawi — miły mój, stąd miała,
- »Żeś w ten czas nie był z nami, kiedy mię z inszemi
- »Okrutny Cyklop dziś wziął sługami twojemi.

LI.

- »Bo lubo mi gorzko przyść do tego kłopotu,
- »Że ladakiedy zbędę miłego żywota,
- »Alebym tylko, kiedy tak zła gwiazda chciała,
- »Swojego złego losu była żałowała;
- »A teraz, lub wprzód zginiesz, lub później, żal z twojej
- »Śmierci większy mieć będę, niżli z własnej mojej.«
- »I dalej powiadała z żalnością Lucyna,
- »Że jej bardziej, niż o się, szło o Norandyna.

LII.

- »Król rzekł: »Jam się dlatego na to miejsce stawił,
- »Aby i ciebie i tych inszych stąd wybawił;
- »Czego, jeśli nie sprawię, zawarłem u siebie
- »Raczej umrzeć, niżli żyć, me serce, bez ciebie!
- »A jakom tu wszedł, tak też i wynieść stąd mogę
- »I wy pospołu zemną pójdziecie w tę drogę,
- »Jeśli czynić, jakom ja uczynił, będziecie
- »I smród na się szpetnego zwierzęcia weźmiecie.«

LIII.

- »I ukazał nam sposób, jemu już zdarzony,
- »Który na nos Cyklopów miał od jego żony,
- »Abyśmy się ubrali wszyscy w kozłe skóry,
- »Jeśliby nas chciał macać na wyściu u dziury.
- »Łatwie nas na to było namówić i ile
- »Nas było, tak białychgłów, jako mężczyzn, tyle
- »Kozłówek zabili, którychśmy mieli
- »Za najstarszych i którzy najbarziej śmierdzieli.

LIV.

- »I icheśmy swe ciała łojem namazali
- »I wszyscyśmy się w skóry ich poubierali.
- »Tym czasem z oceanu syn pięknej Latony
- »Ze dniem jasnym poganiał na świat wóz złożony;
- »Cyklop też z pierwszym światłem, jako więc czyniwał,
- »Wracał się do jaskini i swem się ozywał
- »Stadom, grając w piszczałkę, aby zostawiał
- »Jaskinią i na paszą w pole wychadzał.

LV.

- »Trzymał rękę u jamy, w dziurze nas przejmując
- »I żebyśmy z owcami nie wyszli, pilnując.
- »A macał nas, gdy kozy i owce wypuszczał,
- »I zaś nas, poczuwszy sierć albo wełnę, puszczał.
- »Takiemyśmy sposobem z białemigłowami
- »Wszyscy wyszli, kozłemi nakryci skórami;
- »I nie wciągnął nikogo Cyklop, aż lękliwa
- »We drzwiach była Lucyna, barzo bojaźliwa.

LVI.

- »Lucyna, lubo łojem, nędzna, swego ciała,
- »Brzydząc się jem podomno, nie nasmarowała,
- »Lubo barzo pieszczono i miękko chodziła,
- »Że zwierzęcego w on czas chodu nie trafiła,
- »Lubo kiedy ją macał, trwożyć się poczęła
- »I od wielkiego strachu, nieszczęsna, krzyknęła,
- »Lub się była nakryła skórą ladajako:
- »Postrzegł jej srogi Cyklop, ja sam nie wiem, jako.

LVII.

- »Takeśmy się każdy z nas byli obrócili
- »Na swe przypadki, żeśmy cudzych nie patrzyli.
- »Jam się przecię obejrzał na jej wrzask do dziury
- »I ujrzałem, że ją już zewłókł Cyklop z skóry
- »I wtrącił ją w jaskinią. A myśmy skórami
- »Nakryci, po staremu szli między owcami,
- »Gdzie nas pasterz wprowadził w łąki niesieczone,
- »Między piękne pagórki i chrósty zielone.

LVIII.

- »Gdzieśmy potem czekali, ażby usnął w cieniu,
- »Podle lasu, przy pewnem wesołem strumieniu.
- »Ten ku morzu, a ten się ku góróm udawa;
- »Norandyn z nami nie chce i w stadzie zostawa.
- »Taka go miłość wzięła przeciwko Lucynie,
- »Że się na zad chce wrócić stamtąd do jaskinie,
- »Ani odejść, póki jej stamtąd nie wyzwoli,
- »A umrzeć tamże przy niej, niż bez niej żyć, woli.

LIX.

- »I gdy ją z razu ujrzzał, we drzwiach postrzeżoną
- »I gwałtem do jaskinie na zad zaś wciągnioną,
- »Chciał, nie mogąc wytrzymać wielkiemu żalowi,
- »Dobrowolnie się wrzucić w garło Cyklopowi.
- »I już się był zapuścił i był mu u gęby
- »I blisko było, że mu mało nie wpadł w zęby;
- »Ale go ta nadzieja jeszcze zatrzymała,
- »Że za czasem Lucyna stamtąd wynieść miała.

LX.

- »Wieczorem napasione stado swe przygnawszy
- »I żadnego w jaskinie z naszych nie zastawszy,
- »Czując, że go wieczerza spodziewana minie,
- »Wszystkę winę przczyta i daje Lucynie
- »I do łańcucha ją stać pod niebem skazuje
- »Na skale, ani ciała pięknemu folguje.
- »Król patrzy, co dla niego cierpi — żal się, Boże —
- »I schnie żalem i tylko że umrzeć nie może.

LXI.

- »I wieczór i po ranu miłośnik strapiiony
- »Widzi mękę, ciężki płacz nieszczęsnej swej żony;
- »I lub w pole lub idzie z pól, między barany
- »I owce przednie coraz przychodzi wmieszany.
- »A ta twarz żalosną znać dawa nieboga,
- »Aby stamtąd uciekał, prosząc go dla Boga,
- »Ponieważ i sam zginąć ładakiedy może
- »I jej swoją bytnością namniej nie pomoże.

LXII.

- »Namniej jej nie pomoże; a nie tylko ona,
- »Ale go o toż prosi Cyklopowa żona,
- »Nadaremnie; bo król być i jednej godziny,
- »Kiedyby to mogło być, nie chce bez Lucyny.
- »W tej niewolej, w której go miłość uwiązała
- »I potem go pobożność i litość trzymała,
- »Trwał tak długo, aż w ten kraj, jak to bywa czasem,
- »Trafili się z przygody Mandrykard z Gradasem.

LXIII.

- »Którzy swoją śmiałością tak wiele czynili,
- »Aż nakoniec Lucynę piękną wyzwolili;
- »Acz to raczej sprawiło szczęście, które mieli
- »W tej sprawie, i do morza w skok z nią ubieżeli
- »I ojcu ją, co tam był, dali. To się stało
- »Właśnie w ten czas, kiedy się świtać zaczynało,
- »Kiedy jeszcze Norandyn król między owcami
- »Odpoczywał w jaskinie i między kozami.

LXIV.

- »Ale skoro świat jasne słońce oświeciło,
- »Dowiedział się król, że już Lucyny nie było.
- »Wszystko mu powiedziała Cyklopowa żona,
- »Jako się działo, jako była uniesiona.
- »Król Bogu dzięki czyni i ręce podnosi
- »Do nieba i pokornie i nabożnie prosi,
- »Aby ją tam prowadził, skądby ją mógł potem
- »Mieć lub prośbą lub mocą lub skarbem i złotem.

LXV.

- »Niepodobnie wesoły i pełen obrady,
- »Idzie na paszę między kosmatemi stady
- »I tam czeka tak długo, aż nieokrócony
- »Pasterz w cieniu na ziemi legł, snem zwyciężony.
- »On dzień cały uchodzi do mroku samego,
- »Aż był bezpieczny od rąk Cyklopa srogiego;
- »Potem wesół wsiadł w okręt pewny w Sataliej
- »I ode trzech miesięcy przybył do Syryej.



3664

LXVI.

»Król po miastach, miasteczkach, po ziemi, po wodzie,
 »W Egipcie i w Afryce, w Turczech, w Cyprze, w Rodzie
 »Rozesłał wszędzie szukać kochanej Lucyny,
 »A nie miał o niej, aż dziś czwarty dzień, nowiny.
 »Dziś czwarty dzień wiadomość od świekra swojego,
 »Że z nią jest w Nikozyej, ma, króla cyprskiego,
 »Potem, jako go wiatry przeciwne trzymały
 »I długo go po morzu tam i sam miotaly.

LXVII.

»Na znak swego wesela i wielkiej radości
 »Król zawołane gody sprawuje dla gości
 »I uchwalił na czasy na potem idące
 »Takie drugie sprawować co cztery miesiące
 »Na pamiątkę, że cztery miesiące w kozłowym
 »Odzieniu szpetnem chodził w stadzie Cyklopowem;
 »I ten dzień właśnie jutro przypadnie, którego
 »Wyszedł z ciężkiej niewolej pasterza srogięgo.

LXVIII.

»To wszystko, coście teraz odemnie słyszeli,
 »Częściem sam widział, a część, abyście wiedzieli,
 »Wiem od króla, który czas wyszszęj mianowany
 »Trwał w tej nędzy, zwierzęcą skórą przyodziany.
 »Jeśli wam kto inaczej będzie co powiadać,
 »Że nic nie wie, możecie bezpiecznie mu zadać.«
 Tak on szlachcic powiadał w on czas Gryfonowi,
 Skąd przyszło one gody sprawować królówi.

LXIX.

Niemalą część rycerze nocy w onej chwili
 Rozmawiając o onej przygodzie, strawili;
 Tem zawarli, że miłość prawie niesłychana
 I pobożność od króla była pokazana.
 Potem wstawszy od stołu, szli na odpocznienie
 Tam, kędy mieli wczesne i dobre złożenie.
 Nazajutrz w dzień pogodny, skoro grać poczęli
 Trębacze, rycerze się ochotni ocknęli.

LXX.

W bębny biją po mieście, w głośnie trąby grają
 I na plac naznaczony pospólstwa wołają.
 Gryfon, skoro obaczył i wozy i konie
 Na ulicy i wielki zgiefk na każdej stronie,
 Ubiera się i kładzie na się zwykłą swoją
 Doskonałą i nieraz doświadczoną zbroję;
 Bo niepożyta była i uczarowana
 I własną ręką wiedmy białej hartowana.

LXXI.

Antyocheńczyk się też z niem także gotował,
 Jachał na plac i członki żelazem warował.
 Już też od gospodarza były zgotowane
 Dla nich wielkie kopie, dobrze żyłowane;
 Który swoje powinne i krewne zgromadził
 I na plac je, czyniąc jem uczciwość, prowadził,
 Przydawszy jem i piesze i na koniach sługi
 Umiejętne i do tej sposobne posługi.

LXXII.

Przyjachawszy na rynek, zawściągnęli konie
 I nie jeżdżąc po placu, stanęli na stronie,
 Aby na plac jadące tem lepiej widzieli
 Po jednym, po dwu, po trzech, którzy gonić mieli:
 Ten misternie złęczone farby wynajduje
 I pociechę swej paniej lub żal ukazuje;
 Ten na szyszaku, a ten na tarczy znać dawa,
 Czy łaski, czy srogości w miłości doznawa.

LXXIII.

Syrowie tak się w on czas ubierali w boje,
 Jako i my, i także używali zbroje
 I od Francuzów podomno bierali,
 Zwłaszcza, że z niemi w blizkiem sąsiedztwie mieszkali;
 Co w on czas święte miasto rządźili lat wiele,
 Kędy z ludźmi wszechmocny Bóg przebywał w cieie,
 Które z wielką sromotą panów chrześcijańskich
 Teraz w ręku widzimy brzydkich psów pogańskich.

LXXIV.

Gdzieby na pomnożenie wiary świętej broni
I kopij mieli swoich używać, to oni
Wolą się między sobą drapać i mordować
I tę trochę, co wierzy, jeszcze chcą zepsować.
Lepiej, mężni Hiszpani, lepiej, Francuzowie,
Lepiej, Niemcy waleczni, lepiej, Szwajcarowie,
Że się na inszą zdobycz, godniejszą udacie,
Bo to już Chrystusowe, czego tu szukacie.

LXXV.

Do tego, jeśli królmi najchrześcijańskimi
I drudzy też zwani być chcecie powszechni,
Czemuż tak Chrystusowe ludzie zabijacie?
Czemu ich niepobożnie z ich dóbr odzieracie?
Czemu do Jeruzalem raczej nie jedziecie?
Czemu go gwałtownikom tem nie odbieracie?
Czemu Konstantynopol poganie trzymają?
Czemu lepszą część świata bisurmańcy mają?

LXXVI.

Czy nie większe urazy, o hiszpańskie plemię,
Ponosisz od Afryki, niż od włoskiej ziemi?
A przecię, aby się jej przykryło strapionej,
Odbiegasz swej odprawy pierwszej umyślonej.
I ty, gniazdo niecnoty, czemu się nie czujesz,
Pijana włoska ziemi, ani się frasujesz,
Żeś się to tych, to owych niewolnicą zstała
Narodów, któreś ty pierwiej panowała?

LXXVII.

Jeśli abyś w swych nie zdechł jaskiniach o głodzie,
Chceć się do włoskiej ziemi, szwajcarski narodzie,
I szukasz u nas chleba albo na ostatek
Śmierci, żeby cię nie gryzł głód i niedostatek:
Masz bogactwa tureckie tak blisko w Azyej,
Wypądz go z Europy, a namniej z Grecyjej;
Tak głodu nie ucierpisz, albo tamte włości
Z większą zasługą weźmiesz w swoje osiadłości.

LXXVIII.

A co tobie, to zaraz mówię i Niemcowi,
Niemcowi, przyległemu twemu sąsiadowi.
Tam są od Konstantyna z Rzymu przeniesione
Bogactwa, tam są wszystkie skarby zgromadzone
Paktola, Herma, gdzie jest złoto znamienite;
Migdonią, Lidyą i insze obfite
Kraje, o których często z historyj słychacie,
Nie tak daleko, jeśli iść tam chcecie, macie.

LXXIX.

Ty, wielki lwie, któryś jest teraz niebieskiemi
Obciążony od Boga kluczami złotemi,
Obudź sam włoską ziemię ani jej dopuszczaj
Spać tak długo, ale ją na te psy poduszczaj.
Ty masz łaskę, tyś pasterz, od Boga obrany,
I dla tegoś tak straszne imieniem nadany,
Abyś ryczał, rozciągał ręce i ściśnionej
Trzody bronił od wilków, tobie powierzonej.

LXXX.

Ale z mowy do mowy, o jakim mojego
Zbyt daleko ustąpił gościńca pierwszego!
Ale nie takem przecię bardzo obłądzony,
Abych zaś nie miał trafić na tor opuszczony.
Powiedziałem, że się tak na on czas Syrowie
Ubierali do bojów, jako Francuzowie.
Zaczem w Damaszku beł plac rycerzów wybranych
Pełny, w hełmy i zbroje zupełne ubranych.

LXXXI.

Gońcom się z ganków piękne przypatrują panie
I kwiecie rozmaite wymiatają na nie,
Kiedy przeciwko sobie kopie składają
Albo z mieczmi na koniach na się nacierają.
Každy, lub zły jeździec lubo jest ćwiczony,
Chce się udać na placu i być pochwalony;
Zaczem jedni i sławy i czci dostawają,
Drudzy słyszą, że szydzą za niemi wołają.

LXXXII.

Zwycięzcy na gonitwach zbroję wystawiono,
Którą królowi w dary świeżo przyniesiono,
Nalezioną z trafunku od kupca jednego
Na drodze, z Armeniej na zad jadącego.
Przydał król zwierzchnią szatę, utkaną ze złota
I z jedwabiów; okrom że sama jej robota
Dziwna biała, kamieni siła w sobie miała
I pereł, że się za skarb wielki szacowała.

LXXXIII.

Kiedyby był Norandyn poznał onę zbroję,
Pewnieby ją był schować dał w skarbnicę swoją,
I choć był hojny, by go był kto o niej sprawił,
Na gonitwyby jej był za dar nie wystawił.
Siłaby o tem mówić, jako znieważona
I od kogo tak barzo była pogardzona,
Że porzucona w drodze na ziemi leżała
I na łup tem, co wprzód szli i pozad, została.

LXXXIV.

Indziej o tem, a teraz powiem o Gryfonie,
Który, jakom przypomniał, stanąwszy na stronie,
Zastał kilka par z sobą kopie łamiących
I potem się ręcznemi broniami bijących.
Ośm było naprzędniejszych na dworze, co byli
Towarzystwo i związek z sobą uczynili;
Wszyscy młodzi i w bojach bywali mężowie,
Lubo domów przedniejszych lub wielcy panowie.

LXXXV.

Ci przeciwko każdemu w szranki wstępowali
I wszystkim po jednemu w bój odpowiadali
Pierwej drzewem, a potem szablą i buławą,
Póki się jeno cieszyć chciał król oną sprawą.
Częstokroć sobie drzewy zbroje dziurawili,
Wrzкомо w igrzysku, ale to wszystko czynili,
Co czyni nieprzyjaciół nieprzyjacielowi,
Krom, że ich było wolno rozdzielić królowi.

LXXXVI.

Rycerz z Antyochiej i z serca obrany
I z siły, Martan własnem imieniem nazwany,
Jakoby mając z sobą Gryfona, śmiałości
Był jego ucześnikiem i jego dzielności,
Wjechał w szranki na pięknem i ubranem koniu
I potem sobie w miejscu stanął na ustroniu,
Czekając, ażby byli srogi bój skończyli
Dwaj rycerze, którzy się z sobą w ten czas bili.

LXXXVII.

Pan z Seleucyje, jeden z onych, którzy mieli
Odpowiadać tem wszystkim, którzy gonić chcieli,
Goniąc w on czas z Ombrynem, właśnie go kopią
W jego miarę ugodził, w czoło pod skofią.
Spadł Ombryn z konia zaraz na ziemię, zabity,
Z wielką żalością wszystkich, bo był znamienity
Rycerz z niego i człowiek do tego cnotliwy,
Ale cóż, kiedy tak chciał los jego złośliwy.

LXXXVIII.

Martan widząc to, bał się, aby się i jemu
Także właśnie nie zstało, jako i onemu,
I do swego się zaraz wrócił przyrodzenia,
Myśląc, jakoby zniknąć boju i gonienia.
Gryfon, który stał przy niem, jego urażony
Ociąganiem, popchnął go, żeć wzdą ośmielony,
Przeciwko się jednemu ruszył rycerzowi,
Jako pies pospolicie przeciwko wilkowi,

LXXXIX.

Co się za niem zapuści trochę i zaś czeka,
W miejscu stając, i tylko z daleka nań szczeka,
Widząc, jako ma w oczu zapalonych żywe
Ognie i jako zęby wyszczerza straszliwe.
Gdzie wszytek lud, gdzie wszyscy rycerze ćwiczeni,
Gdzie i król i książęta byli zgromadzeni,
Wylęknięty się Martan razowi uchronił
I w prawą stronę głowy i wodze nakłonił.

XC.

Przecię mógł jakokolwiek koniowi swojemu,
Wymawiając się, winę dać twardoustemu;
Ale kiedy do ręcznej przyszło potem broni,
Tak zbłądził, że Demosten sam go nie obroni:
Jakoby był papierem kryty, nie żelazem
Tak się boi i tak drży przed namniejszem razem,
Na ostatek ucieka bez wstydu i rzędy
Miesza; ludzie się śmieją koło niego wszędy.

XCI.

Potem powstał huk i krzyk i wielkie wołanie
Pospolitego ludu i chłopiąt gwizdanie,
Gdy wypuściwszy wodze swojemu koniowi,
Właśnie, jako szczwany wilk, biegał ku domowi.
Gryfon, co został, tak się rozumie zelżonem,
Tak swego towarzysza hańbą oszpeconem,
Żeby się w ogniu wołał widzieć w onej chwili,
Widząc, jako się wszyscy śmiali i szydzili.

XCII.

Pała na twarzy z gniewu i wstydu wielkiego,
Jakoby błąd Martanów był jego samego,
Bo wszyscy tejże kuźniej dzieła wykładali
I takiegoż się po niem męstwa spodziewali.
Jeśli kiedy, dziś mu się trzeba dobrze stawić
I swego towarzysza występku poprawić:
Błąd na piądz, iż już o niem złe mniemanie mieli,
Na dziesięćby go beli łokci rozumieli.

XCIII.

Wziął był już drzewo Gryfon i do toku włożył,
Któremu się był w bojach tak dobrze przyłożył,
Że rzadko kiedy chybiał, i konia rozpuścił,
Co jedno biegu mógł mieć, i na dół je spuścił
I tak je dobrze w on czas o pana zawadził
Z Sydoniej, że go zbił i z siodła wysadził;
Wszyscy się zadziwili i na nogi wstali,
Bo przeciwnego po niem wszystkiego czekali.

XCIV.

Gryfon znowu zajachał i z onemże drzewem,
Całem i niezłomanem, skoczył z wielkiem gniewem
I złamał je we troje o tarczą mężnemu
Rycerzowi, staroście laodycejskiemu,
Który niewytrzymanem razem uderzony,
Zachwiał się i raz i dwa, na dół pochylony;
Ale się prętko przecię zasię poprawiwszy,
Szedł na Gryfona, szable od boku dobywszy.

XCV.

Gryfon widząc, że mało kopia sprawiła
I że go, jako tuszył, z siodła nie zwaliła,
Czego kopia sprawić nie mogła to — prawi —
Szabla za piątem cięciem albo szóstym sprawi.
I przypuściwszy konia podeń, wysadzony
Od siodła, ostrą szablą tnie go bez obrony
W lewą skroń, nie przestając, raz drugi i trzeci,
Że ogłuszony z konia na ostatek leci.

XCVI.

Tamże i z Apamiej dwaj bracia rodzeni,
Jako o nich trzymano, gońcy doświadczeni,
Jeden Tyrses, a drugi Korymbus nazwani,
Od Gryfona zostali z koni pozwalani.
Uderzony kopią, Tyrses łęk zostawił,
Ale się ręczną bronią z Korymbem rozprawił;
Już Gryfonowi wszyscy prawie przysądżają
Zwycięstwo i pewnie, że dank weźmie, trzymają.

XCVII.

Po tych dwu w szranki wstąpić zaś Salinterowi,
Najwyższemu dopiero przyszło marszałkowi,
Który wszytkiem królestwem rządził, podwyższony
Na pierwsze dostojeństwo damaskiej korony.
Ten znieść tego nie mogąc, w sobie rozgniewany,
Że on od cudzoziemca miał być otrzymany
Dank w gonitwie, groźnych słów i fuków używa
I Gryfona na drzewo zuchwale wyzywa.

XCVIII.

Odpowiedział mu Gryfon dobrze hartowaną
Kopią, za najlepszą z dziesiąci obraną.
I aby uszedł błędu, w pół tarczy mu mierzył
I tak go ją na on czas potężnie uderzył,
Że mu piersi i oba blachy rozerwała
I przepadszy, grot tyłem na piądz ukazała.
Wszyscy krom króla radzi śmierć jego widzieli,
Bo go z jego łakomstwa zbyt nienawidzieli.

XCIX.

Toż i dwiema damaskiem panom, Karmundowi,
Gryfon właśnie uczynił, i Ermofilowi;
Z których jeden wszystkich wojsk na ziemi hetmanem,
Drugi na amilarstwo świeżo był obranem.
Jeden zbył konia, drzewem z siodła wysadzoną,
Drugi leżał na ziemi, koniem przywalony,
Który nie mogąc raz wytrzymać ciężkiego,
Jakoby go podrąbił, padł, Gryfonowego.

C.

Jeszcze był z Seleucyjej pan został, którego
Miedzy tą siedmią mieli za namężniejszego,
A dobrze baczył pewnie siłę swą niemającą
Z dobrem koniem i zbroją przednią, doskonałą.
Oba się kopiami tak, jako mierzyli,
Gdzie hełm przeście wzrokowi daje, ugodzili;
Lecz przecię lepiej Gryfon uderzył tamtego,
Bo mu noga wypadła z strzemia lewego.

CI.

Skruszywszy wielkie drzewa, złomki zarzucili
I z mieczmi się do siebie gołemi wrócili.
Uprzedził mężny Gryfon i szablą staloną
Tak mocno poganina w tarcz ciął wystawioną,
Że chociaż była z miększej kości i żelaza,
Puściła, znieść nie mogąc tak ciężkiego raza;
Przeciął ją aż do zbroje, ale ta wytrwała
I nieuchronnej szable moc zahamowała.

CII.

Z Seleucyjej pan zaś w łeb tak chrześcijańskiego
Rycerza ciął, że raz wytrzymać srogiego
Żadne najwyborniejsze żelazo nie mogło;
Że był uczarowany szyszak, to pomogło.
Darmo potem i zbroję siecze z każdej miary,
Bo i ta także była zrobiona przez czary;
A jego zbroja zasię już jest zdiurawiona,
Nie w jednym, ale w kilku miejscach od Gryfona.

CIII.

Już u wszystkich rzecz jasna i widoma była,
Że Gryfon nad pogańskim rycerzem miał siłą,
I jeśli ich Norandyn prędko nie rozdzieli,
Że go Gryfon zabije, na oko widzieli.
A zatem też od króla strażom rozkazano,
Aby ich nie mieszkając zaraz rozerwano;
I tak byli na różne rozdzieleni strony
I z onego postępu król był pochwalony.

CIV.

Ona ośm, którzy mieli przeciwko każdemu
W bój wchodzić, a odeprzeć nie mogli jednemu,
Gdy złe, czego się byli podjęli, strzymali,
Że już mieli uchodzić wszytkiem, wyjawiali;
Po jednemu już byli zjachali do dworu,
A gonitwy zostały bez żadnego sporu,
Bo jem sam jeden Gryfon wziął, jako widzieli
To, co przeciwko ośmiom wszyscy czynić mieli.

CV.

A tak to krótko trwało, co dziwniejsza była,
Że się w godzinę wszytką ta sprawa skończyła;
Ale chcąc król Norandyn krotofile użyć
I aż ku wieczorowi igrzysko przedłużyć,
Zszedłszy z ganku uprzątnąć plac kazał i swoje
Rycerze pomieszane rozdzielił na dwoje
I na nową gonitwę według ich zachości
Na pary je połączył i według dzielności.

CVI.

Wtem się beł do gospody wrócił rozniewany
 Gryfon, w sercu żal niosąc niewypowiedziany;
 Barziej go towarzyska sromota frasuje,
 Aniżli się z swojej czci cieszy i raduje.
 Martan swe obelżenie i hańbę pokrywa
 I kłamstw i fałszywego języka używa,
 A nierządnicą, co go bratem nazywała,
 Jako mogła najlepiej, tak mu pomagała.

CVII.

Lub mu uwierzył, lubo nie uwierzył, toli
 Jako baczny, wymówki one przyjąć woli
 I myśląc, co ma czynić, nakoniec obiera
 Jachać stamtąd i cicho się zaraz wybiera,
 Tusząc, że stać pospólstwo spokojem nie miało,
 Skoroby jeno było Martana ujźrzało;
 I tak, jako naskryciej i naciśzej mogą,
 Puszczają się za miasto co naprostsą drogą.

CVIII.

Gryfon lubo sam, lub koń jego beł strudzony,
 Lubo po onej pracy snem beł obciążony,
 Stał w pierwszej gospodzie, na którą trafili,
 Od Damaszku mniej jeszcze, niżli w równej mili;
 I z swojej się zwyczajnej zbroje rozebrawszy
 I siodła zdjąć i uzdy z konia rozkazawszy,
 Zamknął się sam w komnacie, w której rozebrany
 Położył się na łożu na sen pożądan.

CIX.

Ledwie dopadł pościeli, jako zmrużył oko
 I wszytek zmysł utopił we śnie tak głęboko,
 Że leniwi pilchowie twardej nie spiąją
 I szcurcy snu głębszego nigdy nie miewają;
 Wtem chytra Orygilla i Martan do chłodu
 Na przechadzkę blizkiego poszli, do ogrodu
 I zdradę rozpoczęli, która u człowieka
 Nigdy w myśli nie była podobna od wieka.

CX.

Konia i świetną zbroję i szyszak i szaty,
 Z których się rozebrał, spać wszedłszy do komnaty,
 Umyślił wziąć niecnota Martan Gryfonowi
 I za niego się udać w nich Norandynowi.
 Wykonał zaraz swą myśl i konia dzielnego,
 Bielszego, niżli mleko, wziął Gryfonowego;
 I nasuwień i szyszak, tarcz jego i zbroję,
 Włożył na się w gospodzie, porzuciwszy swoją.

CXI.

Z giermkami, z Orygillą swoją, okazały,
 Przyjechał na plac, gdzie beł lud jeszcze niemały,
 I trafił właśnie w ten czas, gdy już przestawali
 Gonić i już ze szranków wszyscy wyjeżdżali.
 Wtem król po cudzoziemca pewne swe rycerze
 Onego posłał, który białe nosił pierze
 U hełmu, koń miał biały, sam wszytek beł w bieli,
 Bo imienia zwyciężce jeszcze nie wiedzieli.

CXII.

Martan nikczemny, który cudzą w onej dobie,
 Jako kiedyś osieł lwia, skórę miał na sobie,
 Od przedniejszych dworzanów beł z czcią prowadzony
 Do króla Norandyna, jako beł proszony.
 On go waży i z stołka przeciw niemu wstawa,
 Obłapia go, miejsce mu podle siebie dawa
 I nie ma dosyć na tem, że go czci i chwali
 Przed wszytkimi swojemi, którzy w koło stali,

CXIII.

Ale na dźwięk trąb głośnych chce go dnia onego
 Za zwyciężcę w gonitwie obwołać pierwszego.
 Idą po wszytkich stronach głosy niezliczone,
 Sławiąc imię niegodne, imię obelżone;
 Każe król, aby obok jachał z niem pospołu,
 Chcąc go mieć na wieczerzy u swojego stołu,
 I taką mu cześć czyni, że Herkulesowi
 Nie mógłby większej czynić ani Gradywowi.

CXIV.

Nadto go w swem pałacu postawił budownem,
W pokojach, ozdobionych obiciem kosztownem.
Orygillę także czczył i swem pacholętom
Prowadzić ją rozkazał i pierwszym paniętom.
Ale czas, abym znowu o Gryfonie śpiewał,
Który się w on czas żadnej zdrady nie spodziewał,
Ani od towarzysza ani od żadnego,
I do wieczora niemal twardo spał samego.

CXV.

Gdy się ocknął i postrzegł, że się dobrze było
Do późnego wieczora słońce nachyliło,
Poszedł tam, gdzie od niego, nim szedł spać, zmyślony
Szwagier był z Orygillą chytrą zostawiony.
Skoro ich tam nie zastał i obaczył swoje
Szaty wzięte i nie mógł naleść zwykłej zbroje
I towarzyskie tylko widział tam odzienie,
Dopiero mu to wpadło w wielkie podejrzenie.

CXVI.

Gospodarz się wtem trafił i wszystko powiedział
O jego towarzyszu, co widział i wiedział,
Że się w białą przebrawszy zbroję i niewiasta
I wszytką czeladź chwilę wrócili do miasta.
Dopiero napadł na ślad, który do tej doby
Miłość mu zakrywała, i pełen żaloby,
Widzi swe pierwsze błędy i poznawa zatem,
Że on był Orygille gamratem, nie bratem.

CXVII.

Winę teraz głupiemu daje rozumowi,
Że szczerą mówiącemu prawdę pielgrzymowi
Uwierzywszy, tak prędko zaś był odmieniony
Na słowa tej, od której nieraz był zdradzony.
Mógł się pomścić, a nie chciał, teraz chcąc nie może:
Ujachał nieprzyjaciela, Gryfonie nieboże!
Musisz jeszcze na wielką niefortunę swoją
Tak marnego człowieka wziąć konia i zbroję.

CXVIII.

Lepiej było bezbrojnym, nagiem i swobodnem
Zostać, niż piersi odziać blachem tak niegodnem,
Niż wyśmianą na głowę i posromoconą
Przyłbicę i na ramię tarcz wziąć obelżoną.
Ale się bardziej żądzej, niżli rozumowi
Dał rządzić, która była cudzołożnikowi
Dać karanie i na złą pomścić się niewieście,
I jachał tak, że mógł być przed wieczorem w mieście.

CXIX.

Przy bramie, którą wjechać miał Gryfon stroskany,
Z lewej strony jest zamek pyszno budowany
Z pięknymi pokojami, bardziej urobiony
Dla wczesnego mieszkania, niżli do obrony;
Gdzie król, gdzie i syryjskie nazacniejsze panie
I przedniejszy panowie i pierwszy dworzanie
Na jednej pięknej sali przestronnej siedzieli
U bogatej wieczerzy i byli weseli.

CXX.

Wielka sala, na którą tak się było siła
Dworu zeszło, daleko za mur wychodziła
I z wysoka widoki wszędzie rozszyła
I pola i gościńce wszytkie odkrywała.
Wtem się Gryfon do bramy tamtej przybliżając,
Hełm i zbroję na sobie obelżoną mając,
Na swe wielkie nieszczęście strojem był wydany
I od króla i dworu wszytkiego ujrzany.

CXXI.

I za tego, którego i zbroję i pierze
I tarcz miał, rozumiany, panie i rycerze
Pobudził na wielki śmiech. Martan z prawej strony,
Podle króla samego, siedzi poważony;
Orgilla podle niego zdradliwa za stołem.
Których na on czas pytał król z wzrokiem wesołym:
»Kto to, co się dopuścił tak grubego błędu
»I tak nie miał na swoją cześć żadnego względu,

CXXII.

- »Że się dziś tak sromotnie i źle popisawszy,
- »Jeszcze mi lezie w oczy, na dwór przyjachawszy?
- »Dziwno mi to — powiada — że wy, będąc takim
- »Rycerzem zawołanem, tak się z ladajakiem
- »Towarzyszem łączycie, nad którego tchórza
- »Więszego stąd nie najdzie do samego morza.
- »Podomno to czynicie, że swoje dzielności
- »Przy jego lepiej chcecie udać nikczemności.

CXXIII.

- »Ale to wam na Boga mego ślubuję,
- »Że jeno, że was wielce ważę i szanuję:
- »Wziąłby takie karanie, jakie zasługują
- »Wszyscy inszy, co się tak, jako on, sprawują,
- »I tożbym mu uczynił, jako inszem wielem:
- »Zawszeż ja takim ludziom bym nieprzyjacielem,
- »I jeśli bez karania odejdzie puszczony,
- »Dla was to czynię, z którym przyjechał w te strony«.

CXXIV.

- Naczynie takich złości, Martan niecnotliwy
- »Ja go — powiada — nie znam, królu miłościwy!
 - »Na drodze go trafił niedawno z przygody,
 - »Jadąc z Antyochiej na te sławne gody.
 - »Z postawym go być godnem rozumiał i sądził
 - »Mojego towarzystwa, alem w tem pobłądził;
 - »Jegom męstwa nie widział jeszcze ani słyszał,
 - »Aż dopiero tu, gdzie dziś tak się źle popisał.

CXXV.

- »Czem mię do tak wielkiego przywiódł zasromania,
- »Żeby był zaraz tamże nie uszedł karania,
- »Tak, żeby się był odrzekł na gonitwach bywać
- »I na nich lub kopiej lub szablę używać;
- »Alem miejsce i bytność królewską uważał,
- »A on mi się też potem więcej nie ukazał.
- »Nie chcę jednak, aby mu co pomagać miało,
- »Ze był w mem towarzystwie, co tak krótko trwało.

CXXVI.

- »Wiem, że się tem obelżył i wesół nie będę,
- »Póki zmaży, nabytej przezeń, nie pozbędę;
- »I jeśli z wielką hańbą dzieła rycerskiego
- »Nie odniesie, o królu! karania żadnego,
- »Nie każ go, proszę, puszczać; większą mi pokażesz
- »Łaskę, kiedy go z muru powiesić rozkażesz,
- »I będą twój uczynek wszyscy wychwalali,
- »Aby się jego drudzy przykładem karali«.

CXXVII.

- Orygilla Martana mowy potwierdzała
I aby zaraz wisiał, króla nalegała.
- »Nie tak barzo wystąpił — król odpowie na to —
 - »Aby na garle miał być pokarany za to;
 - »Niech ma pokutę, swemu należną grzechowi,
 - »Niech ludziom krotofile jutro też odnowi«.
- I jednego rotmistrza przyzwać sobie kazał
I jako sobie miał w tem postąpić, ukazał.

CXXVIII.

- Rotmistrz tak, jako mu król rozkazał, z ochotą
Poszedł, nic nie mieszkając, do miasta z piechotą,
Którą z sobą po cichu do bramy prowadził,
I z nią się na Gryfona czekając zasadził;
I między dwiema mosty w bramie go zatrzymał
I niestrzegącego się z piechotą poimał
I do wieże go ciemnej stamtąd zaprowadził
Z naśmiewiskiem i strażą dobrą go osadził.

CXXIX.

- Ledwie był piękny Febus złote swoje włosy
Ukazał z oceanu, mokrej pełne rosy,
I poczynął oświecać przez jasne promienie
Wierchy gór, wyganiając niewesołe cienie,
Kiedy Martan bojąc się, aby od Gryfona
Na ostatek nie była ta rzecz objawiona
I nań się jego na zad nie wróciła wina,
Jachał precz, pożegnawszy króla Norandyna,

CXXX.

Wynalazszy wymówki pewne w onej chwili,
 Że przy naznaczonej być nie mógł krotofil.
 Tak wziął dar, nie od siebie w gonitwie wygrany,
 I wielą upominków inszych darowany,
 Odjechał, nadewszystko zacnem ozdobiony
 Przywilejem, którem był wielce podwyższony.
 Ale niech jedzie, gdzie chce; wiem, że w krótkim czasie
 Godne karanie za swój występki odniesie.

CXXXI.

Gryfon wtem, obstępiony nakoło piechotą,
 Prowadzon był na rynek z hańbą i sromotą;
 Hełm mu wzięto, z jego go zbroje zewleczono
 I w samym go kaftanie tylko zostawiono
 I jakoby był na rzeź do jatek wiedziony,
 Na wysokiem był wozie wzgórę posadzony,
 W którym były dwie szpetne krowie zaprzężone,
 Słabe, chude i wielkiem głodem wycieńczone.

CXXXII.

Około zelzonego woza nierządnice
 Szły zewsząd niewstydlive i stare zwodnice.
 Te były woźnicami i krów poganiały,
 A wszystkie go sromotnie lżyły i szczypały;
 Ale mu się najbarziej chłopięta przykrzyły,
 Bo okrom słów plugawych, które mu mówiły,
 Na śmierćby był kamieniami od nich obrażony,
 Kiedyby od baczniejszych nie miał był obrony.

CXXXIII.

Zbroja, która przyczyną jego złego była
 I która nieprawdziwy sąd o niem czyniła,
 Za wozem uwiązana, w błocie się walała
 I pomazana, godne karanie cierpiała.
 Nakoniec przed sędziami wóz zastanowili,
 Gdzie za cudzy występki słuchał w onej chwili
 Swej sromoty, która mu była wymiatana
 Na oczy, od trębacza w głos wywoływana.

CXXXIV.

Stamtąd go wieźli dalej od bramy do bramy,
 Przed kościoły, ratusze i bogate kramy,
 Gdzie słowo tak wszeteczne żadne nie zostało,
 Któremby mu pospólstwo było nie łąjało.
 Na ostatek za miasto był wyprowadzony
 Od gminu, który mniemał tak, że wypędzony
 Miał być stamtąd samem ich wrzaskiem i gwizdaniem,
 Którzy nie znając, kto był tam, a wyli za niem.

CXXXV.

Ledwie co mu jeno z nóg żelazo i pęto
 I powrozy z obu rąk zdymować poczęto,
 Jak tarcz porwał i broni dopadł, którą pole
 Hojnie skropił i suche ponapawał role.
 Nie miał oszczepów ani mieczów przeciw sobie,
 Bo bezbronne pospólstwo biegło w onej dobie. —
 Alem nazbyt przedłużył, przeto pieśni skrócę,
 A w drugiej się do tejże historyej wrócę.

KONIEC PIEŚNI SIEDMNASTEJ.

PIEŚŃ OŚMNASTA.

ARGUMENT.

Mści się swej zelżywości Gryfon zawołany.
Mandrykard Rodomonta szuka; bój z pogany
Zwiódszy, cesarz wygrawa. Dają Martanowi
Słuszną kaźń; cna Marfiza lud Norandynowi
Bije, potem z Gryfonem stamtąd i inszemi
Do Francyej się puszcza wiatrami dobremi.
Klorydon się i Medor w pole wyprawują
I króla Dardynella zmarłego najdują.

ALLEGORYE.

W tej ośmnastej pieśni w Gryfonie, który zemściwszy się mężnie
swojej krzywdy, był poznany i barzo szanowany od króla Norandyna,
jaśnie ukazuje, że niewinność złączona z dzielnością może się nie bać
nigdy złego końca. Przeciwnem obyczajem przez Martana, od Akwi-
lanta nalezonego i do Damaszkę przywiedzonego i sromotnie za jego
niecnoty i nikczemność pokaranego, daje się przestroga, aby się nikt
nie sadził na swej chytrości, która jest przeciwko prawdzie i przeciwko
sprawiedliwości.

SKŁAD PIERWSZY.

O zawołane księżę, o panie łaskawy!
Słusznem chwalił i chwałę zawsze twoje sprawy,
Acz z drugiej strony siebie samego winuję,
Żeć grubem piórem wielką część chwały ujmuję;
Ale najbarziej między inszemi wszystkiemi
Ciągnie serce i język mój dzieli twojemi
To, że każdego zawždy rad słuchasz cierpliwie,
Ale nie zaraz wiarę dajesz mu skwapliwie.

II.

Słyszę więc, że na obronę nieobecnemu
I za oczy do ciebie źle odniesionemu
Często i te i owe wymówki najdujesz
I drugie mu przynamniej ucho zostawujesz;
Ucho mu zostawujesz drugie, aż się stawi
Sam przed tobą i z rzeczy zadanych się sprawi,
I raczej do miesięcy albo i lat sprawy
Odkładasz, niżbyś wyrok miał skazać nieprawy.

III.

By był także uczynił Norandyn, jako ty,
Nie odniósłby był Gryfon od niego sromoty,
Jaką odniósł; przeto cześć i sława z twojego
Postępu, a hańba brzmi z Norandynowego.
Dla niego jego ludzie na on czas polegli,
Bo z tych, którzy za miasto i bramę wybiegli,
Dziesięcią razów ciętych, dziesięcią sztychowych
Trzydzieści zaraz padło od rąk Gryfonowych.

IV.

Drudzy zasię tam, gdzie ich strach pędził, przez drogi,
Przez ścieszki i przez pola w prędkie poszli nogi;
Drudzy, kiedy do miasta na zad uciekali,
W bramie jeden na drugim pobici padali.
Gryfon próśb nie używa, ale rozniewany
Bez litości, zażarty i nieubłagany,
Macha mieczem około gminu bezbronnego
I mści się znieważenia okrutnie swojego.

V.

Z tamtych, którzy do bramy naprzód przybieżeli
I którzy nogi rętsze, niżli inszy, mieli,
Cześć wielką, aby sobie raczej dogodzili,
Niżli inszem, wiszące wzwoły podnosili;
Cześć krwi próżnych na twarzach wybladłych z wołaniem,
Uciekając i płacząc, z wielkiem narzekaniem,
Po ulicach tam i sam zgiełkiem napełniali.
Wszystkie strony i miasto wrzaskami miesza.

VI.

Dwu, jako ich zły los chciał, Gryfon zapędzony
 Porwał, kiedy wielki zwzód wznoszono u brony;
 Jednego o kamienny słup uderzył czołem,
 Że mu się mózg rozpierzchnął po powietrzu kołem,
 Drugiego wziął za piersi i tak mocno potem
 Cisnął jem, iż za mury spadł wśród miasta lotem:
 Dopiero wziął zimny mróz mieszczany za boki,
 Kiedy widzieli, że ten leciał pod obłoki.

VII.

Byli ci, co się bali, aby był przez mury
 Nie skoczył Gryfon, inszej nie szukając dziury.
 Więszy tam strach nie mógł być, kiedyby był hurmem
 Sułtan wojsko obegnał i miasto wziął szturmem.
 Zgiełki, wrzaski i krzyki i srogie wołanie
 I ludzi po ulicach tam i sam bieganie
 Z dźwiękiem się trąb krzykliwych i bębnow mięszały
 I nieba dosięgały i świat ogłuszały.

VIII.

Ale teraz tu stanę rad nie rad, bo o tem
 Wolę inszego czasu powiedzieć wam potem;
 Bo mi trzeba za Karłem, który ku rynkowi
 Przeciwno okrutnemu biegł Rodomontowi,
 Rodomontowi, co lud paryski mordował.
 Słyszeliście, jako nań cesarz następował
 Z Danem, Namem, Ottonem i Oliwijerem,
 Z Awinem i z Awolem i z Berlingijerem.

IX.

Ośm kopij, któremi nań spólnie w onej chwili
 Ośm rycerzów tak wielkich razem uderzyli,
 Skóra, łuską nakryta, snadnie wytrzymała,
 Co mężnego pohańca piersi pilnowała.
 Jako się pospolicie okręt więc prostuje,
 Gdy go uczony żeglarz pod wiatr nakieruje,
 Tak się prędko Rodomont poprawił pochyły
 Po raziech, coby były i góry ruszyły.

X.

Mężny Gwidon, Ranijer, Rykard z Salomonem,
 Angolier i Turpin wierny z Ganellonem,
 Andzolin, Ugiet, Iwon i Marek z Peryny
 I Maciej, pan świętego Michała równiny,
 Z ośmiu, którzy na rynek z cesarzem przypadli,
 Wszyscy wraz zuchwałego pohańca opadli,
 Aryman z Odoardem także, którzy byli
 Świeżo z angielskiem ludem do miasta przybyli.

XI.

Nie tak huczy na skale z gruntu wywiedziony
 Mocny mur na Krępaku, kiedy w Akwilony
 Wściekle około niego gniewy rozciągają,
 Które z korzeniem twarde dęby wywracają,
 Jako huczy Sarracen, gniewem zapalony
 I niezmiernem pragnieniem na krew przerażony;
 I jako piorun z grzmieniem bywa w jednym czasie,
 Tak jego gniew zarazem z sobą pomstę niesie.

XII.

Tego, co podeń podpadł nablżej, z Dordony
 Ugieta tak ciął ostrą szablą bez obrony,
 Że choć miał doskonały szyszak, aż do gęby
 Przeciął mu łeb, że wszystkie widać było zęby;
 I samego też w onem czasie wszyscy bili
 Prawie po wszystkim ciele, lecz mu to czynili,
 Co nakowalniej igły: tak Sarracen hardy
 Miał na sobie łuszczasty smoczy łupież twardy.

XIII.

Wszystkie mury nakoło były opuszczone,
 Z wałów i z baszt piechoty były pozwodzone;
 Bo gdzie potrzeba większa była, tam prowadził
 Ludzie cesarz i wszystkie do rynku gromadził.
 Ze wszystkich stron, ze wszystkich ulic się zbiegają
 Do rynku i lękliwe tyły w zad wracają;
 Każdy widząc, że się sam cesarz nie szanuje,
 Serce bierze i w boje ochotnie wstępuje.

XIV.

Jako, gdy zawołany tryumf gdzie sprawują,
Na którym lud ucieszyć wszytek usiłują,
Do mocnego okołu, gdzie z dawna chowają
Libijską lwicę, byka srogiego puszczają;
Lwięta przypatrując się na stronie przy lwicy,
Jako zuchwało stąpa, jako straszno ryczy,
Którym jeszcze nowina widzieć takie rogi,
Stoją z daleka pełni, niewidanej trwogi;

XV.

Ale skoro mężna mać zębem weń uderzy
I porwie go za ucho, one przy macierzy
Wziąwszy serce, łakome gęby zajązają
I morzyć go macierzy śmiałej pomagają,
Ten go za brzuch, a ten go za bok rwie: tak owi
Naprzeciw surowemu szli Rodomontowi,
Kamienie nań to z dachów, to z okien ciskają,
Drudzy nań z blizka chmury pocisków puszczają.

XVI.

Piesznych, jeznych tak wiele zewsząd każdą drogą
Przybywa ze wszystkich stron, że się ledwie mogą
Zmieścić w przestronem rynku; lecą, jako pszczoły
Pełnem rojem, wonnemi obkarmione zioły,
Że choćby beli nadzy wszyscy, nieubrani,
Choćby tak, jako rzepa, mogli być krajani
I choćby nie broniąc się na pował leżeli,
Za dwieby ich Rodomont nie pobił niedzieli.

XVII.

Przykrzy się na ostatek już poganinowi,
Radby się w zad ku swemu wrócił orszakowi;
Mało co ich ubywa, choć ich tysiącami
Bije, choć koło niego leżą gromadami.
Już się umęczył, już tchnie, już widzi i czuje,
Że jeśli, póki się w niem siły co najduje,
Nie wyńdzie stamtąd, potem, skoro nademdleje,
Choćby chciał wynieść, żadnej nie będzie nadzieje.

XVIII.

I tam i sam po stronach wzrok obraca srogi,
Widzi nakoło wszytkie zastąpione drogi;
Ale sobie wszytkie wnet uprzątnie zawady
Z upadkiem wielkiej ludzi pobitych gromady.
Awo już tam, gdzie go gniew ciągnie nieużyty
I myśl wściekła, miecz w rękę kręcąc jadowity,
Bieży przeciw Anglikom pędem niesłychanem,
Które świeżo Odoard przywiódł z Arymanem.

XIX.

Jeśli kto widział, kiedy byk nieokrócony,
W szrankach cały dzień bity i ze psy goniony,
Porwie płoty i mocne obali okoły,
Gdzie gęsty na igrzysko patrzy lud wesoły;
Wszyscy pełni widomej uciekają trwogi,
On tego i owego w tem bierze na rogi:
Ten niech wie, iż tak srogi, gdy wpadł na Angliki,
I jeszcze ponno sroższy był rycerz z Afryki.

XX.

Piętnaście ich na poły poprzek poprzecinał,
Piętnastom albo więcej głowy poucinał;
Każdy raz jego, prosto albo odlew cięty,
Zda się, że ścina winne lub wierzbowe pręty.
We krwi wszytek poganin wściekły umoczony
Odcięte głowy, nogi i ręce z ramiony
I insze członki tam, gdzie idzie, zostawuje,
Na ostatek powolej z rynku ustępuje.

XXI.

Ale tak ustępuje przecię w onej dobie,
Że namniej znaków strachu nie daje po sobie;
Różnie jednak obraca myśl swą rozdwojoną,
Którą stamtąd może uść nabezpieczniej stroną.
Nakoniec po rozmyśle długiem tam przychodzi,
Gdzie Sekwana pod wyspą za mury wychodzi;
Ale go ludzie zewsząd pędzą i ściskają
I w pokoju mu dalej iść nie dopuszczają.

XXII.

Jako lew urodziwy na massylskiej puszczy,
 Od łowców i od gęstej obegnany łuszczcy,
 Chocia ucieka, mężne serce ukazuje
 I z groźbą i leniwo w lasy ustępuje:
 Tak Rodomont w postępku każdym onem czasem
 Niestrwożony, foremne obegnany lasem
 Strzał lotnych i oszczepów, z niezmrużeniem okiem
 Idzie do rzeki lekkim i leniwem krokiem.

XXIII.

I tak był i raz i dwa gniewem przerażony,
 Że będąc już w bezpiecznym miejscu zapędzony,
 Znowu się wrócił w boje i szablę ukrwawił
 I więcej ich, niżli sto, żywota pozbawił.
 Ale wściekłość nakoniec ustąpić musiała
 Rozumowi i rady zdrowszej posłuchała,
 Rady tej, że skoczywszy w rzekę między wody,
 Wyszedł z niebezpieczeństwa i z onej przygody.

XXIV.

Tak skoczył, jako ciężki, jako był ubrany,
 A płynął, jak sitowiem w pachach podwiązany.
 Nie chlubił się z Anteusza, nie chlubił się z wielkiego
 Annibala, Afryko: takiego drugiego
 Jeszcześ nigdy nie miała. A skoro za rzekę
 Przeplłynął, niewymowną czuł na sercu mękę
 I że miasta nie spalił i wszczął nie zepsował,
 Przebiegłszy je wzdłuż i wszcz, okrutnie żałował.

XXV.

I tak go pycha i gniew gryzie zapalczywy,
 Że znowu do Paryża chce wpaść i wątpliwy
 Wzdycha i przysięga się, że się w zad nie wróci,
 Aż go zniszczy, zepsuje i z gruntu wyróci.
 Ale ujrzawszy nad rzeką pędem przeciw sobie
 Bieżącego, który w niem on gniew w onej dobie
 Uhamował. Kto to był? — Wnet będziecie wiedzieć,
 Bo teraz o czem inszem trzeba mi powiedzieć.

XXVI.

O Niezgodzie pierwszej wam powiedzieć mi trzeba,
 Której anioł rozkazał, wyprawiony z nieba,
 Aby między mężniejsze sarraceńskie pany
 Nasiała zwad i wniosła swar niepojednany.
 Wyszła jęcza przeklęta onegoż wieczora,
 Zasadziwszy swe miejsce kiem inszem z klasztora,
 Zdradzie podniecać ogień zajęty zleciła
 I poddymać go, ażby sama się wróciła.

XXVII.

Ale się jej zda, żeby większą siłę miała,
 Gdzieby się z nią i Pycha w tę drogę wybrała;
 A iż obiedwie w jednej komorze mieszkały,
 Nie trzeba było, aby się były szukały.
 Ale i Pycha także, mając się wyprowadzić,
 Nie chciała bez namiastki klasztoru zostawić:
 Przez te kilka dni, jako wrócić się tuszała,
 Swoje Hipokryzjej rządy poruczyła.

XXVIII.

Tak przeklęta Niezgoda, mając Pychę z sobą,
 W towarzystwie szła śpiesznie w drogę oną dobą
 I potkała na temże gościńcu stroskaną,
 Wyszłą, wybladłą Zazdrość i ukłopotaną;
 A ona do obozu także pogańskiego
 Szła, mając w towarzystwie karlika małego,
 Którego Doralika piękna posyłała
 Do Rodomonta i znać o sobie dawała.

XXIX.

Bo kiedy się dostała Agrykanowemu
 Synowi — wiecie, jako i kędy — małemu
 Poleciała swojemu cicho karlikowi,
 Aby onę nowinę niósł Rodomontowi,
 Mając pewną otuchę o jego dzielności
 I o jego wiadomej ku sobie miłości,
 Że miał dziwy porobić i wrychle nad hardem
 Odnieść pomstę, co mu ją odjął, Mandrykardem.

XXX.

Tego karlika Zazdrość w drodze potrafiła
I słysząc, z kiem szedł, z niem się na on czas złączyła,
Bo tak sobie myślała i tak rozumiała,
Że i ona w tej sprawie swe miejsce mieć miała.
Niezgoda niezmiękczonego rada była srodze,
Że się z Zazdrością w on czas potkała na drodze,
Wiedząc zwłaszcza, po co szła, i że rozumiała,
Że jej mogła ratować w tem, co czynić miała.

XXXI.

Zda się jej, że ma śrzodek powadzić męznego
Rodomonta i syna Agrykanowego;
Jakoż nie mógł być lepszy między temi zwadę
Uczynić; inszych zwadzić najdzie inszą radę.
Idzie z karłem pospołu tam, gdzie wojska blizkie
Pogańskie obegnały w krąg mury paryskie,
I przyszli właśnie w ten czas, kiedy przepławiony
Przez Sekwanę, na brzegu stanął z drugiej strony.

XXXII.

Skoro poznał Rodomont, że to był posłany
Od jego pięknej dziewczki, zaraz ubłagany,
Gniew umarza, pogodne czoło pokazuje
I że w niem od radości serce skacze, czuje.
Każdej inszej nowiny czeka, niżli onej,
Aby miał kto uczynić jego ulubionej
Krzywdę lub lekkość jaką; wesół karła wita
I »Jak się ma? Gdzie cię śle moja panna?« pyta.

XXXIII.

Odpowie karzeł na to: »Nie jest więcej moja
»Ta, co jest w cudzych ręku, ale ani twoja;
»Wczoraśmy na rycerza jednego trafili,
»Co ją nam wziął: takeśmy oba ją stracili.«
Na tę nowinę Zazdrość do niego skoczyła
I w poły go, jako wąż zimny, obłapiła.
Powiada dalej karzeł, że to wszystko zrobił
Sam jeden: i onę wziął i ludzie jej pobił.

XXXIV.

Natychmiast i Niezgoda ogniwo porwała
I krzemienia dobywszy, kilkakroć wskrzeszała;
Żagiew była od pilnej podłożona Pychy,
Skąd się we mgnieniu oka zajął ogień cichy,
Co tak barzo zapalił serce w onej dobie
Poganina, że miejsca nie znajdował sobie;
Wzdycha, jęczy i z twarzą straszliwą wyzywa
Bogi z nieba i klątw brzydliwych używa.

XXXV.

Jako lwica, co próżną jamę zwartowała
I tam i sam i węchem nakoniec poznała,
Że w niej byli myśliwcy i że jej pobrali
Miłe syny i z niemi nagle ujachali,
Tak się zrze, tak się gryzie wściekłością tak srogą,
Tak gore, że jej góry ani rzeki mogą,
Ani noc ani grad ani deszcz hamować,
Aby swego nie miała zbójce prześladować:

XXXVI.

Do tej wściekłości wściekłość jego równać mogę.
Zawoła na karlika: »Ty tam jedź w swą drogę!«
Konia i wozu nie chce czekać i żadnemu
O swej trosce nie daje znać słudze swojemu.
Sam, jako wściekły, pędem niewściągnionem bieży,
Tusząc, że gdzie rozbójcę swojego przebieży.
Konia nie ma, ale wziąć zamyśla pierwszego,
Którego potka, by też i nie wiem czyjego.

XXXVII.

Niezgoda się, postrzegszy tej myśli, rozśmiała
Na towarzyszkę Pychę, która blisko stała,
I rzekła, że mu konia niedługo zdobędzie,
Za którem więcej mu zwad i swarów przybędzie,
Myśląc uprzątnąć drogi, żeby mu przez dzięki
Inszy koń, okrom tego, nie przyszedł do ręki;
I myślała już o niem. — Ale już Niezgodę
Zostawię, a do karła znowu was powiodę.

XXXVIII.

Skoro cesarz pohańca wyparł i zajęte
Ognie zgasił, pożogi uśmierzył rozczęte,
Wszystkie ludzkie, co ich miał, w rzędy swoje sprawił,
A część na słabszych miejscach tam i sam zostawił;
Ostatek, chcąc grę wygrać onę, jako tuszył,
Przeciwko Sarracenom nie mieszkając ruszył,
Puściwszy ich bramami razem dwojem torem
Między świętem Germanem, a świętem Wiktorem.

XXXIX.

I rozkazał do bramy Marcella świętego,
Kędy była wielka część pola zrównanego,
Aby się oba pułki do kupy ściągały,
Puszczone stąd i zowąd, i tam się czekały;
Stamtąd zagrzewając ich, aby się stawili
Tak, żeby onego dnia wieczną uczynili
Pamięć, kazał chorągwiom wchodzić w swoje rzędy
I dać po wszystkim wojsku znak potkania wszędy.

XL.

Tem czasem król Agramant, z siodła wysadzony,
Wielką mocą na konia znowu był wsadzony.
Kiedy z króla szkockiego zawołanem synem
Odprawował srogi bój i krwawy, z Zerbinem,
Lurkani miał Sobryna króla w onej dobie,
A Rynald cały wielki hufiec przeciw sobie.
Który szczęściem i wielką rozrywał dzielnością,
Przebijając się przezeń z niezmierną śmiałością.

XLI.

Kiedy się tak toczyła bitwa między temi,
Cesarz natarł na zadni pułk z ludźmi swojemi,
Z tamtej strony, z mężnemi kędy Hiszpanami
Pod gęstemi Marsyli król stał chorągwiami
Z jezdą na obu skrzydłach, we śródku z piechotą;
Wpadł cesarz na Hiszpany z ludem swem z ochotą,
Z krzykiem i trąb i bębnów, z dźwiękiem, że się zdało,
Że się ziemia i rzadkie powietrze mięszało.

XLII.

I już byli poczęli, gwałtem przełamieni,
Dość znacznie ustępować na zad Sarraceni
I wszystkieby już były hufce zuciekały
Rozprószone, że trudno do sprawy przyść miały,
Ale i król Gardoni i Falzyron śmiały
I z królem Balugantem Serpentyn zuchwały
I Ferat przypadł, który, co głosu miał w sobie,
Nawracając ich na zad, wołał w onej dobie:

XLIII.

»Towarzysze i bracia! prze Bóg w miejscu stójcie!
»A tych się psów i tego motłochu nie bójcie!
»Jeśli naszą powinność wszyscy zachowamy,
»Zwycięstwo z nieprzyjaciół pewne otrzymamy.
»Patrzcie na cześć, na sławę, na zysk, na zdobyczy,
»Których wam dzisiejszego dnia fortuna życzy,
»Gdzie wygracie; patrzcie zaś na ostatnie szkody,
»Hańbę i śmiech tych, którzy przegrają nagrody«.

XLIV.

Drzewo wielkie miał w ręku; z tem dawszy koniowi
Bojca w bok, biegał przeciw Berlingijerowi,
Który się onem czasem Argalifą bawił
I już mu był na głowie szyszak podziurawił;
Zbił go z konia i przy niem, co się nawinęli,
Dziewięć od jego szable ostrej poginęli,
Bo każdy raz, rzecz pewna, kiedy się zamierzy,
Jeden przynajmniej padnie i ziemię uderzy.

XLV.

Na drugiej zasię stronie Rynald niezwalczony
Posiekł i pobił pogan poczet niezliczony;
Hufiec mu się nie oprze żaden; uciekają
Wszyscy, gdzie się obróci i plac mu dawają.
Niemniej się mężnie Zerbin i Lurkani stawili,
Każdy z nich miecz w pogaństwie obficie ukrwawił:
Ten na wylot przebił brzuch sztychem Balastrowi,
Tamten na poły przeciął łeb Finadurowi.

XLVI.

Balastra wszystkie wojska z Aldzierby słuchały,
 Wszystkie wojska z Aldzierby, skoro postradały
 Króla swego i wodza wielkiego, Tardoka;
 Finadur rządził ludem z Zumary, z Maroka;
 »Nie mieli Afrykani nadeń mężniejszego,
 »I szablą i kopią umiejętniejszego.«
 Mógłby mi kto powiedzieć; ale to omijam:
 Toli żadnego chwały godnego nie mijam.

XLVII.

Chciał ratować i wesprzeć króla zumarskiego
 Szlachetny Dardynel, syn Almonta starego,
 Od którego kopią Ubertus z Mirfordy
 I mężny Klaudy zrzucen i Andzelm z Stanfordy;
 Szablą zasię Elias z Urban z Kobrynu
 I Rajmund i Pinamund, obadwa z Londynu,
 Wielcy mężowie, byli zbici i zwaleni;
 Trzej zdechli, jeden ranny, a trzech ogłuszeni.

XLVIII.

Ale ze wszystkim męstwem, które pokazywać
 Silił się aż i nazbyt, nie mógł uhamować
 Ludzi swoich tak, żeby uciekać nie mieli,
 Skoro nasze choć w mniejszej gromadzie ujrzeni,
 Chocia w mniejszej gromadzie, lecz lepiej ćwiczone
 I w orężu wojenne lepiej opatrzone.
 Ucieka lud z Maury, ucieka z Zumary,
 I z Setty i z Maroku, ucieka z Kanary.

XLIX.

Ale najbarziej w on czas wojska uciekały
 Z Aldzierby, które wracał młodzieńczyk wspaniały,
 Chcąc jem śmiałość do piersi wrócić to groźbami,
 I surowemi fuki, to płaczem z prośbami.
 »Jeśli się wam zastrzyżył kiedy z jakiej miary —
 Tak do nich mówi — Almont, mój rodziciel stary,
 »Dowiem się wnet, jeśli mnie, jego opuścicie
 »Syna, jeśli mię w tak złem razie odbieżyście.

L.

»Proszę przez mój młody wiek, w którym takie macie
 »Nadzieje i po którym pociech swych czekacie:
 »Stójcie! stójcie! nie chodźcie, prze Bóg! na miecz goły,
 »Obróćcie śmiałe twarzy na nieprzyjaciół!
 »Wszędzie prześcia i drogi zawarte najdziemy,
 »Jeśli bez sprawy wszyscy w rozsypkę pójdziemy:
 »Góra, chciejcie mi wierzyć, że to mur wysoki;
 »Morze trudno przeskoczyć: przykop to szeroki!

LI.

»Daleko lepiej umrzeć, niżli się do ręki
 »Dostać tem psom na lekkość, na hańbę, na męki.
 »Stójcie w miejscu, bo insze wszelakie sposoby
 »Próżne są, moi wierni rycerze, tej doby.
 »Wźdyć i oni nie więcej, niżli my, rąk mają
 »I jedną duszę także w sobie zawierają.«
 Tak mówiąc do nich śmiały młodzieńczyk, grofowi
 Przeciął głowę do ucha, Ottonoleowi.

LII.

Wspominanie Almonta tak serc zagrzewało
 Afrykańskiego wojska, co już uciekało,
 Że woli rąk na swoją obronę używać,
 Niżli nieprzyjaciołom tyły pokazywać.
 Gwilelm z Burneku wzrostem był między wszystkimi
 Anglikami nawyszszy, ale go z inszemi
 Dardynel porównywa; podle niego pana
 Z Kornowaliej z konia zwałił, Arymana.

LIII.

Kiedy leciał do ziemie Aryman zwalony,
 Przybiegł mu na ratunek brat jego rodzony;
 Ale niewiele pomógł i niewiele sprawił:
 Tak, go, jako i brata, Dardynel odprawił.
 Stefan, w gębę trafiony, szablę mu uślinił,
 A on go wolnem za to od długu uczynił;
 Bo był obiecał żenie, na wojnę jadący,
 Gdzieby żyw był, wrócić się za dziewięć miesięcy.

LIV.

Wtem z daleka obaczył, że Lurkani wszędy,
Gdzie się udał, mieszając afrykańskie rzędy,
Zabił, przeciąwszy mu łeb po zęby, Dorkina
I na wylot przez piersi przebił Morytyna.
Alteus chciał uciekać, Alteus, którego
Miłował tak Dardynel, jak siebie samego;
Ale nie dośpiał, bo go Lurkani dopędził,
I z tyłu go pod garło koncerzem przepędził.

LV.

Wziąwszy w rękę kopią, trochę się stanowi
I czyni fałszywemu ślub Machometowi,
Że jeśli Lurkaniego zwali i zabije
Zbroję złupioną w jego kościele przybije;
Zatem puściwszy wodze koniowi rączemu,
Z takim zapędem biegał przeciw Lurkaniemu,
Z takim zapędem biegał i z tak wściekłym gniewem,
Że go na obie stronie przebił drzewem.

LVI.

Nie pytajcie mię, jeśli brat jego rodzony,
Aryodant, żałością nie był przerażony
I jeśli nie chciał posłać dusze w czasy one
Dardynellowej między dusze potępione;
Ale próżno, przystępu nie ma przed pogany,
Nie ma go i przed swemi także chrześcijany;
Chciałby się pomścić i miecz dobyty trzymając,
Bieży do Dardynella, drogi uprzątając.

LVII.

Rozrywa, siecze, bije, kto mu zastępuje,
Kto mu wstręt czyni jaki i kto go hamuje.
Ów widząc, jego żądzą, aby go nacieszył,
Tak chętnie, jako i on, do niego się śpieszył;
Ale mu wielkość ludzi także nie dopuszcza
Wykonać jego myśli i nań go nie puszcza;
Jeśli tamten morduje i bije pogany,
I ten także zabija niemniej chrześcijany.

LVIII.

Szczęście chciało, choć się tak na się wydzielali,
Że się z sobą przez on dzień cały nie potkali,
Bo niosło śmierć jednemu od mężniejszej ręki:
Tak każdy swego losu nie zniknie przez dzięki.
Ano Rynald w tę stronę wodzami kieruje,
W tę stronę i jednemu już koniec gotuje;
Rynalda szczęście na dank wiedzie znamienity,
Aby od niego był cny Dardynel zabity.

LIX.

Ale niech stanie na tem; dosyć się mówiło,
Co się na zachód słońca na on czas toczyło.
Czas mi się już, bo i tak długom się zabawił,
Wrócić się tam, gdzieś cnego Gryfona zostawił,
Który na sercu gniewem srogiem zapalony
Mieszał lud pospolity, strachem przerażony.
Król Norandyn na on zgiełk przybiegł w onej dobie,
Mając przez tysiąc ludu zbrojnego przy sobie.

LX.

A widząc, jako wszyscy w długą uciekali,
Tak, że się zastanowić nikomu nie dali,
Przyszedł do bramy, wiodąc ludzie swe sprawione,
I kazał, aby wzwody były podniesione.
Tem czasem odpędziwszy od siebie wspaniały
Gryfon lud pospolity, nikczemny, nieśmiały,
Wziął na się dla obrony lepszej pogardzoną
Zbroję, zelżoną zbroję i posromoconą.

LXI.

Tamże podle kościółka jednego mocnego,
Od głębokiego rowu w krąg opasanego,
Stanął przy wązkim mostku, dość ubezpieczony,
Żeby nie mógł być od nich wkoło otoczony.
Wtem z miasta hufiec wielki wychodził, wołając,
Łajania, grózb i fuków wielkich używając;
Śmiały Gryfon na miejscu niestrwożony stoi
I na twarzy znać daje, że się nic nie boi.

LXII.

A skoro się do niego dalej przybliżyli,
Wypadł i przeciwko niem bieżał w onej chwili;
I nazabijawszy ich, tak, jako za wały,
Ustępował z nienagła za on mostek mały,
I tak ich jakokolwiek przecię zatrzymywał
I ustawicznie tego fortelu używał,
Coraz to wypadając, to w zad ustępując,
Straszne znaki swej siły zawsze zostawując.

LXIII.

Sieczę w prawo i w lewo i na ziemię mężne
Wali ludzie królewskie i piesze i jezne;
Ale nakoniec wszystek lud nań obrócony
Naciera nań, ściska go z tej i z owej strony.
Boi się na ostatek, by go nie zabrało
Morze, które go zewsząd prawie zalewało:
Już w lewe ramię ranny, już w rękę, już mdleje,
Już w niem siła ustawa i znacznie słabiej.

LXIV.

Ale dzielność, która swych nigdy nie opuści,
Sprawi to, że mu łatwie Norandyn odpuści;
Który przybieżawszy tam, ujrzzał znamienitych
Rycerzów swych, wielkimi ranami zabitych,
Świadektwo jego męstwa pewne, bo się zdały,
Że z Hektora samego rąk powychadzały,
I widzi, że niesłusznie uczynił onemu
Krzywdę bohaterowi tak zawołanemu.

LXV.

Potem bliżej przystąpił i wejźrał mu w czoło
I ujrzawszy tak wiele pobitych nakoło
I góry dosyć spore, z nich poukładane,
I wody w rowie znacznie krwią zafarbowane,
Zda mu się, że na moście widzi stojącego,
Hetruryą na sobie wszystkę dzierżącego;
Zaczem i dla swojej czci i że go żałował,
Ludzie swoje natychmiast wściągał i hamował.

LXVI.

I podniószy bezbronną rękę, co u świata
Znakiem było pokoju od dawnego lata,
Mówi do niego: »Nie wiem, mamli się winować
» I mamli za występki i błąd swój żałować?
»Próżno to, przyczyna jest mój rozsądek mały
»I namowy, które mię na cię pobudzały,
»Żem ci to, człowiekowi czynił tak zacnemu,
»Mniemając, żem to czynił jakiemu podłemu.

LXVII.

»I acz lekkość, która cię od moich potkała,
»Z tą czią, którąś sam sobie uczynił, zrównała,
»I nie tylko zrównała, ale raczej siła
»I po wielkiej ją części pewnie przewyższyła,
»Jednak, abyć się dosyć w tej krzywdzie twej stało,
»Odemnie to, co by się tylko podobało,
»Lubo srebro lub złoto lubo majątności,
»Wszystko zaraz otrzymasz z mej szczodropliwości.

LXVIII.

»Proś, o co chcesz: ato masz moję obietnicę,
»Byś też chciał i wszystkiego państwa połowicę,
»Bo taka dzielność twoja, takie męstwo twoje,
»Żeś godzien, abych ci dał i to serce moje.
»Dajże mi twoję rękę, chęci i miłości
»I nieodmiennej zakład ku mnie życzliwości.«
To wyrzekszy, zsiadł z konia i z twarzą łaskawą
Gryfonowi podawał w on czas rękę prawą.

LXIX.

On tak ubłaganego króla przeciw sobie
Widząc, odrzucił i miecz i gniew w onej dobie
Od siebie i śpiesznie się do niego pokwapił
I przypadszy skwapliwy, nisko go obłapił.
A widząc król Norandyn, że dwie wielkie ranie
Miał szkodliwe, dał zaraz swoje rozkazanie,
Aby był do pałacu pomału niesiony
I pilnie od balwierzów uczonych leczony.

LXX.

Gdzie leżał, aż ozdrowiał — ale o niem skróć,
A do brata się jego, Akwilanta, wróć
I książęcia Astolfa aż do Palestyny;
Którzy, jak skoro Gryfon, strzegąc się rodziny,
Cicho ujachał, wielkiem przerażony żalem,
Szukali go tam i sam wszędzie w Jeruzalem,
W Jeruzalem, po miejscach świętych, po klasztorach
I wkoło po odległych miasteczkach, po dworach.

LXXI.

Ale oba nie mogli zgadnąć, w które strony
Obrócił się z Solimy Gryfon pomieniony,
Aż z trafunku potkali pielgrzymą Greczyną,
Od którego ich doszła w on czas ta nowina,
Że Orgilla jachała w drogę do Syrye
I puściła się prosto ku Antyochiej
Z nowem swoim gamratem, do którego była
Nagle miłość i serce swoje obróciła.

LXXII.

Akwilant się u niego dowiadował potem,
Jeśli też Gryfonowi co powiedział o tem.
Skoro rzekł, że powiedział, łatwie w onej chwili
Ostatka się obadwa zaraz domyślili,
I że rzecz jawna była, że się do Syrye
Puścił za Orygillą do Antyochiej
Z tym umysłem, aby ją z pomstą gamratowi
Pamiętną odjął swemu spółmiłośnikowi.

LXXIII.

Nie mógł wytrwać Akwilant, aby w cudze strony
Dla tej sprawy sam jachać miał jego rodzony,
I wdziawszy zbroję, którą w drodze zawsze nosił,
Puścił się za niem; ale wprzód Astolfa prosił,
Aby odłożył swoją drogę do Francyej
Dotąd, ażby się wrócił w zad z Antyochiej.
Szedł do morza i tam wsiadł w okręt, nie mieszkając,
Że morzem krótsza droga miała być, mniemając.

LXXIV.

Tak potężny, tak dobry, tak wiatr miał po sobie
Pomieniony Akwilant, jadąc w onej dobie,
Że nazajutrz Sur, zacne miasto, i po Surze
Safet ujźrzał, na wielkiej postawiony górze.
Bieży dalej, Zybelet i Barut mijając,
Z daleka Cypr po lewej ręce żyzny mając;
Z Tortozy do Trypolim, do Lice kieruje,
Więc do morza Lajaca mierzy i prostuje.

LXXV.

Stamtąd kazał żeglarzom, aby obracali
Sztabę i na wschód słońca szyć kierowali,
Aż stanął nad Orontem, gdzie z wielkim zakrętem
Wody w morze wylewa, i weń wszedł okrętem.
Tu rozkazał, aby się lądu uchwycili
I na ziemię z okrętu mosty wyrzucili.
Stamtąd, siadwszy na konia, przeciw rzece jachał,
Aż do Antyochiej budownej dojachał.

LXXVI.

Tam się dowiedział, jako chwilę się tam bawił,
Ale się potem stamtąd z Orgillą wyprawił
Do Damaszk, tam, kędy król Norandyn młody
Z gonitwami sprawował zawołane gody.
Słyszając to, chęć go wzięła taka jachać za niem,
Z tem, że się Gryfon puścił za niem, mniemaniem,
Że i w Antyochiej nie chciał przenocować,
Ale nie chciał tej drogi morzem odprawować.

LXXVII.

Ku Lidyej obfitej wodzami kierował,
Do Laryssy, a powysz Alep zostawował,
Alep ludny, a Bóg, co nagrodę dobremu
I na tem świecie daje, a każn niezbożnemu,
Tak chciał, że się na on czas od Mamugi w mili
I Martan i Akwilant na drodze trafili;
Martan jachał bogato i strojno ubrany,
Dar przed sobą w gonitwie niosąc otrzymany.

LXXVIII.

Rozumiał tak Akwilant na pierwszym potkaniu,
 Że Martan był brat jego, a był w tem mniemaniu
 Białą zbroją i białem strojem oszukany
 Gryfonowem, jak Martan w on czas był ubrany,
 I »Witajże!« z radością rzecze i wesoły,
 Jako więc zwykło bywać między przyjaciół;
 Ale obaczywszy się, że nie ten, postawę
 Odmienia i inakszą mieć z niem chce rozprawę.

LXXIX.

A bojąc się, aby on nie zabił Gryfona
 Z pobudki Orygille, krzyknie na Martona:
 »Zdrajco! zbójco! złodzieju! bo cię za takiego
 »Twarz wydaje, gdzieś konia wziął brata mojego?
 »Gdzieś wziął brata mojego konia? Bo się boję
 »Żeś go ukradł; powiedz mi, gdzieś wziął i tę zbroję
 »Niech wiem, jeśli brat żywie i gdzieś go zostawił
 »I jakoś go tej zbroje i konia pozbawił?«

LXXX.

Jako skoro gniewliwy on głos usłyszała
 Orygilla, uciekać konia obracała,
 Ale mężny Akwilant rętszy był, niż ona:
 Rada nierada, musi stanąć, pogoniona.
 Martan także na on huk, na on krzyk straszliwy,
 Wylękniony, z wielkiego strachu ledwie żywy,
 Co czynić i co mówić, nie wie i twarz mieni
 I drży tak, jako liście na drzewie w jesieni.

LXXXI.

Akwilant po staremu surowych używa
 Grózb i fuków straszliwych i miecza dobywa
 I przysięgą się wielką wiąże i zaklina,
 Że i onej i jemu głowy poucina,
 Jeśli mu nie odkryją wszystkiego prawdziwie.
 Martan wtem, co z bojaźni ledwie że co żywie,
 Oddycha w on czas trochę i sam sobie myśli,
 Jeśli co na wymówkę swych niecnót wymyśli.

LXXXII.

»Siostra to moja — prawi — panie, urodzona
 »W dobrem domu i z dobrych rodziców spłodzona,
 »Chocia ją chwilę Gryfon w nierządnej żywocie
 »Trzymał przeciw jej wolej, w hańbie i sromocie;
 »Która mię tak bolała i tak mi wstyd srogi
 »Czyniła, że nie mając sposobu i drogi
 »Odjąć ją rycerzowi tak wielkiemu gwałtem,
 »Chciałem mu ją przez dowcip odjąć takim kształtem:

LXXXIII.

»Zmówiłem się z nią cicho, która już myśliła,
 »Aby się do lepszego żywota wróciła,
 »Skoroby jeno Gryfon usnął, aby wstała
 »I tajemnie od niego ze mną ujachała.
 »Tak się stało; a żeby i po mnie i po niej
 »Tak, jakośmy się bali, nie było pogoniej,
 »Konia jego i zbroję, jadąc, precz bierzemy
 »I tak, jako nas teraz tu widzisz, jedziemy«.

LXXXIV.

Mógł przyznać Martanowi, że był i nad miarę
 Chytry; Awilantby mu był dał całą wiarę
 I nie czyniłby mu był nic, krom żeby bratnią
 Zbroję, konia i rzeczy odjął za ostatnią,
 Kiedyby tam wymówek swych w tem, co porobił,
 Tak barzo jawnem kłamstwem był nie przyozdobił;
 Wszystkoby było dobrze uszło, ale na tem
 Poblądził, że się nazwał Orygille bratem.

LXXXV.

Wszyscy w Antyochiej tak Akwilantowi
 Powiedali, że ona była Martanowi
 Nałożnicą; stąd z gniewem na one obmowy:
 »Łżesz, o zdrajco!« krzyknie nań fukliwemi słowy
 I tak mu dobrze pięścią wymierzył do gęby,
 Że mu zaraz wypadły ze krwią cztery zęby;
 I więcej z niem nie mówiąc, powroza dobywszy,
 Związał go, ręce mu wspak obie obróciwszy.

LXXXVI.

Związał i Orygillę, chocia się prosiła,
Choć moc wymówek na swą obronę wносиła;
Stamtąd ich po miasteczkach, po wsiach ludnych ciągnął
Dotąd, aż do Damaszku wielkiego przyciągnął;
Owszem, jeszczeby ich był różnemi drogami
Przez tysiąc mil prowadził, trapione mękami,
Ażby był brata znalazł, na którego zdanie
I rozsądek miał Martan wziąć swoje karanie.

LXXXVII.

Kazał się Martanowej czeladzi z rzeczami
W zad wrócić do Damaszku i koniom z jukami,
Gdzie przyjachawszy zastał, że tam i na stronie
Nie mówiono ni o kim, jedno o Gryfonie;
Wszyscy, wielcy i mali, już wiedzieli o tem,
Jako władał kopia i jako kłół potem
I że to ten był, który tak był oszukany,
Że inszy wziął w gonitwie dar przezeń wygrany.

LXXXVIII.

Lud wszytek na Martana z gniewem następuje
I jeden go drugiemu palcem ukazuje.
»I to — prawi — wierutny łotr, który sposoby
»Kradzionemi z cudzych dzieł dostawa ozdoby
»I pokrywa, świadomy swojej nikczemności,
»Swą hańbą cudze męstwa i cudze dzielności;
»Aleć i to niecnota, co wszystko źle czyni
»Dobrem ludziom, a z łotry przestawa, łotryni«.

LXXXIX.

Drudzy zasię mówili: »Jako — prawi — mają
»Jedno piątno, do sfory prawie się zgadzają«.
Drudzy jem złorzeczyli i srodze łajali,
Drudzy spalić, obiesić, ćwiertować wołali.
Tłuszcza gęsta, chcąc się ich napatrzeć, bieżała
I ulice i rynek wszytek napełniała,
Aż na ostatek sprawa i ona nowina
Doniosła się do króla także Norandyna.

XC.

Jako go one wieści w pałacu zastały,
Mając swojego dworu z sobą poczet mały,
Zjachał na dół i tam się z Akwilantem w drodze
Potkał, co się mścił krzywdy Gryfonowej srodze.
Wita go, uczciwości żadnej nie zostawia,
Którejby mu nie czynił, w pałacu go stawia,
Kazawszy z jego wolą do wieże prowadzić
Martana z Orygillą i strażą osadzić.

XCI.

Potem poszli tam, kędy Gryfon postawiony,
Jeszcze był nie wstał z łóżka, jako był raniony.
Zapłonął się, ujrzawszy brata, bo tak wiedział,
Że się o onem jego przypadku dowiedział;
A skoro pozartował trochę w onej chwili
Akwilant z onej sprawy, tak się namówili,
Aby i on i ona, do prawa oddani,
Wzięli swoją zapłatę i beli karani.

XCII.

Chciał Akwilant, chciał i król, aby ich jakiemi
Trapiono jak najbarziej mękami wielkimi;
Ale Gryfon bojąc się, aby nie sztydono,
Gdzieby rzekł, żeby samej tylko odpuszczono,
I królowi i swemu mówi rodzonemu,
Aby spół odpuszczono i onej i jemu,
Krótko mówiąc, że aby katu był oddany
Martan, nie na śmierć, ale, aby był chwestany.

XCIII.

Kiedy na tem stanęło, jako naleziono,
Nazajutrz go miotłami po mieście sieczono.
Orygillę schowano, ażby się Lucyna
Do swojego wróciła piękna Norandyna,
Na której to na on czas zachowali zdanie,
Jakie miała mieć: lekkie, czy ostre, karanie.
Akwilant, tam mieszkając, miał zabawę swoją
Dotąd, aż brat ozdrowiał i mógł unieść zbroję.

XCIV.

Po onem swem występku będąc roztropniejszy
 Król Norandyn i mędrszy i już ostrożniejszy,
 Nie mógł, jeno się zawsze troskać i frasować
 I wstydić się i tego ustawnie żałować,
 Że ten odniósł od niego i hańbę i szkodę,
 Który miał słusznie odnieść i cześć i nagrodę.
 Nie może się i w nocy i w dzień uspokoić,
 Myśląc o tem, jakoby Gryfona ukoić.

XCV.

I uradził u siebie w mieście, obciążonem
 Onem tak wielkiem błędem, na rynku przestronem,
 Ze czią, jaka największa mogła się któremu
 Rycerzowi od króla dać namężniejszemu,
 Przywrócić mu nagrodę i dank zasłużony,
 Który mu był od złego zdrajce ukradziony;
 I wytrąbić gonitwy kazał zawołane,
 Które miały być miesiąc tam odprawowane,

XCVI.

Na które się gotował tak, jako królowi
 Bogatemu i jego przystało stanowi.
 O czem wieść roznosiła po wszystkiej Syryej
 Nowiny i tam i sam i po Fenicyej,
 Z Fenicyej do blizkiej Palestyny poszła,
 Tak, że się i Astolfa książęcia doniosła,
 Który się z Sansonetem na nie jął gotować,
 Nie chcąc, aby się bez nich miały odprawować.

XCVII.

Sansonet był mąż wielki, jako powiadają,
 Jako się wszystkie na to kroniki zgadzają;
 Orland go krzcił i naszej wiary go nauczył,
 A Karzeł w Jeruzalem rządy mu poruczył.
 Z tem się Astolf na drogę wezbrał w onę dobę,
 Chcąc puścić swoje męstwo i dzielność na próbę
 W onych gonitwach, które tak sławne być miały
 W Damaszku, jako one wieści udawały.

XCVIII.

I tak jadąc powolej onemi krajami,
 Nie czyniąc sobie gwałtu, małemi cugami,
 Aby na dzień gonitew czerstwi, niezmorzeni
 Przybeli do Damaszku i nieutrudzeni,
 Potkali, przyjachawszy na jedno rozstanie,
 Osobę pewną, która po stroju, po stanie,
 Zdała się być każdemu mężczyzną, a ona
 Była dziewica, męstwem daleko wślawiona.

XCIX.

Marfiza miała imię, a takiej śmiałości,
 Takiego serca była i takiej dzielności,
 Że nieraz więc zagrzała czoła Orlandowi
 Na koniu z szablą w rękę, nieraz Rynaldowi;
 W nocy i we dnie sama we zbroi jeździła
 Po górach, po równinach i zawždy szukała
 Tam i sam potykać się z rycerzmi mężnemi,
 Chcąc nieśmiertelnej sławy dostać między niemi.

C.

Ta, kiedy z Sansonetem Astolfa ujrziała,
 Którzy jachali zbrojni także, rozumiała,
 Że to byli rycerze jacy zawołani,
 Bo urodziwi byli i strojno ubrani;
 A mając wielką żądzą z niemi się kosztować,
 Poczęła się już beła w siedle poprawować,
 I już wyzywając ich, wodze wypuszczała,
 Kiedy przybliżywszy się, Astolfa poznała.

CI.

Jego sobie na pamięć grzeczność przywodziła,
 Którą w niem znała, kiedy w Kataju z niem była;
 Imieniem go nazwała własnem i przyłbice
 Uchyliła i z ręki zdjęła rękawice
 I choć zawsze słynęła pychą i hardością,
 Witała go na on czas z wielką układnością.
 Ale i Astolf niemniej układny, przyłbicę
 Zdjął z głowy i przeważną przywitał dziewicę.

CII.

O drodze swojej potem wzajem się pytali;
 A skoro jej powiedział Astolf, że jachali
 Do Damaszku, kędy król sławne wywoływał
 Gonitwy i rycerze przedniejsze zwoływał
 Ze wszystkich stron, którzyby sławy i zwycięstwa
 Dostać chcieli i czynić próbę swego męstwa,
 Marfiza, która sławy okrutnie pragnęła,
 »I ja z wami pojadę« mówić jem poczęła.

CIII.

I Astolf i Sansonet dziwnie się cieszyli
 Z onego towarzystwa, na które trafili.
 Do Damaszku dzień jeden przed gody wjachali
 I na przedmieściu sobie gospodę obrali;
 Gdzie spali do godziny tej, której Tytona
 Starego pospolicie budzi jego żona.
 A stali tam tak dobrze, że onego czasu
 Na pałacu lepszego mieć nie mogli wczasu.

CIV.

A skoro niewesołe cienie rozpędziło
 Słońce jasne, pogodne i świat oświeciło,
 Mężna dziewczka i zaci rycerze na swoje
 Członki polerowane obłóczyli zbroje,
 Posławszy wprzód do miasta swych, którzy znać dali,
 Że się zewsząd rycerze do rynku zjeżdżali
 I że już król na miejsce przybył naznaczone,
 Gdzie igrzyska surowe miały być czynione.

CV.

Nie mieszkając, na konie zaraz powsiadali
 I szeroką ulicą na rynek wjachali,
 Tam, gdzie znaku czekając, bogato ubrani
 I stąd i zowąd stali rycerze wybrani.
 Upominek, zwycięzcy wisiał naznaczony,
 Z buławą miecz, drogiemi kamieniami sadzony;
 Przyłożono do tego i konia dzielnego,
 Jaki miał być rycerza godny tak wielkiego.

CVI.

Król Norandyn takiego będąc rozumienia,
 Że jako pierwszy, tak ten drugi bez wątpienia
 Upominek, dostawszy zwycięstwa i chwały,
 Na obudwu gonitwach miał wziąć Gryfon biały,
 Aby mu dał to wszystko, co się tak mężnemu
 Rycerzowi dać może i tak wybornemu,
 W tej ostatniej gonitwie, chciał, by był przydany
 Do zbroje miecz, buława, koń, drogo ubrany.

CVII.

Zbroję na schwał wyborną, zbroję znamienitą,
 Od Gryfona na pierwszych gonitwach zdobytą,
 Której potem nikczemny sposobem kradzionem
 Martan sobie przywłaszczył, mieniać się Gryfonem,
 Dał przed sobą powiesić i na niej drogiemi
 Miecz we złoto oprawny sadzony kamieniami;
 Przy koniu zaś buława u łęku wisiała,
 Aby się Gryfonowi z tem wszystkim dostała.

CVIII.

Lecz, że skutku nie wzięła ta królewska rada,
 Z przeważnej bohaterki urosła zawada,
 Która tam z Sansonetem i z Astolfem razem
 Przyjechała na rynek, odziana żelazem.
 Ta, skoro onę zbroję wiszącą ujrziała,
 Onę zbroję wiszącą, zaraz ją poznała;
 Bo jej była i w niej się miedzy co droższemi
 Zbyt kochała wszystkiemi rzeczami swojemi.

CIX.

Acz jej była na drodze w on czas odbiegała,
 Kiedy, aby straconą świeżo odzyskała
 Swoję szablę, z siebie ją skwapliwie zrzuciła
 I Brunella złodzieja swojego goniła.
 Ale wam nie potrzeba teraz, bo nic po tem,
 Wiedzieć tej historyej; przeto milczę o tem.
 Dosyć na tem, że powiem, jako w on czas swoją
 Marfiza tam znalazła ukochaną zbroję.

CX.

I to powiem, że jako skoro ją poznała
 Po pewnych znakach, które tam na niej widziała,
 By jej był dał wszytek świat, jednegoby była
 Dnia, to rzecz najpewniejsza, bez niej nie stąpiła.
 Jakiejby jej sposobem, lub tem lub owo tem,
 Dostać mogła, nie miała czasu myśleć o tem;
 Przybliżyła się do niej i rękę ściągnęła
 I bez względu żadnego przed królem ją wzięła

CXI.

I stąd, że się kwapiła, kiedy zbroję brała,
 Na ziemię zaś orężę insze pozmiatała.
 Król Norandyn widząc się srodze obrażonem,
 Pojrzy na nią od gniewu okiem zapalonem;
 Pospólstwo znieść nie mogąc onej jej śmiałości
 I chcąc się zemścić króla swojego lekkości,
 Mieczów ostrych dobywa, myśląc o tem mało,
 Że się jem takich ludzi drażnić nie nadało.

CXII.

Nigdy tak mały chłopiec nie bywa wesoły,
 Postawiony na pięknej łące między zioły,
 Nie tak się rada widzi piękna i ubrana
 Dziewka w tańcu, kiedy jest jaka zawołana
 Biesiada, jako się ta na on czas widziała
 Rada tam, kędy się krew hojnie rozlewała,
 W huku, między chrzęstem zbrój i między mieczami,
 Strzałami, oszczepami, grotami, śmierciami.

CXIII.

Koniowi wszystkie wodze rączemu puściła,
 Dawszy mu w bok ostrogi i drzewo złożyła,
 Tego przez piersi, tego przez szyję ugodzi,
 Tego potrąci. Potem do szable przychodzi,
 Z którą, gdzie się zawinie i gdzie wodze skłoni,
 Lecą pobite trupy i spadają z koni;
 Temu łeb, temu rękę, temu utnie ramię,
 Temu przez gębę srogie zostawuje znamię.

CXIV.

I Astolf i Sansonet, którzy tam z nią byli
 Pospołu, ubrawszy się we zbroje, przybyli,
 Chocia tam nie dla tego byli przyjchali;
 Widząc rozczętą zwadę, hełmy pospuszczali
 I konie przypuszczali, niosąc drzewa w toku,
 Na lud gęsty i potem dostawszy od boku
 Ostrych mieczów i siekąc z tej i z owej strony
 Gęste gminy, plac sobie czynili przestrony.

CXV.

Rycerze cudzoziemscy, którzy uwiedzeni
 Sławą, na te gonitwy beli zgromadzeni,
 Wielki rozterk i wielkie widząc niepokoje
 I igrzyska w surowe obrócone boje,
 Nie wiedząc nic, z którejby urosły przyczyny
 One burdy i one srogie mieszaniny,
 Zdumiawszy się okrutnie, na swych miejscach stoją,
 Czekaając, jako się te rozruchy ustoją.

CXVI.

Z których się jedni potem na pomoc puścili
 Pospólstwu, ale tego prętko przypłacili;
 Drudzy, co mieli lepszy rozsądek, bieżeli
 Hamować stron i gwałtem rozwadzać je chcieli;
 Inszy zaś, ostrożniejszy, na miejscu czekali
 I końca onej krwawej sprawy wyglądali.
 Z których napierwszy Gryfon i Akwilant byli,
 Co się wprzód zemścić zbroje odjętej rzucili.

CXVII.

Ci widząc, że Norandyn król był rozgniewany
 I ukazywał srogiem jadem wzrok pijany,
 I wzięwszy od niektórych dostateczną sprawę,
 Kto był przyczyną i kto rozczął tę zabawę,
 Więc rozumiejąc Gryfon, że to krzywda była
 Taka, że go zarówno z królem obchodziła,
 Natychmiast sobie podać kopie kazali
 I z surowemi fuki na wojnę jachali.

CXVIII.

Z drugiej strony ostrogi swojemu koniowi
Astolf włożywszy dobrze w bok Rabikanowi,
Bieżał z uczarowanym złotem drzewem w rękę,
Które każdego gońcę wysadzało z łęku;
Tem napierwej Gryfona śmiałego zawadził
I tak, jako potrzeba, z siodła go wysadził;
Potem ledwie uderzył w tarcz Akwilantowi,
Jako spadł i nogami grzebał po piaskowi.

CXIX.

Inszy także rycerze mężni, znamienici,
Od Sansoneta byli drzewem z koni zbici.
Pospólstwo w nogach samych pokłada nadzieje,
Król od jadu wielkiego dobrze nie szaleje.
Wtem zuchwała Marfiza ze dwiema zbrojami,
Harda z swego zwycięstwa, i z dwiema hełmami,
Widząc, że przed nią wszytka tłuszcza uciekała,
Do gospody wodzami konia obracała.

CXX.

I Astolf i Sansonet za nią pojachali,
I ku bramie powolej w zad ustępowali.
Pospólstwo dalej na nie nacierać nie śmiało
I ujęte strachami, u bramy zostało.
I Gryfon i Akwilant, srodze zasromani,
Że na pierwszym potkaniu beli pozbijani,
Okiem wesołem pojrzeć od ziemie nie chcieli
I Norandynowi się ukazać nie śmieli.

CXXI.

Skoro znowu dostali swoich dzielnych koni,
Szli na nieprzyjacioły, mając w rękę broni;
Za niemi król, za królem bieżeli dworowi,
Albo umrzeć albo więc pomścić się gotowi.
»Bij! bij!« wielkiem wołają głosem płocze gminy,
I wyglądają, stojąc z daleka, nowiny.
Gryfon wtem przypadł tam, gdzie czoła obracali
Trzej towarzysze i most już opanowali.

CXXII.

Ochopił mu się Astolf, bo od dnia, którego
Mężnie zabił Oryla uczarowanego,
Tenże koń miał pod sobą, tenże znak, też swoją
Nosił na sobie dotąd polerowną zbroję;
Ale się nie przypatrzył temu w onej chwili,
Kiedy do siebie z drzewy na rynku skoczyli.
Wtem go poznał i zaraz chętnie go przywitał
I o dawnego jego towarzysza pytał,

CXXIII.

Więc i o to, co tego była za przyczyna,
Że nie mając na króla względu Norandyna,
Zbroję wzięli. Astolf mu o swoim powiedział
Towarzystwie, co było i co jedno wiedział,
A że mu dać o zbroi nie mógł żadnej sprawy,
Dla której do rozruchu przyszło i rozprawy,
Tylko, że tam z Marfizą społem przyjechali
I Sansonet i onej w boju ratowali.

CXXIV.

Kiedy tak książkę Astolf stał społem z Gryfonem,
Przypadł tamże Akwilant prędko po rodzonem
I poznawa go także i nienawiść zatem
Porzuca, usłyszawszy, że rozmawia z bratem.
Wtem też Norandynowi ludzie nadbiegali,
Ale się jednak blisko nie przystępowali,
Tem więcej, że ich z sobą mówiących widzieli;
Stali cicho, aby co beli usłyszeli.

CXXV.

Z tych jeden zrozumiawszy, że tam była z niemi
Marfiza, na wszytek świat dziełami wielkiemi
Rozsławiona, kładzie w bok ostrogi koniowi
I bieży w zad i daje znać Norandynowi,
Aby bramy zamykał w onejże godzinie,
Chceli, że mu lud wszytek od miecza nie zginie,
I że Marfiza była ta, co zawieszoną
Zbroję wzięła, zwycięzcy na dank wystawioną.

CXXVI.

Król słysząc ono imię straszne i surowe,
Którego wszystkie kraje bały się wschodowe
I na które, choć było przez przeciąg niemały
Odległe, niejednemu kolana zadrżały,
Pewien jest, że jeśli wczas nie zabieży temu,
Zginąby przyszło jego ludowi wszystkiemu;
Przeto zaraz hamował swoje w onej chwili,
Którzy już beli gniewy w bojaźń obrócili.

CXXVII.

Z drugiej strony synowie Oliwijerowi
I Astolf i Sansonet, do zgody gotowi,
Tak długo koło tego wzajem pracowali,
Że nakoniec Marfizę srogą ubłagali,
Która się z hardą twarzą przed króla stawiała
I nie wiem jakim prawem: »O królu! — mówiła —
»Chcesz twojemu zwycięzcy w tych gonitwach moję
»Przeciw wszelkiej słuszności darować tę zbroję?

CXXVIII.

»Moja to własna zbroja, mnie samej należy,
»Którą ja na gościńcu wielkiem, który bieży
»Do żyznej Armeniej, w polu zostawiła,
»Kiedym pieszo złodzieja mego goniła;
»Co, że tak jest, jako ja powiadam, pokażę
»Pewne świadectwo, mój znak, i zaraz ukazę
»Herb swój na niej wyrty, który był korona,
»Na trzy części jednakie poprzek rozczepiona«.

CXXIX.

Tę odpowiedź od króla wzięła Norandyna:
»Prawda, że ja od kupca ja miał Ormianina,
»I byś się była o nią namniej przymówiła,
»Lub twoja lub nie twoja, miałabyś ją była.
»I aczem ją darował już był Gryfonowi,
»Gościowi tak miłemu i przyjacielowi,
»Wiem, żeby mi ją był on znowu ofiarował
»Dlatego, abym ja ją tobie zaś darował.

CXXX.

»Nie trzeba na niej herbów żadnych pokazywać
»I świadectwy, że twoja, nie trzeba probować;
»Dosyć wielkie świadectwo, któremu ja raczej
»Wiarę daję, że twierdzisz, że nie jest inaczej;
»Że twoja jest, męstwu się pozwala twojemu,
»Upominków i nagród inakszych godnemu.
»Przeto nie spierajmy się więcej: miej ją sobie,
»A ja zaś co większego, Gryfonie, dam tobie«.

CXXXI.

Gryfon, który barziej dbał o to, aby swoją
Wolą król mógł wykonać, aniżeli o zbroję,
Rzecz: »Wielką nagrodę, o królu! odnoszę,
»Kiedy mi sobie każesz służyć, o co proszę«.
Wtem przysłuchywając się Marfiza tej sprawie,
Przybliżywszy się bliżej, ludzkie i łaskawie
Gryfona wspaniałego zbroją czcić poczęła
I dopiero ją za dar od niego przyjęła.

CXXXII.

Do miasta się w miłości i w zgodzie wrócili
I do zaniechanych się krotofil rzucili.
Potem były gonitwy, na których dzielnemu
Podkrólemu dank dano jerozolimskiemu;
Bo Astolf i Marfiza i bohater w bieli
I Akwilant gonić tam umyślnie nie chcieli,
Życząc, jak towarzysze, dobrze oną dobą
Sansonetowi danku i sławy przed sobą.

CXXXIII.

Gdzie, skoro dziewięć albo dziesięć dni mieszkali
W krotofilach, w biesiadach, króla pożegnali,
Bo do Francyej serce barzo w nich teskniło,
W której się jem tak długo nie być nie godziło.
Marfiza do Francyej kwapiła się srodze
I w towarzystwie z niemi chciała być w tej drodze,
Bo pragnęła niezmiernie porównać z sławnymi
Męstwem wojewodami swoim francuskimi

CXXXIV.

I spatrzeć, jeśli skutek równy był imieniu,
Które było u świata w takim podziwieniu.
Sansonet w Jeruzalem swego zostawuje
Namiestnika i tak się w drogę wyprawuje
Ona pięć bohaterów wielce zawołanych,
Serca, męstwa, dzielności, sił nieporównanych;
A skoro Norandyna i dwór pożegnali,
Do Trypola i morza blizkiego jachali.

CXXXV.

Kędy okręt naleźli, co miał wieźć towary
Różne na zachód słońca; w niem był szyper stary
Rodem z Luny, z którym się prędko stargowali
O się i o swe konie, które z sobą brali.
Zewsząd jasne powietrze się ukazywało
I za długą pogodę trwałą ślubowało;
Wsiadają wtem na morze, namniej nie burzliwe,
Mając niebo pogodne i wiatry życzliwe.

CXXXVI.

Pożądaney miłości wysep poświęcony
Przyjął je pierwszego dnia we mgle w port przestrony,
Która żelazo trawi, nie tyło człowieka;
Ludzie tam są nietrwali i krótkiego wieku
Dla pewnego jeziora, z którego niezdrowie.
W prawdzie się z Famagustą natura surowie
Obeszła, złą Konstancę pod nią posadziwszy,
Ostatkowi się Cypru łaskawie stawiwszy.

CXXXVII.

Dla zarazy i smrodów, które z wód wychodzą,
Prędko stąd pospolicie okręty odchodzą,
Mało co się tu bawiąc, jako i ten nagle
Poszedł stąd, wschodnich wiatrów mając pełne żagle.
Kręcąc około Cypru, potem przyjechali
Do Pafu, gdzie z okrętu na brzeg wysiadali,
Jedni dla kupiej, drudzy, aby się onego
Do wolej napatrzyli kraju tak pięknego.

CXXXVIII.

Na dwie mili od morza pagórek wesoły
Leży, zewsząd okryty pachnącemi zioły
I drzewy rokosznemi, laurami, mirtami,
Cyprysami, cedrami i pomarańczami;
Rozmaryny, lilie, róże i szafrany
Puszczają z siebie zapach wdzięczny, pożądany,
Który, kiedy wiatr wieje od ziemie, poczuje
Zbyt daleko na morzu ten, co tam żegluje.

CXXXIX.

Zdrój obfity wylewa przeźrzoczystej wody,
Który zioła odżywia i wonne ogrody,
Tak, że śmieie rzec może okrom wątpliwości,
Że tam ten kraj jest własny boginie miłości.
Białęgłowy, które się w tamtem kraju rodzą,
Wszystkie insze na świecie gładkością przechodzą,
A bogini łaskawa zdarza i sprawuje,
Że każda do ostatniej starości miłuje.

CXL.

Tamże w Damaszku jeszcze słyszaną nowinę
Słyszeli, jako olbrzym uniósł był Lucyne,
Która się gotowała w mieście Nikozyej
Jachać do króla męża, do żyznej Syryej.
Wtem szyper, kiedy się już ze wszystkim odprawił,
Tusząc dobrej pogodzie, więcej się nie bawił
W tem miejscu, ale kotwie zębate wyciągał,
A na zachód prostował i żagle rozciągał.

CXLI.

Ku południowi rudlem zgadzał i kierował
I na największą głębią okrętem prostował;
Ale wiatr od Afryki, skoro na głęboki
Nurt wyjechał, co, póki Febus był wysoki,
Zdał się lekki i wolny, przed samem wieczorem
Wzburzył morze ode dna gwałtownem uporem;
I takie trzaskawice i gromy powstały,
Że się zdało, że nieba ogniami gorzały.

CXLII.

Obłoki z siebie czarne zasłony puszczają,
Które słońcu i gwiazdom twarzy zasłaniają;
Morze z spodku, a niebo srodze huczy z góry,
Wichry srogie ogniste wymiatają chmury,
Które dżdżami zimnemi karzą i biczą;
I mrozem niewytrwanem tych, którzy żeglują,
A w nocy pospolicie moc swą rozciągają
I gniewliwe bałwany tłuką i mieszają.

CXLIII.

Silą się marynarze w one nawałności
I sztuki pokazują swej umiejętności;
Jeden świszcząc w piszczałkę dźwiękiem ukazując,
Co drudzy czynić mają; drugi się gotuje
Spychać w morze główniejsze i większe kotwice;
Ten żagle i poprzecznie wywraca na nice,
Ten rudle okrętowe pilnie ubezpiecza,
Tego około wielkich masztów wszytką piecza.

CXLIV.

Całą noc ona sroga niepogoda trwała,
Która się wszytkiem piekłem ciemnością równała;
Szyper mniejszej się burze zastać spodziewając,
Bieży, sztyr na największą głębią obracając,
I jak najpilniej boków, póki okręt cały,
Strzeże, a twardą sztabę obraca na wały,
Jednak nie bez otuchy i dobrej nadzieje,
Że się wróci pogoda, skoro rozednieje.

CXLV.

Ale i w dzień, jeśli go dniem nazwać możemy,
Który po tem znać, kiedy godziny liczymy
Niepożądaną światłości, po staremu wody
Burzą się, po staremu trwają niepogody.
Szyper wątpi i już w niem nadzieja ustaje,
A strach roście, już się w moc wszytek wiatrom daje
I między gniewliwymi tam i sam wodami
Labiruje i bieży nizkimi żaglami.

CXLVI.

Kiedy tych tak na morzu strachami karmiła,
Niemniej drugich na ziemi fortuna trapiła
We Francyej, pod mury kędy paryskiem
Bili się Sarraceni z ludźmi angielskimi.
Rynald pędzi po wielkiej części nachylone
Pogaństwo i rozrywa hufce potrwożone.
Powiedziałem wam, jako ku Dardynellowi
Bieżał, puściwszy wodze swemu Bajardowi.

CXLVII.

Ujrzał u Dardynella w tarczy malowaną
Szachownicę pan z Alby, białą i czerwoną,
I miał go za rycerza i męża wielkiego
Stąd, że herbu używać śmiał Orlandowego;
Jadąc dalej, był tego znak pewniejszy, trupy
Gęste i koło niego zбитych wielkie kupy.
Lepiej — powiada — wyrwać wczas to złe nasienie,
Niż uroście i niż się zamoże w korzenie.

CXLVIII.

Kędykolwiek obróci koniem Rynald srogi,
Wszyscy pierzchają, wszyscy ustępują z drogi,
Nietylko Sarraceni, ale też i swoi:
Każdy się zawołanej onej szable boi.
On tylko Dardynella samego pilnuje
I coraz to pod niego bliżej następuje,
Zawoła: »Kłopotu cię, młodziku, nabawił
»Ten, który cię tej tarczej dziedzicem zostawił.

CXLIX.

»Chcę spróbować, jako ty bronisz i pilnujesz
»Szachownice tej, którą na sercu malujesz;
»Nie obroniszli jej mnie, tem mniej rycerzowi
»Obronić jej będziesz mógł, grabi Orlandowi«.
On mu na to: »Czego chcesz, wszytkiegoć pomogę;
»Jeśli ją mogę nosić, i bronić jej mogę
»I czci raczej, aniżeli kłopotu jakiego
»Z ojczystego się herbu spodziewam swojego.

CL.

»Żem młodzik, nie rozumiej, abych miał przed tobą
 »Uciec: mnie nie ustraszy nikt samą osobą.
 »Jeśli mi tarczą weźmiesz, weźmiesz mi i zdrowie,
 »Ale tuszę, że zdarzą inaczej bogowie.
 »Co ma być, niechaj będzie: mnie rodu mego
 »Nie osądzą wyrodkiem z postępuku żadnego.«
 To skoro wyrzekł, wodze wypuścił koniowi
 I skoczył z szablą w rękę przeciw Rynaldowi.

CLI.

Krew, którą Afrykani koło serca mieli,
 Zimny strach opanował, gdy nagle ujrzeli,
 Z jaką Rynald na cnego młodzieńca wściekłością,
 Z jakim pędem i z jaką biegł zapalczywością;
 Tak więc lew przemorzony bieży na młodego
 Juńca, na zielonej się łące pasącego.
 Pierwej rycerz pogański tak, jako wymierzył,
 W szyszak Mambrynów, ale bez skutku uderzył.

CLII.

Rozśmiał się Rynald i rzekł: »Poznasz, który siłę
 Ma z nas większą i który lepiej trafia w żyłę.«
 I Bajardowi wodze puściwszy i razem
 Dawszy mu w bok ostrogi, tak go pchnął żelazem,
 Że i piersi i blachy obadwa przegnało
 I ostry koniec w grzbiecie tyłem ukazało.
 Leci, wszytkiej krwi próżny, z konia nieszczęśliwy
 I czołem ziemię bije Dardynel nieżywy.

CLIII.

Jako mdlejąc umiera, ostrem podjachany
 Lemieżem kwiat, na bujnej roli wychowany,
 Jako mak, wilgotnością zbytnią obciążony,
 Spuszcza głowę i spada na mokre zagony:
 Tak przyrodzonej krasy na on czas pozbywszy
 I pierwszą swoją barwę Dardynel straciwszy,
 Schyla głowę na ziemię i świat zostawuje;
 Afrykańskiego wojska serca strach zdejmuje.

CLIV.

Jako ludzkiem dowcipem wody zgromadzone,
 Zaporą albo groblą jaką zastawione,
 Skoro wyjmą zapory, które je trzymają,
 Wypadają i pola wszystkie zalewają:
 Tak lud z Afryki, który jakąkolwiek miewał
 Zaporę, póki ich syn Almontów zagrzewał,
 Widząc, że już zabity, spadszy z konia, leży
 Ich pan młody, tam i sam rozprószony bieży.

CLV.

Dopuszcza tem uciekać, którzy uciekają,
 A tych zaś bije Rynald, którzy się trzymają.
 Gdziekolwiek Aryodant mija i przechodzi,
 Leżą pobite trupy, rzadki kto uchodzi;
 Tych Lionet, tych szkocki królewic morduje,
 Każdy się co najlepiej w on czas popisuje.
 Karzeł także powinność swą czyni z Ugierem,
 Z Turpinem, Salomonem i z Oliwijerem.

CLVI.

We złem razie poganie beli dnia onego
 I ledwie nie zginęli wszyscy do jednego,
 Ale król z Hiszpaniej poczał wtem uchodzić
 I ostatek strwożonych ludzi swych uwodzić;
 Tak rozumie król mądry i ćwiczony laty,
 Że zawsze lepsza szkoda, niż ostatnie straty
 I że lepiej zachować wcale, co zostało,
 Niż być przyczyną, żeby wszystko zginąć miało.

CLVII.

Do obozu, który był wielkimi rowami
 Okopany, obraca z swemi chorągwiemi;
 Z niem Stordylan, z niem idzie król z Andalozyej,
 Z niem z pułkiem dosyć wielkim król Portugaliej.
 Śle prosić Agramanta, aby co najpręcej
 Ustępował i żeby w bój nie wchodził więcej,
 A że wiele uczyni, jeśli dnia onego
 Zachowa cało obóz i siebie samego.

CLVIII.

Agramant, który się już więcej nie spodziewał
 Widzieć swojej Bizerty i który nie miewał
 Nigdy przedtem fortuny tak nieprzyjaźliwej
 I tak zły, jako w on dzień, i tak nieżyczliwej,
 Dziwnie był rad i wesół, słysząc, że Marsyli
 Wielką część wojska w obóz uwiódł w onej chwili;
 I obraca chorągwie wszystkie, pod namioty
 Ustępując, i każe trąbić na odwroty.

CLIX.

Ale większa część była tych, co uciekali,
 Co odwrotów i bębnow i trąb nie słuchali
 I co byli o sobie zgoła tak zwątpili,
 Że się gwałtem w głębokiej Sekwanie topili.
 I Agramant i Sobryn biegają nakoło
 I zajeżdżają tem, co pierzchają, na czoło;
 I inszy także pierwszy wodzowie biegają
 I do obozu ludzie strwożone wracają.

CLX.

Ale ani Agramant ani Sobryn ani
 Inszy pierwszy wodzowie i przedni hetmani
 Mogą wszystkich nawrócić, lubo na nie prośby
 Lub fuków i surowej używają groźby.
 Za jednego, który się wraca, dwa zostają,
 Którzy albo są zbici albo uciekają;
 I ci, co się wracają, srodze są zranieni,
 Ten w przód, ten w tył, a wszyscy okrutnie strudzeni.

CLXI.

Zatem się chrześcijanie w pogonią udali
 I do bram obozowych za niemi wpadali;
 Ale i w swem obozie bezpieczni nie byli,
 Chociaż mu ze wszystkich stron obrony czynili.
 Bo Karzeł umiał dobrze na pogańskie szkody,
 Kiedy mu ukazała twarz, zażyć pogody,
 Jeno że czarnoskrzydła noc wtem nastąpiła,
 Która boje rozwiódła i uspokoila.

CLXII.

Podobno tak Stworzyciel chciał mieć, uzaleniem
 I litością ujęty nad swoim stworzeniem.
 Krew po polach pełnemi wszędzie strumieniami
 Wylewała i biegła wszystkimi drogami;
 Ciało ośmdziesiąt tysięcy martwychaleziono,
 Które na ostre miecze przez on dzień puszczone.
 Potem z swoich jam wyszli, co je odzierali,
 Chłopi w nocy i wilcy, co je pożerali.

CLXIII.

Nie zdało się do miasta wrócić cesarzowi;
 Stawia obóz przeciwko nieprzyjacielowi
 I ognie każe czynić gęste i wysokie
 I trzyma w oblężeniu pogaństwo w okopie.
 Sarraceni obrony różne wynajdują,
 Ziemię kopią, sprzężone wozy zastawują,
 Straży po wszystkich stronach nakoło trzymają
 I zbroje przez całą noc z siebie nie składają.

CLXIV.

Całą noc słyhać było u pogan strapiionych,
 Tak znaczną i tak wielką klęską porażonych,
 Po obozie, acz ciche, gęste narzekania
 I płacze i lamenty i ciężkie wzdychania;
 Jedni miłych przyjaciół pobitych żałują,
 Drudzy się o się samych trapią i frasują,
 Że chorzy i zranieni i z niewczasem stoją,
 Ale się jeszcze więcej przyszłej szkody boją.

CLXV.

Miedzy inszemi beli tam dwaj Sarraceni,
 W Tolomicie, dość w podłemu urodzeni,
 Których ja dla przykładu rzadkiego miłości
 Prawdziwej historią podam potomności;
 Jeden Medor, drugi był Klorydan nazwany,
 Którzy tak czasu szczęścia, jako i odmiany,
 Syna Almontowego barzo miłowali
 I do Francyej tu z niem byli przyjachali.

CLXVI.

Klorydan przez wszystkie wieki myśliwstwa pilnował,
 A duży był i mocny, co sam pokazywał
 I wzrost i jego ciało. Medor zasię młody,
 Na pierwszej porze, dziwnie był pięknej urody;
 Między temi, co na tę wojnę wyjachali,
 Twarzy gładszej nie było, tak to powiadali.
 Oczy czarne, włos kręty, wzrok tak miał wesoły,
 Że się zdało, że równał pięknnością z anioły.

CLXVII.

Ci obadwa na on czas szanów pilnowali
 I z wielą innych swoją straż odprawowali
 O tej dobie, gdy właśnie tak, jako potrzeba,
 W jednakiej odległości noc patrzy wśród nieba.
 Tam utrapiony Medor w każdej swojej mowie
 Dardynella wspomina i sam siebie zowie
 Nieszczęśliwym i płacze, że w polu zabity
 Leży beze czci żadnej, ziemią nie nakryty.

CLXVIII.

Rzecz do towarzysza: »Otoć się frasuję,
 »Toć wielki żal na sercu, Klorydanie, czuję
 »Stąd, że niepogrzebione pana mego ciało
 »W polu, ach, drogi pokarm dla wilków zostało,
 »Pamiętając, jako mi zawsze był łaskawy
 »I rozumiem, żeby sam sobie był nieprawy
 »I żebych mu dobrodziejstw jego nie zapłacił,
 »Chociabym dla czci jego i żywot utracił.

CLXIX.

»Chcę go koniecznie szukać, aby tak pod niebem
 »Nie leżał i żeby był uczczony pogrzebem.
 »Być może, że to zdarzą życzliwi bogowie,
 »Że mię w noc nie postrzegą ciemną Francuzowie.
 »Ty tu zostań na straży, pilnując: co wiedzieć,
 »Co się stanie; zginęli, możesz to powiedzieć.
 »Gdzie też wieczne wyroki na to nie zezwolą,
 »Świat wszystek będzie wiedział moją dobrą wolą«.

CLXX.

Zadziwi się Klorydan sercu i śmiałości
 I takiej w młodzieńczyku wierze i stałości
 I chce, zbyt go miłując, udatnemi słowy
 Wyrazić mu to jego przedsięwzięcie z głowy.
 Wszystkiego, co do tego służy, nie opuszcza,
 Ale próżno: żal wielki pociech nie przypuszcza.
 Już się Medor odważył i zawarł u siebie,
 Że umrze albo pana swojego pogrzebie.

CLXXI.

Nie mogąc go Klorydan ruszyć oną dobą,
 »I ja — powiada — pójde na tę drogę z tobą;
 »I ja rad pójde z tobą na tak zacne dziło,
 »I mnie dla czci, dla sławy także umrzeć miło.
 »Wszystkie swoje pociechy o jeden raz stracę,
 »Jeśli ciebie, mój drogi Medorze, utracę;
 »Przeto lepiej, że z tobą zginę na tej probie,
 »Aniżlibym od żalu umrzeć miał po tobie«.

CLXXII.

Kiedy się tak obadwa na to namyślili,
 Miejsca swoje odmienną strażą zasadzili,
 A sami za okopy prędkie kroki nieśli
 I między nasze śpiące potajemnie weszli.
 Naszy wszędzie na pował leżeli po ziemi
 Między zbrojami, między wozami swojemi,
 Bezpieczni od pogaństwa, na wznak wywróceni,
 We śnie, w winie po same uszy utopieni.

CLXXIII.

Stanie trochę Klorydan i rzecz: »Bez szkody
 »Nie bywa, który pierwsze upuszcza pogody:
 »Czegóż mam, o Medorze, jeszcze czekać więcej,
 »Czemuż się pańskiej śmierci nie mszczę co napręcej
 »Nad temi psy? Wiem, że mnie ma dobra otucha
 »Nie omyli; ty tu stój i nadstawiaj ucha,
 »Aby nas kto nie postrzegł, a jać pewnie mogę
 »Ślubować, że uczynię wnet przestroną drogę«.

CLXXIV.

To rzeksz, gębę stulił, potem odważony,
Cicho wchodził tam, gdzie spał Alfeus uczony,
Który był tegoż roku przyjechał do dwora
I tak za astrologa, jako za doktora
Wzięty był od cesarza; lecz źle praktykował,
Bo sobie rzecz przeciwną prawie obiecował,
Że pełny lat w dostatku, w swej ojczystej stronie
Miał umrzeć u swej miłej małżonki na łonie,

CLXXV.

A teraz mu Afrykan ostrożny, niewiele
Bawiac się koło niego, poderznął gardziele.
Inszych pięci, co podle doktora leżeli,
Że czasu jedno słowo przemówić nie mieli,
Pozabijał; imion ich nie najdzie w Turpinie:
Tak długiem wiekiem wszystko w niepamięci ginie.
Po tych z Monkalieru Palidona cnego
Zabił, między swojemi końmi leżącego.

CLXXVI.

Idąc dalej, obaczy z bębmem pod głowami
Grylla wywróconego na wznak pod wozami;
Wypróżnił go był do dna i tuszył w pokoju
Wyspać się na niem do dnia, nie myśląc o boju,
Ale padło inaczej: Sarracen go siecze
I głowę mu ucina; wino ze krwią ciecze
Przeciętami krztaniami, śni mu się, że pije,
I umiera, nie czując, nędzny, że nie żyje.

CLXXVII.

Skoro Grylla odprawił, Greczyna jednego,
Andropona, i Niemca, Kondrata, drugiego
Zabił dwiema sztychami; ci długo nie spali
I przez wielką część nocy pijąc, kostki grali.
Szczęśliwi, kiedyby się byli w onej chwili
Dotąd, aż słońce weszło, oną grą bawili!
Aleby nie podlegał wiecznem wiek człowieczy
Wyrokom, gdyby każdy wiedział przyszłe rzeczy.

CLXXVIII.

Jako lew, długiem głodem i długiem przemorem
Wycieńczony, kiedy gdzie ujrzył pode dworem
Trzodę, która w południe sobie odpoczywa,
Kąsa, drze, łupi, dawi i w sztuki rozrywa:
Tak Sarracen okrutny bije w czasy one
Chrześcijany, głęboko we śnie utopione.
Nie próżnuje i Medor w onejże godzinie,
Ale na podłem nie chce zabawiać się gminie.

CLXXIX.

Wchodzi tam, gdzie z Labretu książę zawołane
Odpoczywał z swą panią, a tak na przemianę
Zobopólnie się beli z sobą obłapili,
Żeby beli między się wiatru nie wpuszcili.
On obojgu ucina głowy. O życzliwa
Fortuno, o pożądana, o śmierci szczęśliwa!
Wierzę, że jako ciała były spół złączone,
Tak spół poszły w swe miejsca dusze obłapione.

CLXXX.

Potem zabił Malinda i Artemidora,
Młodych książąt flanderskich; tych tegoż wieczora
Cesarz, był na rycerstwo opasał, do sławnych
Przydawszy jem lilie herbów starodawnych;
Bo ich widział, kiedy się z mieczami swojemi
Wracali od potrzeby, krwią sfarbowanemi,
I obiecał jem był wsi pod słońcem jeziorem;
I ziściłby był, ale nie mógł przed Medorem.

CLXXXI.

Już się byli z cichemi mieczmi przybliżyli
Do namiotów tych, które byli zatoczyli
W koło około Karła cni wojewodowie,
Pilnując na przemiany na cesarskie zdrowie,
Kiedy miecze okrutne poganie ściągnęli
I ustępować, póki czas mieli, poczęli:
Zda się jem niepodobna, w kupie tak gęstego
Ludu, któryby nie spał, nie naleźć jednego.

CLXXXII.

Mogąc mieć dobrą korzyść i bogatą, ale
 Dosyć mają, jeśli się wrócą do swych wcale.
 Nabezpieczniejsze drogi i ustronne godzą,
 Klorydan wprzód, a Medor za niem, i przychodzą
 Na wielkie pole, kędy między oszczepami,
 Łukami i mieczami, strzałami, drzewami
 Leżą konie i ludzie, społem pomieszani,
 I bogaci i chudzi, we krwi uwalani.

CLXXXIII.

Mieszanina martwych ciał sroga i straszliwa
 Łatwie to mogła sprawić, że ona życzliwa
 Para przyjaciół darmo by była szukała,
 Aniby była swego pana w niej poznała;
 Ale piękna Dyanna swój jasny róg z góry
 Na prośbę Medorową ukazała z chmury,
 Który w niebo nabożnie obróciwszy oczy,
 Tak się modlił i tak jej prosił onej nocy:

CLXXXIV.

»Święta bogini, która Delowi panujesz
 »I swą piękność w postawach różnych pokazujesz,
 »Która niebu i ziemi i morzu nie kryjesz
 »Swej twarzy, a po lesiech srogie zwierze bijesz,
 »Słusznie się zawsze, słusznie w każdej swej potrzebie
 »Naszy dawni przodkowie garnęli do ciebie;
 »Ukaż mi mego pana, abym go pochował,
 »Wszak wiesz, jako twych świętych zabaw naśladował«.

CLXXXV.

Lub to przypadek lubo wiara sprawowała,
 Z chmury się Latonówna zaraz ukazała
 Tak piękna i tak biała, jako pasterzowi
 Ukazała się kiedyś Endymionowi.
 Natychmiast światłość nagła pola i niziny
 Odkryła i z Paryżem góry i równiny;
 Z daleka dwa pagórki widać oświecone,
 Martyr po prawej ręce, Lera w lewą stronę.

CLXXXVI.

Ale się jeszcze większe światło ukazało,
 Gdzie było zabitego Dardynella ciało;
 Poznawa je zarazem Medor pomieniony
 Z szachownicy na tarczy białej i czerwonej
 I bladą polewa mu twarz gęstemi łzami,
 Które mu z obu oczu ciekły strumieniami,
 Z tak ciężkiem narzekaniem, że wiatry stawały,
 Aby jego żalosnych lamentów słuchały.

CLXXXVII.

Narzeka cichem głosem i ledwie słyszanem,
 Nie, żeby co korzystał w żywocie stroskanem,
 Który już dawno zmierził i oprzykrzył sobie
 W ustawicznym po panu płaczu i żałobie,
 Ale żeby w tem jakiej nie nalazł przeszkody,
 Co umyślił i na co przyszedł rycerz młody.
 Biorą go na ramiona i wznoszą od ziemi
 I dzielą między sobą równo miłe brzemie.

CLXXXVIII.

Idą tak śpiesznie, jako iść najśpieszniej mogą,
 Z ciężarem wdzięcznem wrzкомо bezpieczniejszą drogą.
 Już też na złotem wozie jadąc pan światłości,
 Wyganiał gwiazdy z nieba, a z ziemi ciemności,
 Kiedy szocki królewic, który sypiał mało,
 Gdy tego jakie zacne dzieło po niem chciało,
 Przez całą noc pogaństwo bijąc w uciekaniu,
 Wracali się do obozu prawie na świtanie.

CLXXXIX.

Miał z sobą trochę jazdy, która obaczyła,
 Kiedy para przyjaciół wiernych uchodziła.
 Ci za niemi natychmiast poskoczyli wszyscy,
 Spodziewając się u nich bogatej korzyści,
 Kiedy rzecze Klorydan: »Już tu, bracie drogi,
 »Trzeba trupa porzucić i iść w prędkie nogi;
 »Cóżby to był za rozum dwu żywych utracić,
 »Chcąc jednego martwego unieść i nie stracić?«

CXC.

Zrzuca trupa Klorydan z siebie i tak mniema,
 Że uczynić inaczej Medor także nie ma,
 I uchodzi przez pole śpiesznie oną dobą,
 Tusząc, że ma Medora swego tuż za sobą;
 Lecz on porzuconego dźwiga swego pana
 I zakłada go na się, wsparty na kolana.
 By był wiedział, że go w tak złem razie odbieżał,
 Na dziesięćby był śmierci, nie na jedną biegał.

CXCI.

Oni jeźni, którzy tak pewnie rozumieli,
 Że uciec albo się jem dać poimać mieli,
 Rozprószeni tam i sam, wszystkie zastępują
 Przechody i wkoło ich prawie obstepują;
 Sam ich starszy zajeżdża, będąc przy nadziei,
 Że ich poima, w gęstej okrażonych kniei,
 Bo widząc, jako z wielkiem strachem uchodzili,
 Był pewny, że z obozu pogańskiego byli.

CXCI.

Był tam za onych czasów las stary, gęstemi
 Drzewami i chróstami zarosły niskimi,
 Pełny, jako labirynt jaki, zawikłanych
 Ścieszek, od bestyj samych tylko udeptanych.
 W tem obadwa poganie tę nadzieję mają,
 Że się jego cieniami i gęstwą utają —
 Ale kto mnie rad słucha i rad się mną cieszy,
 Kiedy drugą pieśń zacznę, niechaj się pośpieszy.

KONIEC PIEŚNI OŚMNASTEJ.

PIEŚŃ DZIEWIĘTNASTA.

A R G U M E N T.

Angelika rannemu Medorowi daje
 Zdrowie i potem jego małżonką zostaje.
 Marfiza z towarzystwem wielkiej niepogody
 Zażywszy, u Lajacu na brzeg z morskiej wody
 Na ostatek wysiada. Gwidon zawołany,
 Od niepobożnych niewiast w niewoli trzymany,
 Z Marfizą bohaterką do boju wstępuje,
 Potem ją z towarzystwem w dom na noc przymuje.

A L L E G O R Y E.

W tej dziewiętnastej pieśni przez Medora, który ruszony pobożnością przeciwko swemu panu, wdał się w wielkie niebezpieczeństwo zdrowia i nakoniec, należony od Angeliki, został jej małżonkiem, dwie rzeczy się znaczą: jedna, że dobre uczynki nigdy nie bywają bez nagrody, druga, że z tego przykładu daje się przestroga miłośnikom, aby to pewnie wiedzieli, że miłość bardziej pochodzi z rozsądku i z obierania, aniżeli z jakiego niebieskiego przeznaczenia.

S K Ł A D P I E R W S Z Y.

Żaden nie może wiedzieć, który go miłuje
 Prawdziwie, gdy go szczęście trzyma i piastuje,
 Stąd, że są koło niego wierni i fałszywi,
 Co mu się pokazują jednako życzliwi;
 Ale jeśli w nieszczęście i w nędzę upadnie,
 Wsytka zgają pochlebców zarazem odpadnie,
 A ten, który miłuje z serca, nie ustawa
 I wierny panu swemu po śmierci zostawa.

II.

Ten jest wielki na dworze i gardzi wszystkimi,
 Ten u pana w niełasce jest między podłemi;
 Ale gdzieby się serce, jako twarz, widziało,
 I onychby się szczęście odmienić musiało;
 Ów pokorny i cichy byłby wyniesiony,
 A hardy i nadęty byłby poniżony. —
 Ale się do Medora wróćmy, co swojemu
 Panu był i żywemu wierny i zmarłemu.

III.

Nazawikłańsze ścieszki, nieszczęsny, wartował
 Tam i sam, aby się w nich ukrył i zachował;
 Ale to brzemię, które na ramionach było,
 Wszystkie mu do tej sprawy sposoby trudniło;
 Miejsca i kraju nie jest wiadom, chybia drogi,
 Wściągają go to krzaki, to kołące głogi.
 Drugi się już był dalej dobrze ukrył w cieniu,
 Co takiego brzemienia nie miał na ramieniu.

IV.

Tak daleko Klorydan już był w onej chwili
 Uszedł, że nic nie słyszał tych, którzy gonili;
 Ale skoro się postrzegł, że odbiegł miłego
 Medora, jakby serca odbieżał własnego.
 »Ach! jakom się zapomniał, jakom — pry — niedbały,
 »Ach, jako nieostrożny, jakom był ośpały,
 »Żem tu uszedł przez ciebie! Prze bóg! com to sprawił,
 »Że ani wiem, jakom cię i kędy zostawił!«

V.

To mówiąc, krzywą ścieszką bieży, niewściągniony,
 Jak nagłębiej w gęsty las i trafia w te strony,
 Skąd był niedawno wyszedł, ani nóg hamuje,
 Aż nieszczęśliwy swojej śmierci ślad znajduje.
 Słyszy konie, słyszy huk i wielkie wołanie
 I głos nieprzyjacielski i groźne łajanie,
 Na ostatek i słyszy i widzi swojego
 Medora, między konnych tak wielą pieszego.

VI.

Ode sta konnych sam jest, pieszy, obegnany;
 Zerbin woła, aby był żywo poimany.
 On się kręci, jak cyga, nakoło po lesie,
 A miły ciężar przecię na ramionach niesie.
 Przy dębie i przy buku, co nań biją z koni,
 Jako najlepiej może, nieszczęsny się broni;
 Nakoniec, spracowany, swoje miłe brzemię,
 Snując się koło niego, upuszcza na ziemię,

VII.

Jako więc niedźwiedzica, kiedy łowiec śmiały
 Na jej jamę napadnie, w końcu ostrej skały
 Na wysokiem Krępaku stoi w wątpliwości
 I mruczy to z wściekłego gniewu, to z litości;
 Gniew jej i okrucieństwo radzi przyrodzone
 Gębę, paznokcie, zęby skrwawić wyostrzone,
 Miłość ją z drugiej strony miękczy i hamuje,
 Że w pół gniewu wściekłego dzieci swych pilnuje.

VIII.

Klorydan, który widzi, że go nie ratuje,
 I który chce z niem umrzeć, sposoby znajduje,
 Aby mógł niejednego z nieprzyjaciół pożyć,
 Niżby mu przyszło żywot samemu położyć;
 I między gałęziami strzałę do cięciwy
 Pierzystą przyłożywszy, łuk wyciąga krzywy
 I tak ugadza w czoło jednemu Szotowi,
 Że nieżywy wypada z siodła ku dołowi.

IX.

Wszyscy się inszy zatem tam i sam mieszają
 I w tę stronę, skąd strzała przypadła, patrząją.
 On tem czasem drugi belt pchnie, aby jednego
 Zabiwszy, podle niego obalił drugiego.
 Ten drugi, kiedy tego i owego pytał,
 Ktoby strzelił, i wołał i zębami zgrzytał,
 Przyszła pierzchliwa strzała i w garle utknęła
 I fuki mu surowe i mowę ucięła.

X.

Zerbin królewic, który starszy był nad niemi,
 Nie mógł już więcej wytrwać i słowy groźnemi
 Wołając, koniem przeciw Medorowi kinie:
 »Ty mnie tego przypłacisz — prawi — poganinie!«
 Ale to mniejsza, że nań łajania używa:
 Ręką sięga i za włos złoty go porywa;
 Potem wejrzawszy mu w twarz piękną, gniew hamował
 I uzaliwszy się go, zdrowo go zachował.

XI.

On się do próśb udawa i »Przez twoje bogi,
 »Które chwalisz — powiada — nie bądź mi tak srogi,
 »Mój cnotliwy rycerzu, abys mi zmarłego
 »Miał niedopuszczać pogrześć wprzód króla mojego.
 »Nie proszę cię o więcej i wiedz pewnie o tem,
 »Że nic nie dbam, abys mię darował żywotem,
 »W którym póty korzystam tylko, póki ciało
 »Bez pogrzebuby pana mojego zostało.

XII.

»Ale jeśliś tak srogiem i tak zatwardziałem,
 »Że chcesz zwierze i ptaki karmić ludzkim ciałem,
 »I serce tebańskiego masz w sobie Kreonta,
 »Mnie jemi skarm, a pogrześć daj syna Almonta!«
 Takie na on czas słowa Medorowe były,
 Któreby i kamienie podomno ruszyły;
 I już i sam królewic jemi był zmiekkzony
 I na sercu litością wszytek przerażony.

XIII.

Tem czasem jeden żołnierz Zerbina mężnego,
 Nie mając względu namniej na pana swojego,
 Niepostrzeżony, z wielkiem przyskoczywszy gniewem,
 Młodzieńcykowi w piersi zadał ranę drzewem.
 Zbyt się Zerbin nieludzkim postępkim uraził,
 Tem więcej, kiedy ujrzzał, że go tak obraził,
 Że próżny krwie na twarzy upadł nieszczęśliwy
 Na ziemię, i rozumiał, że już był nieżywy.

XIV.

I takim był ku niemu żalem poruszony,
 Że zawołał: »Nie będzie pewnie niezemszczony!«
 I skoczył rozniewany przeciw żołnierzowi,
 Co proszącemu ranę zadał Medorowi;
 Ale on gniewliwego w miejscu nie chciał czekać
 Królewica i zbiegszy, w czas począł uciekać.
 Klorydan widząc, że ów już na ziemi leży,
 Więcej się już nie tając, pędem wielkiem bieży.

XV.

Łuk porzuca i bierze od boku miecz goły
 W obie ręce i siecze na nieprzyjacioły,
 Raczej, aby tam zginął, nie, żeby być miała
 Pomsta, któraby z gniewem jego wyrównała;
 Widzi, że ów obfitą krew na ziemię leje
 I że już żadnej niema żywota nadzieje,
 A skoro zbył wszystkich sił, tuż podle swojego
 Poległ, martwy, na ziemi Medora miłego.

XVI.

Za swoim się Szotowie wodzem obracają
 Przez lasy i na insze dzieło się udają,
 Jako skoro obudwu pogan w onej chwili,
 Tego martwem, tego źle żywem, zostawili.
 Leżał długo na ziemi Medor i odkrytą
 Z otworzonej żyły krew wylewał obfitą;
 I pewnieby był umarł, zbywszy wszytkiej mocy,
 By był nie miał ratunku i prętkiej pomocy.

XVII.

Bo go tam natrafiła panna obłąkana,
 W podłg, pasterską suknią po prostu ubrana,
 Ale pięknej urody i dziwnej gładkości,
 Z uczciwości, z postępku sławna i z grzeczności.
 Już chwila, jakom o niej śpiewał, i tak macie,
 Że wierząc, że ją ledwie podomno poznacie.
 Chcecieli ją znać, mego poradźcie się pióra:
 Angelika to, cara katajskiego córa.

XVIII.

Ta, skoro znowu swego pierścienia dostała,
Którego przez Brunella była postradała,
Tak zhardziała i tak się wysoko ważyła,
Że wszystkiem prawie światem, tak rzekę, gardziła.
Sama tam i sam jeździ, ani chce żadnego
Mieć w swoim towarzystwie, by najzacniejszego;
Niemiło jej, że kiedy w męstwo niezrównany
Służył jej Orland i król z Cyrkas zawołany.

XIX.

Ale najbarziej tego błędu żałowała,
Że kiedy Rynaldowi chęć pokazywała,
Gniewając się, że się tak podło położyła
I że tak nisko była wzrok swój obróciła,
I teraz jej tego wstyd; ale bóg miłości
Nie mógł znieść takiej pychy i takiej hardości
I na ścieszcze, gdzie Medor leżał ledwie żywy,
Czekał jej, przyłożywszy strzałę do cięciwy.

XX.

Skoro udatna dziewczka ujźrzała rannego
Młodzieńczyka i śmierci ostatniej blizkiego,
Który barziej, niż siebie samego, żałował
Tego, że pana swego jeszcze nie pochował,
Poczuła, że jej litość przez piersi przepadła
I niezwykłemi wroty w serce się przekradła;
Która je w niej zmiękczyła tem więcej, gdy młody
Poganin powiedział jej swój żal i przygody.

XXI.

I cyrulicką sobie naukę poczęła
Wspominać, którą była w Indyjch pojęła,
Gdzie taka umiejętność w wielkiej cenie zbytnie
Jest w tem kraju i więcej, niż gdzie indziej, kwitnie,
Choć kart nie przewracają i ksiąg nie czytają,
Bo ją ojcowie synom przez ręce podają;
I myśli, widząc, że już martwy jest na poły,
Uleczyć go pewnemi co napręcej zioły.

XXII.

I przypomniała sobie, że kiedy jachała
Przez pewny kraj wesoły, ziele w nim widziała,
Lubo to Dyktam lubo Panacea było,
Co w sobie wielkie skutki lekarskie taiło
I co krew stanowiło i niewytrzymały
Nawiętszy ból widomie wywodziło z rany;
A nalazszy je blisko, skoro je urwała,
Tam, kędy Medor leżał, śpiesznie się wracała.

XXIII.

Potkała, wracając się na zad onem czasem,
Pasterza, który jachał wierzchem gęstem lasem,
Szukając jałowice jednej swej zgubionej,
Ode dwu dni od bydła jego obłądzonej.
Tego z sobą pojęła tam, gdzie zbywszy siły,
Medor lał krew obfitą z obrażonej żyły;
Której tak wiele z niego z piersi było wyszło,
Że mu do ostatniego końca było przyszło.

XXIV.

Zsiada z konia skwapliwa i także onemu
Kaze zsieść pasterzowi przyprowadzonemu;
Potem stłukszy kamieniem ziele, mocno ściska
I sok z niego białemi rękami wyciska,
Który wprzód w ranę jego wnątrz wlała, a potem
Pomazała jem pulsy i piersi z żywotem;
I taki skutek wódka ona uczyniła,
Że krew zastanowiwszy, siły przywróciła.

XXV.

I taką mu moc nagle dała, macie wiedzieć,
Że na koniu pasterza mógł całe wysiedzieć.
Nie chciał jednak odjachać pierwej z tamtej strony,
Aż był jego zmarły pan przy niem pogrzebiony;
Kazał i Klorydana pogrześć jednym razem
Z Dardynellem pospołu, a stamtąd zarazem
Obrócił się i jachał tam, gdzie mu kazała,
A ta z niem w nizkiem domu pasterskiem została.

XXVI.

Tak litością wspłonęła nagle, tak pałała,
Kiedy go leżącego napierwej ujrzała;
Potem widząc piękną twarz i gładką jagodę,
Obyczaje i grzeczność i jego urodę,
Poczuła, że ją gryzł mól z nienagła zakryty
I zajął się w niej płomień miłości obfity,
Który w niej z lekka palił serce zapalone,
W ogniu ciężkiej miłości wszystko utopione.

XXVII.

Pasterz on miał dom w lesie, nizko postawiony,
Między dwiema wzgórkami, wczesny i przestrony,
W którym się sam i z żoną i z potomstwem chował,
A prawie go był nowo dopiero zbudował.
Tam była Medorowi za mały czas ona
Niebezpieczna od panny rana uleczone;
Ale sama za mniejszy czas ranę niemniejszą
Poczuła w swoim sercu i niebezpieczniejszą.

XXVIII.

Niebezpieczniejszą ranę na sercu i jeszcze
Głębszą poczuła, którą przyniosło żelezce,
Które pchnął niewiadomą drogą rozgniewany
Z oczu Medora na nią bóg, w skrzydła ubrany.
Więcej oń dba, niż o się, i czuje, że chore
Serce w niej coraz większem ogniem srodze gore,
I ni o czem nie myśli, jeno, aby zdrowy
Ten był, co jej zadawał coraz postrzał nowy.

XXIX.

Jej się rana tem bardziej jątrzy, im się ona
Barziej ściska i goi rana Medorowa.
Medor wzmaga i mocny i duży zostawa:
Ona febry gorącej i zimnej dostawa.
Jemu każdy dzień prawie piękności przydaje:
Sama pełna wnętrznego ognia tle i taje
Tak, jako pospolicie taje śnieg zagrany,
Od słońca gdzie na polu przestronem zastany.

XXX.

Jeśli nie chce od żądzej umrzeć w tej niemocy,
Potrzeba się jej zdobyć na prętkie pomocy.
I zda się jej, że czekać byłoby czas długi,
Ażby u niej, czego chce sama, żądał drugi.
Tak zrzuciwszy wszytek wzgląd i wstyd Angelika,
Użyła śmiałych oczu, śmiałego języka
I prosiła, aby jej uleczył ból z raną,
Podomno niewiadomie od niego zadaną.

XXXI.

Powiedz mi, o Orlandzie grabio, powiedz i ty,
Zacny królu cyrkaski, królu znamienity!
Co wam sława, co wasze pomogły dzielności?
W jakim są poważeniu wasze powolności?
Ukażcie mi jeden znak jej ku sobie chęci,
Lubo świeżej lubo też dawniejszej pamięci,
I jeśliście nagrodę jaką od niej mieli
Za to, coście czynili i dla niej cierpieli?

XXXII.

O, jakoćby to było przykro, zacny panie,
Gdybyś się na świat wrócił, królu Agrykanie,
Że cię tak niehumanymi wzgardami karmiła
I tobą się, może tak powiedzieć, brzydziła!
O Feracie, o inszych sto, których nie piszę,
Którzyście jej służyli wiernie, jako słyszę,
Jakibyście żal teraz i mękę cierpieli,
Gdybyście ją u tego na rękę widzieli!

XXXIII.

Angelika kwiat różej, długo pilnowany,
Dała sobie wziąć, przedtem nigdy nie tykany,
Medorowi i nie był żaden człowiek żywy,
Któryby był w ten ogród mógł wnieść, tak szczęśliwy.
A żeby uczciwością onę rzecz pokryli,
Zwykłą ceremonią świętą odprawili,
Małżeństwo, które naprzód miłość skojarzyła,
A dziewostwem żona pasterzowa była.

XXXIV.

Zacne dość pod nizkimi wesele dachami
 Było, jako to mogło być między lasami;
 I więcej, niżli miesiąc, potem tam mieszkali
 I pociech swych i wczasów miłych zażywali.
 Nie mogła prawie nigdy być bez młodzieńczyka
 Ani się jem nasycić piękna Angelika,
 I choć mu ustawicznie u szyje wisiała,
 Przecię tem swoich wielkich żądź nie umarzała.

XXXV.

Lubo była pod dachem lubo wyszła w lasy,
 Miała go podle boku tuż przez wszystkie czasy;
 Do rzek albo do łąki rano i wieczorem
 Chadzała na przechadzki, a zawsze z Medorem;
 W południe ją jaskinia jaka zakrywała,
 Która jem niemniej wczasów nad tę udzielała,
 Do której, uciekając kiedyś przed złem czasem
 I przede dżdżem, wstąpiła Dydo z Eneasem.

XXXVI.

Tak ciesząc się, jeśli gdzie pod wysokiem drzewem
 Zdrój się albo strumień krył przed słonecznem gniewem,
 Nożem natychmiast pisma na skórze drożyła,
 Te i na niezbyt twardych kamieniach czyniła,
 Na tysiącu miejsc; ale nie tylko na skórze,
 Nie tylko na kamieniu, ale i na murze
 Angelika i Medor coraz odmiennemi
 Sposobami związani węzłami różnemi.

XXXVII.

Potem widząc, że się tam długo zbyt bawiła,
 Do Indyj się nazad wrócić umyśliła,
 Do Kataju z Medorem, w swą ojczystą stronę
 I włożyć nań swojego królestwa koronę.
 Miała na ręce drogiem kamieniem i złotem
 Osadzoną manelę, którą długo potem
 Na znak służb Orlandowych i chęci nosiła,
 Któremu, wiecie dobrze, jako była miła.

XXXVIII.

Zylantowi ją wprzód była darowała
 Morgana, gdy go skrycie w jezierzcie chowała,
 A on skoro się ojcu stawiał Mondantowi
 Za sprawą Orlandową, dał ją Orlandowi;
 Orland, który miłował ato w onej dobie,
 Że ją nosił na ręce, przewiódł to na siebie,
 Umyśliwszy ją swojej królowej darować,
 O której mówię, i tem więcej ją zhołdować.

XXXIX.

Nie gwoli Orlandowi tę manelę złotą,
 Lecz, że była kosztowna i piękną robotą,
 W wielkiej aż nazbyt cenie Angelika miała
 I niepodobnie się w niej nad wszystko kochała.
 Tego nie wiem, jako jej w on czas nie straciła,
 Kiedy na wyspę płaczu zaniesiona była,
 Tam, kędy ją nieludzki, zły naród srogiemu
 Na pokarm był wystawił dziwowi morskemu.

XL.

A iż tam nic takiego przy sobie nie miała,
 Czembym była pasterza z żoną darowała,
 Którzy do tego czasu, jako się trafili
 Do ich domu, tak pilnie obojgu służyli,
 Zdjąwszy z ręku manelę swoją drogą onę,
 Pasterza ją i jego darowała żonę.
 Stąd ku góróm jachali, które Hiszpaniej
 Królestwo wielkie dzielą od pięknej Francyej.

XLI.

Tak drogą jadąc, z lekka poganił konie
 I myśleli w Walency albo w Barcelonie
 Czekać, ażby się jaki warowny nagodził
 Okręt, coby do wschodnich państw stamtąd wychodził.
 Kiedy zjeżdżali na dół z Pirenejskiej góry,
 Ujrzeli pod Gironą wielkie morze z góry
 I mając morski piasek i brzeg z lewej strony,
 Proszą drogą jachali wciąż do Barcelony.

XLII.

Ale do Barcelony niżli dojachali,
 Szalonego jednego przed miastem potkali,
 Który, jak świnia jaka, w błocie uwalany,
 Grzbiet, piersi, twarz i wszytek łeb miał umazany.
 Rzuci się na nie zaraz, jako się pies miecie
 Na obcych, i oboje jeśli nie uciecze,
 Będzie źle około nich — ale tych zapomnię,
 A przeważną Marfizę teraz wam przypomnię

XLIII.

I Astolfa, księżęcia cnego angielskiego,
 I Gryfona i brata jego rodzonego,
 Co się słabo bronili morzu oną dobą,
 Mając, nędzni, widomą śmierć prawie przed sobą.
 Coraz większe i coraz sroższe niepogody
 Mięszały okrutnego morza wściekłe wody,
 Którego gniewy już to całe trzy dni trwały,
 A nie znać było jeszcze, aby się błagały.

XLIV.

Wielkie koło na wierzchu na dół, skołatane,
 Spadło, na trzaski prawie wszystko zgruchotane;
 Im dalej, tem wiatr większy i mocniejszy wstaje,
 Szyper się wszytek morzu w moc z okrętem daje.
 Ten z pochyloną głową na skrzyni w szturm srogi
 Na pisanej się karcie dowiadyuje drogi
 Przy świetle, które w małej latarni zamyka,
 Ten na dnie z świecą dziury w okręcie zatyka.

XLV.

Ten zaś trzyma przed sobą zegarek ciekący,
 Godziny cienkiem piaskiem przez szkło skazujący;
 I jeśli kęs odejdzie, śpieszy się w zad wrócić,
 Patrząc, wiele wyciekło i gdzie się obrócić.
 Potem każdy z swą kartą przyszedszy, swe zdanie
 W pół okrętu powiada i swoje mniemanie
 Tam, kędy marynarze, w gromadę zebrani,
 Do rady od starszego szypra są zwołani.

XLVI.

Jeden mówi, że są nad Limisonem, kędy
 Syrty są niebezpieczne; drugi to za błędy
 Rozumie i powiada, że ich wniosły wały
 Niedaleko Trypola między ostre skały;
 Ten, że są Satoliej blisko zaniesieni,
 Twierdzi i tem zawiera, że już są straceni.
 Każdy, różno mniemając, przy swem zdaniu stoi,
 Ale się każdy równo i jednako boi.

XLVII.

Trzeciego dnia sroższy wiatr sroższe niepogody
 Przyniósł z sobą i ze dna wzburzył morskie wody,
 Wziął żagiel i niósł go precz pospołu z wiatrami,
 Że, co wiedzieć, gdzie poszedł z prętkami wichrami.
 Kamienne i żelazne serce być musiało,
 Które w onę złą chwilę bez strachu zostało;
 Marfiza, która była zawždy niestrwożona,
 Próżno to, strachem była w on czas przerażona.

XLVIII.

Galicją i Synaj górę, Loret z Rzymem
 I Boży grób mianują i iść tam pielgrzymem
 Śluby czynią i miejsca, które jakim słyną
 Nabożeństwem, nawiedzić chcą, jeśli wypłyną.
 Tem czasem powątlony okręt srogie wały
 Ode dna ostatniego do nieba miotały;
 U którego rozkazał szyper nauczony
 Mniejszy maszt ściąć, przy ostrej sztabie postawiony.

XLIX.

Cokolwiek się ciężkiego trafi i nawinie,
 Miecie wszystko z okrętu: fasy, bele, skrzynie,
 Uprząta w każdym miejscu i w każdej komorze
 I w łakome bogaty towar ciska w morze.
 Jeden pompy pilnuje i słabej nadzieje
 Wspierając jakokolwiek, morze w morze leje
 I wyciąga niewczesne wody ze dna; drugi
 Utyka rozłuczone i rozbite fugi.

L.

Cztery dni w takim strachu, w takiej trwodze byli
 I o żywocie byli zgola już zwątpili;
 I zupełne zwycięstwo jużby było miało,
 By było morze gniew swój kęs dłużej trzymało.
 Ale jem uczyniła nadzieję pogody
 I że wrychle miały być ubłagane wody,
 Światłość świętego Herma, która nagle spadła
 I na sztabie, bo masztów już nie było, siadła.

LI.

Wszyscy, skoro ujrzeli światło pożądane,
 Do nieba obracali oczy upłakane
 I padszy na kolana, w skrusze i pokorze
 Prosili o pogodę i spokojne morze.
 Szturm, który się tak barzo do tej doby srożył,
 Ubłagał się i gniew swój nakoniec położył;
 Już Auster i wiatr jemu poprzeczny ustawa,
 A Afrykus na morzu tyrannem zostawa.

LII.

Ten srodze dmie i gniewu używa bez miary
 I wypuszcza z czarnawej gęby sprosne pary,
 Wziąwszy do towarzystwa wicher prędkiej, który
 Wzburzone wody miece ode dna do góry;
 I tak mocno pcha okręt, że pręcej nie leci
 Sokół, gdy obłów niesie dla zgłodniałych dzieci,
 Z strachem szypra, aby go, co mogło być snadno,
 Nie wpędził gdzie na koniec świata albo na dno.

LIII.

Na to uczony szyper lekarstwo najduje
 I z rufy wielkie koła zrzucić rozkazuje
 I linę co największą spuszcza i tak godzi,
 Że okręt trzecią częścią biegu tylko chodzi.
 Ta rada, ale barziej płomień zapalony
 Świętego Herma okręt zachował stracony,
 Który sprawił, że w on czas, bezpieczny i cały,
 Biegł po głębokiem morzu, porzuc srogie wały.

LIV.

Zaniósł je wiatr na morze, które ma nazwisko
 Od Lajaca, ku żyznej Syrye tak blisko,
 Że i miasto i oba zamki się odkryły,
 Które port zamykały i weścia broniły.
 Skoro się szyper postrzegł, gdzie był, pełen trwogi,
 Zbladł na twarzy i serce strach mu przejął srogi;
 Bo ani tam chciał okręt do brzegu przystawić
 Ani stamtąd sam uciec i swych mógł wybawić.

LV.

Jeszczeby labirował i po głębi pływał,
 Ale żagłów i masztów wszystkich popozbywał;
 Ławy wszystkie już były barzo potłuczone
 I drzewo srogiem szturmem dziwnie powątlone.
 W port też wjechać było chcieć umrzeć tam koniecznie
 Albo w pęcie i w przykrej niewolej żyć wiecznie;
 Bo każdy musi umrzeć lub nosić okowy,
 Kogo tam błąd lubo los zanieśie surowy.

LVI.

Kiedy powątpliwości onej rozrywali,
 Niebezpieczeństwo jawne swe upatrowali,
 Aby na okręt z miasta nie wypadł lud zbrojny,
 Niesposobny na morzu stać, a cóż do wojny!
 Gdy tak nie mógł nic zawrzeć u siebie pewnego,
 Od księcia pytany był wtem angielskiego,
 Na co się tak rozmyślał i przecz nie chciał wjechać
 Do portu, kiedy dalej nie mogło się jechać.

LVII.

Szyper mu odpowiedział, że ten brzeg trzymają
 Mężobójce niewiasty, które prawo mają,
 Że każdy cudzoziemiec, co się tam dostanie,
 Lubo zabity na śmierć lub więźniem zostanie;
 I ten się temu tylko nieszczęściu ukryje,
 Co na placu dziesiąci rycerzów pobije
 I co się takiej siły, takiej czuje mocy,
 Że odprawi białychgłów dziesięć jednej nocy.

LVIII.

Jeśli się w pierwszej probie szczęśliwie odprawi,
A na drugiej szwankuje i źle się postawi,
Ginie albo na nogi kładą mu okowy
I bydło mu paść każą srogie białogłowy;
A jeśli mu się zdarzy zwycięstwo oboje,
Czyni wolne z niewolej towarzystwo swoje,
Siebie nie, bo małżeństwo musi odprawować
Z dziesiącią ich i tego ustawnie pilnować.

LIX.

Nie mógł słuchać bez śmiechu prawa i zwyczaju
Astolf, które chowano z dawna w tamtem kraju.
Marfiza w tem przychodzi i Sansonet śmiały
I Gryfon i brat jego, Akwilant wspaniały,
Którym także on szyper podeszły powiada,
Przecz się ładu nie chwyta i przecz nie przykładą.
»Niech mię wprzód morze — prawi — pozzrze, niżli w pęcie
»Mam być wiecznie z wszystkimi, którzy są w okęcie«.

LX.

Zdanie starego szypra wszyscy pochwalili,
Ale mu się z Marfizą inszy przeciwiłi,
Coby się byli radzi na ziemi widzieli
I brzeg za bezpieczniejszy, niżli morze, mieli
I co takiego serca, takiej siły byli,
Że przed tysiącem mieczów nic się nie trwożyli
Na każdym miejscu, gdzieby swych broni dobywać
I na nieprzyjacioły mogli ich używać.

LXI.

Wszyscy pragnęli wysieść na pożądaną ziemię,
Ale nabarziej książąt angielskich cne plemię,
Bo dobrze jest świadomy dźwięku swego roga,
Na który każde serce przejmowała trwoga.
Jedna strona w port wjechać radzi i pochwała,
Druga z wielkiem uporem na to nie pozwala;
Ale zgoła silniejsza nad słabszą przewodzi:
Rad nie rad, szyper każe do portu swej łodzi.

LXII.

Zaraz, skoro ich z miasta na morzu ujrzano,
Widzieli, kiedy wielką z portu wyprawiano
Galereę, w robotniki dobrze opatrzoną
I rynsztunkiem wojennem wszystkę napełnioną.
Ta prosto przeciwko niem żagle obracała
Po to, aby zwątloną nawę poimała;
Tak do swej rufy liną jej sztabę wysoką
Przywiązawszy, wiodła ją przez wodę głęboką.

LXIII.

Wjachali po niewolej do portu, wiosłami
Barziej, niż życziwemi wniesieni wiatrami;
Bo się tak srogie morze było rozgniewało,
Że jem żagle i maszty poodejmowało.
Tem czasem cni rycerze wierne miecze swoje
Brali i obłóczyli ciała w jasne zbroje
I szyprowi i wszystkim, którzy się trwożyli,
Dobre serce i dobrą otuchę czynili.

LXIV.

Nakształt miesiąca jest port wielki i przestrony,
Który na milę wkoło idzie urobiony;
Weście na sześć set kroków, jako powiadają,
I dwa zamki ma, kędy rogi się schadzają,
Gdzie się rogi schadzają oba, a tak stoi,
Że się żadnych niepogód i wiatrów nie boi
Okrom południowego; miasto postawione,
Jako teatrum, idzie w górę wyniesione.

LXV.

Jako skoro był okręt do portu wciągniony,
Tak wieść o tem po mieście szła na wszystkie strony;
Sześć tysięcy z łukami w ręku ukazanych
Białychgłów było w porcie, do wojny ubranych,
A żeby jem nadzieję ucieczki odjęły,
Między dwiema zamkami port nagle zamknęły
Częścią zgotowanemi na to łańcuchami,
Częścią rozstawionemi gęsto galerami.

LXVI.

Jedną, którą mógł równać nieomylnie wiekiem
 Z Hekubą albo z jakim nastarszem człowiekiem,
 Szypra z okrętu wołać do siebie kazała
 I jeśli żywot chcieli położyć, pytała,
 Jeśli w niewolej zostać według obyczaju
 I według starodawnych praw tamtego kraju,
 A że to było na ich samej dobrej woli
 Jedno ze dwu wziąć: umrzeć albo żyć w niewoli.

LXVII.

»Prawda — pry — kiedyby się który między wami
 »Mógł należeć z takim sercem, z takimi siłami,
 »Żeby się przeciw naszym dziesięciom nie trwożył
 »Rycerzom stanąć w placu i onychby pożył
 »I żeby mógł przez jedną noc dziesięć odprawić
 »Naszych niewiast, tenby mógł was wszystkich wybawić;
 »Onby nam był za pana i został koniecznie
 »Z nami, a wybyście szli w swą drogę bezpiecznie.

LXVIII.

»Nadto wolno wam będzie wszystkim zostać z nami
 »Lub części jakiej, ale pod kondycjami,
 »Aby ten, co zostanie, był według ustawy
 »Dobry z dziesięcią niewiast do małżeńskiej sprawy.
 »Ale wasz rycerz, jeśli dziesięciom nie zdoła
 »Albo jeśli tej drugiej probie nie wydoła,
 »On zginąć musi, a wy z nami zostanieie
 »I w niewolej w tem kraju do śmierci będziecie«.

LXIX.

Spodziewała się baba, że w nich należeć miała
 Strach i bojaźń; lecz rzeczy przeciwnych doznała,
 Bo każdy z nich tak dobrze rozumiał o sobie,
 Że miał wygrać na pierwszej i na drugiej probie.
 I przeważna Marfiza niemniej serca miała,
 Choćby była ostatniej probie nie zdołała;
 Ale gdzie jej natura ratować nie mogła,
 Pewna była, żeby jej szabla jej pomogła.

LXX.

Szyprowi dać odpowiedź staremu zlecili,
 Na którą się wprzód wszyscy w okręcie zgodzili,
 W ten sposób, że takiego między sobą mieli,
 Który się chciał kosztować w boju i w pościeli.
 Dłuższą mową jej szyper podeszły nie bawił
 I okręt niemieszkanie do lądu przystawił
 I most zrzucił, po którym, we zbroje ubrani,
 Wyszli z końmi swojemi rycerze wybrani.

LXXI.

Stamtąd kiedy przez miasta pośrzodek jechali,
 Nie w jednym miejscu mężne dziewice zastali,
 A one ukasane tam i sam jeździły
 Po ulicach i w rynku z kopią goniły.
 Nie mogą tam mężczyzny drzewa nosić w toku
 Ani miecza używać i nosić przy boku,
 Okrom dziesięci naraz, bo taka ustawa,
 Takie są tego kraju starodawne prawa.

LXXII.

Wszyscy inszy, którzy są i po wsiach i w mieście,
 Ubrani w czepce, w tkanki i suknie niewieście,
 Przędą albo krosna tczą albo kłębki wiją
 Albo doją albo syr tworzą albo szyją.
 Niektórych też w okowach chowają pod strażą,
 Którym bydło paść albo ziemię orać kazać;
 Barzo mało mężczyzny i kto porachuje,
 Na tysiąc niewiast ledwie sto się ich najduje

LXXIII.

Po wsiach i po miasteczkach. A chcąc oną dobą
 Cni rycerze przez losy obrać między sobą,
 Któryby mógł zwyciężcą nad dziesięcią zostać
 I który mógł dziesięciom niewiast także sprostać,
 Cnej Marfizy pospołu z sobą nie włożyli,
 Gdy losy rzucić mieli; bo się w tem baczyli,
 Żeby była na drugiej probie nie wskórała,
 Kiedy zwycięstwa dostać sposobu nie miała.

LXXIV.

Ale ona chciała być przeciw między niemi
 I zgoła na nią los padł wprzód między wszystkimi.
 »Pierwej ja — prawi — umrzeć i zginąć mam wolą,
 »Niżlibyście wy mieli podpaść pod niewolą.
 »I na tę wam swą szablę ślubuję odkrycie,
 »Że wszystkie wikłaniny, które w tem widzicie,
 »Tak rozwiklę, jako on król tak zawołany
 »Macedoński gordyjski węzeł zamotany.

LXXV.

»Niechaj na wieczne czasy i póki świat stoi,
 »Żaden się tego miasta i kraju nie boi.«
 Tak rzekła; towarzystwo na tem też musiało
 Przestać, nie mogąc jej wziąć, co jej szczęście dało.
 I tak jej onę wszystkę sprawę do rąk dali,
 Żeby lubo zginęli lub wolni zostali.
 Ona, iż była zbroję już na się włożyła,
 Na placu się ochotnie do boju stawiała.

LXXVI.

Jest plac na końcu miasta wielki i przestrony,
 Z stopniami do siedzenia, nakoło zamknięty,
 Który zawsze był wolny, okrom, kiedy miano
 Gonić albo turnieje kiedy uprawiano;
 Cztery bramy i cztery wrota miał spiżane,
 Które go zawierały. Tam z męska ubrane
 Niewiasty szły gromadą; zatem zawołano,
 Aby Marfizie wjechać na plac rozkazano.

LXXVII.

Miała w on czas Marfiza pod sobą koń siwy,
 Koń siwy, jabłkowity; sam był urodziwy,
 Głowę małą, szerokie piersi, chód zuchwały,
 Uszy ostre, brzuch lekki, a kark miał wspaniały.
 Wybrawszy go na staniu za napięknieszego
 I za namocniejszego i nadzielnieszego
 Między tysiącem inszych, które w stajniej chował,
 Król go jej był Norandyn w Damaszku darował.

LXXVIII.

Przez południową bramę Marfiza wjechała
 I ledwie co stanęła, gdy dźwięk usłyszała
 Trąb krzykliwych, które się coraz pomykały
 I wkoło się na wszystkie strony rozlegały.
 Potem widziała, kiedy od północnej strony
 Wjechało dziesięć na plac na bój umówiony;
 Tak się zdało Marfizie, że jeden z dziesięci,
 Co wprzód na plac wjechał, stał za wszystkich dziewięci.

LXXIX.

Z wielkiem sercem, jako znać było, na przestrony
 Plac wjechał, a pod sobą miał koń wszytek wrony,
 Wszytek wrony, jako kruk, okrom że na czele
 I na zadniej nodze miał białego niewiele.
 Sam także, jaki był koń, czarno był ubrany,
 A tą barwą dawał znać on rycerz wybrany,
 Że jako mniej na sobie światła, niż ciemności,
 Tak mniej pociech miał w sobie, niżeli żalości.

LXXX.

Skoro znak dano, dziewięć rycerzów skoczyło
 I przeciwko Marfizie kopie złożyło;
 Ale czarny na stronie stał sobie z pokojem,
 Brzydząc się tak niesłusznem i nierównem bojem,
 I tak się o to gniewa i tak go to boli,
 Że gwałcić ostre prawo, niż swoją cześć, woli;
 Patrzy pilnie, trochę się ustąpiwszy w lewo,
 Co przeciw dziesięciom drzew sprawi jedno drzewo.

LXXXI.

Marfiza wtem koniowi wodze wypuściła
 I w pełnem biegu drzewo ogromne złożyła,
 Które na maszt pomniejszy raczej było poszło,
 Boby go było innych cztery nie uniosło;
 To, wychodząc z okrętu, do potrzeby sobie
 Obrala między wielą inszych w onej dobie.
 Straszna postać, z którą się do boju puściła,
 Tysiąc twarzy zmieniała, tysiąc serc strwożyła.

LXXXII.

Tak dobrze otworzyła piersi najpierwшему,
 Żeby to było dosyć uczynić nagiemu;
 Przebiła mu napierwej tarcz, stałą odzianą,
 Potem zbroję zbyt mięszszą i uhartowaną.
 A tak beł ciężki on raz, że drzewa ostatek
 Ukazał się na łokieć dobry w tył łopatek.
 Tego, tak wetknionego na drzewo, opuszcza,
 A naprzeciwno inszem koniowi wypuszcza.

LXXXIII.

Drugiego i trzeciego koniem potraciła,
 A tak ich dobrze i tak mocno uderzyła,
 Że obadwa zarazem nieżywi zostali
 I połamani w krzyżach, z koni pospadali.
 Tak ciężkie i tak twarde było to potkanie
 I oni też tak żartko przypuścili na nią,
 Żem ja tak tylko widział, kiedy kula z działa
 Hufce rwała, jako tych Marfiza potkała.

LXXXIV.

Inszy o nią kopie oraz ułomili,
 Ale tak jej ruszyli i tak jej wadzili,
 Jako wadzi muiowi, kiedy go piłami
 Albo balonem biją, nabitem wiatrami;
 Tak twarda, tak jej zbroja była niepożyta,
 Że wytrwała każdy raz, by namocniej bita;
 Przy piekielnem ją ogniu przez czary kowano,
 Potem stygijską wodą ją zahartowano.

LXXXV.

W końcu placu dzielnego konia zawściągnęła,
 Potem go obróciła i kęs mu wytchnęła;
 I dopiero skoczywszy, wszystkich rozerwała
 I szablę aż po jelca we krwi umaczała;
 Temu ramię, temu łeb, temu pół łba wzięła,
 Tego tak ugodziła i tak wpół przecięła,
 Że łeb, piersi i ręce na ziemię zleciały,
 A brzuch i obie nodze na siedle zostały.

LXXXVI.

To powiadam, że go tak w miarę ugodziła,
 Gdzie graniczą z lędźwiami żebra, i sprawiła,
 Że został półfigurą, jakie to bywają,
 Które przed obrazami świętymi wieszają,
 Ze srebra albo z wosku, po pas urobione,
 Od dalekich i blizkich ludzi zawieszone,
 Którzy za otrzymanie łaski albo zguby
 Ustrzeżenie iszczą swe obiecane śluby.

LXXXVII.

Za jednym się, który miał uciekać, puściła
 I właśnie go w pośrodku placu dogoniła
 I tak mu rozdzieliła dobrze szyję z głową,
 Że się nie mogły zlepić ręką doktorową —
 Krótko mówiąc, wszystkich cna dziewica pobiła
 Albo na śmierć albo ich srodze poraniła,
 Tak, że bezpieczna była i pewna pokoju
 Od wszystkich, że znowu wstać nie mogli do boju.

LXXXVIII.

On rycerz, co z inszemi beł na wronem koniu
 Na plac przyjechał, patrzył i stał na ustroniu;
 Bo bić się z jednym samem w takiej nierówności
 Zdało mu się być przeciw wszelakiej słuszności;
 A teraz widząc, że już wszyscy porażeni,
 Wszyscy od jednej ręki beli zwyciężeni,
 Ruszył się, chcąc pokazać, że tego nie sprawił
 Żaden strach, ale dobroć, że się w bój nie stawiał.

LXXXIX.

Ruszywszy się, z daleka ręką na nią kiwał
 I że z nią coś chciał mówić, pierwej ukazywał;
 I rzekł do niej przed bojem i przyszłą rozprawą,
 Nie myśląc, aby się pod tak męską postawą
 Dziewica tać miała: »Znać, żeś spracowany,
 »Rycerzu, pierwszym bojem i umordowany;
 »I każdyby przyganę mógł we mnie najdować,
 »Kiedybym z tak strudzonem miał bój odprawować.

XC.

»Pozwalam ci, że sobie wytchniesz i odjedziesz,
 »A jutro na plac, skoro dzień będzie, przyjedziesz;
 »Bo teraz się bić z tobą sromotaby była,
 »Widząc, jakoć się praca teraz uprzykrzyła«.
 »Bić mi się nie nowina — Marfiza odpowie —
 »Nie tak mam słabą siłę, nie tak słabe zdrowie,
 »Jako podomno mniemasz; ty to sam uczujesz
 »I wnet, jeśli tak barzo strudzony, poczujesz.

XCI.

»Dziękuję za twoją chęć, ale mi nie trzeba
 »Odpoczywać i czekać jutrzejszego nieba;
 »I jeszcze tak wiele dnia zbywa, żeby była
 »Sromota, kiedybyśwa nic weń nie zrobiła;
 »Szkoda zgoła próżnować«. — On jej zasię na to:
 »Czego chcesz, będziesz syty: jać ślubuję za to;
 »Ale patrzaj, abyć się inaczej nie zdało
 »I abyć zaś dnia tego długiego nie zstało«.

XCII.

To skoro rzekł, rozkazał przynieść w onej dobie
 Dwie wielkie drzewa i dał jedno obrać sobie
 Marfizie, które się jej barziej podobało,
 A sam potem wziął ono, co było zostało.
 Już gotowi i tylko już tego czekają,
 Że znak dadzą, na który boje rozczyniają.
 Niebo i ziemia drżała, kiedy się ruszyli,
 Kiedy na znak głośnych trąb do siebie skoczyli.

XCIII.

Z tych, co patrzą, nikt gębą i okiem nie ruszy
 I ledwie co trochę tchu udzielają duszy:
 Tak każdy pragnie widzieć, tak każdy pilnuje,
 Który ze dwu rycerzów wygra lub szwankuje.
 Cna Marfiza na to się wszystko usadziła,
 Aby tak dobrze gońce w czerni zawadziła,
 Żeby nie wstał, i drzewo składa; niemniej życzy
 Rycerz czarny na garle sieć mężnej dziewicy.

XCIV.

Tak się zdało, że mieli kopie wierzbowe,
 Suche jakie i kruche, a nie jesionowe;
 Bo się po same gałki zaraz połamały
 I w trzaski się rozpierzchły i pogruchotały.
 Ono straszne potkanie poczuły i konie,
 Bo jako ich podrąbił, padły na ogonie;
 Padły konie, ale się jeźcy poprawili
 I dziwnie się od siodła prędko uwolnili.

XCV.

Tysiąc gońców przez wiek swój Marfiza wybiła
 I na pierwszym potkaniu z łęku wysadziła,
 A sama, choć tak często z rycerzmi się bodła,
 Dopiero ten pierwszy raz dziś wypadła z siodła.
 Nie tylko się dziwiła nieszczęściu wielkiemu,
 Ale była podobna jakiemu głupiemu.
 Ale i rycerz czarny niemniej się dziwował,
 Bo nie tak łatwo spadał i w tej grze szwankował.

XCVI.

A ledwie co bokami ziemię uderzyli,
 Jako znowu, wstawszy z niej, do siebie skoczyli;
 Cięte razy i sztychy sobie zadawają,
 To się mieczmi, to wzajem tarczami składają.
 Brzmia i straszny puszczają dźwięk twarde żelaza,
 Od mieczów i gęstego uderzone raza;
 Ich zbroje, ich szyszaki ogromne z tarczami
 Z twardemi równać każdy mógł nakowalnikami.

XCVII.

Jeśli ma ciężkie ramię i rękę dziewica,
 Nie jest lżejsza, rzecz pewna, u tego prawica.
 Sprawiedliwą się miarą wzajem pomierzają:
 Tyle sobie oddają, ile pożyczają.
 Kto chce dwie serca, żadną niepożyte trwogą,
 Należć, niech ich tu szuka, a za jedną drogą
 Niechaj szuka i męstwa i umiejętności,
 Bo się w nich wszystkie zgoła zawarły dzielności.

XCVIII.

Niewiasty, które chwilę na wszystko patrzyły
I jako długo bój trwał straszliwy, widziały,
A jeszcze nie znać było, żeby się zmordował
Który z nich albo w boju surowem szwankował,
Pierwszy jem przyznawają dank między wszystkimi
Rycerzami na świecie nadoskonalszemi;
Bo kiedyby sił w sobie aż nazbyt nie mieli,
Od samegoby trudu pozdychać musieli.

XCIX.

Tak z sobą rozmawiając, Marfiza mówiła:
»Prawieć mi się życzliwie fortuna stawiała,
»Że się nie ruszył i stał na stronie z pokojem,
»Kiedy się ze mną drudzy rozpierali bojem,
»Jeśli się jego sile ledwie dotąd bronię,
»A o swojej, rzec mogę, że już restem gonię«.
Tak w on czas cicho z sobą Marfiza gadała,
A coraz nań nakolo szablą przycinała.

C.

Ten także drugi mówił: »Dobrzeć mi się stało,
»Że mu się odpoczywać i wytchnąć nie dało:
»Ledwie mu teraz zdołam, kiedy pierwszym bojem
»Zmordował się, bijąc się z towarzystwem mojem;
»By był do dnia nowego sobie odpoczynął,
»Coby się było stało? — Pewniebym był zginął!
»Wielkie to szczęście, że wždy tego nie przyjmował,
»Czemem go czcił, czemem go z ludzkości częstował«.

CI.

Aż do wieczora prawie on bój trwał samego,
A nie znać było, kogo trzymać za lepszego.
A trudno go też było już przywieść do końca,
Kiedy już dnia nie mieli, ni widzieli słońca.
Pierwszy był rycerz w czerni, który takiej mowy
I tych słów użył w on czas do cnej białejgłowy:
»Co dalej czynić będziem, kiedy nam widoki
»W równem szczęściu niewczesne odejmują mroki?

CII.

»Zda mi się, żebyś jeszcze przedłużył żywota
»Aż do jutra, kiedy się dziś nasza robota
»Nie skończyła; aleć się opowiedzieć wolę,
»Żeć pewnie żyć nad tę noc więcej nie pozwolę.
»Ale mię w tem nie winuj, że być dłużej żywy
»Żadną miarą nie możesz, bom ja w tem niekrzywy;
»Winuj raczej okrutność i prawo niewieście,
»Prawo złych niewiast, które panują w tem mieście.

CIII.

»Jeśli cię nie żałuję i tych, co są z tobą,
»Bóg widzi; jakokolwiek, proszę cię dziś z sobą.
»Pospołu z towarzystwem ze mną być bezpiecznie
»Możesz, ale gdzie indziej zginąłbyś koniecznie;
»Bo ta gromada niewiast, któreś ty mężę
»Pozabijał, na cię się niedługo sprzysięże.
»Każdy z tych, coś je pobił, tak ci trzeba wiedzieć,
»Miał dziesięć żon, wszak o tem łatwo się dowiedzieć.

CIV.

»Dziewięćdziesiąt jest niewiast, które z spólnej zgody
»Mścić się będą nad tobą terazniejszej szkody;
»I jeśli nie zostaniesz ze mną, wszystką mocą
»Dziś pewnie na cię najdą i uderzą nocą«.
Ona na to: »Pozwalam, że mię przenocujesz
»I pewniem, że strzymasz, co mi obiecujesz,
»I że nie mniejsza wiara i dobroć jest w tobie,
»Niżli męstwo, któreś dziś pokazał po sobie.

CV.

»Ale, żeć mię żal zabić, możesz także i ty
»Odemnie być, jako ja od ciebie, zabity;
»I tak mniemam, żeś poznał z terazniejszej proby,
»Żem jeszcze nad cię nie jest słabszy do tej doby.
»Zgoła, chceszli bój rozwieść, chceszli go do końca
»Doprowadzić, lub dzisiaj lub jutro za słońca,
»Ślubuję, że mię najdziesz, tem rycerskiem słowem,
»Na najmniejszy znak, gdzie chcesz i jako, gotowem«.

CVI.

Zgodzili się, że bój beł dotąd odłożony,
 Ażby Febus wóz wegnał na nieba złożony.
 Za odłożeniem boju wątpliwość została,
 Któremu się pierwsza cześć w niem przypisać miała.
 Potem do Akwilanta, do Gryfona cnego
 I do książęcia rycerz poszedł angielskiego
 I prosił ich, aby mu tę chęć pokazali,
 Aby u niego jedli i przenocowali.

CVII.

Wszyscy się, co ich było, chętnie obiecali
 I przy świetle lanych świec na pałac jechali,
 Który beł wielkiem kosztem pięknie postawiony,
 Na pokoje, na sale wielkie rozdzielony;
 Gdzie, skoro hełmy zdjęli i twarzy odkryli,
 Barzo się sobie wzajem gońcy zadziwili,
 A tem barziej, że ile znać beło z wejźrzenia,
 Ledwie lat miał ośmnaście rycerz bez wątpienia.

CVIII.

Dziwuje się Marfiza, jako w takim wieku
 Takie męstwo być mogło w tak młodem człowieku.
 Ale i drugi niemniej zdumiony zostawa,
 Bo po złotem warkoczu, z kiem się bił, poznawa.
 O swoje się imiona natychmiast pytają
 I tę powinność sobie wzajemną oddają. —
 Ale się czuję, żem już dosyć spracowany;
 Potem powiem, jako beł młodzieńczyk nazwany.

KONIEC PIEŚNI DZIEWIĘTNASTEJ.

PIEŚŃ DWUDZIESTA.

A R G U M E N T.

Gwidon z srogiej krainy z inszemi uchodzi;
 Astolf, gdzie jeno jego trąby dźwięk dochodzi,
 Po mieście i przyległym strach puszcza powiecie,
 Potem się błąka to tam, to sam, sam po świecie.
 Marfiza we Francyej zwycięża Zerbina,
 Z którego ma obrońcę i wodza Gabryna,
 Gabryna zła, od której, czego wprzód nie wiedział,
 Zerbin o Izabelli swojej się dowiedział.

A L L E G O R Y E.

W tej pieśni dwudziestej przez białogłowy mętońbójce, które były rozegnane i w niwecz obrócone dźwiękiem trąby, od Logistylle Astolfowi darowanej, daje znać, że rzeczy gwałtem przeciwko zwyczajowi pospolitemu i przyrodzeniu postanowione długo trwać żadną miarą nie mogą. W Zerbinie, który z taką cierpliwością i wiarą stał się wodzem i obrońcą złej, niecnotliwej Gabryny, jest przykład prawdziwego i statecznego rycerza, który woli raczej śmierć podjąć, niż wiary danej nie dotrzymać.

S K Ł A D P I E R W S Z Y.

Dawniejsze białogłowy wielką sławę miały,
 W bojach się i w naukach często obierały
 I wszytek świat, jak wielki, dźwiękiem napełniły
 Swoich dzieł zawołanych, które porobiły.
 Arpalice, Kamilla, bohaterki dawne,
 Z dzielności są na świecie do tych czasów sławne;
 Z nauk uczona Safo i Korynna słynie
 I dokąd świata stanie, imię ich nie zginie.

II.

I do której się kolwiek nauki udały,
 Wszystkiej doskonałości w niej dostępowaly.
 Ja ich nie chcę mianować; kto się o nich pyta,
 Najdzie, jeno niech dawne historye czyta.
 A jeśli takie z dawna na świecie nie były,
 Nie zawsze też będą złe planety rządziły.
 I może być, że ich dzieł wielkich zamilczano
 Lub z zazdrości lubo, że o nich nie wiadano.

III.

Mnie się tak zda, że widzę, że w tem wieku naszym
 Wielkie się cnoty tej płci pokażą za czasem,
 Które mi się napełnią papiery uczone,
 Że nie będą być mogły nigdy zapomniane,
 Aby z wielką swą hańbą zmiłkły nieżyciliwe
 Języki, które szczypią ich sprawy uczciwe,
 I tak się ich zaświeci sława, że swojemi
 Przejdą dobrze Marfizę dziełami wielkimi.

IV.

Ale wróćmy się do niej. Dziewica surowa,
 Już imię swoje była powiedzieć gotowa
 Rycerzowi, który ją u siebie postawił,
 Ale tak, aby i swe on także objawił.
 Zaczem ona dług mu swój zarazem oddała,
 Aby też wzajem jego przezwisko wiedziała:
 »Jam Marfiza« — więcej też nie było potrzeba,
 Bo ostatek wszytek świat wiedział, jako trzeba.

V.

Nie mógł się zaś tak prętko ów drugi wyprowadzić,
 Przyszło mu się powieścią tą dłużej zabawić,
 Tak mówiąc: »Ja rozumiem, żeście są świadomi,
 »Żeście są rodu mego imienia wiadomi,
 »Bo nie tylko Hiszpani albo Francuzowie,
 »Tych sąsiedzi, ale też i Etyopowie
 »I Murzynowie znają imię Klaromonta,
 »Skąd wyszedł zacny rycerz, co zabił Almonta,

VI.

»I ten, który Mambryna króla zamordował
 »I Kiarella i państwa ich w niwecz zepsował.
 »Z tej krwi, gdzie Ister morze ośmią rogów bodzie
 »I wypowiada pokój Euksyńskiej wodzie,
 »Matka mię moja z ojcem Amonem spółdziła,
 »Który tam był pielgrzymem, już temu lat siła.
 »Już to rok, jakom ja ją żalosną zostawił,
 »Kiedym się do Francyej, do swoich wyprowadził.

VII.

»Alem nie mógł, jakom chciał, dokończyć swej drogi,
 »Bo mię tu, żal się Boże, zapędził wiatr srogi.
 »Rok to, jakom do tej złej, nieubożnej krainy
 »Przybył, bo sobie piszę i dni i godziny.
 »Gwidon Dziki własnem imieniem nazwany,
 »Małej sławy i jeszcze od ludzi nieznanym,
 »Zabiłem Argillana na rycerskiej probie,
 »Który miał towarzyszków dziesięci przy sobie.

VIII.

»Alem i drugą próbę odprawił szczęśliwie,
 »Szczęśliwie i mam dziesięć dziewic niewątpliwie
 »Napięknieszych, w tem kraju odemnie wybranych
 »I po wszytkiem królestwie tem wybrakowanych;
 »Temi władnę, jako chcę, a zgoła wszytkimi,
 »Bo mi dały nad sobą moc i rząd w swej ziemi
 »I każdemu go dadzą, który się tak stawia,
 »Że dziesięci rycerzów żywota pozbawi«.

IX.

Pytali stąd Gwidona, dlaczego tak mało
 Mężczyzn w tamecznym kraju i w mieście zostało
 I jeśli pod swą mocą żony mężów mają,
 Tak, jako żony mężów gdzie indziej słuchają.
 Gwidon odpowie na to: »Częstom o przyczynie
 »Tej sprawy słyszał, jako mieszkam w tej krainie,
 »I tak, jako ja ją wiem, kiedy tego chcecie,
 »Odemnie o niej słyszeć i wiedzieć będziecie.

X.

- »W ten czas, gdy się od Trojej wrócili Grekowie
- »Za dwadzieścia lat spełna — bo historykowie
- »Tak to twierdzą, że dziesięć lat pod nią strawili,
- »A przez drugą dziesięć lat po morzu bładzili —
- »Należli, że i żony, długą utesknione
- »Niebytnością, lekarstwa na to znalezione
- »Swoje miały, bo sobie wyrostki obrały
- »Młode, aby na zimnie same nie sypiały.

XI.

- »Pełne domy bękartów Grekowie zastali.
- »Ale się jem tak zdało, że poodpuszczali
- »Wszystkiem, bo to wiedzieli dobrze, żeby byli
- »Tak długo żadną miarą pewnie nie pościli.
- »Ale precz cudzem synom od siebie kazali,
- »Aby sobie gdzie indziej fortuny szukali;
- »Już tego cierpieć bacznym mężowie nie chcieli,
- »Aby ich swoim kosztem dłużej żywić mieli.

XII.

- »Jednych matki, bojąc się mężów, porzuciły,
- »Drugich tak, jako mogły, tajemnie żywiły.
- »A większy i ci, którzy już beli dorośli,
- »W różne strony, tam i sam między ludzie poszli:
- »Jedni do rozmaitych rzemiosł się udali,
- »Drudzy zasię na wojny dalekie jachali;
- »Ci pasterzami, a ci zostali dworzany,
- »Jako ta chce, której jest wszystko świat poddany.

XIII.

- »Miedzy temi inszemi srogi i surowy
- »Klitemnestry pojachał młody syn królowej,
- »W ośmnastu lat, tak świeży, jako kwiat różany
- »Albo pięknej liliej, dopiero urwany.
- »Ten sporządziwszy okręt i nań rzeczy swoje
- »Poprzątnąwszy, udał się na niem na rozboje
- »W towarzystwie sta inszych młodzieńców przebranych
- »Swego wieku, ze wszystkiej Grecyjej wybranych.

XIV.

- »Kreteńczykowie beli w ten czas wypędzili
- »Króla swego i aby się ubezpieczyli,
- »Na wszystkie strony swoje z pieniędzmi wysłali,
- »Aby jako najwięcej ludzi nzebierali.
- »Między temi Falanta — tak młodzieńca zwano —
- »Zaciągniono na ich żołd, któremu oddano
- »Potem piękne Dyktejskie miasta do obrony
- »I z temi, których z sobą przywiódł z cudzej strony.

XV.

- »Między miasty, których sto w Krecie się znajduje,
- »Pięknością i bogactwy Dyktea przodkuje.
- »Białogłowy w niej piękne, które chodzą rady
- »Na dobre myśli, tańce, igrzyska, biesiady;
- »A iż tam cudzoziemce mają w uczciwości
- »I w wielkim poważeniu, i one ludzkości
- »Takiej przeciwko gościom nowem używały,
- »Że jem co tylko w domach panować nie dały.

XVI.

- »Wszyscy beli na twarzach gładcy, piękni, młodzi —
- »Bo był prawie kwiat wywiódł Falant greckiej młodzi —
- »Że skoro się co tylko w Krecie ukazali,
- »Zarazem serca z piersi jem powyciągali;
- »A doświadczywszy, że tak, jako gładcy byli,
- »I w łóżku się jem dobrze podobno stawili,
- »Tak je sobie za krótki czas upodobały,
- »Że się na świecie w niwczem barziej nie kochały.

XVII.

- »Skoro wojna stanęła z tej i z owej strony,
- »Na którą był z swojemi Falant zaciągniony,
- »I służbę, na którą ich wprzód potrzebowano,
- »Kiedy się pokój zawarł, jem wypowiedziano,
- »Gotowali się jachać dalej, na co panie
- »Kreteńskie taki lament, takie narzekanie
- »Czyniły ustawicznie, tak łzy wylewały,
- »Jakby ojce umarłe przed sobą widziały.

XVIII.

- »Każda swego prosiła, aby nie jeździli
- »I aby się tak barzo od nich nie kwapili;
- »Ale kiedy nie chcieli, ony swe rodziny
- »Zostawiwszy i ojce i bracią i syny,
- »Skoro klejnotów, złota i srebra nabrały,
- »Ze swemi miłośnikami cicho ujachały,
- »Tak cicho ujachały, że w Krecie żadnego
- »Nie było, coby postrzegł zjachania onego.

XIX.

- »Tak wziął wczesną godzinę Falant do tej sprawy
- »I tak miał wiatr życzliwy, tak na się łaskawy,
- »Że pod kilkanaście mil już beli ubiegli,
- »Niżli Kreteńczykowie swej szkody postrzegli.
- »Ten kraj je potem przyjął, który w one czasy
- »Pusty był i zarosły zbyt gęstemi lasy;
- »Tu sobie po niewczasie morskiem wytychali
- »I bezpieczni kradzieży swoich zażywali.

XX.

- »Tu ich było przez dziesięć dni z pełna mieszkanie,
- »Tu pociechy, rozkoszy, tu wczas, tu kochanie;
- »Ale jako się trafia, że więc na ostatek
- »Uprzykrzenie przynosi młodzikom dostatek,
- »Zgodzili się, żeby płęć białą zostawili
- »I od onej się wielkiej kaźni uwolnili;
- »Bo się żadne na świecie brzemie tak nie przykrzy,
- »Jako mieć białą głowę, która się uprzykrzy.

XXI.

- »Oni, co zbyt nieradzi z mieszka wydawali
- »I pieniędzy szczędzili, to upatrowali,
- »Że kiedyby tak wiele nałożnic karmili,
- »Szablaby ich i łukiem trudnożywili.
- »I tak ze wszystkiego je prawie obłupiwszy,
- »Złoto, srebro pobrawszy, same zostawiwszy,
- »Niewdzięczni miłośnicy od nich odjachali
- »Tam, gdzie znać w Apuliej Tarent zbudowali.

XXII.

- »Białęgłowy, skoro się ujrzwały zdradzone
- »I od swych miłośników same opuszczone,
- »Tak się srodze wylękły zrazu, że się zdały,
- »Jak na brzegu przy morzu nieruchome skały;
- »Ale widząc, że wrzaski i łzy, które lały,
- »Pożytku nie czyniły i za nic nie stały,
- »Poczęły pilnie myśleć, jako się ratować,
- »Jako się w onem wielkiem nieszczęściu sprawować.

XXIII.

- »Zdania swoje każda z nich w pośrodek wносиły:
- »Jedne się wrócić nazad do Krety radziły
- »I raczej się na wolą ojców niebłaganych
- »I mężów swoich puścić, chocia rozgniewanych,
- »Niżli na niemieszkanych brzegach między lasy
- »Głodem umrzeć i cierpieć niezmierne niewczasy;
- »Drugie zasię i słowa rzec na to nie dały
- »I że się było lepiej utopić, wołały,

XXIV.

- »I chodzić chleba żebrać tam i sam po świecie
- »I być nierządnicami do końca, niż w Krecie
- »Poddać się pod surowe i gniewliwe ręki
- »Srogich ojców i mężów na kaźni, na męki.
- »Takie rady i insze różne przed się brały,
- »Ale się żadne przecię z tych nie podobały;
- »Nakoniec między niemi Orontea wstała,
- »Co od króla Minosa ród swój wywodziła.

XXV.

- »Namłodsza między niemi i nagładsza była
- »I namędrsza i mniej też, niż insze, zgrzeszyła;
- »Miłowała Falanta i jemu się dała
- »Prawicą i dla niego ojca odjachała.
- »Ta ukazując z twarzy rumianej i z mowy
- »Śmiałe serce i w sercu śmiałym gniew gotowy,
- »Rady od inszych wszystkich wniesione zganiła
- »I że jej zdanie wszystkie przyjęły, sprawiła.

XXVI.

- »Porzucić on piękny kraj jem nie rozradzała,
- »Który, że był obfity i zdrowy, poznała.
- »Miał w sobie przeźrocyste rzeki i niziny,
- »Łąki, lasy, po wielkiej części miał równiny,
- »Miał i porty, w które się mogli przed wiatrami,
- »I niepogodą ukryć żeglarze z nawami,
- »Które to od Afryki, to z egipskich włości
- »Niosły różne towary i różne żywności.

XXVII.

- »Zdało się raczej zostać i mścić się surowie
- »Nad zdradliwą męską pcią srogiej białęgłowie.
- »Chce, aby każdy okręt, który tam przyplynie
- »I portu dla przeciwnych złych wiatrów nie minie,
- »Zarazem na łup, na miecz, na ogień puszczono
- »I jednego mężczyzny aby nie żywiono.
- »Na słowa Orontei wszystkie pozwoliły
- »I jako chciała, prawo na to uczyniły.

XXVIII.

- »Skoro wiatr wstał, a chmury wzniosły niepogody,
- »Biegły hurmem niewiasty złe do morskiej wody,
- »Od nowej prawodawce swojej i królowej
- »Orontey wiedzione srogiej i surowej,
- »I nawy, które wiatry do brzegów przygnały,
- »Ogniem srogiem paliły i na łup dawały.
- »I jeden żywo nie był mężczyzna puszczony,
- »Coby onę nowinę zaniósł w cudze strony.

XXIX.

- »Przez kilka lat tak same w onem kraju żyły
- »Okrutne białęgłowy i mężczyzny biły;
- »Ale prędko poznali, żeby były szkody
- »Nie uszły, nie zabiegszy z jednostajnej zgody
- »Swem złościom, bo kiedyby nigdy nie rodziły,
- »Prawaby się ich były w niwecz obróciły
- »I królestwo było i prawo ustało,
- »Które, jak ony chciały, na wieki trwać miało.

XXX.

- »Przeto ostrości prawa nieco uchyliły
- »I przez pięć lat z okrętów, co tam przychodziły,
- »Dziesięć sobie nagładszych mężów obierały
- »I żywo je puszczały i zostawowały,
- »Takich, coby się beli tak dobrze stawili,
- »Żeby ze stem małżeńskie dzieło odprawili —
- »Bo ich spełna sto było — i tak był każdemu
- »Jeden mąż dziesiątkowi oddany jednemu.

XXXI.

- »Siła ich stracić dały, co się nie udali
- »I co się źle i słabo, nędzni, popisali.
- »Tych zasię, którzy mieli potężniejsze siły,
- »Towarzyszmi swych rządów i łask uczyniły;
- »Ale pierwej przysięgę uczynić musieli,
- »Którą pod gardłem iść i zachować mieli,
- »Aby wszystkich, coby tam beli przyjachali,
- »Bez wszelakiej litości mężczyzn zabijali.

XXXII.

- »Potem mięzszeć brzemiony i rodzić się jęły,
- »A zatem się barzo bać i trwożyć poczęły,
- »Aby męskiej tak wiele płci nie narodziły
- »Za czasem, żeby się jej zaś nie obroniły
- »I żeby jem nakoniec rządów nie musiały
- »Puścić, w których tak barzo same korzystały;
- »Przeto postanowiły, póki beli mali
- »I póki niedołężni, aby nie wierzgali,

XXXIII.

- »Srogie prawo, okrutne prawo uchwałyły,
- »Strzegąc, aby pod męską zwierchnością nie były,
- »Aby jednego tylko matka zostawiła,
- »Inszych albo sprzedała albo podawiła.
- »Dla tego je w dalekie strony zasyłają
- »I tem, co je prowadzą, srogi przykaz dają,
- »Aby, jeśli być może, na frymark je dali
- »Za białą płęć; jeśli nie, aby je przedali.

XXXIV.

- »Jednegoby mężczyzny pewnie nie żywiły,
- »Kiedyby same bez nich potomstwo rodziły;
- »Toć jest nawiętsze tego dobrodziejstwo prawa,
- »Które więcej swem, niżli obcem, zła ustawa
- »Pokazuje, bo inszych jednako skazuje
- »Na srogą śmierć i w tem się tylko poprawuje,
- »Że nie chce, aby wszystkich, jak przed tem czyniały,
- »Bez porządku niewiasty srogie zabijały.

XXXV.

- »Jeśli dziesięć lub więcej, wiatrem zapędzeni,
- »Przybyli tam, do kluzy wnet beli wsadzeni,
- »Skąd potem po jednym na dzień wyjmowani
- »I przez los, kto miał zginąć, beli wybierani
- »W ten czas, gdy Orontea okrutna rządziła,
- »Która tam Pomście ołtarz była postawiła,
- »A jeden był z dziesiątka przez los do tej kary
- »Obrany, aby srogie odprawił ofiary.

XXXVI.

- »Po wielu lat przybył tu jeden zawołany
- »Rycerz młody, imieniem Albani nazwany,
- »Który się był zbyt pięknie i kształtnie urodził,
- »A od Alcydy swój ród zacnego wywodził.
- »Ledwie się postrzegł, jako został poimany,
- »Jako ten, co on kraj miał za niepodejrzany;
- »Potem go do ciasnego więzienia oddano
- »I do srogiej ofiary z inszemi schowano.

XXXVII.

- »Gładki był i udatny, pięknych obyczajów,
- »Uczony i świadomy wielu różnych krajów,
- »I tak był słodkiej i tak przyjemnej wymowy,
- »Żeby rady słuchały jego słodkiej mowy
- »Srogie żmije. Wtem, gdy go do więzienia dano,
- »Jako o rzeczy rzadkiej o niem powiedziano
- »Aleksandrze; córa to Orontei była,
- »Która długimi ciężka laty, jeszcze żyła.

XXXVIII.

- »Jeszcze żyła, drugie już były zumierały
- »Wszystkie, co były z Krety w ten kraj zajachały;
- »Inszych się narodziło siła, które były
- »Potem przyszły swem rządem do niemałej siły
- »I do dziesiąci kuźnic, które próżnowały
- »Często, jednego tylko robotnika miały;
- »A dziesięć zaś rycerzów wszystkich zabijali
- »Przychodniów, co się jedno w tamten kraj trafiali.

XXXIX.

- »Aleksandra, której tak siła powiadano,
- »O Albaniem i której go tak zalecano,
- »Tak długo swojej starej macierze prosiła,
- »Że go jej na ostatek widzieć pozwoiła;
- »I kiedy już miał odejść, poczuła, że mało
- »Serca w niej, które za niem biegało, zostało;
- »Czuje się, sama nie wie, jako, poimana
- »I zostawa od swego więźnia skrępowana.

XL.

- »Kiedyby tu — mówi jej — ludzkość panowała,
- »Kiedyby się, o piękna panno, najdowała
- »Tu w tem kraju, jako się gdzie indziej najduje,
- »Wszędzie, gdzie słońce świeci i bieg odprawuje,
- »Prosiłbym was bezpiecznie przez wasze piękności,
- »Dla których serca twarde miękczają z miłości,
- »Abyście mię żywotem teraz darowały,
- »A potem jem według swej wolej szafowały.

XLI.

- »Ale kiedy w tem kraju, krom wszelkiej słuszności
- »Wszystkie serca są srogie i próżne litości,
- »Nie proszę, abyście mię zdrowiem darowały,
- »Bo wiem, żeby me prośby skutku nie uznały,
- »O to proszę: niech umrę, jako rycerz prawy,
- »Z bronią w ręku, nie jako dla jakiej złej sprawy
- »Osądzony na garło i na śmierć skazany,
- »Albo wół, na ofiarę bogom zgotowany«.

XLII.

»Aleksandra, co oczy łzami umoczone
 »I serce miała żalem wielkiem przerażone,
 »Odpowie: »Niech tak będzie, że okrutniejszego
 »Miasta nad to nie najdzie i nieludcejszego;
 »Ale tego nie przyznam, aby między nami
 »Wszystkie były, jako ty twierdzisz, Medeami;
 »I choćby były wszystkie, ja sama w tę radę
 »I w tę się liczbę, tak wiedz, Albani, nie kładę.

XLIII.

»I jeślim przedtem była okrutna w tej ziemi
 »I niezbożna zarówno z inszemi wszystkimi,
 »Podomno to dla tego, żem dotąd nie miała
 »Nikogo, komubym swą dobroć pokazała;
 »Alebych była gorsza, niż lwi przemorzeni,
 »I sercebych nosiła twardziejsze kamieni,
 »Jeżeli bym na twoje słowa nie zmiękczała
 »I kiedyby mię litość poruszyć nie miała.

XLIV.

»Bodaj to prawo srogie było tak zniesione,
 »Które przeciw przychodniom jest postanowione,
 »Jakobym się twojego żywota, wiedz o tem,
 »Nie wzbraniała odkupić mem własnem żywotem.
 »Ale okrutne prawo zagroziło drogę,
 »Że cię tak, jako życzę, ratować nie mogę;
 »I chocia to mała rzecz, o co nas chcesz prosić
 »Albo prosisz, w tem miejscu trudno co uprosić.

XLV.

»Tuszę jednak, że tę rzecz za staraniem mojem
 »Otrzymasz, jako pragniesz, abyś umarł bojem;
 »Ale się o to boję, aby cię przez dzięki
 »Sroższa śmierć nie potkała zasię z cudzej ręki.
 »Na to rzekł Albaniusz: »Tak się dobrze czuję,
 »Kiedy członki żelazem dobrze obwaruję,
 »Że dziesięci najwęższych rycerzów pożyję
 »I sam żywy zostanę, a onych pobiję«.

XLVI.

»Aleksandra mu na to nie odpowiedziała,
 »Tylko ciężko westchnęła, kiedy odchadzała;
 »Stamtąd do Orontei, matki swojej, poszła,
 »A tysiąc ran śmiertelnych w sercu z sobą niosła;
 »I woła jej nowego więźnia powiedziała
 »I prosiła, aby go zabić nie kazała,
 »Kiedyby był tak mężny, żeby jawnie w rynku
 »Dziesięci inszych zabił sam na pojedynku.

XLVII.

»Orontea królowa do rady zebrała
 »Swe niewiasty co starsze i tak rokowała:
 »Wiecie to wszystkie dobrze, jako na tem siła,
 »Aby straż wszędzie dobra w naszych porciech była;
 »A żeby była dobra, trzeba nam próbować
 »Tych wszystkich, co ich będą mieli zawiadować,
 »Aby z naszym upadkiem marni nie rządźili,
 »A mężni bez słuszności zdrowia nie tracili.

XLVIII.

»Mnie się zda, aby prawo było uczynione
 »Na mężczyzny, do naszych krajów przypławione,
 »Aby każdy, niż na śmierć do ofiary stanie,
 »Jeśli sam tak będzie chciał, uczynił potkanie
 »Sam a sam w pojedynku na placu przestronem
 »Z dziesiątkiem inszych mężczyzn, na to naznaczonem;
 »Jeśli wszystkich zabije, ten niech za tą próbą
 »Portem rządzi i wszystek lud niech ma pod sobą.

XLIX.

»To mówię, że tu jeden więzień się najduje,
 »Który się bić z dziesięcią naszych ofiaruje;
 »Jeśli tak, jakim się być udaje, jest śmiały,
 »Czemużbyśmy mu tego pozwolić nie miały?
 »Przeciwnem obyczajem, niech będzie karany,
 »Jeśli na pojedynku będzie przekonany.
 »Tak w on czas Orontea swą radę dawała,
 »Na co jej co nastarsza tak odpowiedziała:

L.

- »Nie ta była przyczyna pierwsza, zacne panie,
- »Żeśmy wzięły męską płeć z sobą w obcowanie,
- »Aby ich miastu było potrzeba nowemu
- »Dla obrony i temu królestwu naszemu,
- »Bo tak, jako i oni, mamy z to śmiałość
- »I dowcipu i serca i umiejętności;
- »Bógby chciał, żebyśmy tak mogły bez nich rodzić
- »I bez nich same przez się potomstwo wywodzić.

LI.

- »Lecz że to być nie może, na to się zgodziły
- »Te, które tu napierwej prawa stanowiły,
- »Aby ich nigdy więcej nie mieszało z nami,
- »Jedno — boby się mogli uczynić panami —
- »Jeden przeciw nas dziesięć; i to się czyniło
- »Dla płodu, nie, aby ich nam potrzeba było
- »Dla obrony; w tem samem niechaj będą mężni,
- »W ostatku niepotrzebni, marni, niedołężni.

LII.

- »Przeciwna to we wszystkim od celu naszego
- »Między sobą męczyznę chować tak męznego;
- »Bo jeśli dziesięć inszych sam jeden zabije,
- »Pytam was, wiele taki białychgłów pożyje?
- »Kiedyby takich dziesięć być między naszymi
- »Miało, dawnoby nam rząd wydarli w tej ziemi.
- »Głupstwo wielkie panować pragnąć, a inszemu
- »Dać broń w ręce, niżes sam, dobrze mocniejszemu.

LIII.

- »I to masz upatrować, że jeśli pożyje
- »Ten twój inszych dziesięć, jeśli ich zabije,
- »Usłyszysz, o królowo, sta niewiast odkryte
- »Narzekać o mężu, od niego zabite.
- »Chceli wynieść, niech insze sposoby podawa,
- »A niech tak mężobójcą wielkiem nie zostawa.
- »Jednak, jeśli sto w łóżku białychgłów odprawi,
- »Jako ich dziesięć czyni, niechaj się wybawi.

LIV.

- »Surowe było zdanie Artemiej paniej —
- »Tak się zwała — atoli nie stało na niej,
- »Boby był Albanusz w kościele, o srogi
- »Wyroku, błagał swą krwią niepobożne bogi;
- »Ale stara królowa, która na tem była,
- »Aby córce dogodzić, tak wiele wносиła
- »Wywodów wielkich, że jej przewyszczyło zdanie
- »I wszytek białogłowski przypadł senat na nie.

LV.

- »Gładość Albanusza prawie niesłychana
- »I grzeczność i uroda, z nikim nie zrównana,
- »Tak wiele w sercach młodych białychgłów ważyły,
- »Które w radzie na on czas z Orontęą były,
- »Że starsze z Artemią niewiasty przegrały,
- »Które się praw i dawnych zwyczajów trzymały;
- »I blisko tego było, że od drugiej strony
- »Mało nie był Albani młody wypuszczony.

LVI.

- »Krótco mówiąc, miał szczęście i padł dekret po niem,
- »Ale tak, aby jako rozumiano o niem,
- »Dziesięć inszych sam a sam żywota pozbawił,
- »Dziesięć tylko, lecz nie sto, białychgłów odprawił.
- »Drugiego dnia był zaraz z wieże wywiedziony
- »I w zwykłą swoją dobrą zbroję obleczonej.
- »Mając dobry pod sobą koń, na placu długiem
- »Wszystkich dziesięć zabił, jednego po drugim.

LVII.

- »Tejże nocy na drugą próbę był puszczonej
- »I w łóżnicy z dziesięcią panien położony;
- »Gdzie mu się tak zdarzyło, choć się był zmordował
- »Długiem bojem, że wszystkich skusił i skosztował.
- »Czem sobie taką łaskę zjednał u królowej,
- »Że go wzięła za syna i do proby nowej
- »Córke mu swą i dziewięć dziewic naznaczyła,
- »Z którymi się najpierwsza proba odprawiła.

LVIII.

- »Aleksandrę mu piękną i to miasto dała,
- »Która je potem swoim imieniem nazwała,
- »Ale tak, aby prawo ono i sam chował
- »I potomek, co po niem będzie następował,
- »Aby każdy przychodził, co do tego kraju
- »Trafi się, obrać sobie mógł według zwyczaju
- »Albo umrzeć ofiarą na bogów błaganie,
- »Albo z dziesięcią mężów mieć bój i potkanie.

LIX.

- »Gdzie, jeśli sam wszystkich żywota pozbawił,
- »Aby i drugą próbę w łożnicy odprawił;
- »A jeśli mu się szczęście stawi tak łaskawie,
- »Że zwyciężąc zostanie i na tej rozprawie,
- »Ten niech panem zostanie i według swej wolej
- »Niech sobie dziesięć dziewic obierze po wolej,
- »Z którymi niech króluje, aż drugi przybędzie,
- »Co mu, jako on inszem, na garle usiedzie.

LX.

- »Dwa tysiąca lat spełna, jako powiadają,
- »Chowano srogie prawo i dotąd chowają;
- »I rzadki dzień, w któryby nie miał być zarznięty
- »Na ofiarę przychodzić jaki z cudzej strony.
- »Jeśli się który boju z dziesięcią napiera,
- »Pospolicie na pierwszym potkaniu umiera;
- »Z tysiąca ledwie jeden taki się najduje,
- »Który do drugiej próby, nocnej, postępuje.

LXI.

- »Trafiają się niektórzy, którzy postępują,
- »Ale tak rzadko, że ich na palcach rachują.
- »Między takimi jeden Argillan się liczył,
- »Ale niedługo z swoim dziesiątkiem dziedziczył;
- »Bo kiedym tu przyjechał, wiatry zapędzony,
- »Beł odemnie z dziesięcią inszych zwyciężony.
- »Bóg tak chciał, żem ja raczej nie pozbył żywota,
- »Niż na mię padła hańba i taka sromota.

LXII.

- »Bo wczasy i rokoszy, które więc człowieku
- »Smakują, zwłaszcza tego rozkwitłego wieku,
- »I purpury i złoto, zwierzchność, przodkowanie,
- »Przełożęństwo, dostatki, rząd i panowanie,
- »Zda mi się, że nie mają smaku i wdzięczności;
- »Kiedy człowiek pożądnej nie jest na wolności;
- »I to mi się zda ciężka niewola, że w drogę
- »Nigdziez stąd, nieszczęśliwy, wyjechać nie mogę.

LXIII.

- »Ale to mi najwięcej przydawa żałości,
- »To mi wszytek smak bierze, że kwiat mej młodości
- »Ladajako i w marnem tracę próżnowaniu,
- »Tyjąc, jako wieprz jaki, w tem tu poimaniu.
- »Sława mojego rodu brzmi tak, jako trzeba,
- »Prawie po wszytkiem świecie i dosięga nieba,
- »Którejby ja też mógł mieć jaką odrobinę,
- »Kiedybym wždy nawiedzić mógł moję rodzinę.

LXIV.

- »Zda mi się, że mi krzywdę nieba uczyniły,
- »Że mnie do tak nikczemnych posług obróciły,
- »Jako ten, co więc konia obraca do stada,
- »W którym się lub chromota lubo insza wada
- »Lub ślepota najduje, że musi w pokoju
- »Gnuśnieć i surowego zapominać boju.
- »I życzę sobie śmierci, kiedym tak zrzucony
- »Z nadzieje, abym kiedy miał wynieść z tej strony«.

LXV.

Tu Gwidon potem przestał i zlorzeczył dniowi,
 Puściwszy wodze swemu wielkiemu gniewowi,
 W którym zwycięstwa przeciw dziesiątkowi dostał
 I rycerzów i dziewic i tam panem został.
 Astolf się nie chciał dać znać i stał utajony
 Tak długo, aż beł z wielu znaków upewniony,
 Że mu tak, jako Gwidon mówił, beł powinien
 Syn zacnego Amona i ten, a nie inny.

LXVI.

Potem mu, nie tając się więcej, odpowiedział
I jako był brat jego tak blizki, powiedział
I wielką mu uprzejmość i chęć pokazał
I w głowę go, nie bez łez, kilkakroć całował.
»Nie mogłać — prawi — matka na szyi zostawić
»Pewniejszych znaków, które miały cię objawić;
»Bo żeś z naszej krwi poszedł, twoje obyczaje,
»Twoje serce i męstwo twoje cię wydaje«.

LXVII.

Gwidon, który gdzie indziej byłby był wesoły,
Nalazszy tam tak blizkie swoje przyjaciół,
Z smętną twarzą Astolfa w tem miejscu przyjmował
I że się tam z niem trapił, niezmiernie żałował.
Jeśli sam żyw zostanie, więźniem będzie drugi,
Do czego już kres, tylko przez noc, tak niedługi;
Jeśli też Astolf zginie, zabiją samego:
Tak dobre tego jest złe wyraźne drugiego.

LXVIII.

Żał mu k temu, że inszy rycerze koniecznie,
Jeśli wygra, więźniami zostać muszą wiecznie;
Ale jeśli też w onem pojedynku zginie,
Po staremu nieszczęsnych niewola nie minie.
Bo jeśli je z jednego błota wyjmie snadnie,
Kiedy zaś do drugiego przydzie, także wpadnie.
Darmo nad niem Marfiza otrzyma wygraną,
Bo zginie, a ci przedsię w niewolej zostaną.

LXIX.

Z drugiej strony wiek młody, rozkwitły i owa
Ludzkość, grzeczność i wielka dzielność Gwidonowa
Tak serce towarzyszków wszystkich przerażyły
I Marfizę takową litością ruszyły,
Że jem przyszła ich wolność prawie do wzgardzenia,
Kiedy jej mieć nie mogą bez jego zginienia;
I jeśli go Marfiza musi zabić, krzywa
Tak się rozumie, że być sama nie chce żywa.

LXX.

I mówi Gwidonowi: »Pospołu pójdziemy
»I gwałtem z tego miejsca wszyscy wynidziemy«.
On jej na to: »Niemasz tu ucieczki nadzieje:
»Na śmierć tu tylko samą dają przywileje«.
Ona zaś: »O co jeno kiedy się pokuszę,
»Zawždy skończę w tej sprawie, zawsze sobie tuszę;
»A pewniejsza się droga stąd uść nie najduje
»Krom tej, którą mi sama szabla ukazuje.

LXXI.

»Takem na placu twego męstwa doświadczyła,
»Żebym się o większą rzecz z tobą pokusiła;
»Przeto jutro chcę, kiedy niewiasty się znidą
»Na plac patrzeć na nasz bój i na ganki wnidą,
»Abyśmy na nie z każdej uderzyli strony,
»Lubo będą uciekać lub czynić obrony,
»I żebyśmy ich trupy zwierzom zostawili
»I ptakom tego miejsca i miasto spalili«.

LXXII.

Gwidon jej zasię na to: »Ja w każdej potrzebie
»Gotowem być i umrzeć zawsze podle ciebie;
»Ale stąd żywo wyniść daremnie myślemy:
»Dosyć na tem, że się wždy cokolwiek pomścimy.
»Często dziesięć tysięcy na plac się zjeżdżiwa
»Złych białychgłów, a czasem i więcej ich bywa;
»Tyle drugie zostaje tych, które pilnują
»Zamku, portu i które ma murach wartują«.

LXXIII.

„Niech ich będzie tak wiele — Marfiza odpowie —
»Jako mieli ludzi swych z Kserksesem Persowie,
»Albo tak wiele, jako było pozmiatanych
»Z nieba pokus, na męki do piekła skazanych:
»Jeśli ty będziesz ze mną, a przynajmniej z niemi
»Nie będziesz, jam gotowa bić się ze wszystkimi
»I wiem, że ich pobiję«. — Gwidon zaś: »Ja powiem
»Jeden sposób, przez który ujdziem z całem zdrowiem,

LXXIV.

»Jeden ten tylko sposób, jeśli nam wynidzie
 »I jeśli jakie znaczne nieszczęście nie przydzie:
 »Nikom u się krom niewiast do morza nie godzi
 »Chodzić z miasta; jeśli kto ukradkiem wychodzi,
 »Gardłem bywa karany i dlatego muszę
 »Zwierzyc się tego jednej z tych niewiast i tuszę,
 »Że mę pewnie nie wyda, bom nieraz miłości,
 »Nierazem jej ku sobie doznał życzliwości.

LXXV.

»I wiem to, że i ona ma tę dobrą wolę
 »Zdjąć ze mnie i tak ciężką i brzydką niewolę,
 »Spodziewając się, żeby sama ze mną żyła
 »I żeby towarzyszek inszych swych pozbyła.
 »Ta, kiedy ciemne mroki poczną następować,
 »Każe po cichu dobrą fustę nagotować,
 »Którą naszy żęglarze i w żagle ubraną
 »I w wiosła, kiedy będzie potrzeba, zastaną.

LXXVI.

»Za mną, w kupę ściśnieni wszyscy marynarze,
 »Wszyscy rycerze, wszyscy kupcy i żęglarze,
 »Którzyście się dziś w dom mój terazniejszej chwili,
 »Za co niechaj wam będzie dzięki, zgromadzili,
 »Pójdziecie i drogę mi będziecie torować,
 »Jeśli by nas kto myślił wściągać i hamować;
 »Tak za pomocą mieczów, ujrząwszy pogodę,
 »Pewniem, że was z miasta bezpiecznie uwiodę«.

LXXVII.

»Ty czyń, co chcesz — odpowie Marfiza surowo —
 »Ja wiem, że sama przez się stąd ujadę zdrowo,
 »I pierwej ujrzysz wszystkie te larwy niewieście
 »Pobite od mej ręki, które są w tem mieście,
 »Niżbym krok na zad stąpić albo uciec miała,
 »Lub jaki znak po sobie strachu pokazała.
 »Chcę stąd wynieść, chcę za dnia i chcę tylko gwałtem
 »I mniemam, iż sromota wynieść inszem kształtem.

LXXVIII.

»Kiedy by mnie niewiasty, żem dziewczką, poznały,
 »Wiem to pewnie, żeby mnie barzo szanowały,
 »I wiem, żeby mi z sobą wszystkie były rady
 »I wzięły by mę w senat i do pierwszej rady;
 »Ale iżem pospołu z temi przyjechała,
 »Nie chcę, abym przywilej więtszy nad nie miała;
 »Błądby był, kiedy bym się sama wyzwoliła,
 »A tych drugich w niewolej ciężkiej zostawiła«.

LXXIX.

Te i insze tam były Marfizine słowa,
 Z których jawnie dawała znać cna białogłowa,
 Że się na towarzysze tylko oglądała
 I że się, bojąc się ich zawieść, hamowała,
 Że bez wieści z pamiętnem znakiem swej śmiałości
 Nie uderzyła zaraz na rodzaj niewieści;
 Dlatego na Gwidona onę rzecz puściła,
 Użyć drogi, co lepsza według niego była.

LXXX.

Wtem z Aleryą Gwidon, co wierniejszą żoną,
 Mówi i odkrywa jej sprawę umówioną.
 Nie trzeba mu jej było długo prosić; owa,
 Krótko mówiąc, znalazł ją, że była gotowa.
 Do morza wskok dla fusty w ciemne mroki poszła
 I złoto i swe skarby co lepsze wyniosła,
 Zmyślając, skoroby dzień swojemu woźnicy
 Febus kazał wieść na świat, wynieść na zdobyczy.

LXXXI.

Ale pierwej, niżli się do morza wybrała,
 W pałacu miecze, tarcze i zbroje zebrała,
 Które na się żęglarze, kupcy obłóczyli,
 Którzy na poły nadzy i bezbronni byli.
 Jedni spali, a drudzy straż odprawowali
 I między się odmienne prace dzielali,
 Co raz patrząc, jeśli się niebo czerwieniało
 Na wschód słońca i jeśli świtać poczynało.

LXXXII.

Jeszcze był, wyjeżdżając z morza, pan światłości
 Nie rozegnał, jak trzeba, mroków i ciemności,
 Dopiero Arktofilaks od północnej strony
 Orać pługiem poczynił niebieskie zagony,
 Kiedy niewieście gminy on plac napełniły,
 Aby na koniec boju straszego patrzyły,
 Jako więc napełniają pszczoły ule swoje,
 Kiedy na wiosnę nowe rozczytają roje.

LXXXIII.

W bębny, trąby i surmy uderzyć kazały,
 A dźwięki się nakoło wszędzie rozlegały,
 Dawając znać, aby się wrócił, Gwidonowi
 I koniec rozczętemu dał pojedynkowi.
 Już stali pogotowiu Akwilant z Gryfonem,
 Ubrani w świetne zbroje, i Astolf z Gwidonem,
 Sansonet i Marfiza; ci konno, a owi
 Inszy pieszo, do przyszłej potrzeby gotowi.

LXXXIV.

Kto chciał z pałacu morza i portu dojachać,
 Musiał koniecznie poprzek przez on plac przejechać;
 Żadnej drogi, lub długiej lub krótkiej, nie mieli
 Nad tę, co od Gwidona już wszyscy wiedzieli.
 Który, skoro swych zagrzał słowy przystojnemi,
 Ruszył się od pałacu cicho ze wszystkimi
 I na plac, gdzie niewiasty stały w onej dobie,
 Wjachał śmieje, mając ich coś nad sto przy sobie.

LXXXV.

Zbyt śpiesznie towarzysze swe Gwidon prowadził,
 Aby ich był co pręcej z bramy wyprowadził;
 Ale wielki tłum niewiast, które stały wkoło,
 Wszytek zbrojny, począł mu zachodzić na czoło.
 Mniemały, widząc, kiedy inszych wiódł za sobą,
 Że chciał uciec i z bramy wypaść oną dobą;
 I łuki wszystkie razem ku niemu nałożyły
 I tę stronę, gdzie mieli wypaść, zastąpiły.

LXXXVI.

Gwidon i inszy wszyscy i mężna dziewica
 Wpadła na nie tak, jako przemorzona lwica.
 Bijąc, siekąc i koląc, długo się silili,
 Aby żelazne wrota u bramy wybili;
 Ale tak wielki był tłum niewieści u brony,
 Że strzały szły, jako deszcz; ten srodze zraniony,
 A ten zabity leży, że na koniec w onej
 Potrzebie bardzo blisko już beli straconej.

LXXXVII.

Jeszcze dobrze, że zbroje mieli doskonałe,
 Że wżdy piersi za niemi zachowali całe.
 Pod Sansonetem dzielny koń poległ, zabity,
 Pod Marfizą padł, spisem przez szyję przebity,
 A wtem książkę angielskie sam rzecze do siebie:
 »A ja w jakiej swej trąby użyję potrzebie?
 »Spatrzę, kiedy miecz mało sprawił, jeśli mogę
 »Trąbą samą rozczętą ubezpieczyć drogę«.

LXXXVIII.

Jako się we złem razie każdy więc ratuje,
 Jako może, tak Astolf trąbę w czas wyjmuje
 I przykładu do gęby: dźwięki straszne wstają,
 Które ziemię i morze i niebo mieszają;
 Wszytek świat drży, lud, srogiem strachem przerażony,
 Chcąc uciekać, na sobie pada obalony,
 Niewiasty od bojaźni z teatrum spadają
 I swojej bramie więcej obrony nie dają.

LXXXIX.

Jako wielką bojaźnią ludzie przerażeni,
 Kiedy już ogień wszystkie opanował sieni
 I wszytek dom nakoło, w ten czas, kiedy spali
 I dzienny trud i troski we śnie umarzali,
 Biegając i tam i sam i nie wiedząc dziury
 Do ucieczki, spadają i z okien i z góry:
 Tak na on czas niewiasty z teatrum spadały
 I przed strasliwym dźwiękiem wszystkie uciekały.

XC.

Uciekały tam i sam przed dźwięki straszniemi:
 Na górze i na dole, pełno ich na ziemi;
 Jest ich przez tysiąc w bramie, co się uprzedzają
 Do wyjścia i same się przez się powalają.
 W takim wielkiem nacisku ta żywota strada,
 Ta z okna, a ta z ganku wysokiego spada;
 Ta rękę, owa nogę, a ta szyję łamie,
 Ta zdycha, ta już zdechła, a ta tylko chramie.

XCI.

Wrzask wylęknionych niewiast płacz i narzekanie
 Aż do nieba sięgało i wielkie wołanie.
 Gdziekolwiek dźwięk dochodzi, tłuszcza, pełna trwogi,
 Jako nadal niesie ukwapliwe nogi.
 Ale się nie dziwujcie, że w tej mieszaninie
 Małe serce widzicie i strach w podłem gminie:
 Wiecie, że przyrodzenie stworzyło zajęce
 Zawszy lękające się, zawsze się bojące.

XCII.

Ale co mi o mężnej Marfizie rzeczenie?
 Co o Gwidonie Dzikim rozumieć będziecie?
 Co i o Sansonecie, co o drugich owych
 Rycerzach wielkich, syniech Oliwijerowych?
 Nie baliby się byli pierwsi sta tysięcy,
 A teraz uciekają jako ród zajęcy,
 Jako króliki, jako gołębie na ciszą,
 Kiedy grzmot jaki blizki i kołat usłyszają.

XCIII.

Tak swem jako i obcem dźwięk i moc wadziła,
 Co z uczarowanego rogu wychodziła;
 Ucieka za Marfizą Sansonet z Gwidonem,
 Za Gwidonem Akwilant pospołu z Gryfonem.
 Ale ich wszędzie ściga i dosięga w uszy
 Dźwięk, który strach przynosi wylęknionej duszy.
 Astolf biega po mieście, a u gęby trzyma
 Swoję trąbę i coraz bardziej ją nadyma.

XCIV.

Ta do morza, ta w góry wielkie w one czasy,
 Ta bieży i kryje się między gęste lasy;
 Niektóre tak się były z strachu zapomniały,
 Że nie oglądając się, pięć dni uciekały,
 Niektóre rozbiegszy się, z wielkimi pochopy
 Z mostów na dół spadały w głębokie przykopy.
 Uprzątnął rynki, domy, kościoły, że mało
 Albo raczej nic w mieście niewiast nie zostało.

XCV.

Marfiza spół z Gwidonem i bracia rodzeni
 I Sansonet, okrutnem strachem przerażeni,
 Uciekali do morza prosto, a za niemi
 Kupcy i marynarze z inszemi wszystkimi,
 Gdzie była Alerya fustę zgotowała
 Między dwiema zamkami i męża czekała;
 Na którą, skoro wpadli, z portu poszli nagle,
 Na wodę wiosła, na wiatr wyciągnawszy żagle.

XCVI.

Wszystko miasto angielskie książę i przedmieście
 Przebieżał aż do morza; ale i po mieście
 I w porcie wszystkie próżne ulice zostały:
 Niewiasty się pokryły i pouciekały.
 Były i te, co z wielkiej bojaźni uchody
 Obracały w plugawe miejsca i wychody;
 Drugie się wpław na morze głębokie puściły,
 Nie wiedząc, gdzie się podzieć i w niem się topiły.

XCVII.

Astolf, jako się było rzekło między niemi,
 Spodziewał się u portu potrafić z swojemi.
 Około siebie wszędzie wkoło upatruje,
 Ale brzeg tylko pusty, bez ludzi najduje;
 Patrzy dalej i ujrzy daleko od brzegu
 Towarzystwo płynące swoje w pełnem biegu;
 Widzi, że już brać musi przed się inszą drogę,
 Kiedy fusta odeszła w oną wielką trwogę.

XCVIII.

Ale dajmy mu pokój; niechaj zdrowy jedzie
 Tam, gdzie go jego wola i chęć jego wiedzie.
 Nie bójcie się oń, że sam ma tak wielką drogę
 Odprawić przez pogańskie kraje, bo was mogę
 Upewnić, że z największych niebezpieczeństw drogiem
 I z największych złych razów wyńdzie swoim rogiem,
 A puśćmy się za jego wciąż towarzyszami,
 Co morzem uciekają, ujęci strachami.

XCIX.

Kiedy się oddalili, płynąc w pełnem biegu,
 Od niepobożnej ziemie, od srogiego brzegu
 Tak daleko, że ich już więcej nie dochodził,
 Już jem więcej straszliwej trąby dźwięk nie szkodził,
 Tak ich hańba i ona sromota bolała,
 Że jem twarz wstydem, jako od ognia, pałała;
 Nie śmieją na się spojrzeć, tylko smętni stoją,
 Nic nie mówią, choć się już niczego nie boją.

C.

Tem czasem stary szyper swej drogi pilnuje,
 Bieżąc morzem Egejskiem i Rod zostawuje;
 Widzi Cypr i sto wysep, kryjących się z głową
 Niebezpieczną — Maleą marynarze zową —
 I temże wiatrem dobrem jadąc od Maleej,
 Widzi kryjący mu się kraj greckiej Moreej;
 Puszczając Sycylią, przez Tyreńskie morze
 Przy brzegach włoskiej ziemie słone wody porze.

CI.

Na ostatek do Luny szczęśliwie przyjechał,
 Gdzie był żony i swojej czeladzi odjechał;
 I wysiadł na brzeg, Bogu dziękując, że wody
 Morskie przebył bez jakiej znacznej swojej szkody.
 Tam francuskiego szypra jednego zastali,
 Który radził rycerzom, aby z niem jachali.
 Tegoż dnia się puścili w drogę do Francyej
 I wkrótce dojachali pięknej Marsyliej.

CII.

Bradamanta na ten czas w tem kraju nie była,
 Która miastem i wszytkiem powiatem rządziła;
 By była, pewnieby ich była na swem chlebie
 Pottrzymała czas jaki w gościnie u siebie.
 W tę prawie, kiedy z morza wysiedli, godzinę
 Marfiza cnych rycerzów czterech i drużynę
 I Gwidonową przytem żonę pożegnała
 I na szczęście się w drogę osobną udała,

CIII.

Mówiąc, że nie przystało ani się godziło,
 Aby w kupie tak wiele rycerzów jeździło,
 A że zwierze i ptastwa bojaźliwe rady,
 Wróble, szpacy, jelenie, sarny chodzą stady;
 Ale mężni sokoli i śmiali orłowie,
 Niedźwiedzie i zubrowie, lwi i tygrysowie
 Bez towarzystwa, sami chodzą i latają,
 Bo niczyjej pomocy potrzeby nie mają.

CIV.

Ale inszy rycerze na tem nie przestali,
 Aby się z towarzystwa beli rozjachali,
 I tak samej Marfizie jednej w one czasy
 Przyszło jachać przez puszcze, przez góry, przez lasy.
 Bitszem się obrócili gościńcem z Gryfonem
 Białem czarny Akwilant, Sansonet z Gwidonem,
 Aż do jednego zamku nazajutrz przybyli,
 W którym chętnie przyjęci do noclegu byli.

CV.

Chętnie, ile znać było po zwierzchniej postawie,
 Ale w sercu niechętnie i zbyt niełaskawie,
 Bo pan onego zamku, co jem chęć pokazał,
 Zmyślał wszystko i skutkiem inaczej ukazał;
 Od którego na łóżku beli poimani,
 Kiedy spali, po przykrem trudzie spracowani,
 I nie pierwej ich puścić, aż przysiądz musieli,
 Że pewnie jej prawo zachowywać mieli.

CVI.

Ale się wolę jemi w inszy czas zabawić,
A teraz chcę zuchwałą Marfizę odprawić.
Druencę i z Sekwaną Rodan przejechała
I w dolinę wesołą pod górą wjechała;
I ujrzy nad potokiem bystrem w czarne szaty
Ubraną białogłową, już podeszłą laty,
Długą drogą i długiem chodem utrudzoną,
Ale barziej żalością jakąś utrapioną.

CVII.

Ona to baba, która z zbójcami mieszkała
I co w lesie w jaskinie jem posługowała,
Gdzie się, jeśli pomnicie, bom już śpiewał o tem,
Jako Bóg chciał, trafił był Orland grabia potem.
Teraz bojąc się śmierci, nie śmiała odkrycie
Dać się znać dla przyczyny, którą usłyszycie,
I nie gościńcem, ale ścieszkami jeździła
Ustronnemi, aby gdzie poznaną nie była.

CVIII.

Za obcego żołnierza po zbroi, po stroju
Rozumiała Marfizę; dlatego w pokoju
W miejscu stała nad wodą ani uciekała,
Jako przed znajomemi więc zawsze czyniała;
I owszem z śmiałą dosyć i bezpieczną twarzą,
Nie pomniąc, że niecnoty takie wszędzie karzą,
Nad pięknem się potokiem tam zastanowiła,
Gdzie Marfiza jachała, którą pozdrowiła.

CIX.

Potem jej wielką prośbą zła baba poczęła
Prosić barzo, aby ją na koń za się wzięła
I przez potok przeniosła. Marfiza, co była
Dziwnie ludzka, tak, jako chciała, uczyniła
I owszem ją za siodłem miała dobrą chwilę
I niosła ją przez błota więcej, niżli milę,
Przez błota, przez kamienie, aż się jem udała
Droga dobra, na której rycerza potkała.

CX.

On rycerz był bogato ubrany i strojny,
Na koniu miał drogi rząd, sam był wszytek zbrojny;
Do onej także rzeki jachał, z jednej strony
Od lokaja, od paniej z drugiej prowadzony.
Pani, którą miał z sobą, miała dość gładkości,
Ale niemniej niewdzięku, pychy i hardości,
Wzrzedna jakaś i przykra i godna onego
Rycerza, co ją z sobą prowadził, swojego.

CXI.

Chcecie wiedzieć, kto to był, na drodze potkany?
Był to grabia magancki, Pinabel nazwany,
Co niedawno w jaskinią Bradamantę wprawił
I mało jej zły człowiek żywota nie zbawił.
One łzy, one jego tak ciężkie wzdychanie,
One skargi, one tak wielkie narzekanie
Wszystkie były dla tej to, z którą teraz jachał,
A przedtem czarnoksiężnik z nią mu był ujachał.

CXII.

Ale skoro on pałac starego Atlanta
Zniosła i obróciła w niwecz Bradamanta,
Bradamanta przez męstwo i swoje dzielności,
Że każdy mógł iść, gdzie chciał, dostawszy wolności,
Ona, co się już była stawiała powolną
Grabi Pinabellowi, teraz będąc wolną
I swobodną, do niego znowu się wróciła
I od zamku do zamku sobie z niem jeździła.

CXIII.

A jako zrzędna zawsze i bezpieczna była,
Skoro jeno Marfizę mężną obaczyła,
Za siodłem u niej szpetną, starą sarnę widząc,
Poczęła babę drażnić, śmiejąc się i szydząc.
Marfiza, z którą było trzeba postępować
Obyczajnie i z którą źle było żartować,
Odpowiedziała paniej, gniewem zapalona,
Że jej baba piękniejsza była, niżli ona,

CXIV.

A że to rycerzowi jej pokazać chciała;
 Ale to sobie u niej pierwszej wymawiała:
 Jeśli z siodła wysadzi jej rycerza, aby
 Ona dała swe szaty i konia dla baby.
 Pinabel, który się bał hańby i sromoty,
 Kiedyby się beł z onej wymówił roboty,
 Tarcz bierze, koń obraca i z złożonem drzewem
 Naprzeciwko Marfizie bieży z wielkiem gniewem.

CXV.

Marfiza także mężna drzewo swe złożyła
 I Pinabella prawie w czoło uderzyła
 Tak, że spadł ogłuszony i ledwie do siebie
 W dobrą godzinę przyszedł po onej potrzebie.
 Cna Marfiza zarazem onej młodej paniej
 Zwierzchnie szaty i spodnie, które były na niej,
 Zewlec z siebie koniecznie zarazem kazała,
 Które tamże plugawej babie darowała,

CXVI.

Kazawszy jej, aby się ze swoich zewlokła,
 A w te, bojem nabyte, aby się oblokła;
 I na konia ją potem onego wsadziła,
 Na którym młoda pani dopiero jeździła.
 Tak z nią dalej jachała baba, im strojniejsza
 I im piękniej ubrana, tem dobrze szpetniejsza.
 Trzy dni z sobą jachały, ale nic takiego
 Nie trafiło się jem tam pisanie godnego.

CXVII.

Czwartego dnia, gdy sobie powoli jachały,
 Rycerza, który wielkiem cwałem biegł, potkały.
 Chciecie wiedzieć, kogo to? — Powiem wam: Zerbina,
 Króla cnego szockiego jedyne go syna,
 Przykład rzadkiej ludzkości i wielkiej dzielności,
 Który się gryzł sam w sobie od wielkiej żalości,
 Że się nie mógł nad jednym pomścić, dla którego
 Nie mógł sprawić pewnego dzieła pobożnego.

CXVIII.

Zerbin długo biegając daremnie po lesie,
 Szukał swojego zdrajce pilnie w onem czasie;
 Ale on tak gnał dobrze i tak wczas uprzedził,
 Że go zacny królewic szocki nie dopędził,
 Bo i lasem się ukrył i mgłą, która była
 W on czas światło słoneczne z rana zasłoniła.
 Gonił Zerbin tak długo, aż mu z oczu zginął
 I aż go gniew, którym był zagrzany, ominął.

CXIX.

Choć się gniewał, gdy babie Zerbin wejźrzał w oczy,
 Począł się śmiać do zdechu onej szpetnej mocy.
 Różna mu się daleko stara twarz widziła
 Od szat, które na sobie szpetna baba miała,
 I Marfizie, co obok z nią jedzie, powiada:
 »Pewnieć ta twoja panna kłopotu nie zada,
 »Mój cnotliwy rycerzu: założę się drogo,
 »Że ktoćby jej miał zajrzeć, nie najdziesz nikogo«.

CXX.

Jako zmarski i szpetna gęba wydawała,
 Laty zeszlęmi z starą Sybillą zrównała;
 Zdała się własną małpą zamorską, ubraną
 Dla śmiechu i uciechy w suknią szachowaną.
 A tem szpetniejsza była, im bardziej pałała
 Gniewem, który z wściekłego oka wymiałała.
 Bo nic przykrszego nad to niemasz białejgłowie,
 Jako, gdy ją kto szpetną lub starą nazowie.

CXXI.

Ukazała Marfiza z twarzy, że jej było
 Wrzкомо o one żarty na niego niemiło,
 I rzecze: »Moja panna więcej ma gładkości,
 »Więcej gładkości, niż ty masz w sobie ludzkości;
 »I rozumiem, że zmyślasz, bo to, widzę, umiesz:
 »Insze mówisz, a insze na sercu rozumiesz
 »I nie chcesz do niej widzieć wrzкомо jej gładkości,
 »Abyś przez to wymówić mógł swe nikczemności.

CXXII.

»Coćby to był za rycerz, któryby tak młodą,
 »Tak gładką, tak nadobną, tak piękną urodą
 »Widząc w tak małym poczcie w polu i na stronie,
 »Nie chciał jej sobie dostać, nie chciał się bić o nią?«
 »Tak wam z sobą przystoi — Zerbin na to powie —
 »Że was szkoda rozłączać, a też wierz mej mowie,
 »Nie tak nieobyczajny, nie takem surowy,
 »Abym ci ją miał odjąć: miej ją sobie zdrowy.

CXXIII.

»Ale jeśli się ze mną darmo chcesz kosztować
 »I jakie serce, jaką siłę mam, spróbować,
 »Sam gotów; ale o tę nie chcę z tobą boju,
 »Już ją sobie tak sam miej bez zwady w pokoju:
 »Lubo gładka lub szpetna, niech z tobą zostawa,
 »Niech się przez mię tak wielka przyjaźń nie rozstawa.
 »Prawieście się zgodzili: jako ta gładkości,
 »Tak wiele pewnie i ty masz w sobie śmiałości«.

CXXIV.

»A tak — rzecze Marfiza — atóż musisz dusznie
 »Wziąć ją sobie ode mnie, bo czynisz niesłusznie,
 »Że widząc ją tak gładką, tak bardzo niebogę
 »Przecię ganisz, czego ja wycierpieć nie mogę«.
 Królewic na to rzecze: »Ja mam za szaleństwo
 »Wdać się we zły raz jaki i niebezpieczeństwo
 »Dla zwycięstwa takiego, co zwycięzcy szkodzi,
 »A zwyciężonemu się na siłę przygodzi«.

CXXV.

Marfiza zaś: »Jeślić się nie zda to podanie,
 »Insze podam, a słuszna, abyś przypadł na nie:
 »Jeśli ty mnie zwyciężysz, czemu ja nie tuszę,
 »W jawnem boju, ja ją wziąć i otrzymać muszę;
 »Jeśli ja zasię ciebie, ty także wzajemnie,
 »Choćbyś nie rad, musisz ją gwałtem wziąć odemnie;
 »A zdarzyli się zbić cię i z siodła wysadzić,
 »Będziesz ją winien wszędzie, gdzie zechce, prowadzić«.

CXXVI.

»Więc tak« — odpowie Zerbin i ostrogą kole
 Konia, aby się rozwiódł i aby wziął pole,
 I na strzemionach z lekka w siodle wyniesiony
 I w się, aby nie chybił, wszytek zgromadzony,
 Biejąc we wszytkiem skoku, kopią Marfizę,
 Tak jako był wymierzył, ugodził w paizę,
 Bez skutku, a sam od niej tak był uderzony,
 Że na ziemię wnet z siodła wypadł, ogłuszony.

CXXVII.

Barzo królewicowi to było niemiło,
 Któremu się to przedtem nigdy nie trafiło,
 Który inszych tak wielu zbił z koni w potrzebie
 I zawsze to za wielką hańbę miał u siebie;
 Stał żaloszny, do ziemi spuściwszy żrenice,
 Tem więcej, kiedy wspomniał na swe obietnice,
 Na obietnice, które takie były, aby
 Nigdziej nie odstępował złej, mierzonej baby.

CXXVIII.

Marfiza się do niego wróci w onej dobie
 I rzecze mu, śmiejąc się: »Trzymajże ją sobie,
 »A im ją być piękniejszą widzę i najduję,
 »Tem się więcej, że twoją zostawa, raduję.
 »Ty miasto mnie jej odtąd będziesz bojownikiem,
 »Ty obrońcą w przygodzie, w drodze przewodnikiem
 »Z tej umowy, która się między nami stała,
 »Abyś ją tam prowadził, kędy będzie chciała«.

CXXIX.

Nie czeka odpowiedzi, ale konia kole
 I bieży dobrem cwałem do lasa przez pole.
 Zerbin, który rozumiał, że to rycerz jaki,
 Mówi do starej baby: »Niech wiem, kto to taki?«
 Zła, niecnotliwa baba, co dobrze wiedziała,
 Że się stąd miał barziej gryźć, tak odpowiedziała:
 »Nie rycerz to, masz wiedzieć: dziewica to była,
 »Która z tobą goniła i z konia cię zbiła.

CXXX.

»Ta kopiej i tarcze i zbroje używa
 »Jako inszy żołnierze; w ten kraj, sławy chciwa,
 »Niedawno aż od wschodu słońca przyjechała,
 »Aby się z francuskimi pany skosztowała.«
 Zerbin stąd tak sromotę niewymowną czuje,
 Że nie tylko twarz wstydem rumianem farbuje,
 Ale tak się w sobie gryzł i tak się frasował,
 Iż ledwie się sam wszytek krwią swą nie farbował.

CXXXI.

Wsiada na koń, żałosny i ufrasowany
 O to, że lepiej konia nie ścisnął kolany.
 Śmiejąc się sama w sobie, baba nie przestawa
 Drażnić go i większej mu żałości przydawa,
 Wspomina mu umowę i ślub obiecany.
 Zerbin, który zna, że jej jest obowiązany,
 Spuszcza uszy, jako koń utrudzony z drogi,
 Co ma w gębie wędzidło, u boku ostrogi.

CXXXII.

I wzdychając zbyt ciężko, sam mówi do siebie:
 »Jakież to, o fortune, frymark zły u ciebie!
 »Wzięłaś mi tę, co wiecznie ze mną mieszkać miała,
 »Z którą gładkość na świecie żadna nie zrównała,
 »A tęś mi, abyś się mnie natrapiła jeszcze,
 »Na moję większą żalność dała na jej miejsce;
 »Lepiej było daleko w pierwszej szkodziu zostać,
 »Niż frymarku tak barzo nierównego dostać.

CXXXIII.

»Ta, co równia nie miała urodą, gładkością,
 »Obyczajmi pięknymi, cnotą i wdzięcznością,
 »Utopiona na morzu — niestetyż mnie! — ryby
 »I głodne swoim ciałem pasie wieloryby!
 »A tej, co już miała być dawno roztoczona
 »Od robaków pod ziemią i w proch obrócona,
 »Dwadzieścia lat, niż trzeba, więcej przyczyniła,
 »Abyś mię w żalność większą i w mękę wprawiła!«

CXXXIV.

Tak w on czas mówił Zerbin i tak się frasował
 I postawą nie mniejszą żalność ukazywał
 Z onej swojej zdobyczy nowo znalezionej,
 Aniż z swojej kochanej dziewczki utraconej.
 Baba, która Zerbina przedtem nie widziała,
 Z tych mów, które od niego na on czas słyszała,
 Postrzegła, że to ten był, o którym czas pewny
 Od pięknej galicyjskiej słyszała królowny.

CXXXV.

Szła na on czas, jeśliście tej nie zapomnieli
 Historyej, którąście niedawno słyszeli,
 Z jaskinie, w której po swem miłem w narzekaniu
 Izabella u zbójców była w poimaniu;
 Nie raz, nie dwa i nie trzy jej więc powiadała,
 Jako z miłej ojczyzny od ojca zjechała
 I jako się był okręt z nią rozbił, a ona
 U Rocelle na bacie była wysadzona.

CXXXVI.

Tak dobrze Zerbinową twarz wymalowała,
 Tak jego obyczaje babie opisała,
 Że teraz, kiedy mu się z blizka przypatrzyła
 I słyszała go mówiąc, tem go osądziła,
 Dla którego w jaskinie ustawnie wzdychała
 Izabella, co o to barziej narzekała,
 Że swojego miłego Zerbina straciła,
 Niż o to, że u zbójców w poimaniu była.

CXXXVII.

Baba słuchając w on czas Zerbinowej mowy,
 Kiedy ciężko narzekał żalostnymi słowy,
 Widziała, że rozumiał, że jego zginęła
 Izabella i w morzu pewnie utonęła;
 I aby mu pociechy nie dać, choć wiedziała
 O wszystkim, ni o czem mu powiedzieć nie chciała;
 Z tem się, co mu ma przynieść radość, nie odzywa,
 A to tylko, z czego ma żal wielki, odkrywa.

CXXXVIII.

»Stuchaj — pry — co to sobie szydzisz i szpaczkujesz
 »I ze mnie sobie żarty i śmiechy najdujesz,
 »Byś to wiedział, co ja wiem o twej ulubionej,
 »Której ty co dzień płaczesz, jako już straconej,
 »Bełbyś krótszy; lecz wolę, że mi utniesz szyję
 »Albo mię w sztuki zrąbiesz, niż ci to odkryję;
 »Gdzie, kiedybym u ciebie w szanowaniu była,
 »Wszystkoby ci to była podomno odkryła«.

CXXXIX.

Jako złajnik, który się na złodzieja miece
 I od wielkiego gniewu ledwie się nie wściecze,
 Uspokoi się zaraz i gniewy porzuci,
 Skoro mu trochę chleba lub sera podrzuci:
 Tak się szocki królewic udał do pokory
 I gniewy swe ubłagał i porzucił spory,
 Pragnąc, aby mu wszystko wyraźnie odkryła,
 O czem mu trochę tylko baba natrąciła.

CXL.

I łagodnemi słowy, pełen wielkiej trwogi,
 Przez ludzie ją, przez wszystkie poprzysięga bogi
 I prosi jej pokornie, aby powiedziała,
 Lubo źle lubo dobrze, co o niej wiedziała.
 »Nie usłyszysz nic — powie baba niecnotliwa —
 »Czembyś się miał ucieszyć; to rzecz nieprawdziwa,
 »Aby miała utonąć: Izabella żywie,
 »Ale tak, że umarłem zajrzy niewątpliwie.

CXLI.

»W tych dniach, jakoś nic o niej nie słyshał, bez mała
 »Nie dwudziestom się w ręce nieboga dostała;
 »Co mniemasz, co rozumiesz, jeśli jej dostaniesz,
 »Jeśli przydzie do ręku, jako ją zastaniesz?«
 O mierziona, plugawa babo! czemu żujesz
 O cnej dziewce i szczere fałsze wynajdujesz?
 Sama wiesz, że choć w rękę u dwudziestu była,
 Mieszkając tam, czystości swej nie utraciła.

CXLII.

Pytał jej cny królewic, kędy ją widziała
 I jako dawno, ale nie odpowiedziała
 I nie chciała kłamliwa i zła białogłowa
 Do swojej pierwszej mowy przyczynić i słowa.
 Pierwej z nią mów łagodnych używał i prośby,
 Potem jej groził szyję uciąć; ale groźby
 I prośby próżne były: tak się usadziła,
 Tak uparła, że słowa ani przemówiła.

CXLIII.

A widząc, że onego szpetnego stworzenia
 Nie mógł pożyć, uciekł się Zerbin do milczenia;
 Ale się tak o ono, co słyshał, frasował,
 Że sercu swemu w piersiach miejsca nie najdował.
 Tak swej dziewczki, o której ustawicznie myślił,
 Pragnął szukać, żeby się dla niej nie rozmyślił
 Skoczyć w największy ogień; ale żadną miarą
 Nie mógł przed oną sprośną czarownicą starą.

CXLIV.

Wie, co przyrzekł Marfizie, i tak to przez lasy,
 To przez góry, gdzie chciała, jachał w one czasy.
 Ale ani do siebie słowa przemówili
 Ani na się wejrzeli, aż w drodze trafili
 Rycerza o tej dobie, kiedy południowi
 Słońce tył obróciwszy, szło ku wieczorowi;
 Ten jem przerwał milczenie ono — ale o tem
 W drugiej pieśni odemnie usłyszycie potem.

KONIEC PIEŚNI DWUDZIESTEJ.

PIEŚŃ DWUDZIESTA PIERWSZA.

ARGUMENT.

Aby bronił Gabryny, podobnej do żmije,
 Wielką złością Zerbin się pojedyńkiem bije;
 I tak dla onej sprosnej maskary raniony
 Hermonid spadł na ziemię, z siodła wysadzony;
 Który potem powiada wszystkie Zerbinowi
 Obrazy przeciwko niej swe królewicowi,
 Skąd ją ma w nienawiści większej; wtem się wraca
 I konia tam, gdzie słyszy krzyk wielki, obraca.

ALLEGORYE.

W tej pieśni dwudziestej pierwszej i wszędzie, gdzie jeno mówi o niepobożnej Gabrynie, jest przykład zły i niecnotliwej niewiasty, która żadnem dobrodziejstwem zwyciężona być nie może. W Filandrze zasię mamy przykład prawdziwego i szczerego przyjaciela i jeśliby kto widząc, jak Filander niesłusznie cierpi więzienie od przyjaciela Argeusa, i potem, jak otruty od niecnotliwej baby, wpadł w jaką wątpliwość o sprawiedliwości i opatrności Bożej, ten niechaj raczej stąd się w tem utwierdzi, że jest drugi żywot po śmierci ciał naszych, w którym Bóg sprawiedliwy daje godne karanie za złe uczynki i godną nagrodę za dobre tem, którzy jej tu na tem świecie nie odnieśli.

SKŁAD PIERWSZY.

Nie tak mocno ciężkich bel powrozy ściskają
 Ani tak mocno sęki drzewa się trzymają,
 Jako wiara, kiedy się w człowieku najduje,
 Mocnem węzłem szlachetne serce opasuje.
 Stądże starzy inaczej nie opisowali,
 Inaczej świętej wiary nam nie malowali,
 Jeno w rąbek odzianą; bo kiedyby miała
 Jedną pieczę na ciele, szpetnąby została.

II.

Wiara i słowo ma być zawsze dotrzymane,
 Lub tysiącowi zaraz lub jednemu dane
 Tak na lesie, na polu ustronnem, w pustyniej,
 Daleko od wielkich miast i wsi, tak w jaskinie,
 Jako na trybunalech, jako przed księgami,
 Gdzie się ludzie twardemi wiążą zapisami;
 Słowo, gdy je kto komu da, ma być ważniejsze,
 Niż przysięgi, zapisy niżli namocniejsze.

III.

Ta wiara i to słowo, od Zerbina dane,
 Widzicie, jako było Marfizie trzymane,
 Które, jako poważał, lepszego nie mogę
 Dowodu należeć nad ten, że swą własną drogę
 Porzucił w on czas, a z tą jachał, co mu była
 Tak, jako wrzód lub jaka choroba niemiała;
 Ale więcej w niem mogła jego obietnica,
 Niż ta, co go gdzie indziej ciągnęła, tesknica.

IV.

Jużem powiedział, jako niewidomem psował
 Serce żalem i jako gryzł się i frasował
 O to, że ją miał z sobą, więc jako milczeli,
 Jadąc z sobą, i patrzeć sobie w twarz nie chcieli;
 I tom powiedział, jako było rozerwane
 Ich milczenie, gdy Febus koła spracowane
 Ostatnie ukazywał światu, od jednego,
 Co je na drodze potkał, rycerza błędnego.

V.

Zarazem był od baby on rycerz poznany,
 Olander Hermonides imieniem nazwany,
 Hermonides, który tarcz wszystkę uczernioną,
 A na niej za herb poprzek strefę miał czerwoną.
 Poznaawszy go, pierwszy gniew i pychę złożyła
 I mową i postawą pokornie prosiła
 Zerbina, aby się jej ziścił w obietnicy,
 Którą świeżo uczynił walecznej dziewicy.

VI.

On rycerz był jej w głowę i jej narodowi
 Nieprzyjaciół, jako to potem Zerbinowi
 Wypowiedział; ojca jej zabił niewinnego
 I brata, krom którego nie miała inszego;
 Potem na to się udał, na to się usadził,
 Aby ostatek tej krwi zgubił i zagładził.
 »Nie bój się, nie lękaj się!« — Zerbin do niej rzecze —
 »Pókiś jest w mojej straży i w mojej opiece«.

VII.

Skoro się Hermonides w sprosnej i brzydlivej
 Twarzy z blizka obejrzał baby niecnotliwej,
 Zawoła na Zerbina fukliwemi słowy:
 »Albo się bij albo tej odstęp białejgłowy,
 »Aby tak, jako godna, jako zasłużyła,
 »Od moich rąk żywot brzydki położyła;
 »Chceszli się bić, zabieś, jako co za krzywą
 »I za rzecz się ujmujesz zbyt niesprawiedliwą«.

VIII.

On ludzkie odpowiada Hermonidesowi,
 Że to jest podła żądza, że się rycerzowi
 Takiemu, jako on był, nie godzi na zdrowie
 Stać, lubo zła lubo dobra, żadnej białejgłowie;
 A że gotów, jeśli być nie może inaczej,
 Bić się z niem, jednak radził, aby tego raczej
 Zaniechał, ponieważby wielkiej się nabawił
 Hańby, gdzieby niewieścią krwią ręce splugawił.

IX.

Tak w on czas mówił Zerbin; ale to nie miało
 Miejsca, owo do rzeczy zgoła przyść musiało.
 A skoro z ogromnemi drzewy zajachali,
 Koniom przeciwko sobie wodze wypuszczali.
 Jako więc wypadają w tryumfy puszczone
 Albo w jakie wesele race zapalone,
 Z takim w on czas ich konie pędem wypadały
 I tak od zajachanych kresów wybiegały.

X.

Hermonides poniżył i jako wymierzył,
 W prawy bok królewica przez paiz uderzył;
 Ale się słabe drzewo w trzaski zgruchotało
 Tak, że nieobrażony Zerbin został cało.
 Drugiego uderzenie daremne nie było
 I tarcz sobie przeciwną drzewem przepędził
 Tak, że na drugą stronę przez prawą przebity
 Łopatkę Hermonides spadł, z siodła wybity.

XI.

Mniemając, że go zabił, litością zmiekczony,
 Skoczył śpiesznie królewic z konia z lewej strony
 I odkrył mu z szyszaka twarz bladą, skoczywszy.
 Hermonides tak, jako ze snu ocuciwszy,
 Długo w niem utopiony wzrok trzymał bez mowy;
 Potem język rozwiązał i rzekł temi słowy:
 »Nie żał mi, żem od ciebie w boju pokonany,
 »Bo widzę, żeś jest rycerz jakiś zawołany.

XII.

»Tego dziwnie żałuję, iż za sprawą jednej
 »Białejgłowy zażywam tej boleści biednej,
 »Której żeś jest rycerzem, nie przystoi tobie:
 »Raczej zimny grób zaledz miałeś życzyć sobie.
 »Bo gdybyś wiedział sprawę, która mnie podwodzi
 »Na pomszczenie i z której przyczyny się rodzi,
 »Nie jenobyś odpuścił gniewowi słusznemu,
 »Alebyś jeszcze pomógł sam ukrzywdzonemu.

XIII.

»I jeślić tę będę mógł sprawę — bo co wiedzieć,
 »Jeśli żywy zostanę — wszystko wypowiedzieć,
 »Pokażę to na oko, że ta czarownica
 »Wierutna jest niecnota, zdrajczyna, złoźnica.
 »Miałem brata jednego, który w swej młodości
 »Z Olandy, gdzie ojczyste mamy majątności,
 »Wyjechał i rycerzem był od Heraklego
 »Uczyniony, na on czas cesarza greckiego.

XIV.

- »Gdzie potem przyjacielem serdecznem jednemu
- »Został dworzaninowi niedługo zacnemu,
- »Który miał jeden zamek mocny w serbskiej ziemi,
- »Obronny, opasany murami dobrymi,
- »Nakoło miał wysoki parkan i wał nowy.
- »Argeus był nazwany mąż tej białejgłowy,
- »Którą on tak serdecznie, tak z dusze miłował,
- »Że w tej mierze z przystojnych kresów występował.

XV.

- »Ale zła, niecnotliwa żona obrotniejsza,
- »Powienniejsza, niestalsza i niestateczniejsza,
- »Niżli od wiatru liście bite, kiedy lasy
- »Sucha jesień odziera i mróz z pierwszej kraszy,
- »Serce, które do męża była obróciła
- »Zrazu czas jakikolwiek, prędko odmieniła
- »I ze wszytkiem staraniem na to się udała,
- »Aby za miłośnika brata mego miała.

XVI.

- »Nie tak Akrocerauńskie niepożyte skały
- »Mocno stoją, kiedy w nie biją morskie wały,
- »I nie tak wielka sośnia odpiera srogiemu
- »Na Krępakowej górze wiatrowi wściekłemu,
- »Sośnia, która tak korzeń ma w ziemi głęboko,
- »Jako wierzch rozłożysty podnosi wysoko:
- »Jako odpierał, jako stał mocny, surowy
- »Brat na zapamiętałej żądze białejgłowy.

XVII.

- »A jako się śmiałemu trafia i przydawa,
- »Który szuka hałasu, a też go dostawa,
- »Raniono było brata onego mego
- »Niedaleko od zamku Argeusowego;
- »Gdzie on, choć nie wezwany, często przemieszkiwał,
- »Lubo doma Argeus bywał lub nie bywał.
- »Tam sobie odpoczynąć myślił onej doby,
- »Ażby rany podgoił i wstał zdrow z choroby.

XVIII.

- »A wtem Argeus, w domu zostawiwszy żonę,
- »Dla pewnej swej potrzeby jachał w cudzą stronę.
- »Zarazem niewstydliva z bratem mojem mówił
- »Poczęła, chcąc go na zły uczynek namówić;
- »Ale on, który nie chciał u boku swojego
- »Dłużej mieć ani cierpieć bojca tak ostrego,
- »Przyjaźni Argeowi dotrzymać umyślił
- »I z dwojga złego mniejsze obrać się namyślił.

XIX.

- »Które było, aby swej tak dawnej zaniechał
- »Przyjaźni z Argeusem i stamtąd odjechał
- »W tak daleki kraj, żeby o niem nie wiedziała
- »Zła niewiasta i o niem więcej nie słyszała.
- »Ciężka mu się to zdała, ale już tak wolał,
- »Aby na zły niewiasty żądze nie pozwolił
- »I żeby zaś nie musiał tego Argeowi,
- »Co ją z serca miłował, odkryć, jej mężowi.

XX.

- »Tak nie do końca jeszcze dobrze ozdrowiawszy,
- »W świetną się swoją zbroję zwyczajną ubrawszy,
- »Jachał z zamku, mając w tem umysł utwierdzony
- »Nie wracać się, póki żyw, nigdy do tej strony.
- »Ale mu zła fortuna tego zabroniła
- »I dobre jego żądze wniwecz obróciła.
- »Mąż się wtem z drogi wraca i srodze płaczącą
- »W domu żonę zastawa i narzekającą,

XXI.

- »Twarz upłakaną, włosy roztargane miała.
- »Pyta jej, o co się tak barzo frasowała,
- »A pyta nie raz, nie dwa, niż mu odpowiada,
- »Niż mu przyczynę smutku swojego powiada,
- »Na to się nasadziwszy, aby się pomściła
- »Nad tem, od którego tak pogardzona była;
- »A właśnie tak przystało jej niestateczności
- »Odmienić w nagłe gniewy chęci i miłości.

XXII.

- »Nakonec, czemu grzech swój pokrywam — mówiła —
- »Którego w niebytności twej się dopuściła?
- »Bo choćbym go przed wszystkim światem chciała taić,
- »Sumnieniu go mojemu nie mogę utaić;
- »Bo dusza, która w brzydkim grzechu się najduje,
- »Taki żal i pokutę taką w sobie czuje,
- »Żebym największe męki na ciebie wolała
- »Cierpieć i prędzejbym je podomno wytrwała.

XXIII.

- »Wiedz i ty o tem grzechu, jeśli zwać możemy
- »Grzechem, co poniewolnie i przez gwałt czyniemy,
- »A potem zaraz mieczem twem nieuproszonym
- »Rozdziel niewinną duszę z ciałem splugawionem
- »I zawrzy mi, proszę cię usilnie, na wieki
- »Z twoich ręki bez wszelkiej litości powieki,
- »Abych ich ustawicznie nisko nie trzymała
- »I abych się wszystkiego świata nie sromała.

XXIV.

- »Twój towarzysz tak dawny, tak wielki, któremu
- »Takeś ufał, gwałt ciału uczynił mojemu;
- »I bojąc się, abyś się tego dowiedziałwszy
- »Odemnie, nie mścił na niem, jachał nie żegnawszy.
- »Temi słowa złośliwej i przewrotnej żony
- »Tak był przeciwko bratu jej mąż zakrwawiony,
- »Że zaraz jachał za niem, aby go dogonił
- »I zabił, lubo mu się bronił lub nie bronił.

XXV.

- »I jako ten, co kraju onego świadomy
- »I wszystkich dróg i ścieżek prostych był wiadomy,
- »Brata, który był chory i pomału jachał,
- »Powolej jadącego niedługo dojachał
- »I na ustronnem miejscu na niego się rzuca;
- »On niewinności swojej pilnie go naucza,
- »Wywodząc mu, że tego nie winien uczynku,
- »Ale próżno; koniecznie chce z niem pojedynku.

XXVI.

- »Jeden był zdrowy, duży i zbyt rozgniewany,
- »Drugi chory i słaby z niezgojonej rany,
- »Tak, że się mało bronić mógł Argeusowi,
- »Teraz głównemu swemu nieprzyjacielowi;
- »I tak nędzny Filander niegodny onego
- »Nieszczęścia — to jest imię mego rodzonego,
- »O którym ci powiadam — w boju pokonany,
- »Od Argeusa w on czas został poimany.

XXVII.

- »Nie daj Boże, aby mię na to podwieść miała
- »Żałość i krzywda, co mię od ciebie potkała,
- »Abym cię, jakoś godzien, miał zabić, którego
- »Miłowałem serdecznie od czasu dawnego,
- »Chociaś mi to źle oddał — tak Argeus bratu
- »Mówi — ale pokazać chcę wszystkiemu światu,
- »Że jakom był w miłości szczerzy i w przyjaźni,
- »Takem i teraz nad cię lepszy w nieprzyjaźni.

XXVIII.

- »I acześ tego godzien, abym cię tu raczej
- »Gardłem skarał, ale cię karać chcę inaczej.
- »To rzeksz, dał z gałęzi mary na koń włożyć
- »I na nich nieszczęsnego młodzieńca położyć.
- »Tak był, na poły martwy, do zamku niesiony
- »I do wieże oddany i na dno wsadzony,
- »Na więzienie, póki żyw, od niego skazany,
- »Złej niewiasty potwarzą szczerą pokonany.

XXIX.

- »Tak jednak siedział, że krom odjętej wolności,
- »Że nie mógł nigdzie wynieść, wszystkie sposobności
- »I wszystkie miał dostatki; wszyscy go słuchali,
- »Wszyscy, co chciał — tak kazał Argeus — czyniali.
- »Ale chcąc po staremu zła żona swojemu
- »Zamysłowi uczynić dosyć bezecnemu,
- »Częstokroć do więzienia do niego chodziła,
- »Od którego złoźnica klucz sama nosiła.

XXX.

- »I śmiałości, niż przedtem, większej używała
- »I ustawicznie brata mojego gabała.
- »Coć — mówi do Filandra — ta twoja, nieboże,
- »Wierność przeciw mojemu mężowi pomoże?
- »O, jako cię wysokie czekają zdobyczy,
- »Jako wielkie tryumfy, kiedy niewolniczy
- »Żywoć musisz prowadzić, kiedyć urągają
- »Jako zdrajcy i wszyscy za tego cię mają!

XXXI.

- »Jakoby to z twem lepszem i uczciwem było
- »Uczynić dla mnie chętnie to, co się mówiło!
- »Barzo tak dobrze na cię, że ato nagrodę
- »Masz swojego uporu, straconą swobodę?
- »Jesteś teraz w więzieniu i bez wątpliwości
- »Wiecznie będziesz, jeśli swej nie zmiekniesz twardości;
- »Jeśli mi też będziesz chciał kwoli być, ja sprawię,
- »Że cię z więzienia, że cię z osławy wybawię.

XXXII.

- »Odpowie jej: »Darmoś się na to nasadziła:
- »Ja chcę, aby jaśniejsza wiara moja była
- »Niżli słońce, choć taką w jasnej niewinności
- »Nagrodę mam przeciwko wszelakiej słuszności.
- »Niechaj mi urągają, byle mi sowito
- »Po śmierci Bóg, któremu nic nie jest zakryto,
- »Nagrodził to i każdy znał, że bez przyczyny
- »Wszystko cierpię i okrom żadnej mojej winy.

XXXIII.

- »Jeśli ma mało na tem Argeus gniewliwy,
- »Niechaj mi zaraz weźmie ten żywot brzydliwy;
- »Bo za to, da Bóg, w niebie nagrodę odniosę,
- »Że za dobry uczynek karanie ponoszę.
- »Może być, że Argeus obaczy się potem,
- »Kiedy się duch rozdzieli z tem przykrem żywotem,
- »I postrzegli się w swojej omyłce i błędzie,
- »Zmarłego towarzysza nieraz płakać będzie.

XXXIV.

- »Tak co raz zła niewiasta Filandra gabała
- »I co raz się bez skutku od niego wracała.
- »Ale jej ślepa żądza, która po staremu
- »Chce dosyć zamysłowi czynić niezbożnemu,
- »Na pamięć sobie grzechy swe dawne przywodzi
- »I uważa, jeśli się z nich który przygodzi
- »Do teraźniejszej sprawy; o tysiącu myśli
- »Sposobów pierwiej, niż się na który namyśli.

XXXV.

- »Pół roka całe, jako u niego nie była,
- »Co przedtem ustawicznie do niego chodziła,
- »Że Filander rozumiał, że dawnych przestała
- »Swych zamysłów i więcej o niego nie dbała.
- »Ale fortuna właśnie, jakoby na zmowie,
- »Użyczyła pogody chytrej białejgłowie,
- »Że koniec z pamiętnem złem dała niezbożnemu
- »Zamysłowi, na straszny grzech odważonemu.

XXXVI.

- »Wielką z dawna nieprzyjaźń i niepojednany
- »Zaciąg miał pewny szlachcic, Morandus nazwany,
- »Z jej mężem i w niebytność jego tak był śmiały,
- »Że na przepych pojeźdżał aż pod same wały;
- »Ale kiedy był doma, do zamku onego
- »Nie przybliżyłby się był Argeusowego
- »Na dwie mili. On zmyśla, że uczynił Bogu
- »Ślub iść do Jeruzalem, do świętego grobu.

XXXVII.

- »I od wszystkich widziany, jawnie jedzie z domu
- »I głosy o tem wszędzie puszcza, a nikomu
- »Nie powierza się tego, okrom samej żony,
- »O jej wierze ku sobie będąc upewniony;
- »I wraca się do domu, gdy mrok świat okrywa,
- »I w nocy zawsze, we dnie nigdy w niem nie bywa;
- »I z odmiennymi znaki, gdy świt wstaje rany,
- »Wyjeżdża, od nikogo, z domu, nie widziany.

XXXVIII.

- »Około zamku jeździ w te i owe strony,
- »Aby tak nieprzyjaciół był ubezpieczony,
- »I potem oszukany jego niebytnością,
- »Podjeżdżał, jako był zwykły, z tem większą śmiałością.
- »We dnie się w lesie kryje i tai na stronie,
- »A skoro Febus w morze wpędzi rączy konie,
- »Wraca się zaś do domu po cichu, od żony
- »Tajemną furtą tyłem do zamku puszczony.

XXXIX.

- »Wszyscy sądzą, krom żony, że Argeus jachał
- »I że mil kilkadziesiąt od domu ujachał.
- »Ona wtem upatrzawszy czas prawie pogodny,
- »Do brata mego przydzie, uczynek niegodny
- »Chcąc popełnić, i twarz łzą zmyśloną oblewa
- »I daje znać, że z żalu wrzasko nie omdlewa.
- »Kto mię, prze Bóg! ratuje — tak bratu mówiła —
- »Żebyś sławy i mej czci wiecznie nie straciła?

XL.

- »Nie tylko mojej, ale i męża mego,
- »Który by tu był teraz, uszłabym wszystkiego.
- »Znasz Moranda i wiesz to, jako postępuje,
- »Kiedy w domu małżonka mego nie czuje;
- »Ten, patrz, co mi wyrządza: co raz to prośbami,
- »To na mię surowemi naciera groźbami
- »I moich naprawuje, abym się skłoniła
- »I na jego nieczyste żądze pozwoliła.

XLI.

- »Iż wie, że mąż precz jachał i tak prędko z drogi
- »Wrócić się swej nie może, urosły mu rogi
- »I tak się zstał zuchwały i śmiały, że wczora —
- »Jakie to bezpieczeństwo jego! — wszedł do dwora.
- »Ale przy Argeusa mego bytności
- »Nigdyby serca, nigdy nie miał z to śmiałości
- »I owszemby omijał — znasz dobrze człowieka —
- »Na trzy mile i więcej te mury z daleka.

XLII.

- »I o to, czego przedtem przez posły chciał po mnie,
- »Śmiał mię sam w oczy prosić; i już było o mnie
- »Barzo źle, bo w tem takiej używał śmiałości,
- »Żem mało nie odniosła wielkiej zelżywości.
- »I jeno, żem go słowy pięknymi zbywała
- »I na jegom pozwolić żądze obiecała,
- »Gwałtemby był otrzymał i wziął poniewolnie
- »To, co sobie mieć tuszył z mych słów dobrowolnie.

XLIII.

- »Prawda to jest, żem mu być kwoli obiecała;
- »Nie dlatego, abym mu słowa dotrzymała,
- »Ale żebym mu mogła zbroić takim kształtem
- »Tego, coby był sobie mógł w on czas wziąć gwałtem.
- »W tem złem razie, krom ciebie, nikt mi nie pomoże,
- »Inaczej nie tylko ja na czci — żal się Boże! —
- »Ale i mój małżonek szwank weźmie, którego
- »Miłujesz, jako mawiasz, nad siebie samego.

XLIV.

- »Jeśli mię nie ratujesz, twierdząc z każdej miary,
- »Że tej, którą się chlubisz, niemasz w tobie wiary;
- »Nie względ na Argeusza żaden to sprawował,
- »Którąś mi się ty tarczą zawždy zastawował,
- »Że u ciebie wzgardzona była prośba moja,
- »Ale srogość i hardość i nieludskość twoja;
- »I co tego nie mógł nikt wiedzieć, teraz wszędzie
- »Moja nieczęść po świecie rozgłoszona będzie.

XLV.

- »Niepotrzeba tak długiej — brat rzecze — przemowy:
- »Dla mego Argeusza jam wszystko gotowy
- »Uczynić, jeno niech wiem, czego chcesz, bo jaki
- »Byłem zawsze, tak teraz, chcę mu być jednaki.
- »I chociaż to, co cierpię, cierpię bez winności,
- »Nie chcę go w tej winować niesprawiedliwości
- »I owszem pójde na śmierć chętnie kwoli jemu
- »Przeciw memu losowi i światu wszystkiemu.

XLVI.

- »Tego — pry — chcę, co mi cześć moja rozkazuje,
- »Abyś tego zniósł, co mi na nią następuje;
- »A nie bój się, bo cię w tem ubezpieczyć mogę,
- »Żeć do tego ukazę niepochybną drogę.
- »Obiecał się dziś do mnie, gdy mrok świat okryje,
- »Jako trzeba, kiedy w noc zegar trzecią bije;
- »I ma znak umówiony i hasło odemnie,
- »Za którym go do siebie mam puścić tajemnie.

XLVII.

- »Ty nie teskni i próżny wszelakiego strachu
- »Bez świece i bez światła czekaj w mojem gmachu
- »Dotąd, aż ci ode mnie wpół nagi oddany
- »I z jasnej będzie zbroje swojej rozebrany.
- »Taką sztukę nad mężem swoim wyprawiła,
- »Aby tylko nieczystej żądzej dogodziła
- »Zła żona, jeśli tę zwać słusznie może żoną,
- »A nie jędzą, dopiero z piekła wyprawioną.

XLVIII.

- »Skoro noc nastąpiła, z wieże wywiedziony
- »Filander, dobrą bronią od niej opatrzony,
- »Czekał, nie objawiony w komorze nikomu,
- »Tak długo, aż Argeusz wrócił się do domu.
- »Zstało się, jako chciała, bo rzadko chybiają,
- »Rzadko złe rady skutku swojego nie mają:
- »Zabił brat Argeusza, krótko powiadając,
- »Że nie Argeusz, ale Morand był, mniemając.

XLIX.

- »Uciał mu szyję z głową do jednego raza,
- »Bo hełmu i żadnego na sobie żelaza
- »Nie miał; tak gorzki koniec był Argeuszowy
- »Z przyczyny niecnотliwej tej, złej białej głowy.
- »Ten go zabił, co o tem nie myślał i czemu
- »Nigdyby był nie wierzył, i ten, co miłemu
- »Pomóc — o, rzadki przykład! — chcąc towarzyszowi,
- »Uczynił to, co czynią nieprzyjacielowi.

L.

- »Skoro nieszczęsny poległ Argeusz nieznany,
- »Filander miecz Gabrynie oddał krwią spluskany —
- »Tak zowią te łotrynię, co się urodziła
- »Na to tylko, aby źle niecnota czyniła —
- »Co do tej doby zawsze o prawdzie milczała,
- »Filandrowi iść z świecą kazała do ciała
- »I tak mu ukazuje srodze zabitego
- »Męża a towarzysza jego tak miłego.

LI.

- »Potem mu pocznie grozić, jeśli nie pozwoli
- »Na jej nieczyste żądze, jeśli umrzeć woli,
- »Że on mord wszystkiej swojej czeladzi objawi,
- »Którego się nie może zaprzec, i to sprawi,
- »Że będzie jako zdrajca i zbójca skarany
- »I na śmierć z jego wieczną sromotą podany,
- »Przypominając często w onej swojej mowie,
- »Aby dbał o uczciwe, gdy nie dba o zdrowie.

LII.

- »Skoro swój błąd obaczył Filander strapiiony,
- »Wielkiem żalem na smutnem sercu przerażony,
- »Pierwszą tkniony wściekłością, zabić ją zamyślał,
- »I chwilę przywątpliwszy, na to się namyślał;
- »I jeno, że mu rozum wystawił na oczy,
- »Że był w nieprzyjacielskim domu bez pomocy
- »I bez broni, wielkimi ujęty gniewami,
- »Kęsałby ją był w sztuki podomno zębami.

LIII.

- »Jako okręt na morzu wielkiem w niepogody,
- »Gdy przeciwne dwa wiatry biją słone wody,
- »Który, gdy go od siebie jeden gwałtem pędzi,
- »Drugi go zaś do kresu pierwszego przypędzi,
- »I od sztaby do rufy od obu miotany,
- »Od możniejszego bywa nakoniec pognany:
- »Tak Filander w dwu myśli społem rozdwojony,
- »Na on czas na mniej gorszą został odważony.

LIV.

- »Wie, jeśli się zamkowej czeladzi odkryje
- »Mężobójstwo i on mord, że pozbędzie szyje;
- »Lecz to mniejsza, bo na śmierć poszedłby ochotny,
- »Ale go boli koniec szpetny i sromotny.
- »Czasu nie ma, aby się namyślił powolej,
- »I tak musi pić gorzki kielich poniewolej;
- »Na ostatek więcej mógł strach w myśli troskliwej,
- »Niż gniew i upor na śmierć niewiasty złośliwej.

LV.

- »Onej śmierci sromotnej tak w niem był strach tęgi,
- »Że nie jedną i nie dwie i nie trzy przysięgi,
- »Ale tysiąc uczynił być kwoli Gabrynie,
- »Żeby zdrów mógł uść stamtąd w onejże godzinie.
- »Zła niewiasta nieczystem żądzom koniec dała
- »I z zamku z niem pospołu cicho ujachała.
- »Tak się Filander wrócił z nią do Olandyej,
- »Zostawiwszy po sobie złą sławę w Grecyej.

LVI.

- »Ale mu w sercu został stroskanem wyryty
- »Jego miły przyjaciel, tak głupie zabity,
- »Za którego na swój żal i wielką tesknicę
- »Frymarkiem wziąć Medeą musiał okrutnicę;
- »I jeno, że go wielka przysięga trzymała,
- »Zabiłby ją był pewnie, bo go tak mierzała,
- »Tak się ją barzo brzydził, zostawszy jej mężem,
- »Jako jaką gadziną albo jakim wężem.

LVII.

- »Nikt nie widział, aby się miał śmiać; wszystkie słowa
- »Żałosne, każda była smętna jego mowa.
- »Wzdychał zawsze, od żalu tak opanowany,
- »Że z niego był Orestes własny, na przemiany
- »Od piekielnych jędz biczem sieczony troistem,
- »Kiedy matkę swą zabił pospołu z Egistem,
- »Mając mord popełniony ustawnie przed sobą,
- »Że nakoniec legł, wielką złożony chorobą.

LVIII.

- »Kiedy zła nierządnicą potem obaczyła,
- »Że była Filandrowi brzydka i niemiła,
- »Pierwszej chęci i pierwszej płomienie miłości
- »Obraca w gniew, w nienawiść i w srogie wściekłości
- »I takie serce bierze przeciw Filandrowi,
- »Jakie miała na on czas przeciw Argeowi:
- »Chce i myśli koniecznie tak, jako pierwszego,
- »Zgładzić z świata i tego małżonka drugiego.

LIX.

- »I znalazła doktora prawie do tej sprawy
- »Sposobnego, łakomcę, co z cudzej naprawy
- »Lepiej ludzie zabijać umiał truciznami,
- »W czym był mistrzem, niżli je leczyć syropami.
- »Niedługo się okrutna jędza targowała
- »I więcej jeszcze, niż chciał, dać mu obiecała,
- »By tylko tak on trunek lekarski przyprawił,
- »Żeby jej niewdzięcznego Filandra pozbawił.

LX.

- »I jam sam był i inszych ludzi wiele przy tem,
- »Kiedy doktor z napojem przyszedł jadowitem,
- »Zalecając lekarstwo swoje, że skoroby
- »Wypił je, miał wstać prędko Filander z choroby.
- »Wtem Gabryna na zdradę udała się nową
- »Pierwej, niż mąż receptę wypił doktorową,
- »Aby tego, co to sam mógł wiedzieć, straciła,
- »Abo żeby umownej summy nie płaciła.

LXI.

- »Prawie w ten czas, gdy kubek dawał Filandrowi,
- »Zawściągawszy mu rękę, rzekła doktorowi:
- »»Nie dziwuj się, że się bać o małżonka muszę,
- »»Którego tak miłuję, jako własną duszę;
- »»I dla tego wolę być pewna, że tem twojem
- »»Nie zawadzisz mu barziej jakim złem napojem.
- »»Przeto lepiej, doktorze, że go wprzód skosztujesz,
- »»A dopiero uwierzę, że go nie zepsujesz.«

LXII.

- »Co rozumiesz, jako był starzec pomieszany,
- »W onem niebezpieczeństwie tak nagle zastany!
- »Czas go krótki tak ścisnął barzo w onej dobie,
- »Że się nie mógł namyślić, co miał obrać sobie?
- »Nakoniec, aby nie był barziej podejrzany,
- »Od Gabryny, co tego chciała, pilnowany,
- »Wypił jadowitego napoju dostatek;
- »Potem go wziął Filander i wypił ostatek.

LXIII.

- »Jako jastrząb, co w nodze trzyma uchwyconą
- »Kuropatwę i już ją chce jeść oskubioną,
- »Od nieobyczajnego wyżła bywa zbity
- »I pokarm, prędkim piórem, upuszcza, zdobyty:
- »Tak doktor, na zysk wszytek bezecny udany,
- »Nalazł, kiedy nie myślił, wstręt niespodziewany.
- »Rzadki przykład łakomstwa i mało wiadomy;
- »Bodaj taką zapłatę brał każdy łakomy!

LXIV.

- »Sprawiwszy tę robotę lekarz niecnotliwy,
- »Porwał się i do domu chciał iść ukwapliwy,
- »Aby jakie potężne lekarstwo zgotował
- »I już zarażonego serca wskok ratował;
- »Ale go mężobójca żona zatrzymała
- »I od męża chorego odejść mu nie dała.
- »Postój — pry — aż lekarstwo, surowe z początku,
- »Skutek jaki ukaże, strawione w żołądku.«

LXV.

- »Kręci się i aby mógł na czas odejść, prosi,
- »Lecz żadnego w swej prośbie skutku nie odnosi;
- »A czując swą śmierć bliską i już słabe siły
- »I jadem zarażone niemal wszystkie żyły,
- »Namyślił się nam, cośmy tam beli, objawić
- »Wszystkę rzecz, z której się ta nie umiała sprawić;
- »I tak, co inszem często dobry doktor czynił,
- »To sobie na ostatek samemu uczynił.

LXVI.

- »Taka w on czas doktora potkała zapłata:
- »Prędko potem za duszą poszedł mego brata.
- »My, cośmy to od starca przez on czas słyszeli,
- »Jako żyw był po bracie, i śmierć ich widzieli,
- »Poimaliśmy ten zwierz srogi w one czasy,
- »Sroższy wszytkiego zwierza, co go mają lasy,
- »I do więzienia ją ciemnego oddali
- »I na śmierć, jakiej godna, ogniową skazali.«

LXVII.

Tak mówił Hermonides nie bez utrapienia
 I chciał jeszcze powiedzieć, jako się z więzienia
 Wykradła, ale nie mógł dla zbyt słabej siły
 I dla krwi wypuszczonej z obrażonej żyły.
 Wtem jego dwaj lokaje gałęzie złożyli,
 Ucięte tamże w lesie, i nosze zrobili,
 Na które go włożyli, jak na jakie mary,
 Bo inaczej iść stamtąd nie mógł z żadnej miary.

LXVIII.

Z Hermonidesem Zerbin wymówek używał
 I wielką swoją żalność z tego ukazywał,
 Że go obraził, kiedy z niem kopią gonił;
 Ale to czynił, aby swej baby obronił,
 Tak, jako rycerzowi przystało dobremu,
 Wiarę i słowo swoje uważającemu,
 Ponieważ był obiecał, kiedy jej opieka
 Nań padła, od każdego bronić jej człowieka.

LXIX.

Ale jeśli do posług jakich go chce użyć,
 Aby mu co rozkazał, gotów mu jest służyć.
 Hermonides to tylko chce mieć, a nie więcej,
 Aby się ze złą rozprzął niewiastą co pręcej,
 Pierwej, niżli co pocznie przeciw niemu knować,
 Czegoby potem nigdy nie mógł wyżałować.
 Gabryna w ziemię patrzy w onej ich rozmowie:
 »Trudno przeciwko prawdzie« powiada przysłowie.

LXX.

Pojachał stamtąd szocki królewic, gdzie chciała,
 Gdzie mu zła, niecnotliwa baba rozkazała,
 Złorzeczając jej cały dzień, sam w sobie strapiiony,
 Że dla niej cny jest rycerz od niego raniony.
 Teraz skoro się onych jej niecnót dowiedział
 Od tego, który wszystko, jako trzeba, wiedział,
 Co się ją przedtem brzydził, co jej nierad widział,
 To jej teraz tak, jako węża, nienawidział.

LXXI.

Patrzeć na nią nie może, lecz niemniej i ona
 W złej wolej być od niego nie chce zwyciężona.
 Jeśli jej nienawidzi, jeśli jej on łaje,
 Ona mu to oboje sowito oddaje;
 Serce jadem nadęte i wściekłością miała,
 Która się jej przez oczy i twarz wydawała.
 W takiej chęci i w takiej zgodzie onem czasem
 Jachali z sobą wespół pewnem wielkiem lasem.

LXXII.

Wtem wieczorem usłyszą niedaleko drogi
 Tenten jakiś, wołanie, kołat i krzyk srogi
 I dźwięki ciężkich razów, nieomylnie znaki,
 Że tam zwada albo bój był straszliwy jaki.
 Królewic chcąc się z blizka przypatrzeć wszystkiemu,
 Wypuścił w tamtą stronę koniowi rączemu,
 Gabryna za niem — ale w drugiej pieśni poczną
 O tem śpiewać, a teraz niech sobie odpoczną.

KONIEC PIEŚNI DWUDZIESTEJ PIERWSZEJ.

PIEŚŃ DWUDZIESTA WTÓRA.

A R G U M E N T.

Astolf najduje pałac starego Atlanta,
 Psuje zamek i więźnie puszcza; Bradamanta
 Z Rugierem się poznawa, od którego zbici
 Byli z koni rycerze czterej znamienici,
 Kiedy się z nią pośpieszał pospołu jednego
 Wybawić z srogiej śmierci rycerza błędnego,
 Który miał być o pewny uczynek spalony;
 Pinabella zabija dziewczica z Dordony.

A L L E G O R Y E.

Ta dwudziesta i wtóra pieśń jest pełna wszędzie pięknych i dziwnych przypadków. Trąba Astolfowa, którą mu Logistylla darowała, ukazuje zwykłą moc swojej przeciwko czarom. Pinabel trwając w swej przyrodzonej złości, postanowia i wnosi niecnotliwy zwyczaj odzierać białogłowy i rycerze, którzy imo jego zamek jeźdzali, gdzie poznany nakoniec od Bradamanty, bierze ostatnie karanie za wszystkie swoje niecnoty. Rugier nie chcąc używać w skutku tarczy uczarowanej, aby stąd nie nabył przegany, zarzuca ją w studnię, gdzie potem siła ludzi ladajakich daremnie szukać jej przychodzi.

S K Ł A D P I E R W S Z Y.

Piękne panny i panie, stwierdzone w stałości,
 Co przedstawacie tylko na jednej miłości,
 Acz wiem, że takich tak jest mało między wami,
 Żeby je podomno mógł policzyć palcami,
 Nie przypisujcie tego, proszę, mojej winie,
 Żem tak ostry w słowach był przeciwko Gabrynie,
 I jeśli jeszcze muszę jej sprawy złośliwe
 Łącz obmawiać i serce, niecnót różnych chciwie.

II.

Gniewacie się śnać na mię o nią, jako słyszę;
Jam nie krzyw: taka właśnie była, jako piszę,
Ale przeto nie tracą swojej czci cnotliwe
I zacne białogłowy, które nic niekrzywe.
Że Judasz Mistrza sprzedał, to namniej Piotrowi
Wadzić nie może ani świętemu Janowi;
I Hipermnestra w swej czci i chwale została,
Chocia tak wiele złych siostr i przewrotnych miała.

III.

Za jedną, co się słusznie gani i szkaluje,
Kiedy ta historia tego potrzebuje,
Sto inszych tak czcić będę i chwalić bez końca,
Że ich cnoty jaśniejsze zawsze będą słońca.
Ale się do swej pracy różnej wrócić muszę,
Która się wam podobać będzie, jako tuszę.
Śpiewałem o Zerbinie, który w onem czasie
Skoczył na krzyk i na dźwięk, który słyszał w lesie.

IV.

Na ciasną ścieżkę między dwa pagórki wjechał,
Skąd głos słyszał, i tylko mało co ujechał,
Ujrzał w ciasnej dolinie wtem nieznanego
Rycerza leżącego, srodze zabitego.
Kto to był? — powiem potem, a teraz zostawię
Francją, a do wschodnich krajów się wyprawię
Szukać cnego Astolfa, który się już wracał
Ku domowi i konia na zachód obracał.

V.

Pomnicie, żem go odszedł i zostawił w mieście
Złych, srogich żon, gdzie rządy kwitnęły niewieście,
I jako stamtąd jechał, napełniwszy srogiem
Strachem gmin wszytek swoim szarowanym rogiem,
Więc, jako towarzystwo jego wzniosło żagle
I od brzegu sromotnie ujachało nagle;
Dalej jadąc, powiadam, że koniem nawrócił,
I do ormiańskiej ziemi stamtąd się obrócił.

VI.

Śpiesznie jadąc, za kilka dni był w Natoliej,
Gdzie się udał gościńcem wielkim do Brusyej;
Stamtąd kończąc swą drogę, do morza przyjechał,
Przez które przeprowiony do Tracyej jechał;
Z Tracyej nad Dunajem potem prostą drogą
Przez Węgry, a tak dobrze konia kłął ostrogą,
Że mniej, niż za dwadzieścia dni, Morawę minął,
Czechy i Frankonią i kraj, gdzie Ren płynął.

VII.

Przejechał przez Ardenny las do Akwisgrany,
Więc potem do Brabantów, gdzie już spracowany
We Flandryej wsiadł w okręt, na morzu tak mocne
I tak potężne wiatry zastawszy północne,
Że w południe z daleka obaczył Anglią,
Którą starzy pisarze zwali Brytanią;
Dalej koniem tak śpiesznie jechał, że w Londynie
Tegoż dnia o wieczornej właśnie był godzinie.

VIII.

Tu słyszy, że król Otton stary cesarzowi
Na pomoc i na odsiecz poszedł Paryżowi
I że za nim przedniejszy wszyscy wyjeżdżali,
Którzy sławę i wiarę świętą miłowali.
On się zaraz namyśla jechać do Francyej
I w porcie u Tamiza wsiada i z Angliej
Pod pełnemi wyjeżdża skwapliwy żaglami
I do Kalesu każe obracać sztyrami.

IX.

Wiatrek, który z początku lekki był i mały,
Kiedy się okręt puszczał między morskie wały,
Coraz większy i coraz potężniejszy wstaje,
Nakoniec tak mocno dmie, że mu szyper łaje;
Łaje szyper, bo widzi, że okręt wywróci,
Jeśli przeciwko niemu rufy nie obróci.
Bieżą po grzbiecie morskiem ręczo prostą drogą,
Gdzie wiatr każe, kiedy iść, tam gdzie chcą, nie mogą.

X.

Raz się w prawą, drugi raz w lewą obracają,
 Jako chcą srogie wiatry, co morzem władają;
 Na ostatek od lądu idąc w pełnem biegu,
 Uchwycili się blisko Rotomagu brzegu.
 Astolf na Rabikana siodło, na się zbroję
 Kładzie, na bok broń zwykłą przypasuje swoją
 I w dalszą drogę jedzie, mając on u siebie
 Róg, który stał za tysiąc człowieka w potrzebie.

XI.

I przyjechał pod wzgórek jeden położysty,
 Gdzie obaczył źródło piękny, jasny, przeźroczysty,
 Właśnie o tej godzinie, właśnie o tem czasie,
 Kiedy się bydło więcej na trawie nie pasie,
 Ale w chłody ucieka; i znojem strapiiony
 I pragnieniem, zdjął sobie z głowy hełm stalony
 I swego Rabikana u drzewa jednego
 Uwiązawszy, poszedł pić do źródła onego.

XII.

Jeszcze się był nie napił Astolf upragniony,
 Kiedy wieśniak, który był w lesie utajony,
 Wypadł z chróstu i wodze odwiązał koniowi
 I wsiadłszy nań, ujeżdżał na niem ku domowi.
 Usłyszy on zgiełk Astolf i głowę od wody
 Podnosi i widome widzi swoje szkody;
 I nie pijąc, rad nierad, źródło zostawuje
 I swojego złodzieja goni i szlakuje.

XIII.

On wieśniak nie we wszystkim biegu w on czas biegał,
 Boby go był Astolfus pewnie nie dobieżał;
 Ale to wściąga, to wódz koniowi popuszcza,
 I to cwałem, to się zaś kłosem sporem puszcza.
 Na ostatek po długiem bieganiu po lesie
 W pole wyszli i tam się zeszli w onem czasie,
 Gdzie było moc rycerzów, wegnanych czarami,
 Co bez więzienia byli więcej, niż więźniami.

XIV.

Do pałacu wielkiego wpadł wieśniaczek młody
 Na koniu, który z wiatry mógł biegać w zawody.
 Astolf za niem z daleka bieży przez zagony,
 Hełmem, zbroją, orężem inszem obciążony.
 Nakoniec i on sam wbiegł; tu dopiero zginął
 Ślad, którem szedł, bo wieśniak daleko wyminął;
 Nie widzi go, nie widzi Rabikana więcej,
 Bieży przecię, by wściekły, co może naręcej.

XV.

I tam i sam wartuje po budownem dworze,
 Po salach i po izbach, po każdej komorze,
 Bez pożytku, i już go poczyrna nadzieja
 Opuszcza, aby naleźć miał swego złodzieja.
 Nie wie, gdzie mu skrył konia, konia tak ręczego,
 Że na świecie nie było bez chyby rętszego;
 Tak on cały dzień strawił, bez skutku szukając,
 Tam i sam z góry na dół nakoło biegając.

XVI.

Na ostatek, bieganiem wielkiem spracowany,
 Postrzegł się, że on pałac był uczarowany,
 I wspomniał sobie książkę, co mu była dała
 Logistylla w Indyj, kiedy go żegnała,
 Książkę, co w niwecz wszystkie obracała czary,
 Że nikomu nie mogły wadzić z żadnej miary;
 W tę wejrzawszy, w rejestrze znalazł napisano,
 Na której karcie szukać według liczby miano.

XVII.

Szeroko książka pałac on opisowała
 I sposób zaraz kładła i ukazowała,
 Jako od czarownika więźniowie zamknięci
 Mieli być od Astolfa zaraz wyzwoleni,
 I że pod pałacowem progiem był zawarty
 Jeden zły duch, piekielny — tak mówiły karty —
 I skoroby z progu był kamień obalony,
 Miał zniknąć, w lekkie dymy pałac obrócony.

XVIII.

Nauczywszy się z księgi Astolf dostatecznie
 O wszystkim, chce do skutku onę rzecz koniecznie
 Przyprowadzić, nie widząc u wrót żadnej straży,
 I schyla się, chcąc patrzeć, jako marmur waży.
 Skoro Atlant obaczył ręce wyciągnięte,
 Aby jego nauki były znieważone,
 Bojąc się tego, co być może, z inszej miary,
 Nowe gusła i nowe obraca nań czary.

XIX.

Uczył to djabelstwem, że się zdał od tego,
 Czem był, daleko różny, odjąwszy od niego
 Własną postać: temu się zda olbrzym, a temu
 Zbrojny rycerz z surową postawą owemu.
 Każdy w tej właśnie widzi postaci Anglika,
 Jako w lesie Atlanta widział czarownika.
 Wszyscy się na Astolfa razem obracali,
 Aby to, co jem był wziął kuglarz, odzyskali.

XX.

Mężny Rugier i śmiały Gradas i Iryldus,
 Przesławna Bradamanta, Brandymart, Prasyldus,
 I inszy cni rycerze w nowy błąd wpadali
 I chcąc Astolfa zabić, mieczów dobywali.
 On, od wszystkich nakoło zewsząd obstępiony,
 Wspomnił sobie na swój róg, nieraz doświadczony;
 I by był nie zatrąbił, pewnie żeby byli
 Na onym miejscu cnego rycerza zabili.

XXI.

Ale skoro jeno róg do gęby przyłożył
 I dźwięk straszny wypuścił, tak wszystkich potrwożył,
 Że w zawód uciekali, by gołębie w ciszą,
 Kiedy więc wystrzeloną rusznicę usłyszą.
 Ale i czarnoksiężnik niemniej potrwożony
 I na sercu niezmiernem strachem pomrożony,
 Zbladł na twarzy i jako nadalej uchodzi,
 Aż tam, gdzie go dźwięk strasznej trąby nie dochodzi.

XXII.

Uciekł sam strażnik, wszyscy uciekli więźniowie,
 Oni tak sławni, oni tak wielcy mężowie,
 Naostatek i konie powrozy porwały
 I za swojemi pany różnie uciekały.
 Szczurek i biedna kotka w domu nie została:
 Tak straszliwy głos trąba ogromna puszczała.
 I Rabikan chciał uciec, ale poimany
 Był od pana i znowu w stajni przywiązany.

XXIII.

Skoro wygnał Atlanta dźwiękiem swego rogu,
 Podniósł Astolf kamienia, który był na progu,
 I nalazł pod niem pisma i znaki zakryte,
 I charaktery dziwne, w kamieniu wyryte.
 Kamienie aż do gruntu wszystkie powyjmował
 I co jeno tam nalazł, potłukł i popsował,
 Wszystko czyniąc, jako go nauczyły rymy
 Mądrej księgi; wtem pałac poszedł w lekkie dymy.

XXIV.

Trafił potem do stajniej, kędy uwiązany
 Na łańcuchu ze złota stał w skrzydła ubrany
 Koń Rugierów, którego Atlant mu darował,
 Kiedy go do Alcyny w drogę wyprawował;
 Potem mu Logistylla munsztuk urobiła
 I jako jem miał Rugier rządzić, nauczyła,
 Co na niem wszystkiej ziemie prawy bok z Indiej
 Do Anglię okrążył, jadąc do Francyej.

XXV.

Nie wiem jeśli pomnicie, że się był odwiązał
 I zdarł z uzdy, kiedy go u mirtu uwiązał,
 Kiedy od srogiej ryby, przezeń wybawiona,
 Znikła mu z oczu naga córka Galafrona;
 To dziwna była, jako stamtąd do dawnego
 Trafił ubrany w pióra koń mistrza mojego;
 U którego się potem przez wszytek czas chował,
 Aż mu wszystkie gusła zniósł Astolf i popsował.

XXVI.

Nigdy się nie stawiło lepiej Astolfowi
 Szczęście nad on czas, kiedy lotnemu koniowi
 Panem został, bo ziemię i morze okrążyć,
 Jako miał wolą Astolf, nie mógłby nadążyć
 Żaden inszy, krom tego, który ode wschodu
 Mógł za kilkanaście dni przepaść do zachodu;
 A już go był i przedtem spróbował i wiedział,
 Że lekko niósł i nie trząsał, gdy kto na niem siedział.

XXVII.

W Indyj go sprobował Astolf pomieniony,
 Kiedy był przez Meliszę z ręku wybawiony
 Niezbożnej czarownicy onej, co mu była
 Twarz człowieczą w mirtowe drzewo obróciła;
 Widział, jako mu swoim wędzidłem łeb dziwny
 Logistylla rządziła, że nie był przeciwny,
 I wiedział, jaki sposób dała Rugierowi,
 Że posłuszny być musiał swojemu jeźcowi.

XXVIII.

Umyśliwszy wziąć konia, ubranego w skrzydła,
 Siodłał go, potem różne przebierał wędzidła,
 Wędzidła, które w stajniej na kółkach wisiały,
 Tych koni, co za swemi pany uciekały;
 I jako mu się która podobała sztuka,
 Tę z tego, tę z owego wyjąwszy munsztuka,
 Jeden złożył dla niego nie twardy i wolny,
 Aby się mniej przeciwił i mniej był swowolny.

XXIX.

Że nań zaraz nie wsiada, Rabikan go bawi:
 Nie wie, co z nim uczyni i gdzie go zostawi.
 Kochał się w niem, nie mógł być lepszy do kopiej,
 Aż z Indyj przyjechał na niem do Francyej.
 Na koniec się namyśla, aby go nie stracić,
 Kazać go wieść i raczej od niego zapłacić,
 Anizli go porzucić na zdobycz pierwszemu
 Tamtą drogą trafunkiem jakim jadącemu.

XXX.

Patrzy pilnie angielskie książę w onem czasie,
 Jeśli mu się myśliwiec lub jaki chłop w lesie
 Nie trafi, któryby mu jego kochanego
 Rabikana chciał zawieść do miasta blizkiego.
 Cały on dzień i kiedy już wynikał drugi,
 Cekał, żeby mu się kto do onej posługi
 Trafił, ale bez skutku; aż kiedy świeża,
 Dopiero, że ktoś jachał, tak mu się widziało.

XXXI.

Ale jeśli mam o tem ostatek powiedzieć,
 Trzeba wam pierwej nieco o Rugierze wiedzieć
 I o cnej Bradamancie. — Gdy się oddaliła
 Cna para, że ich trąba w uszy już nie biła,
 Poznał Rugier zarazem to, co mu przez czary
 Zakrywał do tej doby czarnoksiężnik stary;
 Zakrywał i tego chciał, aby się nie znali,
 Wzajem ci wszyscy, którzy w pałacu mieszkali.

XXXII.

Rugier się Bradamancie swojej przypatruje,
 Niemniej i ona jemu i zbyt się dziwuje
 Oboje, że tak wielkiej gusła były mocy,
 Że jem tak długo ćmiły i rozum i oczy.
 Rugier obłapia swoją dziewicę nadobną,
 Która się zostaje różej rumianej podobną,
 I chciwie zbiera z jej ust pierwsze wdzięczne kwiaty
 I szczęśliwej miłości swej owoc bogaty.

XXXIII.

Częstokroć się wzajemnie oboje ściskali,
 Częstokroć obłapiania swoje powtarzali,
 Ciesząc się z obopólnej i szczerzej miłości,
 Że się w sercu nie mogły zmieścić ich radości,
 I żałując niezmiernie, że się nie poznali,
 Kiedy w błędnem pałacu tak długo mieszkali,
 I że się, będąc wspólni z sobą, nie cieszyli
 I tak wiele wesołych dni darmo stracili.

XXXIV.

Jednak ona, jak mądra panna, w tem używa
Przystojnych kresów i tak chce mu być chętniwa,
Aby swoje uczciwe wcale zachowała,
A jego w pewności swej chęci zatrzymała;
I mówi mu, jeśli chce nie znać w niej twardości
Do zbierania ostatnich owoców miłości,
Aby się naprzód okrzyknął, potem, na co ona
Pozwoli, prosił o nią ojca jej, Amona.

XXXV.

Rugier, coby był dla niej nietylko pogański
Porzuciwszy, na zakon przystał chrześcijański,
Jako ociec, jako dziad, jako beli dawni
Przed laty tego domu przodkowie przesławni,
Aleby jej kwoli dał chętnie na ostatek
Żywota, co go jeszcze zbywało, ostatek,
»Nie tylko — prawi — głowę w wodę, jako każesz,
»Ale i w ogień włożę, jeśli tak rozkażesz«.

XXXVI.

Rugier zaraz wyjechał śpiesznie z tamtej strony
W dalszą drogę, aby był co prędzej okrzyknięty,
Któremu Bradamanta przewodniczką była
I do Walumbrozy go stamtąd prowadziła —
Tak zwano jeden klasztor, piękny i bogaty,
Nabożeństwem słynący przed dawnymi laty —
A kiedy w pole wielkie z lasu wyjeżdżali,
Białą głowę zbyt smutną na twarzy potkali.

XXXVII.

Rugier, co zawsze z każdym ludzkości używał,
Tem więcej przeciw tej płci, której zawsze bywał
Przyjacielem, ujrzałwszy oczy upłakane
I jej piękne jagody, łzami umaczane,
Ujęty był zarazem żądzą i chciwością
Wiedzieć, jakaby była trapiąca żalostí;
I przystąpiwszy do niej, pierw jej przywita
I pozdrowi, potem jej, czemu płacze, pyta.

XXXVIII.

Ona wtem upłakane oczy ucierała,
I cnemu Rugierowi tak odpowiedziała,
Z początku mu przyczynę swojej doległości
Odkrywając i onej swej wielkiej żalostí:
»Z litości — pry — i z żalu, mój panie, ciężkiego,
»Który mam dla młodzieńca jednego pięknego,
»Łzy, jako widzisz, tę twarz teraz polewają,
»Którego w blizkiem zamku dzisiaj tracić mają.

XXXIX.

»Jedna młoda, nadobna panna miłowała,
»Co ojca Marsylego, hiszpańskiego miała
»Króla, w panieńskiej szacie to mowę zmyśloną,
»To oczy, to postawę chytrze uprzedzoną;
»Na każdą noc go niemal do siebie puszczała,
»Czego domowa czeladź długo nie wiedziała;
»Ale nie jest tak żadna tajemnica skryta,
»Aby nakoniec z czasem nie była odkryta.

XL.

»Jeden naprzód postrzegszy, powiedział drugiemu,
»Dwaj zaś inszem, aż się to królowi samemu
»Odniosło i zawczorem tak tu powiadano,
»Że oboje na łóżku wspólnie poimano.
»Król kazał, aby beli do wieży wsadzeni
»I jedno od drugiego różnie rozdzieleni;
»Onego spalić mają, a tak nieszczęśliwy
»Umrzeć musi i nie wiem, jeśli dotąd żywy.

XLI.

»Jam poszła, abym tylko przy ogniu nie była
»I na tak okrucieństwo wielkie nie patrzyła;
»Przyznam się, że żałuję serdecznie tej szkody,
»Że musi zginąć człowiek tak piękny, tak młody,
»I bym w największem szczęściu i weselu była,
»Nie może być, abym go w żal nie odmieniła,
»Wspomniawszy sobie tylko na ognie złożone,
»Co palić będą członki piękne i pieszczone«.

XLII.

Tak się zda Bradamancie, że jej nie smakuje
 I że ją barzo ona nowina frasuje;
 I zda się jej, że tak się boi o onego
 Skazanego na ogień, jako o jednego
 Z braci swojej, a pewnie, że nie bez przyczyny,
 O czym wam potem powiem; tak z onej nowiny
 Smętna barzo, swojemu rzecze Rugierowi:
 »Pomóżmy — prawi — jako temu młodzieńcowi!«

XLIII.

Potem się obróciwszy, gdzie stała niewiasta
 Uplakana, mówi jej: »Prowadź nas do miasta,
 »A wiedz, że jeśli dotąd żyje, żyw zostanie,
 »I bądź pewna, że mu się złego nic nie stanie«.
 Rugier widząc życzliwość i pilne staranie
 Swojej dziewczki o niego, i sam przypadł na nie;
 Wnętrzną żądzą zagrzany, chce pomóc onemu
 Młodzieńcowi, na srogą śmierć osądzonemu.

XLIV.

I do niewiasty mówi: »Czego czekasz więcej?
 »Czemu nas nie prowadzisz do miasta co pręcej?
 »Nie płakać tu, ale go ratować potrzeba,
 »Bo jeśli zaś omieszkas, nas nie będzie trzeba.
 »Ale jeśli do miasta wcześniej przyjedziemy,
 »Bezpiecznie go z tysiąca mieczów uwieziemy;
 »Przeto się śpiesz, abyśmy na czas przybyć mogli
 »I abyśmy mu pierwej, niż zgore, pomogli«.

XLV.

Postawa śmiałej pary i surowa mowa
 Sprawiała to, że ona smętna białogłowa
 Niewątpliwą nadzieją serce napełniła,
 Którą już była pierwej do szczętu straciła.
 Lecz iż się barziej bała drogi zastąpionej,
 Niż onej dalekości, w myśli rozdwojonej
 Sama w sobie wątpliwa, namysły czyniła,
 Bojąc się, aby próżna jej droga nie była.

XLVI.

Potem rzecze: »Jeśli — pry — przez tę prostą drogę
 »I przez równą pojedziem, ile baczyć mogę,
 »Prawiebyśmy do miasta na czas przyjchali
 »I jeszczebyśmy żywo młodzieńca zastali;
 »Ale jeśli pojedziem przez tę kamienistą
 »Złą, nierówną, daleką i zbytnie górzystą,
 »Boję się, że po czasie w miasto przyjedziemy
 »I onego podobno w ogniu zastaniemy«.

XLVII.

»Czemuż krótszą nie mamy — rzecze Rugier — jachać?
 Odpowie białogłowa: »Trudno tam przejechać,
 »Bo grabiów z Pontyeru zamek jest na drodze,
 »Którego się podróżni wszyscy strzegą srodze
 »Dla ustawy, którą tam ode trzech dni kładą
 »Na panny i rycerze błędne, co tam jadą;
 »W zamku mieszka Pinabel, człowiek niecnoliwy,
 »Syn Andzelma starego, grabie z Altarywy.

XLVIII.

»I rycerz i biała płeć tędy nie jachała,
 »Żeby tu odnieść jakiej sromoty nie miała:
 »Pieszko stamtąd iść muszą, białogłowy stroje
 »I szaty zostawując, a rycerze zbroje;
 »Bo z dawnych lat nie było we wszytkiej Francyej
 »I dotąd jeszcze niemasz lepszych do kopiej
 »Nad tych czterech rycerzów, co onę zamkowi
 »Ustawę poprzysięgli i Pinabellowi.

XLIX.

»Powiem wam, jako zwyczaj i ona ustawa
 »Stała ode trzech dni i skąd się ta sprawa
 »Poczęła, a wy sądziecie, czy jest sprawiedliwa,
 »Bo na nią kazał przysiąc rycerzom, czy krzywa.
 »Ma ten Pinabel panią tak złą, że na świecie
 »Gorszej niemasz nietylko w tem naszym powiecie,
 »Którą, kiedy z niem w drogę nie wiem, gdzie, jachała,
 »Od rycerza jednego zelżywość potkała.

L.

»Rycerz, o którym mówię, iż z baby szydziła,
 »Którą za siodłem nosił, i źle ją ważyła,
 »Powabił Pinabella, co w sobie hardości
 »I postawy więcej miał, aniżli śmiałości;
 »Zbiwszy go z konia, kazał jego paniej, aby
 »Za to, że sobie z jego przeszydzała baby,
 »Pieszko szła i swe stroje i szaty zewlokła,
 »W które się jego baba natychmiast oblokła.

LI.

»Będąc tak młoda pani barzo obelżona,
 »Na pomstę z gniewu, z wstydu wszystka obrócona,
 »Złączona z Pinabellem, który wszystkich złości
 »I wszystkich jej pomagał zawżdy nieprawości,
 »Myśli we dnie i w nocy i nie sypia zgoła
 »I powiada, że nigdy nie będzie wesoła,
 »Ażby tam także pieszko rycerze chodzili
 »I płeć biała i ta strój, ci zbroje stracili.

LII.

»A wtem czterej rycerze do zamku jednego
 »Trafunkiem przyjachali Pinabellowego;
 »Czterej wielcy rycerze, co niedawno byli
 »Z barzo dalekich krajów w tę stronę przybyli,
 »Tak mężni i tak dzielni, jako powiadają,
 »Że takich drugich czterech te wieki nie mają:
 »Akwilant z bratem swoim rodzonem, Gryfonem,
 »I Sansonet, mąż wielki, z młodzikiem Gwidonem.

LIII.

»Pinabel, który ludzkość z twarzy pokazawał,
 »Ale w sercu źle myślił, w dom ich przyjmował;
 »Od którego we śpiączki beli poimani
 »I tak długo u niego w więzieniu trzymani,
 »Aż się wszyscy musieli obowiązać tęgą
 »Wymieszkąć tam rok cały i miesiąc przysięgą,
 »Przez który czas, żeby tych wszystkich odzierali,
 »Rycerzów, coby tamtem gościńcem jachali,

LIV.

»I ich paniom i pannom zawsze zsiadać z koni
 »Kazali i szaty jem zabierali. Oni,
 »Choć nieradzi i zbyt z tego utrapieni,
 »Przysięgli tak, jako chciał, gwałtem przymuszeni.
 »Do tych czasów jeszcze nikt tu z niemi nie gonił,
 »Coby z siodła nie wypadł i piór nie uronił;
 »A było ich przez liczby, lecz szczęścia nie mieli:
 »Wszyscy pieszko iść i zbrój pozbywać musieli.

LV.

»I rozkazał, aby ten, na kogo los padnie,
 »Wprzód sam jeden wyjeżdżał z tych, co byli na dnie;
 »Lecz gdzieby przeciwnemu gońcowi nie sprostął
 »I samby wypadł z siodła, a on w siedle został,
 »Inszy trzej, co zostaną, wszyscy jednym razem
 »Powinni na zwycięzcę wychodzić zarazem.
 »Patrzcie: jeśli tak dobry jeden między niemi,
 »Co będzie, kiedy przydzie czynić ze wszystkimi?

LVI.

»Ale ta rzecz, na którą i ja mam iść z wami,
 »Nie chce zwłok, nie chce tego, widzicie to sami,
 »Abyście się tem bojem teraz zabawiali;
 »Bo chociażby tak było, żebyście wygrali,
 »Co wam z twarzy i mężnej przystoi postawy,
 »Przecię nie są godziny jednej takie sprawy;
 »I boję się, że jeśli dziś tam nie będziecie,
 »Obróconego w popiół młodzieńca najdziecie.

LVII.

Rugier rzecze: »Nam na to patrzeć nie potrzeba.
 »My czynmy, co możemy i co czynić trzeba,
 »Jedźmy rychło, a puśćmy ostatek na Boga
 »Lub na szczęście; ty nas wiedz, gdzie naprostsza droga.
 »Z tej gonitwy świadoma będziesz naszej mocy
 »I uznasz, jeśli będziem dobrzy do pomocy
 »Temu, który z tak lekkich przyczyn dziś karany
 »Ma być, jako powiadasz, na ogień skazany«.

LVIII.

Ona się, nie mówiąc nic, zatem obróciła,
I w drogę się równiejszą i bliższą puściła.
Pół mile nie jachali przez gościniec prosty,
Kiedy ujrzeli bramę i wysokie mosty,
Kędy szaty i zbroje często utracają,
A czasem i żywota nieraz pozbywają;
A skoro ich z daleka z zamku obaczono,
Dwa razy, a nie więcej we dzwon uderzono.

LIX.

Wtem z bramy przeciwko niem wyjeżdżał skwapliwy,
Trzęsąc się na podjezdku, jeden starzec siwy
I wołał wielkiem głosem: »Czekajcie! czekajcie!
•I albo się w zad wróćcie, albo myto dajcie.
•I jeśli miejsca tego zwyczaju nie wiecie,
•Dostatecznie się o niem ode mnie dowiecie.«
I począł jem powiadać starzec wszystkie sprawę,
Jaką tam chować kazał Pinabel ustawę.

LX.

Potem, jako był zawsze zwykł czynić z inszemi,
Radził jem, namawiał ich słowy przystojnemi:
•Każcie tej paniej płaszcz dać, a sami zsiadajcie
•Z koni swoich co prędzej i zbroję składajcie,
•A w niebezpieczeństwo się nie wdajcie, z takiemi
•Chcąc się bić rycerzami czterema mężnemi:
•Suknie, zbroje i konia, łatwość dostać wszędzie,
•Ale kto żywot straci, nań się nie zdobędzie.«

LXI.

Mówi Rugier starcowi, aby słów zaniechał.
•Wiem — pry — dobrze o wszystkim, na tom tu przyjechał;
•Niechaj się, jeśli w skutku tak dobry, spróbuję
•Do tej sprawy, jakiem się być na sercu czuję.
•Konia, zbroję i szaty, tak wiedz, panie stary,
•Na same gołe słowa nie posyłam w dary;
•Wiem, że i mój towarzysz na to nie pozwoli
•I dobijać się drogi zastąpionej woli.

LXII.

•Ale idź, a powiedz jem, niechaj wyjeżdżają
•Ci, co to ludzie ze zbrój i szat odzierają;
•Bo mamy dalej jachać i jedną rzecz sprawić
•Pilną barzo: długo się tu nie mogę bawić.«
•Ano masz już jednego — starzec odpowiedział —
•Który cię wprzód ma potkać.« I dobrze powiedział,
Bo jachał jeden, który na zbroi bogaty
Miał nasuwień czerwony, tkany w białe kwiaty.

LXIII.

Bradamanta Rugiera długo nalegała
I prosiła, aby się wprzód przed niem potkała
Z onym rycerzem, który nasuwień czerwony
Miał na sobie, białemi kwiaty przedzielony.
Ale próżne jej groźby, próżne były słowa;
Taka była koniecznie wola Rugierowa,
Aby mu Bradamanta cugu ustąpiła,
A na miejscu na jego spotkanie patrzyła.

LXIV.

Rugier się u starego potem dowiadował,
Jako się ten, co na przód wyjechał, mianował.
Starzec powie, że to jest Sansonet w czerwonej
Dołmonie zwierzchniej, białem kwieciem przedzielonej.
Nie mówiąc do siebie nic rycerze wspaniali,
Jeden z tej, drugi z tamtej strony zajeżdżali
I przeciw sobie drzewa ogromne złożyli
I na pełny bieg wodze koniom wypuścili.

LXV.

Tem czasem z Pinabellem z zamku beli wyszli
Pieszy w niemałej liczbie i na plac z niem przyszli
Przestrzegać i pilnować, aby zbroje kładli
Ci rycerze, którzyby beli z koni spadli.
Przeciwko sobie mężni rycerze bieżeli
I w tokach swoich drzewa pochylone mieli,
Drzewa wielkie, ogromne, mięszsze, mocne, nowe,
Młodociane i dobrze zaschłe, jesionowe,

LXVI.

Jakich kilka dziesiątków dał był w przeszłym czesie
 Wyciąć mężny Sansonet w niedalekiem lesie,
 Które były na słońcu potem wysuszone,
 A na ten czas były dwie za niem przyniesione;
 Trzeba pewnie, żeby tarcz z dyamentu była
 Albo z stali, żeby w się grotu nie puściła.
 Jedno, gdy na plac wjechał, kazał przeciwnemu
 Gońcowi dać, a drugie wziął sobie samemu.

LXVII.

Z temi, któreby były podobno przebiły
 Nakowalnie, rycerze niezrównanej siły,
 Zastawując się wzajem wielkimi tarczami,
 Uderzyli w się mężnie ostremi grotami.
 Rugierowa, co była przez czary zrobiona,
 Została nieprzebita i nieprzebodzona,
 Ona to od Atlanta tarcz czarnoksiężnika,
 Największego po wszystkim świecie czarownika.

LXVIII.

Jużeście to nie w jednej pieśni u mnie mieli,
 Jużeście to wielekroć ode mnie słyszeli,
 Że kiedy ją odkryto, wzrok odejmowała
 I pamięć i wszytek zmysł nagle odbierała;
 Ale ją Rugier zawsze pokrowcem nakrywał,
 Odkrytej, krom potrzeby wielkiej, nie używał;
 I tak twierdzą, że pewnie niepożyta była,
 Kiedy w onem potkaniu grotu nie puściła.

LXIX.

Druga, która gorszego rzemieśnika miała,
 Onego tak ciężkiego raza nie strzymała
 I jako uderzona piorunem, do razu
 Przepadła się i miejsce w tem dała żelazu;
 Miejsce dała żelazu, które weszło w ciało
 I mięso mu i żyły w ramieniu porwało.
 Tak na on czas Sansonet, mocno uderzony,
 Od Rugiera był z konia na ziemię zwalony.

LXX.

Pierwszy to tam ze czterech, którzy tam mieszkali
 Na to, aby niezbożną umowę chowali,
 Przez którego nie tylko łup nie był zdobyty,
 Ale w onej gonitwie z siodła był wybity:
 Tak ci, kto się weseli i trzęsie porożem,
 Płacze czasem i bywa częstokroć pod wozem.
 A wtem znowu na wieży we dzwon uderzono
 I aby wyjeżdżali drudzy, znak czyniono.

LXXI.

Skoro się ono pierwsze skończyło igrzysko,
 Przystąpiwszy Pinabel Bradamanty blisko,
 Pyta, kto to był, co się tak dobrze postawił,
 Że takiej hańby jego rycerza nabawił
 I tak go mężnie wybił i wysadził z siodła.
 Sprawiedliwość go boska właśnie tam przywiodła
 Właśnie na temże koniu, którego na górze
 U jaskinie uwiódł był Amonowej córce.

LXXII.

Właśnie się było dziewięć skończyło miesięcy,
 Spełna dziewięć miesięcy, jako z nią jadący,
 Jako dobrze pomnicie, zepchnął ją z wysoka
 Na dół, gdzie Merlinowa leżała zewłoka,
 Kiedy jej gałąź, co się powoli łamała
 Pod nią, która z nią spadła, śmierci uchowała;
 W ten czas wziął był jej konia, mniemając, że ona
 Na wieki być w jaskinie miała pogrzebiona.

LXXIII.

Tak Bradamanta konia swojego poznawa,
 Którego miał pod sobą: koń grabię wydawa.
 Ale gdy głos i mowę jego usłyszała,
 I pilniej mu z blizka w twarz i w oczy wejrzała,
 »Ten to zdrajca — zawoła — ten to jest niecnota,
 »Co mię okradł, co mię chciał pozbawić żywota!
 »Grzech cię tu twój wprowadził teraz, abyś za tę
 »Niecnotę wziął nagrodę i godną zapłatę.«

LXXIV.

To mówiąc, do miecza się od boku porwała
I dobywszy go, chyżo za niem się udała;
Ale mu wprzód od zamku drogę zastąpiła
I żeby weń nie uciekł, dobrze opatrzyła.
Wszystkie dopiero stracił Pinabel nadzieję,
Jako lis, gdy mu jamę zajadą od knieje;
Ani się chce obejrzeć, ale wylekniony
W pole wypada, widząc zamek zastąpiony.

LXXV.

Blednie, jak trup, a konia to kole, to siecze,
Widzi, że ma dać garło, jeśli nie uciecze.
Bradamenta go bije coraz w dojeżdżaniu,
Grabia wszystkę nadzieję kładzie w uciekaniu.
Ona tuż wszędzie za niem, z oczu go nie spuszcza:
Rozlega się po lesie, stęka wielka puszcza.
W zamku o tem nie wiedzą dotąd, bo się byli
Na Rugiera na on czas wszyscy zapatrzili.

LXXVI.

Dopiero trzech rycerze z zamku wyjeżdżali
I tam, kędy gonitwa była, przyjeżdżali,
Mając złą białągłową przy sobie, co była
Ono prawo nieludzkie tam postanowiła.
Wszystkiem trzem, bo każdy z nich woli iść ochotny
Na pewną śmierć, aniżli żywot wieść sromotny,
Serca z żalu, a twarzy od wstydu pałają,
Że się wszyscy trzech razem z jednym potkać mają.

LXXVII.

Okrutna nierządnicą, która była wniosła
Onę ustawę, pierwiej, niż potrzeba, doszła,
Przypominała jem ślub, który uczynili,
Aby się jej sromoty i krzywdy zemścili.
»Jeśli go — prawi — z konia zwalę jednym drzewem,
»Co mi po towarzystwie? — tak z surowem gniewem
»Gwidon Dziki mówi złej niewieście — a jeśli
»Nie tak będzie, utni mi potem szyję, chceszli.«

LXXVIII.

Toż Akwilant, toż mówi Gryfon, że gotowi
Pojedynkiem w bój wstąpić przeciw rycerzowi
I że umrzeć albo być poimani woła,
Niżli się wszyscy razem z jednym bić pozwolą.
»Na co spory, na co ta próżna wasza mowa? —
»Nierządnicą jem mówi tak Pinabellowa —
»Po tom was tu przywiodła, abyście się bili,
»A nie, abyście nowe umowy czynili.

LXXIX.

»W ten czas je było czynić, kiedyście więźniami
»Beli, w ten czas się było bawić wymówkami.
»Już to wszystko po czasie; cóż, czy nie pomnicie
»Swej przysięgi, czy zostać kłamcami wolicie?«
Rugier tem czasem woła: »Awo piękne szaty
»Mojej panny, awo koń, awo rząd bogaty,
»Awo i nowe siodło, awo zbroje macie:
»Czegóż więcej, jeśli to chcecie mieć, czekacie?«

LXXX.

Tu je Pinabellowa ciśnie białągłową,
Tu obelżenia pełne Rugierowe słowa
Tak długo, aż się wszyscy, prawie przymuszeni,
Ruszyli razem, ale srodze zawstydzeni.
Naprzód wypadli bracia rodzeni, cne plemię
Margrabie, co burgundzką trzyma żyzną ziemię;
Gwidon, co miał cięższy koń i mniejszej rącości,
Bieżał po zad za niemi w małej dalekości.

LXXXI.

Przeciwko niem biegł Rugier, zapalony gniewem,
Z temże, którem zbił z konia Sansoneta, drzewem,
Zakryty drogą tarczą, tarczą drogiej ceny,
Którą miał stary Atlant na górze Pyreny,
Onę, mówię, co jasność taką wydawała,
Że jej żadna żrzenica nigdy nie strzymała,
Której Rugier za pomoc ostatnią używał,
Kiedy w niebezpieczeństwie jakim wielkiem był.

LXXXII.

Acz mu blask onej tarczy tylko trzykroć służył,
Trzykroć go tylko i to w wielkiem gwałcie użył;
Pierwsze dwa razy, kiedy z rozkosznego kraju
Do chwalebniejszego się wracał obyczaj;
Trzeci raz, kiedy między morskimi wodami
Sroga ryba głodnemi groziła zębami,
Co już, już piękną dziewczkę nagą pożreć miała,
Co mu to, wyzwolona, zaś tak źle oddała.

LXXXIII.

Trzy razy tylko była od niego użyta
Przez wszytek czas, ale tak bywała nakryta,
Że ją mógł łątnie odkryć, kiedy było trzeba,
Kiedy gwałt, kiedy wielka przypadła potrzeba.
Z tą i teraz, jakom rzekł, w srogi bój wstępował,
A takie serce, taką śmiałość pokazywał,
Że onych trzech rycerzów, które przeciw sobie
Widział, tak, jako dziecko, bał się w onej dobie.

LXXXIV.

Rugier właśnie Gryfona tak, jako wymierzył,
W róg tarczy wielkiem drzewem haniebnie uderzył;
On się chwieje tam i sam i głowę nie włada
I z siodła na ostatek leci i wypada.
Gryfon go zaś w pośrzodek paiza ugodził;
Ale iż grot na poprzek nie prosto przychodził
I Rugier miał tarcz gładką, zbyt polerowaną,
Szedł słózem, porzuc wierchem stał uhartowaną,

LXXXV.

I pokrowiec, który blask foremny zakrywał,
Na tarczy w kilku miejscach zdarł i porozrywał,
Blask foremny, na który wszyscy paść musieli,
Którzy tarcze odkrytej by najmniej zajrzeli.
Akwilant, który biegał zarówno z Gryfonem,
Rozdarł grotom ostatek pokrowca stalonem
I tarcz odkrył; zaczęł wnet blaskiem padł na ziemi
I brat bity i Gwidon, co biegał za niemi.

LXXXVI.

I tam i sam, gdzie kogo blask zastał, padają;
Bo nie tylko wzrok, ale zmysły odbierają
Promienie przeraźliwsze i jaśniejsze słońca.
Rugier, który nie widzi boju jeszcze końca,
Obraca koń i szable dobywa w obrocie
I rozczęty bój kończyć chce w zwykłej ochocie
I nie widzi nikogo zgoła przeciw sobie:
Wszyscy beli, jak martwi, padli przeciw sobie.

LXXXVII.

Rycerze, co na koniech beli przyjachali,
I pieszy, co się byli dziwować zebrali,
I białogłowy leżą po ziemi i konie
I tam i sam, ci na tej, ci na owej stronie.
Wprzód się Rugier dziwuje, potem się postrzega,
Że rozdarty pokrowiec wisi i dosięga
Strzemienia, on pokrowiec jedwabny, czerwony,
Pod którym niewytrwany blask był utajony.

LXXXVIII.

Obróci się na koniu i koń obracając,
Patrzy, swej towarzyszki oczyma szukając.
I jedzie na to miejsce, gdzie była została
W on czas, gdy się gonitwa pierwsza rozczynała.
Ale skoro obaczył, że i tam nie była,
Myśli sobie, że pewnie w drogę się puściła
Skazanego młodzieńca od śmierci obronić
I przybyć w czas, widząc, że długo będą gonić.

LXXXIX.

I między leżącemi, których przerażała
Przykra jasność, tę, co go tam przyprowadziła,
Ujrzał i wziął ją przed się i zbyt zasromany,
Jachał stamtąd, sam w sobie wszytek pomieszany,
I w płaszcz jej, który miała, z pokrowca obraną,
Uwinał Atlantowę tarcz uczarowaną.
Zaczem przyszła do siebie i pierwszych dostała
Zmysłów, skoro na przykry blask patrzeć przestała.

XC.

Rugier jedzie żałosny po swojej wygranej,
 Nie śmie od ziemi podnieść twarzy zasromanej,
 Rozumie, że mu będzie zawsze wymiatane
 Na oczy tak niegodnie zwycięstwo dostane.
 »Jako się mam poprawić — prawi — po tem błędzie?
 »Każdy ganić, każdy mi tem urągać będzie,
 »Żem zwyciężył, tak będą mówić, nie siłami,
 »Nie męstwem jakim, ale brzydkimi czarami«.

XCI.

Kiedy tak jachał, pełny żalu i frasunku,
 Czego chciał, czego szukał, to znalazł z trafunku:
 Nadjachał, jadąc potem, studnią zbyt głęboką,
 Obsypaną kamieniem i twardą opoką,
 Gdzie bydło napasione w południe chodziło
 I upragnione w znoje letnie się poilo.
 Rzekł Rugier: »Nie będziesz mię, o zła tarczy, lżyła,
 »Nie będziesz mi już więcej sromoty czyniła!

XCII.

»Niechaj to będzie hańba moja ostateczna,
 »Którą mam mieć na świecie, o tarczy bezeczna!«
 To mówiąc, zsiadłszy z konia, zrzucił ją z ramienia
 I patrzył koło siebie dużego kamienia;
 I znalazłszy go, wziął go i z tarczą pospołu
 Mocno związany wrzucił do wielkiego dołu
 I rzekł: »Niechże tu z tobą, o tarczy zelżona,
 »Wiecznie moja sromota będzie pogrzebiona!«

XCIII.

Studnia bardzo głęboka i wód pełna była,
 Kamień ciężki, tarcza coś mało mniej ważyła;
 Oboje upuszczone, poszło na dół snadnie
 I okryło się wodą i zostało na dnie.
 Tak wspaniałego dzieła zamilczeć nie chciała
 Wieść błędna, świegotliwa i w trąbę zagrała
 I puściła dźwięk o tem po wszystkiej Francyej
 I po przyległych krajach i po Hiszpaniej.

XCIV.

Skoro się ona dziwna przygoda rozniosła
 I od głosu do głosu na wszystkie świat poszła,
 Rycerze z dalekich stron i blizkich jachali,
 Aby tarczej tak zacnej, tak drogiej szukali.
 Ale nie mogli wiedzieć, gdzie kraj, gdzie ta była
 Studnia, w której się sławna pawęza taiała;
 Bo ona białagłowa, co na to patrzyła,
 Nigdy kraju i studniej objawić nie chciała.

XCV.

Skoro Rugier odjechał, zamek zostawiwszy,
 I bój bez wielkiej pracy prędko odprawiwszy,
 Kiedy oni rycerze czterej zawołani
 Postawili się słabo i jako słomiani,
 Wziąwszy tarcz, wziął i światło, które urażało
 Wszystkie oczy i wszystkie zmysły odbierało;
 Zaczem ci, co leżeli, blaskiem zarażeni
 Powstawali tak, jako ze snu ocuceni.

XCVI.

Przez cały dzień ni o czem sobie nie mówili
 Cterej rycerze, którzy z Rugierem gonili,
 Jeno o onem dziwie, jako zaślepieni
 Niewytrwanemi blaski, beli zwyciężeni,
 A wtem nowina przyszła przed zachodem słońca,
 Że już grabia Pinabel doszedł swego końca;
 Już i w zamku rycerze tę wiadomość mieli,
 Lecz od kogo był zabit, jeszcze nie wiedzieli.

XCVII.

Bradamanta się była w pogonią puściła
 Za niem i w wąwozie go ciasnem dogoniła;
 I sto mu ran, przez piersi, przez boki zadawała
 I wszystkie krew z martwego wytoczyła ciała.
 A skoro on wielki smród, którem zarażony
 Wszystkie był kraj tamteczny, przez nią był zniesiony,
 Z koniem, którego jej był uwiódł u jaskinie,
 Wracała się do lasa, potem po równinie

XCVIII.

Tam, gdzie była Rugiera zostawiła, chciała
 Wrócić się, ale drogi naleźć nie umiała.
 Po górach, po dolinach nakoło skręciła
 I wszystkie okolice tam i sam zjeżdżała;
 Ale szczęście nie chciało, aby naleźć miała
 Drogę, skądby Rugiera swego dojechała. —
 Z drugą pieśnią was czekam, jeśli się kochacie
 W historyej i jeśli mię radzi słuchacie.

KONIEC PIEŚNI DWUDZIESTEJ WTÓREJ.

PIEŚŃ DWUDZIESTA TRZECIA.

A R G U M E N T.

Astolf leci pod nieby. Zerbin obwiniony
 O śmierć Pinabellowę, bywa wybawiony
 Od Orlanda. Rodomont na Frontynie jedzie,
 Odjąwszy go Hipalce, co go indziej wiezie.
 Grabia Orland straszliwy pojedynek z hardem
 Odprawuje tatarskim królem, Mandrykardem;
 Potem od swojej dziewczki mając niewytrwane
 Urazy, wpadł w szaleństwo nigdy niesłuchane.

A L L E G O R Y E.

W tej dwudziestej trzeciej pieśni widzimy, jako napodleszy człowiek siłą złego nabroić może, ponieważ baba Gabryna tak wielkiego rycerza, jaki był Zerbin, mało o śmierć nie przyprowadziła. W Rodomontcie, który wprzód mając za sromotę sobie wziąć konia białejgłowie, który mu się podobał i którego potrzebował, a potem go jej wziął gwałtem, ukazuje się, jako nietrudno o okazję przywieść do skutku naszą wolą, byśmy tylko mieli z to siły. W Orlandzie potem, który dla swojej Angeliki stracił rozum i oszalał, ukazuje się rzeczą samą i doświadczeniem, jako jest moc wielka niezbędnej miłości.

S K Ł A D P I E R W S Z Y.

Niech każdy, jako może, bliźniego ratuje,
 Bo dobrze czynić rzadko kiedy się najduje
 Bez nagrody; jeśli też chybi cię nagroda,
 Przynamniej cię nie potka sromota i szkoda.
 Ale który drugiemu źle czyni, to próżno,
 Musi mu dług zapłacić lub prędko lub późno.
 Dobrze mówi przypowieść, że się potykają
 Ludzie z ludźmi, a góry w miejscu pozostają.

II.

Patrzaj, co Pinabella dopiero potkało
 Za jego złe uczynki i co mu się zstało;
 Krótko mówiąc, karanie wziął za swe zasługi
 I zapłacił, choć późno, razem wszystkie długi,
 A Bóg, który przeciwko człowiekowi złemu
 Pospolicie swą pomoc daje niewinnemu,
 Bradamantę wybawił i zawsze każdego
 Niewinnego wybawi i sprawiedliwego.

III.

Tak wierzył zły Pinabel, że w jamę zepchnioną
 Bradamanta, miała być wiecznie pogrzebiona,
 I nie myślił jej ujrzeć wiecznie, nie rzkać, za tę
 Złość swoją przeciwko niej z rąk jej wziąć zapłatę.
 To mu nic nie pomoże, to go nie ratuje,
 Że pomiędzy tak wielą zamków się najduje,
 Zamków swoich ojczystych, gdzie między górami
 Świecił się Wysoki Brzeg pod Pontyerami.

IV.

Wysoki Brzeg na on czas i przyległe włości
 I wielkie w okolicy trzymał majątności
 Stary Andzelmus, ociec Pinabella, który
 Miał nieprzyjaźń z dawnych lat z domem Jasnej Góry.
 Bradamanta, jakom rzekł, skoro dogoniła
 Zdrajce swego, pod górą w lesie go zabiła,
 Który inszych pomocy do swojej obrony
 Nie używał, krom wrzasku a prośby, strwożony.

V.

Skoro tak fałszywego rycerza zabiła,
 Co ją chciał pierwaj zabić, na zad się puściła,
 Gdzie się naleźć Rugiera swego spodziewała;
 Ale się jej fortuna zła w tem sprzeciwiała,
 Która ją wprowadziła na ścieżkę omylną,
 Nie tę, której szukała z chęcią tak usilną.
 Tak wjechała w ciemny las, gęsty i głęboki
 Właśnie w ten czas, gdy na świat padną ciemne mroki.

VI.

A nie wiedząc, gdzie się tak późno podzieć miała,
 Na tem miejscu, gdzie ją noc nalazła, została
 Na trawie, gdzie był gęstem liściem dąb nakryty,
 Częścią śpiąc i czekając na rumiane świty,
 Część na Marsa, Jowisza i na błędne bogi
 Insze patrząc, jako swe odprawują drogi;
 Ale lub czuje lub śpi, twardem snem zmorzona,
 Wszystkie jest w swem Rugierze myślą utopiona.

VII.

Ustawnie wzdycha z serca i z samych wnętrzności,
 Pełna smutku wielkiego i ciężkiej żalości,
 Że w niej więcej, niż miłość, gniew mógł. »Tyś to sprawił,
 »Zły gniewie, żeś mię mego miłego pozbawił:
 »Bym wždy była — powiada — drogę pamiętała,
 »Kiedym się za tem zdrajcą bezecnem udała,
 »Żebym tam, skądem wyszła, na zad zaś trafiła!
 »Próżno to, o czem była i pamięć straciła.«

VIII.

Takie słowa na on czas i takie tesknice
 W sercu i w ustach były u męznej dziewicy,
 A wtem wzdychania wiatry a łzy, co spadały
 Z oczu, na piękną twarz deszcz obfity puszczały.
 Tem czasem po czekaniu długiem pożądany
 Ukazał się na niebie piękny świt rumiany;
 Ona też munsztuk w gębę włożyła koniowi
 Tam, gdzie się pasł i wsiadszy, jachała ku dniowi.

IX.

Jeszcze była niewiele stamtąd ujachała,
 Gdy na koniec gęstego lasu przyjechała,
 Gdzie był przedtem on wielki pałac postawiony,
 W którym więźnie swe chował czarownik uczony.
 Tu zastała Astolfa, który już był w skrzydła
 Ubranemu koniowi w pysk włożył wędzidła
 I stał myśląc, jako miał z Rabikanem sobie
 Postąpić i komu go oddać w onej dobie.

X.

Z trafunku od niej tam był na on czas zastany,
Kiedy był sobie z głowy szyszak zdjął spiżany,
Tak, że jeno co trochę z lasu wyjachała,
Tak zaraz stryjecznego swojego poznała;
I z daleka go jeszcze ludzko pozdrowiła,
A potem bliżej będąc, mile obłapiła
I twarz z hełmu odkryła i poznać się dała
I nadto mu imię swe własne mianowała.

XI.

Nie mógł nikogo naleźć Astolf — i tak wierzył —
Komuby się był lepiej swojego powierzył
Rabikana i ktoby lepiej go pilnował
I do jego zwrócenia z drogi go dochował,
Jako dziewczka z Dordony; i tak mu się zdało,
Że mu ją Bóg lub szczęście w on czas tam posłało,
I jeśli ją rad widział, jeśli ją miłował,
Zawsze, tem więcej teraz, gdy jej potrzebował.

XII.

A skoro obłapiania swoje powtórzyli
I braterskie się z sobą wzajem ucieszyli,
Ona jego, a on jej pilnie się pytali
I o swem powodzeniu sobie powiadali.
Książę angielskie mówi: »Mamli w drogę jachać
»Samem ptakom zwyczajną, czas mi już wyjechać.«
I odkrył jej swe wszystkie zamysły, a potem
Ukazał jej koń, który biegał prędkim lotem.

XIII.

Ona tego za żaden dziw sobie nie miała,
Kiedy go po powietrzu latając widziała.
Znała go dobrze przedtem; na niem wywabiony
Do boju, wyjechał był czarownik uczony
Przeciwko niej; więc i to dobrze pamiętała,
Kiedy głowę i szyję za niem wyciągała
Tego dnia, kiedy Rugier z jej wielkiem lękaniem
Aż pod same obłoki wzniesiony był na niem.

XIV.

Mówi książę angielskie, że jej kochanego
Rabikana swojego chce dać tak rączego,
Że kiedyby go w biegu wodzą nie hamował,
Strzały z łuku puszczone w zadby zostawował,
I zbroje i rynsztunek niepotrzebny, który
Chciał, żeby mu kazała wieźć do Jasnej Góry
I tak to opatrzyła, żeby go to cało,
Kiedy się na zad z drogi wróci, oczekiwało.

XV.

»Bo że — powiada — lotem iść nam, ile mogę,
»Jako najlepiej się chcę ulżyć w tę swą drogę;
»Okrom szable a trąby swej nic nie chcę nosić.«
Acz mu na samej trąbie pewnie było dosyć.
Bradamanta kopią syna Galafrona
Przytem bierze, która tem była obdarzona
Przywilejem i która tak potężnie bodła,
Że każdego w gonitwie wypychała z siodła.

XVI.

A kiedy się już Astolf w onę drogę puszczał
I osiadł lotne zwierzę, wódz mu nie wypuszczał
I z razu szedł od ziemie z lekka; ale potem
W okamgnieniu zginął jej z oczu prędkim lotem.
Tak, kiedy okręt z portu na głębią wychodzi,
Bojąc się skał i piasków i miążkich powodzi,
Zrazu pomału idzie; ale kiedy z brzegiem
Port zostawi, wiatr mija niedościgłem biegiem.

XVII.

Skoro Astolf odjechał, dziwnie frasobliwa
Bradamanta zostawa, w myśli swej wątpliwa,
I nie wie, jako onej sprawie ma poradzić
I zbroję z bratniem koniem, gdzie chciał, zaprowadzić.
Żądza ją wielka grzeje Rugiera swojego
Szukać, nie biorąc raczej przed się nic inszego;
Z którym, jeśliby go gdzie pierwszej nie potkała,
Widzieć się w Walumbrozie pewnie spodziewała.

XVIII.

Gdy tak stała wątpliwa, ujrzała z daleka
 Idąc przeciwko sobie trafunkiem człowieka,
 Któremu zbroję bratnią kazała ułożyć
 I na Rabikana ją powiazaną włożyć,
 Potem za sobą koni dwu wieść w onej dobie,
 Z których jeden nic, drugi zbroję miał na sobie;
 Dwu miała: jeden dawny, drugi, co go była
 Wzięła Pinabellowi, kiedy go zabiła.

XIX.

Do Walumbrozy jachać stamtąd umyśliła,
 Bo tam naleźć swojego Rugiera tuszyła;
 Ale drogi tak, jako trzeba, nie wiedziała
 I aby nie zbłądziła, bardzo się bojała.
 On też chłop, który z nią był i za nią jej konie
 Prowadził, nie był wiadom barzo w tamtej stronie.
 Atoli się nakoniec na szczęście puściła
 Tam, gdzie że Walumbroza być miała, tuszyła.

XX.

Tam i sam patrzy pilnie kogo w onem boru,
 Któryby jej ukazał drogę do klasztoru;
 Ale niemasz nikogo. Z boru wyjechała
 O dziewiętej i zamek z daleka ujrzała,
 Zamek jeden z daleka na pagórku, który
 Zdał się jej być podobny zbyt do Jasnej Góry;
 I tak było, bo potem i sama poznała,
 Że była Jasna Góra, gdzie matka mieszkała.

XXI.

Skoro miejsce poznała, trapić się poczęła
 Na sercu i żalność ją okrutna ujęła,
 Bo jeśli ją poznają, już, jako ma wolą,
 Odjechać jej, rzecz pewna, więcej nie pozwolą;
 Jeśli też tam zostanie, tak ją palić będzie
 Ogień srogiej miłości, że garła pozbędzie,
 Jeśli swego Rugiera nie obaczy więcej
 I co rzekł, w Walumbrozie nie ziści co pręcej.

XXII.

A kiedy tak wątpliwa długą chwilę była,
 Nakoniec Jasną Górę minąć umyśliła
 I przeciw klasztorowi konia obracała
 Bogatej Walumbrozy, gdzie drogę wiedziała.
 Ale szczęście tak chciało, że onej godziny
 Przedtem, niżli na górę wjechała z doliny,
 Jednego z braciej swojej, Alarda, potkała
 I czasu przed niem gdzie się utaić nie miała.

XXIII.

Wracał się w zad do domu, skoro lud rozprawił
 I piechotę i jezdę na leżach postawił,
 Którą, jako mu cesarz świeżo był napisał,
 W okolicznych miasteczkach zebrał i popisał.
 Pierwej się między sobą wzajem pozdrowili
 I braterskie witania nie raz powtórzyli;
 Potem do Jasnej Góry pospołu jachali,
 A to o tem, to owem oboje gadali.

XXIV.

Do Jasnej Góry z bratem pospołu wjechała,
 Kędy jej utrapiona matka jej czekała,
 Ustawicznie smętną twarz łzami polewając
 I darmo jej po wszystkiej Francyej szukając.
 Ale one witania, one obłapiania,
 One z matką i bracią wspólne całowania
 Wszystkie za nic i wszystkie za fraszkę ważyła
 Przeciwno tem, które z swem Rugierem czyniła.

XXV.

A nie mogąc wyjechać sama z Jasnej Góry,
 Myśliła do klasztoru posłać kogo, który
 Miał odnieść Rugierowi, czemu, jako chciała,
 Za niem do Walumbrozy stamtąd nie jachała,
 I prosić go, jeśli go prosić było trzeba,
 Aby się, jako było koniecznie potrzeba,
 Okrzczył i prosił o nią, jako miał z nią znowę,
 Potem do skutku przywiódł małżeńską umowę.

XXVI.

Przez tegoż posła konia odesłać mu chciała,
 Konia, w którym, że się on zbyt kochał, wiedziała;
 A zaprawdę, był godzien łaski i miłości
 Rugierowej dla cnoty i swojej dzielności,
 Bo takiego drugiego we wszystkim pogaństwie
 I we wszystkim nie było prawie chrześcijaństwie,
 Okrom Bryliadora, który był Orlandów,
 A Bajarda drugiego, który był Rynaldów.

XXVII.

Onego dnia, gdy Rugier osiadł dziwne zwierzę,
 Które miało z obu stron przyprawione pierze,
 Zostawił był swojego Frontyna — onemu
 Koniowi imię było to Rugierowemu —
 Wziąwszy go Bradamanta, do dom go posłała
 I karmić go i z lekka przejeżdżać kazała,
 Że w krótki czas, jako się w Jasnej Górze chował,
 Tak, jako nigdy przedtem, zbyt się był wychował.

XXVIII.

Robotnice i szwaczki wszystkie, które miała,
 Zwołała i pospołu z niemi haftowała,
 Mało co przestawając, a wszystka robota
 Z białych, czarnych jedwabów była i ze złota;
 Z tej pokrowiec na siodło i dek urobiła
 Dziwnie kosztowny, którym Frontyna nakryła.
 Wtem córki Kalitrefy, mamki swej, przyzwała,
 Której się swoich wszystkich tajemnic zwierzała.

XXIX.

Częstokroć z nią, trzymając dobrze o jej wierze,
 Rozmawiać była zwykła o swoim Rugierze,
 Jako jej był na sercu wyraźnie wyryty,
 Jako gładki, jako był rycerz znamienity;
 Tej zawoławszy rzecz: »Nad cię w pewną drogę
 »Między wszystkimi obrać lepszego nie mogę
 »I wierniejszego posła, o Hipalko moja!
 »W takiej cenie jest u mnie chęć i wiara twoja.

XXX.

»Jedź!« — powiada, potem jej wszystkiego naucza,
 Gdzie ma jachać i to jej i owo porucza;
 A skoro jej zleciła wszystko dostatecznie,
 O to bardzo prosiła, aby ją koniecznie
 U niego wymówiła, że się nie stawiała
 W Walumbrozie, ponieważ w tem jej przeszkodziła
 Zła, przeciwna fortuna, która więcej nami
 I naszemi rzeczami władnie, niż my sami.

XXXI.

Kiedy już na parepie Hipalka siedziała,
 Aby wiodła Frontyna, wodze jej podała,
 Dawszy jej tę naukę, jeśliby kto gwałtem
 Chciał go jej wziąć, albo jej w drodze jakim kształtem
 Złość wyrządzić, aby się z niem w rzecz nie wdawała,
 Tylko mu zaraz, czyj był on koń, powiedziała,
 Tusząc, że drzeć na imię Rugierowe mieli
 Namężniejszy rycerze, gdyby je słyszeli.

XXXII.

Wiele jej potem inszych przypomniła rzeczy,
 Które, mówiąc z Rugierem, miała mieć na pieczy;
 Które skoro w pamięć swą Hipalka zebrała,
 Nie chcąc się więcej bawić, w drogę się udała.
 Przez pola, przez równiny, przez góry, przez lasy,
 Już była ujachała pięć mil w one czasy,
 A dotąd ją ci wszyscy, co się z nią potkali,
 Puszczała ani dokąd jachała, pytali.

XXXIII.

Dopiero po południu, gdy zjeżdżała z góry
 Na równiny, potkała Rodomonta, który
 Sam jeden szedł piechotą, a wszystek był zbrojny,
 A przed nim śpiesznie biegał karlik mały, strojny.
 Skoro jej wejźrzał w oczy, brzydkie rozpoczynał
 Błuznierstwa i swe bogi łąał i przeklinał,
 Że na on czas onego konia tak pięknego
 Nie znalazł raczej w ręku rycerza jakiego.

XXXIV.

Przysiągł to był pohaniec i zaklął się srodze,
 Pierwszy koń, który mu się miał trafić na drodze,
 Wydrzeć; a to był pierwszy, nad który piękniejszy
 Nie mógł być i coby rząd mógł mieć kosztowniejszy;
 Udał mu się, tylko że sromoty się boi,
 Widząc, że białejgłowie brać go nie przystoi.
 Mówi często, patrząc nań, z gniewem i z łajaniem:
 »Niestetyż mnie, że pana jego niemasz na niem«!

XXXV.

Hipalka na to rzecze: »Szczęście twe tak chciało;
 »By tu był, prędkoć-by się konia odechciało:
 »Nie tylko ty, ale nikt pewnie z jego panem
 »Nie może być na świecie w męstwie porównanem«.
 On jej: »Któż to tak cudzą sławę depce?« powie.
 Hipalka mu, że to koń Rugierów, odpowie.
 Rodomont zaś: »Więc go chcę, kiedy Rugierowi
 »Należy, tak sławnemu temu rycerzowi.

XXXVI.

»A jeśli jest tak mężnem, jako twierdzisz o niem,
 »I żaden mu nie zdoła, ja mu z jego koniem
 »Nie zjadę i niechaj wie, że mu go nie stracę
 »I owszem mu, jako chce, od niego zapłacę.
 »Powiedz mu, zem Rodomont, jeśli pytać będzie
 »O moje imię, i to, że mię najdzie wszędzie,
 »Jeśli ze mną boju chce, krom żadnej trudności,
 »I pozna mię, bom znaczny z mej własnej światłości.

XXXVII.

»Gdzie przejdę, takie znaki po mnie zostawają,
 »Że większe po piorunach nigdy nie zostają«.
 Z takim przepychem mówiąc przeciw Rugierowi,
 Złote wodze na szyję włożył Frontynowi
 I wsiadł nań i Hipalkę zostawił żalosną.
 Tkniona oną sromotą i krzywdą nieznośną,
 Łaje mu, jako może, nieboga nagorzej;
 On nie słucha i w górę pojeżdża tem sporzej.

XXXVIII.

Jedzie tam, gdzie go karzeł wiedzie, aby z hardem
 Mógł swoją Doralikę naleźć Mandrykardem.
 Hipalka mu, z daleka jadąc za niem, łaje
 I klunie go i złorzeczy, co jej głosu zostaje.
 Co się tam dalej działo, Turpin opisuje,
 Który w miejscu tem z drogi prostej występuje,
 Potem się wraca znowu na gościniec bity
 Do kraju, gdzie był grabia z Magance zabity.

XXXIX.

Ledwie co Bradamanta stamtąd się puściła,
 Co się szukać swojego Rugiera kwapiła,
 Jako tam zła fortuna przyniosła Zerbina,
 Z którym wszędzie pospołu jeździła Gabryna.
 Jedzie dalej i ujrzy, nie wie, czyje ciało,
 Które martwe pod górą w dolinie leżało,
 I jako ten, co zawsze pobożność miłował,
 Nieszczęsnego przypadku onego żałował.

XL.

Leżał grabia Pinabel zabity na ziemi,
 Lejąc krew tak obfity ranami wielkimi,
 Że się zdało, że w ciele tak wiele ran było,
 Jakby się na jego śmierć sto mieczów złączyło.
 Jachał dalej królewic szocki zawołany
 Na szczęście śladem, co był świeżo udeptany,
 Aby się mógł dowiedzieć, przez kogo tam ono
 Mężobójstwo tak srogie było popełniono.

XLI.

Aby go tam czekała, powiedział Gabrynie,
 Obiecując się wrócić pręcej, niż w godzinie.
 Ona się zaraz blisko pod trupa pomknęła
 I przypatrować się mu stąd i stąd poczęła,
 Myśląc, jeśli się jej co u niego zda, żeby
 Wzięła temu, co tego już nie miał potrzeby,
 Jako ta, co miała grzech ten między inszemi,
 Że zbyt łakoma była, wadami swojemi.

XLII.

By była miała sposób, że rzeczy kradzione
 Mogły być jakim kształtem u niej utajone,
 Zdarłaby biała z niego i zbroję i szaty
 Wszystkie, spodnie i zwierchnie, nasuwień bogaty;
 Dlatego, co skryć może tylko, odejmuje,
 Ostatka, że nie bierze, haniebnie żałuje.
 Był pas piękny na trupie; ten mu odebrała
 I pod suknią oba jem boki przepasała.

XLIII.

Wrócił się prędko Zerbin, który darmo w tropy
 Bieżąc za Bradamantą, patrzył bitej stopy,
 Bo trafił ścieszkę, co się w kilka dróg dzieliła,
 To na dół, to na górę, a ślady myliła.
 Do tego już też późny wieczór następował,
 Nie radby był gdzie w polu pod niebem nocował,
 I dla noclegu śpiesznie pojachał z doliny
 W towarzystwie niezbożnej, przeklętej Gabryny.

XLIV.

Dwie mili ujachawszy, pyszno zbudowany
 Zamek ujrzę, Wysoki Brzeg z dawna nazwany;
 Tam się zastanowili w nocy dla noclegu,
 Co od ziemi do nieba już szła w pełnym biegu.
 Ledwie co z koni zsiadli, srogie narzekanie
 Usłyszają i wielki płacz i krzyk i wołanie.
 Widzą potem, że wszędzie co żywo płakało,
 Tak, jakoby co na tem wszystkim należało.

XLV.

Kiedy się o tem pytał, taką Zerbinowi
 Sprawę dano, że świeżo grabi Andzelmowi
 Staremu ktoś z nowiną dopiero przybieżał,
 Że syn jego zabity niedaleko leżał.
 On chcąc uść podejrzenia, czyni tę postawę,
 Że dopiero od nich wie teraz onę sprawę;
 Lecz myśli, że to ten był niepochybnie, który
 Srodze zamordowany leżał podle góry.

XLVI.

Po małym czasie ciało białe przyniesione,
 Na marach z wielką liczbą świec przyprowadzone
 Tam, gdzie był wrzask okrutny i ręką łamanie
 I żalosne po wszystkich stronach narzekanie.
 Wszyscy z oczu obfite dżdże na twarz spuszczały
 I wołaniem i płaczem nieba przebijali;
 Ale najupłakańsza twarz ojca nędznego
 Była między wszystkimi, Andzelma starego.

XLVII.

Kiedy się tak na pogrzeb wielki gotowano
 I wielu nań z dalekich krajów zapraszano
 Według dawnych porządków, które zachowały
 Dawne wieki, które już tych czasów ustały,
 Grabia stary, co płakał ustawnie na zeście
 Syna swego, wytrąbić rozkazał po mieście,
 Obiecując nagrodę i dar znamienity
 Temu, przez kogoby był srogi mord odkryty.

XLVIII.

Poszła z głosu do głosu i z ucha do ucha
 Od grabie obiecanej nagrody otucha,
 Aż się także doniosła onej niezbożnice,
 Co złością przechodziła tygry, niedźwiedzice.
 Lub to dawna nienawiść wielka w niej sprawuje,
 Upadek Zerbinowi nieschronny gotuje,
 Lubo, żeby się mogła chlubić sprawiedliwie,
 Że sama w ludzkim ciele bez ludzkości żywie.

XLIX.

Lubo się też łakomstwem i oną uniosła
 Obietnicą nagrody, do Andzelma poszła
 I po przemowie, która jakiegokolwiek miała
 Podobieństwo, że Zerbin zabił, powiedziała,
 Syna jego, i pasa z pod suknie dobyła
 I przed starem go grabią na stół położyła.
 Poznał nieszczęsny ociec zabitego syna
 Zwyczajny pas, który mu oddała Gabryna.

L.

I z płaczem Bogu dzięki czynił, że objawił
Mężobójcę, i zaraz piechotę wyprawił,
Która szedłszy do miasta, wszystko pobudziła
Pospólstwo i gospodę wkoło obstała.
Tak Zerbin nieszczęśliwy, który spał, bezpieczny,
I tej krzywdy nie czekał, był na ostateczny
Upadek od bezbożnej niewiasty podany,
W pierwospy od Andzelma grabie poimany.

LI.

Onej nocy do ciemnej wieże był wsadzony
I w łańcuchu i w pęcie aż na dno spuszczone.
Jeszcze było nie weszło słońce, kiedy krzywy
Na zamku wyrok stanął i niesprawiedliwy,
Aby na temże miejscu, gdzie był wykonany
Zły uczynek, Zerbin był rano ćwiertowany;
Inszego też opytu o tem nie czynili:
Dosyć było, że tak pan i wszyscy wierzyli.

LII.

Nazajutrz, skoro światu pełne mokrej rosy
Ukazała jutrzienka swoje złote włosy,
Wszyscy wyszli, »Niech umrze! niech umrze!« wołając,
Za grzech cudzy niewinnie Zerbinowi łając.
Pospólstwo się do kupy z różnych stron schodziło,
Aby z miasta złoczyńcę w pole prowadziło,
Bez sprawy, bez porządku; Zerbin był wsadzony
Na małego podjezdka i w pole wiedziony.

LIII.

Ale Bóg, który często niewinnych ratuje
I tych, co mu dufają, w przygodzie pilnuje,
Już mu był tak potężne zgotował obrony,
Że onego dnia pewnie nie miał być stracony.
Trafił się tam cny Orland, który niewinnemu
Królewicowi przyniósł ratunek szockiemu;
Orland widzi moc ludzi, którzy się skupili
I smętnego rycerza na śmierć prowadzili.

LIV.

Miał z sobą Izabellę piękną w onem czasie,
Którą z trafunku znalazł niedawno na lesie,
Córkę króla Galega, od zbójców dostaną
I chwilę u nich w ciemnej jaskinie chowaną
Potem, jako rozbity okręt zostawiła,
Kiedy go niepogoda morska utopiła,
Samę jednak Bóg dziwnie od śmierci uchował,
Którą barziej, niż duszę swą, Zerbin miłował.

LV.

Odtąd, jako od zbójców wyzwolona była,
W towarzystwie z Orlandem ustawnie jeździła;
A w on czas, kiedy on lud tak wielki widziała,
Co to było, Orlanda strwożona pytała.
On powiedział: »Ja nie wiem«. Potem ją zostawił
Na górze, a sam się wskok w równinę wyprawił
I ujrzawszy Zerbina, z pierwszego wejrzzenia
Osądził, że był rycerz godny poważania.

LVI.

Przystąpiwszy pyta go, dla której przyczyny
I gdzie go one gęste prowadziły gminy.
On od ziemi podniósłszy pochyloną głowę
Tak, że mógł dobrze słyszeć Orlandową mowę,
Wszystkłą prawdę powiadał, jako się toczyła,
Tak dobrze, tak wyraźnie, że to jawna była
Orlandowi z jego słów, że nie był nic krzywy
I niewinnie miał umrzeć rycerz nieszczęśliwy.

LVII.

Ale skoro usłyszał, że go na noclegu
To potkało u grabie z Wysokiego Brzegu,
Tem był tego pewniejszy, bo od nieprawego
Trudno się było czego spodziewać inszego.
Do tego nieprzyjaciół był jeden drugiemu,
A to dla nienawiści i kwoli dawnemu
I niepojednanemu zaciągowi, który
Był między krwią z Magance, a krwią z Jasnej Góry.

LVIII.

»Rozwiążcie go — zawoła surowemi fuki —
 »Albo was pozabijam« — Orland na hajduki.
 Jeden, co chciał być śmielszy między niemi, rzecze:
 »Niechaj wiem, kto to taki, co tak dobrze siecze?
 »A źlećby to tak fukać, kiedyby z szczerego
 »Ognia był, a my z słomy lub wosku miękkiego«.
 I biegł z dobytą bronią przeciw francuskiemu
 Rycerzowi; on składa drzewo przeciw niemu.

LIX.

Zbroja, którą był odjął w nocy Zerbinowi
 I którą na się włożył, żadnej profosowi
 Obrony, żadnej w on czas nie dała pomocy
 Przeciw onej tak wielkiej Orlandowej mocy.
 Hełmuć wprawdzie nie przebił, bo był doświadczony,
 Uderzył go w policzek grotem z prawej strony;
 Ale tak był ciężki raz, takie uderzenie,
 Że zdechł zaraz i poszedł między blade cienie.

LX.

W jednym biegu i drzewa nie wyjmując z toku,
 Drugiemu, co za pierwszym stał na kilku kroku,
 Przebił piersi na wylot. Wtem drzewo porzuca,
 A wiernej Duryndanie ostatek porucza;
 Temu głowę do czysta, jak trzeba, ucina,
 A temu ją na poły dzieli i rozcina.
 Wielom przeciął gardziele, tak że ich zostało
 Sto zabitych; co żywo potem uciekało.

LXI.

Już ich zabił trzecią część, a ostatek goni,
 Siecze, kole, dziurawi; żaden się nie broni:
 Wszyscy, aby wolniejszy i lżejszy zostali,
 Hełmy, tarcze, puklerze, spisy porzucali.
 Jedni w długą, a drudzy poprzek uciekają,
 Ci się w dołach, ci w lesie, ci po chróstach tają.
 Tak się niemiłosiernie Orland w on dzień stawiał,
 Że, by mógł, jednego żywo nie zostawił.

LXII.

Ośmdziesiąt ich — bo właśnie tak najdzie w Turpinie,
 Kto czyta jego księgę — namniej ze sta ginie.
 Nakoniec się obrócił po onem pogromie,
 Gdzie serce Zerbinowi drżało niewiedomie.
 Jako mu był rad Zerbin, by nie wiem jakimi,
 Ja tego nie wyrażę rymami mojemu;
 Padłby był przed niem krzyżem rycerz zawołany,
 Ale i na koniu był i był skrępowany.

LXIII.

Rozwiązał go szlachetny grabia w onem czasie
 I pomagał mu zbroję co prędzej wziąć na się,
 Odjętą ceklarzowi dopiero starszemu,
 W którą się był ustroił ku swojemu złemu.
 Tem czasem Izabella na dół się spuszczała,
 Co była sama jedna na górze została,
 A teraz, skoro bitwy koniec obaczyła,
 Śpiesząc się, swe piękności z sobą przynosiła.

LXIV.

Skoro Zerbin obaczył z blizka twarz nadobną
 Pięknej dziewczki, rumianej jutrzence podobną,
 Której już był opłakał tak, jako zginionej,
 Jako mu sprawę dano, w morzu utopionej,
 Tak, jakoby mu lodu w piersi nakładzono,
 Drży od wielkiego zimna; ale zimno ono
 Prędko było w gorący ogień odmienione,
 Którem mu serce było nagle rozpalone.

LXV.

By się był na Orlanda nie oglądał, pewnie
 Nie wytrwałby był zaraz nadobnej królewnie
 I oblałby ją był; ale się hamuje,
 Bo rozumie, że także Orland ją miłuje.
 Krótkie było wesele i jego radości;
 Idzie z męki na mękę, z żalości w żalości,
 Ciężej mu, że jest w cudzych ręku, bez pochyby,
 Niż gdy słyszał, kiedy ją zjadły głodne ryby.

LXVI.

Na większy żal w ręku ją u tego zastawa,
Któremu on tak wiele powinien zostawa;
Wziąć mu ją nie przysiało ani się godziło,
I kto wie, jakoby się to dzieło zdarzyło.
Mniema, żeby to był grzech sprosny i szkarady
Dać sobie wziąć tę zdobycz bez boju bez zwady,
A on tak jest powinien grabi, że nic z drogi
Nie uczyni, kiedy mu da szyję pod nogi.

LXVII.

Stamtąd dalej jachali cicho i w milczeniu
I stanęli przy jednym przejrzystym strumieniu.
Zdjął sobie z głowy szyszak Orland utrudzony,
Toż i Zerbin uczynił, od niego proszony.
Skoro w twarz Izabella znajomą wejrzała,
Z wielkiej radości zbladła i nagle zmartwiała;
Potem się zstaje, jak kwiat śliczny, umoczony
W niepogodę, od słońca z rosy osuszony.

LXVIII.

Bez względu się żadnego do niego porwała
I u szyje mu wisząc, mocno go ścisłała;
Słowa ani przemówi, tylko co na ono
Nagłe poznanie łzami twarz leje i łono.
Orland się ich wzajemnem żądom przypatruje
Ani inszych dowodów większych potrzebuje,
Bo ognie ich miłości jawnie znać dawały,
Że to nie był nikt inszy, jeno Zerbin śmiały.

LXIX.

Skoro się Izabella na słowo zdobyła,
Jeszcze z łez nie oschnąwszy, Orlanda chwaliła,
Jako się z nią obchodził, jako jej ratował
Od śmierci i jako się jej potem zachował.
Zerbin, co Izabellę piękną z swem żywotem
Na jednej szali trzymał, zdumiał się, a potem
Uklęknął na kolana i grabi dziękował,
Że mu dwa jednym razem żywoty darował.

LXX.

Dłużejby się bawili beli dziękowaniem
I wzajemnem przyjaźni swej ofiarowaniem,
By beli nie słyszeli huku w onem czasie,
Który się jem ozywał głośno w blizkiem lesie.
Porwali się do koni i hełmy włożyli
Na głowy, które beli dopiero odkryli;
Ledwie siodeł dopadli, kiedy jadącego
Z lasu ujrzeli z panną rycerza jednego.

LXXI.

Mandrykardem się własnem imieniem mianował,
Który Orlanda wszędzie szukał i szlakuwał,
Chcąc się zemścić koniecznie króla Manilanda
I Aldziera, zabitych od grabie Orlanda.
Acz dobrze w tem gonieniu potem był leniwszy,
Gdy piękną Doralikę otrzymał, pobiwszy
Ułomkiem jesionowem jej ludzi tak siła
Wszystkich zbrojnych: tak dzielność wielka jego była.

LXXII.

Mandrykard w one czasy ani myślał o tem,
Aby to miał być Orland; ale poznał potem
Że był jeden z rycerzów błędnych, co wędrują
Po świecie i siły swej i szczęścia probują.
Na Zerbina mniej patrzył poganin surowy,
Ale grabię obejrzał od stopy do głowy,
Potem przypatrzywszy się każdemu znakowi,
•Tyś to, którego szukam!• rzecze Orlandowi.

LXXIII.

•Już to dziesięć dni wyszło, jako cię szlakuję,
•Jako cię i tam i sam szukam i pilnuję,
•Pobudzony twą sławą, która się rozniosła
•O tobie i obozu pod Paryżem doszła,
•Że jeden tylko uszedł w niedawnej potrzebie
•Z tysiąca, którzy beli zabici od ciebie,
•Żeś na głowę lud wszytek z Norycyej pobił
•I ludzie z Tremeseny i cudaś porobił.

LXXIV.

- »Puściłem się za tobą zaraz onej doby,
- »Abym się z tobą spatrzył i znał cię z osoby,
- »I wiem, żeś to ty właśnie: znaki cię wydają
- »Na zbroi, które wszystkie na cię się zgadzają.
- »I choćbyś nie miał znaków, choćbyś się, przebrany,
- »Utaić chciał między stem, abyś był nieznany,
- »Samaby mi cię postać surowa wydała
- »I żeś ty jest, nie inszy, jawnie ukazała.«

LXXV.

- »Znać po tej samej sprawie i po twojej mowie,
- »Żeś jakiś rycerz wielki — Orland mu odpowie —
- »Bo w ładajakiem sercu żądze tak wspaniałe
- »Nie zwykły nigdy bywać i tak okazałe.
- »Iż mię szukasz, chcąc ze mną przyść do znajomości,
- »I z wierzchu mię i zewnątrz poznasz bez trudności
- »I co jeno chcesz po mnie, na wszystkim gotowy:
- »Ato, żebyś mię poznał, hełm zdejmuję z głowy.

LXXVI.

- »Skoro mię z twarzy poznasz, potrzeba drugiemu
- »Zamysłowi też dosyć uczynić twojemu,
- »Abyś się ze mną w boju spatrzył i skosztował
- »I abyś rzeczą samą poznał i spróbował,
- »Jeśli się z męstwem zgodzi ta moja postawa,
- »Co dopiero ukaże Marsowa rozprawa.«
- Powie na to poganin: »Co się tknie pierwszego,
- »Nie potrzebuję więcej: pódźmy do drugiego.«

LXXVII.

- Stojąc od niego na trzy lub na cztery kroki,
- Patrzy mu pilnie Orland na łęk i na boki;
- U łęku nic nie wisi, buławy i toku
- I koncerza nie widzi i miecza u boku.
- Pyta, jeśli się trafi, kiedy z drzewem goni,
- Że chybi, jakiej inszej zwykł używać broni.
- Odpowie mu Mandrykard na ono pytanie:
- »Siłam ich tak zwojował; nie twe to staranie.

LXXVIII.

- »Uczyniłem przysięgę dawno Makonowi,
- »Póki szable nie wydrę gwałtem Orlandowi,
- »Nie nosić inszej broni i dla tego za niem
- »Wszędzie jeżdżę, abym ją w boju wygrał na niem;
- »A przysięgę uczynił w ten czas, kiedym swoją
- »Głowę okrył tem hełmem i wziął na się zbroję
- »Hektorową; jego to zbroja z tą przyłbicą,
- »Który, jako miał umrzeć, już tysiąc lat liczą.

LXXIX.

- »Szable mi do całego, którą ukradziono,
- »Rynsztunku nie dostaje; tak jednak mówiono,
- »Że ma być u Orlanda, dla tego tak śmiały,
- »Dufając jej, dla tego tak bywa zuchwały.
- »Ale jeśli mi się go trafi naleźć, tuszę,
- »Że mu nie tylko szablę, ale wezmę duszę,
- »I chcę się zaraz pomścić rodzica swojego,
- »Agrykana, od niego srodze zabitego.

LXXX.

- »Orland go zdradą zabił, nie mógł też inaczej,
- »Którego ja — lecz o tem niechaj milczę raczej.«
- Ale grabia nie milczał: »Łziesz i ty i każdy,
- »Co to mówi, i tegom dowieść gotów zawždy;
- »Ato Orland przed tobą, co go szukasz, stoi.
- »Zabiłem Agrykana tak, jako przystoi,
- »Ato i szablę, którą, jeśli męstwem kupisz,
- »Będzie twoja, jeśli mnie z niej gwałtem obłupisz.

LXXXI.

- »A choć jest własna moja, atoc jej nie bronię,
- »Ale się pierw w boju masz rozpierać o nią;
- »Powieszę ją na drzewie: niech nie będzie moja,
- »Dokąd się nie rozprawiem, ale ani twoja:
- »Jeśli mię ty zabijesz, lubo też poimasz,
- »Szablę sobie zarazem wezmiesz i otrzymasz.«
- To mówiąc, Duryndanę odpasował sobie
- I na małym ją drzewku wieszał w onej dobie.

LXXXII.

Już się oba od siebie nie bez grózb i fuku,
Oddalili jako na pół strzelenia z łuku,
Już oba przeciw sobie konie wypuszczają
I kołą je bojcami i wódz nie wciągają;
Już oba kopiami wielkimi w się mierzą,
Na ostatek się w hełmy, w twarz prawie uderzą.
Drzewa onych tak ciężkich razów nie strzymały
I na tysiąc trzask poszły i w niebo leciały.

LXXXIII.

Musiały drzewa, groty musiały pomylić,
Bo się sami rycerze nie chcieli nachylić;
Znowu się wielcy gońcy do siebie wracają
Z ułomkami, co całe po gałki zostają.
Tak rycerze przywykli mieczom i żelazu,
Złamawszy wielkie drzewa do pierwszego razu,
Jako chłopci, kiedy się lub o łąki wadzą
Lub o rolę, z kijami dalszy bój prowadzą.

LXXXIV.

Ale i te ułamki niedługo jem trwały
I do uderzenia się czwartego spadały;
A skoro się potłukły one małe części
Wielkich drzew, nie mieli nic krom palców a pięści.
Gdziekolwiek ręką dojdzie — tak ich jadowity
Gniew zagrzewa — drą blachy i rwą gęste nity;
Nie tak kleszcze rwą mocno, nie tak biją młoty,
Kiedy swe odprawują kowale roboty.

LXXXV.

Nie wie, jako bój skończyć Sarracen gniewliwy
Z uczciwem swem, który był tak barzo szkodliwy;
Głupie się tam czas traci, kiedy z każdej strony
Więcej cierpi, co bije, niżli uderzony.
Poszli z sobą w cieśnięszą, wtem poganin ścisnął
I mocno do swych piersi Orlanda przycisnął,
Wierząc, że mu uczyni, jako Anteowi
Herkules cny uczynił był zapaśnikowi.

LXXXVI.

Bierze go w pas i to go wielkimi siłami
Pchnie od siebie, to go zaś potargnie rękami
Do siebie i biedzi się i z niem się morduje
I co się z wodzą jego dzieje, nie pilnuje.
Orland się, jako może, na siedle opiera
I fortelów swych patrzy i sam się w się zbiera
I ściągnie rękę jego koniowi do grzywy
I zedrze uzdę z niego, końca boju chciwy.

LXXXVII.

Wszystką siłą poganin chce się o to kusić,
Aby go z konia zwalić, aby go udusić;
On się nie da nachylić i sam w się zebrany,
Konia jako najmocniej przyciska kolany.
Ale tak był targaniec od pohańca tęgi,
Że się grabi u siodła zerwały popręgi;
Ledwie Orland postrzeża, że już jest na ziemi,
I ścisną jeszcze siodło kolany mocnemi.

LXXXVIII.

Z takim grzmotem spadł grabia, z siodłem obalony,
Jaki czyni zbrój pełny wór, z góry zrzucony.
Koń, który był bez uzdy, bez munsztuka w gębie
I już nie czuł żadnego hamulca na zębie,
Porwie się wielkiem pędem, drogi nie pilnuje
Ani gdzie las, gdzie równia, gdzie dół, upatruje;
I strachem przerażony, oślep w onem czesie
Bieży i niewściągniony Mandrykarda niesie.

LXXXIX.

Doralika widząc już swego miłośnika
Daleko i bojąc się stracić przewodnika,
Ostrogi w bok swojemu koniowi włożyła
I za niem się skwapliwa przez pole puściła.
On gniewliwy na konia woła i pięściami
I karze go po bokach obiema nogami
I łaje mu, jakby miał rozum; lecz im więcej
Fuka nań i bije go, tem on bieży pręcej.

XC.

Koń, który był lekliwy, mija proste drogi
I bieży w przek i sobie nie patrzy na nogi;
Już zbiegł z milę i jeszcze dalejby był biegał,
By był nad rów głęboki jeden nie przybieżał,
W który oba we wszystkim biegu powpadali,
Choć tam sobie kobierca beli nie posłali.
Atoli jako jego dobre szczęście chciało,
Mandrykardowi się tam nic złego nie zstało.

XCI.

Musi stanąć, musi się koń w rowie zasadzić,
Ale go trudno bez wódz, bez uzdy prowadzić.
Łaje, bluźni, przeklina Tatarzyn gniewliwy
I trzyma go rękami za włosy u grzywy;
Nie wie, co ma z nim czynić, a wtem Doralika:
»Uzdę mojego — rzecze — weź jednochodnika,
»A włóż na swego konia, bo ten mój jest wolny
»I w uździe i bez uzdy namniej nie swowolny«.

XCII.

Ale się pohańcowi ona rzecz nie zdała,
Aby jachać bez uzdy Doralika miała;
Atoli nań fortuna tak łaskawa będzie,
Że się prędko gdzie indziej na uzdę zdobędzie.
Z trafunku biegła pędem tamtędy Gabryna,
Która skoro zdradliwie wydała Zerbina,
Uciekała tak, jako wilczyca strwożona,
Od myśliwców z ogary i z charty goniona.

XCIII.

Oneż właśnie na sobie w on czas miała stroje,
Młode i nieprzystojne sobie i nieswoje,
Które była niedawno Marfiza zewlokła
Pinabellowej paniej i w nią ją oblokła;
Tejże konia pod sobą miała, nad którego
Trudno było na świecie znaleźć gdzie lepszego.
Prędko jakoś i nagle na pohańca wbiegła
Gabryna, że ani się, że tam stał, postrzegła.

XCIV.

Śmiała się Doralika i Mandrykard srodze,
Gdy w pięknym, w młodem stroju ujrzeli na drodze
Szpetną babę, co się już była przestarzała
I twarz, jako koczkodan albo małpa, miała.
Poganin jej uzdę wziąć z jej konia zamyśla
Na swój koń i prędko się na tę rzecz namyśla;
Zdarszy z jej konia uzdę, zatnie go wodzami
I okrzyknie i pędzi zjętego strachami.

XCV.

On ucieka, co jeno mocy ma, i niesie
Babę, co z strachu zdycha wielkiego, po lesie,
Po górach, po równinach, po wielkich padołach,
Po skałach, po kamieniu, po chróście, po dołach.
Ale mi nie tak wiele na babie należy:
Orlanda pewnie dla niej mój rym nie odbieży,
Który sobie powoli mocno powiązane
Zawłókl w siodło niedawno popręgi zerwane.

XCVI.

Wsiada znowu na konia i oczy obraca,
Patrząc, jeśli się na zad poganin nie wraca;
Ale iż go nie widzi i długiem czekaniem
Na miejscu nic nie sprawi, chce się puścić za niem.
Iako był obyczajny, nie myśli odjechać,
Nic nie mówiąc, i nie chce dawnego zaniechać
Obyczajnemu i żegna bez długiej przemowy
Izabellę z Zerbinem łagodnemi słowy.

XCVII.

Żałował barzo Zerbin, barzo żałowała
Izabella odjazdu jego i płakała;
I on i ona się z niem jachać napierali,
Nie chciał Orland i prosił, aby tam zostali,
I tę wymówkę nalazł, że mu się nie godzi,
Co za nieprzyjacielem szukać go wychodzi,
Brać z sobą towarzysze, aby podejrzany
W tem nie był, że od niego chce być ratowany.

XCVIII.

Prosił Orland, kiedy się już rozjeżdżać mieli,
Aby poganinowi to odpowiedzieli,
Jeśli ich pierwszej potka — tak się on jem sprawi —
Że się jeszcze w tem kraju przez trzy dni zabawi,
A że z tamtego kraju prosto się obróci,
Do obozu i nazad do wojska się wróci,
Do wojska lilij złotych, a to, aby o niem
Wiedział wszędzie, gdzieby chciał znowu boju po niem.

XCIX.

I to i każde insze jego rozkazanie
Obiecali wykonać, które włoży na nie.
Tak się stamtąd rycerze oba w onej chwili,
Zerbin w tę, Orland w ową stronę, obrócili.
Grabia wziął Duryndanę pierwszej, co wisiała
Na drzewie i zwycięzcy w nagrodę iść miała,
I przypasał ją na bok; potem koniem ruszył
Tam, kędy Mandrykarda naleźć sobie tuszył.

C.

Ale iż był pohańca zniósł koń z prostej drogi,
Zbywszy munsztuka, między ciernie, między głogi,
Dwa dni daremnie jeździł grabia tamtem krajem,
Nie mogąc się z niem potkać żadnem obyczajem
I dowiedzieć się o niem; a wtem na zielonej
Łące, zieleń i kwieciem pięknem ozdobionej,
Ujrzał źródło kryształowy, z tej i z owej strony
Pięknem, rozlicznem drzewem wkoło otoczony.

CI.

Południe wiatrek mały czyniło nagiemu
Pasterzowi i bydłu już napasionemu,
Którym i Orland w on czas zwolna był chłodzony,
Zbroją, hełmem i tarczą wielką obciążony.
Tu zsiadł dla odpoczynku w ciężkie letnie znoje,
Lecz miasto odpoczynku, wielkieś niepokoję
Nalazł w on dzień nieszczęsny, Orlandzie nieboże,
Tak wielkie, że ich pióro wypisać nie może.

CII.

Obracając się wkoło, widzi popisane
Na skórach różne drzewa i pokarbowane;
Skoro okiem przebieżał od sęka do sęka,
Poznał, że to boginiej jego własna ręka.
To miejsce było jedno z tych, kędy wieczorem
I z rana na przechadzki częstokroć z Medorem
Angelika z blizkiego domu więc chadzała,
Kiedy z niem u pasterza ludzkiego mieszkała.

CIII.

Angelikę z Medorem pospołu związanych
Stem węzłów i na stu miejsc widzi napisanych;
Ile słów, raczej liter, tyle goździ było,
Któremi mu się serce żałosne dzieliło.
Wynajduje sposobów sto, żeby nie wierzył
Temu, czemu na wielki żal swój już uwierzył,
I przymusza się wierzyć, że to insza była
Angelika co w drzewie imię swe wyrzyła.

CIV.

Potem mówi: »Wzdyć ja znam to pismo: czy mało
»Tego było, co mi się widzieć go dostało
»I czytać? Może też być, że może zmyśliła
»Tego Medora tylko i mnie tak okrzyła.«
Tem fałszywem mniemaniem myśli rozrywając,
Stał, sam na się fortelów i zrad używając
W nadziei, na którą się w dowcipie zdobywał
I sam siebie umyślnie i chcąc oszukiwał.

CV.

Ale im więcej gasi ono podejrzenie,
Tem je bardziej odżywia i puszcza w płomienie,
Nie inaczej, jako ptak nieostrożny, który
W sieć rozpiętą albo w lep trafi lipki pióry,
Im więcej macha, chcąc się ratować, skrzydłami,
Tem się więcej uwikła i mota wiciami.
Potem tam przydzie, gdzie się góra zakrzywiała
Naksztalt łuku, skąd struga piękna wynikała.

CVI.

Pierwsze weście zdobiły około krynice
 To bluszcze krzywonoogie, to błędne macice.
 Tu więc w nagorętsze dni szczęśliwi chadzali
 Miłośnicy i zwykłych wczasów zażywali;
 Tu więcej, niż gdzie indziej, wnątrz i każda strona
 Zwierzchnia pięknej jaskinię miała ich imiona,
 Częścią wapnem, a częścią kretą napisane,
 Częścią końcem ostrego noża zrysowane.

CVII.

Wnidzie tam, zjęty żalem i serdeczną męką,
 I ujrzy w pierwszym weście Medorową ręką
 Wiersze w rzędy złożone, a takie się zdały,
 Jakoby się dopiero były napisały,
 O swych wielkich rozkoszach, których więc zażywał,
 Kiedy tam z Angeliką dla chłodu chodziwał;
 Skład był w swoim języku przyrodzonym złożył,
 I wierzę, że był piękny, jam go tak przełożył:

CVIII.

»Piękne drzewa! zielone mchy! przejrzyste wody!
 »I ty, piękna jaskini, ciemna z twemi chłody!
 »Gdzie króla Galafrona córa zawołana,
 »Angelika, od wielu próżno miłowana,
 »Naga na moich rękę częstokroć leżała,
 »Za ten wczas, którym tu miał, gdyśwa tu chadzała,
 »Nie mam wam co ja, Medor ubogi, darować,
 »Jeno was wiecznie chwalić, jeno wam dziękować

CIX.

»I prosić wszystkich, którzy miłości skusili,
 »Którzyby się tu kiedy z przygody trafili,
 »Lub rycerz lub biała płeć, luboby się stawil
 »Z blizka lubo z daleka, aby błogosławił
 »Drzewa, zioła, jaskinią, chłody, wody żywe;
 »Miejcie słońce i miesiąc i nieba życzliwe,
 »Niechaj wam wszystkie nimfy tych krajów sprzyjają,
 »Niech was trzody, niechaj was pasterze mijają!«

CX.

W arabskim to języku w weście u jaskinie,
 Który grabia tak umiał, jako po łacinie,
 Jak było napisano, wszystko wyrozumiał,
 Bo ten język tak dobrze, jak swój, grabia umiał.
 I często przejeżdżając pogańskie narody,
 Nieraz przez to uchodził nieszczęścia i szkody;
 Ale niech się nie chlubi, że mu się przygodził
 Na on czas, bo mu teraz aż nazbyt zaszkodził.

CXI.

Raz, dwa, trzy i czterykroć czyta przykre rymy,
 Przykre rymy i różne tworzy w głowie dymy,
 Myśląc, aby tam było to pismo nie było,
 Ale próżno; pismo się namniej nie mieniło,
 I coraz tak go gryzły żale niepojęte,
 Mdłe serce zimną ręką czuł w sobie ujęte;
 Na ostatek myśl i wzrok w popisane skały
 Tak wlepił, że się i sam zdał być skamieniały.

CXII.

Ledwie co żywy został: tak się był onemu
 Wszytek dał w moc, nieszczęsny, żalowi wielkiemu —
 Temu, który doświadczył, dać wiarę możecie,
 Że nad tę niemasz większej żałości na świecie —
 Broda mu na pierś spadła, czoło pochylone
 Z pierwszej swojej śmiałości było obnażone;
 Nie mógł mieć w onej swojej tak ciężkiej żałości
 Słów na skargi, a na płacz łez i wilgotności.

CXIII.

Nakoniec ciężka żałość wewnątrz w niem została,
 Która nazbyt skwapliwie z niego wypaść miała,
 Jako woda zostawa w naczyniu u szyje
 Ciasnem, wewnątrz brzuchatem, gdy kto z niego pije;
 Bo skoro je tylko dnem wyróci do góry,
 Wilgotność, co chce gwałtem prędko wypaść z dziury,
 W onej się ciasnej drodze trudni i zachodzi
 Sama sobie i ledwie kroplami wychodzi.

CXIV.

Skoro kęs przyszedł k sobie, myśl jego troskliwa
 Rozbiera, jako mogła ta rzecz być fałszywa;
 Że ktoś chciał jego pannę osławić, tak tuszy,
 Dawając mdłej pociechę jakąkolwiek duszy,
 Albo mu to niechętny jemu ktoś z zazdrości
 Wyrządził, aby umarł od wielkiej żalości;
 Dziwuje się, nieznośną w sercu cierpiąc mękę:
 Ktokolwiek był, tak dobrze wyraził jej rękę.

CXV.

Mając tej kęs nadzieje i słabej otuchy,
 Zagrzewa w sobie trochę oziębione duchy
 I wsiada utrapiony na Bryliadora,
 Kiedy mroki spadały ciemnego wieczora.
 Jedzie dalej i ujrzy z dachów dymy gęste,
 Kurzące się i słyszy psów szczekanie częste
 I ryk krów, co się z paszy do domu wracały,
 I jedzie do noclegu, smętny i zbolały.

CXVI.

Zsiadszy z Bryliadora, mówi parobkowi
 Onego domu, aby obrok dał koniowi;
 Ten mu zbroję zewłóczy, ten bót ciągnie z nogi,
 Ten szyszak, ten mu złote chędoży ostrogi.
 Prawie do domu trafił, kędy leżał ranny
 Medor i taką łaskę miał potem u panny.
 Łóżka chce, nie wieczerzy Orland utrapiony,
 Żalością, nie potrawą inszą nakarmiony.

CXVII.

Im więcej odpoczynku szuka i pokoju,
 Tem większy ma niepokój: widzi na podwoju,
 Po ścianach i po oknach, gdzie obróci oczy,
 Pisma przykre, przyczynę swej ciężkiej niemocy.
 Chce pytać i zaś milczy i język hamuje
 I wszelakie sposoby sam w sobie znajduje,
 Aby ona rzecz, co aż nazbyt jasna była,
 Mglą się, żeby mniej cierpieć, jaką zastłoniła.

CXVIII.

Nie wskórywa, choć myśli oszukiwa swoje,
 Choć nie pyta, bo ściany, okna i podwoje
 Nie milczą; wtem coś złego przyniosło pasterza,
 Który widząc tak barzo smętnego rycerza,
 Aby go uweselił, aby go rozruchał,
 Historyą, której więc niejednen rad słuchał,
 Której grabia umyślnie i chcąc nie chciał badać,
 Ni z tego ni z owego począł mu powiadać,

CXIX.

Jako na Angeliki prośbę dał nadobnej
 Złożenie w jednej swojej komorze osobnej
 Medorowi, który był okrutnie raniony,
 Jako potem był prędko przez nią wyleczony
 Z onej rany tak wielkiej, jako potem ona
 Sama była od srogiej miłości zraniona,
 Jako ogniem tak barzo gorącym pałała,
 Że miejsca samej sobie już nie znajdowała;

CXX.

Jako nie dbając, że się zacie urodziła
 I że namocniejszego króla córką była
 Z królów wschodnich, zagrzana miłością szaloną,
 Chudemu się drabowi uczyniła żoną.
 Tem skończył historyą, że wyszedł na progi
 I zawoławszy, kazał przynieść klejnot drogi,
 Który mu Angelika, nagradzając wczasy
 W jego ubogiem domu, dała w one czasy.

CXXI.

Siekierą był on koniec pasterzowej mowy,
 Która mu właśnie szyję odcięła od głowy,
 Skoro się nad niem sroga miłość napastwiła
 I tak się go ciężkimi razami nabiła.
 Chce w sobie żal utaić, ale nie pomoże,
 Tak się sili, że gwałtem strzymać go nie może;
 Przez wzdychanie z ust, przez łzy z oczu, choć go dusi,
 Wypuścić go, rad nierad, nieszczęśliwy musi.

CXXII.

A kiedy mógł popuścić wodze swej żałości,
Zostawszy jeden tylko sam na osobności,
Z oczu zaczerwieniałych, wzięwszy twarz na rękę,
Puszcza na dół na piersi niewstrąconą rękę.
Przewraca się a stęka, na miejscu nie może
Leżeć i w częste koła zwiedza wszystko łoże;
Ale je tak najduje twarde i kolące,
Jako kamienie, jako pokrzywy gorące.

CXXIII.

Kiedy tak cierpiał one tesknicie i cknienia,
Przyszło mu jakoś na myśl, że okrom wątpienia
Na tem łóżku, na którym leżał, z swem sypiała
Gamratem, gdy tam dziewczka niewdzięczna mieszkała.
Tak mu zarazem brzydkie i zmierzłe zostaje
I tak się z niego prędko porywa i wstaje,
Jako prędko kosiarz, co na sen zawrze oczy,
Widząc węża na trawie podle siebie, skoczy.

CXXIV.

W takiej ma nienawiści on dom, ono łoże
I pasterza samego, że wytrwać nie może
Dotąd, ażby wszedł księżyc, lub ażby ubrany
W światło Febus dzień przyniósł albo świt rumiany;
Oblecze się we zbroję i konia wywiedzie
I do lasa w gęstwinę co najwięszą jedzie,
I jeśli kogo nie masz, w koło się obziera
I strasznym wyciem bramę żalowi otwiera.

CXXV.

I kiedy słońce świeci i kiedy się kryje
W oceanie, ustawnie woła, krzyczy, wyje;
Strzeże się i miast i wsi i na miejsca bieży
Nieludne i na ziemi i pod niebem leży
I sam się sobie często niezmiernie dziwuje,
Jako mu się tak wiele łez w oczu najduje,
Jako tak często wdychać może i tak w onem
Z sobą samem rozmawia płaczu niewściągionem:

CXXVI.

»Nie są to już więcej łzy, które z podziwieniem
»Leję z oczu ustawnie tak żywym strumieniem.
»Tak wielkiemu żalowi łzy nie wydołały
»I ledwie w połowicy beł, gdy cieć przestały:
»Wilgotność to żywotnia, ogniem wypędzona,
»Drogą, która do oczu wiedzie, wypuszczona,
»Ucieka, której leją tak wielki dostatek,
»Że mi żałość i żywot weźmie na ostatek.

CXXVII.

»Wzdychania, które w onych mękach znać dawają,
»Nie są pewnie vzdychania; nigdy nie bywają
»Takie vzdychania, bo te na czasy próżnują:
»Mnie ustawicznie moje męki prześladową.
»Miłość to ten wiatr czyni, która mię ogniami
»Pali, które rozżarza, machając skrzydłami.
»Twój to cud, o miłości, że choć mię tak palisz
»I w ogniu zawsze trzymasz, nigdy mię nie spalisz.

CXXVIII.

»Nie jestem tem, czem się zdam z twarzy: już nieżywy,
»Już dawno jest pod ziemią Orland nieszczęśliwy;
»Jego go niewdzięcznica, która go zdradziła,
»Nie strzymawszy mu wiary, okrutnie zabiła.
»Jam jest tylko jego duch, ale rozdzielony
»Od niego, ustawicznie w tem piekle męczony
»Przy jego cieniu, który sam został na świecie,
»Przykład wam, co w miłości nadzieję kładziecie«.

CXXIX.

Całą noc grabia błdził tam i sam po lesie,
Aż jednym razem zły go los jego przyniesie,
Kiedy się rozniewało tam, gdzie była jama,
W której przykre wydrożył Medor epigrama.
Krzywdą ta, która w skale wrysowana była,
Tak go boli i tak go srodze zapaliła,
Żeby się beł na żądzą inszą wtem nie zdobył
Krom gniewu a wściekłości, a wtem szable dobył,

CXXX.

Posiekł pisma, porąbał krzywdy pełne skały
 Tak, że pod niebo małe kamienie leciały.
 Nieszczęśliwa jaskinia, miejsca nieszczęśliwe,
 Które miały na sobie napisy dotkliwe,
 Już wiecznie nie użyczą trzodzie swoich cieniów
 I pasterzom na ulgę słonecznych promieniów;
 I źródło, że tak jasne było, nie pomogło
 I bezpieczne od gniewu jego być nie mogło.

CXXXI.

Czego jeno mógł dostać, trawy, ziemie, kłody,
 Gałęzie i kamienie ciskał w piękne wody
 I zmącił je ode dna, że były nieczyste,
 I plugawe, bywszy tak przedtem przeźrzyste.
 Nakoniec spracowany, kiedy go już siły
 Wszystkie, wielką zwątlone pracą, opuściły
 I więcej się z wściekłością jego nie zgadzały,
 Padł na ziemię i leżał w znak, zapamiętały.

CXXXII.

Padł na ziemię, jakom rzekł, i w znak się wywrócił,
 Nie mówi nic, tylko wzrok ku niebu obrócił;
 Tak nie jedząc i nie śpiąc, trzy dni i trzy nocy
 Leżał, nie dając zmysłom zemdlonem pomocy.
 I tak go ona żałość niezmierna trapiła,
 Że go nawet rozumu wszystkiego zbawiła;
 Czwartego dnia od wielkiej wściekłości porwany,
 Rozdarł zbroję na sobie, z zmysłów już obrany.

CXXXIII.

Daleko wielka tarcza, dalej hełm i przedni,
 Dalej jeszcze na ziemi blach leży pośledni;
 Porozciskał i zbroję i wszystko oręż,
 To w trawę, to na rolę, to między gałęzie.
 Potem na sobie zdrapał wszystkie spodnie szaty
 I nagie piersi i brzuch ukazał kosmaty
 I wpadł w takie szaleństwo, że — ktoby to pisał,
 Co czynił! — strasliwszego nikt nigdy nie słyszał.

CXXXIV.

W taką wściekłość, w szaleństwo tak niewymówione
 Wpadł, że mu wszystkie zmysły zostały zaćmione;
 Jeszcze dobrze, że szable nie wziął, bo co wiedzieć,
 Czegoby był nie zrobił; acz, mamli powiedzieć,
 Co jest, nic mu nie było po niej do cudownej
 Jego mocy i siły jego niewymownej.
 Ukazał to tam zaraz, gdy jednym trząśnięciem
 Wyrwał z ziemie wysoką sosnę i z korzeniem.

CXXXV.

Wyrwał i inszych kilka tak, jakoby krzaki
 Jakie były albo kopr albo anyż jaki;
 Toż uczynił niezłomnem dębom i jesionom
 I bukom i topolom i świerkom i klonom.
 Jako ptasznik rwie zielsko, pokrzywy, konopie,
 Kiedy pole uprzęta na sieć przy wąkopie
 Lub przy chróście, tak właśnie on czynił z wielkimi
 Drzewami, ogromnemi i wystarzałemi.

CXXXVI.

Wieśniacy porzuciwszy w polu swe roboty
 I pasterze swe trzody, tam, gdzie wielkie grzmoty
 I huk niewymówiony z daleka słyszeli,
 Stąd i zowąd krokami wielkimi bieżeli. —
 Ale iżem przedłużył i barzo się boję,
 Abym się nie uprzykrzył komu, niech tu stoję;
 O tem jego szaleństwie ostatek zostawię
 Na drugą pieśń, a teraz niechaj was nie bawię.

KONIEC PIEŚNI DWUDZIESTEJ TRZECIEJ.

PIEŚŃ DWUDZIESTA CZWARTA.

A R G U M E N T.

Zerbin Odorykowi złemu jego winę
 Opuszcza, za pokutę dawszy mu Gabrynę;
 Potem chcąc bronić szable Orlanda mężnego,
 Ginie, zabity ręką króla tatarskiego;
 Izabella go płacze. Pojedynek zwodzą
 Mandrykard i Rodomont, potem się rozchodzą,
 Aby Agramantowi prędko pomoc dali,
 Którego już w obozie naszy dobywali.

A L L E G O R Y E.

W tej dwudziestej czwartej pieśni w Zerbinie, który się z Mandryardem bije i nakoniec zabity zostawa, jako na wielu inszych miejscach w tej ksiągce, chce autor ukazać ludziorom chrześcijańskim zły i niepożądany zwyczaj pozwolenia wolnego placu do pojedynku dlatego, aby się mogło przezeń poznać, kto ma sprawiedliwą, a kto niesprawiedliwą, gdyż to nie jest nic innego, jeno upornie przez tak zły środek kusić Boga, który wielekroć z przyczyn od nas niepojętych dopuszcza na dobrych, że się jem złe dzieje i że niewinnie cierpią, choć się strzegą wszelakiego niebezpieczeństwa, nie tak, jako owi czynią, którzy albo ze złości albo z hardości albo z próżnej chwały albo z jakiej złej inszej dyspozycyjej dobrowolnie wdawają się w jawne niebezpieczeństwa pojedynków.

S K Ł A D P I E R W S Z Y.

Kto wpadnie w lep miłości, niech wyrwie co pręcej
 Skrzydła i niech się strzeże, by w niem nie lgnął więcej;
 Bo według mądrych ludzi — jakoż podobieństwo —
 Miłość każda jest jawnie wyraźne szaleństwo;
 I choć nie każdy z mózgu oszaleje taki,
 Jako Orland, musi mieć szaleństwa znak jaki.
 Aza to nie szaleństwo, kiedy dla drugiego
 Ginę i w niwecz siebie obracam samego?

II.

To szaleństwo jednoż jest, co wam rozum bierze,
 Chocia ma różne skutki i nie w jednej mierze
 Zawsze stoi, i jest tak, jak las wielki, kędy
 Kto się trafi, pomylić i wpaść musi w błędy,
 Ten z owę, ten z tę stronę z drogi ustępuje;
 Tem zamknę, że kto sobie miłość tak smakuje,
 Że się w niej i starzeje, nie rzekę, obucha,
 Ale godzien przynamniej kluzu i łańcucha.

III.

Ale mi rzecze który: »Czemu nas strofujesz
 Z tego grzechu, a sam się inaczej sprawujesz?«
 Tak powiadam, że i ja widzę swe błazeństwo,
 Kiedy mię na jaki czas opuści szaleństwo,
 I staram się i tuszę, że tej prędko zbędę
 Choroby i na pierwszy rozum się zdobędę;
 Ale ten wrzód tak prędko nie schodzi, bo ciało
 Już się prawie do samych kości zepsowało.

IV.

Jużeście to słyszeli, jako nieszczęśliwy
 Grabia zmysłów pozbywszy, wielkie czynił dziwy,
 Jako zbroję i szaty, które miał na sobie
 I szablę porozciskał różnie w onej dobie,
 Jako jesiony, sośnie, dęby powyrywał,
 Jako na grzmot, który się daleko ozywał,
 Dziwować się pasterze przybiegli strwożeni,
 Od złej gwiazdy albo swych grzechów pociągnięni.

V.

A widząc wielkie drzewa, z korzeńmi wyrwane,
 I siły u szaleńca niewypowiedziane,
 Uciekać chcą, jeno że nie wiedzą, gdzie, sami,
 Jako się trafia zdjętem nagłemi strachami.
 Ujrzawszy je szalenie, z miejsca się porywa
 Wielkiem pędem i głowę jednemu urywa,
 Tak, żeby drugi trudniej urwał niewątpliwie
 Lub jabłko na jabłoni lub śliwę na śliwie.

VI.

I za nogę wziął trupa onego bez głowy
I miał go za buławę szaleniec surowy;
Drugim dwiema wyprawił na oczy sen wieczny,
Z którego się nie ockną aż w dzień ostateczny.
Inszy wszyscy, co mieli na bieg prędsze nogi,
Uciekali tam i sam pędem w różne drogi.
Bieżałby był za nimi jeszcze dalej śladem,
Jeno że się obrócił i udał się zadem.

VII.

Oracze mając przykład świeży przed oczami,
Zostawują swe pługi i radła z bronami,
Na kościoły, na domy śpiesznie uciekają,
Kiedy widzą, że drzewa mało pomagają,
I patrzą z wysoka, jako mocną pięścią,
Paznokciami, zębami częścią woły, częścią
Konie tłucze i kasa i musi być przedniem
Zawodnikiem koń, który może uciec przed niem.

VIII.

Widzieć było i słyszeć, jako do gromady
Bieżały wsi przyległe i bliższe osady;
Rozlega się wszędzie dźwięk rogów, trąb drzewianych,
Ale najbarziej słyszeć głos dzwonów śpiżanych.
Tysiącami jedni z gór na dół z koszturami,
Z siekierami, z kosami krzywemi, z rożnami,
Drudzy z dolin na górę biegli w onej chwili,
Aby na szalonego razem uderzyli.

IX.

Jako kiedy na słonem brzegu w niepogodę
Rusza Auster podległą niepokojom wodę,
Pierwsza zda się, że tylko igra i żartuje,
Druga się już, niż pierwsza, większa ukazuje,
Trzecia większa, niż druga, i dalej zasiąga,
I więcej się po piasku leje i rozciąga:
Tak się właśnie na on czas tłuszcza pomnażała,
Która z gór na Orlanda i z dolin bieżała.

X.

Dwadzieścia ich zadławił, co naprzód przypadli
Bez sprawy, bez porządku i w ręce mu wpadli;
A to jem pokazało jawnie, że z daleka
Lepiej od szalonego stać było człowieka.
Nie mogli mu zaszkodzić nic a nic, bo ciało
Orlandowe mieczów się i ran nie bojało
Dla łaski, którą mu dał Stworzyciel z tej miary,
Aby lepiej mógł bronić Jego świętej wiary.

XI.

By był mógł Orland umrzeć, chłopstwo, co nań biło,
Niewątpliwa, żeby go tam było zabiło;
Ale go wieczne nieba tak udarowały,
Że bez zbroje, bez broni, mógł być zawždy śmiały.
Już też tłum ustępował i na zad uchodził,
Widząc, że mu żaden sztych, żaden raz nie szkodził;
On też, kiedy się wszyscy rozbiegli, powrócił
Od chłopstwa i do wsi się co bliższej obrócił.

XII.

We wsi niemasz nikogo: i wielcy i mali,
Ujęci wielkiem strachem, precz pouciekali.
Było tam dosyć potraw podłych i niedrogich,
Jako to u pasterzów i chłopków ubogich;
Tam żołędzia od chleba nie rozeznawając
I żołądek tak dawno wypróżniony mając,
W tem, co zastał surowe lub było warzone,
Utopił zaraz ręce i zęby zgłodzone.

XIII.

Stamtąd błędząc po onem okolicznem kraju,
Gonił ludzie i zwierze różnego rodzaju;
Nieraz w biegu na lesie jelenia dotrzymał,
Nieraz lub sarnę lubo zająca poimał;
Nieraz się z niedźwiedziami i wieprzmi dzikimi
Mocował i gołą je ręką kładł na ziemi
I ich mięsem i siercią brzuch osurowiały
Napełnił i żołądek posilił zgłodniały.

XIV.

Tak po wszytkiej Francyej nie zahamowany
 Biegał, aż na jeden most trafił, zbudowany
 Przy jednej wielkiej wieży, która zbyt wysoka
 Beła; pod mostem rzeka płynęła głęboka,
 Rzeka, co oba brzegi miała z twardej skały
 Przykre i niedostępne — ale na czas mały
 Grabię Orlanda w jego szaleństwie zostawię,
 A królewicem szockiem teraz się zabawię.

XV.

Zerbin, skoro go Orland samego zostawił,
 Małą chwilę na onem miejscu się zabawił,
 Potem konia obrócił w Orlandową kolej
 I jachał sobie za niem z lekka i powolej.
 Jeszcze był nie ujachał mile, gdy z daleka
 Ujrzał przywiązanego do konia człowieka,
 Około którego szli jacyś niepoznani
 Dwaj rycerze, a oba we zbroje ubrani.

XVI.

Ale skoro był bliżej, poznał go, poznała
 I Izabella, która obok z niem jachała;
 Odoryk to był, co był na koniu związany,
 Owej ubogiej na straż, jako wilk, przydany.
 Temu najwięcej Zerbin między swemi wierzył,
 Temu się Izabelle swojej był powierzył,
 Tusząc i miarę biorąc z jego życzliwości
 Dawnej, że i w tem doznać miał jego wierności.

XVII.

Prawie w ten czas onę rzecz królewna swojemu
 Powiadała, jako się toczyła, miłemu,
 Jako na brzeg na bacie uniesiona była
 Pierwej, niżli się pod nią galera rozbiła,
 Jako od Odoryka nagabanie miała,
 Jako się do jaskiniej rozbójcom dostała,
 I jeszcze nie skończyła, gdy więźnia onego
 Ujrzeli, mocno w siedle pokrępowanego.

XVIII.

Dwaj, co go między sobą śpiesznie prowadzili,
 Poznali Izabellę zaraz w onej chwili;
 O tem, który z nią jachał, to mniemanie mieli,
 Że to Zerbin, nie inszy, zwłaszcza gdy widzieli
 Jego zacnego rodu herby zawołane,
 Na tarczy, którą nosił, pięknie zmalowane.
 Lecz, gdy się jego twarzy z bliska przypatrzyli,
 Poznali i widzieli, że się nie mylili.

XIX.

Spadli z koni i obie ręce wyciągnęli,
 Bieżąc przeciwko niemu; potem go poczęli
 Witać obadwa nisko i przystojną mową,
 Z kolaniem pochylonem i odkrytą głową.
 Patrzy Zerbin i widzi, że jeden Almoni,
 Drugi zaś z Biskaliej był Korebus, oni,
 Co byli na okręcie od niego wysłani,
 Zdrajcy Odorykowi na drogę przydani.

XX.

Almoni pierwszy tak rzekł: »Kiedy widzę z tobą
 »Izabellę, że ato zeszedłście się z sobą,
 »Jako chciała fortuna i łaskawe nieba,
 »Słów mi długich do ciebie w tej sprawie nie trzeba;
 »Bo dla jakiej przyczyny w powrozie więdziem
 »Odoryka, mniemamy i tak rozumiemy,
 »Że ta, co krzywdę większą od niego odniosła,
 »Już ci to wszystko dawno do uszu doniosła.

XXI.

»I to wiesz pewnie, jakom został oszukany,
 »Kiedym chytrze od niego był precz odesłany,
 »Więc i to, jako zaś był Korebus raniony,
 »Kiedy się Izabelli rzucił do obrony,
 »Gdy jej chciał gwałt uczynić; ale co się stało,
 »Co się potem, jakom się w zad wrócił, przydało,
 »Czego ona nie mogła widzieć ani wiedzieć,
 »O tem ci tylko teraz krótko chcę powiedzieć.

XXII.

- »Skorom się w mieście zdobył na siodła, na konie,
- »Wracałem się do morza na zad ku tej stronie,
- »Kędym był Izabellę strapioną zostawił
- »I Odoryka, co mię dla niej był wyprawił;
- »I przyszedłem do brzegu właśnie na to miejsce,
- »Kędy beli zostali, i dalej się jeszcze
- »Pomknę, ale nie widzę nic, okrom nowego
- »Śladu, na mokrem piasku świeżo wybitego.

XXIII.

- »Udałem się za niemi śpiesznie w one tropy
- »Ku lasowi, gdzie było trochę bitej stopy.
- »Skorom wjechał do lasu, na głos pobiegał,
- »Którym słyszał, i trafię, gdzie Korebus leżał.
- »Pytałem go, gdzie się wdy królewna podziała,
- »Gdzie Odoryk, od kogo rana go potkała?
- »Potem wiedząc od niego wszystko dostatecznie,
- »Puściłem się w las, chcąc ich gdzie znaleźć koniecznie.

XXIV.

- »Kręcę się to tam, to sam i gdzie widzę drogę,
- »Patrzę śladu, ale go upatrzeć nie mogę.
- »Potem się wrócę, gdzieś był Koreba zostawił,
- »Co był około siebie ziemię tak ukrwawił,
- »Że gdzieby tam był dłużej leżał i co pręcej
- »Nie wziął jakiej pomocy, rzecz pewna, że więcej
- »Trzeba mu było księżej, aby go włożyli
- »W ziemię, niżli doktorów, aby go leczyli.

XXV.

- »Zaniosłem go do miasta i tam u jednego
- »Postawiłem go w domu jego znajomego.
- »Mieszkał w mieście cyrulik jeden doświadczony,
- »Przez którego był potem prędko uleczony;
- »Takżeśmy się na konie, na zbroje zdobyli
- »I za Odorykiem się szukać go puścili,
- »Co się na dworze króla biskalskiego chował,
- »Alfonsa, kędym potem bój z niem odprawował.

XXVI.

- »Król, z któremem kilkakroć o tej sprawie mówił
- »I tę wszystką rzecz wiedział, placu nie odmówił;
- »Gdzie sprawiedliwość Boża, która w tem nie mogła
- »Pochybić, i fortuna moja mi pomogła,
- »Że nieprzyjacieli w boju jawnie przekonany
- »I kiedy mi się poddał, został poimany.
- »Król, wiedząc jego wszystkie niecnoty, pozwolił,
- »Abym go albo zabił albo go niewolił.

XXVII.

- »Nie chciałem go zabijać, ale jako baczysz,
- »Prowadzę go w łańcuchu, a ty czyn, co raczysz,
- »I osądź go, kiedy go weźmiesz z mojej ręki,
- »Jeśli ma zaraz na śmierć, jeśli iść na mękę.
- »Słyszac, żeś do obozu francuskiego jechał,
- »W tenem kraj, abych cię tu mógł naleźć, przyjechał;
- »Teraz Bogu mojemu pokornie dziękuję,
- »Że gdzieś się mniej spodziewał, teraz cię znajduję,

XXVIII.

- »Ale i niemniej za to, że masz swą kochaną
 - »Izabellę, nie wiem, gdzie i jako dostaną,
 - »Bom ja tuszył, żeś jej już nie miał widzieć wiecznie.»
- Skoro Zerbin dosłuchał wszystkiego statecznie,
Nie odpowiada na to Almoniuszowi,
Tylko zbyt pilnie patrzy w twarz Odorykowi,
Nie z nienawiści jakiej, ale z żalu raczej,
Że mu Odoryk jego chęć oddał inaczej.

XXIX.

- Skoro koniec uczynił Almoni swej mowie,
- Chwilę milczał cny Zerbin, rozbierając w głowie,
- Jako go ten, którego sobie między wilem
- Najszczersem, najdufalszem obrał przyjacielem,
- Śmiał tak okrutnie zdradzić; wtem ruszył języka
- I przystąpiwszy bliżej, pytał Odoryka,
- Jeśli to prawda była, co mu w oczy zadał
- Almoniusz i co nań wyraźnie powiadał.

XXX.

On padszy krzyżem, na to: »Zawsze to najdziecie,
 »Mój panie, że bez grzechu nikt nie jest na świecie
 »I w ni w czym nie jest różny dobry ode złego,
 »Jeno, że ten, kiedy jest od grzechu jakiego
 »Albo od jakiej żądze, choć małej, kuszony,
 »Nie broni się i w moc się daje, zwyciężony;
 »A tamten zaś odpiera, póki mu sił zostawa,
 »Acz, jeśli żądza wielka, i on się poddawa.

XXXI.

»Kiedybych był od ciebie w jakim zostawiony
 »Mocnem zamku, coby był dobrze opatrzony,
 »A jabych go bez szturmu, bez gwałtu strachowi
 »Próżnemu kwoli poddał nieprzyjacielowi,
 »Mógłbyś mię mieć na zdrajcę; ale przyciśniony
 »Wielką siłą, skusiwszy ostatniej obrony,
 »Kiedybych to uczynił, według mego zdania
 »Nie miałbych stąd sromoty ani urągania,

XXXII.

»Owszem chwałę u wszystkich; bo im jest możniejszy
 »Nieprzyjaciół, tem ów jest wymówki godniejszy.
 »Ja mniemam, że nie winien tak wiele w tej mierze,
 »Bo zamku, co był mojej poruczony wierze,
 »Broniłem dotąd, póki obron dostawało,
 »Póki mi sił i póki rozumu zostawało;
 »Ale kiedy tak wielki gwałt na mnie nastąpił,
 »Co za dziw, że nie strzymał i że mu ustąpił?»

XXXIII.

Taka Odorykowa w on czas była mowa,
 Przydał i insze rzeczy tej służące słowa,
 Ukazując, że go zbyt ostre bojca bodły,
 Które go, niechającego, na on grzech podwiodły.
 Jeśli co kiedy prośba usilna sprawiła,
 Jeśli kiedy pokora skutek uczyniła,
 Tu go mogła uczynić, bo wszystko najduje
 Odoryk to, co serce błaga, gniew hamuje.

XXXIV.

Królewic stoi, w myślach swoich rozerwany,
 Jeśli ma być od niego Odoryk skarany.
 Kiedy patrzy na jego zdradę, bez wątpienia
 Rozumie go być godnem śmierci i zginienia;
 Kiedy zasię na dufność wzajemną wspomina,
 Kiedy sobie z niem dawną przyjaźń przypomina,
 Nie chce mu się go tracić i wodą litości
 Gasi gniewy zawzięte i zapalczywości.

XXXV.

Kiedy tak chwilę Zerbin rozmyślał wątpliwy,
 Jeśli miał za uczynek on tak niecnolliwy
 Odoryka wolnością i zdrowiem darować,
 Czy go na dalsze męki żywego zachować,
 Przybieżał poryżając koń, któremu z głowy
 Dopiero mu zdjął uzdę Mandrykard surowy,
 Niosąc babę na sobie, która przez swe zdrady
 Królewica na koniec wydała szkarady.

XXXVI.

On koń, widząc z daleka w polu drugie konie,
 Wielkiem się pędem udał prosto ku tej stronie,
 Mając babę na grzbiecie, co srodze wrzeszczała
 I bez skutku żadnego ratunku nie miała.
 Skoro ją Zerbin ujrział, bogom czynił dzięki,
 Że mu bez wielkiej pracy podali do ręki
 Onych dwu winowajców, którzy go zdradzili
 I mało go o srogą śmierć nie przypawili.

XXXVII.

Zerbin babę zatrzymać i wściągnąć rozkazał
 I jako z nią postąpić, sam w sobie rozważał,
 Jako ma z nią postąpić; naprzód myśli sobie,
 Że jej najlepiej urznąć nos i uszy obie;
 Potem zasię rozumie, że lepiej złośnicę
 Na przykład wszystkim zdrajcom dać na szubienicę.
 Różne męki i różne karania wymyśla,
 Na ostatek się na te skłania i namyśla.

XXXVIII.

Rzecz tak do Koreba i do Almoniego:

- »Atom się go namyślił zachować żywego;
- »Bo acz nie ze wszystkich miar godzien odpuszczenia,
- »Lecz przecię nie zasłużył śmierci i zginienia.
- »Niechaj żyje i niechaj będzie przy wolności,
- »Kiedy to, jako mówi, uczynił z miłości,
- »Bo próżno to: łatwie się błędy wymawiają,
- »W które ludzie z gorącej miłości wpadają.

XXXIX.

- »Dobrze większe rozumiemy, niż u Odoryka,
- »Czego nie u jednego pełno historyka,
- »Miłość z miejsca ruszyła i ludzi tak siła
- »Do gorszych i sprośniejszych grzechów przywodziła.
- »Dlatego mu odpuszczam i niech rozwiązany
- »Zaraz będzie, a ja zań niech będę karany,
- »Którym olśnął, tej mu się rzeczy powierzając,
- »Że ogień łatwie słomę spali, nie patrząc.

XL.

Potem na Odoryka wejrzawszy, tak rzecze:

- »A toć twój grzech odpuszczam, niebaczny człowiecze!
- »Aleć taką naznaczam zań pokutę, aby
- »Dwanaście mi miesięcy pilnował tej baby
- »I miał ją w towarzystwie i we dnie i w nocy,
- »Nie spuszczając jej z oka, i swojej pomocy
- »Jej używać i żebyś o nią czynił w boju
- »Z każdym takim, coby jej nie chciał dać pokoju.

XLI.

- »Do tego chcę po tobie, abyś ten rok cały
 - »Na każdy dzień z nią jeździł — a wszak to czas mały —
 - »Po Francyej tam i sam, od miasta do miasta,
 - »Tam konia obracając, gdzie każe niewiasta.»
- Takich do Odoryka słów królewic użył,
Który był większe, niż to karanie, zasłużył,
Co było, rów mu jaki kazać wielki minąć,
Rów, który niepodobna rzecz była ominąć.

XLII.

Tak wiele była baba sproсна pozwodziła
Rycerzów i białej płci tak wiele zdradziła,
Różnych ludzi, że kto z nią w towarzystwie będzie,
Rzecz pewna, zwad, hałasów, kłopotów nabędzie.
Tak oboje zostanie nieźle pokarane:
Ona za swoje grzechy, dawno podziałane,
On za to, że jej na się wziął niesprawiedliwie
Obronę; tak niedługo zginie niewątpliwie.

XLIII.

Tak na ten czas przeznaczy szoki rycerz tęgą
Odoryka uwiązał i ujął przysięgą,
Obiecując, gdzieby mu nie dotrzymał wiary,
Że wielkich mąk nie ujdzie i surowej kary
Do pierwszego potkania i niechaj się prosi,
Jako chce, szyję straci i nic nie uprosi.
To mówiąc, Almoniemu rzekł i Korebowi,
Aby zdjęli powrozy z rąk Odorykowi.

XLIV.

Stało się wszystko podług Zerbinowej woli,
Acz go rozwiązowali prawie poniewoli,
Żałując, że się na niem tak, jako myśleli,
Onej tak wielkiej jego zdrady nie zemścili.
Tak jechał dalej stamtąd Odoryk żałosny
Z szpetną babą, mając żal na sercu nieznośny;
Co się jem potem stało, Turpin nie napisał,
Alem przecię o jednym historyku słyszał,

XLV.

Którego nie mianuję, który dostatecznie
Pisze, że chcąc zlej onej napaści koniecznie
Zbyć Odoryk, nie pomniąc na swoją przysięgę,
Włożył babie z konopi urobioną wstęgę
Na szyję i zadzierzgnął węzeł i w porębie
Tuż ją przy samej drodze zawiesił na dębie.
Toż Almoni i jemu — tenże opisuje —
W rok uczynił, jeno że miejsca nie mianuje.

XLVI.

Zerbin, co wszędzie śladu Orlanda pilnował
I nie radby go stracił, do swych wyprawował,
Do wojska, którzy się oń frasować musieli,
Ponieważ nic tak długo o niem nie wiedzieli.
Posłanemu od siebie Almoniuszowi
I który z niem pospołu jedzie, Korebowi,
Różne nauki, różne poruczenia dawa,
A z piękną Izabellą sam tylko zostawa.

XLVII.

Tak barzo Zerbin grabię Orlanda miłuje,
Nie mniej i Izabella, tak ich chęć ujmuje
Oboje dowiedzieć się, jeśli gdzie dojachał
Poganina, za którem szukać go wyjechał,
Onego, przez którego z konia był ściągnięty
I od niego na ziemi w polu zostawiony,
Że się, póki dzień trzeci nie minie, nie wróci
Do wojska i z tamtego kraju nie powróci.

XLVIII.

Ten był kresznaczony od grabie onemu
Rycerzowi, co szable nie ma, pogańskiemu.
Niemasz żadnego miejsca, niemasz żadnej strony,
Którejby był nie zwiedził Zerbin pomieniony,
Szukając i szlakując Orlanda, gdzie jachał,
Aż między drzewa gęste z trafunku przyjechał,
Drzewa, niewdzięcznej dziewczki ręką popisane,
I nalazł je, z jaskinią srodze porąbane.

XLIX.

Jedzie dalej, gdzie się coś świeciło, w gęstwinę
I błyszczącą się zbroję poznawa grabinę;
Potem i szyszak nalazł, ale nie on dawny,
Który kiedyś na sobie nosił Almont sławny.
Słyszy potem, że koń rze gdzieś daleko w lesie
I na dźwięk się obróci i głowę podniesie:
I widzi po pięknej się łące pasącego
Bryljadora, na łęku munsztuk mającego.

L.

Nalazł i Duryndanę, co w trawie leżała,
Daleko od szyszaka, a pochew nie miała,
I dołomę, na drobne płatki podrapaną
I tam i sam po różnych miejscach rozmiotaną.
Izabella i Zerbin żałośnie patrząją,
Ale ani się, co to było, domyślają.
Wszystkich się przygód boi Zerbin utroskany,
Okrom tej, aby miał być z rozumu obrany.

LI.

Kiedyby tam beli krwie znak jaki widzieli,
Że go pewnie zabito, takby rozumieli;
A wtem ujrzą, że właśnie przeciwko niem bieży
Pasterz jeden strwożony, który był na wieży
Trochę przedtem i widział z wielkim podziwieniem,
Kiedy dęby z ziemie rwał pospołu z korzeniem,
Blachy cisnął i szaty na sobie podrapał,
Bydła, ludzie zabijał, których był nałapał.

LII.

Ten wszystko wypowiedział cnemu Zerbinowi,
Co się nieszczęśliwemu stało Orlandowi.
Zerbin ledwie dowierza, chocia świeże szlaki,
Chocia tego przed sobą ma tak wielkie znaki.
Zsiada z konia skwapliwy, smutkiem napełniony
I okrutnem na sercu żalem przerażony,
I zbiera przedtem sławne i tak zawołane
Nieszczęśliwe ostatki, różnie rozmiotane.

LIII.

Zsiadła i Izabella z konia i zbierała
Rozciskane oręż, a rzewno płakała;
A wtem ich nadjechała zbytnie utroskana
Piękna panna, na gładkiej twarzy uplakana.
Chcecie wiedzieć, kto to jest i o co się psuje
Ustawiczną żałością, o co się frasuje?
Fiordyliza to piękna, co wszędzie swojego,
Wyjachawszy z Paryża, szukała miłego.

LIV.

Brandymart ją był w mieście Karłowem zostawił
 Ani jej zęgał, kiedy w drogę się wyprawił;
 Gdzie go ośm albo dziewięć miesięcy czekała,
 Ale, iż się nie wracał, za nim pojachała.
 Od morza się jednego do morza puściła
 Drugiego i Pyreny i Alpy zjeździła,
 Szukając go po wszystkich miejscach, okrom w owem
 Pałacu, który dobrze znacie, Atlantowem.

LV.

Kiedyby go w tem biał pałacu szukała,
 Z Gradasebmy go biała pospołu zastała,
 Gdzie i Rugier i piękna biała Bradamanta
 I Ferat jeszcze pierwiej i cny pan z Anglanta.
 Ale skoro go Astolf swą wniwecz obrócił
 Drogą księgą, Brandymart zarazem się wrócił
 Do Paryża; lecz tego jeszcze nie wiedziała
 Fiordyliza, co biała za niem wyjechała.

LVI.

Z trafunku tam, jakom rzekł, pierwiej nadjechała
 Zerbina z Izabellą i zbroję poznała
 I konia, który się pasł po łące chodzący
 Samopas, mając munsztuk na łęku wiszący.
 Patrzy na pas nieszczęsny wielkiego rycerza,
 A już też trochę przedtem także od pasterza
 Dowiedziała się była o przypadku onem,
 Że Orland zbyt rozumu i został szalonom.

LVII.

Zerbin blachy, z orężem inszem rozmiotane
 I do jednej gromady pospołu zebrane,
 Chcąc, aby od żadnego nie było człowieka
 Ruszane, luboby tam przyjechał z daleka
 Lubo też był tameczny, zawiesza na górze
 Na sośnie i wydraża na zielonej skórze:
 »Orlandów to rynsztunek.« Tak się rym zamyka,
 Jakoby rzekł: »Kto słaby, niechaj go nie tyka.«

LVIII.

Skoro koniec uczynił tak chwalebnej sprawie,
 Wsiadał na koń w żałobnej i smętnej postawie;
 Wtem się trafił Mandrykard, który widząc one
 Rynsztunki, na wysokiej sośni powieszone,
 Pytał go, co to było. Zerbin, jako wiedział,
 Wszytko Mandrykardowi szczerze wypowiedział.
 Do sośniej się król hardy bliżej przystępuje
 I ostrą Duryndanę z gałęzi zdejmuje.

LIX.

Zerbin woła: »Nie bierz jej! nie bierz, poganinie!
 »Bo cię kłopot i wielkie nieszczęście nie minie;
 »Jeśliś tak dostał sławnej Hektorowej zbroje,
 »Żeś ją ukradł, takie jest rozumienie moje.«
 Wtem się chyżo do siebie obadwa porwali
 I ostremi żelazy na się przycinali;
 Już dźwięki z ciężkich razów dosięgały nieba,
 A jeszcze w bój nie weszli słuszny, jako trzeba.

LX.

Zerbin się zda prędkością podobien ogniowi;
 Umyka się tam i sam mocnemu królowi,
 I srogiej Duryndany najwięcej pilnuje,
 I gdzie spadnie, tam koniem rąco uskakuje;
 Bo kiedyby na niego z tak potężnej ręki
 Spadła raz Duryndana, musiałby przez dzięki
 Iść w pola Elizejskie, tam, kędy mieszkają
 Te dusze, które się tu w miłości kochają.

LXI.

Jako więc śmiały złajnik, gdy wieprza dzikiego
 W polu, daleko stada, zastanie samego,
 Obraca go z tej strony i z owej nakoło,
 Ale on czeka, aż mu raz przydzie na czoło:
 Tak cny Zerbin pilnuje i nie spuszcza oka,
 Gdzie Duryndana spada z nizka lub z wysoka,
 I chcąc mieć zdrowie całe i cześć, jednym razem
 Biję i umyka się przed srogiem żelazem.

LXII.

Z drugiej strony, kiedy się poganin zamierzy
I kiedy srogą szablą zatnie i uderzy,
Zda się, że jest podobny wichrowi wściekłemu,
W marcu w lesie siły swe rozciągającemu,
Kiedy wysokiem sośnion schyla głowy harde
Albo łamie gałęzi. Ale razy twarde
Tak są częste, że chocia pilnie się ich strzeże,
Jednego się nakoniec Zerbin nie ustrzeże.

LXIII.

Miedzy mieczem a tarczą sroga szabla wpadła
I minawszy miecz, potem przez tarczą przepadła.
Zbyt mięszszy miał przedni blach, niemniej doskonały
Pancerz, którem okrywał żywot rycerz śmiały;
Ale pancerz i zbroja w on czas nie pomogła
I wytrzymać srogiemu żelazu nie mogła.
I blach przedni i pancerz tak, jako zajęła,
Aż do samego łęku przeszła i przecięła.

LXIV.

I by był nie skąpy raz, jako by był goły
I nagi, takby go był przedzielił na poły.
Jeszcze dobrze, że w piersiach nie miał znacznej dziury,
Że broń tylko dosięgła trochę wierzchniej skóry;
Nie głęboka, ale tak długa rana była,
Żeby się była dobrą piędzą nie zmierzyła:
Ciepła krew z piersi kropi wypolerowaną
Zbroję i cienką nicią puszcza krew rumianą.

LXV.

Takem widział niedawno, kiedy białą ręką
Moja pani, co dotąd z moją wielką męką
Serce trapi, na białej jedwabnicy szyła
I srebro karmazynem subtelnem dzieliła.
Już niewiele Zerbina jego męstwo wzmagą,
Mało mu jego serce i siła pomaga,
Bo pewnie, że tatarski król miał nad niem siła:
I moc i zbroja jego doskonalsza była.

LXVI.

Ale się zdał być cięższy ten raz w pojedynku
Z widzenia, niżli w skutku, niż w samym uczynku,
Tak, że cna Izabella serce wylężnione
Czuje w sobie prawie w pół grotem przebodzione.
Zerbin pełen wielkiego gniewu i śmiałości
I chcąc się pomścić onej rany i lekkości,
Z obu rącz wielką siłą tak, jako wymierzył,
W pół szyszaka dużego pohańca uderzył.

LXVII.

Nic się Zerbin na onem razie nie omylił,
Bo się poganin głową do łęku pochylił,
I by był nie on szyszak, przez czary zrobiony,
Przedzieliłby mu był łeb z tej i owej strony.
Ale mu prędko oddał poganin surowy:
»I ja tak — prawi — umiem« i ciął go w róg głowy,
W szyszak, zebrawszy w kupę wszystkie siły swoje
I tusząc, że mu przetnie w poły pierś i zbroję.

LXVIII.

Zerbin, który tam trzymał wszystkie myśl, gdzie oczy,
W prawą stronę mu chyżo na koniu uskoczy,
Ale nie tak, aby się ostremu żelazu
Mógł uchronić i zdrowy uść ciężkiego razu;
Bo tak mocno wściekła broń z góry uderzyła,
Że mu tarcz na dwie równe części rozdzieliła
I łokcia mu i uda lewego pod blachem
Znacznie dosięgła tylko za jednym zamachem.

LXIX.

Zerbin wszystkie swe siły zbiera do pomocy
I siecze Mandrykarda co z największej mocy;
Ale zbroja pogańska wszystko wytrzymała
I żadnej w sobie skazy i rysy nie miała.
A ów nie tylko, że go już tarczej pozbawił,
Ale mu w kilku miejscach zbroję podziurawił,
Szyszak potłukł i nadto przez dziewięć ran jeszcze
Zadał mu tam, gdzie było najszkodliwsze miejsce.

LXX.

Co dalej, to się słabsza siła pokazuje
 W Zerbinie, a tak się zda, że tego nie czuje,
 Bo serce zwykłą w sobie moc swoją chowało
 I słabe i zemdlone ciało posilało.
 Tem czasem Izabella z strachu krwie pozbywszy,
 Do pięknej Doraliki bliżej przystąpiwszy,
 Prosi jej, aby z placu Mandrykarda zwiódła
 I aby pojedynek straszliwy rozwiódła.

LXXI.

Doralika na prośbę jej, pełna litości,
 Nie widząc jeszcze żadnej zwycięstwa pewności,
 Czyni rada to, o co prosi, i od boju
 Przywodzi miłośnika swego do pokoju.
 Zerbin także swe gniewy wściąga i hamuje
 Kwoli swej Izabelli i bój zostawuje;
 I jedzie w dalszą drogę stamtąd, zostawiwszy
 Mandrykarda, o szablę boju nie skończywszy.

LXXII.

Fiordyliza ujrzawszy, że szabla grabina
 Słabą miała obronę w on czas od Zerbina,
 Gryzie się sama w sobie i srodze boleje
 I płacze i od gniewu dobrze nie szaleje;
 Radaby Brandymarta swego z sobą miała
 I gdzieby go znalazła i sprawę mu dała
 O tem wszystkim, tak tuszy, że się on pokusi,
 Że Tatarzyn niedługo tej szable zbyć musi.

LXXIII.

I tam i sam po różnych miejscach wszędzie szuka
 Brandymarta swojego, ale się oszuka,
 Bo daleko od niego jeździ Fiordyliza,
 A on się już był dawno wrócił do Paryża.
 Jedzie dalej przez góry, przez pola, przez lasy,
 Aż nad jedną przyjedzie rzekę w one czasy,
 Gdzie Orlanda poznała, jako potem powiem,
 Ale wprzód o Zerbinie niechaj wam dopowiem.

LXXIV.

Trapi go barziej, niżli wszystkie insze męki,
 Że Duryndana przyszła do pogańskiej ręki,
 Choć ledwie może siedzieć na koniu, zemdląły
 Po krwi, którą surowe rany wylewały.
 Po małej chwili z niego żal i gniew ustąpił,
 A ból mu tak gwałtowny, tak ciężki przystąpił,
 Ból tak ciężki, tak srogi, że widzi i czuje,
 Że się już w niem mało co żywota najduje.

LXXV.

Nakoniec nie mógł dalej jachać i mdleć począł
 I aby sobie wytchnął i trochę odpoczął,
 Stanął przy jednym zdroju, niedaleko lasu.
 Izabella, co widzi, że tylko z niewczasu
 Samego musi umrzeć, żałosna, stroskana,
 Nie wie, co rzec i co ma czynić upłakana;
 O żadnem mieście stamtąd blizkiem nie wiedziała,
 Żeby mu cyrulika jakiego dostała.

LXXVI.

Wzdycha, stęka, łzami się nieboga rozpływa,
 A nieba niepobożne i srogie nazywa.
 »Czemum — prawi — niestetyż! nędzna nie zginęła
 »W ten czas, kiedym przez wielki ocean płynęła?«
 Zerbin, który mdle oczy i blizkie skonania
 W jej twarzy często trzyma, na jej narzekania,
 Na jej skargi boleje barziej oną dobą,
 Niż na to, że tak blizką widzi śmierć przed sobą.

LXXVII.

»Bodajbyś mię tak — prawi — szczerze miłowała
 »I po śmierci, kiedy już dusza wyńdzie z ciała,
 »Jako niczego moje serce nie żałuje,
 »Jeno, że cię bez wodza, samę zostawuję;
 »Bo kiedyby tak chciały wyroki przedwieczne,
 »Abym ten żywot skończył i dni ostateczne
 »Gdzie na bezpiecznem miejscu, a nie w cudzej stronie,
 »Dosyćbym miał, kiedybym umarł na twem łonie.

LXXXVIII.

»Ale kiedy zła gwiazda tak chce, że cię muszę
 »Zostawić, nie wiem, komu, przysięgam na duszę,
 »Na te oczy i na te złote włosy twoje,
 »Któremiś uwiązała dawno serce moje,
 »Że choćbym się do piekła złem duchom do ręki
 »Dostał, nad wszystkie insze, które tam są męki,
 »Taby była nacięzsza, gdybym sobie wspomniął,
 »Gdybym, zem cię sierotą zostawił, przypomniał.«

LXXXIX.

Nieszczęsna Izabella, błada, jako chusta,
 Schyla głowę i do ust jego swoje usta
 Przykłada, na żalostnej twarzy upłakana,
 Słabiuchna, jako róża, niewcześnie urwana,
 Róża, od chciwej ręki urwana na dworze,
 Jeszcze w niesłusznym wieku i w niesłusznej porze.
 Odpowie mu: »Ja na to pozwolić nie mogę,
 »Abyś beze mnie miał iść, miły mój, w tę drogę.

LXXX.

»Abych tu miała zostać, i myśleć nie trzeba:
 »Pójdę wszędzie za tobą, do piekła, do nieba!
 »Niechaj obiedwie dusze jeden koniec mają,
 »Niechaj z sobą na wieki pospołu mieszkają.
 »Nie tak cię prędko ujrzę, miły, umarłego,
 »Jako i sama umrę od żalu wielkiego;
 »Gdzie też żal będzie tak mdły, że mnie nie zabije,
 »Ten mi twój miecz, wiedz pewnie, te piersi przebije!

LXXXI.

»Mam nadzieję, że ciała nasze nieszczęśliwe
 »Będą mieć lepsze szczęście martwe, niżli żywe;
 »Trafi się kto podomno, że i mnie i ciebie,
 »Litością przerażony, pospołu pogrzebie.«
 To mówiąc, gdy już wszystka zginęła otucha
 Jego zdrowia, ostatki żywotniego ducha,
 Które zła niewidomie śmierć kradła, zbierała,
 Póki się go szczerł jaki bawił koło ciała.

LXXXII.

Wiele Zerbin, jeśli jej odpowie, uczyni;
 Atoli odpowiedział: »O moja bogini!
 »Przez tę miłość, którąś mi w on czas pokazała,
 »Kiedyś dla mnie ojczyste brzegi zostawiała,
 »Proszę i rozkazuję, jeśli to nie siła,
 »Abyś dotąd, póki jest Boża wola, żyła,
 »Żyła zdrowa, a na to zawsze pamiętała,
 »Jakoś ze mnie szczerego przyjaciela miała.

LXXXIII.

»Może być, że Bóg, który nigdy nie opuści
 »Swoich wiernych, nic złego na cię nie dopuści,
 »Jako w ten czas uczynił, gdy cnego wyprawił
 »Senatora rzymskiego, aby cię wybawił
 »Od rozbójców, jako cię z morskich nawałności
 »Zdrowo uniósł, jako cię uchował lekkości
 »Od zdrajce Odoryka; przeto nie umieraj
 »I przed czasem się śmierci, proszę, nie napieraj.«

LXXXIV.

Wierzę, że ta ostatnia Zerbinowa mowa
 Nie była zrozumiana od słowa do słowa.
 Tak ustał, jako małe światło więc ustaje,
 Kiedy mu wosku albo tłustości nie zostaje.
 Kto może wypowiedzieć godnie narzekania
 Młodej dziewczki, kto wrzaski, kto ciężkie wdychania,
 Kiedy ujrziała, jako lód jaki, zimnego,
 Na rękę już bez dusze swojego miłego?

LXXXV.

Opuszcza się i cięży na cieie i mdleje
 I na martwą zewłokę łązy obfite leje
 I tak wrzeszczy, że się głos daleko rozlega
 Po polu i po lesie i nieba dosięga;
 Sama się na się sroży, drapie paznokciami
 Piękną twarz, tłucze piersi niewinne pięściami,
 Rwie złoty włos i co jej głosu i tchu zostawa,
 Napęlniać pól Zerbinem swoim nie przestawa.

LXXXVI.

Od onego ciężkiego smutku i żalości
Do takiej przyszła dziewczka strapiona wściekłości,
Żeby się była pewnie ręką swą zabiła
I miecz swego Zerbina w piersiach utopiła,
By się jej nie był trafił pustelnik z przygody,
Który tam często chadzał dla zdrojowej wody,
I by był nie zawściągnął gwałtem śmiałej ręki,
Która się wydzierała na swą śmierć przez dzięk.

LXXXVII.

Mąż boży, który przy swej dobroci wrodzonej
Był pełen pobożności, pewnie niezmyślonej,
I który był dobrymi przykłady wsławiony,
Jako był kaznodzieja wielki i uczony,
Poważnemi z niej słowa wybija przekłętą
Jej żądzą, a radzi jej na cierpliwość świętą
I kładzie jej przed oczy zacne białogłowy,
Tak te, które miał stary, jako zakon nowy,

LXXXVIII.

Ukazując, że żaden pociechy nie czuje
Doskonalej, kto Boga szczerze nie miłuje,
A że wszystkie człowiecze nadzieje na świecie
Próżne są i mijają tak, jako cień lecie.
I tak piękne i mądre słowa wynajdował,
Że w niej żądzą i upor na śmierć uhamował,
I przywiódł ją do tego, że mu ślubowała,
Że przyszły wiek na służbie Bożej strawić miała.

LXXXIX.

Nie może jej jednak ześć z pamięci i z myśli
Cny królewic, ciała tam zostawić nie myśli;
I lubo słońce świeci lubo padną mroki,
Chce mieć z sobą na każdy czas jego zewłoki.
A wtem sobie ciężaru onego pomogli —
Bo pustelnik był duży — i tak, jako mogli,
Martwe ciało na konia smętnego włożyli
I nie bawiąc się, w drogę dalszą się puścili.

XC.

Nie chce dziewczki tak gładkiej, tak młodej pobożny
Pustelnik, który na grzech każdy był ostrożny,
Żadną miarą prowadzić tam, gdzie swoją małą
Komórkę w gęstym lesie miał pod ostrą skalą,
Kędy były mieszkania i jamy zwierzęce.
Mówiąc »Trudno nieść ogień z słomą w jednej ręce«
Nie spuszcza się na rozum i na swe baczenie,
Aby w tak niebezpieczne miał wnieść doświadczenie.

XCI.

Do Prowence ją myśli, do zamku jednego
Blizko od Marsylii zawieść, u którego
Był klasztor jeden, wielkiem kosztem zbudowany,
Panieński i wielkimi bogactwy nadany.
W pierwszym miasteczku, które na drodze trafili,
Trunnę, w którą martwego rycerza włożyli,
Wczesną i zasmoloną, dobrze zrobić dali,
Potem tam, gdzie prowadził pustelnik, jachali.

XCII.

Przez wiele dni część ziemie niemają zwiedzili,
A zawsze ustronnemi drogami jeździli;
Bo, iż po wszystkich miejscach pełno było wojny,
Obierali sobie kraj cichy i spokojny.
Ale na koniec beli w drodze zawściągnięni
Od pewnego rycerza i nie uważeni;
O którym potem powiem, skoro pierwej z hardem
Odprawię się, tatarskim królem, Mandrykardem.

XCIII.

Jako się skoro zwada ona, która była
Miedzy niem, a rycerzem szockim, dokończyła,
Miedzy gęstemi drzewy odpoczywał w cieniu
Przy jednym kryształowem, wesołem strumieniu;
Ale pierwej zdjął siodło upracowanemu
Z grzbieta, a uzdę z gęby koniowi swojemu,
Aby się pasł na trawie; wtem w małą godzinę
Ujrzał, że rycerz jakiś z górną jeździł w równinę.

XCIV.

Skoro go Doralika na górze ujźrzała,
Choć jeszcze był z daleka, zaraz go poznała;
Rzecz do Mandrykarda: »Widzisz tego, który
»Prosto naprzeciwko nam jedzie z onej góry?
»Rodomont to jest hardy, jeśli się nie mylę;
»Będziesz miał z niem, rzecz pewna, wnetże krotofilę:
»Jedzie się mścić nad tobą swej dawnej lekkości,
»Żeś mu mię wziął; trzebać tu siły i śmiałości«.

XCV.

Jako jastrząb, kiedy więc gołębia prędkiego
Albo ptaka z daleka obaczy inszego,
Wznosi głowę i pióra wszystkie wymuskiwa
Na sobie i piękniejszy i weselszy bywa:
Tak się w on czas wesoło król tatarski stawia,
Tusząc, że Rodomonta pewnie garła zbawi;
Konia bierze, w strzemionach nogę ma, a w rękę
Wodze trzyma i wsiada, ująwszy się łęku.

XCVI.

Skoro tak blisko beli, że fuki straszliwe
Mogli swe wzajem słyszeć i słowa dotkliwe,
Rodomont jął nań fukać i ręką i mową,
Mówiąc, że to zapłaci wnetże swoją głową,
Że tego śmiał rozdrażnić, co miał z to śmiałości
I z to siły, że się mógł zemścić swej lekkości
Nad swem nieprzyjacielem i co obelżenia
Ani lekkiego nie zwykł cierpieć uważenia.

XCVII.

Odpowie mu Mandrykard z postawą surową:
»Darmo mię chcesz ustraszyć tą twą grozną mową,
»Której tylko na małe dzieci używają
»I na niewiasty, które, co jest bój, nie znają,
»Nie na tego, który się barziej kocha w boju,
»Niż w odpoczynku i niż w nie lubem pokoju.
»Jam gotów pieszo, konno, zbrojny i niezbrojny,
»Lub w polu lubo w szrankach, spatrzyć z tobą wojny«.

XCVIII.

Ale ato już na się krzyczą i wołają
Z wielkiem gniewem i srogich mieczów dobywają,
Jako wiatr, który z razu ledwie że co dmucha,
A potem z gruntu dębów i jesionów ruchu
I ciemny proch i piasek aż pod niebo niesie,
Potem drzewa wysokie wali w gęstem lesie,
Domy w polu obala i wichry szalone
I grad niesie i bije trzody rozprószone.

XCIX.

Dwu pogan, którem równych świat nie miał, zagrzane,
Śmiałe serca i siły niewypowiedziane,
Odprawują straszliwy czyn surowej wojny
I bój, tak zuchwałemu nasieniu przystojny.
Drży ziemia od wielkiego i srogięgo dźwięku,
Kiedy szable spadają na się z mocnych rękę;
Skry ze zbrój, uderzonych ciężkimi razami,
Aż do nieba gęstemi lecą tysiącami.

C.

Srogi bój dwaj królowie mężni odprawują
Długi czas bez przestanku i tego pilnują,
Aby sobie wzajemnie zbroje zdiurawili
I do ciała śmiertelne sztychy wyprawili.
Jako się bić poczęli, żaden dotąd jeszcze
Kroku nie ustępuje i jakoby miejsce
Ono było zbyt drogie, oba go pilnują
I z koła tak małego nic nie występują.

CI.

Na ostatek Tatarzyn zuchwały mężnemu
Ciężki raz dał królowi w łeb algijerskiemu
Z obu rącz tak, że mu się w oczach rozświeciło,
Jakby się tysiąc przed niem świeczek zapaliło.
Rodomont, jakoby już wszystkiej pozbył siły,
Bije głową grzbiet konia swego i pochyły
Strzemię gubi, w siedle się ledwie zatrzymuje
Przy bytności tej, którą tak barzo miłuje.

CII.

Ale jako łuk mocny i dobrze złożony
Z dobrej stali, od mocnej ręki wyciągniony,
Im się bardziej wyciąga i im jest mocniejszy
Strzelec ten, który z niego strzela, tem lekcejszy,
Mocniej się znowu wraca i belt wystrzelony
Z większą potęgą pędzi, z cięciwy puszczonej:
Tak właśnie afrykański rycerz prędko wstawa
I nieprzyjacielowi sowito oddawa.

CIII.

Rodomont także w czoło haniebnie uderzył
Śmiałego Mandrykarda tak, jako wymierzył;
Ale go nie obraził, bo mu twarz nakrywał
Szyszak, który Hektora trojańskiego bywał.
Tak go jednak ogłuszył dobrze, że nie wiedział,
Jeśli dzień był, jeśli noc; toli się osiedział
Przecię w siedle. Rodomont drugi raz uderzył
Na niego, a do głowy po staremu mierzy.

CIV.

Koń Mandrykardów, który z góry spadającej
Szable się srodze boi, straszliwie świszczącej,
Pana swojego z wielkiem swoim złem ratuje:
Wspina się i chcąc uciec, przodek wystawuje,
A wtem go sroga szabla w pół głowy trafiła,
Która na jego pana wyprawiona była;
Nie miał Hektorowego hełmu, nieszczęśliwy,
Jako pan, i zostawa martwy i nieżywy.

CV.

Ale Mandrykard prędko powstawa na nogi
Po onem ogłuszeniu i kręci miecz srogi;
Zrze się w sobie i gniew go pali jadowity
Wewnątrz o to, że mu był dzielny koń zabity.
Afrykański go rycerz chce potraćć koniem;
Ale nie tak był słaby, jako trzymać o niem:
Tak stał mocno na nogach jako kamień, bity
Od wałów, kiedy pod niem koń poległ zabity.

CVI.

Rodomont, który koń czuł pod sobą zemdlony,
Na przednim łęku z lekka ręką wyniesiony,
Wyjawszy nogi z strzemion, siodło zostawuje
I z Mandrykardem w równy bój pieszo wstępuje.
Dopiero się straszliwa bitwa zaczynała,
A nienawiść i pycha obu zagrzewała;
Ale nadjachawszy ich z przygody skwapliwy
Posłaniec, między niemi rozwiódł bój straszliwy.

CVII.

Nadjachał ich jeden z tych, co beli wysłani
I po wszytkiej Francyej różnie rozesłani
Od pogaństwa, aby ci, co się rozjachali,
Do swoich się chorągwi co prędzej wracali,
Dając znać, że Agramant król był porażony
I od cesarza Karła w obozie zamknięty;
I gdzieby prędkiej w rychłe pomocy nie mieli,
Swoję klęskę i jawny upadek widzieli.

CVIII.

Poznawa je on poseł bardziej po tych raziech,
Którymi na się siekli srodze po żelaziech,
Niż po herbach zwyczajnych i niżli po stroju,
Bo nikt inszy nie mógł zwieść tak srogiemu boju;
Nie ma jednak z to serca, nie ma z to śmiałości,
Aby wszedł między one gniewy i wściekłości,
Choć go do nich król posłał i choć powiadają,
Że posłowie karani nigdziej nie bywają.

CIX.

Ale do Doraliki, co stała na stronie
Idzie i powiada jej, jako w złej obronie
Z trochą wojska Agramant, Stordylan, Marsyli
W obozie od chrześcijan oblężeni byli.
Powiedziawszy jej wszystko, prosi, aby poszła
I obiema rycerzom onę rzecz doniosła,
I nalega, aby ich jako pogodziła
I dać Agramantowi pomoc jem radziła.

CX.

Miedzy srogie rycerze z wielkiem sercem wchodzi
 I onych pojedynk straszliwy rozwodzi,
 Mówiąc tak do obudwu, nadobna królowna:
 »Przez miłość, którejem jest po was obu pewna,
 »Proszę, abyście szable do lepszej schowali
 »Potrzeby i żebyście zaraz wyjeżdżali
 »Do obozu naszego, który obleżony,
 »Zguby albo pomocy czeka i obrony«.

CXI.

Potem poseł powiedział, jako Sarraceni
 Beli w niebezpieczeństwie wielkiem obleżeni,
 Prosząc, aby na pomoc szli Agramantowi,
 Od którego oddawa list Rodomontowi.
 Nakoniec tem zawarli i tak uradzili,
 Aby oba rycerze pokój uczynili
 Między sobą aż do dnia, w który obegnany
 Ich obóz od chrześcijan będzie ratowany.

CXII.

Ale skoro z onego będą wyzwoleni
 Obleżenia i z królem swoim Sarraceni,
 Aby się do swych pierwszych niechęci wrócili
 I aby rozpoczęły bój z sobą skończyli
 Który gdy koniec weźmie, dopiero ukaże,
 Komu przysądzić piękną Doralikę każe;
 A ta, która przysięgę od nich odebrała,
 Za obu, że ją strzymać mieli, ślubowała.

CXIII.

Była tam niecierpliwa na ten czas Niezgoda,
 Którą barzo bolała ona ich ugoda;
 Była także i Pycha i obiedwie chciały,
 Aby ono jednanie jako rozerwały.
 Lecz Miłość więcej mogła, która tamże była,
 Której największa jest moc i największa siła;
 Ta przyłożone strzały do cięciwy miała
 I pozad i Niezgodę i Pychę trzymała.

CXIV.

Krótko mówiąc, chocia jej przeczyła Niezgoda,
 Tak, jako Miłość chciała, stanęła ugoda.
 Ale nie dostawało konia z nich jednemu,
 Co był w boju zabity; lecz dogodził temu
 Bryliador, co się paś na łące zielonej
 I z trafunku tam przyszedł do potrzeby onej,
 Prawie na czas — ale już proszę dozwolenia,
 Abych mógł na mały czas odeść dla wytchnienia.

KONIEC PIEŚNI DWUDZIESTEJ CZWARTEJ.

PIEŚŃ DWUDZIESTA PIĄTA.

ARGUMENT.

Ratuje Ryciardyna Rugier zawołany,
 Który był na srogą śmierć ogniową skazany
 O królownę hiszpańską, piękną Fiordyspinę.
 Aldygierę o braciej swej ma złą nowinę
 I z niewesołą twarzą gości w dom przymuje;
 Potem się w drogę z niemi śpiesznie wyprawuje
 Pomódz Malagizemu i Wiwianowi
 I wydrzeć je srogiemu z rąk Bertolagowi.

ALLEGORYE.

W tej dwudziestej piątej pieśni Rugier, który nie oglądając się na żadne niebezpieczeństwo, jedzie wybawić od śmierci Ryciardyna, chociaż go nigdy nie znał, ukazuje powinność prawdziwego rycerza, który swój własny żywot dla cudzego puszcza na odwagę. Ryciardyn na śmierć skazany, a potem ratowany, daje nam znać, że miłość zawsze wdaje ludzie w niebezpieczeństwo wielkie, chociaż czasem z niego wychodzą za jakim szczęściem niespodziewanem.

SKŁAD PIERWSZY.

O jako wielkie młodzi w sobie spory czują,
 Którzy i sławy pragną i razem miłują,
 I nie wiedzieć, która się mocniejsza najduje:
 Czy chęć do czci, czy miłość? Często ustępuje
 Jedna drugiej. Zaprawdę, wielce poważali
 Swą cześć oba rycerze, którzy zaniechali
 Rozpoczętego boju dotąd, ażby byli
 Z oblężenia swojego króla wyzwolili.

II.

Ale tu miłość większą swą moc pokazała,
 Bo, by była ich pani tak nie rozkazała,
 Nie rozwieliby beli onego potkania
 I nie przyszliby beli nigdy do jednania
 I darmoby był czekał Agramant pomocy
 Od nich, od chrześcijańskiej obegnany mocy;
 Tem zawieram, że miłość nie zawsze zaszkodzi
 I czasem się na wiele dobrego przygodzi.

III.

Obadwa ci poganie pospołu jachali
 Ku Paryżowi, aby swoich ratowali;
 I piękna Doralika, która jem kazała
 On bój rozwieść, w tęż drogę z niemi pojachała
 I karzeł mały, który tatarskiego w tropy
 Króla gonił, pilnując wszędzie jego stopy
 Tak długo, aż na niego przezeń nawiedziony
 Beł Rodomont i na bój z niem naprowadzony.

IV.

Stamtąd na piękną łękę z trafunku wjachali,
 Na której przy strumieniu rycerzów zastali
 Dwu zbrojnych, dwu niezbrojnych; z niemi panna była,
 Która się po zielonej łące przechodziła.
 Kto to beł? — Nie wzbraniam się wam o tem powiedzieć,
 Ale mi o Rugierze wprzód trzeba powiedzieć,
 Który onę sławną tarcz, przez czary zrobioną,
 Wrzucił w głęboką studnię, w lesie nalezioną.

V.

Jeszcze beł mile od tej studnie nie ujachał,
 Kiedy go Agramantów posłaniec dojechał,
 Z tych, co beli posłani po to, aby byli
 Na pomoc mu rycerze jego zgromadzili.
 Ten na on czas powiada cnemu Rugierowi,
 Że zbyt ciężko już beło tak Agramantowi,
 Że jeśli wcześniej prędko pomocy nie będzie,
 Wojsko zgubi, żywota i sławy pozbędzie.

VI.

Różne myśli na on czas Rugiera mieszały,
Co mu się były w głowę wszystkie wraz zebrały,
Nie wie, jaką odprawę posłowi onemu
Dać ma, bo nie miał miejsca i czasu po temu
Namyslić się; nakoniec przystojnemi słowy
Posła zbywszy, tam jachał, gdzie od białejgłowy
Był, jeśli to pomnicie, smętnej prowadzony
Na pomoc młodzieńcowi, co miał być spalony.

VII.

I tak jachał w swą drogę tam, gdzie go niewiasta
Wiodła i po południu przyjechał do miasta,
Które w środku Francyej król trzymał spokojnie,
Marsyli, pod cesarzem zdobyte na wojnie.
Ani u mostu ani w bramie w onej chwili
Wolnego mu przejazdu namniej nie bronili,
Choć przy bramie i koło przykopów niemało
Pospółstwa i żołnierstwa było się zebrało.

VIII.

Iż znano białągłową, co go prowadziła
I co mu w onej drodze przewodnikiem była,
Dla tego i Rugiera nie zahamowano,
Który z nią był, ani go, skąd jachał, pytano.
Wjechał na plac i ujrział ogień zapalony
I lud około ognia wielki zgromadzony,
A we środku młodzieniec stał, na śmierć skazany,
Błady na twarzy, mocno powrozy związany.

IX.

Rugier skoro mu wejrzzał w oczy umoczone
Łzami, które ku ziemi trzymał pochylone,
Ma go za Bradamanę swoją: tak nadobny
On młodzieniec we wszystkim był do niej podobny!
Potem im mu się dalej z bliska przypatruje,
Tem go jej podobniejszym twarzą być najduje;
Mówi sobie: »Abo to ona nieomylnie,
Albom ja nie jest Rugier!« a patrzy weń pilnie.

X.

»Nic inszego, jeno że na to się puściła,
»Aby osądzonę na śmierć wyzwoliła,
»Potem jako się jej ta sprawa źle nadała,
»Poimana, jako to widzę, tu została.
»Ach, czemu się kwapiła, że mię mieć nie mogła
»Z sobą, żebyśwa była sobie spół pomogła!
»Jednak Bogu mojemu mam za co dziękować,
»Żem w czas przybeł, tak, że jej będę mógł ratować.«

XI.

I nie rozmyślając się nic, szable dobywa,
Bo kopiej na on czas nie miał i rozrywa
Gęsty lud, rozpuściwszy konia, i rozpoczyna
Srogie dzieło: temu łeb, a temu ucina
Rękę razem z ramieniem i kręci nakoło
Ostrą szablą, tego tnie w głębę, tego w czoło.
Wszyscy, ujęci strachem, krzyczą i wołają,
Wszyscy jako nadalej z rynku uciekają.

XII.

Jako szpacy bezpieczni stadami latają
I powolej pokarmu po ziemi szukają,
Jeśli z góry krogulec rączy wpadnie na nie,
Albo jednego porwie z nich niespodziewanie,
Wszyscy idą w rozsypkę, każdy zostawuje
Towarzystwo i aby sam uciekł, pilnuje:
Tak tam właśnie pospółstwa one uciekały,
Kiedy między nie z szablą wpadł bohater śmiały.

XIII.

Czterem albo sześciom z nich zdjął do czysta głowy,
Którzy nie uciekali, bohater surowy;
Sześciom je porozdzielał aż do samej głęby,
Niezliczonem po piersi, po oczy, po zęby.
Prawda, że nie nakryli beli głów hełmami,
Ale ich przecię siła było z misiurkami;
Ale mało by były i hełmy pomogły,
Boby pewnie tak wielkich strzymać sił nie mogły,

XIV.

Taką miał moc cny Rugier, jaka być w człowieku
 Najmocniejszym nie może dzisiejszego wieku,
 Jakiej lwi i niedźwiedzie i jakiej zubrowie
 I inszy co najsroższy nie mają żwierzowie;
 Podobno ziemie drżenie z jegoby zrównało
 Wielką mocą albo też wielkie jakie działo,
 Do którego, skoro knot i ogień przyłoży,
 Drży i niebo i ziemia, morze sobą trwoży.

XV.

Nigdy mniej nad jednego, a czasem padali
 Dwa od jednego cięcia, owszem powiadali,
 Że i czterech zabijał jednym tylko razem
 Z tych, którzy przyodziani nie byli żelazem;
 Bo takie ostrze jego szabla sroga miała,
 Że natwardszą stal, jako mleko, rozcinała.
 Faleryna ją była w ogrodzie zrobiła
 Morgany na to, aby Orlanda zabiła.

XVI.

Ale że ją zrobiła, prędko żałowała,
 Gdy przez nią spustoszony swój ogród widziała;
 A teraz, co mniemacie, jako wielkie rany
 Czyniła, kiedy ją siekł mąż tak zawołany?
 Jeśli kiedy był Rugier śmiały, jeśli siła
 Jego widziana kiedy i wielka moc była,
 Tu ją miał, tu jej użył, tu ją pokazywał,
 Gdy Bradamanty, jako rozumiał, ratował.

XVII.

Ale mu wszyscy takie czynili obrony,
 Jakie zając psom czyni, w polu naleziony;
 Siła było tych, którzy pobici zostali,
 Ale tych nie mógł zliczyć, co pouciekali.
 Tem czasem białą rękę rozwiązała
 Młodzieńcowi i jako najlepiej umiała,
 Oblokła go we zbroję, tarcz mu zawiesiła
 Na ramieniu, bronią go dobrą opatrzyła.

XVIII.

On się mści, swoją wielką krzywdą urażony,
 I tak lud pospolity siecze potrwożony,
 Że u każdego dobre mniemanie o sobie
 Zostawuje dzielnością swoją w onej dobie.
 Już było złote koła słońce utopiło
 I w morze swoje wozy zachodnie wpędziło,
 Kiedy Rugier zwycięzca i z młodzieńcem onem
 Jachał z zamku, od śmierci przezeń wybawionem.

XIX.

Który, skoro bezpieczny był za zamkowemi
 Murami i za bramą z Rugierem, piękniemi
 Słowy, które w swej głowie w on czas wynajdował,
 Rugierowi, wybawcy swojemu, dziękował,
 Że nie znając go nigdy, takiem mu się stawił
 I z sromotnej go śmierci ogniowej wybawił,
 Prosząc, aby mu imię swe własne powiedział,
 Aby, komu tak wiele był powinien, wiedział.

XX.

Mówi Rugier do siebie: »Niebieską ozdobę,
 »Twarz gładką i urodę i stan i osobę
 »Widzę mej Bradamanty, ale słodkiej mowy
 »Jej nie słyszę z piękniemi, uciesznemi słowy;
 »I dziwuję się, że mi tak barzo dziękuje,
 »Czego wierny miłośnik jej nie potrzebuje.
 »Lecz jeśliż to jest ona, czemuż wždy własnego
 »Tak prędko zapomniała imienia mego?»

XXI.

I aby się dowiedział o tem pewnej sprawy,
 Mówi mu: »Tak mi się zda, że cię znam z postawy,
 »I myślę, gdzie cię widział, lecz sobie nie mogę
 »Wspomnieć; ale mnie ty sam nawiedz na tę drogę
 »I powiedz, jeśliś się gdzie widział kiedy ze mną
 »I nie utajaj swego imienia przedemną,
 »Abym przynajmniej wiedział, komu się przydała
 »Moja siła i kogo dzisiaj ratowała«.

XXII.

- »Być może, żeś mię widział — rzekł mu — ja nie pomnię,
- »Gdzie i kędy, i pewnie, że sobie nie wspomnię,
- »Bym myślił, nie wiem jako; prawda, że szukając
- »Szczęścia, jeżdżę po świecie, sławy dostawając.
- »Podobnoś to gdzie widział jedną siostrę moję,
- »Co miecz nosi u boku, ubiera się w zbroję,
- »Co mi tak jest podobna, jako powiadają,
- »Że nas czasem i swoi nie rozeznawają.

XXIII.

- »A bliźniętaśmy sobie. Nie dwaj, nie trzej byli,
- »Nie pięć, nie sześć, którzy się w tem często mylili;
- »Ale bracia i ociec, na ostatek matka
- »Nie może nas rozeznać dobrze do ostatka.
- »Prawda, że to czyniło tylko między nami
- »Różnicę, że ja chodzę z długimi włosami,
- »Jako mężczyzny chodzą, a ona plecione
- »Ma warkocze, około głowy obwinione.

XXIV.

- »Ale kiedy jednego dnia była raniona,
- »O czymby było siła mówić, postrzyżona
- »Od pewnego kapłana do pół uszu była,
- »Aby się jej tem pręcej rana zagoiła.
- »Żadnego między nami znaku już nie było
- »I krom płci, krom imienia, nic nas nie różniło.
- »Mnie Ryciarynem, onę Bradamantą zową,
- »Jam bratem a ona jest siostrą Rynaldową.

XXV.

- »I jeśli wam nie przykro, sprawę usłyszycie
 - »Zbyt foremną, której się barzo zadziwicie,
 - »Która mi się stąd, żem jej podobny, trafiła
 - »I pociech wprzód a potem mąk mię nabawiła.
- Rugier, co historyej słodszej i wdzięczniejszej
Nie mógł słyszeć i uszom swoim przyjemniejszej
Nad tę, w której o jego miłej była mowa,
Chciał ją słyszeć, a on ją rozpoczął w te słowa:

XXVI.

- »Trafiło się, że siostra w drogę się wybrała
- »W tych dniach i kiedy przez las pewny przejeżdżała,
- »Sarraceni ją w wielkiej gromadzie potkali
- »I ranę jej, bo hełmu nie miała, zadali
- »Prawie wszród głowy; którą jeśli zgoić chciała,
- »Włosy ostrzydż i urznąć warkocze musiała,
- »Bo rana wielka i zbyt niebezpieczna była,
- »I w drogę, zbywszy włosów, dalszą się puściła.

XXVII.

- »Miedzy lasy do źródła trafiła z przygody,
- »Z którego wynikały przeźrzoczyste wody,
- »Gdzie strudzona, zdjawszy hełm z głowy, z konia zsiadła
- »I na sen się na trawie zielonej układała —
- »Nie wierzę, aby bajka mogła być piękniejsza,
- »Jako ta historya moja terazniejsza —
- »A wtem się Fiordyspina Hiszpanka trafiła,
- »Która po chróście prędkie zające goniła.

XXVIII.

- »Ta, kiedy siostrę moję zastała uszpioną,
- »W żelazo okrom twarzy wszystkę obleczoną,
- »Która, miasto kądziele, miecz u boku miała,
- »Że to był jakiś rycerz błędny, rozumiała.
- »Twarzy się i postawie męskiej przypatruje,
- »Nakoniec serce w sobie zapalone czuje:
- »W towarzystwo ją z sobą na myśliwstwo wzywa,
- »Potem się sama jedna z nią gęstwą okrywa.

XXIX.

- »A skoro się na miejscu osobnem ujrziała
- »I że jej tam nikt zastać nie miał, rozumiała,
- »I mową i postawą serce zniewolone
- »Odkrywa jej i ostrzem sztychem przebodzone;
- »I z wzdychaniem i wzrokiem, srodze zapalonem,
- »Daje jej znać o swoim utrapieniu onem,
- »Raz zblednie, drugi raz się wstydem zafarbuję,
- »Nakoniec ośmielona w usta ją całuje.

XXX.

- »Moja siostra, która się tego domyśliła,
- »Że królewna hiszpańska na płci się myliła,
- »Nie mogąc jej w tem pomódz, czego ona chciała,
- »W wielkiem się labiryncie zgola najdowała.
- »Lepiej, że tak omylne mniemanie o sobie
- »Wykorzenie — tak z sobą mówi w onej dobie —
- »Lepiej mi się, czemem jest, odkryć i ukazać,
- »Aniżli się nikczemnem mężczyzną pokazać«.

XXXI.

- »A prawdę pewnie żywą i szczerą mówiła,
- »Że to nikczemność wielka i wyraźna była,
- »Nie człowiekowi, ale raczej spruchniałemu
- »Drewnu raczej przystojna, gdyby ten, któremu
- »Chciałaby być tak piękna kwoli białagłowa,
- »Trzymał skrzydła spuszczone, jako leśna sowa.
- »Lecz to lekarstwo było późne i leniwe:
- »Tak barzo miłość serce raniła troskliwie.

XXXII.

- »A do boku dlatego szable przypasała,
- »Aby przez nią na świecie sławy nabywała.
- »Urodziwszy się w ciepłej Afryce, gdzie swemi
- »W Ardilli morze tłucze brzeg wały straszniemi,
- »Z młodu zaraz kopią władnąć się uczyła,
- »Z młodu tarcz siedmioskórą na ręce nosiła.
- »Cóż potem: te wymówki nie były przyjemne,
- »Próżne wywody, słowa niewdzięczne, daremne.

XXXIII.

- »Nie przeto w pięknej twarzy kochać się przestawa
- »I w pięknych obyczajach i wszystka się dawa
- »W moc miłości i serce, które od niej poszło,
- »Do kochanych się oczu zarazem przeniosło.
- »Nie wie, przypatrując się jej męskiem ubiorom,
- »Jako dogodzić żądom i swoim przemorom,
- »Bo kiedy myśli, że jest dziewica, z żalości
- »Umiera, od okrutnej zagrzana miłości.

XXXIV.

- »Ktoby był onego dnia widział jej wzdychanie
- »I słyszał płacz i żalność i jej narzekanie,
- »I samby był z nią płakał. »Srozsza — tak mówiła —
- »Męka nad moję jeszcze na świecie nie była:
- »W każdej inszej miłości swójbym skutek miała
- »I pożądnegobym się końca spodziewała;
- »Same tylko me żądze, czemu nie pomogą
- »Żadne dowcipy, końca swego mieć nie mogą.

XXXV.

- »Jeśliś mię, o miłości sroga, trapić chciała,
- »Kiedyś mi szczęśliwego żywota zajrzała,
- »Mogłaś przestać na jakiej męce obyczajnej
- »I między miłośniki inszymi zwyczajnej:
- »I w ludziachem i w stadzie nigdy nie widziała,
- »By samica samicę kiedy miłowała;
- »Niewiasta o niewiastę drugą nie dba ani
- »Owca owce pożąda ani łanier łani.

XXXVI.

- »Ja sama tylko taka na morzu, na ziemi,
- »Na powietrzu, którą ty trapisz tak ciężkimi
- »Mękami na to, aby mój błąd na czas wieczny
- »Był w twojem panowaniu przykład ostateczny.
- »Niezbożna była żądza żony króla Nina,
- »Która swego własnego miłowała syna,
- »Mirra ojca, a z Krety Pazyfae byka,
- »Jako nie u jednego najdzie historyka.

XXXVII.

- »Biała płeć do mężczyzny żądze obracała
- »I każda pożądaną skutek w niej uznała.
- »Pazyfae w drzewianą krowę, słyszę, wlaźła
- »I na miłość swój sposób przecię wynalazła;
- »Ale mnie nie rozwiąże sam Dedalus węzła
- »Najwięsztem swem dowcipem, w którymem uwięzła,
- »Ktorem mię zawiązało samo przyrodzenie,
- »Mistrz zbyt pilny, nad wszelkie mocniejszy stworzenie«.

XXXVIII.

- »Takiego narzekania, takich słów używa
- »I płacze ustawicznie dziewczka nieszczęśliwa;
- »Piersi tłucze, twarz drapie, krzywdę niewinnemu
- »Wielką czyni swojemu włosowi złotemu.
- »Siostra, przypatrując się tak wielkiej żałości
- »Nieszczęsnej dziewczki, żądze i próżne chciwości
- »Chce jej koniecznie wybić i wytrącić z głowy;
- »Ale próżne jej słowa, próżne były mowy.

XXXIX.

- »Ona, która pomocy, nie słów potrzebuje,
- »Jeszcze bardziej narzeka, ciężej się frasuje.
- »Już się też do wieczora słońce nachylało
- »I w ocean się wielki ukryć gotowało,
- »Wczesna godzina, w którą do dom się wracają
- »Myśliwcy, co na lesie spać wolej nie mają,
- »Kiedy królewna siostrę pilnie nalegała,
- »Aby do przyległego miasta z nią jachała.

XL.

- »Nie mogła jej odmówić i tak w onej dobie
- »Na to miejsce pospołu przyjechały obie,
- »Kędy mię niecnotliwi ludzie spalić chcieli,
- »By beli w tem od ciebie przeszkody nie mieli.
- »Fiordyspina mej siostrze wielkie pokazuje
- »Swe chęci i wszystkim ją swem czcić rozkazuje;
- »Która się w białogłowskie szaty tam przebrała,
- »J że była dziewczicą, wszystkim ukazała.

XLI.

- »Widziała, że pożytku stąd nie odnosiła
- »Żadnego, że po męsku ubrana chodziła,
- »I nie chciała koniecznie, aby z onej miary
- »Cierpieć miała przygany i jakie przywary,
- »Aby ci, co nie dobrze o niej rozumieli,
- »Stąd, że ją w męskich szaciech wielekroć widzieli,
- »Teraz ją w białogłowskim ujrzawszy odzieniu,
- »Już jej więcej nie mieli we złem podejrzeniu.

XLII.

- »Na jednym łożu obie onej nocy spały,
- »Ale różny sen, różny odpoczynek miały;
- »Jedna śpi, druga oczu nigdy nie zawiera
- »I trapi się i płacze i schnie i umiera.
- »Jeśli też onej ciężkiej, niespokojnej nocy
- »Snu jej trochę krótkiego przypadnie na oczy,
- »Śni się jej, że to sobie w niebie uprosiła,
- »Że się w płęć Bradamanta lepszą obróciła.

XLIII.

- »Jako chory, gorączką wielką upalony,
- »Pragnie barzo i uśnie, w pragnieniu zemdlony;
- »W onym śnie rozerwanem, w onem niepokoju
- »Wszystko mu się o wodzie śni i o napoju:
- »Tak i onej na żądzą i na jej pragnienie
- »Sen przynosi wesołe i lube widzenie.
- »Ocyka się i ręką, ocknąwszy, wartuje,
- »Ale darmo; bo czego szuka, nie znajduje.

XLIV.

- »O jak gorąco swego Makona prosiła,
- »O jako częste śluby bogom swem czyniła,
- »Aby cudem widomem, jawnem to sprawili,
- »Żeby w lepszą płęć siostrę moję odmienili.
- »Lecz fałszywi bogowie tego nie słuchali
- »I podobno się z głupiej prośby naśmiewali;
- »A wtem mroki i ona przykra noc minęła,
- »I słoneczna się światłość odkrywać poczęła.

XLV.

- »Skoro dzień wszedł, obiedwie zostawują łoże.
- »Fiordyspina ulżyć swych mąk w sobie nie może;
- »Której o swem odjeździe siostra powiedziała,
- »Bo więcej w labiryncie onem być nie chciała.
- »Królewna jej na samem prawie rozjachaniu
- »Hiszpańskiego dzianeta dała na żegnaniu
- »Z drogiem rzędem i zwierzchni nasuwień przydała,
- »Który sama z jedwabów i z złota utkała.

XLVI.

- »Chwilę ją Fiordyspina dobrą prowadziła,
- »Potem płacząc do zamku swego się wróciła.
- »Bradamanta tak śpiesznie stamtąd pojeżdżała,
- »Że do Białej Góry w dzień onże przyjechała.
- »Matka i my, jej bracia, skoro ją ujrzemy,
- »Niezmiernie się z przyjazdu siostry radujemy;
- »Bośmy o niej nic a nic długo nie słyszeli
- »I takeśmy, że miała zginąć, rozumieli.

XLVII.

- »Skoro z głowy hełm zdjęła, pocznem się dziwować
- »Krótkiem włosom, któremi głowę opasować
- »Zwykła była nakoło przedtem, i onemu
- »Strojowi jej nowemu i cudzoziemskiemu.
- »Ona nam wszystkę sprawę z samego początku,
- »Tak, jako się toczyła, odkrywa do szcztątku:
- »Jako ranę od pogan wielką w głowie miała
- »I aby ją zgoiła, włosy zurzynała;

XLVIII.

- »Jako, kiedy usnęła na łące u wody,
- »Trafiła na nią piękna łowczyna z przygody,
- »Jako się jej fałszywa postać podobała,
- »Jako od swych daleko w gęstwę z nią wjechała;
- »Więc jako, od okrutnej raniona miłości,
- »Płakała na swe żądze i próżne chciwości,
- »Jako z nią nocowała i to, co czyniła
- »Przez wszystko czas, niżli się do domu wróciła.

XLIX.

- »Znałem ja Fiordyspinę, nie z powieści czyjej,
- »Alem ją w Syrakucy widział we Francyej.
- »I barzo mi się w on czas jej twarz i uroda
- »I oczy podobały i gładka jagoda;
- »Alem się nie śmiał w miłość tę wdać, bo szaleje
- »Każdy, co się zaciąga w miłość bez nadzieje.
- »Ale z onej powieści siostrzynej ożyły
- »Dawne żądze i w sercu mi się odnowiły.

L.

- »Z tych nici tę osnowę, bo z inszych nie mogła,
- »Miłość rozczęła i ta siła mi pomogła;
- »Bo mi rady dodała i sposób mi pewny
- »Ukazała, przez którym dostać miał królowny.
- »Widziałem sam, że ta rzecz łatwo wynieść miała,
- »Bo jednakość dwu twarzy, która oszukała
- »Wiele inszych, tem snadniej mogła Fiordyspinę
- »Oszukać przez podobną do siebie rodzinę.

LI.

- »Długom myślił, jeślim miał tej sprawy zaniechać,
- »Na ostatek się zaraz namyślał wyjechać.
- »Nikomui onej myśli swojej nie odkrywam,
- »Niczyjej do tej sprawy rady nie zażywam;
- »Idę w nocy tam, kędy była świetna zbroja,
- »Z której się rozebrała była siostra moja,
- »I na konia jej wsiadam i pełny nadzieje
- »Jadę, ani chcę czekać, aż się rozednieje.

LII.

- »W nocy z domu wyjeżdżam, miłość ze mną jedzie,
- »I prosto mię do pięknej Fiordyspiny wiedzie.
- »A takem w one czasy jachał kłosem sporem,
- »Żem na miejsce przyjechał przed samem wieczorem.
- »Szczęśliwym się poczytał ten, który nowiny
- »O mnie naprzód do gładkiej zaniósł Fiordyspiny,
- »Tusząc, że mu dać dobry upominek miała,
- »Że się naprzód od niego o mnie dowiedziała.

LIII.

- »Żem ja był Bradamantą, wszyscy rozumieli,
- »Jakoś i ty rozumiał, i za tę mię mieli,
- »Tem więcej, żem miał szaty i konia i zbroję,
- »W której widzieli w przeszły dzień rodziną moję.
- »A wtem przyszła po małym czasie Fiordyspina,
- »Skoro jej przyszła o mem przyjeździe nowina,
- »Z twarzą dziwnie wesołą, zbytnie się radując
- »I niewymówione mi łaski pokazując.

LIV.

- »Potem mi się u szyje uwiesza rękami
- »I łączy wargi swoje z mojemi wargami.
- »Co mniemasz, jeśli miłość, co mnie tam przywiodła,
- »Srogiem sztychem serca mi w on czas nie przebodła?
- »Potem do osobnego gmachu mię prowadzi,
- »Kędy beło niewolno chodzić jej czeladzi,
- »I mówi mi, abym hełm i zbroję składała
- »I ostrogi odjęła i miecz odpasała.

LV.

- »Potem jedną swą szatę przynieść rozkazała,
- »Zbyt bogatą, w którą mię sama ubierała,
- »I jakobym niewiasta beła, w czepek złoty,
- »Zbiera w włosy, w czepek swej własnej roboty.
- »Ja też zmyślam i skąpo oczyma szafuję
- »I żem dziewczka, sposobem każdym ukazuję;
- »Głos mię mógł tylko wydać, alem i ten zmyślił,
- »Cienko mówiąc, a nikt się tego nie domyślił.

LVI.

- »Potem mię na przestroną salę prowadziła
- »Kędy beła rycerzów i białych głów siła,
- »Którzy się nam kłaniali zwyczajem dworowem
- »Tak, jako się kłaniają księżnom i królowom.
- »O jakom z wielu szydził, którzy z podziwieniem,
- »Nie wiedząc, że pod onem niewieściem odzieniem
- »Mężczyzna beł potężny, oczy wytrzeszczali
- »I chciwe wzroki we mnie ustawnie trzymali!

LVII.

- »Skoro było chwilę w noc — a już się też była
- »Dobrze przedtem wieczerza bogata skończyła
- »I potem po wieczerzy stół beł poprzątniony,
- »Przedniemi potrawami wszytek zastawiony —
- »Nie czeka, abym prosił o to, Fiordyspina,
- »Po com do niej przyjechał, ale co siostrzyna
- »Twarz do mojej podobna podomno sprawiła,
- »Ażeby z nią nocował, sama mię prosiła.

XVIII.

- »A skoro się i panie i panny rozeszły
- »I wszystkie pacholęta z pokoju odeszły,
- »Kiedym się ja i ona także rozebrała
- »I jużemy leżeli, a świeca gorzała,
- »Nie dziwuj się — jam tak rzekł napierwej królownie —
- »Żem się prędko wróciła do ciebie, bo pewnie,
- »Jakeś sobie tuszyła, takeś rozumiała,
- »Żeś aż co wiedzieć kiedy widzieć mię nie miała.

LIX.

- »Powiem pierwej, czemu się od ciebie śpieszyła,
- »Potem, czemu się prędko tak na zad wróciła.
- »Kiedybych była ognie twoje zgasić mogła,
- »Cna królowno, kiedyby była co pomogła
- »Moja bytność i moje przy tobie mieszkanie,
- »Zawszeby z tobą beła na twe rozkazanie.
- »Ale widząc, żem ci dać żadnej nie umiała
- »Pomocy ani mogła, od ciebiem jechała.

LX.

- »Fortuna mię życzliwa z gościńca bitego
- »W drodze zaprowadziła do lasu gęstego,
- »Gdziem niedaleko wielki krzyk i wrzask słyszała
- »Jakby białej płci, która o pomoc wołała.
- »Biezę tam i nad rzeką ujrzę kryształową
- »Poimaną wędami ręką satyrową,
- »Nagą, nadobną dziewczkę wśród miedzy wodami,
- »Który ją chciał zjeść i już kąsał ją zębami.

LXI.

- »Przypadłam tam, abym jej była co pomogła,
- »I mieczem, bom inaczej pomódz jej nie mogła,
- »Onegom okrutnego rybitwa zabiła,
- »A ona z brzegu w wodę natychmiast skoczyła.
- »Potem mi się ozwała zaraz z onej wody,
- »Mówiąc: Nie będziesz — prawi — za to bez nagrody:
- »Jam jest nimfa, która się pod wodami kryje
- »I która tu w tej rzece przeźrzoczystej żyje.

LXII.

- »Siła ja mogę, tak wiedz, i słowy i zioły
- »Przymuszam przyrodzenie, przymuszam żywioły.
- »Proś mię, o co żywnie chcesz, a ja, ile mogę,
- »Do wszystkiegoć, a ty się spuść na mię, pomogę.
- »Na mój rym tu na ziemię księżyc zchodzi z nieba,
- »Woda gore, a ogień marznie, jako trzeba;
- »Często na proste słowa, którem wymówiła,
- »Słońcem zastanowiła i ziemię ruszyła.

LXIII.

- »Nie proszę jej na ono jej ofiarowanie
- »O skarby i o zamki i o panowanie,
- »Nie, abym niezwykłych sił jakich dostała,
- »Nie, abym w każdym boju zwyciężcą została:
- »Ale, aby albo cię jako pocieszyła,
- »Albo aby moję płęć w męską odmieniła;
- »Ani barziej o jedno, niż o drugie proszę,
- »Mając dosyć, że jedno ze dwojga odnoszę.

LXIV.

- »Ledwie com jej onę swą prośbę przełożyła,
- »Jako się wszystka znowu w wodzie ponurzyła
- »I po małej się chwili z niej zaś ukazała
- »I inszej odpowiedzi żadnej mi nie dała,
- »Jeno mię szczerowaną wodą pokropiła,
- »Co mi płęć, nie wiem, jako, zaraz odmieniła;
- »Czuję, widzę i ledwie wiarę temu daję,
- »Że z dziewice mężczyzną, dziwna rzecz, zostawam.

LXV.

- »I tybyś temu wiary, ja wierzę, nie dała,
- »Kiedybyś tego rzeczą samą nie doznała;
- »Toli, jakom w pierwszej płci była twoją sługą,
- »Tak w tej być chcę, jeśli się na co z swą posługą
- »Przydać mogę, i odtąd wszystkie wole moje
- »Są gotowe na każde rozkazanie twoje.«
- »Takem rzekł, ona też wtem ręką doświadczyła,
- »Że to, com ja powiadał, prawda szczerą była.

LXVI.

- »Jako się pospolicie człowiekowi dzieje,
- »Co o tej rzeczy, której zbyt pragnie, nadzieje
- »Wszystkie stracił, od żalu tak, jako śnieg, taje
- »Od słońca, że jej niema, że jej niedostaje,
- »Jeśli ją potem nagle z przygody najduje,
- »Niepodobnie się z szczęścia onego raduje
- »I ledwie sobie wierzy, od nagłej zastany
- »Radości, w sobie samem wszytek pomieszany:

LXVII.

- »Tak Fiordyspina, która ręką się dotknęła
- »Samej prawdy i rzeczy, której tak pragnęła,
- »Nie wierzy swojej ręce, nie wierzy i oku
- »I zda jej się, że się jej marzy w ciemnem mroku,
- »I rozumie wątpliwa, że podomno spała,
- »I lepszej inszej próby w tem potrzebowała.
- »Jeśli to sen — powiada — i jeśli usnęła,
- »Życzę sobie, żebym się nigdy nie ocknęła.«

LXVIII.

- »W bębny nie bito, w trąby trębacz nie grali,
- »Kiedyśmy bój miłości z sobą rozczynali;
- »Początkiem pierwszym były częste całowania
- »Naszej wojny, naszego onego potkania.
- »Inszych broni krom mieczów w szturmie używamy,
- »Oszczepów, strzał i łuków i tarczy nie mamy;
- »Bez drabinym wlał na mur, chorągiew na wieży
- »Wytknąłem: mój podemną nieprzyjaciół leży.

LXIX.

- »Jeśli było, noc przedtem, wielkie narzekanie
- »Na onem łożu i płacz i ciężkie wdychanie,
- »Ta druga była śmiechu pełna i radości,
- »Wesela i rozkoszy, smaku i słodkości.
- »Nie tak się wielą węzłów bluszcze i macice
- »Do muru i do swojej przywiązują tycze,
- »Jakośmy byli w on czas gęstymi węzłami
- »Spół ściśnieni: piersiami, rękami, nogami.

LXX.

»Kilka miesięcy ta rzecz między nami trwała,
 »Że o niej żadna żywa dusza nie wiedziała;
 »Nakoniec, nie wiem jako, była postrzeżona
 »I królowi srogiemu potem odniesiona.
 »Ty, któryś mnie wybawił od tych, co już byli
 »Wielki ogień, aby mię spalić, nałożyli,
 »Możesz ostatek sprawy tej sam łatwo wiedzieć;
 »Ale jakom żałosny, trudno wypowiedzieć«.

LXXI.

Tak w on czas Rugierowi tę sprawę odkrywał
 I trudu nocnej drogi Ryciarydyn ulżywał
 Tą powieścią, wjeżdżając na górę wysoką,
 Brzegami i doliną obeszłą głęboką;
 A do niej ścieżka ciasna prześcia pozwalała
 I przykrą drogę trudnem kluczem otwierała.
 Na wierchu był Agrymont, piękny zamek, który
 W opiece miał Aldygier swojej z Białej Góry.

LXXII.

Beł to brat Malagiza i Wiwianiego,
 Z nałożnice spółdzony, syn Bowa zacnego;
 I kto go własnem synem Gerardowem zowie,
 Myli się i nie trzeba wierzyć jego mowie.
 Jakokolwiek, zawsze był hojny i wspaniały
 Aldygierej i mądry i mężny i śmiały,
 I wielką we dnie, w nocy straż na zamku trzymał,
 Aby go wcale bratu swojemu dotrzymał.

LXXIII.

Ten przyjął z wielką chęcią brata Ryciarydyna
 Stryjecznego, jako to rodzinę rodzina,
 Bo jako rodzonego właśnie go miłował
 I kwoli niemu barzo Rugiera szanował.
 Ale nie wyszedł przecię tam przeciwko niemu,
 Jako beł zwykły i jako czyniał więc każdemu,
 Bo miał jedną nowinę, z której beł żałosny
 I dla której frasunek i żal czuł nieznośny.

LXXIV.

I miasto pozdrowienia rzekł do Ryciarydyna:
 »Niedobra mię, mój bracie, dziś doszła nowina:
 »Przez pewnego posłańca jestem obwieszczony,
 »Że zły i niecnotliwy Bertolag z Bajony
 »O krew się naszą z srogą Lanfuzą targuje
 »I za wielkie pieniądze u niej ją kupuje;
 »Która mu bracią naszą na śmierć i na męki
 »Malgiza z Wiwianem ma podać do ręki.

LXXV.

»Od dnia tego, w który je od Ferata miała,
 »W więzieniu je i w wieży zbyt ciemnej chowała
 »Dotąd, aż z Bertolagiem zawarła umowy,
 »Jakoście zrozumieli dopiero z mej mowy.
 »Temu je, jako słyszę, śnać na umówioną
 »Ma między jego pewnem zamkiem a Bajoną
 »Godzinę jutro stawić, a sam śnać kupować,
 »Sam się ma o krew naszą zły człowiek targować.

LXXVI.

»Wyprawiłem na dobrem koniu z tą nowiną
 »Do Rynalda naszego przed małą godziną;
 »Aleć droga daleka: choć śpiesznie pobieży
 »Mój posłaniec, boję się, że na czas nie zbiczy.
 »Ludzi nie mam tak wiele, żebym wynieść w pole
 »Mógł bezpiecznie i chocia są ochotne wole,
 »Siły niemasz, bez której trudno co rozczynać,
 »A wiem, jeśli ich kupi, że ich da pościnać«.

LXXVII.

Wielką żałość przyniosła ta Ryciarydynowi
 Nowina, ale niemniej cnemu Rugierowi;
 Który widząc, że bracia obadwa milczeli
 I jakoby poradzić temu nie wiedzieli,
 Rzecz z wielką śmiałością: »Nie myślcie wy o tem
 »I nie psujcie sobie głów darmo tem kłopotem;
 »Już wy to temu memu poruczcie mieczowi;
 »Ja upewniam, że bracia waszy będą zdrowi.

LXXVIII.

»Nie proszę was o pomoc; już ja to sam sprawię,
 »Ja to sam bez żadnego ratunku odprawię,
 »Tylko mi wiadomego kogo z swej czeladzi
 »Dajcie, który mię na to miejsce doprowadzi.
 »Usłyszycie wnet trzaski, ujrzycie i trupy
 »Tych, co się będą o te targować okupy«.
 Tak mówił, a nie mówił pewnie rzeczy nowych
 Jednemu z nich, co był sił świadom Rugierowych.

LXXIX.

Drugi go słucha jako tego, co rozumie
 Siła o sobie, a nic albo mało umie.
 Ale Ryciaryn potem na stronie go sprawił,
 Jaki był mąż, jako go od śmierci wybawił,
 Upewniając, że więcej, niżli obiecuje,
 Uczyni. Aldygierej barzo go szanuje
 I więcej go poważa i ma w uczciwości
 Z jego męstwa i z jego tak wielkiej dzielności.

LXXX.

U stołu, u którego wylewał dostatek
 Pełnem rogiem obfitość, czci go na ostatek.
 Wszyscy się namyślili onych dwu rodzonych
 Ratować, na niezbożne targi prowadzonych;
 A wtem też nastąpiły mroki ciemnej nocy.
 I słudzy i panowie zawierali oczy
 Wszyscy okrom Rugiera, którego troskliwa
 Myśl frasuje i sen mu pożądny rozrywa.

LXXXI.

Obleżenie obozu, o którym go doszła
 Onegoż dnia od króla Agramanta posła
 Nowina, tkwi mu w głowie i widzi, że snadnie,
 Gdzie go wczas nie ratuje, nowem złem podpadnie.
 Widzi, że go nie minie sromotna przygana
 Stąd, że z nieprzyjacioły jeździ swego pana;
 Jeśli się jeszcze okrzci, dopieroż strachowi
 Przypisować to będą albo niestatkowi!

LXXXII.

W każdy inszy czas temu byłoby z tej miary
 Wierzono, że to czynił dla prawdziwej wiary;
 Ale że w ten czas, gdy król jego obleżony
 Potrzebował pomocy jego i obrony,
 U wszystkich niedobrego nie ujdzie mniemania,
 Że to raczej z bojaźni czyni i lękania,
 Nie dla wiary tej, którą tak teraz wychwala;
 To serce Rugierowi dzieli i przekala.

LXXXIII.

I to go niemniej trapi, że bez pozwolenia
 Swej królowej odjechał i bez jej wiedzenia.
 To tą myślą, to ową nachyla troskliwy
 Na różne strony serce i umysł wątpliwy;
 Widzi, że go chybiło, czego on był pewny,
 Że ją miał należeć w zamku hiszpańskiej królowny,
 Do którego pospołu z sobą jachać mieli
 Ratować Ryciaryna, jakoście słyszeli.

LXXXIV.

Potem wspomniał, że jej rzekł i obiecał jachać
 Do Walumbrozy, gdzie się miał z nią pewnie zjachać;
 Rozumie, że tam ona na to pojachała
 I nie zastawszy go tam, zbyt się dziwowała.
 Radby do niej napisać list lubo wyprawił
 Posłańca, aby się jej wymówił i sprawił,
 Czemu do Walumbrozy, jako rzekł, nie jachał
 I czemu nie żegnając, od niej precz odjechał.

LXXXVI.

Długo, jako sobie miał w tem postąpić, myślił,
 Na ostatek list do niej napisać umyślił;
 A choć nie ma nikogo do tej doby jeszcze,
 Któryby go bezpiecznie zaniósł na swe miejsce,
 W drodze, jeśli się trafi, zamyśla jakimu
 Oddać go posłańcowi sam w ręce wiernemu.
 Wtem wstaje i zawoła, aby zapalono,
 Świece, pióro, kałamarz, papier przyniesiono.

LXXXVI.

Rzucili się natychmiast pilni pokojowi
I przynieśli to zaraz wszystko Rugierowi.
On, jako pospolicie zwykło bywać, w pierwsze
Pozdrowienia i służby swoje kładzie wiersze,
Potem nowiny, jako od niego pomocy
Król potrzebował przeciw chrześcijańskiej mocy,
I że zginie, jeśli mu wcześniej nie przybędzie,
Albo u nieprzyjaciół pewnie w rękę będzie.

LXXXVII.

Przydawa, jako mu się na pomoc gotował,
Kiedy tego jego król po nim potrzebował,
Prosząc, aby i ona na to pozwoliła,
A niesławy mu z onej miary nie życzyła;
Bo, mając być jej mężem, słusznie się wystrzegał,
Aby uszedł złej sławy, aby nie podlegał
Obmówiskom, i jako w niej zmazy nie było,
Tak i onemu się jej pilnie strzedz godziło.

LXXXVIII.

I jeśli przez wszystkie czas dobrei sprawami
I przeważnemi sławy dostawał dziełami
I dostawszy jej, tego usilnie pilnował,
Aby jej nie oszpecił, aby ją zachował,
Tem więcej teraz miał mieć większą pieczę o niej,
Ponieważ już i ona należała do niej,
Która mu już małżonką zostać obiecała
I z nim być we dwu ciałach jedną duszą miała.

LXXXIX.

A jako ją w tem ustnie i przedtem i potem
Upewnił, tak i przez list chciał jej dać znać o tem,
Że skoro ten czas minie, przez który swojemu
Obowiązany wiarą był panu zwierzchniemu,
Okrzci się i przystanie do prawdziwej wiary,
Do której się nachyla z dawna z każdej miary;
Potem ojca Amona, Rynalda i innych
Będzie prosił w małżeństwo o nią jej powinny.

XC.

»Proszę — prawi — u ciebie pilnie pozwolenia
»Wybawić mego pana pierwaj z obleżenia,
»Aby uszedł przymówek i ludzkiej obmowy,
»Bo wiem, żeby zelżywe były o mnie mowy:
»Rugier, póki się jego królowi szczęściło,
»Przestawał z niem, a teraz, gdy go odstąpiło
»Szczęście i cesarz Karzeł mocniejszy zostawa,
»Z jego nieprzyjacioły trzyma i przestawa«.

XCI.

»Na dwadzieścia dni tylko, a jeśli to siła,
»Więc na piętnaście proszę, żebyś pozwoliła;
»Pewniem, że przez ten czas król mój obleżony
»I z obozem swem będzie przez mię wyzwolony.
»A wtem najdę przyczynę i sposób przystojny,
»Że mu czołem uderzę i zjadę z tej wojny.
»O to tylko dla mego proszę uczciwego,
»Ostatek niech twój będzie żywota mego«.

XCII.

W takie i w tem podobne słowa napisany
Był list, który gotował Rugier zawołany;
Acz się on dobrze dłużej w tej rzeczy rozciągał
I pióra, aż był arkusz pełny, nie zawściagał.
Potem list napisany, jako umiał, złożył
I zapieczętował go i w zanadrze włożył,
Tusząc, że jutro w drodze potka kogo, który
Zaniesie go tajemnie jej do Białej Góry.

XCIII.

Skoro list on swój zawarł, zawarł także oczy
I nalazł odpoczynek i pokój tej nocy,
Bo sen przyszedł i ciało różgą wyciągnioną
Skropił mu, w niepamiętnej Lecie omoczoną.
I odpoczywał dotąd, aż się zaświeciły
Piękne zorze i kwieciem na wschodzie nakryły
I białem i czerwonym pola, góry, wody
I dzień biały ze złotej wychodził gospody.

XCIV.

A kiedy drobni ptacy śpiewać poczynali
I nowe światło głosy pięknemi witali,
Aldygierej, który sam chciał być Rugierowi
Przewodnikiem w tej drodze i Ryciarynowi
I inszem, co strzedz mieli, aby poimani
Bracia Bertalogowi nie beli oddani,
Napierwej beł na nogach; co gdy usłyszeli
Oni dwaj, z miękkich także wstawali pościeli.

XCV.

A skoro ciała jasnem okryli żelazem,
Ze dwiema stryjeczniemi wyjachali razem,
Rugier prosiwszy długo darmo, aby byli
Onę sprawę na niego samego puścili;
Ale oni z tej żądze wielkiej, którą mieli,
Ratować swojej braciej, iże rozumieli,
Żeby to beło jakieś wielkie niebaczenie,
Na tę prośbę twardziejszy beli, niż kamienie.

XCVI.

Przyjachali na miejsce za dnia, gdzie kupować
Więźniów miano i gdzie się targ miał odprawować.
Pole beło przestronne, wielkie i odkryte,
Ze wszystkich stron promieniem Febusowem bite;
Dęby, sosny i buki żadne w niem nie były,
Tylko się szczere piaski z daleka świeciły,
Tu i owdzie odziane chróstami nizkimi,
Miejscami nietykane pługami ostremi.

XCVII.

Tu się oni rycerze trzej zastanowili
Na ścieszcze tej równiny; potem obaczyli,
Że przeciwko niem jachał śpiesznie ktoś nieznany,
We zbroję ze złotemi strefami ubrany,
Co miał na tarczy za herb namalowanego
W polu zielonem ptaka wiecznie żyjącego —
Ale uczynię koniec, by wam zaś nie było,
Że was tak długo bawię tą pieśnią, niemiło.

KONIEC PIEŚNI DWUDZIESTEJ PIĄTEJ.

PIEŚŃ DWUDZIESTA SZÓSTA.

A R G U M E N T.

Malagizy figury z marmuru białego
Ukazuje na studniej źródnia rozkosznego;
Gdzie Mandrykard przyszedłszy, srogie wszczyną wojny
Z Rodomontem; tych zasię obu Rugier zbrojny
Wyzywa i krwawy bój stacza, odważony,
W dziele Marsowem z młodu dobrze wyćwiczony.
Doralikę unosi szkapa opętany;
Mandrykard ją z inszeni goni, rozgniewany.

A L L E G O R Y E.

W pieśni dwudziestej szóstej przez Wiwiana i Malagiza, których
Sarracenka Lanfuza złemu Bertolagowi z Bajony przedać chciała, lecz
od Rugiera i Marfiza w samym razie niebezpieczeństwa ratowani z upad-
kiem nieprzyjaciół wolni zostali, przypomina się nieskończona dobroć
Boga miłosiernego, który nad mniemanie i rozum ludzki z ostatnich
zwykl wyrywać niefortun zginionych. Przez osoby wielkie i chwały go-
dne, co pierwiej, niż się urodzili, na rytych od wieków mogli być po-
znani figurach, snadno uważysz, jako cnota nie jeno w niebie swoje ma
mieszkanie, ale i w pamięci wszystkich ludzi ustawiczne na świecie
wspomnienie.

S K Ł A D P I E R W S Z Y.

Białą płeć przeszłe wieki tak wspaniałą miały:
Cnotę barziej, niż złoto drogie, miłowały;
Tych zaś późniejszych czasów rzadko się najdują,
Co zyskom ladajakiem marne nie hołdują.
Po trzy i po cztery kroć godne szanowania,
W dobrych postępках swoje co tylko kochania
Ugruntowały; niechaj sławne będą wszędzie
I po śmierci i póki świat nizki trwać będzie.

II.

Tak Bradamantę zasnę nie mógł okazały
 Skarb żaden ruszyć ani państwa, pełne chwały;
 Cnoty wspaniałe, dzielność Rugiera mężnego
 Upodobawszy, wzięła do kochania swego,
 I słusznie, bo takowe dzieła jego były
 Iż go światu wszystkiemu znacznem uczyniły.
 Szanował on ją wzajem według pomyślenia
 I rzeczy dla niej czynił, godne podziwienia.

III.

Już się był w drogę puścił z dwiema rycerzami
 Rugier, jakom powiedział niedawno przed wami,
 Aby bracią z więzienia wybawił ciężkiego
 W które przez zdradę wpadli grabie bajońskiego,
 Gdy ich zjechał bohater jakiś okazały,
 A miał we środku samem swej tarcze znak mały,
 Ptaka, jedyną rozkosz arabskiej krainy,
 Co przez śmierć żywot bierze i rodzi się iny.

IV.

Ledwie ich zoczył, zaraz dał znać po postawie,
 Że mu miłe igrzysko w Marsowej zabawie.
 »Będzie podomno — rzecze — który z was tak śmiały
 »I przy męstwie animusz ukaże wspaniały,
 »Jeżeli dużem członkom są podobne siły,
 »Co mi was na wejźrzeniu pierwszym zaleciły,
 »Iż lub szablą lub drzewy spróbujęm długiem,
 »Kto zostanie na koniu, kto będzie na ziemi.«

V.

»Wygodziłbym ja — mówi Aldygier — wnet tobie,
 »W jakim jeno chcesz walki kosztować sposobie,
 »Kiedyby zbytnia czasu ścisłość pozwoliła,
 »Co nas w gwałtownej sprawie z domu wypędziła.
 »Ledwie tych kilka z sobą słów przerzec możemy:
 »Tak rąco i tak chyżo śpieszyć się musimy.
 »Sześćset człowieka namniej czeka nas zbrojnego,
 »Z którymi trzeba się nam bić dnia dzisiejszego.

VI.

»Miłość prawdziwa, miłość szczerą rozkazuje,
 »Która natwardsze serca miękczy i ujmuje,
 »Byśmy własną z więzienia bracią wyzwolili
 »I w obietnicach się jem swoich uścili.
 »Z tej przyczynyśmy zbroje wdziali na się twarde,
 »Chcąc to sprawić, a w tamtych skrócić myśli harde.«
 »Słuszną — odpowie drugi — wymówkę przymuję,
 »A jednaką w was wszystkich dzielność upatruję.

VII.

»I dlatego miał wolą serc waszych spróbować,
 »Chcąc doznać, kto z nas czterech męstwem ma przodkować;
 »Ale, że tam ukazać macie wasze siły,
 »Gdzie słuszność chce, aby się wszystkie obróciły,
 »Przypuście mnie, proszę was, w lubą kompanię:
 »Mam, jak wy, serce, męstwo, i me ręce biją;
 »Doznacie, o doznacie bez wątpienia tego,
 »Że towarzystwa godny jestem tak zacnego.«

VIII.

Zda mi się, iż wy wszyscy, co dotąd nie wiecie,
 Słyszeć imię rycerza nowego pragniecie,
 Który się w towarzystwo wpraszał Rugierowi
 I z nim iść ku przyszłemu chciał zaraz bojowi.
 Jestto mężna Marfiza, co raz tęgi dała
 Szotowi i Gabryny pilnować kazała,
 Gabryny, baby starej, do wszystkich chytrłości
 Sposobnej, pełnej niecnót, pełnej różnych złości.

IX.

Dwaj bracia z Jasnej Góry zaraz pozwolili,
 Przyjaźni ucześniczka swych ją uczynili.
 Rugier mniema, że to jest rycerz doświadczony,
 Twarzy z hełmu nie mogąc widzieć z żadnej strony.
 Wtem Aldygier ukaże towarzystwu swemu
 Chorągiew naprzeciwko pagórku bliższemu;
 Z nią wiatry po powietrzu łagodne igrały,
 Lud do bitwy sprawiony, stał wkoło niemały.

X.

Potem przypatrują się nowemu strojowi,
Co samemu zwyczajny tylko Murzynowi;
Poznali, że to własni Sarraceni byli,
Dwóch więźniów z twarzą smętną zacnych prowadzili,
Za których Maganzowie według słowa swego
Złota nagotowali najwyborniejszego.
Krzyknie Marfiza: »Czegóż dłużej czekać chcemy?
»Bankiet się nam otwiera, gdy już tych widzimy!«

XI.

»Wezwanych spełna niemasz — Rugier się ozowie
»I tak na onę mowę Marfizy odpowie —
»Przydzie czekać: wnet sławny, wnet taniec zaczniemy,
»Na którym krok skrwawiony wielom pomylemy.«
Ledwo wyrzekł, aliści obaczą na stronie
Drugą rotę; wiedziono przy niej muły, konie,
Złotem, srebrem i drogiem sprzętem najuczzone,
Co od grabie Murzyn brać miał za więźnie one.

XII.

Były szaty, obicia złotem przetykane,
Szable drogo poprawne, łuki malowane.
W śródtku gminu dwaj bracia jadą poimani,
Do podjezdaków podlejszych mocno przywiązani,
Nic więcej, jeno targu czekali skończenia,
Który ich miał wiecznego nabawić więzienia.
Sam Bertolag z ich starszem rozmawia niecnota,
Za ich wolność gromady nie żałuje złota.

XIII.

Już tu ścierpieć nie mogli dalej Amonowi
Synowie, za swą bracią garło dać gotowi.
Tak ten, jak ów wnet w toki kopie włożyli
I obadwa wraz zdrajce niemi uderzyli.
Jeden w bok trafił, drugi niemniejszej był szkody
Przyczyną, bo obiedwie przepędził jagody.
Padł Bertolag: bodaj tak koniec wszyscy mieli,
Co zyski sobie czynić z swoich szalbierstw chcieli.

XIV.

Rugier z Marfizą trąby inszej nie czekają,
Na onę kupę Maurów, jak wściekli, wpadają.
Marfiza nie złamała wprzód swojego drzewa,
Aż trzech z koni zrzuciła, trzem wylała trzewa;
Rugierowej zaś godny sam wódz ich był ręki:
Leci martwy do ziemie, umiera przez dzięki.
Taż drugiego, trzeciego posyła w te strony
Gdzie Pluto z Prozerpiną mieszka zasępiony.

XV.

Stąd wnet między obiema urósł błęd stronami:
Maganzowie mniemają, iż z Sarracenami
Zmówiwszy się ci czterej, tak ich pożyc chcieli;
Przeciwnem zaś sposobem oni rozumieli:
Grabiów zdrajcami głosem wielkiem nazywają,
Iż ich w ręce nieznanem żołnierzom wydają.
Czyn się Marsów zaczyna, świszczą żartkie strzały,
Drzewa trzeszczą, szable łby gęste zdejmowały.

XVI.

Rugier, jak ptak, przepada w tę, to w owę rotę
I kończy należytą siłom swem robotę,
Raz dziesięciu obala, dwudziestu zaś potem.
Toż czyni i Marfiza, w swym szyszaku złotem
Nieznana: leci z siodeł zgraja wysadzona,
Których chętnie przymuje ziemia, krwią skropiona.
Tak ich bronią przyłbice, tak zbroje stalone,
Jak się broni pożarom drzewo wysuszone.

XVII.

Chciejcie przypomnieć sobie, jeśliście widzieli
Albo przez czyje usta tę powieść słyszeli,
Co za zgielki i jakie szemranie straszliwe
Zwykły więc pszczoły wszczynać, gdy swe garło chciwe
Głodna zołna, aby ich pożarła, otwiera:
Drżą, lękają się wszystkie, siła ich umiera;
Tę połknie, tę zabije, bez liczby ich psuje
I nadzieję do życia wszystkim odejmuje.

XVIII.

Tak z tem gminem Marfiza i Rugier zaczyna,
 Głowy, ramiona, piersi szkaradnie rozcina.
 Ryciardot z bratem w tamte strony się udali,
 Gdzie Maganzowie w kupie z swoją rotą stali.
 A iż był, jako Rynald, serca wspaniałego
 I obozy z młodych lat szczerą rozkosz jego,
 We dwójnasób przyczynia sił, męstwa, ochoty,
 Płaci Magazeńczykom zdradę, złość, niecnoty.

XIX.

Aldygier, sprawiedliwym gniewem poruszony,
 Zdał się, jak w gęstej puszczy lew głodem zmorzony:
 Przecina namocniejsze blachy bez trudności,
 Spycha z koni rycerzów nawiętszej dużej.
 Ale któżby ochotny, ktoby nie był śmiały,
 Ktoby nie był on Hektor i Ajaks zuchwały,
 Mając w swej kompanii Rugiera zacnego
 Z Marfizą, męstwa wzorem jedynem dziwnego?

XX.

Serdeczna bohaterka po stronach patrzyła,
 Kogo z większej dzielności przodkiem chwalić miała;
 Dziwuje się, widząc ich siły niesłychane,
 Ale ją Rugierowe, z żadnem nie zrównane,
 Do zdumienia przywodzą, bo on ciężkie razy
 Zadaje, sam namniejszej nie czuje obrazy.
 Zda się jej, iż na Marsa patrzy żelaznego,
 Który na ziemię zstąpił z nieba aż piątego.

XXI.

Nieuleczone, gdzie się chynie, czyni rany:
 Jnż pułk Maurów, już drugi zdrajców pomieszany;
 Szyszak się kartą być zda przeciw szabli jego,
 Jeśli nią z blizka srogi dosięże którego,
 Kruszy hełmy i przednie blachy w niwecz psuje,
 Kogo tnie, śmierć mu w piekło drogę ukazuje;
 Dzieli ciało od ciała, lecą w różne strony
 Nogi po pas, brzuch od nóg z głową rozłączony.

XXII.

Kogo zajmie, dusza go zarazem odbiega,
 I koń się przy swem panu śmierci nie wybiega;
 Głowę we mgnieniu oka z łopatek zdejmując,
 Rozcięte aż do krzyżów piersi ukazując.
 Jednem machnięciem pięci zarazem zabija,
 Gdzie jeno z Balizardą ostrą się zawija.
 Ostatka nie napiszę, bo nie uwierzycie
 I snem raczej, niż prawdą, to męstwo okrzycie.

XXIII.

Turpin, choć szczerze pisze, pozwala i tego,
 By według podobania wierzył każdy swego;
 Przedziwne tu wysławia męstwa Rugierowe,
 Które wy zwalibyście raczej plotki nowe.
 Jako pochodnia psować zwykła zimne lody,
 Znowu je obracając prędko w mokre wody,
 Tak przeciwko każdemu jest bojownikowi
 Marfiza, co więc orzeł przeciwko wróblowi.

XXIV.

Rugier w niej oczy utkwiał, pilno się dziwuje,
 Ta zaś nad wszystkich w niem moc większą upatruje;
 A jeśli go Marfiza Marsem rozumiała,
 Nie mniejby mu się ona Belloną być zdała,
 By był wiedział, że pannę hełm z zbroją nakrywa,
 Która wzrok i mniemanie jego oszukiwa;
 I ponno urosłaby spórka między niemi,
 Kto rozlał krwie, kto więcej ciał złożył na ziemi.

XXV.

Atoli dosyć było czterem sił, śmiałości
 Zbić dwie rocie i posłać w podziemne nizkości.
 Leżą trupy na polach, ostatek ucieka:
 Brat brata, powinnego powinny nie czeka.
 Szczęśliwy, kto rączego jest pan zawodnika:
 Gdzie mógł, jak mógł, uchodził sam bez przewodnika;
 Ale kto pieszy został, wnet sprobował tego,
 Co to jest być bez konia, co zaś mieć żartkiego.

Został łup, pole woine zwycięzcy zacnemu;
 Prostą Magazensowie drogą ku swojemu
 Uciekają domowi, tędy zaś Maurowie,
 A z panów pozostali wciąż gonią służkowie,
 Zostawiwszy dwu więźniów, sprzęt co kosztowniejszy,
 Których wyzwolić skoczył Ryciard ochotniejszy;
 Chłopięta zaś tłumoki z drogiemi rzeczami
 Od mułów i od koni odwieżują sami.

XXVII.

Prócz wielkich sztuk od srebra, prócz dziwnej roboty
 Jest siła zapon, łańcuch jest niejednen złoty,
 Więc i szat białogłowskich, w kwiaty rysowanych,
 Perłami, dyamentem wkoło haftowanych,
 Nuż obicia z potrzebę nad podziw ślicznego,
 Z jedwabiów i ze złota napół utkanego;
 Wiele, wiele zdobyczy inszej w drogiej cenie,
 Wino, chleb i potrawy dziwne na jedzenie.

XXVIII.

Wnet na zdjęcie szyszaków wszyscy się zdumieli,
 Widząc, jak wielką pomoc w bitwie z panny mieli,
 Gdy warkoczem wspaniała bohaterka złotem
 Błysnęła, wdzięczną twarzą, białą szyją potem.
 Czczą ją i ważą wszyscy, proszą, aby swego
 Nie tała imienia, wieczności godnego;
 Ona ludzka i zacnem kompanom życzliwa,
 Niewiedziane jem dotąd swe imię odkrywa.

XXIX.

Nie mogą się nasycić, patrząc na dziewicę,
 Gdy okazała złoty włos, zdjawszy przyłbicę;
 Ta zaś w Rugiera tylko wzrok bystry wlepiła,
 Z niem mówi, jego serce i śmiałość chwaliła.
 Wtem słudzy do obiadu proszą gotowego,
 Który na stole mieli u źródła jednego,
 U źródła, gdzie słoneczny promień mirt wysoki
 Zakrywał, jak więc ciemne Cyntyą obłoki.

XXX.

Jedna ze czterech dziwnych ta fontana była,
 Co ręka Merlinowa kiedyś urobiła,
 Najprzedniejszym marmurem wkoło otoczona,
 Jak świeże mleko, białem, ślicznie wygładzona;
 Widziałbyś beł wyrznione boską ręką prawie
 Od Merlina obrazy w swej własnej postawie;
 Rzekłbyś, że tchną i żyją, by mówić umiały:
 Tak cudowne w robocie swej skutecznej stały.

XXXI.

Tam z lasu jakaś straszna wychodzić się zdała
 Bestya szpetna, brzydka, wzrok okrutny miała,
 Uszy ośle, łeb, zęby wilcze, od wielkiego
 Wyszła głodu, a łapy cztery lwa srogięgo;
 Ostatek liszki chytrej własna postać była;
 I zdało się, iż cały świat w okrąg schodziła:
 Pyszne Hiszpany, własną ziemię i Francją,
 Afrykę, Amerykę, Azyą, Anglią,

XXXII.

Wszędzież lud zabijając bez wszelkiej litości
 Podły gmin, średnie stany i wielkiej zacności;
 A nabarziej psowała, nabarziej szkodziła
 Królom, książętom, panom, gdzie ich zaskoczyła.
 Dosięła okrutnością swą dworu rzymskiego,
 Zabiła z kardynałmi papieża samego,
 Poszpeciła od Boga stolec poświęcony
 Piotrow, zgoršenje brzydkie dawszy w tamte strony.

XXXIII.

Żaden mur przed straszną bestyą nie może
 Wytrzymać i forteca żadna nie pomoże;
 Z gruntu miasta wywraca, nikt się nie obroni,
 Gdzie jeno kolwiek przydzie sroga, gdzie się skłoni.
 Śmie jeszcze honorowi uwłaczać boskiemu,
 Chcąc się za Boga udać gburowi prostemu,
 Tem śmieiej, tem bezpieczniej, aby rozumiano,
 Że jej od nieba klucze i od piekła dano.

XXXIV.

Potem rycerz, bobkowem wieńcem ozdobiony,
Na tem marmurze z drugiej ukazał się strony;
Trzej inszy obok przy niem, na nich haftowane
I w kwiat złotej lilij szaty złotem tkane.
Przy nich lew, co zarazem rozgniewany godził
Na wspomniany brzydki dziw, poważnie wychodził.
Jedni na czołach mieli imiona pisane,
Drudzy u kraju szaty wierzchniej wyszywane.

XXXV.

Pierwszy, co swą utopił broń w brzuchu bestyjej,
Franciszkiem się mianował, król i pan Francyjej;
Maksymilian drugi, równy cnotom jego,
Rakuszanin, tuż podle Karła stał piątego.
Ten nienatkany gardziel przepędził zwierzowi,
Mężny, dość wspaniałemu czyniąc zamysłowi.
Z ręki Karła przeszła strzała ustalona
Piersi: krew ziemię broczy, gwałtem wytoczona.

XXXVI.

Na kudłatem lew grzbiecie miał to pismo swoje:
»Dziesiąty«; a za uszy dziw porwał oboje
I tak trząsł, gryzł, mordował, tak długo obracał,
Aż kości zdruzgotane wszystkie w niem namacał.
Uweselił się zaraz świat i strachy wszystkie
Za fraszkę miał, porzucił pierwsze złości brzydkie.
Lud się schodził im dalej, tem więcej już śmiały
I patrzył na śmierć zwierza jeszcze zadumiały.

XXXVII.

Tak Marfiza, jako trzej rycerze pragnęli,
Aby już dostateczniej zarazem wiedzieli,
Zrozumiawszy imiona, królów onych sprawy,
Co krwawe zdali się mieć z bestyą zabawy,
I czemu ją zabili i dlaczego ona
Świat zwodząc, potem ptastwu w pokarm zostawiona;
Patrzą na się, jeśliby który co z nich wiedział,
Aby tę historią zupełnie powiedział.

XXXVIII.

Wnet Wiwian wejźrawszy na Malagizego,
Który słuchał, a słowa nie mówił żadnego:
»Tobie tę historią powiedzieć potrzeba —
Rzecz — boć to łaskawe wiedzieć dały nieba,
»Co zacz te są osoby, co jako sztychami,
»Tak żartkami pożyli bestyą strzałami«.
Ten odpowie: »Przyszłych to macie obraz rzeczy,
»Których autora niemasz; Bóg je ma w swej pieczy.

XXXIX.

»Ci wszyscy, co imiona wydrożone mają
»W marmurze, w wiekuistej pamięci zostają
»I jeszcze ich świat nie miał: po sześćsetnem roku
»Z wysokiego spuszczeni przybędą obłoku.
»Cień na tej studniej jakiś on prorok prawdziwy
»Spraw ich przyszłych ukazał i wizerunek żywy,
»Prorok Merlin, za króla co żył angielskiego
»Artura, budowniczy żrzdół tak dziwnego.

XL.

»Ta bestya wynidzie z piekła onych czasów,
»Gdy granice stanowić będą pól i lasów,
»Gdy chciwa ludzka żądza pakta i pomiary
»Mieć zechce, cnocie, słowu nie dodając wiary.
»A chocia zrazu świata nie wzruszy wszystkiego
»I zostawi od jadów swych nieco wolnego,
»Ale potem różnych miejsc poturbuje siła
»I z bogatszymi będzie uboższych trudniła.

XLI.

»Od zaccęcia do wieku na potem przyszłego
»Więcej coraz przybywać będzie dziwu tego:
»Straszny, okrutny, wielki i nieporównany
»Rósć będzie, aż nakoniec zostanie skarany.
»Nigdy Piton, o którym napisano siła,
»Ani Hydra tak sroga i okrutna była;
»Żadna bestya i śmierć nie wydała temu,
»Coby szpetnością, złością równie był naszemu.

XLII.

- »Srogie mordy uczyni, miejsca nie zostawi
- »Wolnego, strachów różnych lud wszytek nabawi.
- »Mało to, mało macie z wydrożenia tego:
- »Więtsze grzechy popełni z uporu krnąbrnego.
- »Świat będzie gwałtu wołał i prętkich ratunków,
- »Na który głos, aby go zbawili frasunków,
- »Wynidą ci, których to czytacie imiona,
- »Jaśniejszy, niż Tytana zgrzybiałego żona.

XLIII.

- »Coby się srożej zstawił dziwowi brzydkiemu,
- »Królowi nie porówna żaden francuskiemu;
- »I słusznie, iż on przejdzie drugich w tej dzielności
- »Bo podobnego nie ma w cnotach i ludzkości.
- »Siła po zad w królewskiej powadze zostawi,
- »Wiele rozumem, męstwem swoim Frankom sprawi,
- »Na ostatek, jak wszelka światłość ustępuje
- »Słonecznej, tak on inszych dobrocią celuje.

XLIV.

- »Ledwie pierwszego roku zdobić jego skronie
- »Dopuszczą po obraniu królewskiej koronie,
- »Alpes przejdzie i wszystko w okrąg popustoszy,
- »Co potka, złamie, zwalczy, podłabi, pokruszy;
- »Tak słusznie i wspaniałem gniewem poruszony
- »Sprawi, że będzie przeszły sławie wstyd zniesiony,
- »Ozdobę francuskiemu narodowi wróci,
- »Z którym w nieprzyjaciółach zbytnią hardość skróci.

XLV.

- »Stamtąd się pomknie w pola kraju lombardzkiego
- »Z kwiatem młodzi przedniejszej królestwa swojego
- »I Szwajcary tak zetrze, tak pogromi snadnie,
- »Iż trząść porożem na myśl nigdy jem nie padnie.
- »Potem z kościołem bitwę i z Hiszpanem zwiedzie,
- »Do wstydu Florentczyka wielkiego przywiedzie;
- »Bo nad mniemanie wojsko tam zasię obróci,
- »Gdzie niedobyłą z gruntu fortecę wywróci.

XLVI.

- »Do wzięcia jej najlepiej będzie mu służyła
- »Ta broń, która bestyjej garła pozbawiła,
- »Broń twarda, ostra, mocna, godna uczciwości,
- »Co światu lubych dała przyczynę radości.
- »Nie wytrzyma jej żaden miecz i głośno działa,
- »Tył wnet każda chorągiew będzie podawała;
- »Wszystko ona powali, przekopy trupami
- »Wyrówna, przed nią miasta upadną z zamkami.

XLVII.

- »Takiej Franciszek mężnej dojdzie wspaniałości,
- »Jaką mieć ma monarcha nawiętszej możliwości;
- »Sercem wielkiem wielkiemu zrówna cesarzowi,
- »Roztropnemi dziełami zaś Annibalowi.
- »Macedończyk go szczęściem nie przewyższy swoim,
- »Choć Indy, Persy, Greki krwawem stłoczył bojem;
- »Szczodrobliwości dziwnej znaki poda takie,
- »Iż mu nie wydołają przykłady wszelakie«.

XLVIII.

To mówiąc Malagizy, wlał w wnich więtsze chęci,
 Że prosili, by drugich z wiecznych niepamięci
 Wyrwawszy, opowiedział przezwiski własnymi,
 Co mają straszny bój wieść z dziwy piekielnymi.
 Wnet Bernarda imieniem przeczytał pierwszego,
 W prorocत्वach Merlinowych nasprawiedliwszego,
 Bernarda, przez którego sławna Bibiena
 Tak będzie, jak jest piękna z Florencją Sena.

XLIX.

Żaden tam nie poprzedzi, żaden serdecznego
 Gismonda, Ludowika i Jana mężnego.
 Tu Gonzaga, ten drugi jest z Aragoniej,
 To Salwiat, wszyscy trzej głównemi bestyjej
 Są nieprzyjaciółami; po nich następuje
 Franciszek, ojcowskich zaś kroków naśladuje
 Federyk, a powinnych i zięcia blizkiego
 Ma w Ferrarzu, w Urbinie książęcia wielkiego.

L.

Z tych jeden, Gwidobalda syn zacny dobrego,
Nie chce rodzica wydać w wielkich cnotach jego;
Ottobon i Synibald z Fliszka tuż za niemi
Pędzą zwierza i razy mdlą coraz cięższemi.
Ludwik z Gazola puszcza tak miernie swe strzały,
Iż wszędzie w miększej szyi zarazem zostały,
Strzały, które mu Febus z łukiem dał złożonem,
Gdy go Mars przepasował mieczem ustalonym.

LI.

Esteńscy Herkulowie dwaj z Hipolitami
Gonią dziw za Gonzagą równemi stopami;
Przy nich Medici bieży i Hipolit trzeci,
Już go zdadzą się dopaść i trzymać za szczeci.
Juljan nie myśli być od nich pośledniejszy,
Ani Ferant od brata swego mniej rzeźwiejszy;
Andrzej Dorya z Sforcą tak chwały jest chciwy:
Nie życzy, by go człowiek miał poprzedzić żywy.

LII.

Zawołanej krwi bracia dwaj widzieć się dają,
Awałowie, co za herb twardą skałę mają,
A ta przyciska głowę Tyfeusa złego
Z nogami, które z węża są jadowitego.
O, jako siła srogich ran dadzą zwierzowi,
O czym przyszły wiek powie późnemu wiekowi:
Franciszek z Peskaryej to niezwykczony,
Drugi Alfonsa z Wastu imieniem okrzyknięty.

LIII.

Ale gdzieżem Konsalwa podział z Hiszpaniej,
Ozdobę i jedyną światłość Iberiej,
Którego Malagizy sprawy znamienite,
Potem szczodrośliwości wychwalał obfite?
Z Monferu był kompanem Wilelma onego,
Co też wzięła tęgi raz bestya od niego.
To ta trocha przeciwko silnej liczbie była,
Których ona pobiła i których raniła.

LIV.

Tak w ucielnym igrzysku między rozmowami
Po obiedzie zszedł jem czas temi zabawami;
A południowe słońce zaś oszukiwali,
Gdy obiciem promienie jego odbijali.
Więc dla niebezpieczeństwa uczynił obrony
Wiwian, rozsadzwszy lud swój w różne strony.
Po chwili kompania ona obaczyła
Pannę, co właśnie do nich naprost się śpieszyła.

LV.

A była to Hipalka, Frontyna dzielnego
Której hardy Rodomont wziął Rugierowego;
Goniła go, czasem łączy z prośbami miesząc,
Czasem szkaradne słowa z gniewu powtarzając.
Ale u niebacznego gdy nic nie sprawiła,
Rugiera w Agrymoncie szukać powróciła,
Dowiedziawszy się w drodze, nie wiem tam, od kogo,
Iż go u Ryciardyna zastanie młodego.

LVI.

Więc i miejsce wiedziała, bo tam razów wiele
Była i nawiedzała swoje przyjaciacie.
Naprost podle fontany żywej się puściła
I tam siedzących w kupie owej obaczyła.
Zdumieje się, a mądrze chcąc poselstwo sprawić,
Wolała się do czasu jeszcze z niem zabawić;
Poznawszy Bradamanty swojej rodzzonego
Zmyśliła, iż Rugiera nie znała żadnego.

LVII.

Do Ryciardyna mowy swoje obróciła,
Jakby właśnie posłana do samego była.
Ten zaś poznawszy pannę, przeciwko niej skoczy,
Pyta, czemu tak smutna, czemu mokre oczy
I źrenice dlaczego zapłakane miała,
Czy ją w drodze przygoda zła jaka potkała.
Ta, kędy Rugier siedział, bliżej przystąpiła
I głosem, aby sprawę zrozumiał, mówiła:

LVIII.

- »Twoja rodzona wieść mi konia rozkazała,
- »Co mu Francya równia w dobroci nie miała,
- »Którego ona waży, którego miłuje
- »I Fontynem jakimśi najczęściej mianuje.
- »I jużem we trzydziestu ponno milech była
- »Pod Marsylią, gdzie mi czekać naznaczyła;
- »Tam ona nie chcąc namniej w domu się zabawić,
- »Po kilku dniach i sama miała się też stawić.

LIX.

- »A takem swemu szczęściu powierzała wiele,
- »Takem na nie kazała i hardzie i śmieie,
- »Że mię, gdybym wymówki zażyła takowej,
- »Iż to koń jest kochany siostry Rynaldowej,
- »Nie miał nikt despektować i ważyć się tego,
- »Aby gwałtem wydzieriał to, co jej własnego.
- »Atom na Sarracena trafiła niecnotę,
- »Który takową przecię wnet zrobił robotę.

LX.

- »Wczoram i dziś cały dzień za zdrajcą biegala,
- »Abym prośbami twarde serce ubłagała;
- »Potem mię do łajania upór duży jego
- »Przywiódł, gdym zrozumiała grabię nieludzkiego.
- »Nakoniec odeściem go blisko stąd musiała,
- »Alem już zemdlonego z pracej, z ran widziała;
- »Bo się z jakimśi potkał mężem doświadczonem,
- »Który, tuszę, zemścił się mych krzywd w miejscu onem.«

LXI.

- Wstał Rugier na takowe Hipaliki mowy
I temi Ryciardyna prosi pilno słowy:
- »Za moje dzieła niech tę otrzymam nagrodę,
 - »Abym wetować jechał z tą panną jej szkody.
 - »Pozwól, iż sam pojadę, daj to prośbom mojem,
 - »Chceszli chętnego doznać przysłem sprawom twojem.
 - »Radbym widział rycerza co najprędzej tego,
 - »Co rozbójniczą ręką konia wziął cudnego.«

LXII.

Nieludzka chocia się rzecz zdała Ryciardowi
Dopuścić nowych trudów wdzięcznemu gościowi,
Ale iż go zapłatą zaklął swych dzielności,
Dał na wolą, takiej się dziwując śmiałości.
Wsiadł Rugier, kompanią pożegnawszy lubą,
Upewnia, iż się panna najdzie z swoją zgubą.
Ci zaś o jego męstwie sobie rozmawiali,
Które przypominając, aż się zdumiewali.

LXIII.

Hipalka gdy opodał od swych odjechała,
Już bezpieczniej wszystkę mu prawdę powiedziała,
Jako od tej umyślnie posłana do niego,
Która obraz w sercu swem ma cnót wielkich jego;
I namniej nie ujmując, z pilnością kończyła
Wszystko, jak Bradamanta zacna poruczyła;
A iż nie powiedziała u fontany tego,
Ryciard winien, co go tam miała obecnego.

LXIV.

Potem rzekła: »Ten, co wziął konia w drodze tobie,
»Ledajak, widzę, waży twoję przyjaźń sobie.
»»Powiedz — rzekł — gdy go ujrzysz, Rugierowi swemu,
»»Że się despektem karmię tem na wzgardę jemu;
»»A jeśli konia mieć chce, niechajże wie o tem,
»»Iż z wielkiem dobijać się musi oń kłopotem.
»»Rodomontem mię zową, którego dzielności
»»Światu tak jawne, jako słoneczne jasności.««

LXV.

Ledwie skry nie wypadły z oczu zapalonych
Rugierowi, gdy słuchał słów i wieści onych;
Gore gniewem i wszystek na twarzy płonieje
Stąd, że konia jedyne wojn wzięto nadzieje,
Stąd, że od przyjaciela dar był kochanego,
Stąd, że na większy despekt stało się to jego;
Zna zmazę na uczciwem, jeśli do pomszczenia
Chyżego nie uczyni zaraz pośpieszenia.

LXVI.

Prowadzi go Hipalka, namniej się nie bawi,
Tusząc, iż wedle myśli pomstę wnet odprawi,
I tam gdzie się dzieliły ścieszki, przyjechała:
Ta w równinę, ta w góry różną drogę miała.
Widzi z daleka miejsce, kędy zuchwałego
Pohańca zostawiła i konia swojego.
Przykrszą, ale zaś prostszą zaraz wziąć wołała,
Dalszą w bok porzuciwszy, choć równinę miała.

LXVII.

Tak chęć pomsty despektu Hipalkę rozpiera,
Iż złą ścieszkę dla większej prędkości obiera.
Już na garle zdrajcy sieć swemu obiecuje,
Już i Frontyna bierze, już wzgard swych wetuje.
Ale ten z Mandrykardem w pola się udawa,
Wciąż, jako z proce, leci ani omieszkawa;
Równinę gładką obrał i tak rączo idzie,
Że z Rugierem potkać się pewnie mu nie przydzie.

LXVIII.

Już byli nienawiści oba swe złożyli
Dla króla Agramanta, któremu życzyli
Dać posiłki naprędsze. Więc jako tej zwady
Z Doraliki nadobnej poniechali rady,
Wiecie o tem; teraz zaś, u źródła onego
Co było po odeściu Rugiera śmiałego,
Słuchajcie, gdzie Aldygier z Ryciardem zostali,
Aby zacząć Marfizę mile zabawiali.

LXIX.

Która porozumiawszy ich wolą, już była
Ubrać się po panieńsku chętnie pozwoliła.
Beł ubiór, co Lanfuzie między swemi dary
Magazeńczyk z Bajony posłał grabia stary;
A choć to rzadko zbroję z siebie zdymowała,
Szable nigdy od boku nie odpasowała,
Najrozkoszniejszą w ten czas płeć i członki swoje
Na ich prośby okrywa w białogłowskie stroje.

LXX.

Jak prędko jadąc z blizka Tatarzyn ją zoczył,
Co naprędzej dopaść jej z wielką chęcią skoczył,
Doralikę nagrodzić chcąc Rodomontowi
I tak spólnemu koniec uczynić gniewowi.
Nie wie, głupi, iż miłość gardzi frymarkami,
A szczerą wszelakimi brzydzi się targami;
Ani to jest podobna, aby nie żałować,
Gdy twoję wzięwszy, cudzą każeć kto miłować.

LXXI.

I tak, aby opatrzył Rodomonta swego,
A piękna Doralika była żoną jego,
Marfizę, iż męznego godną być najduje
Bohatyra, gwałtem wziąć zaraz się gotuje.
Mniema, że jej dostanie, jako pierwszej, snadnie,
Mniema, że i król z Sarce sam na to przypadnie.
Bez wszelakiego tedy wyzwał omieszkania
Rycerzów, których widział przy niej, do potkania.

LXXII.

Malagizy, Wywian, co we zbrojach byli,
Jako dla bezpieczeństwa straż swych zawodzili,
Porwą się z miejsca oba, bo tak rozumieli,
Że z tamtemi obiema razem czynić mieli.
Ale Afrykan dał znać, iż chce być w pokoju,
Podobieństwa żadnego nie czyniąc do boju.
Zaczem już pojedyńkiem przydzie z nich któremu
Przeciw Mandrykardowi stanąć też jednemu.

LXXIII.

Wiwian zaraz męską uczynił ochotę,
Iż odprawić gotów był takową robotę;
Najokrutniejszą wzięwszy kopią prostuje,
Niemniejsze, jak Mandrykard, serce ukazuje.
Mierzą i znaczą oba, gdzieby uderzenie
Z większem niebezpieczeństwem swe wzięło zemszczenie.
O hełm pogański drzewo Wiwian swe skruszył:
Nie jeno go nie zrzucił, ale ani ruszył.

LXXIV.

Sarracen, potężniejsza co jest jego siła,
 Stłukł tarcz Wiwianowę, jakby z lodu była,
 I z siodła go wyrzucił; ten na ziemię leci,
 Zostaje między kwieciami w trawie bez pamięci.
 Malagizy próbować szczęścia chce lepszego
 I zemścić się despektu, bólu, krzywdy jego.
 Cóż potem: ledwie drzewo złożył, ledwo skoczył,
 Zaraz się w kompaniej przy swem bracie zoczył.

LXXV.

Wsiadł był przedtem na konia Aldygier surowy,
 Ich stryjeczny, we zbroi, do bitwy gotowy.
 Tych dwu na ziemi widząc, popuścił koniowi
 I z drzewem leciał żartko ku Mandrykardowi.
 Z szyszaka wypadł głośny dźwięk uderzonego,
 Bo też trafił, jako chciał, króla tatarskiego;
 Drzewo na czworo złamał, trzaski precz leciały:
 A ten nienaruszony, a ten został cały.

LXXVI.

Ale Mandrykard z boku uderzy lewego;
 A iż od bohatera raz był potężnego,
 Żadnej tarcz, żadnej zbroja pomocy nie dała,
 Raczej, jak skórka jaka, subtelna się zdała.
 Srogi grot przeszedł ramię Aldygierejowi,
 On ku bliższemu z konia spadł wnet pagórkowi.
 Zbroja krwią opłynęła: tak się gwałtem leje,
 Twarz zbladła, słabe zdrowia zostają nadzieje.

LXXVII.

Z taką młody Ryciaryn biegł zapalczywością,
 Bólem i srogą brata wzbudzony litością,
 Aby ukazał, jak więc często ukazował,
 Że się francuskim słusznie księżciem mianował.
 Czego na ten czas pewnie doznałby był śmiały
 Mandrykard ani z placu zjechałby mu cały:
 Koń szwankował, niestetyż, nieszczęście tak chciało,
 Co mu paść, jego srodze przycisnąć kazało.

LXXVIII.

A kiedy już nie widział rycerza żadnego
 Tatarzyn, coby skusić z niem śmiał szczęścia swego,
 Mniema, iż wiecznej godne chwały jego siły
 Słusznie tak pięknej dziewczki panem go czyniły.
 »Kiedy niemasz — mówi jej — rycerza takiego,
 »Coby za zdrowie twoje wsiadł na konia swego,
 »Moja jesteś, o panno: prawa i wolności
 »Żołnierskie same mi w moc dają twe wdzięczności«.

LXXIX.

Podniwszy bohaterka wzrok z twarzą wstydlivą:
 »W jednym się mylisz — rzekła — w drugiemś prawdziwy.
 »Tak jest, jużbych ja twoją była prawem wojny —
 »Widziałam twoje męstwo i coś czynił zbrojny —
 »Gdyby którykolwiek z tych, coś ich zrzucił z koni,
 »Mojem był i swej dla mnie dobył na cię broni.
 »Wiedz, żem wolna, i to wiedź, żem jest własna swoja:
 »Mnie odemnie wzięć ręka niech spróbuje twoja!

LXXX.

»Szablą, tarczą, kopią umiem i ja robić,
 »Zsadzać z koni rycerzów, męstwo siłą zdobyć
 »Nie nowina mi. — Drzewo i konia mego
 »Daj!« — gniewliwa na giermka krzyknęła swojego.
 Suknię i białogłowski strój długi zdejmując,
 Ozdobę dużych członków, mężna, ukazuje,
 Członków, co wyrażały Gradywa samego,
 Prócz twarzy Kupidowej, wzroku niebieskiego.

LXXXI.

Już zbrojna miecz do boku swój przypasowała,
 Chyżej nad podziwienie na konia wsiadała,
 Tam i sam obracając, ostrogami kole,
 Zawściaga i w szerokie wypuszcza go pole.
 A potem Mandrykarda wyzywa hardego,
 Drzewo kładzie okrutne do toku dużego;
 Tak Achillesowego męstwa próbowała
 Pentesyilea, kiedy Trojeji pomagała.

LXXXII.

Po same gałki, jak szkło, drzewa się strzaskały,
 Ostatki pod obłoki skrami poleciały;
 Mocno Mandrykard w siedle, mocniej siedzi ona,
 W zad nie była o jeden palec poruszona.
 Patrzy Marfiza, jeśli pohaniec zuchwały,
 Co siłą swą dopiero tak być okazały,
 W ściślejszem wojny skusić będzie chciał sposobie,
 Aby skoczyła z mieczem k niemu w onej dobie.

LXXXIII.

Ten żywioły niezbożnik przeklina i nieba,
 Widząc, iż w siedle siedzi panna, jako trzeba.
 Ta zaś, co mu tarcz przeszyć mocą wielką chciała,
 Iż cała, markotno jej i przykro łajała.
 Oboje szabel chyżo od boków dostali
 I ciężkie po swych zbrojach razy zadawali,
 Po zbrojach, co ich ciała wkoło otoczyły,
 Aby najostre bronie szkody nie czyniły.

LXXXIV.

Jeśli u tej blach mocny, i u tego duży,
 Żaden miecz, żadne drzewo przebić go nie służy;
 Choćby dwa dni, złożywszy, oboje się bili,
 Najmniejszej szkody pewnie by nie uczynili.
 A syn też Ulienów w pośrzodek ich wpada,
 Krzyczy na Mandrykarda, iż winę przepada;
 Bo jeśli boju pragnie, on pierwszy do niego,
 Co słuszne ma przyczyny mścić się żalu swego.

LXXXV.

»Ale w pokoju dotąd, wszak wiesz, być musimy,
 »Aż królowi posiłki swemu uczyniemy,
 »I inszej strzedz wszelakiej powinniśmy zwady:
 »Te pakta, takie wspólne czyniliśmy rady«.
 To rzekszy, wnet Marfizę, skłoniwszy, przywita,
 A poselstwo od króla Agramanta czyta;
 Przypomina zarazem ustne posła mowy,
 Nad ich wojskiem upadek jak już jest gotowy.

LXXXVI.

Potem prosi nie tylko, aby opuściła
 Gniew słuszny, ale żeby siły z ich złączyła
 I ku wielkiemu zaraz biegła obozowi,
 Aby śpieszniejszy dał się ratunek królowi,
 Gdzie sławę nieśmiertelną aż do nieba wzniesie,
 Gdzie godne dzieł wspaniałych podarki odniesie;
 Czego przez terażniejszą spórkę mieć nie będzie,
 Choć nieprzyjacielowi na garle usiedzie.

LXXXVII.

Wspaniała bohaterka, co zawsze życzyła,
 Aby z francuskim próbę wojskiem uczyniła,
 I to samo z daleka pędzi ją w te kraje,
 Pragnie widzieć strój, męstwo, ludzkość, obyczaje
 I jeśli z prawdą sława słusznie się zgadzała,
 Co o męstwie francuskim siła powiedała,
 Więc słyszy, iż król zjęty strachy ostatniemi;
 Zaczem jechać w tę drogę już pozwala z niemi.

LXXXVIII.

Rugier tem czasem w góry bieży zapalczywy,
 Jak prowadzi Hipalka, pomsty prędkiej chciwy;
 A widząc, iż daremną drogę tędy czyni,
 Gryzie się i nieszczęście zjadły swoje wini.
 Poznał, iż równą ścieszką po onej fontanie
 Udał się i pewnie tam rozbójcę zastanie.
 Powraca, bieży za niem, napadł na ślad nowy,
 Którym Rodomont jachał dopiero surowy.

LXXXIX.

Życzy, aby na Jasną Górę powróciła
 Hipalka, skąd dzień jazdy jeden uczyniła.
 Bo gdyby do fontany z nim na zad jachała,
 Siła i barzo siła z drogiby już miała.
 Potem rzekł: »Namniej nie wątp: konia mieć będziemy,
 »Jeśli zdrajcę gdziekolwiek w miejscu zaskoczemy;
 »O czem lubo to ja sam, lubo też kto iny,
 »Niezapługoć pocieszne przyniesie nowiny«.

Dał jej i list, co pisał czasu niedawnego,
Tusząc, iż będzie skrycie Bradamancie jego
Oddany; nadto ustnie powiada jej siła,
Prosząc, aby go szczerze przed nią wymówiła.
Hipalka w swej pamięci wszystko, co rzekł, chowa
I tak lube poselstwo sprawić jest gotowa;
Żegna go i obraca ręczko konia swego,
Żeby mogła być w domu wieczora przyszłego.

XCI.

Rugier za Rodomontem bieży uznojony
Jego śladem i w tamte, gdzie powrócił strony;
Ledwie fontany postrzegł, alić i samego
Z Mandrykardem u źródła obaczył chłodnego.
Ci obadwa, jakom rzekł, obiecali sobie
Pokój ani się więcej wadzić w onej dobie,
Ażby Agramantowi pomoc uczynili
I od namiotów jego Karła odpędzili.

XCII.

Zaraz poznał Frontyna zacny Rugier swego,
Jeszcze prędzej, co na nim siedział, pana jego;
Złoży drzewo straszliwe i krzyknie surowy,
Aby słysząc Afrykan, bić się był gotowy.
Rodomont wiele, wiele w ten czas czynił z siebie,
Bo kwoli tej ani chciał mężnem być potrzebie,
I tak uskromił baczny sierdżistości swoje,
Iż był, jak głuchy, krwawe chociaż lubił boje.

XCIII.

Pierwszy to i ostatni był ten dzień, którego
Nie wszedł, wyzwany, w szranki Marsa ogromnego.
Tak go uczciwa żądza piecze i zdejmuje,
Tak zapomnieć wspaniałych gniewów rozkazuje,
Że choćby miał po wolej Rugiera mężnego,
Jako lampart w pazurach zająca lichego,
Nie zabawiłby nad niem swych sił i dużej,
Aż królowi oddawszy własne powinności.

XCIV.

Przydam jeszcze, iż wiedział, jako dla swojego
Rugier z niem pragnął bitwy Frontyna dzielnego;
Słyszał często, jako był rycerz doświadczony
I co w krwawych zabawach czynił odważony;
Słyszał, jak jego sława w górę pod obłoki
Wybiwszy, napęliła i ten świat szeroki.
Teraz z niem nie chce wojny, zbrania się potkania
I jedzie do obozu dla ratunku dania.

XCV.

Tysiąc mil biegłby pewnie on czasu inszego
Zakupić okazyą igrzyska takiego;
Dziś, Achilles choćby go wyzywał serdeczny,
Zostałby, jako Rugier, od niego bezpieczny.
Okrutnych gniewów uśpił tak twardo płomienie,
Iż na żaden nie czułby wrzask i uderzenie;
Przyczyny, czemu nie chce bić się, Rugierowi
Powieda, prosząc, by z niem biegł ku obozowi.

XCVI.

Bo jeśli to uczyni, wielką przy ozdobie
Zjedna u króla swego wiarę, sławę sobie;
Którego kiedy wyjmą prędko z obleżenia,
Wolne pole, wolny plac najdą do czynienia.
Rugier mówi: »Przypadnę snadno do wszystkiego
»I z wami zaraz jadę do wojska naszego,
»Byśmy Trojanowego ratowali syna,
»Jeno wprzód chcę, abyś mi tu wrócił Frontyna.

XCVII.

»Sam przyznasz, żeś rzecz męża niegodną dobrego
»Uczynił, mdłej dziewczynie wzięwszy konia mego,
»Dziewczynie, która jakoż bronić ci go miała,
»Gdy cię niespodziewanie zbrojnego potkała?
»A jeśli chcesz, abyśmy bitwę odłożyli
»I przymierze do czasu tu postanowili,
»Daj konia, bo inaczej ja tu umrzeć wolę,
»A na zgodę namniejszą z tobą nie pozwolę«.

XCVIII.

Gdy Rugier z Afrykanem wiedzie spór takowy,
Aby konia dał abo bić się był gotowy,
Ten zaś zwłócząc, wymówek tysiąc pokazuje,
Którymi bohaterów gniew już, już ujmuje,
Z drugiej strony Tatarzyn przypadł rozgniewany,
Iż tarczą Rugierową zdobył malowany
Ptak, co inszem wspaniały poważnie króluje,
A Rugier go za swój herb świata ukazuje.

XCIX.

W polu błękitnem Rugier miał orła białego.
Trojanie zażywali przedtem herbu tego;
A iż wiódł od Hektora ród swój zawołany,
Nosił go jako swój znak przywilejowany.
O czym Mandrykard hardy nie wiedząc, wyzywa
Rugiera i wielkiem to despektem nazywa,
Aby kto inszy herbu miał zażywać tego,
Który on od Hektora ma namocniejszego.

C.

Miał też Mandrykard ptaka, co Ganimedowi
Uczył w porwaniu gwałt kwoli Jowiszowi,
A wziął go pod fortecę za wielkie nagrody
Cnoty, niebezpieczeństwa i na zdrowiu szkody.
Wiedzie o tem z drugimi już historyami
I jako prorokini z wielkimi chęciami
Dała mu go przy dużej zbroi Hektorowej,
Co pracą boskiej ręki była Wulkanowej.

CI.

Już po kilkakroć przedtem o to się wadzili,
Końca burdom dla przeszkód różnych nie czynili;
Kto ich rozwadzał, godził kto zapalczywości,
Podano to do waszej dawno wiadomości.
Atoli do zjechania nie przyszło spólnego,
Aż teraz, kiedy Rugier konia szukał swego;
U którego Mandrykard, jako ptaka zoczył,
Zgrzytając, z tak przykreimi zaraz słowy skoczył:

CII.

»Widzę, że z herbem znak mój nosisz, uporczywy;
»A już to po kilkakroć, zgody spólnej chciwy,
»Dawałem ci przestrozę, ty zaś, jak szalony
»I na swoje nieszczęście marnie odważony,
»Swą porzesz anić serca uporu dużego
»Nie wypędziły groźby me do czasu tego.
»Więc mi przydzie ukazać, jako z lepszym twojem
»Uczyniłbyś, nie gardząc rozkazaniem mojem«.

CIII.

Jak rozpalona głównia na małe dmuchnienie
Oczywiście gwałtowne uczyni płomienie,
Tak sprawiedliwym gniewem Rugier zapalony
Odpowie, fuki przykre usłyszawszy ony:
»Wierę, ty mniemasz, że ja z tem w krwawej potrzebie
»Czas jaki życząc strawić, będę się bał ciebie?
»Doznasz wnet, jako konia zdołam odjąć temu,
»A Hektora sławnego tarcz tobie samemu.

CIV.

»Jużem ja szczęścia z tobą próbował swojego
»I miałem cię po wolej czasu niedawnego;
»A żeś szable u boku w ten czas nie miał swojej,
»Strzymałem się i szyje nie uciąłem twojej.
»Teraz, żeś dał przyczynę słusznemu gniewowi,
»Zabieś, twój ptak memu ustąpi orłowi,
»Bo to jedyny dawno znak domu mego:
»Ty go przywłaszczasz darmo, a nic ci do niego«.

CV.

Na takową Tatarzyn mowę zajątrzoną
Zaraz dobywa broni, którą był szalony
Orland przedtem porzucił w lesie zagęścionem,
A on zdrady fortelem załapał ją nowem.
Rugier, co zawsze zwykł być serca wspaniałego,
Iż Mandrykard do miecza ma się tylko swego,
Zsiadłszy z konia, swe drzewo na drodze porzucił,
A do swej namocniejszej szable się też rzucił.

CVI.

Rzucił się i we mgnieniu oka jej dobywa,
Szable swej, Balizardą którą on nazywa;
Ale Afrykan wespół z Marfizą się wdali,
Pojedynek tak straszny aby rozerwali.
On Tatarzyna, ta zaś Rugiera porwała
I obudwu o pokój uprzejmie żądała,
A Rodomont narzeka, iż postanowienie
Mandrykard dwakroć złamał i zawiódł sumnienie.

CVII.

Wprzód, gdy zwadę z Marfizą niepotrzebną czynił,
Ustawę znieważywszy, aż nazbyt przewinił;
Teraz, o łaskę króla iż mało dba swego,
Dał znać, Rugiera darmo turbując śmiałego.
»A jeżeli warchołem — mówi — już chcesz zostać,
»Nasze spórki skończmy wprzód, którym ja chcę sprostać,
»Spórki nad insze wszystkie, wiesz dobrze, słuszniejsze,
»Co je nam zatrzymały ustawy późniejsze.

CVIII.

»Takiemi przyrzekliśmy pokój i przymierze
»Przysięgami i taki zakład wspólnej wierze
»Daliśmy, iż jak prędko odprawię się z tobą,
»Ja i Rugier o konia mamy czynić z sobą.
»Potem jeśli co zdrowia z tej potrzeby zbędzie,
»Bić się z niem o swoją tarcz praca twoja będzie.
»Ale się ja spodziewam i pewniem tego,
»Że ode mnie weźmiesz dość, nie trzeba drugiego«.

CIX.

»Czem mi grozisz, odniesiesz pewnie sam na sobie —
Odpowie mu Mandrykard — wygodzę ją tobie:
»Od stopy aż do czoła zapocisz się, tuszę,
»Jak na cię doświadczonej swojej broni ruszę;
»Weźmiesz za swe, spróbujesz samą rzeczą tego,
»Jeśli siłę i siebie znam dobrze samego.
»A jako w żywym źródle nie ubywa wody,
»Tak zdołam ostatniej wam być przyczyną szkody«.

CX.

Przykre mi słowy gdy tak na się nacierali,
Gniewy, fuki łajania co raz odnawiali.
Sam Mandrykard ze dwiema bój chce wieść zarazem,
Świszczy, błyska, straszliwy, swem ostrem żelazem.
Rugier, co we zwyczaju nie miał krzywd połykać,
Nie myśli o pokoju, chce się wnet potykać.
Marfiza srogie rozwieść swary usiłuje:
Prosi ich, trzyma, woła — daremnie pracuje.

CXI

Tak więc chłop, kiedy rzeka wylała brzegami,
Inszej ścieżki szukając, nowemi drogami
Broni, najutrapieńszy, czem i jako może,
Choć nawałności mało gwałtownej pomoże;
Bo ta, jak wściekła, bieży, uparcie się gniewa,
Rwie, psuje, wali łąki i zboże zalewa;
On tu robi i dużo nieborak tamuje:
Ta z większą szkodą insze gościńce najduje.

CXII.

Gdy tak Rugier, Mandrykard i Rodomont śmiały
Swarzą się i bój chcą zwieść już, już okazały,
Ten nad tego swe męstwo i swoje dużości
Wysławia, a wszystkim trzem przybywa śmiałości,
Marfiza szuka takiej tem czasem pogody,
Aby ich pojednawszy, przywiodła do zgody.
Ale czas traci marnie, próżno się strofuje:
Nigdy serc nie porówna, w których gniew panuje.

CXIII.

Życzy Marfiza zacna pojednać ich gwałtem
I wszelakiem stara się sama o to kształtem;
Krzyczy: »Słuchajcie mojej porady, panowie:
»Idzie tu o uczciwe i o wasze zdrowie;
»Gdy królowi posiłki wspólne uczyniemy,
»Do gniewów naszych znowu wrócić się możemy.
»Bo i ja z Mandrykardem chcę mieć swoje wojny
»I ujrzę, weźmieli mię, jak rzekł, mocą zbrojny«.

CXIV.

»Pomoc Agramantowi byśmy dali swoją,
 »Chęć i wolą obracam ja sam na to moje
 »I nie przeczę — rzecze jej Rugier zawołany —
 »Ale wprzód chcę, mój Frontyn aby był oddany:
 »Albo mi konia zaraz niechaj wróci mego,
 »Albo zdrowia w tem polu pozbędzie swojego.
 »Na własnem koniu jechać chcę ku obozowi,
 »Lub tu zostać, ratunku nie dając królowi«.

CXV.

Odezwie się Rodomont: »Otrzymasz to snadnie:
 »Przy śmiałości mam serce, co na to przypadnie.
 »Ale też moja szczerość w tem się protestuje,
 »Iż jeśli jaką szkodę król z wojskiem uczuje,
 »Z twej przyczyny wszystko jest i z uporu twego,
 »Bom ja gotów uczynić to, co słusznieszego«.
 Rugier słów i porady onej zaniedbywa,
 Gniewem wzruszony srogiem, szable swej dobywa.

CXVI.

I rzuca się na króla z Algieru dużego
 Kształtem wieprza, gdy gniewy wypuści, dzikiego;
 Tarczą ciężką tak gęsty raz daje i srogi,
 Iż mu z strzemion musiały obie wypaść nogi.
 Woła Mandrykard głosem: »Przestań, uporczywy
 »Rugierze, albo wojny jeśliś tak jest chciwy,
 »Ze mną czyń!« Poczem zdrajca, to mówiąc, poskoczy
 I tnie go w wierzch szyszaka co z największej mocy.

CXVII.

Aż na kark głowę schylił Rugier konia swego
 I wznieść jej prędko nie mógł z uderzenia tego.
 Rodomont z drugiej strony zaraz poprawuje,
 Straszne w szyszaku jasnem znaki zostawuje;
 Ale ten, że był mocny, jak dyamentowy,
 Nie zaszkodził mu wiele Rodomont surowy.
 Rugier się zapomniawszy, z lewej ręki wodze,
 Z prawej wypuścił szablę i leży na drodze.

CXVIII.

Nosi go koń po polu, namniej sił nie czuje,
 Na ziemi Balizardę ostrą zostawuje.
 Marfiza, co tego dnia swe serce do niego
 Skłoniła, pała gniewem, boju chce krwawego.
 Żal jej, iż sama jedna w pokoju została,
 Drugich, nie dobywając broni, rozwadzała.
 Do Mandrykarda ręczo na swem koniu skoczy
 I dużo w łeb trafi go, właśnie między oczy.

CXIX.

Rodomont za Rugierem bieży zapalczywy
 I już, już go dopadał Frontyn, co biegł chciwy.
 Postrzegł Wiwian zaraz i Ryciarydyn młody,
 Iż niefortunny Rugier nie ujdzie przygody;
 Rzucą się: Rodomonta ten porwie zjadłego,
 Drugi swą broń podaje własną w ręce jego.
 On też z lekka do siebie tem czasem przychodzi
 I rozdrażniony, krwawe igrzysko zwieść godzi.

CXX.

Ledwie przyszedł do siebie kęs Rugier zemdlony,
 Poznawszy, iż mu szable dodał odważony
 Wiwian, zdrady się mścić i krzywdy napiera,
 A w śmiałość przyrodzoną swe serce ubiera.
 Tak zwykł lew, gdy rogami byk najduższy swemi
 Podniesionego ciśnie i na twardej ziemi
 Zostawi; ten przed wstydem nie czuje boleści,
 W gorliwej rozedrzeć go chce popędliwości.

CXXI.

Cięższe coraz powtarza po szyszaku razy;
 Ale ten, co się żadnej nie obawia skazy
 Od szable, zwłaszcza prostej, głowy pana swego
 Broni, bo na początku Rugier boju tego,
 Jakom powiedział, miecz swój upuścił kochany,
 Któremu ani zbroja ani hecowany
 Nie wytrzymałby paiz i sama przyłbica
 Babilonu i wieże wysokiej dziedzica.

CXXII.

Niezgoda rozumiejąc, że tam nic inszego
 Prócz swarów być nie może i boju straszniego,
 A przymierze z pokojem miejsc nie będą mieli
 W zajątrzonych wnętrznościach, by najbarziej chcieli,
 Mówi siostrze: »Już odyść możemy bezpiecznie:
 »Miłość tu, śmiem upewniać, nie postoi wiecznie.
 »Niech idą, my się jeszcze do bitwy wrócimy
 »I komu był życzliwszy Mars, szczerze powiemy«.

CXXIII.

Tak przykre, tak straszliwe i ostatniej siły
 Rugierowe na on czas uderzenia były,
 Iż Rodomont łbem w siodło uderzy chudzina
 I lecąc, twardą zbroją przycisnął Frontyna.
 Po trzy, po cztery razy już spaść nakłoniony,
 Ledwo się mógł pokrzepić, gwałtownie zemdlony;
 Nakoniec miecza z ręki pozbyłby ostrego,
 Ale bronią temlaki z sznura jedwabnego.

CXXIV.

Tem czasem zaś Marfiza Mandrykarda swego
 Obraca: pot się leje z twarzy, z czoła jego.
 Wygadza on jej wzajem i niemniej dokucza,
 Co to jest z mężem walczyć, białą płęć naucza.
 U obojga tarcz, zbroja, szyszak doświadczony
 Strzeże ran, broni głowy, piersi z każdej strony.
 Tak w równym męstwie ponno dłużejby swe siły
 Pokazowali, ale konie przeszkodziły.

CXXV.

Przykry Marfiza swoim obrót uczyniła
 Na łące, co z niedawnych deszczów mokra była;
 Ten się pośliznął i padł srodze w onej dobie
 Ani ratunku mógł dać najmniejszego sobie.
 Bo gdy się poprawował i ledwo podnosił,
 Kilkoro uderzenia raz po raz odnosił
 Od Bryljadora, którem z boku przeciwnego
 Natarł gruby Mandrykard i serca dzikiego.

CXXVI.

Rugier, kiedy Marfizę ujrzał we złem razie,
 Skoczył, Tatarzynowi chcąc być na przekazie.
 Miał po wolej, bo jeszcze nie przyszedł do siebie
 Rodomont, jako w łeb wziął od niego w potrzebie,
 I tak uderzył w szyszak Mandrykarda srodze,
 Iż wnet ogłuszonego zostawił na drodze;
 Rozciąłby go był pewnie w te czasy na dwoje,
 By miał swą broń, a on tak dużej nie wdział zbroje.

CXXVII.

Iak ze snu otrzeźwiawszy z Algieru król srogi
 Przeciera wzrok, obraca żrzące koło drogi;
 Ujrzy Ryciarda i wnet przypomina sobie,
 Iż dla niego o mały włos nie został w grobie,
 Gdy miecza Rugierowi pożyczył własnego.
 Dla pomsty z wielkiem gniewem poskoczył do niego
 I skarałby był pewnie; ale z nowej rady
 Malagiza wnet one rozerwano zwady.

CXXVIII.

Tak on był w czarnoksięskiej nauce wyćwiczony,
 Iż mu żaden nie zrównał wieszczek nauczony;
 A chocia ksiąg i pisma nie wziął z sobą swego,
 Którem promienie słońca stanowi jasnego,
 Przymuszaniem tylko swem, dziwnymi słowami
 Ma moc i władzę wielką w piekle nad djabłami,
 Kazał, by jeden w konia Doraliczynego
 Wszedłszy, do szaleństwa go pobudził jakiego.

CXXIX.

W koń spokojny, na grzbiecie którego siedziała
 Doralika i bitwy skończenia czekała,
 Wszedł jeden duch niecnota z piekielnej ciemności
 I rozmaitych wnet się jął rozpościerać złości.
 Bo co przedtem o żadnych narowach nie wiedział,
 Prócz iż cichy wolno szedł, gdy kto na niem siedział,
 Teraz strasznych uczynił kilkanaście skoków,
 Wzdłuż na trzydzieści, a wszerz na szesnaście kroków.

CXXX.

Duże było porwanie; przecię z siodła swego
I z konia Doralika nie spadła durnego.
Krzyczy, o zdrowiu żadnej nadzieje już nie ma,
Że ją z wysoka głupi szkapa zrzuci, mniema.
Ten bieży, od piekielnych furyj przymuszony,
Jakoby od samego djabła był niesiony.
Już jej głosu nie słysząc: nigdy, nigdy strzała,
Z cięciwy wypuszczona, prędzej nie leciała.

CXXXI.

Cudem Rodomont takim srodze przerażony,
Przystał bitwy i na głos, gdzie biegł koń szalony,
Ratować Doraliki pojechał zarazem;
Marfizie, Rugierowi już też swem żelazem
I Mandrykard nie szkodzi: puszcza się w też tropy.
Gdzie szkapa opętany ślad niósł lotnej stopy.
Pokoju i przymierza z sobą nie czynili:
Tak się rączo ci oba za nią obrócili.

CXXXII.

Z ziemie Marfiza mokrej na ten czas wstawała,
Serdecznem żalem wszytka i gniewem pałała;
Myśli pomstę uczynić, ale ją omyli,
Bo Rodomont w dziesiątej ledwie nie jest mili.
Rugier, co taki koniec wojny wspólnej widzi,
Gryzie się, ryczy, jak lew, sam się siebie wstydzi.
Niepodobna, by miały dogonić ich konie
Bryljadora z Frontynem: tak są w różnej stronie.

CXXXIII.

Rugier wojny poprzestać o konia swojego
Z Rodomontem nie myśli, aż dowiedzie swego;
Z Tatarzynem Marfiza nie chce się rozjechać
I bitwy, aż go lepiej sprobuje, poniechać.
Bo opuścić byłoby coś nieuczciwego:
Wzięli przyczynę wzgardy, despektu jawnego.
Na koniec taką sobie radę wspólni dali,
Aby za winowajcy zarazem jechali.

CXXXIV.

A lub to aż w obozie, nie zjadą się z niemi,
Gdzie dla posiłku dania pobiegli z drugiemu,
Chcąc króla francuskiego złamać zbytnie siły,
Od którego ich wojska oblezione były,
Pozwalają udać się tam i bronić sławy,
Prawą drogę obrali i gościniec prawy.
Rugier wprzód jachać nie chce, ażby do swojego
Towarzystwa przemówił słów kilka miłego.

CXXXV.

Wrócił się i na stronę wzięwszy Ryciardota,
Prosi, by mu nie ciężka była ta robota,
Rodzoną swoją żeby pozdrowił od niego;
On też w szczęściu, w nieszczęściu zawsze chce być jego
I na każdą przygodę, przypadek wszelaki
Dozna, że mu życzliwy, dozna, że jednaki.
A to czynił tak mądrze Rugier nauczony,
Iż żaden podejrzenia znak nie był wniesiony.

CXXXVI.

A potem Wiwiana i Malagizego,
Aldygierę przy nich pożegnał chorego
I tem się z posługami swemi ofiaruje,
Ochotnem na potrzeby ich być obiecuje.
Do obozu Marfiza tak się zaś śpieszyła,
Iż za chęci dziękować braciej zobaczyła;
Ale oni śpieszno ją oba dogonili,
Swą ludzkość i powinny pokłon oświadczyli.

CXXXVII.

Toż Ryciardot uczynił; a Aldygier ranny
Leżał i nie mógł, choć chciał, mężnej żegnać panny.
Do Paryża wszyscy się naprost obrócili,
Tak ci, co Doralikę z jej koniem gonili,
Jako Rugier z Marfizą — ale przydzie potem
W drugiej pieśni powiedzieć dostateczniej o tem;
Atoli z wielką szkodą rycerstwa naszego
Ci czterej do obozu przybyli swojego.

KONIEC PIEŚNI DWUDZIESTEJ SZÓSTEJ.

PIEŚŃ DWUDZIESTA SIÓDMA.

ARGUMENT.

Rodomont z Mandrykardem, gdy nie dogonili
Doraliki, prosto się do wojska puścili,
Gdzie z Marfizą przybywa Rugier doświadczony,
Karła gromią, on w Paryż uchodzi przestrony;
Potem dawne urazy przypomniawszy swoje,
W pojedynkach krwie ciepłej przykre leją zdroje.
Rodomont precz odjeżdża, serce mu żal kraje:
Gardzi niem i w pośmiech go Doralika daje.

ALLEGORYE.

W t j dwudziestej siódmej pieśni przez bohaterów z wojska Agramantowego przedniejszych, którzy zostawszy zwycięzcami, w pokoju i w próżnowaniu do domowej obrócili się niezgody, widzieć się jawnie daje, jako wielcy królowie i hetmani po wielu wspaniałych imprezach zbytniem próżnowaniem opojeni, domowemi częstokroć upadali rozruchami.

SKŁAD PIERWSZY.

Nierozmyślne porady lepsze zawdy były
Białej płci, z którymi się mało co biedziły;
Łaskawe za jakiś dar dały jem to nieba,
Iż prędko ratować się mogą, kiedy trzeba.
U mężczyzny zaś rozum częściej płochy bywa,
Jeśli się nań z rozmysłem pilnem nie zdobywa;
I gdy co bez uwagi czynić chce zacnego,
Zbłądzi, a sprawa skutku nie weźmie dobrego.

II.

Zdał się dobry postępek ten Malagizemu,
Przez który bratu pomódz myślił stryjecznemu;
Bo się, jakom powiedział wyżej, przeląkł srodze,
W niebezpieczeństwie nagłem widząc go i w trwodze,
Gdy rozkazał piekielnych djabłów co gorszemu
Rodomontowi zadać, także tatarskiemu
Królowi kłopot jaki, któremby do swego
Pociągnął ich zarazem obozu wielkiego.

III.

Ale, by był na to się rozmyślił statecznie —
Wszyscy uwierzyć temu możemy koniecznie —
Dałby on i ratunek słuszny bratu swemu
I wojsku nie szkodziłby tak srodze naszemu.
I mógł bezpiecznie zaraz rozkazać duchowi,
Aby albo na zachód albo ku wschodowi
Zaniósłszy Doralikę, w tych kątach zostawił,
Gdzie prócz skazy Francyej wołaby swą sprawił.

IV.

Już to nieopatrznością stało się tak jego
I wierę tu rozumu nie zażył ostrego;
Bo pewnie ci rycerze tamby ją gonili,
Paryż od przykrej klęski wolny ostawili.
Albo też złość, na ziemię z nieba wypędzona,
Krwia, ogniem, porażkami co bywa karmiona,
Sprawiła to, że Karzeł i lud wszytek jego,
Zbity, musiał ustąpić do miasta swojego.

V.

Szkapa, który diabła miał jeszcze w swoim boku,
W tak zapędzonem poniósł Doralikę skoku,
Iż go rzeka gwałtowna, las, przekop szeroki
Nie hamuje; wyniósł ją prawie pod obłoki.
A pierwiej nie zawściągnął polotnego biegu,
Aż Sekwany głębokiej dopadł rączy brzegu,
Minął wojska francuskie, hetmana szockiego
I stanął przy namiocie króla granackiego.

VI.

Mandrykard z królem z Sarce długo ją gonili
 Dnia onego, ale cóż, gdy nic nie sprawili.
 Ledwie z daleka, ledwie tył sam upatrują,
 Potem cień konia i jej sobie ukazują.
 Nakoniec w mgnieniu oka kiedy ją zgubili,
 Jako psi, co się zwierza szukać nauczyli,
 Bieżą śladem i prędko przypadli w kraj iny,
 Gdzie, iż u ojca była, doszli tej nowiny.

VII.

Strzeż się, Karle, bo pewnie szaleństwu wielkiemu
 Nie zdołasz, które tobie i wojsku twojemu
 Gotują; do tych czterech Gradasa srogiego
 Z Sakrypantem na szkodę masz królestwa swego,
 A szczęście, aby w samo serce cię dotknęło,
 Żrzenicę wojsk, dwu wielkich rycerzów, ci wzięło,
 Którzy rozumem, mocą najprzedniejszy byli:
 Niemasz ich, jak ślepego, ciebie zostawili.

VIII.

Orlanda i Rynalda wspominam mężnego.
 Jeden z tych szalonem już został z tak mądrego,
 Nie wie, co deszcz, co zimno, co śliczna pogoda:
 Tak mu nieszczęsna zmysły zmieszała przygoda.
 Nagi po górach, skałach i lesiech zgęścionych
 Tuła się, wylewając pot z członków zemdlonych.
 Drugi, mało co mędrszy, jechał precz od ciebie
 Szukać dziewczki, której dał w moc samego siebie.

IX.

Zdrójca sprawił to jeden czarnoksiężnik stary,
 O czym mówiłem przedtem, iż mu dodał wiary,
 Jakoby Angelika z bratem zjechać miała.
 Zaczem żalność serce mu zawsze przerażała,
 Żalność, jakowa nigdy żadnego inszego
 Nie trapiła rycerza najserdeczniejszego;
 Potem, gdy do Paryża przyszedł zagniewany,
 Kazano mu z Anglii przywieść lud zebrany.

X.

Pod Paryżem gdy krwawą bitwę zaś odprawił
 I Agramanta w swoim obozie zostawił
 Zamknionego, starał się sposobem wszelakiem
 O wiadomość, jeśliby w domu, w zamku jakim
 Albo też w monastyrze piękna Angelika
 Nie została; ale gdy pewnego języka
 Nie zasiągnął, iż z Orlandem, tak mniemał, jachała
 I szukać ich rzecz mu się najślusniejsza zdała.

XI.

Tuszy, że w swem Anglancie delicyj zażywa;
 Chęć dlatego jechać tam wielką go porywa,
 A kiedy ich nie zastał, po różnej krainie
 Błąka się, łaje bratu i zradnej dziewczynie.
 Wszystkie, gdzie podobieństwo jest, nawiedza strony,
 Rannego przecie serca nie leczy strapiony.
 Powraca do Paryża, serdecznie styskuje,
 Mniema, że ich gdziekolwiek w mieście poszlakuje.

XII.

Czasem dzień, czasem dwa dni w Paryżu się bawi,
 Czekając, jeśli Orlanda szczęście jakie stawi;
 Ale, iż go nie słyhać, w drogę się udaje,
 A tesknica w niem przykra, jak przedtem, zostaje.
 Po całym dniu, po całej smętny szuka nocy,
 Żadnej nie zna w gorących zapałach pomocy;
 Gdzie go słoneczny promień, gdzie miesięczny wiedzie,
 Tysiąc razy jedną drogą wraca się i jedzie.

XIII.

Stary zaś nieprzyjaciół, co słowy chytremi
 Ewie radził jabłka rwać rękoma chciwemi,
 Zazdrościwe na Karła podniósł oko swoje,
 W krwawą porażkę lub obrócił pokój,
 Widząc, iż Rynald mężny niebлизko od niego,
 Na zgubę wojska wściekły uparł się naszego,
 Co namężniejsze zewsząd zgromadził pogany
 Śmierć dawać, czynić naszym niezleczone rany.

XIV.

Sakrypantowi, z zamku co szcarowanego
 Z Gradasem współ wyszedł czasu niedawnego,
 Tak nieujęte podał do serca chciwości,
 Iż zaraz pędem bieżą swych sił i dużości
 Probę czynić w bezpiecznych wojskach chrześcijańskich
 I z obleżenia królów wyzwolić pogańskich;
 Sam jem wodzem, sam dobrą drogę ukazuje,
 Przez najprostsze powiaty przebyć usiłuje.

XV.

A drugiemu poruczył zaś towarzyszowi,
 By z Rodomontem kazał biedz Mandrykardowi
 Tym śladem, kędy trzeci królownę prowadził,
 Aż na miejsce, gdzie strachu pełną z konia zsadził.
 Więc rącho wyprowadzi zaraz i czwartego,
 Aby z Marfizą przywiódł Rugiera dzielnego;
 Ale ten, co ostatniej pary rządził wodze,
 Opóźnił się i trochę pozostał na drodze.

XVI.

Z Marfizą Rugier, para już sobie życzliwa,
 Półgodzinem za niemi nierychlej przybywa.
 Bo najchytrzejszy djabeł, chcąc chrześcijańskiemu
 Duże razy przez nich dać wojsku Karłowemu,
 Opatrzył, aby zamysł niecnotliwy jego
 Nie wziął wstrętu poswarkiem o Rugierowego
 Konia; bo pewnieby się zwada odnowiła,
 Gdyby pospołu z niemi ta para przybyła.

XVII.

Czterej pierwszy na miejscu takim się zjechali,
 Skąd namioty ściśnione swoich oglądali,
 Chorągwie rozwinięte, w które wiatry biją,
 Te różnem po powietrzu kształtem sobie wiją.
 Zatrzymują się w miejscu, aby uczynili
 Spólną radę, nakoniec tak postanowili:
 Męstwem przysługę swemu uczynić królowi,
 Z obleżenia go wyrwać, dać się znać Karłowi.

XVIII.

Złączywszy się w gromadę, drogę tę obrali,
 Gdzie przedniejszy panowie chrześcijańscy stali;
 Głosem krzyczą okrutnem, szable dobywają,
 Iż są Sarracenami, jawnie powiadają.
 Dźwięk broni słychać straszny, a między namioty
 Trwoga roście; ci sobie dodają ochoty,
 Naprzód najpierwszej straży ręce zabawiają,
 Jednych zbiwszy, tył podać drugich przymuszają.

XIX.

Tumultem chrześcijańskie wojsko poruszone
 W niespodziewanej trwodze na okrzyki one
 Snują się bez porządku i owszem mieszają,
 Szturm szwajcarski iż to jest do Franków, mniemają.
 Więcże większa część wojska nie wie nic pewnego,
 Gromadzą się do znaku każdy z nich swojego,
 Kto na dźwięk kotłów, na głos kto trąb przeraźliwych;
 Wiatr gwiazd sięga z wzdychania ludzi na pół żywych.

XX.

Karzeł, prócz iż szysakiem nie nakrył swej głowy,
 Już w twardej zbroi wsiadał na konia gotowy;
 Przedniejszych bojowników samo prawie czoło
 Zgromadziwszy się, wnet go okrążyli w koło.
 Pyta, coby to za zgiełk, kto obóz spokojny
 Śmiał trwożyć, kto przyczyną niespodzianej wojny.
 Widzi u swego ludu w twarzach srogie rany,
 Kęs dalej na gwałt trupów patrzy zagniewany.

XXI.

A te w polu szerokiem wszędzie się walają,
 Zaledwie we krwi świeżej szkapy nie pływają.
 Zdumiewa się, rozcięcia widząc niesłychane,
 Które od cyrulików żadnych ratowane
 Być nie mogą, a pewnie i czarnoksiężnicy
 Zażywaliby swych gusł dla nich po próżnicy;
 Nogi po ud i ręce z ramiony leżały,
 Głowy ziemię skrwawioną odcięte kasały.

XXII.

Od najpierwszych namiotów aż do ostatniego
Różną śmierć, różne męki widzi ludu swego;
Bo gdziekolwiek serdeczna bieży kampania
Nameźniejszych rycerzów, cesarskich zabija.
On słusznem na swej twarzy gniewem zapalony,
Dziwując się, dla prędkiej wskok jedzie obrony.
Tak, gdy w cudzy dom bije z szkodą piorun srogi,
Zwykli szukać, kędy wpadł, i ścieszki i drogi.

XXIII.

Jeszcze byli nie przyszli do obleżonego
Obozu ci rycerze Agramantowego,
Alić z drugiej przyjechał strony Rugier śmiały
Z Marfizą, a wzniósłszy wzrok oboje wspaniała,
Z pilnością zacna para to upatrowała,
Skądby najprędzej swoim ratunek dać miała;
Żal jem serca przenika, litują swojego
Króla, co już do wolej syt strachu wielkiego.

XXIV.

Jako w podkopach ziemnych prochy podsadzone,
Namniejszą ognia, nie chcąc, iskierką dotknięte,
Grzmot czynią, żartki płomień tak ręczo wychodzi,
Iż go śmiertelny dojrzeć wzrok ledwie ugodzi;
Wali się mur potężny sztukami wielkimi,
Kruszy, psuje, cokolwiek namaca przy ziemi:
Tak Rugier i Marfiza razem przypadają,
Razem śmierci i rany śmiertelne zadają.

XXV.

Wzdłuż, poprzek, jak się trafi, bohater surowy
Piersi szerokie począł rozwalać i głowy:
Lecą łokcie z rękami, lecą i łopatki,
Konie noszą swych panów przeciętych ostatki.
Widział kto, kiedy wichur w zaburzone czasy
Rzuca się z jadem wściekłym na wyniosłe lasy,
Gdzie przejdzie, z ozdób swoich zdarte zostawuje,
Żadna góra, stoletni dąb go nie hamuje.

XXVI.

Wiele tych, co gniewowi Rodomontowemu
Szczęściem uszli, wiele tych, co Gradasowemu,
Rozumieją, iż żartkość i zbyt ręcze nogi
Już ich śmierci odjęły, już zbawiły trwogi;
Aliści na Rugiera po zad natrafiają,
Bezpieczni, nad nadzieję zdrowia pokładają.
Bo człowiek, co swych w Bogu ufności nie miewa,
Tam naprędzej żegna świat, gdzie się nie spodziewa.

XXVII.

I choć niebezpieczeństwa ujdzie on jednego,
Wpada w drugie, płaci grosz cła nieprzebytego;
Tak z dziećmi najchytrzejsza liszka maluszkimi
Przed zębami tuszy uść brytana ostremi,
Kiedy w ojczystym gaju pasterz niecierpliwy
I na zysk, którego się spodziewa stąd, chciwy
Ogniem, dymem ostrożnie straszy ją u dziury:
Ta wypadszy, pozbywa wnet zdrowia i skóry.

XXVIII.

W sarraceńskie obozy już się przybliżali
Rugier z Marfizą, aby skuteczniejszą dali
Pomoc swem, a ci widząc to, bogom dziękują,
Oczy z wzdychaniem w niebo wysokie prostują.
Nie jedno strachu zbyli, ale wyzywają:
Taką już śmiałość wszyscy, takie serca mają;
Na ostatek bez zwłoki to postanawiają,
Że szczęściem iść, a naszych w szcząt wygładzić mają.

XXIX.

Surm, bębnów, trąb pogańskich głos się precz rozlega
I subtelne powietrze ku niebu przebiega;
Na chorągwie wiatr wolno dmucha rozwinione,
Sroży się obleżeniem dopiero ściśnione
Wojsko i już na naszych z okrzykiem wypada.
Z drugą stronę też Karłów lud na konie wsiada
Z Anglikami, z Niemcami, a we mgnienu oka
Z ran śmiertelnych ludzka się wylewa posoka.

XXX.

Tak wielka moc z dużością niesłychane siły
 Rodomonta i króla tatarskiego były,
 Także Rugiera niemniej nad nich ochoczego,
 Gradasa, z męstwa świata wszystkiemu sławnego,
 Marfizy, co w bój wchodzi najstraszniejszy śmieie,
 Cyrkasa, z którym mężnych nie porówna wiele,
 Iż zaledwie uchodzi w Paryż murowany
 Przed oczywistą śmiercią Karzeł z swemi pany.

XXXI.

Tych bohaterów, jako Marfizy serdecznej
 Śmiałość, i sławy godna i pamięci wiecznej,
 Nie jeno się opisać, wymówić bezpiecznie
 Nie może, ale myślą objąć jej statecznie
 Przytrudniejszemby było; dosyć, iż dnia tego
 I sam cesarz i wszystek zginąłby lud jego,
 Ucieczką ratowani. Ferat najślawniejszy
 Przybył też i w tej bitwie nie był pośledniejszy.

XXXII.

Tonie ich, gdy most strzumać nie mógł, w rzece wiele;
 Niejeden Ikarowe skrzydła przy swem cieie
 Mieć życzy, aby lotem śmierci uniknęli,
 Którą na oko i w przód i po zad widzieli.
 Prócz Ugiera, markieza z Wiednia budownego,
 Znaczniejszy poimani wszyscy do jednego;
 Oliwier ledwo uszedł z ręką obrażoną,
 Ugier się także wrócił z głową rozwaloną.

XXXIII.

I by był, jako Rynald, jako Orland śmiały,
 Brandymarte opuścił cesarza wspaniały,
 Żywo pewnie nie wszedłby do Paryża swego
 Z porazu i pogromu tak niefortunnego.
 To, co mógł, czynił dosyć rycerz odważony,
 Długo furią oną nie był przestraszony;
 Potem ustąpił, widząc, iż Agramantowi
 Szczęście życzy, co przedtem śmiało się Karłowi.

XXXIV.

Wdów ubogich płacz rzewny, ciężkie narzekania
 Osierociałych ojców, dziątek małych łkania
 Przebiwszy w lot powietrza tego subtelności,
 Przyszły, gdzie Michał siedzi w niebieskiej jasności,
 I zaraz te nowiny smutne powiadają,
 Iż wojska nasze krukowi, psom w pokarm zostają,
 A jako pola wszystkie trupem się okryły,
 A łąki krwie niezmierłą moc ludzkiej wypiły.

XXXV.

Anielska twarz Michała wstydem czerwienieje:
 Nie tak stało się, jak chciał, mylą go nadzieje,
 Od zdrajczynej Niezgody chytrze oszukany;
 Bo ta uczynić miała swar między pogany,
 Serca w tych ogniem spólnej pałac nienawiści,
 W których wiedziała większą zazdrość i hardości.
 Widzi, iż wszystko opak jędrza nczyniła,
 A przedwieczna inaczej Dobroć mu zleciła.

XXXVI.

Więc jako sługa dobry, co nie z powinności,
 Ale z cnoty wygadza panu i z miłości,
 Widząc, iż niepamięci podał rozkazanie,
 O którym najpilniejsze miał czynić staranie
 I ważyć je, jak zdrowie, w drogę się gotuje,
 A prędkością występki przeszły poprawuje;
 Ani się pierwej Panu chce ukazać swemu,
 Aż to sprawi, co przedtem poruczył był jemu.

XXXVII.

Do klasztoru, gdzie widział furię niebożną,
 Skrzydła obrócił ślicznym malowaniem różne;
 Nalazł Niezgodę, która na krześle siedziała,
 Nowe urzędy nowym bratom rozdawała,
 Rada, o brewiarze że najmniej nie dbają,
 W nienależące sobie sprawy się wtrącają.
 Porwał ją dobry anioł za łeb, raz nogami
 Tłucze piersi, drugi raz twarz brzydką pięściami.

XXXVIII.

Po grzbiecie, po ramionach ciężkie razy daje,
A głowy bić zły z piekła jędze nie przestaje.
Ta pokorniuchno prosi i obłapia nogi;
On po staremu błagać nie daje się srogi,
Ażby do afrykańskich obozów jechała,
A między nie z swarami gniewy rozsiewała;
Nakoniec okrutniejszym grozi jej karaniem,
Jeśli ich nie uczyni swem własnem mieszkaniem.

XXXIX.

Gdy tak ramiona, głowę i grzbiet z każdej strony
Niezgoda od anioła miała potłuczony,
Drży nędzna i czegoś się spodziewa gorszego,
Bieży prosto w przepaści piekła podziemnego
I tam dwujętnie miechy porywa, którymi
Wąśni chce wzniecać między królmi pogańskimi,
Aby w sercach ich znowu były odnowione,
Co zostały przed bitwą na czas umorzone.

XL.

Rodomonta, Rugiera, króla tatarskiego
Tak grzeje jędba brzydka, iż zaraz do swego
Agramanta, by się bić pozwolił, bieżeli
I wprzód słuszne przyczyny gniewów powiedzieli.
Więc też niebezpieczeństwa nie widzą żadnego
Od Karła: przy nich sława zwycięstwa wielkiego.
Wzajem wszyscy chcą podlegać jego rozsądkowi,
Proszą, aby nazaczył plac pojedynkowi.

XLI.

Marfiza też znać daje o przypadku swoim,
Równem się z Tatarzynem chce rozprzeć bojem,
Który przedtem u źródła na polu poczęła
I zniewagę z despektem nad przystojność wzięła;
Jednej godziny nie chce czekać i borgować,
Tak przed wszystkimi pragnie wprzód się z nim kosztować.
Pragnie i prosi króla, by jej zaraz z hardem
Pojedynek pozwolił czynić Mandrykardem.

XLII.

Niemniej Rodomont duży chce pola pierwszego,
Najsłuszniejsze przyczyny iż ma do swojego
Nieprzyjaciela — mówi — które rozerwała
Bitwa, Agramantowi gdy się pomoc dała.
Rugier powiada, dłużej iż też trwać nie będzie,
Aż rozbójcy, co konia wziął, na garle siędzie,
Którego on dotychczas zatrzymał niesłusznie;
O tę krzywdę i bić się i umrzeć chce dusznie.

XLIII.

Tatarzyn te niezgody zawikłańsze czynił:
O znak w tarczy Rugiera i łątał i winił,
Żadnem sposobem nie chciał pozwolić mu tego,
Aby ptaka nosić miał tak, jak on, białego;
Głupstwem, zapalczywością rozegrzany, woła,
Iż w dziele Gradywowie wszytkiem trzem podoła,
I razem, jeśli pole stawić śmieją, woli
Bić się z niemi, jeżeli Agramant pozwoli.

XLIV.

Król prosząc, dobrodziejstwa przypomina swoje,
Nie życzy, aby krwawe wznawiać mieli boje;
Pokój chwali i woła, jak najbarziej może:
Ci nie słyszą, z prośbą nic rada nie pomoże.
Chce przynajmniej, aby to porządnie czynili,
A w rozmierzonem placu parami się bili;
Do czego najlepsze być losy upatruje,
Których, aby słuchali, srodze przykazuje.

XLV.

Pierwsza para Rodomont z Mandrykardem była,
Na piśmie do szyszaka która się włożyła;
Tych z Tatarzynem Rugier dobry naśladuje,
W trzeciej z Rugierem królik z Sarce następuje.
Marfizę z Mandrykardem po nich zapisano,
Niestatecznej bogini na rozsądek dano.
Każe król brać, aliści wyciągnął pierwszego
Rodomonta, a przy niem Tatarzyna złego.

XLVI.

Wnet z Mandrykardem Rugier był zaś po tych wtóry,
 A Rodomont z Rugierem w trzeciej parze, który
 Gniewa się, iż mu miejsca los nie dał pierwszego;
 Marfizie z Mandrykardem szczęście ostatniego
 Czekać placu kazało, lecz ta marszczy czoło
 Ani chce dla tej patrzeć przyczyny wesoło.
 Niemniej Rugier, bo pierwszej pary wiedział siły,
 Boi się, by się spólną śmiercią nie skończyły.

XLVII.

Od Paryża na milę jedno miejsce było
 Rozkoszne, wszystkim dziwne uciechy czyniło,
 Przekopem niewysokiem wkoło obegnane,
 Igrzyskom ponno jakim umyślnie oddane.
 Zameczek był tam kiedyś, pięknie wywiedziony,
 Teraz ogniem, żelazem do szczętu zniesiony;
 Drugi przy drodze widać, a podobny temu,
 Gdy z miasta ku przedmieściu idzie kto wielkiemu.

XLVIII.

Tam był plac dla tej sprawy zaraz wymierzony,
 Z drzewa krótkiego słusznem kwadratem złożony;
 Dwie branie, dosyć wielkie, miał przeciwko sobie,
 Kształtem i urobione w jednakiej ozdobie.
 Dzień, co się zdał do bitwy sposobny królowi
 I który on rozkazał obwołać ludowi,
 Już przyszedł; przed namioty widzieć się też dają
 Rycerze, a namniejszych wymówek nie znają.

XLIX.

W namiecie, co rozbity był ku zachodowi,
 Sakrypant łupież smoczą wdział Rodomontowi,
 Który olbrzymą członków dużością przemaga,
 A tej pracy naśmielszej Ferat mu pomaga.
 W tem zaś, co na wschód słońca bokiem właśnie stoi,
 Mandrykarda król Gradus w twardą zbroję stroi
 Z Falzyronem pospołu i tarcz serdecznego
 Hektora kładzie zaraz na ramieniu jego.

L.

Król afrycki na krześle pięknem i wysokiem
 Siedział, wspaniałem patrząc po swych wojskach okiem;
 Z niem Hiszpan i Stordylan, przedniejszy panowie,
 Których czczą, wazą wszyscy pogańscy wodzowie.
 Szczęśliwy, kto pagórku dość może jakiego
 Albo drzewa, żeby mógł wszystko widzieć z niego;
 Tak wielki lud tak wielką ciżbę widząc wszędzie,
 Łamią porządek ci, co stoją w pierwszym rzędzie.

LI.

Z królową kastylijską księżny i królowe
 Siedziały, na surowy bój patrzeć gotowe;
 Inszej białej płci dosyć tak z Aragoniej,
 Jako z Granaty żyznej, więc i z Sywilię.
 Stordylanowa córą w pojszrodzku siedziała,
 A dwie szaty na przechwał dziwnie drogie miała;
 Niedoskonałe jedna czerwona była,
 Zielona druga, a maść jakby swą traciła.

LII.

W krótkiem ubierze stała Marfiza wspaniała,
 Jak zwykła do potrzeby bohaterka śmiała;
 W termoodońskich polach tak się ubierała
 Hipolita, gdy wojsko dziewczęce szykowała.
 Już z rozkazania przyszli Agramantowego
 Iraldowie stanowić prawa wolej jego,
 Których nie godziło się przestąpić nikomu
 I słowem i uczynkiem, aży byli w domu.

LIII.

Gęsty gmin, co był wielką chęcią uwiedziony
 Na pojedynku widzieć bohaterki ony,
 Długo na nich czekając, srodze tęsknią sobie.
 Wtem nowy rozruch jakiś słyszą w onej dobie,
 Który z namiotu wyszedł króla tatarskiego;
 Ale przyczynę iż dał do poswarku tego
 Król serykański duży, uwierzcie bezpiecznie,
 Gdy mu Duryndanę wziąć chciał jego koniecznie.

LIV.

Już był na Mandrykarda zbroję włożył hardy
 Gradas i miecz przypasać chciał do boku twardy,
 Miecz, co go Orland w lesie zarzucił szalony,
 Kiedy różne obchodził bez rozumu strony:
 Ujrzał pismo na samem u głowice kraju
 Z herbem, który miał nosić Almont we zwyczaj;u;
 A tę broń zacny Orland u źródła jednego
 Wziął, Almonta zabiwszy w Asprmoncie dużego.

LV.

Gdy poznał Duryndanę Gradas doświadczoną,
 Która tak sławną była i tak ulubioną
 Pana z Anglantu bronią, dla której przeszedłem
 Czasy wyprawiając się z wojski przebrańszemi,
 Kastyljskie królestwo podbił i zhołdował,
 A Francyej według swej wolej rozkazywał,
 Zdziwił się, ale nie mógł domyślić się tego,
 Jak się Mandrykardowi dostała od niego.

LVI.

Pyta, jeżeli mocą lub przyjacielskiemi
 Otrzymał ją od niego sposoby dobremi.
 Ten powiada, iż krwawy dla miecza ostrego
 Bój miał i gwałtem go wziął od grabie mężnego,
 Który szaleństwo zmyślał w rozmaitem sposobie,
 Tusząc, iż tak pokrywszy strach, uczciwiej sobie
 Może radzić, strach, co go w ten czas trapił srodze,
 Kiedy mu Duryndanę musiał dać na drodze.

LVII.

Tak o zdrowie bóbr z chciwem myśliwcem targuje,
 Na ostatek własnem je strojem okupuje.
 »Wymyślaj ty przyczyny, jakie możesz, sobie —
 Gradas rzeczce — ja pewnie miecza nie dam tobie.
 »Słów próżnych słuchać nie chcę, znam twoje wykręty
 »I rad ujrzeć, jeśli mi z ręki będzie wzięty.
 »Tak wiele na to ważył ludzi, srebra, złota,
 »A teraz czemu mój być nie ma bez kłopotu?

LVIII.

»Staraj się o szablę z inszej sobie strony
 »Na inszy pojedynek dla zdrowia obrony,
 »Bo ja tej nie ustąpię, ani pragnę tego
 »Wiedzieć, jeślić jej dostał od grabie głupiego.
 »Swoje, gdzieś zdybał, biorę: i to są słuszności,
 »Kiedy każdy przy swojej zostawa własności.
 »Przestańże na tem, chceszli: ja nie dysputuję,
 »Raczej tą bronią słów tych poprawić ślubuję.

LIX.

»I słuszniej, że ją męstwem sobie nagotujesz,
 »Niżli się z Rodomontem dużem pokosztujesz;
 »Bo i zwyczaj tak dawny służy żołnierzowi:
 »Wprzód broń kupić, potem iść śmieć ku bojowi.
 Odpowiada Tatarzyn, wzniowszy harde czoło:
 »Żaden głos uszu moich nigdy tak wesoło
 »Nie uderzył: pódź, rzeczą sprobujęm tej mowy;
 »Gdy Rodomont pozwoli, jużem ja gotowy.

LX.

»Dokaż tego, abym się, wprzód obran, bił z tobą,
 »Potem król z Sarce i ja będziem czynić z sobą.
 »Nie wątp, wygodzę pewnie żądaniu twojemu,
 »Ciebie zabiwszy zaraz, dam się znać drugiemu.
 Krzyknie Rugier: »Ja nie chcę, abyś sprawiedliwe
 »Losy rwał; próżno gniewy wszczynasz uporczywe:
 »Albo Rodomont w pole niech z tobą wprzód idzie,
 »Albo mnie uderzyć się zaraz o cię przydzie.

LXI.

»Bo jeśli Gradasowe słuszne są i twoje
 »Słowa, iż przed bitwą ma dostać rycerz zbroję,
 »Nie powinienes orła zażywać białego,
 »Aż mię zwyciężysz, aż mię męstwem odrzesh z niego.
 »Alem ja nie jest sprzeczny: co szczęście kazało
 »Słucham i komu pierwszy plac do bitwy dało,
 »Ustąpię; wiesz, iż wtóre nasze jest potkanie,
 »Jeślić po pierwszej bitwie siły co zostanie.

LXII.

»Jeżeli też rozwiązać porządek przystojny
 »Zaraz chcesz, nad umowę biorąc się do wojny,
 »Wiedz, że i ja nie strzymam, rwać go pewnie będę,
 »Aż ci tarcz wydrę, aż ci na garle usiedę«.
 Odpowie mu Mandrykard, przykro rozgniewany:
 »Choćbyś ty i on Mars był, w dyament ubrany,
 »Nie zabronicie miecza nosić mi dobrego
 »Przy inszej jasnej zbroi Hektora wielkiego«.

LXIII.

Tak rzekł, gorącą wewnątrz kolera ruszony,
 A potem Gradasowi pięścią wymierzony
 Zadał ciężki policzek, iż z prawice jego
 Wypadł miecz najkochańszy Orlanda zacnego.
 Ten, co się nie spodziewał i nie wierzył temu,
 By tak głupio miał się dać uwieść drugi swemu
 Gniewowi, stał na razie i miecza pozbywa,
 Który Mandrykard zaraz z ochotą porywa.

LXIV.

Srogiej zapalczywości jadem Gradas błyska,
 Twarz mu gore, z czerwonych źrenic ogień ciska;
 Wstyd go, padła nań zmaza despektu jawnego
 Między kupą rycerstwa najwyborniejszego.
 Pragnie pomsty, w zad jednym krokiem ustępuje,
 A dużą ręką szablę swą ostrą wymuje.
 Mandrykard tak jest śmiały, tak serca wielkiego:
 Wyzywa i Rugiera z niem oraz mężnego.

LXV.

»Pódcie — woła — chciećli, obadwa zarazem,
 »I Rodomont niech wam da w pomoc jednym razem
 »Afrykę z Hiszpanią, z inszemi narody:
 »Nigdy się was nie zlekne i nigdy do zgody
 »Nie przyde«. Kręci srogi mieczem ustalonym,
 Ten świszczy, po powietrzu idąc przerzedzonym;
 Paź na ramię kładzie, a gniew zapalczywy
 Śle z bystrych na Rugiera oczu płomień żywy.

LXVI.

Którego Gradas prosi, aby to staranie
 Nań włożył i pierwsze mu pozwolił potkanie.
 »Uleczę ja — mówi mu — wnet szaleństwo tego,
 »Co to chce tryumfować dziś z świata wszytkiego«.
 Rugier nie myśli o tem, wstyd go mocny kole,
 Krzywdę i pierwsze swoje być powieda pole.
 Spórka między obiema trwa w dziwnem sposobie,
 Tak ten, jak ów wprzód w placu stanąć życzy sobie.

LXVII.

Hamuje ich co żywo, wszyscy się zbiegali,
 Aby w nich niepożądne gniewy uśmierzali;
 Ale cóż, nie sprawiwszy, nadarmo pracują,
 Niebezpieczeństwo cudzem zdrowiem swe kupują.
 Nie przywiódłby ich ponno wszystek świat do zgody;
 Sam zacny syn Trojanów bojąc się stąd szkody,
 Przybiegł z królem hiszpańskim, powagę którego
 Znać powinno i wojsko słuchało jednego.

LXVIII.

Pyta król, nienawiści co jest za przyczyna
 Tak nagłych, przy kim większa najduje się wina;
 Sposoby rozmajtemi potem usiłuje
 I dziwne pojednać ich środki wynajduje.
 Prosi, aby przynajmniej na ten dzień dobrego
 Miecza Tatarzynowi Gradas dał swojego,
 Póki końca nie weźmie bój w placu surowy,
 Gdzie Rodomont do bitwy czekał już gotowy.

LXIX.

Gdy Agramant koło tej sprawy pilno chodzi,
 Z tem, z owem rozmawiając, pojednać ich godzi,
 Inszy krzyk usłyszeli z namiotu drugiego,
 Gdzie Rodomonta Cyrkas ubierał dużego.
 Bo ten, jakom powiedział przedtem, z swej ludzkości
 Zbroję na Rodomonta kładł dziwnej twardości,
 Zbroję, co Nemrotowa własna kiedyś była,
 Teraz z Sarce królowi w potrzebach służyła.

LXX.

Przyszli oba, gdzie koń stał bogato ubrany,
 Wędzidła złote gryząc, gęste ciskał piany,
 Koń Frontyn, co nadeń nic Rugier kochańszego
 Nie miał i z Rodomontem bić się chciał o niego.
 Sakrypant, który pracej podjął się takowej,
 Zbrojnego do zabawy prowadzić Marsowej,
 Pojrzał zaraz, warownie jeśli ukowany
 I jeśli inszem dobrze rynsztunkiem odziany.

LXXI.

Gdy mu się tak król z Cyrkas pilno przypatruje,
 Znaki, grzeczność, urodę kształtną ogląduje,
 Bez chyby poznał prędko Frontalata swego,
 Co kiedyś w wielkim bywał kochaniu u niego
 I po którym zbyt tesknął, gryzł się i frasował,
 Tysiąc poswarków, tysiąc bitew odprawował
 Ani chciał więcej wsiadać na konia inszego,
 Ale piechotą chodził aż do czasu tego.

LXXII.

Od Brunella na ten czas wzięty był niecnoty
 Przed Albraką, gdy ukradł Angelice złoty
 Pierścień, potem kochaną szablę Orlandowi,
 Balizarde, kiedy biegł czatą ku wschodowi,
 Więc Marfizie miecz i róg, złotem oprawiony;
 Wszystko to bieglec Brunel, w chytrościach ćwiczony,
 Do Afryki przyszedłszy, oddał Rugierowi,
 Który przezwisko insze odmienił koniowi.

LXXIII.

A kiedy go bez wszelkiej poznał wątpliwości
 Król cyrkaski, zażywać nie chce cierpliwości.
 »Wiedz — mówi — iż to mój koń, z dawna ulubiony,
 »Co mi był u Albraki chytrze ukradziony;
 »Więcej świadków dam na to, niż włosów na głowie.
 »Ale na cóż to dobra, co po próżnej mowie?
 »Bo jeśli tego przyznać kto nie chce, zarazem
 »Stwierdzę tych słów, dobywszy od boku, żelazem.

LXXIV.

»Ato dla kompaniej i wspólnej miłości,
 »Co gorąca urosła w tej czasu krótkości,
 »Na dzisiejszy dzień konia pożyczam ci tego,
 »Bo nie zdołasz na inszem czynić tak strasznego
 »Pojedynku; cnotliwem tylko słowem swoim
 »Przyrzecz mi, że on już jest mojem, a nie twojem.
 »Inaczej przywłaszczyc go byś miał, nie wierz temu:
 »Prędzej w tem polu kupisz śmierć sobie samemu«.

LXXV.

Rodomont, co nad niego nigdy pysniejszego
 Nie było ani mistrza w bitwach bieglejszego,
 Mocą do tego, siłą, sercem przedniejszemu
 Zawsze bohaterowi zrównał on każdemu,
 Odpowie: »Sakrypanciel harde twoje mowy
 »Przyniosłyby drugiemu upadek gotowy;
 »I nie tak barzo pewnie sobieby zaszkodził,
 »Kiedyby bez języka niemy się urodził.

LXXVI.

»Ale jakoś powiedział, niedawno zawzięte
 »Przyjacielstwo tak gniewy me rządzi ujęte,
 »Iż wzgląd słuszny muszę mieć na cię, choć głupiego,
 »I upomnieć, abyś się boju nierównego
 »Strzegł pilno, aż wprzód ujrzysz bitwę dokończoną,
 »Mnie z Tatarzynem w polu przez los naznaczoną.
 »Obejmie cię strach, tuszę, i »Weź konia!« rzeczesz,
 »A potem lub się skryjesz lub z placu ucieczesz«.

LXXVII.

»Ludzkość ci pokazywać głupstwo, widzę, wielkie —
 Rzekł Cyrkaszczuk — więc kiedy chęci moje wszelkie
 »Nie mogłyć wzruszyć serca bynamniej grubego,
 »Szczerzeć mówię, chciej konia zaniechać mojego.
 »Bo ja dotąd, nie wąż nic, bronić ci go będę,
 »Póki tej szable ostrej z ręki nie pozbędę.
 »A na koniec, gdyby to chybiło, zębami
 »Kąsałbym się i drapał z tobą paznokciami«.

LXXVIII.

Od słów przykrych, gróźb, swarów, które gniewy rodzą,
 Zaraz do bitwy, zaraz haniebnej przychodzą.
 Nigdy najsuźsze słomy takich nie wydają
 Ogniów, zapalczywości jakie w nich wzniecają.
 Ten od głowy do stopy żelazem odziany,
 Ów prócz zbroje przecię w bój wchodzi niespodziany.
 Lecz krzywda tak go uczy, słusznej pomsty chciwa,
 Iż, jak szermierz najlepszy, bronią się okrywa.

LXXIX.

Rodomontowe męstwo, potęga i siła,
 Choć inszych niemal wszystkich w wojsku przechodziła,
 Więtsza nie jest, niżeli ostrożność drugiego
 Z chyżością, co ran broni ciała niezbrojnego.
 Nie czyniła obrotów prętszych młyńska skała,
 Kiedy ziarno dla starcia w mąkę przyciskała,
 Jako w ten czas Sakrypant raz ręką, raz nogą;
 Widzi, iż sztuki ledwie gwałtowi pomagą.

LXXX.

Szabel swych z Serpentyńcem Ferat dobywają
 I śmieje w pośrzodek ich zarazem wpadają;
 Król Grandoni, Izoler śpieszą się za niemi
 Z wojska sarraceńskiego z ludźmi przedniejszemi.
 Huk, zgiełk głośny z namiotu wypędził każdego,
 Który przeszedł okopy obozu wielkiego.
 Mandrykard też i Rugier zaraz przybywają,
 Aby ich pogodzili, pilno się starają.

LXXXI.

Nowiny przyniesiono wnet Agramantowi,
 Iż Rodomont o konia przeciw Cyrkasowi
 Krwawy bój wszczął i z niem się, jak trzeba, próbuje.
 Ten słysząc, niezgód takich serdecznie żałuje,
 Potem westchnąwszy ciężko, rzecze Marsylemu:
 »Tych baczeniu, o królu, poruczam twojemu:
 »Miej, proszę, oko, aby do zgody się mieli,
 »A dawnych, mogli być, gniewów zapomnieli«.

LXXXII.

Kiedy Rodomont króla postrzegł idącego,
 Cofnął się i w zad krokiem ustąpił od niego;
 Z takim go i Cyrkaszczyk przyjął szanowaniem.
 Ten pyta, kto przyczyny pierwszem zgrzeszył daniem;
 Z oczu powaga pańska i z słów się znać daje,
 Twarz królewską wspaniałe zdobią obyczaje.
 A kiedy się już od nich dowiedział wszystkiego,
 Chce jednać, lecz pożytku nie czyni żadnego.

LXXXIII.

U Rodomonta dłużej aby był koń jego,
 Sakrypant nie pozwala i słowa żadnego
 Nie da rzec, na ostatek sposoby inszemi
 Pożyczyć go nie myśli, aźby pokornemi
 Słowy Rodomont prosił. Ale ten zuchwał
 »Ani niebo — mówi mu — ani ten świat cały
 »Nie dokaże, abym się o to kłaniał tobie,
 »Czego męstwem i szablą mogę dostać sobie«.

LXXXIV.

Król pyta Sakrypanta, coby miał do tego
 Konia, kędy go stracił i czasu którego.
 Ten powie, a z żalu ledwie łez nie leje,
 Na męskiej twarzy wszytek wstydem czerwienieje:
 »Nigdy, królu, złodzieja, nigdy sztuczniejszego
 »Nie widziałem, jako ten, co konia wziął mego.
 »Zamyśliłem się, a on cztery kije włożył
 »Pod siodło: tak go ukradł, tak mię zdrajca pożył«.

LXXXV.

Przyszła też i Marfiza na ten krzyk z drugimi,
 Gdy na Brunella Cyrkas skarżył przed wszystkimi.
 Słucha, na pięknej twarzy wnet się zasępiła,
 Wspomniawszy, iż też swą broń dnia tego straciła.
 Patrzy na koń, co ledwie nogami rączemi
 Nie porówna w zawodzie z ptaki lekcejszemi.
 Sakrypanta, którego przedtem nie widziała,
 Poznawszy, zaraz ludzka chętnie przywitała.

LXXXVI.

Drudzy zaś, wkoło wielki co plac otoczyli
I chytróści świadomi Brunellowych byli,
Obróciwszy wzrok prosty i twarzy do niego,
Mruganiem dawali znać, iż to sprawka jego.
Marfiza podejrzenie nań ma, wszystkich pyta
I chciwemi uszyma nowe skargi chwyta
Tak długo, aż się pewnej rzeczy dowiedziała,
Iż to był Brunel, przezeń co broni stradała,

LXXXVII.

Brunel, co go Agramant dla dziwnych chytróści
Z tyngitańskich umyślnie wziął do siebie włości,
Godniejszy, aby stryczek gardziel niecnotliwy
Ścisnął mu, ciało krukowi dał w pokarm brzydliwy.
Zastarzały Marfiza uraz przypomniała,
Zaczem uczynić pomstę zaraz obiecała;
Skarać chce zdrady, figle i fortele jego:
Tkwią troski, co ją gryzły dla miecza wziętego.

LXXXVIII.

Wnet od giermka kochaną przyłbicę porwała,
Bo żelaznego blachu nigdy nie składała
Od tego dnia, jako mu kształtne członki swoje
Przyzwyczaiła; ledwie z dziesięć dni bez zbroje
Widziano ją: tak żywot rycerski ważyła,
Tak wszystkie w nim rozkoszy swoje położyła.
Wziąwszy szyszak, biegła tam, gdzie między pierwszymi
Był Brunel, na bój patrząc oczyma bystreimi.

LXXXIX.

W chytne piersi zarazem dużo go trafiła,
Zaś potem tak od ziemi prędko podnosiła,
Jako rozbójca orzeł pazury krzywemi
Matkę bierze zdumiała z kurczęty drobnemi,
I niesie rączy franta tam, gdzie król z drugimi
Między bohatyrami gniew koił srogimi.
Brunel niebezpieczeństwo widząc, ręce wznosi,
Płacząc twarz zlewa hojnem, o ratunek prosi.

XC.

Tak krzyczał, wołał Brunel, gwałtem utrapiony,
Aż głos rycerzów onych już był zagłuszony,
Co poswarkami wszystko pole napełniali;
Kiedy do bitwy swoje umysły skłaniali;
Raz pomocy, drugi raz żąda odpuszczenia.
Wszystko wojsko zbiega się na jego wrzeszczenia;
Ta go trzyma, a potem przed królem stanęła
I mówić, najweselszą twarz wzniozszy, poczęła:

XCI.

»Ja chcę widzieć, o królu, zaraz łotra tego,
»By też przez ręce moje, tu obieszonego,
»Bo w ten dzień, kiedy ukradł złodziej konia temu,
»Mój też własny przypasał miecz sobie samemu;
»A jeżeli tu kto jest, coby słowom mojem
»Nie wierzył, niechaj stanie, niech się z męstwem swoim
»Popisuje przed tobą; bo ja chcę ukazać,
»Iż o krzywdę swą z koni mogę mężów zrażać.

XCII.

»Ale, aby płochości mej nie przyczytano
»Ani za rozsiewaczkę niezgód rozumiano,
»Bo wiem, iż wielką pracą, godząc ich, masz z temi,
»Co rycerzami w wojsku twem są przedniejszemi,
»Trzy dni mu sfolgowawszy, żywotem daruję.
»Ty w tem czasie wyzwól go; boć pewnie ślubuję,
»Iż jeśli sam nie zjedziesz lub nie pošlesz swego,
»Tysiąc ptaków nakarmię trupem zdrajce tego.

XCIII.

»Trzy mile stąd nowy mam kasztel, abyś wiedział,
»Mały gaj wkoło niego; tam on będzie siedział.
»Tam z niem jadę, a z sobą nie biorę nikogo
»Prócz dziewczyny niewielkiej a sługi jednego.
»Jeśli kto śmie gonić mię, niechajże spróbuje,
»Byle duży, bo pracą nielekką poczuje.
»To rzeksz, rączem konie żartko obracała
»W swą drogę ani czekać odpowiedzi chciała.

XCIV.

Brunel siedzi na karku końskim, smutne głosy
 Powtarza, ta go trzyma za zjeżone włosy;
 Łzami kropi zanadrze, wołając częstemi
 Imiony na pomoc tych, co wiódł przyjaźń z niemi.
 Król, kiedy takie w rzeczach widział zamieszanie,
 Biedzi się, rozwikłać to ma pilne staranie;
 Ale mu to niemiło, zbytnie się frasuje,
 Iż takową zniewagę od Marfizy czuje.

XCV.

Nie dlatego, aby się w niem kochał, bo wszystkie
 Sprawy Agramantowi były jego brzydkie
 I często po zgubieniu pierścienia onego
 Życzył widzieć na buku gdzie zawieszonego;
 Ale postępek taki Marfizin bezpieczny
 Gryzie go i wzbudza w niem żal z gniewem serdeczny;
 Twarz wstydem pała, chce ją gonić swą osobą,
 Aby pomstę uczynić kazał z niej przed sobą.

XCVI.

Sobryn, co na ten czas był obecny u niego,
 Odradza, uśmierzając sierszistości jego.
 »Nie żyńdzie się — powieda — stanowi twojemu,
 »Byś tak wiele pozwolić miał gniewowi swemu.
 »Co za sława i chwała, gdy z małej przyczyny
 »Przez szablę będziesz jednej dobywał dziewczyny?
 »Więtsza zmaza, choć pewnie, iż wygrasz, nadzieje
 »Potuszają, a życzliwy Mars ci się rozśmieje.

XCVII.

»Mała uczciwość, wierz mi, a niebezpieczeństwo
 »Stąd wielkie; raczej życzę, abyś swowolaństwo
 »Brunellowe pokarał: niech jego niecnoty
 »Ustaną, niech ma swojej zapłatę roboty.
 »I choćbyś go wyzwolić mógł z więzienia tego
 »Przez najpodlejsze środki, cóż sprawisz dobrego?
 »Bo czemuż, gdyś jest na tem, nam sprawiedliwości
 »Nie masz czynić i karać z występkami złości?

XCVIII.

»Pośli raczej, tak radzę ja, z swoich którego
 »Do Marfizy, aby cię obrała sędziego,
 »Z obietnicą, iż stryczek dasz złoczyńcy temu.
 »Na szyję, powołaniu dosyć czyniąc swemu.
 »Zostanie ona, tuszę, ukontentowana
 »Ani przyjaźń mem zdaniem będzie rozerwana.
 »Rzecz to równa, bo słuszność i sama chce tego
 »Obiesić, szubienice wysokiej godnego«.

XCIX.

Baczny król rozsądnego usłuchał Sobryna;
 Widzi, iż z Brunellowych przebiegów przyczyna.
 Już wojska za nią nie śle i sam nie pojedzie,
 Terminu dnia trzeciego raczej czekać będzie;
 Sobrynową skłoniony pozwala mądrością,
 Aby posłał prosić jej, choć ci to z ciężkością,
 Bo znieść rycerstwa gniewy chce zajątrzonego
 I obmówiska zatrzeć obozu swojego.

C.

Niezgoda rozruch widząc, z radości się śmieje,
 O pokoju z przymierzem już niema nadzieje;
 To tu, tu ówdzie biega po placu szerokiem,
 Miejsca w sercu nie może uczynić głębokiem
 Dobrej myśli. Pycha, z nią jędze nieszczęśliwe
 W piersiach pogańskich ognie niecąc gniewów żywe,
 Tak straszny wrzask w królestwo wyszszce posyłają,
 Iż o swem Michałowi znać zwycięstwie dają.

CI.

Zadrżał Paryż, rzeki się od gruntu wzburzyły
 Na krzyk piekielny, co go larwy uczyniły.
 Dźwięk głosów aż do lasa przeszedł Ardeńskiego
 I zwierzków z legowiska wypędził własnego;
 W Alpes i na Gebeńskiej górze się rozlega,
 Echo Blaje, Ruanu i Arle dosięga;
 Ren, Rodan i z Garonną Sonna usłyszała,
 A mać dziecko do piersi każda przyciskała.

CII.

Pięć bohaterów, co już słusznie umyślili,
 Aby przez szable krzywdy wprzód swoje skończyli,
 Tak barzo powikłanych spór nagły zostawił,
 Iż z trudnością Apollo samby ich wybawił.
 Agramant węzeł sztuczny, nie chcąc, rozwiązuje,
 Pierwszej pary gniew godzić raczej usiłuje,
 Która dla pięknej córy króla granackiego
 W placu ostremi mieczmi chce dowodzić swego.

CIII.

Wszystkie obrócił mądry król starania swoje,
 Aby uśmierzył straszne między niemi boje;
 Raz do tego, drugi raz idzie do owego,
 Wraca się po wielekroć bez skutku żadnego.
 Widzi jednako głuchych, nie słuchają rady,
 Tak ten, jak ów, do krwawej ma się zaraz zwady.
 Nie chcą pół godziny być bez kochania swego;
 Stąd zdrój żywy wyniknął gniewu ich dużego.

CIV.

Na ostatek swoje jem zdanie ukazuje,
 Przez które razem obu wnet ukontentuje;
 Prosi ich, rozsądkowi aby się poddali
 Nadobnej dziewczki swojej, a słowo strzymali
 Tem sposobem, iż będzie ten mężem jej wiecznie,
 Którego ona przyzna, a prawdę koniecznie
 Ma powiedzieć. Wnet na to oba pozwalają:
 Tak jednaką w miłości jej nadzieję mają.

CV.

Król z Sarce, co oddawał szczere jej posługi
 Wprzód dobrze, niż Mandrykard, przez czas dosyć długi,
 Wzajem ona zawsze mu chęć pokazywała,
 Póki uczciwość zacnej panny pozwalała,
 Rozumie, iż ten śrzodek będzie z lepszym jego
 I uczyni go już, już, jak chciał, szczęśliwego.
 A nie tylko on temu sam wierzy tak snadnie,
 Ale afrycki wszystek lud, którem on władnie.

CVI.

Wiedzieli o tem wszyscy, jako trudów wiele
 Podjął, kwoli niej w szrankach czyniąc często śmieie;
 Więc i w różnych potrzebach różne on ochoty
 Pokazował, chcąc ją mieć swej zapłatą cnoty.
 I gdyby na to przypadł Mandrykard, mniemali
 Iż go postanowieniem tem już oszukali;
 Ale ten, co często z nią swe uciechy miewał,
 Z próżnych sądów prostego gminu się naśmiewał.

CVII.

A gdy królowi stwierdzić swój ślub pozwolili,
 Prosto do Doraliki pięknej powrócili;
 Ta twarz wdzięczną i oczy wstydlive schyliła,
 Potem swem Tatarzyna mężem naznaczyła.
 Na głos niespodziewany po sobie spojrzeli
 Wszyscy i długo słowa przemówić nie śmieli.
 Na pół zmartwiał Rodomont, słysząc to zdumiały,
 Łzy mu ciepłe z zaćmionych oczu wyleciały.

CVIII.

Jak zaś gniew wygnał z serca żal i wstyd ciężkiego,
 Wstyd, co twarz zarumienił najsmutniejszą jego,
 Fałszywy dekret zowie i niekontent z niego,
 Do miecza sięgnął, który miał u boku swego,
 Mówiąc: »W oczach zarazem ten waszych osądzi,
 »Kto z nas ma sprawiedliwszą, kto w słuszności błądzi;
 »Ja na zdaniu niewiasty lekkiej nie przestanę,
 »Co często puszcza złą rzecz za dobrą w zamianę«.

CIX.

Nie wycierpiał Mandrykard przykrej onej mowy,
 Rzekł: »Jakoć się podoba, wszakem ja gotowy;
 »A co mówisz, to mieszkasz«. Zatem jużby byli
 Nienawiści pokryte znowu odnowili;
 Ale Agramant pojrzał krzywo na zjadłego
 Rodomonta i zaraz zamknął gębę jego.
 Mandrykard też widząc to, już ciższym zostaje,
 Puszcza gniew, hamować się towarzystwu daje.

CX.

Dwojakiem wstydem królik z Sarce zapalony
 Twarz ku ziemi i swój wzrok trzymał pochylony;
 Niefortunę cicho klnie, z wojska ustępuje,
 Królowi i dziewczynie płoczej nie dziękuje:
 Nie chce, aby tam dłużej noga jego stała,
 Gdzie w oczach zacnych mężów wzgarda go potkała.
 Jedzie, a z ludu swego dwu tylko sług bierze,
 Których staraniu zdrowie swe zleca i wierze.

CXI.

Tak żalu nie mogąc znieść, byk odchodzi srogi,
 Gdy ostre utopiwszy w niem kilkakroć rogi,
 Wyrzuca go od stada spółmiłośnik jego;
 Ten wstydem zjęty, lasu szuka pochmurnego
 I tam położywszy bok na piasku skrwawiony,
 Gniew z rykami pospołu puszcza w różne strony;
 Nie cieszą go z pastwiskiem najchłodniejsze źródła:
 Wskrósł wstyd, ból, srom, miłość haniebnie go zbudła.

CXII.

Postrzegł Rugier, kiedy wsiadł na Frontyna jego,
 Co igrzysko miał w placu mieć krwawe dla niego;
 Bieży za niem, ale wnet przypomina sobie,
 Iż z Mandrykardem bić się winien w onej dobie.
 Tak został, chcąc ukazać wprzód Tatarzynowi,
 Że krzywdy czynić nie da białemu orłowi;
 Pragnie w szranki uprzedzić króla z Serykany,
 Co przez bój chciał kradzionej dostać Duryndany.

CXIII.

Gryzie się jednak srodze, iż w oczach jego
 Konia wzięto, a bronić on nie może tego.
 Milczy, sposobniejszemu puszcza to czasowi,
 Teraz ku przyszłemu się gotuje bojowi.
 Ale Sakrypant, inszej co nie ma przeszkody,
 Żadną miarą upuścić tej nie chce pogody:
 Udał się prosto po niem i stóp naśladuje,
 Które między inszemi świeższe upatruje.

CXIV.

I jużby go był pewnie tam dopadł zarazem,
 Ale przypadek dziwny trafne był przekazem,
 Przypadek, do wieczora co gwałtem samego
 Zatrzymał go i stracić ślad przymusił jego.
 W Sekwanie piękna dziewczka już była tonęła,
 Gdyby była ratunku od niego nie wzięła;
 Ale ten skoczył z konia, a potem do wody
 I ledwie żywą wyrwał z ostatniej przygody.

CXV.

Potem kiedy na konia chciał znowu wsieść swego,
 Nie postrzegł, jako z ręku wnet się wyrwał jego
 I ucieka wciąż pędem; ten wołając goni,
 W ciasnych miejscach przebiega i ucieczki broni.
 Nakoniec poimał go, lecz śladu dawnego
 Już nie najdzie, choć do dnia szukałby sądneho,
 A raczej we dwuset mil prostą drogą będzie,
 Niż krążąc Rodomonta najdzie i dojedzie.

CXVI.

Kiedy go znalazł, jako współ się zjechali,
 Jak z złem Sakrypantowem swego okazali,
 Bo konia utraciwszy, był poiman potem,
 Zamilczę teraz, niżej będę pisał o tem.
 Wprzód mi trzeba powiedzieć serdeczne żałości,
 Gniewy i zapalczywe mowy, zelżywości
 Rodomonta, któremi króla i dziewczynę
 Szczypał, obojgu dając swych niefortun winę.

CXVII.

Subtelne wiatry ciepłem wzdychaniem zagrzewał,
 Gdy częstokroć poganin wzgardzony omdlewał;
 Smutne wznawiając skargi, Echo głos niecały
 Rozsyłała z padołu między bliższe skały.
 »O lekkich niewiast — mówił — zdradziecki narodzie!
 »Jakoś się mienić prędko zwykł ku naszej szkodzie!
 »Tak to wiarę i służby lekko ważysz sobie!
 »Nieszczęśliwy, mizerny ten, kto ufa tobie.

CXVIII.

- »Ani długi czas wiernych posług moich ani
- »Szczera miłość, piersi me co i teraz rani
- »I którejsz tysiącem znaków próbowała,
- »W powinnościach ci serca swych nie zatrzymała.
- »Nie dla tegom ja pewnie od ciebie wygnany,
- »Niegodniejszy abym był, niż kto, rozumiany
- »Łaski twej; lecz nieszczęścia ta mego przyczyna,
- »Że niestateczna, płocha, odmienna dziewczyna.

CXIX.

- »Wierzę, iż cię dla tego natura stworzyła,
- »Przekłętą płci niewieścia, byś szalbierska była,
- »A mężczyzna w uciechach nie prowadził swego
- »Żywota, dał mu cię Bóg na złe większe jego.
- »Tak on jadowitemu rodzić się wężowi
- »Kazał, aby swem żądłem szkodził człowiekowi;
- »A na co wilk z niedźwiedziem, bący i szerszenie,
- »Kąkol w zbożu, na to nam złe twoje nasienie.

CXX.

- »Czemu Bóg nie pozwolił człowiekowi tego,
- »Aby bez ciebie wszego mógł zażyć lubego?
- »Tak gruszka, śliwa, jabłko swe owoce dają,
- »Choć ludzkie tylko ręce rósć im pomagają.
- »A kiedy upatrować pilniej rzecz będziemy,
- »I samo przyrodzenie we wszystkim najdziemy
- »Niedoskonałe, bo się natura mianuje
- »Imieniem białogłowskiem, co w statku szwankuje.

CXXI.

- »Jeśli harde dlatego wznosisz, pyszna, czoło,
- »Że mężczyznami świat ten, jako wielki, wkoło
- »Napełniasz: i różą też najwonnejszą rodzi
- »Ciernie, a przecię kole, przecię wszystkim szkodzi.
- »O marne i uporne, wszelakiej miłości
- »Próżne, kłamliwe, chytne, złe, pełne zazdrości
- »Bez porady i wiary, w fałsz, w zdradę ubrane,
- »Na ten świat dla zarazy mężczyznom zesłane!»

CXXII.

Gdy tak łajał Rodomont i skargi rozwodził,
 A od obozu co raz tem dalej odchodził,
 Zdało mu się, jakoby doszedł uszu jego
 Głos mowy zrozumianej z gaju co bliższego,
 Iż niesłusznie zwaśniony, szkaradnemi słowy
 Na uczciwem wspaniałe szczypał białogłowy;
 Bo jeśli jedna lub dwie złość swą pokazują,
 Tysiąc zaś na to miejsce dobrych się najdują.

CXXIII.

Dał miejsce rozumowi Saracen strapiony
 I tak sam z sobą mówił, prawdą przyciśniony:
 »Próżno to, choć te, w których aż do czasu tego
 »Kochałem się, nic w sobie nie miały szczerzego,
 »Nie już drugie zarazem zdrajczyne być mają;
 »Nieszczęścia raczej moje te męki mi dają.
 »Siła była takowych, jest i będzie siła,
 »Co ich cnota z dobrocią w niebo wprowadziła.

CXXIV.

»Wzdyć jeszcze kiedykolwiek i ja doznam tego,
 »Nim umrę, nim się włosu doczekam siwego,
 »Że natrafię na taką, coby chęci moje
 »Ważyla i wzajem mi oświadczyła swoje,
 »Przysięgi dotrzymawszy; tak mi się nagrodzi
 »Moja szczerość, co przykry dziś żal we mnie rodzi,
 »A ja po takiej probie wszystkimi siłami
 »Chwalić ją i językiem będę i pismami«.

CXXV.

To mówił, ale wodzów nie ujął gniewowi,
 Który przeciwko dziewce swej miał i królowi.
 Tak tę ustawicznie kłął, jako i owego,
 Obojgu z dusze życząc nieszczęścia wszystkiego.
 Radby widział królestwo jego wyniszczone,
 Domy wszystkiej Afryki tak popustoszone,
 Iż kamień na kamieniu nie zostałby cały,
 A poddanych powietrza aby w grób posłały,

CXXVI.

Albo żeby go z państwa wygnali własnego,
Przymusiwszy żywota jąć się żebraczego,
A on w nieszczęściach takich i w ciężkiem frasunku
Na stolicę go wsadził i dodał ratunku,
Szczeręj swej wiary korzystać tę przeciwko niemu
Ukazując, iż służy, chocia niewdzięcznemu,
I jako przyjaciela nie zmienia wiernego
Najgwałtowniejsze razy szczęścia przeciwnego.

CXXVII.

Tak pałając chciwością pomsty ku królowi,
Żadnego odpoczynku nie dał Frontynowi;
We dnie i w nocy bieży, od żalu umiera,
Sen łzami obciążonych powiek nie zawiera,
Aż na gościniec inszy przypadł dnia trzeciego;
U Sonny, co do morza wiedzie głębokiego;
Którym do swej Afryki jechać się gotuje,
A wzgarda, jako przedtem, zrze go i morduje.

CXXVIII.

Tak ów, jako i tamten, oba brzegi miały
Statków siłą, co przejazd dość wczesny dawały,
Którymi na potrzebę wojska pogańskiego
Żywności do obozu wieziono wielkiego.
Bo gdy się Sarraceni pod Paryż ściągali,
Wszystkie rzeki, jeziora w moc swą zaraz brali,
I te, co ku hiszpańskiem granicom się mają,
I co po prawej ręce pola zalewają.

CXXIX.

Z bark zaś żywność na muły i wozy kładziono,
A lądem dróg świadomszem prowadzić kazano.
Pełno wszędy po polach bydła rogatego,
Tak za pieniądze, jako czatą dostanego;
Kupców rozmaitych dość targi odprawują,
Swój poprzedawszy towar, u drugich kupują.
Tem czasem wieczór nadszedł późny i każdego
Do stanowiska odyść przymusza własnego.

CXXX.

Król z Algieru, kiedy się noc dobrze skłoniła,
Czarne i ślepe wszędy powietrze czyniła,
Od chłopca był proszony z tamtej wsi jednego,
Aby został i chęcią nie pogardzał jego.
On konie słudze dawszy, do stołu się śpieszy,
Pokarmem głodny nieco i winem się cieszy,
Winem, które do smaku tak mu przypadało,
Iż jako żywo lepsze nigdy się nie zdało.

CXXXI.

Z dobrą wolą i z twarzą, pełną życzliwości,
Różne Rodomontowi czynił uczciwości
Gospodarz, bo uroda i stan okazały
Wydawał go, iż jakiś bohater był śmiały.
Ale ten, jakby w piersiach nie miał serca swego,
Zapomniał i ludzkości i siebie samego;
Wszystkie myśli posyła wciąż ku obozowi
Do swej panny, jako głuch, siedzi, nic nie mówi.

CXXXII.

Tak wiele on gospodarz sobie swą ludzkością
Sprawił u pogan, iż go wszystką majątnością
Darowawszy, namniejszej krzywdy nie czynili,
Praw i swobód zażywać dawnych pozwolili.
Oddawał on to wzajem częstował każdego;
I wtenczas, aby gościa ucieszył smutnego,
Kilku wezwał powinnych, ale ci nie śmieli
Nic rzec, utopionego gdy w myślach widzieli.

CXXXIII.

Frasobliwą twarz na dół i wzrok miał skłoniony,
W ziemię ustawnie patrząc królik zasmucony;
Huku nie usłyszałby ponno nawiejszego,
Zmysły ledwie nie wszystkie odbiegły od niego.
Potem, gdy długo siedział tak uspokojony,
Ciężko westchnąwszy, jakby ze snu ocucony,
Pokrzepił się, wzniosł oczy, łzami nakropione,
Na swego gospodarza i na goście one,

CXXXIV.

A przerwawszy milczenie, gospodarza swego
I gości spytał wszystkich, co byli u niego,
Jeśliby żony swoje i jak dawno mieli,
A ci, iż są żonaci zaraz powiedzieli.
Pyta zaś, co też o ich ku sobie szczerości
Rozumieją, jeśli im prawdziwej miłości
Dotrzymawszy, przysięgę swych ślubów spełniły,
Nakoniec, jeśli dobre i cnotliwe były.

CXXXV.

Wnet oprócz gospodarza wszyscy powiadają,
Iż uczciwe i dobre, piękne żony mają;
Bo ten, trząsnąwszy głową, tak rzecze po chwili:
»Przysiągłbym, iż każdy z was w mniemaniu się myli,
»A który to twierdzić chce, ja mu powiem śmieie,
»Iż głupi i rozumu w głowie ma niewiele.
»Tuszę: i ten gość zacny mem słowem pomoże,
»Bo czarnego za białe ukazać nie może.

CXXXVI.

»Ale co po tych słowach próżnych? Dobrze wiecie,
»Jako jedyny feniks rodzi się na świecie,
»Tak to jest najpewniejsza, iż między wszystkimi
»Jednej, co jest mężowi wierna, nie najdziemy.
»A choć kto dobrze trzyma o cnocie swej żony,
»Już tu jest od własnego rozumu zwiedziony;
»Bo jakoż to podobna, by sam szczęścia tego
»Dość miał, co nie potkało z nas jeszcze żadnego?

CXXXVII.

»W tem błędzie byłem i ja od czasu dawnego,
»O tej płci rozumiałem wiele sam dobrego;
»Lecz mądrość z Wenecyjej szlachcica sprawiła,
»Którego w dom fortuna mój przyprowadziła,
»Iż mię prawdy nauczył przykłady jawnemi
»I jedno kazał z ludźmi rozumieć mędrszemi.
»Jan Waleryusz na krzcie imiona wziął dane,
»Które nigdy nie będą u mnie zapomniane.

CXXXVIII.

»Zdrady, sztuki, chytrłości, przebiegi, fortele,
»Co niemi oszukało swych mężów żon wiele,
»Wszystkie wiedział, jak trzeba, więc świeższe do tego
»I drugie, co się działy wieku dawniejszego,
»Tak czytał historye, iż snadno wszystkimi
»Dowiedł, że się nie najdzie żadna między niemi
»Cnotliwa, a jeśliby która się trafiła,
»Tem się działo, iż mądrze swych niecnót taiła.

CXXXIX.

»Ale między inszemi, com słyszał od niego
»Jedną pamiętam powieść z początku samego,
»Bo się tak w mojej głowie dobrze wydrożyła,
»Iż głębszych nigdy liter ręka nie czyniła
»W marmurze, który wiecznej dać pamięci mają,
»Gdy dzieła bohaterów wielkich poświęcają.
»Tę ja, byleście tylko sami chcieli wiedzieć,
»Na złość żonom zaraz złem mogę opowiedzieć«.

CXL.

Odpowie mu Rodomont: »A cóż wdzięczniejszego
»Uczynić możesz, jako, kiedy żalu mego
»Ulżysz powieścią lubej historyej jakiej,
»Co będzie zrozumieniem mem woli jednakiej?
»Ale żebym cię lepiej mógł słuchać, bliższego
»Patrz miejsca, lub ja pójdę do ciebie samego«. —
Dalej co będzie, w inszej pieśni usłyszycie,
Jeżeli z Rodomontem słuchać pozwolicie.

KONIEC PIEŚNI DWUDZIESTEJ SIÓDMEJ.

PIEŚŃ DWUDZIESTA ÓSMA.

A R G U M E N T.

Siadшы przed Rodomontem, szkaradnemi słowy
 Lży gospodarz bez braku wszystkie białe głowy.
 On potem do królestwa gdy odjeżdżał swego,
 U kościółka na drodze pozostał jednego;
 Ale mu, jako przedtem srogie, dawał rany
 W pól struchlałego serca gniew z wżgardą zmieszany.
 Wtem ujrzał Izabellę, którą gwałtem bierze,
 Mnicha gromi, co jego oddała się wierze.

A L L E G O R Y E.

W tej dwudziestej ósmej pieśni przez Rodomonta, który po niewymówionej przeciwko białej płci nienawiści, jako prędko ujrzał Izabellę, znowu się w niej serdecznie zakochał, ukazuje się wielka moc, którą Bóg i nieba w każdą nadobniusięńką twarz wlały wspaniałych i pięknych na świecie białych głów, iż słusniejsza rzecz jest miłować ich i szanować, jako przyrodzenie kazało, niż nad słusność wszelką mieć w nienawiści i pomsty z nich pragnąć.

S K Ł A D P I E R W S Z Y.

Biała płci i wy, co jej dobrego życzye,
 Nic na tem, choć powieści tej nie uwierzycie,
 Którą na większe hańby, niesławę i wżgardy
 Chce powiedzieć gospodarz nieludzki i twardy.
 A też tak podły język nie może waszemu
 Próżną wstydu naganą szkodzić uczciwemu;
 Bo cóż za dziw, iż cnoty ważyć nie umieją
 Prości gburowie, rzeczy co nie rozumieją?

II.

Opuśćcie jednak tę pieśń: snadno zrozumiecie,
 Bez niej wszystko, co wiedzieć i słyszeć pragniecie.
 Turpin ją wpisał mądry, więc też ja dla niego,
 Lecz wam nie na złość ani z uporu żadnego.
 Bo język mój i pióro zawsze na tem było,
 Aby te, co was zdobia, przymioty chwaliło.
 Czyniłem to i jeszcze czynić dotąd będę,
 Póki tchu ostatniego i ducha nie zbędę.

III.

Trzy lepiej albo cztery iż przestąpi karty,
 Ktokolwiek na czytanie tej pieśni uparty,
 Lub jej tak niechaj wierzy, jako zmyślönemu
 Bajaniu, co niem dziecka tuli, niewieściemu.
 Ale pódźmy do rzeczy. Gdy gospodarzowi
 Czyniąc kwoli, słuchać go już byli gotowi,
 On w pojsrzodku usiadшы, słowy zaraz temi
 Historyą zaczynał powieść przed niemi:

IV.

»Król Astolf w Lombardyej rozkazował młody,
 »Kwiatem pierwszych lat śliczne okrywał jagody,
 »Najozdobniejszy między rówienniki swemi,
 »Których weselsze wieki czynią wdzięczniejszemi;
 »Żaden między ludzkiemi w tych czasiech narody
 »Nie zrównał mu i kształtnej nie doszedł urody;
 »Nigdy nie robił Zeuksys obrazu takiego
 »Z Apellesem, coby był twarzy równie jego.

V.

»Nie chlubił on się z państwa tak barzo swojego,
 »Z powagi, z dostojenstwa, z bogactwa zbytniego
 »Ani stąd, iż miał książąt pod swą władzą wiele
 »I mógł się królem większem nad innych kłaść śmieie;
 »Z samej tylko piękności i wzrostu ładnego
 »Miał z podziwieniem chwałę od świata wszystkiego,
 »Wszyscy się zdumiewali, wszyscy go chwalili,
 »Wszyscy w oczach niebieskich żrzenice topili.

VI.

- »Ten na dworze miał swoim między zacniejszemi
- »Fausta, którego ważył wielce przed inszemi;
- »Z niem często odprawował ucieszne zabawy,
- »Przezeń królestwa swego wielkie robił sprawy.
- »Nakoniec w posiedzeniu, gdy Faust gładkość jego
- »Raz chwalił, król też wiedzieć szczerze chciał od niego,
- »Jeśli widział osobę kiedy podobniejszą,
- »Kształtniejszych członków równość i twarz nadobniejszą.

VII.

- »Rzecz Faust: »Wedle tego, co uważam w tobie,
- »Rzadki, o królu, pewnie zrównać może tobie;
- »Ale ja znam Jokonda, młodzieńca jednego,
- »Coć podobny i wzrostem swem doszedł twojego.
- »Brata chwale, przyznam się, a nie bez przyczyny:
- »Prócz ciebie nie najdzie się gładszy nadeń iny.
- »Albo jeśli chcesz wierzyć, powiem ci bezpiecznie:
- »Jak ty wszystkich, tak ciebie on przeszedł skutecznie«.

VIII.

- »Zdziwił się, słowa o tem król rzec więcej nie da,
- »Tusząc, niepodobieństwo iż jakieś powieda;
- »Potem, wielką chciwością prędko uwiedziony,
- »Życzy, aby nawiedził Jokond kraje ony.
- »Dają ręce na zakład, koniec ten którego,
- »Iż Faust stawić ma brata co prędej swojego,
- »Choć różne zrazu dawał wymówki królowi,
- »Wiedząc, iż Rzym opuścić trudno Jokondowi.

IX.

- »Jako żywo na jedną piądz z miasta wielkiego
- »Nie mógł nikt nigdy wywieść brata Faustowego;
- »Z tych dóbr kontent, Fortuna co mu użyczyła,
- »Żył spokojnie, żadna go troska nie dręczyła.
- »Sprzętu, który po ojcu został dość obfity,
- »Ani przysparzał ani tracił, nieużyty.
- »Tyczyn tak on rozumiał od Rzymu daleki,
- »Jak te, co dzielą Indów z Ameryką, rzeki.

X.

- »Ale nawiętsza trudność w tem mu się być zdała:
- »Wątpi, by przypaść na to żona jego miała;
- »Tak niewymowną wzajem miłością gorzeli,
- »Iż jedno we dwu cielech z duszą serce mieli.
- »Chcąc jednak być posłusznem panu, co prośbami,
- »Potem wolą zniewolił jego podarkami,
- »Milczy, a przecię w drogę prędko się gotuje,
- »Jako brata nachylić, z myślą się mocuje.

XI.

- »Jedzie i po kilku dniach do Rzymu przybywa,
- »Gdzie próśb dziwnych i sztucznych sposobów zażywa;
- »Na ostatek poruszył tak brata swojego,
- »Iż do króla pozwolił jechać lombardzkiego.
- »Co więtsza, upór żony jego słowy swemi
- »Odmienił: mówi jedno i jedno tchnie z niemi;
- »Przekładał dobrodziejstwa, które małżonkowi
- »Jej gotowe, jeśli w tem wygodzi królowi.

XII.

- »Czas drodze znaczy Jokond, już sługi przyjmuje,
- »Konie, o najcudniejszych gdzie wiedział, kupuje;
- »Szaty mu drogie robią, by dziwną zdobily
- »Gładkość, co jej z swych darów nieba użyczyły.
- »Dzień i noc żona, ciężar słodki, z szyje jego
- »Wisi, chcąc duszę wylać na łonie u niego.
- »Takli mię to odjeżdżasz — mówi — mężu drogi,
- »A piersi nie przenikać śmierci postrzał srogi?

XIII.

- »Ja, ilekroć pomyślę o tem, tyle razy
- »Umieram i z lewego boku nie bez skazy
- »Wykorzeniasz mi serce: raczej ręce twoje
- »Raz mię zabiwszy, w nizkie niech pošlą pokoje!«
- »Przestań, ma duszo złota — na słowa zaś ony
- »Jokond rzekł, w serce z żalu stem grotów trafiony —
- »Dwuch miesięcy tam dłużej nie zamieszkać bez ciebie,
- »Choćby mi z państwem dawał król samego siebie«.

XIV.

- »To ona usłyszawszy, kęs weselsza była,
- »Bo tak długiem terminem przecię się dręczyła.
- »»Wielki dziw—mówi—będzie, za rzecz miej prawdziwą,
- »»Jeśli mię tu zastaniesz, gdy się wrócisz, żywą«.
- »Ostatek słów wzdychaniem gorącym przerywa,
- »Nie je, nie śpi, nie pije, twarz w hojnych łzach pływa.
- »Serce się w piersiach pada z bólu Jokondowi,
- »Żałuje, iż wiarę dał bratu i królowi.

XV.

- »Potem z łańcuszkiem złotem z swej szyje zdejmuję
- »Krzyżyk bogaty i wnet mężowi daruje.
- »A był relikwiami wewnątrz napełniony
- »Od pielgrzyma, co wszystkie kołem zwiedził strony
- »Palestyńskie; ociec jej przyjął w dom chorego,
- »Gdy na zad z Jeruzalem wracał się świętego,
- »Ten umierając, na znak miłości swojemu
- »Dał go gospodarzowi z ochotą ludzkiemu.

XVI.

- »Tak drogi i tak piękną podarek robotą
- »Przyjął wdzięcznie i włożył na szyję z ochotą.
- »Ona prosi, aby ją tyle razy wszędzie
- »Chciał wspominać, jako nań często patrzeć będzie.
- »»Nie dla pamięci—rzekł jej—biorę go od ciebie,
- »»Bo rychlej zapomnielibyś sam samego siebie,
- »»Niż tej miłości, którą takeś mię pożyła,
- »»Iż w grobie i po śmierci chcę, byś ze mną była«.

XVII.

- »Tej nocy, co już blizki wyjazd poprzedzała,
- »Ledwie na wdzięcznych jego rękę nie skonała;
- »Mdleje, trupowi równa, jako martwa, leży,
- »Strumień płaczu rzewnego wciąż po piersiach bieży.
- »On godzinę przed świtem wstawszy z łoża swego,
- »I do sług i do brata poszedł rodzonego;
- »I pożegnawszy żonę, w drogę się puszczają,
- »Którą wpółżywą dziewczki w pościel odnaszają.

XVIII.

- »Ci zaś jadąc, żartami trudów ulżywali;
- »A gdy ledwo dwie mili spełna ujachali,
- »Wspomniał Jokond, krzyżyka że nie wziął swojego,
- »Który włożył pod głowy wieczora przeszłego.
- »»Niestetyż—mówi cicho—jakom nieszczęśliwy!
- »»Gdzie dar kochanej żony, gdzie jest, przez Bóg żywy?
- »»Jakie wymówki najdę? Będzie rozumiała,
- »»Iż szczerą miłość u mnie lekką wagę miała!«

XIX.

- »Nabiedziwszy się z myślą, wnet się rezolwował
- »Wrócić, aby go sam wziął, jako go sam schował;
- »Bo zdało mu się przecię coś niebezpiecznego
- »Stać tam, gdzie żona spała, sługę nowotnego.
- »Zatrzyma się i rzecze tak bratu swojemu:
- »»Ku gościńcowi miej się prosto Bakańskiemu,
- »»Bo ja na zad do Rzymu stąd powrócić muszę,
- »»Lecz nowu dogonić cię prócz zabawy tuszę.

XX.

- »»Dziwnie gwałtownej, wiedz to, wygadzą potrzebie,
- »»Ale nie wąp bynajmniej: stawię się do ciebie«.
- »To rzekszy, rącho koniem do Rzymu obraca,
- »Cwałem, co w szkapie siły, pilnej drogi skraca.
- »Z sług nie bierze żadnego, a gdy świt różany
- »Dawał znać, że już za niem dzień idzie rumiany,
- »Wjechał w dom, udaje się do pokoju swego,
- »Gdzie krzyżyka przede dniem zapomniał złotego.

XXI.

- »Dybie do łóżka cicho, jakby kroki mierzyl,
- »I ujrzy to, czemuby sam nigdy nie wierzył:
- »Żona, snu zażywając bezpiecznie twardego,
- »Trzymała z sług podlejszych na rękach jednego.
- »Poznał cudzołożnika Jokond zadumiały,
- »Zmartwiawszy, nie czuje się, jako skamieniały.
- »Widzi, iż pięknie wiary szczerzej dotrzymała,
- »Choć stokroć, gdy wyjeżdżał w drogę, umierała.

XXII.

- »Jeśli się gryzł i jeśli z widzenia onego
- »Beł kontent, niech rozumu każdy pyta swego.
- »Bo, żebyście na żonach swych tej nie widzieli
- »Proby, wierzyć podomno będziecie woleli.
- »Co miał rzec, co miał czynić Jokond nieszczęśliwy?
- »Ująwszy się za swą broń, pomsty prędkiej chciwy,
- »Chciał zdrajców oraz przebić; lecz nie pozwalała
- »Zbytnia ku żenie miłość i ręce wiązała.

XXIII.

- »Jeśli go niewolnikiem swem nie uczyniła,
- »Patrzcie, że nie jeno się mścić nie dopuściła
- »Jawnej krzywdy, ale tak sercem włada jego,
- »Iż ścierpiał w oczach swoich zdrajcy łoża swego.
- »Stał długo, nie budząc ich, a potem westchnąwszy
- »I krzyżyk z pod poduszki, gdzie go schował, wzięwszy,
- »Na zad z pokoju idzie cicho przemierzłego;
- »Wsiadł na koń i dogonił w drodze brata swego.

XXIV.

- »Piękność ona, anielskiej co podobna była,
- »Widzą wszyscy, jak się w niem do szczętu zmieniła.
- »W pół serca iż mu dosięgł frasunek okrutny,
- »Oczy, łez pełne, i sam wydaje wzrok smutny.
- »Żaden nie śmie sekretu pytać nieszczęsnego,
- »Wszyscy jednak snadno się domyślają tego,
- »Iż miłość tych przyczyną melankolij była,
- »Co tak prędko szpetną twarz z pięknej uczyniła.

XXV.

- »Oczu z niego nie spuści brat: tak się dziwuje,
- »Mniema, iż mu dla tego żal przykry dojmuje,
- »Że jednej tylko w domu swej odjechał żony;
- »Ten przeciwnem sposobem jest zaś utrapiony,
- »Bo samowtórą zdybał. Więc go rozmajtemi
- »Cieszy słowa, on czoło marszcząc, z nadętymi
- »W ziemię patrzy wargami, lekarstwa żadnego
- »Nie chce brać od tych, rany co nie widzą jego.

XXVI.

- »Jedzie z niem, oraz o żal pytać nie przestaje,
- »I coby miał umniejszać, bolu mu przydaje;
- »Od którego zaledwie już ten nie umiera,
- »Gdy drugi przykrem plastrem rany mu otwiera,
- »Przypominając żonę, co niefortunnego
- »Jest kłopotą jedyną przyczyną onego.
- »Nie je, nie pije we dnie, sen utracił w nocy
- »I siły przyrodzone nie mają swej mocy.

XXVII.

- »Oczy się w najeżonem łbie skryły głęboko,
- »Nos, rozwlokły po wyschłym obliczu szeroko,
- »Nie tylko równać mu się gładkością królowi,
- »Ale najszeptniejszemu zabrania gburowi.
- »Przykra do tego febra tak w skok nastąpiła,
- »Iż w Arnie zostać wszystkich zaraz przymusiła;
- »A jeśli jeszcze co w niem było nieszpetnego,
- »Ginie, jak z kwiatu różej, dawno urwanego.

XXVIII.

- »Prawda to, iż Jokonda żal z serca Faustowi,
- »Ale jakoby się miał wymówić królowi,
- »Barziej myśli; kłamcą być, zwłaszcza u takiego
- »Pana, któremu gładkość równał brata swego,
- »Szkaradna to rzecz, widzi, więc w dobrej pamięci
- »I obietnice swoje i jego ma chęci.
- »Atoli, aby dalej ku Tyczynu jechał,
- »Chociaż schorzały, dziwnych środków nie zaniechał.

XXIX.

- »Nie chce jednak, żeby go widział tak brzydkiego
- »Król nagle, by nie baczył, iż żartował z niego.
- »Ale przez list oznajmił, iż u wszystkich dziwy
- »Będą wielkie, jeśli z nim brat przyjedzie żywy;
- »Bo i niewczas podróżny i powietrza złego
- »Odmiana do kresu go pędzą ostatniego;
- »Gorączka tak go trapi z febrami zimnemi,
- »Iż nie jest ten, jakiego udawał przed niemi.

XXX.

- »Rad był król, o przyjeździe usłyszawszy jego,
- »Bo i wielce poważał przyjaciela swego
- »I nic barziej nie pragnął pod ten czas na świecie,
- »Jeno widzieć schwaloną gładkość, jako wiecie.
- »Ani on o tem myślał ani się frasował,
- »Lub pośledni w gładkości lub będzie przodkował;
- »Wie dobrze, iż nie nazbyt źle dziać się z niem będzie,
- »Choć niżej w porównaniu urodą z niem siedzie.

XXXI.

- »Gdy przyjechał, złożenie w pałacu mu daje,
- »Cieszy go i nawiedza, częścią z niem przestaje;
- »Dostatki wielkie w piciu i w jedzeniu noszą,
- »Czczą, szanują, aby był dobrej myśli, proszą.
- »Ten truchleje: rozkoszna wdzięczność z członków spada,
- »Trupowi podobniejszy, twarz rumiana zbladła;
- »Żadne gry z gonitwami, słodkie luteń strony
- »Nie cieszą go, jak prędko wspomni złość swej żony.

XXXII.

- »Naprzeciwno złożenia jego sala była
- »Stara, lecz insze gmachy wszystkie przewyszczyła.
- »Tam on sam dla ulżenia bólu serdecznego
- »Często chodził, kompana nie biorąc żadnego.
- »Tam się troskami karmił, łązy pił, dręczył srodze,
- »Tam rozpuszczał nieszczęsnem wolne myślom wodze;
- »Tam naostatek znalazł — ktoby się spodziewał? —
- »Lekarstwo srogiem ranom, dla których omdlewał.

XXXIII.

- »W kącie samem, gdzie ciemność, jako noc, się zdała,
- »Żadnego bowiem tamta część okna nie miała,
- »Postrzegł balka, od muru kęs odwalonego,
- »Przez który dawał promień blask słońca jasnego.
- »Przystąpiwszy się, widzi rzecz zaraz cudowną
- »I do wierzenia mało samemu podobną;
- »Chocia w oczach ta sprawa toczyła się jego,
- »Tuszył przecię, iż coś wzrok omamiło jego.

XXXIV.

- »Tą skałubiną wszystkie królowej pokoje
- »Widać było, te zwłaszcza, w których drogie swoje
- »I skarby i klejnoty przedniejsze chowała
- »I do nich żadna panna wnieść nigdy nie śmiała
- »Prócz świadomszej tajemnic. Tam, gdy rzucił okiem,
- »Ujrzał karła, dybiacem co wszedł cicho krokiem;
- »Który wzięwszy się w pasy dość ścisło z królową,
- »Pod się ją chyżo rzucił jakąś fodzą nową.

XXXV.

- »Jokond mniema, widząc to, iż go sny bawiły:
- »Tak rozerwane wtenczas jego zmysły były.
- »Wytrzeszcza oczy: »Co to — mówi — prze Bóg żywy!
- »»Śpięz ja, czyli na jawie widzę takie dziwy?«
- »Potem ledwie samemu uwierzywszy sobie,
- »Na pojedynek, w trefnem co się wszczął sposobie,
- »Patrzac, rzekł: »Takżeś i ty brzydką uwiedziona
- »»Miłością, choć to króla przedniejszego żona?

XXXVI.

- »»Toć ja muszę swej za złe nie mieć, iż zgrzeszyła,
- »»Bo przynamniej z różnem się chłopcem pocieszyła,
- »»I snadno ją wymówić to przede mną może,
- »»Że z zbytnej chęci wspólne znieważyla łoża.
- »»Więc ta płeć ułomna jest od początku świata,
- »»Gdy bystrej zwłaszcza krwi wrzeć młode każą lata.
- »»Mniejsza to, choć z podlejszych sług wzięła jednego:
- »»Ato ta ucześnikiem ma dziw łoża swego!«

XXXVII.

- »Wstawszy nazajutrz, nie chce uchybić godziny;
- »Będzieli jakie bitwy wczorajszej przyczyny
- »Dawać nierówna para, aby widział, życzy.
- »Patrzy, czeka, kwadransy z minutami liczy:
- »Wnet panią, gdy przed karłem wprzód weszła, obaczy,
- »Potem zdrając, co do niej znowu zmierzać raczy.
- »Radzi sobie, ale ta przykro utyskuje,
- »Iż on ją nie tak, jako ona go, miłuje.

XXXVIII.

- »Dziwnie, słysząc te skargi, Jokond się zdumieje;
- »Żal mu króla, co tak się niedobrze z niem dzieje,
- »Barziej, kiedy czwartego dnia zaś ujrzał potem,
- »Iż po karła onego z żalem i z kłopotem
- »Trzykroć pannę królowa cicho posyłała,
- »Ta zaś, iż do niej nie chciał przyść, odpowiedziała,
- »Dla szeląga, który on utracił jednego,
- »Gdy się grą z towarzystwem bawił dnia onego.

XXXIX.

- »Na tak cudowny widok Jokond rozwesela
- »Oczy, zwykłej czołu twarz śliczności udziela;
- »Ociera łzy, już lepszej pełen jest nadzieje,
- »Płacz w radość mieni, sercem i usty się śmieje.
- »Wraca się do pokoju swego, odmieniony,
- »Tłuściejszy, z cerą lepszą, jak urumieniony.
- »Z królem brat, słudzy inszy, co w niem upatrują
- »Taką odmianę prędką, znowu się dziwią.

XL.

- »A jeżeli król z serca życzył sobie tego,
- »Aby wiedzieć mógł zaraz przyczynę nagłego
- »Wesela, niemniej Jokond pragnie wszelakimi
- »Sposoby powiedzieć mu, jako go sztuczniemi
- »Oszukiwano po te czasy fortelami.
- »Lecz chce, aby mu swemi wprzód stwierdził ślubami
- »Słowa o tem nie mówić nigdy namniejszego,
- »Nie gniewać się, póki duch będzie w ciele jego.

XLI.

- »Przysięga król zarazem na to, iż wszystkiemu
- »Dosyć uczyni, choć co opak Jokond jemu
- »Powie na osobliwą szkodę państwa jego,
- »Na zniewagę korony albo uczciwego,
- »Ani się mścić zarazem ani potem będzie
- »W cudzem państwie i swoim, w inszych krajach wszędzie;
- »Nakoniec podobieństwa nie poda żadnego,
- »Przez które winowajca domyśli się czego.

XLII.

- »Dopiero mu powiada Jokond temi słowy,
- »Jak już dla zrad zony swej umrzeć był gotowy,
- »Straciwszy i dobrą myśl i pociechy swoje,
- »A z oczu tylko pędząc obfite łez zdroje.
- »Gdy niewiedomie psował frasunek go tęgi
- »Dla zdrajczynej i ślubu łamce i przysięgi,
- »Co ulubiwszy z chłopców podlejszych jednego,
- »Była mu kwoli w oczach nieszczęśliwych jego.

XLIII.

- »Ato przecię tak ważne na wyszszem zamku było
- »Lekarstwo, iż żal wczora wszystek uśmierzyło;
- »Bo choć to na uczciwem szwank nieladajaki
- »Odniósł, ale iż on sam nie był jeden taki,
- »Rad wielce. Tak z niem mówiąc, do dziury go wiedzie,
- »Przez którą, jak na cudzej kłaczy kształtnie jedzie,
- »Jak kole ostrogami, jako nią kieruje
- »Brzydkie karlisko, wnet mu palcem ukazuje.

XLIV.

- »Tak szkaradny postępek widząc król swej żony,
- »Strętwiał, twarz się zmarszczyła, oczy, jak szalony,
- »Wywraca, prosto ścianą chce tam skoczyć oną.
- »Lecz Jokond obietnicę, przysięgą stwierdzoną,
- »Przypomina; tak zamilkł, gniew przykry połyka,
- »Choć w pół serca uczynek bezecny go tyka;
- »Z żrzenic skry szczere leca, twarz pała ogniami,
- »Gryzie wargi, włosy rwie i zgrzyta zębami.

XLV.

- »Potem rzekł: »Co mam czynić? Powiedz, bracie drogi.
- »»Dla ciebie skarany być występek tak srogi
- »»Nie może; bo co do mnie, jako stoję żywy,
- »»Już bych ja, już gniew pomstą napasł sprawiedliwy«.
- »»Opusćmy — rzecz Jokond — oba zdrajne żony,
- »»A udajmy się wespół różne widzieć strony,
- »»Abyśmy taki figiel cudzem oddawali,
- »»Jaki naszym służkowie marni wyrządzali.

XLVI.

- »Obaśmy młodzi, oba rozkoszną pięknoscia
- »Tak uczczeni, iż trzeci należeć się z trudnością
- »Będzie mógł dla jakiego porównania z nami.
- »Już tak, milcząc, puśćmy się rychło w drogę sami:
- »Snadno białych głów wszędzie dostaniemy takich,
- »Co z naszą wolą myśli będą też jednakich.
- »Jest gładkość, są pieniądze: wprzód się nie wrócimy,
- »Aż z tysiąca żon cudzych korzyść odniesiemy.

XLVII.

- »Wiesz dobrze, jako i czas i pielgrzymowanie
- »Dawniejsze troski z naszych serc i frasowanie
- »Niszczą, starą zaś miłość i serce zranione
- »Goją zabawy, z białą płcią indziej wznowione«.
- »Król to słysząc, puścić się w drogę dnia onego
- »Zaraz chce: tak mu rada podoba się jego.
- »Wychodzą, giermków tylko dwu sobie obrawszy,
- »Spólną miłość i spólną przyjaźń obiecawszy.

XLVIII.

- »Odmieniając się w szaty, już przeszli Francją,
- »Włoską ziemię, Niderland z wesołą Anglią,
- »A takie do białej płci szczęście wszędzie mieli,
- »Iż wnet jem pozwolono wszystkiego, co chcieli.
- »Jeśli oni podarki kosztowne dawali,
- »Tysiąckroć upominki na zad droższe brali;
- »Siła proszą pań, by jem chęć swą oświadczały,
- »Lecz więcej tych, co się zaś w ich miłość wpraszały.

XLIX.

- »W tej prowincyjej miesiąc, a w tej dwa mieszkają,
- »Nie ruszając się, aż gdy próbę pewną mają
- »Osobliwej czystości białych głów i wiary;
- »Cóż potem, jeden wszystkich widzą zwyczaj stary:
- »Jaka w ich domiech, taka i tu się najduje
- »Cnota; żaden z nich lepszej nigdy nie szlakuje.
- »A potem w jednej tylko już się kochać chcieli
- »Dla niebezpieczeństwa, co wielkie stąd widzieli.

L.

- »Jednę nalazszy, chować spólną uradzili,
- »Byle gdzie obyczajną, piękną utrafli,
- »Coby zarówno wolej obu wygadzała,
- »Zwłaszcza iż zazdrość w sercach ich postać nie miała.
- »Bo czemuż — mówi mu król — dwaj w jednej nie mamy
- »Kochać się? Białogłowski wszak obyczaj znamy:
- »Sam wiesz, iż takiej na świat natura nie dała,
- »Któraby na mężczyźnie jednym przestać miała.

LI.

- »Tak będziem bez wszelkiego mogli mieć silenia
- »Przyrodzone, gdy jeno zechcem, pocieszenia.
- »Spórki żadne nie będą trwały między nami:
- »Jeśli co przypadło, wnet pogodziem sami.
- »Więc każda snadno na to, tuszę ja, pozwoli,
- »Bo któraż za jednego dwu w łóżku nie woli?
- »I wierniejsza podomno mężom będzie dwiema,
- »Wiarą, cnotą popisać chcąc się przed obiema«.

LII.

- »Słyszac mowę Rzymianin króla swego taką,
- »Na zdanie i na wolą z niem przypaść jednaką.
- »Chodzą po różnych miejscach, zwykle odprowadzają
- »Igrzyska, na ostatek, co chcieli, najdują.
- »Bo gdy się w Walencyej czas jakiś bawili,
- »Gospodarską trafunkiem dziewczynę zoczyli;
- »Smągłej urody, kształtna i nadobna była,
- »O rzecz domową z gośćmi staranie czyniła.

LIII.

- »Pierwszych czasów rozkoszne lata i wiek młody
- »Nad śnieg bielsze zawsze jej rumienił jagody.
- »Ociec, co niedorosłych synów miał niemało
- »I któremu ubóstwo zbytnio dokuczało,
- »Nie dał się długo prosić, kiedy nalegali
- »O córkę i pieniędzy coś siła dawali;
- »Dał ją jem, pozwoiliwszy, by ją z sobą wzięli
- »I do swego królestwa, jeśli będą chcieli.

LIV.

- »Biorą pannę i pociech z nią obfite zdroje;
- »Raz ten, drugi raz zaś ów ma rozkoszy swoje;
- »Tak więc wzajemne miechy jednako dmuchają,
- »Gdy w kominach kowalskich płomień z węgla dają.
- »Stamtąd Hiszpanią prześć wszystkie umyślili,
- »Potem pragną, Afrykę aby nawiedzili.
- »Jadą już z Walencyej, wieczora pierwszego
- »W Zacie u gospodarza stanęli jednego.

LV.

- »I zaraz według swoich dawniejszych zwyczajów
- »Idą kościoły, gmachy widzieć onych krajów;
- »Bo tak, gdzie jeno kolwiek w cudzej ziemi byli,
- »Chcąc doskonalszą biegłość w rzeczach mieć, czynili.
- »Dziewczyna zaś z drugimi została służkami
- »Dla siania, a ci koni by dojrzeli sami;
- »Jedni na przyscie pańskie wieczorą gotują,
- »Ci poruczonych sobie spraw innych pilnują.

LVI.

- »Beł młodzieńczyk w gospodzie, co czasu przeszłego
- »Służył u gospodarza w Walencie onego;
- »Z dzieciństwa w tej panience kochał się i ona
- »Miłością była k niemu z pierwszych lat wzruszona.
- »Postrzegł ją, jako prędko z niemi przyjechała —
- »Czegóż miłość nie widzi, choć ślepą została? —
- »Lecz z podejrzeniem zgiełku bojąc się jakiego,
- »Przywitanie odłożył do czasu pewnego.

LVII.

- »Aż gdy goście odeszli, wnet się dowiaduje,
- »Co to są za panowie, gdzie z niemi wędruje.
- »Powiada mu Fiametta — gdy ją krzcić kazali,
- »Takowe jej rodzice imię własne dali —
- »Wszystkę sprawę. »Niestetyż, jako me nadzieje —
- »Mówi Grek, tak zaś służkę zwano — wiatr rozwieje!
- »Gdym się spodziewał z tobą żyć, kochanko moja,
- »»U samego mię śmierci zostawiasz podwoja!

LVIII.

- »Już dotąd ciepły z oczu mych strumień popłynie,
- »Póki ciało w proch, a duch w wiatr się nie rozwinie.
- »Takżeś to już jest cudza, takli mię odbiegasz,
- »Tak serce chcąc rozedrzeć me, gwałtem go sięgasz!
- »Jam umyślił, pieniędzy dostawszy z trudnością,
- »Twojem być, wiecznie twoją chlubić się miłością,
- »I na zad wróciwszy się do ojca twojego,
- »Prosić, aby mi szczęścia nie zazdrościł tego«.

LIX.

- »Ścisłała ramionami uboga dziewczyna,
- »Klnie się srodze, przysięga, iż nie z niej przyczyna,
- »Lecz omieszkanie jakieś i niedbalstwo jego
- »Trosk takowych z żałością nabawia samego.
- »Dopuść przynamniej — ten zaś mówi jej chudzina —
- »Kiedym tak nieszczęśliwy, gdy jest przy mnie wina,
- »Abym wylał na rękach twych ducha nędznego,
- »Nim ucześniekiem będzie wzrok odjazdu twego«.

LX.

- »Gdy płacz gorzki i łkanie ciężkie upatruje,
- »Fiametta poruszone serce w sobie czuje.
- »Wierz — mówi — jeśli z serca przedtem cię lubiła,
- »Iż wszystko i terazbym, co chcesz, uczyniła;
- »Ale czasu i miejsca nie widzę po temu:
- »Każdy z nich pilnować mię każe oku swemu«.
- »On na to: »Jestli jaka miłości skra w tobie
- »»Dawnej, każ mi posłużyć przyszłej nocy sobie«.

LXI.

- »A to jako być może? Czyś zbył — rzekła — swego
- »Rozumu? Ja na rękach tego lub owego
- »We śródku każdej nocy sypiam między niemi,
- »Bawiąc ich rozmowami do świtu lubemi«.
- »Mniejsza to — odpowie Grek — nauczę ja ciebie,
- »Jak będziesz miała wspólnej wygodzić potrzebie;
- »Tylko pozwól, a dzisiaj użałuj się mego
- »»Nieszczęścia, do pokoju wpuściwszy mię swego«.

LXII.

- »Myśli trochę, słysząc to, potem mu kazała
- »Przyść w ten czas, gdy w pierwospy dusza każda spała;
- »Jako drzwi otworzywszy miał postąpić sobie,
- »Którędy przyść do łóżka, uczy w onej dobie.
- »Grek czuły według nauki mistrzyni kochanej
- »Godziny, jak posnęli wszyscy, pożądanej
- »Dopatrzy, idzie cicho, drzwi otwiera małe,
- »Dybie pomału, kroki włócząc ociężałe.

LXIII.

- »Stopy szeroko kładzie, a zadnią się wspiera,
- »Nos ściska, głębę dłonią dla tchnienia zawiera;
- »Tak więc ostrożnie chodzić w pociemku pragniemy,
- »Gdy goździa lub śkla zdeptać ostrego nie chcemy.
- »Rękę przed sobą niesie, ślepej drogi maca,
- »Chód, jako zawieszony, do łóżka obraca.
- »Nalazł je, a przyjaciół dwu postrzegszy, nogi
- »W zad cicho cofnął: strach go zrazu przejął srogi.

LXIV.

- »Zaś przystąpił i między Fiametcine obie
- »Kolana wemknąwszy się w cudownem sposobie,
- »Twarz z twarzą i swe ręce zrównał z jej rękami,
- »Oczy, czoło i wargi całuje wargami;
- »I tak trzyma się na niej aż do dnia samego:
- »Jedzie mocno, bydlęcia dopadszy dobrego,
- »Nie posztą, bo odmieniać nie chce zawodnika,
- »Woli klusem całą noc biedz bez przewodnika.

LXV.

- »Słyszał król, słyszał Jokond tenten biegu tego,
- »Bo łóżko z niemi wespół z ruchania częstego
- »Chwiało się; ale jednej obaj myśli byli,
- »Przeszkadzać sobie wspólnej jazdy nie zyczyli.
- »Grek potem, gdy swą drogę wesoło odprawił,
- »Poszedł, a w pośrodku ich Fiamettę zostawił;
- »Która wstawszy, do panów chłopiąt zawołała,
- »Widząc, słońcu jutrenka iż ustępowała.

LXVI.

- »Król zasię rzecze, wstając, Jokondowi swemu:
- »»Leż ty, bracie, a spoczni utrudzeniu twemu,
- »»Bo tej nocy tak wielką odprawiłeś drogę,
- »»Iż się ja wydziwować tej pracy nie mogę«.
- »Wnet Jokond rozśmiawszy się, tak odpowie jemu:
- »»Raczej ty, królu, zdrowiu sfolguj, radzę, twemu;
- »»Po tak ciężkiej robocie, chcę, byś go szanował:
- »»Dosyć, iżes całą noc na kłaczey polował«.

LXVII.

- »»Bez wątpienia — rzekł zaś król — uwierz mi żadnego,
- »»Zemknąłbych był zraz charta ze smyczy mojego;
- »»Aleś ją sam tak dobrze osiadł przeszłej nocy,
- »»Żeby cię był nie zraził mąż najwiętszej mocy«.
- »»Twój sługa — znowu Jokond — jestem — rzekł do niego —
- »»Uczyn to, gdy jeno chcesz bez żartu takiego.
- »»Znam ja moję powinność: rad ustąpię tobie,
- »»Gdy tego szczywania częściej będziesz życzył sobie«.

LXVIII.

- »Kiedy temi żartami na się nacierali,
- »A po nich do ostrzejszych słów przystępowali,
- »Rozumiejąc, iż jeden śmieje się z drugiego,
- »Gdy w nocy nie chciał konia ustąpić spólnego,
- »Zawołali Fiametty, co poblizu była,
- »A twarz bladą z przestachu bojaźń jej czyniła,
- »Aby sama przed niemi szczerze powiedziała,
- »Z kim tak wiele mił, wespół leżąc, ujechała.

LXIX.

- »Z krzywa patrząc, z Jokondem dowiedzieć się tego
- »Chce król, kto przy nich wczasu zażywał lubego;
- »Sami do odpowiedzi uszu nadstawują,
- »Kto skłamał, kto się zaparł, wiedzieć usiłują.
- »A ta do nóg królewskich nizko się rzuciła,
- »Grzech wyznawa; aby go odpuścił, prosiła;
- »Wątpi o zdrowiu, widzi, iż zdradę poznano,
- »Co się jej, jako żywo, wziąć nie spodziewano.

LXX.

- »Odpuść mi — mów — panie i ty, proszę, drugi,
- »Żem na uprzejme wspomnieć musiała posługi
- »I na gorącą miłość chłopięcia jednego,
- »Która się już nie mogła zmieścić w sercu jęgo«.
- »Potem szczerze rzecz samą zaraz powiedała
- »Przed niemi, jako mu przyść do siebie kazała,
- »Tusząc, że się żaden z nich nie domyśli tego,
- »Raczej rozumieć będzie jeden na drugiego.

LXXI.

- »Jokond z królem po sobie pojrzawszy, zdumieli,
- »Dziwią się, bo jeszcze nigdy nie słyszeli,
- »Aby kiedy inszy dwa byli oszukani
- »Tak sztucznie i niewieścich zdrad w sieć uwikłani.
- »A gęby otworzywszy, śmiechu serdecznego
- »Zażywają, łózka się ułapiwszy swego,
- »Na które się pospołu oba porzucili,
- »Trzymają się za piersi, oczy zamrużyli.

LXXII.

- »Zaledwie już od śmiechów oddychają onych,
- »Które jem wyciskają łzy z oczu zamkniętych;
- »Mówią: »Jako pilnować żon swoich będziemy,
- »Jeśli dwaj tej, z nią leżąc, ustrzedz nie możemy?
- »Chociaby oczu miał mąż, jak włosów, na głowie,
- »Nie ustrzeże jej nigdy, wierz, królu, mej mowie.
- »Ato ta między nami dość ściśło sypiała,
- »Przecię obu, sam widzisz, chytrze oszukała.

LXXIII.

- »Tysiąceśmy białych głów pięknych probowali,
- »Między temi i jednej jeszcze nie doznali,
- »Aby odmówić miała i gardzić prośbami;
- »Toż i drugie uczynią i postąpią z nami.
- »Jednaka ich jest wola, chęć i skłonność wszędzie,
- »Ale ostatnią próbą niech nam i ta będzie.
- »Słusznie tedy, iż do żon swoich się wrócimy,
- »Gdy cnotliwszych wyszukać nad nie nie możemy«.

LXXIV.

- »Tak rzekł Jokond, a potem Fiametcie kazali
- »Po jej kochanka, bo chcą, aby go poznali.
- »Ta go przyprowadziwszy, stawiała przed niemi,
- »Ci zaś wzięwszy oboje, w domu przed wszystkiemi
- »Posag, dostatki dają i ślub jem brać kaza,
- »A sami się do domu powrócić odważą.
- »Wsiedli na konie, jadą wprost ku zachodowi
- »Ani się chcą przeciw swych żon występкови«.

LXXV.

- Tu gospodarz, po większej już zemdlony części,
- Przestał i swojej koniec uczynił powieści.
- Słuchał pilno Sarracen, słowa namniejszego
- Nie mówiąc do skończenia prawie ostatniego;
- Potem rzekł: »Ja się pierwszy nie dziwuję temu
- »I wierzę, że przeciwko narodowi złemu
- »Chytrych niewiast męczyzna lekarstwa żadnego
- »Nie najdzie, choćby szukał aż do dnia sądnego«.

LXXVI.

- Co słuchali pospołu, jeden między niemi
- Beł mędrszy i obciążon laty dojrzałemi;
- Ten nie mogąc trwać, aby dłużej białe głowy
- Miały być tak przykremleni znieważane słowy,
- Do gospodarza twarz swą obrócił onego
- I rzecze: »Dosyćśmy cierpieli twojego
- »Fałszu, który namniejszej nie ma prawdy w sobie;
- »Nabajałeś się, bracie: czas już milczeć tobie.

LXXVII.

- »I temu ja nie wierzę, coć tę historiją
- »Powiedział, nienawiścią rzecz swą zdobisz czyją.
- »Choćby ewangelista dobrze beł ten isty:
- »Już tu hojnie jad wylał na nich oczywisty
- »I złem raczej mniemaniem mówił uwiedziony.
- »I z rozsądka zdrowego beł snąć obnażony.
- »Słyszałbyś beł, przysięgę ja tobie, od niego
- »Insze słowa, gdyby gniew nie wrzał w sercu jęgo.

LXXVIII.

- »I kiedyby był prawdę chciał powiedzieć tobie,
- »Szersze pole chwalić ich i smakować sobie
- »Z materyą mógł on mieć tysiąckroć prawdziwszą.
- »Bo cóż za dziw, choć kiedy jedną mniej cnotliwszą
- »Miedzy dobrami widział? Miałże już zarazem
- »Lżyć, potępiać i mieszać dobrych z złymi razem?
- »Wiedz, iż twój Waleryusz nie mówiłby tego,
- »By się radził rozumu, a nie gniewu swego.

LXXIX.

- »I ty sam powiedz, jakoć mił jest ten wiek stary,
- »Z swemi gości, jeśliście dotrzymali wiary
- »Żonom waszem, gdy różna czasem się trafiła
- »Okazy, do cudzych co was prowadziła.
- »Wiem, iżście nie jeno dość często prosili
- »Nadobnych, ale jeszcze i z chęcią płacili.
- »Bo takiej nie mogliście, coby się kłaniała
- »Wam sama, należeć nigdy, choć złą sławę miała.

LXXX.

- »Więc niepodobna to jest, aby miedzy wami
- »Był ten, coby poigrać z cudzemi żonami
- »Nie chciał, nadzieję tylko wzięwszy przed się taką,
- »Iż z swem zamysłem wolą najdzie ich jednaką.
- »Cóż, kiedyby was samych wprzód jeszcze wzywano,
- »Albo podarki jakie umyślnie dawano!
- »Wyskoczyłby i z skóry od radości drugi,
- »Chcąc się zachować, chcąc swe oddać w skok posługi.

LXXXI.

- »Tych zrad, których po żonach doznali mężowie,
- »Jeśli każdy z nich szczerą o tem prawdę powie,
- »Sami byli przyczyną w domu własnem, tego
- »Nie biorąc, co chcieli mieć u sąsiada swego.
- »Miłuj, bracie, aby cię wzajem miłowano,
- »I bierz tą miarą z chęcią, jakąć dawać chciano.
- »Na ten uraz lekarstwo prędkobyście mieli,
- »Gdyby na zdaniu mojem wszyscy przestać chcieli.

LXXXII.

- »Niechby to prawo było, aby każda żona
- »Dała garło, w tem grzechu brzydkim należona,
- »Jeżeli nie dowiedzie na męża swojego,
- »Że on też wszeteczeństwa winien był takiego.
- »Bo inaczej zażby był sędzia tak surowy,
- »Coby słusznie wyzwolić nie był jej gotowy?
- »Bóg sam rzekł, iż wyrządzać drugim nie masz tego,
- »Coć nie miło, obraża co ciebie samego.

LXXXIII.

- »Sama tylko miłość w nich przyczytać się może,
- »Co do osławy trochę u ludzi pomoże;
- »Lecz na to miejsce my zaś jako wiele złego
- »Czyniemy, porównania w tej mierze żadnego
- »Mieć nie możemy: hultajstwa, złodziejskie roboty,
- »Zdrady, gry i pijaństwa, rozmaite niecnoty,
- »Mężobójstwa tyrańskie, wydzierstwo z lichwami
- »Są mężczyzn sprawki naszych, przyznacie to sami.

LXXXIV.

A potem chciał przykłady dowodzić słusznymi,
 Iż to prawda, dopiero co mówił przed niemi,
 I jak darmo białą płęć na sławie szkalują
 Ci, co jem uczciwego swą gębą ujmują.
 Ale Sarracen, słuchać co nie myślił prawdy,
 Bo przysiągł w nienawiści mieć ten naród zawdy,
 Zgrzytnął, z krzywa pojrzawszy; ten też umilkł zatem,
 Nie chcąc z Rodomontem w gniew zachodzić zębatem.

LXXXV.

Który po onej wspólnej obudwu powieści
 Siadł jeść za stół, a potem, gdy gęste ciemności
 Świat zaślepiły, w łóżko dla spania się kładzie.
 Lecz żal gryzie go przecię, myśl wszytką o zdradzie:
 Klnie swą dziewczkę, a lub to zamknąć usiłuje
 Powieki, świeża krzywda sen mu odejmuje;
 Potem widząc Febusa promienie świeżego,
 Wstał i morzem chce jechać do królestwa swego.

LXXXVI.

Więc i konia, na wzgardę co go Rugierowi
Wziął z sobą, żał mu było, jako rycerzowi
Dobremu, trudzić dalej, bo po dwa dni całe
Bez odpoczynku prace dawał mu niemałe
Ani go opatrował, troską obciążany,
Jako beł w gospodarskiej stajniej postawiony:
Na barkę go wziąć kazał, iść za życzliwemi
Wiatry spodziewa się być prędzej w swojej ziemi.

LXXXVII.

Sam wieść bez omieszkania za niem się gotuje;
Jeszcze na brzegu stoi, a już rozkazuje
Odepchnąć się: zarazem wszystkie chęci jego
Zbyć z oczu co najprędzej kraju przemierzonego.
Wsiadł, barka zaś na Sonnie leci, jako strzała,
Bo i ludzi i rzeczy mało w sobie miała;
A wzgarda po staremu serce mu przejmuje,
Na wodzie i na koniu, wszędzie go najduje.

LXXXVIII.

Ciężkie myśli mieszkanie czynią w sercu jego,
Radę precz wypędziwszy, rozum, siłę z niego.
Nie widzi odpoczynku, nie widzi wytchnienia;
Domowy nieprzyjaciół, srożąc się, ulżenia
Namniejszego i we dnie i w nocy nie daje,
Z którym w piersiach straszliwa wojna co raz wstaje.
Biedzi się, żadnego mieć nie może ratunku
W niespodziewanych wzgardach, w nieznośnem frasunku.

LXXXIX.

Cały on dzień i całą noc współ żeglował,
A lub to nienawistne brzegi zostawował,
Krzywdą przecię głęboka we wnętrzościach tkwiła
I z królem Doraliki zapomnieć nie dała.
Jednaka męka z bólem jednakiem mu szkodzi,
Choć się umknął na morze, choć jedzie na łodzi;
Ani on gasi wodą ognia nieszczęsnego
Ani mieni trosk miejsca odmianą tamtego.

XC.

Jako kiedy gorączka zemdlila chorego,
Szukać zwykł rozmaitych miejsc dla wczasu lepszego;
Raz na ten bok kładzie się, na drugi zaś potem,
Aby sfolgował z przykrem tesknicy kłopotem;
Próżno pracuje nędznik, daremnie się sili,
Bo ta o zwykłej ledwie opuszcza go chwili:
Tak pohaniec nie może nigdy należeć swemu
Pomocy, co go trapi ustawicznie, złemu.

XCI.

Na ostatek zbrzydziwszy sobie statki ony,
Chce, by go żeglarz na brzeg wysadził przestrony.
Mija Lion z Wienne i Walencą zatem,
Bieży w Awinionie po moście bogatem.
Bo te wszystkie powiaty, jako długie stały,
Co ich u Celtyberu rzeki oblewały,
Oddają posłuszeństwo z Afryki królowi
Odtąd, jako ich minąć kazał obozowi.

XCII.

Nad jeziorem po prawej stronie drogą jedzie,
A zbóż i win obfitość widzi wielką wszędzie;
Potem do wioski jednej przybył zmordowany,
Z której lud, żołnierzowi na korzyść wydany,
Rozbiegł się i uczynił puste domy swoje,
Gdy swawola i przykre dokuczały boje.
Stąd wały srogie huczą po morzu głębokiem,
Stąd kłosa w polu pływać zdadzą się szerokiem.

XCIII.

Tam się zastanowiwszy przy kościółku małym,
Który stał na pagórku blisko okazałym,
Beł i wewnątrz od pogan szpetnie spustoszony
I od księżej z bojaźni dawno opuszczony,
Na mieszkanie do czasu obiera go sobie,
Dając znać, iż go smutek żywo kładzie w grobie.
Ażeby go wieść żadna nie doszła z wielkiego
Obozu, państwa nie chce dojechać swojego.

XCIV.

Odmienia przedsięwzięcie, Algierem się brzydzi,
 Wczesne męczyć się smutkiem miejsce ono widzi.
 Sług z wozami, co było, i konia dzielnego
 Wprowadził do kościółka zarazem onego.
 Od Monpoliera to miejsce blisko było,
 Z pięknem kilka mil zamkiem w stronę graniczyło;
 Wioska w bok nad wesołą rzeką pusta stała,
 Wielki śródkiem gościniec jadącym dawała.

XCV.

W tem miejscu gdy dzień mieszkał Sarracen strudzony,
 W myślach przykrych, jako zwykły, wszytek pogrążony,
 Przez łąkę, zielonemi trawami okrytą,
 Ujrzał dróżkę, mało co wozami ubitą;
 A po tej nadobniuchna panienka jechała,
 W towarzystwie jakiegoś z sobą mnicha miała.
 Za niemi koń dosuży, na grzbiecie którego
 Skrzynia, odziana dekiem z sukniska czarnego.

XCVI.

Kto to jechał i coby pod przykryciem mieli,
 W pierwszej pieśni jużście poniekąd słyszeli;
 Najniefortunniejsza to Izabella była,
 Co Zerbina swojego ciała grześć myśliła.
 Staruszek ją nabożny przez ten kraj prowadzi,
 Aby świat opuściwszy, mniszką była, radzi.
 I tak mógł wiele sprawić słowami świętymi,
 Iż chce z rozkoszami świat opuścić marnemi.

XCVII.

A choć tak smutnej twarzy i wejrzenia była,
 Iżby snadno serc dzikich bestyj poruszyła,
 Jedno za drugim gdy śle z wnętrza głębokiego
 Westchnienie, co wiatr grzeje powietrze wolnego,
 Żrzenie, jako dwie źródła, z których ustawiczny
 Strumień bieży, wzrok dwu gwiazd jaśniejszych ćmiąc śliczny,
 Przecię miłość w swej władzej wszystkie członki miała
 I razy nieuchronne z każdego ciskała.

XCVIII.

Zajrawszy jej pohaniec, zaraz myśli one
 Precz rzuca, co w swem sercu miał postanowione,
 W białej głowie, choćby też napięknieszka była,
 Nie kochać, póki w ciele dusza będzie żyła;
 Ale mu Izabella godną się być zdała,
 Aby w niej wtóra miłość jego przemieszkała.
 Tak gasi pierwszy zapał, z przysięgą się mija,
 Obietnic zapomina, klin klinem wybija.

XCIX.

Wychodzi przeciwko niej, najłagodniejszemi
 Myśląc się przypodobać wprzód słowy swojemi;
 Pyta o urodzenie, jakiegoby była
 Stanu, więc co za troska piękność poszpeciła.
 Ta odpowiada, jako światu odmiennemu
 Służbę wypowiedziawszy, już Bogu swojemu
 Oddała się. Sarracen, co z nabożeństw szydzi,
 Wiary nie zna, a niebo bajką mu się widzi,

C.

Mówi jej, iż to zamysł lekki i zmyślony;
 »Bo jako łakomego, co w skarb zgromadzony
 »Swe serce wlał, przemierzone skępstwo jest każdemu,
 »Którym najmniejszych pociech sobie i drugiemu
 »Nie czyni, tak i swoją rozkoszną urodę
 »Chcesz skryć w klasztory światu wszystkiemu na szkodę
 »Niech się niedźwiedź, smok i lew zamyka z węzami,
 »A ty, o wdzięczna dziewczko moja, mieszkaż z nami!«

CI.

Mnich, co uszu przykładął na tę powieść jego,
 Bojąc się, przedsięwzięcia aby tak świętego
 Nie zraził królik żalem panny napełnionej,
 Duchownem chce pokarmem zabiedz mowie onej;
 Słów używa poważnych, rozkosz świecką gani,
 Szczęśliwych zowie, na stan co mniski wybrani.
 Rodomont, potrawami iż wzgardził takimi,
 Na zakonnika pojrzał oczyma wściekłymi.

CII.

I rzecz jego fukaniem gniewliwem przerywa,
 Do swej u boku broni zaraz się porywa,
 A potem wolne puszcza wodze swej wściekłości,
 Milczeć każe i z konia bez wszelkiej litości
 Zrzuca go — dalej zasię co się z niemi działo,
 W inszej pieśni o wszystkim będzie się pisało;
 Żałować mnichowego przypadku będziecie,
 O którym niezadługo wiadomość weźmiecie.

KONIEC PIEŚNI DWUDZIESTEJ ÓSMEJ.

PIEŚŃ DWUDZIESTA DZIEWIĄTA.

A R G U M E N T.

Wstydliva Izabella, aby zatrzymała
 Panieństwo, Rodomonta nędznie oszukała,
 Namówiwszy bez wielkiej prace pijanego,
 Iż jej od ciała głowę szablą ściał pięknego.
 Ten zaś most zbudowawszy, z końców go zawiera,
 Przechodzących rycerzów z szat i zbrój odziera;
 Potem z grabią, co dziwne wszędy zostawuje
 Swego szaleństwa znaki, w pasy się mocuje.

A L L E G O R Y E.

W tej dwudziestej dziewiętej pieśni przez dziwnie rzadki sposób, którego napiękniesza użyła Izabella na obronę czystości swojej, woląc raczej garło dać, aniżeli ją stracić, jawnie tę serdeczność, tę wspaniałość i wielką cnotę, o której w tych całych księgach autor traktuje, zacnych można widzieć białych głów; przeciwnem sposobem w Rodomencie, który chcąc być do śmierci nieobrażonem, a nie mając wolej nadobnej Izabelli przysięgi spełnić, dał się głupio oszukać, ukazuje się, jako niepowściągliwe zamysły i głupie chciwości nie mogą nigdy prawdziwego światła subtelnej poznać mądrości.

S K Ł A D P I E R W S Z Y.

Tak jest niepewny zamysł człowieka każdego,
 Że nigdy statku w sobie nie miał namniejszego.
 Płochosć jakaś często się w sercach naszych rodzi,
 W tej zwłaszcza sprawie, która z miłości pochodzi.
 Nieuczciwemi z Sarce król niedawno słowy,
 Rozgniewany, lżył przykro wszystkie białe głowy,
 Zapal wewnętrzny tak gasząc łzami, które leje
 Z oczu swych, iż go wzniecić już nie ma nadzieje.

II.

Nic to, o szlachetna płci: pomogę ja tobie
I ukazę, iż głupio w tem postąpił sobie,
Piórem, mową, rozumem dokazawszy tego,
Że występku żałować będzie musiał swego
I weźmie to w swą gębę sposobem nietajnem,
Co gniewem uwiedziony rzekł nieobyczajnem,
A raczej wolałby być w swojej nie mieć gębie
Języka, niż dać przykład kaźni takiej z siebie.

III.

Bo mówił bezrozumnie, jak jeden szalony,
Co statku nie zna, w swoich myślach rozdwojony;
Gniewem dopiero pałał przeciwko wszystkiemu
Narodowi bez braków żadnych niewieściemu:
Teraz na jednej dziewczki wesołe pojrzenie
Jad morzy, swe odmienienia wnet postanowienie;
Królewny zapomina, już jej nie żałuje,
Na jej miejsce tej zyskać miłość usiłuje.

IV.

Tak go rozpala gładkość nowa i zagrzewa,
Iż żadnych odpoczynków w swem sercu nie miewa;
Przeszkodzić zamysłowi chce zaraz świętemu,
Broni, aby oddać się miała Bogu swemu.
Pustelnik, co w nieszczęściu podał jej swą rękę
I srodze utrapioną pod swą wziął opiekę,
Zastawia się potężnie, powiada przyczyny,
Iż nie ujdzie, kto śluby łamie Bogu, winy.

V.

Świętych słów i poważnej pustelnika mowy
Nie mógł już dalej słuchać pohaniec surowy;
Widzi, iż darmo, aby przestał, zakazuje,
Bo mnich śmiały w swych naukach dalej postępuje.
Widzi, jak przedsięwzięciu jego jawnie szkodzi,
Przymierza nie chce, swego upornie dowodzi.
Ręce podniósł, kolerą wściekłą rozpalony,
I oraz wyrwał z brody siwej włosy ony.

VI.

Potem go niesłychana furja ruszyła
I katem krwie niewinnej chciwem uczyniła:
Porwał mnicha za nogi, którem cztery razy
Obrócił nie bez znacznej na zdrowiu obrazy
I ku morzu rzucił niem, że ja już sam mało
Wiedzieć mogę, co z ciałem nieszczęsnem się zstało.
Różni różnie o strasznej śmierci powiadali:
Ci, iż członki rozbite o skałę zbierali,

VII.

Drudzy zaś, po powietrzu iż lecąc wysokiem,
Utopiony był w morzu nakoniec głębokiem,
Które trzy mile stamtąd brzegi oblewało,
Skąd go szaleństwo króla z Algieru wysłało;
Trzeci, iż święty jakiś, którego on sobie
Ważył wielce w nieznanem wyrwał go sposobie.
O tem niech według wolei każdej wierzy swojej,
Bo on więcej nie będzie wspomnian w pieśni mojej.

VIII.

Rodomont, gdy sposobem takim mnicha zbywa,
Łagodnych słów i mowy pochlebnej zażywa;
Twarz srogą uspokaja, oczy, co ciskały
Skry gniewów, wesoły wzrok zaraz podawały.
Tysiąc sposobów, które między miłościami
Zwyczajne, z gorącemi posyła prośbami;
Mówi do Izabelli: »Żywot, serce moje
»Ty jesteś, bo ja tobie już darował swoje«.

IX.

I z okrutnika zaraz łaskawy się zostaje,
Zapalczywości znaku żadnego nie daje.
Tak swe utopił żądze w niebieskiej gładkości,
Iż w ocemgnieniu zwykłych zabywa srogości;
Obyczajniejszym już jest, gasi jad przekłętą,
Prosi, za sługę od niej aby był przyjęty,
I z miejsca odyść na piądz nie myśli tamtego,
Aż co sprawi, aż miłość skutek weźmie jego.

X.

Tuszy, iż ją zwyciężyć może łagodnemi,
 Jak nalżej postępując, prośbami swojemi.
 Izabella, co jeszcze zadumiała stała,
 Jako straszny przypadek staruszka widziała,
 Tem barziej trwoży sobą, jak szczurek ubogi,
 Gdy w ostre ułapił go pazury kot srogi;
 Patrzy po stronach i wśród ogniaby skoczyła,
 Byle czystości świętej jako obroniła.

XI.

Już, już po większej części zwątpiła o sobie,
 Pragnie własną ręką śmierć sama zadać sobie
 Wprzód, niż srogi Rodomont swe brzydkie chciwości
 Nasyciwszy, większej ją nabawi żalości.
 Najmniejsza się jej dobra nie trzyma otucha,
 Rycerzowi, co swego na jej łonie ducha,
 Zabity, wytchnął, krzywdy nie chce czynić takiej,
 By z królem z Sarce wolej miała być jednakiej.

XII.

Widzi nieszczęsna dziewczka, iż zamysły jego
 Na tem wszystkie, choć mocą aby dopiął swego.
 Coraz do niej poganin srogi się przyrymka,
 Ta zaś pomału na zad swych kroków umyka;
 Nakoniec w nagłym razie lekarstwo najduje,
 Którym u Rodomonta czystość okupuje,
 Godna, aby jej cnota wspomiana była,
 Póki swem luna będzie promieniem świeciła.

XIII.

Rzecz Sarracenowi, co po prośbach onych
 Już swych zaraz zażyć chciał sił nieokróconych,
 Zapomniawszy ludzkości, którą pokazywał,
 Gdy się anielskiej zrazu twarzy przypatrował:
 »Pozwól mi kilka, proszę, słów przerzec do siebie,
 »Chceszli, iż dziwnej sztuki wnet nauczę ciebie,
 »Sztuki, która tę gładkość tysiackroć przechodzi,
 »Coć tak miła, co serce twe w okowach wodzi.

XIV.

»Dla rozkoszy znikomej nie trać tego, radzę,
 »Czem cię z najprzedniejszymi zarówno posadzę
 »Bohatyrami, wieku co byli dawnego
 »I których męstwo kresu nie pozna żadnego.
 »Wytrwaj trochę, wszak takich możesz naleźć wiele,
 »Z którymi rozkosz i swe będziesz miał wesele;
 »Ale podarek, com go ja nagotowała,
 »Wątpię, by taki drugi insza tobie dała.

XV.

»Znam jedno ziele dobrze i oczyma temi
 »Widziałam, jako roście na najtłustszej ziemi,
 »Które do cyprysowych ogniów przystawione,
 »Z rutą i z bluszczem długo pospołu warzone,
 »Wyda sok drogi z siebie, sok nieprzepłacony,
 »Lecz ten najczystsza ręką ma być wygnieciony;
 »Tem kiedy kto swą trzykroć skórę nasmaruje,
 »Od szable i od ognia szkody nie poczuje.

XVI.

»To jednak wiedzieć trzeba, iż takie mazanie
 »Ciał naszych jeden miesiąc w swej mocy zostanie,
 »Po którym nikt najtwardszą nie będzie raniony
 »Bronią ani najsroźszem ogniem upalony.
 »Po czasie zaś moc traci i trzeba nowego,
 »Kto pragnie nad stał ciała do wojny twardszego.
 »Ja to zrobię i próbę dziś widzieć będziecie,
 »Przez którą snadno wszystek świat posieść możecie.

XVII.

»Za tę pracę podarku nie proszę inszego,
 »Tylko przysięgi, którą bronić uczciwego
 »Powinni mi będziecie i czystości mojej,
 »Aż szczęśliwej roboty dam wam koniec swojej». To mówiąc, Rodomonta do tego przywodzi,
 Iż nie tak na uczciwe jej, jak przedtem, godzi;
 Ważniejsze śluby czyni, niżli sama chciała,
 Byle go niepożytem przez miecz udziała.

XVIII.

Szczerze wiary dotrzymać z klątwą obiecuje,
Mocy nad złoto droższych soków się dziwuje,
Na ostatek i słowa wyrzec plugawego
Nie chce, póki niem ciała nie namaże swego.
Do końca jednak strzymać nie myśli przysięgi:
Tak mu płomień miłości serce zagrzał tęgi,
Więc nie zna, co wstyd z wiarą, co jest Bóg z świętami,
Bo machlarstwem miał przodek zdrajca przed wszystkimi.

XIX.

Które chytry pokrywa, prosi Izabelle,
By sobie poczynąła bezpiecznie i śmieie,
A wódkę co napręcej dziwną gotowała,
Któraby z Achillesem, z Cygnem go zrównała.
Ta po padołach, skałach, przykrych górach chodzi,
W lasach ciemnych, gdzie gęsty list wdzięczny chłód rodzi,
Rwie zioła, jakie ziemia obfita wypuszcza;
Rodomont wszędy z nią jest, oka z niej nie spuszcza.

XX.

Potem, kiedy już miejsca rozmaite schodzili,
Ziółmi wonnemi kilka koszków napełnili,
Te z korzeniem pospołu, te zaś rwąc bez niego,
Opóźniwszy się, idą do mieszkania swego.
Nadobna Izabella, wzór i przykład cnoty,
Do obiecanej w skok się sposabia roboty;
Warzy je przez całą noc, naczynia gotuje
Dla wódek, a Rodomont wszędy jej pilnuje.

XXI.

Słudzy, co ich niewiele z niem na ten czas było,
Aby się ono czucie nocne nie sprzykrzyło,
To grą, to winem samych siebie zabawiają,
Mądrość i pracą pięknej dziewczki wychwalają.
Pomaga jem Rodomont, dwoistem zagrzanym
Ogniem, tak długo, aż dwie beczki, spracowany
Pragnieniem i niespaniem, wypił współ z niemi,
Usiadłszy wedle swego zwyczaju na ziemi.

XXII.

Barzo niewiele pijał z przyrodzenia wina
Król z Sarce, a ta własna jest tego przyczyna,
Iż zakon sarraceński srodze zakazuje
I na takich karanie ciężkie wynajduje;
Ale w ten czas, jak prędko skosztował dobrego,
Zda mu się, że to napój boski, i swojego
Narodu klnie ustawy, nie dba nic, fłaszami
Nosić każe, a z nich zaś pić wszystkiem czarami.

XXIII.

Izabella tem czasem od ognia nie mały
Garniec umyka, w którym zioła dowierały,
Mówiąc: »Aby się szczerą prawdą pokazała,
»O którym wam wczora wszystkim powiedała,
»Czyn próbę, zacny królu: doznasz, jako moje
»Umiejętności wielkie mają ceny swoje;
»Czyn próbę, chceszli zaraz, choć na mojem ciele:
»Jam nadstawić gotowa szyje własnej śmieie.

XXIV.

»Ja chcę, abyś na mnie wprzód moc lekarstwa tego
»Zrozumiał, póki siebie nie natrzesz samego;
»Bobyś mógł mniemać, iż to trucizny są jakie,
»Do wyścia ducha drogi co dają dwojakie.
»Atoż namażę głowę, piersi, szyję sobie,
»Którą uciąć pozwalam, będzieszli mógł, tobie.
»Ujrzyś wnet, iż i ta moc twoja przyrodzona
»I szabla nic nie sprawi, chocia wyostrzona«.

XXV.

To rzekszy, z ochotą się sama namazuje,
Potem Sarracenowi szyje nadstawuje;
Ten poznania sekretu chciwością wzruszony
I winem, którego pić nie był zwyczajony,
Najtwardszej broni swojej od boku dobywa
Tem prędzej, im go barziej chęć próby porywa.
Tak głowę od pięknego odcina wnet ciała,
W której gorąca miłość przedtem gniazdo miała.

XXVI.

Czterykroć, nim do ziemi blizkiej doleciała,
Strętwiałemi już usty Zerbina wołała,
Zerbina, dla którego zdrowie rada daje,
Aby prędko z nim osieść górne mogła kraje.
O najszczęśliwsza dziewko, jako cię będziemy
Chwalić, gdy taką szczerłość wiary twej widzimy!
Ty czystość więcej wazysz, niżli żywot, sobie,
Niż wiek kwitnący: w złocie schowaćby cię grobie!

XXVII.

Idź w pokoju, o duchu, idź, błogosławiony,
Abyś w dziedzictwo wieczne wziął rozkoszy ony.
Jeśli kiedy co będą mogły rymy moje,
Sławić wiarę i cnoty będą zawsze twoje;
Tysiąc i drugi tysiąc lat ich nie wyniszczy,
Będą je opisywać poetowie wszyscy.
Idź, o kochany duchu, do nieba jasnego,
A zostaw przykład inszem ślubu prawdziwego.

XXVIII.

Na tak cudowną sprawę Bóg sam oczy swoje
Obrócił na dół prosto w te nasze pokoje
I mówi: »Więtszą sławę ty już będziesz miała,
»Niż ta, co z Rzymu króle czystością wygnała.
»Miedzy temi, o śliczna duszo, ja chcę ciebie
»Posadzić, co przedniejszą mają stołek w niebie,
»I przysięgą to stwierdzę dziś nieodmienioną,
»Że na wieki już będziesz moją ulubioną.

XXIX.

»A któraby się twojem imieniem krzcić dała,
»Każda rozum nad insze większy będzie miała;
»Piękność, ludzkość, roztropność przedniejszą dam takiej,
»Uczeńską mądrości zostanie wszelakiej,
»Aby lepszą ci wszyscy materyą mieli,
»Co pismem swem to imię chwalić będą chcieli.
»Poda Helikon z Pindem i sam Parnas dawny
»Do wiecznej wiadomości postępek tak sławny«.

XXX.

Tak Bóg rzekł i rozpędza chmury na znak tego,
Nawałności uśmierza morza burzliwe.
Szczęśliwa dusza trzecie niebo przeniknęła
I na łono się swego Zerbina wsunęła.
Rodomont, takim w serce nieszczęściem ruszony,
Gniewa się, ale barziej, iż jest omamiony;
Omija go pijaństwo, klnie swe porywczosci,
Co tak naglej przyczynę dały wnet żalości.

XXXI.

Więc aby błagał ducha błogosławionego,
Co świat opuścić musiał dla szaleństwa jego,
Chce, pamiątka przynamniej aby jaka była,
Któraby mu nieszczęsnych ciężarów ulżyła.
Umyślił tedy zaraz on kościółek mały
Na grób dać panięskiemu ciału okazały,
Aby tam odpoczynek już swój wieczny miało,
Gdzie sił zbywszy, umarłe bez głowy leżało.

XXXII.

Ze wszystkiej tedy on sam zbiera okolicy
Rzemieśnika i wnet go sześć tysięcy liczy;
Ten z bojaźni, drugi iść pozwala z miłości.
Z skał wielkich odzierają górne wysokości,
Z których dość okazałą machinę buduje,
W pośrodku dwu zabitych ciała zostawuje;
A tak wielka do wierzchu z fundamentów była,
Iż łokci dziewięćdziesiąt dobrych wystarczyła.

XXXIII.

Na kształt budynku w Rzymie chciał mieć ten pysznego,
W którym swój u strumienia schował Tybrowego
Popiół cesarz Adryan; więc przy niem wysoką
Wieżę robi nad rzeką z wyźrzeniem głęboką,
Przez którą na dwa łokcia wązki most postawił,
Most, co strachu przedniejszych rycerzów nabawił;
Rzeka szeroka pędem straszliwym biegała,
Ustawicznie wysokie brzegi podrywała.

XXXIV.

Żadnem sposobem jeznych dwaj się nie minęło
Po moście: tak go wazkie umyślnie ścisnęło
Budowanie; więc nie miał poręcza żadnego
Na obie strony: i koń i człowiek spaść z niego
Mógł snadno, bo tak chce mieć Sarracen surowy,
Aby każdy, tam jadąc, umrzeć był gotowy,
Mężczyzna lub biała płeć, poganin lub krzcony,
A z nich łup na cmyntarzu miał być zawieszony.

XXXV.

W dziesięć dni albo co mniej zamysł każdy jego,
Co się tknie mostu, przyszedł do skończenia swego;
Ale grób nie był jeszcze cale wystawiony
Z wieżą, co miała widok dać na wszystkie strony.
Tak przecię wywiedziona wzgórz z gruntu była,
Iż z niej straż namniejszą rzecz snadno upatrzyła
I w skok głośnem trąbieniem prętko znać dawali,
O tych, co się do mostu jadąc przybliżali.

XXXVI.

Rodomont zaś, głos rogu gdy usłyszał tego,
Zbrojny wychodził rącho do gościa onego;
To na tem, to na owem kraju zastępuje,
Skąd rycerzów poblížszych przyjazd upatruje,
Aby w pośrzodku mostu potkał ich ciasnego
Dla starcia i zepchnienia do brodu bystrego.
Bo jak namniej koń ścieszki uchybił kopyty,
Spadał w rzekę, gdzie wirem nurt szedł nieprzebyty.

XXXVII.

Z mężobójstwa, które on popełnił pijany,
Rozumie, iż go dekret oczyści, wydany
Na gościa, aby każdy, co tu będzie mijał,
W rzece ginał i z strachem wody z niej upijał,
Z strachem, którego i sam ucześnikiem bywa,
Z niebezpieczeństwem zdrowia kiedy przez nie pływa;
Bo tak wierzył, iż to zmyć woda z czasem miała,
Co po pijanu prędką ręką udziała.

XXXVIII.

W małym czasie wiele ich wpadło w sidła jego.
Niektórych jawna droga gościńca wielkiego
Do Włoch, do Hiszpaniej sama wprowadziła,
Bo prościejsza tam żadna już insza nie była,
A drugich sława droższa nad kochane zdrowie:
Gdy słyszeli, iż się tak pohaniec surowie
Obchodził, pragną się mścić; lecz pobici sami,
Zdrowia tam zostawują i zbroje z szatami.

XXXIX.

Z tych zaś, co ich zwyciężał, jeśli wiary jego
Beł który, zbroję tylko zdjąć dosyć ma z niego;
Którą zawiesić wedle drugich rozkazywał,
A imiona na wierzchu własne wypisował.
Ale chrześcijanin tam trafili się który,
Lub zabity lub w rzekę zepchniony beł z góry.
Trafunkiem w tamte kraje przyszedł też szalony
Orland pierwiej, niż z wieżą grób on beł skończony.

XL.

Gościńiec wielki grabię wiódł bezrozumnego
Prosto do budowania Rodomontowego,
Który około pracy onej zabawiony,
Do najprętszej roboty rzemieśniki ony
Sam przymuszał, a ciało duże otoczyła
Zbroja wszytka, prócz iż twarz sama wolna była.
Pojrzy pohaniec: alić człowieka nagiego
Zoczył, co bieży prosto do mostu wazkiego.

XLI.

A też już, jak szaleństwo zbytnie jego chciało,
Przeskoczywszy płot z drzewa, biegł po moście śmiało.
Rodomont, jadowicie zaraz rozgniewany,
U grobu, co jeszcze beł niedomurowany,
Stojąc, grozi, woła nań i łaje z daleka.
Nie chce, by dobyć broni miała jego ręka
Na tak podłego gbura, krzyczy tylko srodze:
»Stój, chłopie, jeśli nie chcesz zabity być na drodze!

XLII.

»Dla bohaterów samych ten most zbudowany,
 »Nie dla ciebie, coś lub to głupi lub pijany.«
 U Orlanda iż w głowie co inszego było,
 Wciąż bieży, o tem strachu ani mu się śniło.
 Tu wściekłem zapalony wnet pohaniec jadę,
 Porwie się, chce go zwykłem, jako drugich, śladem
 W rzekę wrzucić, nie wiedząc, iż najdzie równego,
 Co siłom, męstwu, mocy da odpowiedź jego.

XLIII.

W ten czas właśnie dziewczka się śliczna przybliżała
 Do mostu i już, już go przebyć wołą miała;
 Ubiór kształtny kształtniejsze członki przyodziewał,
 Z najwdzięczniejszego oka każdy się spodziewał
 Dobroci i cnót wielkich; twarz tak biała była,
 Iż różom z liliami znaczny wstyd czyniła:
 Fiordylizi to smutna, jako wszyscy wiecie,
 Co szuka Brandymarta swojego po świetcie.

XLIV.

Ta, gdy wodzą bieg koński na most prostowała,
 Z Rodomontem grabine potkanie ujrzała;
 Bo ten i rzucić zaraz i widzieć pod mostem
 Chciał Orlanda, w pasy go wzięwszy trybem prostem.
 A iż się przedtem często w Paryżu widali
 I na różnych bankietach pospołu bywali,
 Zarazem go na pierwsze wejście poznawa
 I zdumiała, iż wszytek nagi jest, zostawa.

XLV.

Zastanawia się tedy i patrzy z pilnością
 Końca spórki wzajemnej dwu, co swą dużością
 Wszystkich inszych przechodzą; widzi, jako swemi
 Nogami i rękami pracują mocnemi.
 Tam i sam obraca się i dokoła biega
 Poganin; wściekłość z jadem, gniew mu serca sięga,
 Mówi: »Niepodobna tu, aby moje siły
 »W rzece tego szaleńca wnet nie utopiły«.

XLVI.

Raz tą drugi raz ową chwyta go za boki
 Ręką i grabie objął niemi grzbiet szeroki;
 Kolana swe pod jego podkłada golenie:
 Chce to wziąć sztuką, czego ostatnie silenie
 Mieć nie może; tak niedźwiedź, kiedy z barci spada,
 Rozjadszy się, to szarpie, to naprzód dopada,
 Bieży z rykiem do drzewa, które go zrzuciło,
 Gryzie, zęby w niem topi, jakby winne było.

XLVII.

Orland, co pozbeł cale rozumu swojego,
 Samych tylko zażywa sił swych na moc jego,
 Sił, co je żaden albo rzadki zrównał kiedy
 U pogan, u chrześcijan, w inszych krajach wszędy.
 Ścisnąwszy Rodomonta, z mostu wysokiego
 Do brodu z niem pospołu spada głębokiego;
 Idą na dół obadwa, okryły ich wały,
 Woda wzgórze wybucha, brzęgi zahuczały.

XLVIII.

Pierwszy Orland ukazał głowę na wierzch wody,
 Namniejszej na swem zdrowiu nie wzięwszy tam szkody;
 A iż żadnemi nie był obciążon sukniemi,
 Sporo rzekę przesięgał, płynąc, ramionami.
 Prosto się ku brzegowi ma i nań wychodzi,
 Nie zna, czy mu to chwałę, czy zelżywość rodzi,
 Idzie wciąż; poganin zaś, co był uzbrojony,
 Nierychło się ukazał z wody, zanurzony.

XLIX.

Tem czasem Fiordylizi przez most bieży nowy,
 Gdy ma czas, gdy Rodomont nie broni surowy.
 Patrzy ze wszystkich kątów na grób nieskończony,
 Jeśliby Brandymarta swego zawieszony
 Lub jaki znak lub świetną widzieć mogła zbroję;
 Ale tam darmo i wzrok i myśl bawi swoje:
 On gdzie indziej, a ta też prosto w drogę jedzie,
 Ja zaś powiem, co dalej z grabią się dzieć będzie.

L.

Głupstwo wielkieby było, gdybym głupstwa jego
Wypisował z początku aż do ostatniego;
Bo któżby je mógł zliczyć? O tych usłyszycie,
Co się jem z uzaleniem dziwować musicie;
Powiem niektóre, powiem, choć to mniej podobne,
Bo do tej historyej zdadzą się sposobne.
Nie zamilczę, co czynił między wysokimi
Górami nad Tolozą Pirenejскими.

LI.

Już był niemało krajów grabia utrapiony
Przeszedł, szaleństwa swego mocą przyciśniony,
Między góry nakoniec wpadł zemdlony one,
Co z Francją Tarakon czynią rozdzielone.
Zawsze jednak twarz tam niósł i czoło wspaniałe,
Gdzie słońce, znikając nam, zachodzi zbrudniałe.
Tak idąc, wpadł na drózkę, co z obu stron miała
Przepaść, a dwom z trudnością mijanie dawała.

LII.

Ledwie się na niej ujrzał, alic dwaj chłopkowie
Idą, tych poprzedzają, drwa niosąc, osłowie.
Pojrzawszy na Orlanda, jako szedł, nagiego
I na zarosłą brodę, głowę, piersi jego,
Domyślili się snadno, iż rozumu mało
We łbie; zaczęli nań krzyknąć obiema się zdało,
Aby lub to w zad poszedł lub ustąpił z drogi,
Jeśli nie chce wpaść w przepaść, w on wąwóz tak srogi.

LIII.

Orland nie odpowiada na ono wołanie,
Tylko ognistym wzrokiem błyszcząc, w miejscu stanie,
A potem, żaden temu ponno nie uwierzy,
Jak z niewymowną mocą w pierś osła uderzy
I ciśnie go do góry; ten jak ptaszę jakie
Zda się, gdy skrzydła na bok rozciągnie dwojakie;
Potem na milę jedną od miejsca onego
Padł na wierzchu pagórka trochę wyniosłego.

LIV.

To sprawiwszy, do onych chłopków krok prostuje,
Z których jednego szczęście, nie rozum sprawuje.
Bo gdy chciał uciec, wpadł w głąb na łokci trzydzieści
W onę dolinę, w one straszliwe nizkości;
Ale wpół kresu o krzak wielki i rozwity
Oparł się, został na niem i nie był zabity.
Twarz mu tylko i ręce ciernie podrapały,
Sam zaś na inszych członkach zdrowy był i cały.

LV.

A drugi się uwiesił u drzewa jednego,
Co z góry i z kamienia wyrosło twardego,
Mniemając, iż nigdy tam nie natrze szalony,
Ujrzawszy przykro w przepaść kamień pochyłony.
Ale ten, co nie chciał nic, jeno zdrowia jego,
Gdy już miał wyszszej skoczyć do miejsca inszego,
Oderwał go, a potem, okrutny i srogi,
Na dwie części rozerwał, ujawszy za nogi.

LVI.

Tak więc porywa jastrząb pazury ostremi
Lichą kawkę, aby się nasycił ciepłemi
Wnętrznosciami ubogiej, lub krogulec chciwy,
Gdy na przepiórki biednej dybie obrok żywy.
Trzykroć szczęśliwsze było spadnienie drugiego,
Bo i szyje nie złamał i uszedł straszego
Zamordowania, jako Turpinowi o tem
Sam powiedział, Turpin zaś napisał to potem.

LVII.

Te i rozmaite insze czynił okrutności,
Przechodząc Pirenejских gór w skok wysokości;
Na ostatek udał się wprost ku południowi
Przeciwko hiszpańskiemu ciepłemu krajowi,
Głębokiego obchodzi morza krzywe brzegi
Nad Tarrakoną, które wstrąca jego biegi.
Tak szaleństwem i srogą furją wzruszony,
Za wczesny odpoczynek obrał piaski ony.

LVIII.

Któremi się dla słońca okrył gorącego,
 Leży na niem i pod niem w mrok i dnia białego;
 Wtem królowna z Kataju trafunkiem go zjedzie,
 A Medora małżonka podle siebie wiedzie.
 Współ do swoich królestw imo one góry
 Przez Hiszpanią pojazd chcieli czynić spory.
 Mniej, niż na jeden łokieć, już od niego była,
 Nie wiedząc, kupa piasku iż grabię przykryła.

LIX.

Ktoby był Orland, dawno, dawno zapomniała.
 Więc furja nieszczęsna tak go udziałała
 Odmiennym, podobieństwa iż niema żadnego
 Do wnuka, jako przedtem bywał, Karłowego;
 Od słońca jest szkaradnie wszystek opalony,
 Jak murzyn, który osiadł etyopskie strony,
 Albo jako Maurowie, co podle mieszkają
 Nilu, a twarzy nakształt uczernionych mają.

LX.

Oczy mu się pod czoło zmarszczone pokryły,
 Twarz wyschła, członki insze szczerą kością były;
 Włosy wzgórze wzjeżone, jak kołtonowate,
 Broda brzydka, poplwana, policzki kosmate.
 Ledwie go Angelika nadobna zoczyła,
 W zad prętko, przeląwszy się, koniem obróciła.
 Wrzeszcząc ucieka, a jej głosy żałosliwe
 Powtarza i śle Echo w przepaści straszliwe.

LXI.

Na głos krzyku podniesie głupi Orland głowy
 I rąco skoczy za nią, dopaść jej gotowy.
 Najwdzięczniejsza twarz mu się prędko spodobała,
 Ochoty do gonienia żądza przydawała.
 Ani on myśli o tem ani on pamięta,
 Jeśli to Angelika, co była tak wzięta.
 Bieży pędem w jej tropy: tak pies bojaźliwe
 Goni sarneczki, aby głody napasł chciwe.

LXII.

Jako prędko Orlanda Medor młody zoczył,
 Iż goni Angelikę, z ostrą bronią skoczył
 I dopadszy, gniewliwy, tnie z tyłu nagiego;
 Lecz się broń ciała nie chce jąć szczarowanego,
 Raczej w drobniuchne sztuczki tak się pokruszyła,
 Jakoby z gliny szczerzej, nie z żelaza, była.
 Ten zaś obróciwszy się, w łeb konia ugodził
 Tą mocą, którą inszych na świecie przechodził.

LXIII.

I druzgoce, jako szkło, pięścią kości jego,
 Szkapą padszy, pozbywa żywota słodkiego.
 Potem, lubo to szczęście Medorowe było
 Lub szaleństwo, które wzrok grabin zaślepiło,
 Opuszcza go i żadnej nie czyni srogości
 Nad tem, co wielkich jego przyczyną żałości,
 Ale zarazem za tą w zad się chyżo puści,
 Co ucieka, goni ją, oka z niej nie spuści.

LXIV.

Angelika ze wszytkiej mocy ostrogami
 Konia bodzie swojego i tłucze nogami,
 Nahajką mu dojmuję; ten, jak strzała, leci,
 Panią niosąc na sobie piękną bez pamięci;
 Bo rozumie, że już jest w dużych rękach jego,
 Co ją goni, a potem moc pierścienia swego
 Przypomniawszy, w gębie go językiem ścisnęła
 I jako zadmuchniona świeca, w skok zniknęła.

LXV.

W tem razie, jako konia pozbyła swojego,
 Ja sam nie umiem szczerze powiedzieć wam tego;
 Bądź to pierścień zdymując z palca, sama zsiadła,
 Bądź trwogą zjęta wielką, uciekając spadła:
 Atoli w mgnieniu oka widzi się na onem
 Piasku, a koń ucieka pędem niewściągnionem.
 Stoi w miejscu, pierścienia mocą dziwną swego
 Niewidziana, a ona widzi zaś każdego.

LXVI.

Bo, by była o kroki dwa na niem siedziała,
 Bez chyby zabita by od grabie została,
 Który się już przybliżał ku niej, obie pięści
 Podniósłszy, ale go wtem fortuna nie szczęści.
 Ta zaś pieszo zostawszy, myśli w onem czasie
 Jaką konia inszego sztuką ukraść zasię;
 Bo uchwycić pierwszego już nie ma nadzieje,
 Co bystro lecąc, piasek kopytami sieje.

LXVII.

Nie wątpię jednak, radzić ona umie sobie,
 Pełna chytrości, figlów w tysiącnym sposobie;
 Raczej do grabie znowu wróćmy się głupiego,
 Co wściekłem ogniem pała z gniewu okrutnego.
 Widzi, iż w żywe oczy zginęła nadobna
 Angelika ani jej naleźć rzecz podobna;
 Uduje się za koniem i już go dopada,
 Trzyma za wodze, jednym skokiem w siodło wsiada.

LXVIII.

Takiej jest, dostawszy go, szaleniec radości,
 Jakby pannę poimał największej piękności;
 Grzywę głaszcze, przekłada, wodzy poprawuje,
 Śmieje się z serca, wczesne siedzenie smakuje;
 A potem mu wypuszcza i wiele mil jedzie
 Dniem, nocą ustawicznie, ani z niego zsiędzie
 Ani siodła zdymuje ani mu popuszcza
 Popręgów ani owsa z sianem jeść dopuszcza.

LXIX.

Chciał rów przeskoczyć wielki, ale koń zmorzony
 Nie doniósł w tak szerokiem miejscu drugiej strony:
 Wpada weń biedna szkapa i łopatki obie
 Wybiwszy, żadnej nie da pomocy już sobie.
 Ten ciągnie raz za grzywę, drugi raz za wodze,
 Chodzi w koło: koń tylko jęczy, stęka srodze.
 Potem go na ramiona, duży, włożył swoje
 I stamtąd na strzelenie łuku poniósł troje.

LXX.

A poczuwszy, iż ciężar przykry do żywego
 Dojął mu, znowu kładzie na ziemię nędznego
 I ciągnie go za sobą; ten się ledwie wlecze,
 Z obrażonego ciała krew z kilku miejsc ciecze.
 Woła Orland »Cui dalej!« ale próżno woła:
 Głodny, zбитy, szerokiem krokom nie wydoła.
 Nakoniec zdjawszy uzdę, u prawej mu nogi
 Wiąże, mniemając, iż tak przysporzy swej drogi.

LXXI.

Jako mogąc, szedł za niem zrazu szkapa chory;
 Ale iż jego był bieg po zły drodze spory,
 Nie wydołał prędkości takiej; potłuczony,
 Między kamieniami zwłaszcza, których pola ony
 Pełne są, padł i zaraz nabiedniejszy zdycha,
 A głupi go, aby wstał, nogami popycha.
 Lecz widząc, iż iść nie chce, rozgniewany srodze,
 Po kamienistej wlecze za sobą go drodze.

LXXII.

Wlecze szalony Orland, choć dawno zdechłego,
 Do kraju obracając bieg swój zachodniego;
 A kiedy w przemorzonym żołądku głód czuje,
 Gwałtem bierze, zabija, wsi gęste plundruje,
 Owoce, mięso, chleby, co zastanie w domu,
 Zjada, nie przepuszczając, okrutny, nikomu;
 Ten w jego rękach skonał, ten okaleczony
 Wyrwawszy się, ucieka przed niem w las zgęściony.

LXXIII.

I by się była jego pani nie schroniła,
 Po tem świecie więcejby pewnie nie chodziła.
 Bo co za sprawa z głupiem? Zawsze on rozumie,
 Iż szkodząc, dobrze czyni; więc zaż taki umie
 Rozeznać, coby białe albo czarne było?
 Przeklęty pierścień, co mu skryć się ją godziło,
 Bo inaczej wziąłby on pomstę był surową
 I napasł oczy swoje śmiercią jej gotową.

LXXIV.

A nie tylko tej samej życzę ja zdrajczynej
 Dać karę zasłużoną, ale każdej innej;
 Niech w Orlandowe ręce te wszystkie wpadają,
 Co szczerłość niewdzięcznością, szalbierki, oddają. —
 Ale odpoczniemy tu, bo świeże strony
 Nawiazane dadzą głos barziej ulubiony;
 Więc i temu, co słucha, milej ponno będzie,
 Gdy kęs wytchnie, gdy z pracy kęs w pokoju siedzie.

KONIEC PIEŚNI DWUDZIESTEJ DZIEWIĄTEJ.

PIEŚŃ TRZYDZIESTA.

A R G U M E N T.

Szaleństwa swego Orland zostawuje znaki
 Straszliwe, gdzie krainę, gdzie dom mija jaki.
 Pojedynku Mandrykard dusznie chce zuchwały,
 Na którym go zabija Rugier mężnie śmiały;
 A nań zaś Bradamanta narzeka troskliwa,
 Iż wiarę łamie, iż ją w ślubie oszukiwa.
 Do Montalbanu Rynald serdeczny przychodzi,
 Cesarza z niebezpieczeństw z bracią wyrwać godzi.

A L L E G O R Y E.

W tej trzydziestej pieśni przez niewymowne siebie samego i mocy
 swojej Mandrykarda przed Doraliką wychwalanie widzisz jawnie, jako
 wiele razy w rzeczach wojennych ci, którzy o sobie i o siłach swoich
 więcej trzymają, niż potrzeba, mniej czynić zwykli, gdy z sercem język
 się nie zgadza, i jako żaden nic pewnego nie ma sobie na świecie
 obiecować.

S K Ł A D P I E R W S Z Y.

Kiedy więc bierze górę moc z zapalczywością,
 A odeprzeć jej rozum nie może z mądrością,
 Ślepa porywczność już tam wolne mając wodze,
 Ręką, językiem snadno przyjaciela srodze
 Obrazi; a choć tego po czasie żałuje,
 Słabo pierwszego grzechu troską poprawuje.
 Tak ja darmo się ponno trapię nieszczęśliwy,
 Że mię na owę powieść gniew ruszył skwapliwy.

II.

Aleć się i choremu często dość przydaje:
Po długiej cierpliwości klnie, ucieża, łąje
Ból przykry, któremu się stateczność wszelaka
Nie opiera i wola z niebieską jednaka;
Ustają siły, wściekłość wnętrzości zemdlone
Rani, język śle mowy, gniewu napełnione.
Obacza się on potem, gdy bole uciekły,
Lecz słów wrócić nie może, które się raz rzekły.

III.

Nic to: spodziewam się ja, iż te nienawiści
Porzucisz, o biała płci, z wrodzonej ludzkości
I będziesz mię chiała mieć za wymówionego,
Patrząc na dwój żal, z serca co idzie smutnego;
Bo raczej tę tyrankę winowaćbyś miała,
Co zdrowie wzięwszy, tak mię chorem udzielała,
Iż muszę mówić przykre, bólem zjęty, słowa,
Z jakich próżna rozumu uciechę ma głowa.

IV.

Takem odszedł od siebie, jak Orland szalony,
Dlatego snadniej grzech mój ma być odpuszczony,
Orland, co wszystkie góry obszedł już wysokie,
Skały, puszcze, padoły i pola szerokie,
Psując obfite państwo króla afryckiego
I ścierwem zabijając lud szkapę zdechłego,
Który aż u jeziora porzucił jednego,
Kędy do morza wpada rzeka głębokiego.

V.

I zarazem się rzuca w wodę prosto onę,
Płynie żartko, przebywa wnet na drugą stronę,
A pasterza, opodał widząc jadącego,
Który konia napoić chciał w rzece swojego,
Bieży przeciwko niemu; lecz się ten nie boi,
Iż i jeden i nagi, w miejscu onem stoi.
Rzeczę głupi: »Choćby co nie mogło wystarczyć,
»Przydam ci, a na konia chcę z tobą frymarczyć.

VI.

»Pokażęć go, jeśli chcesz, tu na drugim brzegu,
»Jeno, że już z wielkiego leży zdechły biegu.
»Ty go możesz ożywić i uleczyć sobie,
»Ja za cnotę i defekt inszy rękę tobie;
»Ba, co mówię, ty przydać jeszcze masz do niego:
»Jakoś dobry, zsiądź rychło, zsiądź, proszę, z swojego«.
Pasterz śmiejąc się na swem koniu przecię siedzi,
Potem jechał od niego w bród bez odpowiedzi.

VII.

Krzyczy Orland: »Nie słyszysz? Ja chcę konia twego«!
A potem z gniewu żartko pomknie się do niego.
Chłop, jak poganiał szkapę kijem sękowatem,
Uderzy wzdłuż Orlanda. Ale głupi zatem
Najstraszliwszą zjęty jest wnet zapalczywością,
Co przeszła wszystkie miary zuchwałą skromnością,
Wnet pasterza onego, jak z blizka umierzył,
Pogruchotawszy kości z krwią, z mózgiem, uderzył.

VIII.

Wpada na konia zaraz i przez różne drogi
Lata, biega; już, już ten ledwie tchnie ubogi.
Jeżeli nie zabije, przecię co każdemu
Wyrządzi, jeść nie daje nigdy szkapie swemu.
Już ustał, wlecze kroki niespore, zemdlony,
Przecię Orland nie myśli pieszco iść szalony;
Gdzie potka, mieni konia: pierwszy mu smakuje
Frymark, a ktoby przeczył, kaleczy, morduje.

IX.

Do Malegi nakoniec przybywszy, straszliwe
Znaki jadu zostawił, ludzie nieszczęśliwe
Tak zabijając srodze, iż niejednem razem
Napełni się, co ogniem, kijem i żelazem
Zniósł głupi niebezpieczny; siła lat wynidzie,
Nim Malega z mieszkańcy do swej kluby przydzie.
Tak wiele wsi i domów z rąk jego zgorzało,
Iż prowincyej żyznej mało co zostało.

X.

Stamtąd ku jednej pędem puścił się krainie,
 Zyżery, u Zybelty co leży w ciasninie
 Albo u Zybeltery, bo ją przezywają
 Dwoistemi imiony ci, co tam jeżdżą.
 Ujrzał szalony barkę, co się odpychała
 Od brzegu, a dość ludzi w sobie przednich miała,
 Którzy w rane zaranie, gdy wiatr wieje mały,
 Na drugą stronę chcieli słone przebyć wały.

XI.

Namocniejszym zawołał głosem: »Postój, bracie!
 »Weź mię: chcę ja też jechać, a o swej zapłacie
 »Nie miej troski: oddam ją«. Ale głosy jego
 Próżne wiatr w stronę morza pędzi szerokiego.
 Barka leci po wodzie, jak najchyższa strzała,
 Gdy ją z cięciwy ręka kozacka wysłała;
 Ten nie rozmyślając się, choć koń ledwie dycha,
 Tłucze go i złamanem kijem w wodę spycha.

XII.

Opierając się długo, na ostatek ony
 Opuszcza szkapa brzegi, biciem przymuszony;
 Topi kolana naprzód, brzuch potem z uszami,
 A Orland go między nie okrywa pięściami.
 Płynie biedny i nie chcąc, brzegi zostawuje —
 Częstemu się pryskaniu woda ustępuje —
 I albo musi na dno morza iść głębokie,
 Albo na brzeg przez wody wypłynąć szerokie.

XIII.

Już ani statków ani ziemi z żadnej strony
 Nie widzi, siedząc Orland na koniu szalony.
 Daleko są i w stronę kędyś się pokryły,
 W oczach niebo a wody mokre tylko były.
 Przecież on pędzi szkapę dalej zemdlonego:
 Kraje chce widzieć dusznie państwa afryckiego.
 A gdy już wodą dobrze brzuch miał napełniony,
 Z żywotem bieg od grabie skończyłznaczony.

XIV.

Szedł na dno, gdzie i pana wciągnąłby beł swego,
 Ale ten do pływania zaraz ochotnego
 Nogi i obie ręce szeroko rozciąga,
 Wały przejmując, brzegów dalekich dosiaga.
 Więc wiatr łagodniusieńki powiewał, a morze
 W najspokojniejszej stało czasu tego porze;
 Bo, by namniejsza była wstała niepogoda,
 Połknęłaby nędznika grabię pewnie woda.

XV.

Ale szczęście, co błaznów z głupiem pilnuje,
 Zmordowanego na brzeg piaszczysty wymuje,
 Tak daleko od murów, gdzie Setta leżała,
 Jak dwakroć z łuku niesie wypuszczona strzała.
 Tam spoczynawszy trochę, znowu dnia drugiego
 Ku wschodowi obracał lot biegu swojego,
 Aż na ostatek przypadł, gdzie po brzegach onych
 Wojsko szło chrześcijańskie z mężów doświadczonych.

XVI.

Niech idzie; materią wszak jeszcze najdziemy,
 Iż o zabawach jego powiadać będziemy.
 Angeliki co się tknie, od czasu onego,
 Kiedy się z rąk wymknęła grabie szalonego,
 Zaraz okręt najduje, dobrze sporządzony,
 Na którym jako prędko w swe przybyła strony
 I jako Medorowi państw scepter wolny dała,
 Życzę, by lutnia potem uczeńsza śpiewała.

XVII.

Ja przed się wziąć tem czasem muszę co inszego:
 O sprawach krótko powiem króla tatarskiego,
 Który Rodomontowi pomyliwszy szyki,
 I z obyczajów wdzięcznych swojej Doraliki
 I z cudownej cieszył się poniekąd gładkości,
 Która w Europie wielkiej nie miała równości,
 Zwłaszcza, jak Izabella w niebo się udała,
 A do swych Angelika królestw odjechała.

XVIII.

A choć wielką dziewczki swej chlubił się miłością,
Przecię jej z całą zażyć nie może wdzięcznością:
Spórki ma przed wrotami, więc zniewagi bołą,
Które go na uczciwem i na sławie kołą.
Pierwszą Rugier konać z niem ma wołą wspaniały:
Nie chce, aby tarcz jego zdobił orzeł biały.
Po niem zaś najślawniejszy królik z Serykany,
Co się swej upomina mocno Duryndany.

XIX.

Sam Agramant z Marsylem haniebnie styskują,
Proszą i środki dziwne ugody najdują.
Lecz się ci w przedsięwzięciach swych dużo oparli,
Chcą, aby o swe krzywdy przed wojskiem pomarli.
Ani mogą obadwa wymóżyć tego, żeby
Tatarzynowi szable chciał dać do potrzeby
Gradas albo pozwolił Rugier ptaka swego,
Aż się skończy bój, wszczęty dla miecza dobrego.

XX.

Nie chce Rugier, aby tarcz, orłem naznaczona,
Od inszego do bitwy miała być niesiona;
Ani Gradas pozwala, aby mieczem jego
Skusił Tatarzyn boju z Rugierem krwawego.
Widząc Agramant upór w nich tak zatwardziały,
Którego znieść przedniejszych rady nie zdołały,
»Niech przynamniej — rzekł — samo szczęście pokazuje,
»Komu życziwsze, kogo z was barziej miłuje.

XXI.

»Ja jeślim za chęci me godzien też jest tego,
»Abyście pozwolili cokolwiek mi swego,
»Jeden, proszę, tę za dwóch niech bitwę odprawi,
»Którego los naznaczy i w placu postawi.
»Bo choć różne urazy, ale z jednym macie,
»Przez jednego obadwa potrzebę wygracie;
»Któremu jeśli też zaś Tatarzyn usiedzie
»Na garle, już przegrana i drugiego będzie.

XXII.

»Mała różnica męstwa między dwiema wami:
»Otóż trzeba, abyście obrać chcieli sami,
»Kto z was do pojedynku będzie miał iść tego,
»Szablą nieprzyjaciela pokonać spólnego.
»Szczęścia się radzić zdaniem mem w tej mierze trzeba:
»Niech tak będzie, przedwieczne co rozkażą nieba.
»Bo nie może żaden z was już być winowany,
»Choć przegra, gdy Bóg sędzią w tej sprawie obrany«.

XXIII.

Zamilkli na te słowa zrazu, potem zasię
Z ochotą kondycją tę przyjęli na się;
Dopuszczają imiona swe w szyszak zawarty
Włożyć, a czyjej z niego wprzód dobędą karty,
Ten i za się i zaraz czynić za drugiego
W szrankach będzie i o swe i o krzywdy jego.
To między sobą kiedy już postanowili,
Wstydem zjęci i gniewem, w miejscu się kręcili.

XXIV.

A potem przywoławszy dziecińy małego,
Po kartkę do szyszaka każą mu onego
Rękę ściągnąć; ten zaraz pierwszą gdy wymuje,
Rugiera na niej imię wszystkim ukazuje.
Trudno wymówić, jako Rugier się radował,
Pierwszem do pojedynku iż się już najdował.
Ale zaś serykański królik z drugiej strony
Klnie fortunę, iż znacznie od niej ukrzywdzony.

XXV.

Wszystkie swe chęci, wszystkie obracał starania
Gradas, by Rugierowi pomógł do wygrania;
Sztuki szermierskie sam mu szczerze pokazuje,
Co do bitwy potrzebne onej, upatruje:
Kiedy się tarczą okryć albo złożyć bronią,
Jako cięcia i razów prawdziwych się chronią,
W który czas szczęścia zażyć, kiedy mu umykać,
Jako się ustępować i znowu przymykać.

XXVI.

To sprawiwszy, ostatek dnia trawia onego
 W kompaniej uciesznej siedzenia spółnego,
 Gdzie wojenników różnych sobie wspominali,
 Co wielkie pojedynki kiedyś wygrawali.
 A gmin zaś pospolity wszystkimi siłami
 Miejsca starają się mieć tuż przed poręczami;
 Siła tych, co je sobie zaraz zastępują
 I w onem polu, nie chcąc stracić go, nocują.

XXVII.

Prosty lud tak wielką jest ujęty chciwością,
 Iż jak najprędzej widzieć chcą, kto z nich dużością,
 Kto sercem, siłą, męstwem plac pierwszy otrzyma,
 Ogień chęci gorących żądze w nich rozdyma.
 Ale Sobryn z Marsylem, co stąd upatrują
 Zgubę wojska niemając, barzo się frasują;
 Obadwa przymawiają wraz Agramantowi,
 Iż pozwolił, iż miejsce dał pojedynkowi.

XXVIII.

Ukazują stąd wielkie szkody w ludzie jego,
 Bądź to Rugier wygrawszy, Tatarzyna złego
 Pożyje, bądź wysokie nieba naznaczyły,
 Iż on upadnie w szrankach przez tatarskie siły.
 Bo do wzięcia, jak myślą, państwa francuskiego
 Większą jem ci dwa pomoc z męstwa dadzą swego,
 Niżli dziesięć tysięcy tych, co w polu stoją,
 A namarniejszych cieniów własnych się swych boją.

XXIX.

Poznał król mądry zaraz, iż prawdę mówili,
 Życzy, aby od niego i szli i prosili
 Pojedynkarzów twardych, żeby spórki one
 Opuściwszy, trzymali za niepozwolone;
 Bo choć jemu cofnąć słów już się nie godziło,
 Lecz jak dużo będzie zaś to wszystkim szkodziło,
 Niech uważą; dlatego chce, by zaniechali
 Lub do bitwy skończenia przynamniej czekali.

XXX.

Pięć miesięcy to sprawi, niech tylko cierpliwi
 Przez ten czas trwają, zwady nie będąc tak chciwi,
 Aż Karła wypędziwszy z państwa bogatego,
 Scepter z ręku a koronę wezmą z głowy jego.
 Ale ci zwiesiwszy łby, nie odpowiadają,
 Króla i posłów jego rady nie słuchają;
 Zda się jem, iż ktoby z nich wprzód pozwolił na to,
 Wstyd, hańbę od wszystkiego wojska weźmie za to.

XXXI.

Miedzy inszemi córa króla granackiego
 Wszystek czas trawi, prosząc małżonka swojego;
 Trzyma biedna za nogi, wzdycha, lamentuje,
 Najwdzięczniejszy wzrok łzami gorącemi psuje.
 »Pozwól, o zacny królu, hetmanowi swemu,
 »Daj to i wojsku — mówi — ocz prosi, wszystkiemu!
 »Czy tak zawsze dla ciebie utrapiona będę,
 »Czy tak nigdy frasunków z bojaźnią nie zbędę!

XXXII.

»Niestetyż, kiedyż pokój najdę, nędzna, taki,
 »Co radość, coby mi dał odpoczynek jaki,
 »Jeśli cię ustawiczna do porywczej zwady
 »Chciwość wiedzie, jeśli tak co raz karmisz jady
 »Wściekłemi głodne gniewy, a ja, nieszczęśliwa,
 »Myśląc o tem, zaledwie już zostawam żywa?
 »Cóż mi pomaga, proszę, choć zapalczywości
 »Zgasiłes przeciw inszem dla mojej miłości?

XXXIII.

»Darmo, widzę, nad inszych przekładałam siebie,
 »Najzacniejszego króla mężem mając ciebie,
 »Co dla mojej rozkosznej wielekroć urody
 »Śmierć, prace, pojedynki wzgardzał i przygody,
 »Jeśli teraz dla ważnej mało co przyczyny
 »Odemnie gwałtem ponno porwie cię kto inny,
 »Jeśli teraz dla twojej jakiejś srogości
 »Wiecznej ja pewnie będę używać żalości!

XXXIV.

- »Ale prawdali szczerza, iż takiej miłości
- »Niemasz w nikim, jaka twe przenika wnętrzności,
- »Przez tę, proszę, pokaż mi dziś w tem chęci swoje,
- »Abyś tak natarczywy nie był na te boje.
- »Bo cóż to za obraza, chocia orzeł biały
- »Twój jest, a mieć go też chce także Rugier śmiały?
- »Pozwól, niech cię gorące wzruszą prośby moje,
- »Co pędzą z oczu ledwo nie krwawe łez zdroje.

XXXV.

- »Więc choć przez pojedynek tak przykry i srogi
- »Sam otrzymasz ten klejnot herbu swego drogi,
- »Mały zysk za odwagi niewypowiedziane,
- »Co własnem będą zdrowiem zapieczętowane.
- »Bo jeśli tył ukaże szczęście zdradne tobie —
- »Jakoż, abyś go trzymał za łeb, nie tusz sobie —
- »Sprawisz mi taką żalność, na której wspomnienie
- »Już w piersiach czuję ciężkie serca rozpadnienie.

XXXVI.

- »I choceś ty sam sobie tak podło kochany,
- »Że więcej ważysz w tarczej swój znak malowany,
- »Dla mnie przynajmniej, dla mnie ochraniaj się, proszę,
- »Wszak wiesz, iż własne w twojem sercu zdrowie noszę.
- »Uczyń to: czy cię łkanie już ciężkie nie ruszy
- »I chcesz w jednej zagubić dwie nieszczesne duszy?
- »Niechże ja wprzód garło dam, abym nie patrzała,
- »Jeślić sroga śmierć żywot będzie wydzierająca.

XXXVII.

Tak prosi Doralika i słowy takimi
 Miękczy serce, gniewami objęte srogami;
 Łzy, jako strumień żartki, z oczu wynikają,
 Ciężkie wzdychania wkoło wiatry zagrzewają.
 Prosi cały dzień smutna, nie da mu spać w nocy,
 Aby zwłóknął bitwę, aby nie ufał tak mocy.
 Ten tuli jej lamenty, płacz z oczu ociera,
 Choć sam od żalu już, już ledwie nie umiera.

XXXVIII.

- Potem rzekł: »Najkochańsza żono moja, czemu
 »Unosić się dopuszczasz żalowi przykreemu?
 »A z tak małej przyczyny, bo, by wojska wszystkie
 »Francuskie z afryckimi i murzyńskie brzydkie
 »Swe chorągwie na moję szkodę rozwinęły,
 »Prędejby okrutną śmierć, niż zwycięstwo wzięły.
 »Znać, że mię lekce ważysz, znać, że nie miłujesz,
 »Gdy taką o me zdrowie bojaźń pokazujesz.

XXXIX.

- »Wspomni sobie, jakom ja silny pułk przełomił
- »Z wojska twojego mężów, gdym przedniejszych gromił
- »Bez szable, bez koncerza, jedną sztuką kija;
- »A przecię niejednemu z twoich spadła szyja,
- »Stracona oraz z głową, na ziemi została
- »I piasek krwawy, zęby ścinając, kasała.
- »Przyzna Gradasy, choć go wstyd, że był więźniem mojem:
- »Będzie i Rugier, z męstwem choć wylata swoim.

XL.

- »Przyzna Gradasy, chociaby nie chciał, bo wie o tem
- »Izoler, któryć wszystkę powie prawdę o tem;
- »Więc i Sakrypant przy niem z Cyrkas zawołany,
- »Gryfon sławny, jego brat, Akwilant nazwany,
- »I inszych sto i więcej, co do zamku mego
- »Z Gradasem wespół wzięci byli dnia jednego.
- »Tychem ja zaś z wrodzonej zarazem ludzkości
- »Wypuścił i zażywać pozwolił wolności.

XLI.

- »I jeszcze się dotychczas oni zdumiewają,
- »Gdy wielką moc i męstwo moje wspominają,
- »Więtszą, niż wszystkie pułki Maurów nagich miały
- »I rot francuskich, które wkoło naszych stały.
- »A teraz młodzik Rugier miałby mi być srogi,
- »Co w potrzebach nieraz brał swe na pomoc nogi,
- »Zwłaszcza gdy szabla wisi u boku mego,
- »Upominek niekiedy Hektora zacnego?

XLII.

•Ale czemuż przedtem znaków mej dużości
 •Nie widziała, nim twojej dostałem miłości?
 •Bez chyby tak się być moc moja dziwna zdała,
 •Iżby śmierć Rugierowę i w ten czas widziała.
 •Otrzyż te łzy dla Boga, żono moja wdzięczna,
 •Nie wnoś nieszczęścia jemi, bądź o mię bezpieczna,
 •A wiedz pewnie, iż bić się każe mi uczciwe,
 •Nie orzeł malowany, nie gniewy, krwie chciwe«.

XLIII.

Tak rzekł i już powolej ogień w niem znikają
 Ostrych zapalczywości i jady ustają;
 Bo najsmutniejsza dziewczka nie tylko surowe
 Serce, lecz słupy wzrusza płaczem marmurowe
 Płaczem, który po twarzy dziwnie pięknej leci
 I oczy najweselsze ćmiąc, policzki szpeci.
 Już skłonniejszem do zgody, już jest nie od tego
 Jednać się, jeśli wola będzie króla jego.

XLIV.

I uczyniłby to był, ale Rugier śmiały
 Jak się prędko jutrenki złotej ukazały
 Najaśnniejsze promienie, z łoża swego wstaje,
 Zbroję wdziewa i jawnie zarazem znać daje,
 Iż samem jest uczynkiem pokazać gotowy,
 Że orzeł biały jego, nie próżnemi słowy.
 Nie chce odkładać dalej, czeka uzbrojony
 Na placu i trąbi w róg, złotem oprawiony.

XLV.

Zarazem, jako pyszny król dźwięk rogu tego
 Usłyszał, mówi, iż to wyzywają jego;
 Gore gniewem, z pościeli rąco się porywa,
 Krzyczy zbroje, chęć bitwy serce grzeje żywa.
 I tak straszną twarz zaraz, srogi, ukazuje,
 Iż sama Doralika już nie przystępuje
 Ku niemu ani słowa rzec śmie namniejszego
 O zgodzie i aby chciał przymierza pierwszego.

XLVI.

Nie czeka giermków, sam się ubiera, ochoczy,
 I płomień z oczu srogi ledwie nie wyskoczy.
 Potem wsiada na konia co najdzielniejszego,
 Na konia, co przedtem był Orlanda mężnego,
 I bieży jak najprędzej na plac naznaczony,
 Aby przez szablę skończył o herb spórki ony.
 Tamże zarazem i król z swem dworem przychodzi,
 Szczęścia znowu próbuje, porównać ich godzi.

XLVII.

Próżno, bo ci na głowy hełmy biorą swoje
 Najświeńsze i drzewa w tok kładą oboje;
 Trąba brzmi, twarzy z strachu patrzącem blednieją,
 Umilkli wszyscy, słowa przemówić nie śmieją.
 I z tej i z owej strony, zwarwszy ostrogami,
 Mężnych koni probują, siedząc na nich sami.
 Potem z tak wielkiem pędem skoczyli do siebie,
 Iż się ziemia trząść zdała, pioruny bić w niebie.

XLVIII.

Stąd i zowąd widziałbyś tam orła białego,
 Co przez powietrze nosi Jowisza samego,
 Jaki więc w Tesaliej najmężniejszy lata,
 A białością szarżyznę w swych piórach przeplata.
 Jako ten i jako ów mąż jest doświadczony,
 Ukazuje pomniejszy maszt, w toku niesiony,
 Lecz więcej, z uderzenia gdy w się nasroższego
 Są niewzruszeni, jak dąb od wichru wściekłego.

XLIX.

Trzaski aż pod obłoki wysokie leciały —
 Turpinowe mi pisma szczerze powiadały —
 A znać trzy albo cztery nazad zapalone
 Spadły, bo sfery ogniów przeszły wywyszszone.
 Potem bohatyrowie szabel dobywają
 Naostrznych, jak piorunów, gdy z błyskiem spadają,
 I na napierwszem starciu oba jednym razem
 W twarz się ugodzą twardem, gniewliwi, żelazem.

L.

W twarz się zaraz ugodzą na pierwszym potkaniu;
Ale to w najpilniejszym zaś mają staraniu,
Aby koni, na których siedzą, nie ranili,
Bo ci przyczyną wojny namniejszą nie byli.
Od dawniejszych rycerzów zwyczaj taki wzięli,
Nie spółnie umówiony przed tą bitwą mieli,
Którzy za jakiś to wstyd mieli naganiony,
Gdy był koń od którego w potrzebie raniony.

LI.

Tak ciężkie po szyszakach jasnych razy dają,
Iż ledwie, choć dwoisty blach w nich, wydołają;
Nie gęściej z czarnej chmury grad pada zuchwały,
Kiedy z liściem, z gałęziem owoc niedojrzały
Tłucze; już on nadzieje żniwa odejmuje,
Najsmutniejszym oraczom strach serca przejmuje.
Wiecie, jak z Balizardą siecze Duryndana,
A cóż, gdy w rękach dużych jest mocnego pana!

LII.

Lecz jeszcze uderzenia żaden z nich srogiego
Nie wziął: ma pilne oko jeden na drugiego.
Potem pierwszy Mandrykard raz tak ciężki daje
Rugierowi, bez dusze iż jakby zostaje.
Bierze Rugier raz ciężki, niewypowiedziany,
Co paiz, blachą trzykroć hartowną odziany,
Rozwaliwszy, zbroję wskrósł potężną przebiega
I ciała najdłuższego po wierzchu dosięga.

LIII.

Przykry raz, z którego szły skry aż pod obłoki,
To sprawił, iż zimny mróz patrzących za boki
Ująwszy, pożałować Rugiera dobrego
Przymuszał, gdy mniemali już być zabitego.
Bo kiedyby fortuna tak mu chętna była,
Jak ci, co ich tam miłość jego zgromadziła,
Dawno on Mandrykarda pożyłby hardego,
Uciąwszy bez rozlania krwi swej szyję jego.

LIV.

Anioł bez chyby, anioł z nieba wysokiego
Ratował bohatera w ten czas serdecznego,
Który straszliwszy potem, niż kiedy, na świecie,
Najmocniejsze powtarza raz po raz swe cięcie,
Spuszcza swą Balizardę, gniewem zapalony,
Na szyszak Mandrykardów mocny, doświadczony,
I znowu ją podnosi wzgórze w ocemgnienu
Po onem niesłychanem, dużem uderzeniu.

LV.

By była szabla nie w sam kraj hełmu trafiła,
Bez chyby z głowaby go na pół rozdzieliła.
Przecię i tak Mandrykard z uderzenia tego
Puszcza z rąk wodze, a mgłą zaćmił się wzrok jego.
I już trzykroć, jak wolno biegał koń puszczonego —
Mało na ziemię nie spadł z niego, pochylony —
Koń Bryljador, co jeszcze dotychczas żałuje,
Iż inszego na grzbiecie swoim jeźca czuje.

LVI.

Nie srożej wąż zdeptany troistem migoce
Żądłem albo lew ranny paszczką skrzypoce,
Jako Tatarzyn zjadły, gdy po wziętem razie
Otrzeźwiałwszy, krew własną ujrzał na żelazie.
A im bardziej z furią gniewu mu przybywa,
Tem na większą i siłę i moc się zdobywa.
Zwarł konia ostrogami i szablą dobytą
W głowę chce ciąć Rugiera, szyszakiem nakrytą.

LVII.

Chce ciąć zaraz w sam hełmu środek, jako mierzył.
Zląkł się król, gdy to ujrzał, bo tuszył i wierzył,
Iż najdłuższy raz głowę przepędzi z pierściami.
Lecz bystreimi Rugier to postrzeża oczami
I wprzód, nim spada z góry Duryndana jego,
Żartko nań sztychem miecza uderzył ostrego,
A uczyniwszy i tarcz i zbroję dziurawą,
Wraził mu dziwnie prędko broń pod pachę prawą.

LVIII.

I znowu Balizarde rąco podejmuje,
A za tą krew strumieniem z rany wysakuje,
Która moc Mandrykarda zwątlwszy dużego,
Sprawiła, iż śmiertelny nie był on raz jego,
Chociaż jem Rugierowi wzrok i słuch tak myli,
Że ten, zapomniawszy się, kark na siodło chyli;
I by był hełmu nie miał nad podziw twardszego,
Ostatni pewnie on dzień byłby życia jego.

LIX.

Poprawuje się Rugier i na koniu swoim
Skoczywszy, Tatarzyna uderzeniem trojem
W bok prawy, do wściekłości przywodząc, przemaga.
Mało najwyborniejsza stal z miedzią pomaga,
Sztuki przedniego blachu leca, gdzie zawadzi,
Tarcz, siedmioraką łuszczką spięta, nic nie wadzi,
Bo tak skutecznie jest broń szczerowana jego,
Iż zbroja liściem się zda Hektora mężnego.

LX.

Tak wiele kruszy zbroje, jak szablą zajęła:
Krew z boku tatarskiego potokiem lunęła,
Który niebo przeklina z jadu ostatniego,
Burzy się na kształt morza nieuśmierzonego;
Potem rzuca na ziemię paiz, naznaczoną
Orłem, aby tak mocą robiąc zgromadzoną,
Straszniejszy był i męstwem zjednoczonem sobie
Pomagał, Duryndanę wzięwszy w ręce obie.

LXI.

Krzyknie Rugier: »Już teraz jawnie pokazujesz,
»Iż się niegodnem herbu tak zacnego czujesz,
»Cisnąwszy go od siebie, chociaż mało cięży:
»Sam bądź świadkiem, iż tobie więcej nie należy!«
To mówiąc, z jaką z góry przypada srogością
Duryndana, postrzegłszy, z zwyczajną chyżością
Gdy konia w bok wodzami kieruje swojego,
Unika i nie bierze cięcia śmiertelnego.

LXII.

Lecz przecię nie tak całe spełznąć mógł razowi,
Aby się nie nawinał na koniec mieczowi,
Który z przodu szyszaka przepadł rozciętego
Do siodła, we dwa rzędy blachą okutego,
A potem w namocniejszych nakolankach nity
I trzykroć jedwabiami rwąc ubiór przeszyty,
W samo kolano ranę niebezpieczną daje,
Z której nierychło z łóżka dobry Rugier wstaje.

LXIII.

Już dwiema strumieniami krwią zbroja spływała
U obu, a rozeznąć jeszcze nie umiała
Żywa dusza, kto wygrał, kto lepszy był w onem
Pojedynku, o orła białego wznieconem.
Aż namężniejszy Rugier z szablą doświadczoną
Bitwę, co do tych jeszcze czas była zwątpioną,
Pokazuje, iż wygrał, gdy tam broń obraca,
Gdzie tarcz nie zasłoniła, i w bok go namaca.

LXIV.

Na dłoń z boku przez zbroję szablą wylatuje
I drogę, kędy serce mieszka, wnet najduje;
Ten srogiem uderzeniem w miejsce złe trafiony,
Jeno co z Bryljadora nie spadnie zemdlony.
Zapomina, przegrawszy, i herbu swojego
I miecza, co się kochał w niem, Gradasowego;
Barziej go trapi, żywot iż traci jedyny
W szczętych uparcie zwadach z tak lekkiej przyczyny.

LXV.

Bez pomsty jednak nędznik znacznej nie umiera;
Bo w ten właśnie czas, gdy mu bok Rugier otwiera,
Chyżo mieczem świsnąwszy, twarz dzielić chce jego,
Którą widać z szyszaka, przedtem rozciętego.
Ale gniew nie tak waży siły umniejszonej,
Więc pierwszą moc swą szablą broni wyniesionej
Zraża Rugier, nie widząc, iż ten z drugiej strony
Już ją spuszcza na szyszak jego ustalony.

LXVI.

Trafia weń ostatni raz jak najcięższem razem,
 Gdzie kolco dosyć miąższem skręcone żelazem,
 I skofią odcina z stali najprzedniejszej.
 Nie może Duryndanie hełm najpotężniejszy
 Wytrzymać, pozwala jej, a ta na dwa palce
 W głąb łeb przesiekwszy, czyni z kości w niem kawalce:
 Leci z konia i zdrowia małe ma nadzieje
 Rugier, a krew z haniebnej rany rzeką leje.

LXVII.

Pierwszy Rugier na ziemię z konia spadł swojego,
 Później mu towarzystwa dopomógł onego
 Tatarzyn; zaczem wszyscy snadno rozumieli,
 Iż Mandrykarda witać za zwyciężcę mieli.
 Z którymi Doralika jest tego mniemania;
 Łzy utarszy, przystąpić już chce do witania,
 Dziękując Bogu, ręce ku niebu podnosi,
 Że taki koniec bitwa straszliwa odnosi.

LXVIII.

Ale gdy się jawnemi znaki pokazuje,
 Kto tchnie żywy, a kto zaś bez dusze nie czuje,
 Różne ochoty w różnych wnet sercach powstają:
 Ci żal w radość, ci śmiechy w płacze obracają.
 Sam król bieży na on plac z pany przedniejszemi
 Do Rugiera, co mały czas leżąc na ziemi,
 Z trudnością się podnosić począł, i wielkiego
 Oblapiwszy rycerza, rany wiąże jego.

LXIX.

Co żywo się weseli i życzy onego
 Zwycięstwa, z pojedynku które tak straszego
 Odniósł; wrzaski wysokich obłoków sięgają,
 Dobrą myśl, co jest w sercu, usta oświadczają.
 Sam Gradass, choć go chwali, chocia mu winszuje,
 Choć w powierzchownej twarzy radość pokazuje,
 Zazdrością się poniekąd męczy, iż los srogi
 Zabronił mu i nie dał tej do sławy drogi.

LXX.

Co powiem o weselu, co i o radości,
 Którą Agramant z wielkiej ku niemu miłości
 Pokazuje? A nie dziw, bo gdy afryckiego
 Króla potomstwo zeszło, on na miejscu jego
 Rugiera tak szanował, iż chorągwi swoich
 Bez niego wnieść nie kazał do państw, Karle, twoich
 I sam z żyznej Afryki ruszyć nie chciał stopy,
 Ażby się Rugier wybrał i szedł z niem w też tropy.

LXXI.

Ale nie tylko z niem się towarzystwo jego
 Z wygranej bitwy cieszy, lecz wszystka do tego
 Biała pleć, co z Afryki, z Hiszpaniej były,
 Zaraz życzliwość swoją ku niemu skłoniły;
 I sama Doralika, choć łzami zlewała
 Martwe małżonka ciało, teżby oświadczała
 Chęć swoją, ale wstydu najmocniejsze wodze
 Zatrzymawają nędną i hamują srodze.

LXXII.

Bo taka ludzkość jego z obyczajami była,
 Tak z męskiej twarzy wdzięczność powabna świeciła,
 Więc przymioty rozkoszne, kształt stanu ładnego,
 Iż do podziwowania porywał każdego.
 Zaczem i ona snadno z tej niestateczności,
 Co przedtem słyszeliście o niej, do miłości
 Jego nachylała się, chcąc, by znowu miała,
 Komuby serca i swych tajemnic zwierzała.

LXXIII.

Prawda to, iż póki był jej Mandrykard żywy,
 Płomień miłości gasić miała gdzie teskliwy;
 Lecz teraz co ma czynić, gdy leży zabity
 I miecz wziął mu na wieki czerstwość jadowity?
 Starać się o takiego męża jej przychodzi,
 Co się kochać w niej będzie i co jej wygodzi.
 Tem czasem cyrulicy wszyscy powiadają,
 Iż Rugiera uzdrowić niezadługo mają.

LXXIV.

Którego w swoje bierze Agramant namioty,
 We dnie i w nocy cieszy, dodaje ochoty;
 Sam barwierzów, by go w skok leczyli, pilnuje,
 Mandrykardowę nad niem zbroję rozkazuje
 Zawiesić i tarcz, orłem białem naznaczoną,
 Którą on krwią uczynił tatarską skropioną,
 Więc i inszy rynsztunek oprócz Duryndany,
 Bo tę z chęcią królowi daje z Serykany.

LXXV.

Wszystkę przy namocniejszej korzyść bierze zbroi
 I konia, co niezmiernej dla cnót sumy stoi,
 Konia, którego Orland, w las wszedszy zgęściony,
 Porzucił, gdy z rozumu już był obnażony.
 Lecz tego Rugier zaraz królowi daruje,
 Bo, iż miał być w kochaniu wielkiem, upatruje.
 Ale tu koniec o tem; zaś szczerze miłości
 Bradamanty napiszę i dziewczce żałości.

LXXVI.

Serdeczny zapal teraz powiedzieć chcę, który
 Żarł dziewczkę, gdy Hipalka czas czekała spory,
 Żarł tak długo, aż ona wraca się i wieści
 Powiada, jak Rodomont lekce płacz niewieści
 Poważwszy, wydał jej na drodze Frontyna,
 Chcąc tem uparcie zelżyć Gallacyej syna,
 Więc jako go z jej bracią przy źródle najduje,
 I miejsce, gdzie jej konia wzięto, ukazuje.

LXXVII.

I jako z niem pospołu dzień cały jechała,
 Chcąc, aby Sarracena zbójcę ukazała,
 Co się ważył dziewczynie mdłej konia dzielnego
 Wziąć gwałtem, gdy go wiodła umyślnie do niego;
 Jako się zaś minęli, goniąc go na drodze,
 Jak się o to frasował i gryzł Rugier srodze
 I co mu za przyczyna pośpieszyć nie dała
 Do Montalby z nią wespół, szczerze powiadała.

LXXVIII.

Odnosi i sekretne słowa, jej zlecone,
 Daje drugie na piśmie, karcie powierzone.
 Bradamanta list bierze rękami smutnemi
 I oczyma nań patrzy, łzami zalanemi;
 Czyta, a im zatłumić bardziej usiłuje
 Pożar w sercu, tem większy coraz się zajmuje.
 Pała gniewem, małą ma nadzieję miłości,
 Pełna bojaźni, pełna różnych wątpliwości.

LXXIX.

Bo przez ten czas Rugiera czekała samego,
 Nie listu, który musi wziąć na miejscu jego;
 Twarzą nażałościwszą nieba wyjaśnione
 Smutna dziewczka zarazem czyni zachmurzone.
 List do serca przyciska i po tysiąc razy
 Całuje, na Rugiera choć ma swe urazy,
 A iż go ogniem tesknąć wewnętrznych nie spaliła,
 Łzy bronią, które z oczu obficie cedziła.

LXXX.

Po sześć, siedmkroć kartę przewraca i czyta
 I o kochanku swoim ustawicznie pyta;
 Rozkazuje Hipalce, aby powiedziała
 Poselstwo znowu, które w swem zleceniu miała.
 Wzdycha ciężko i żalu uspokoić swego
 Nie chce, póki Rugiera nie ujrzy samego.
 Hipalka serce smutki pociechami bawi,
 Przysięga, w krótkim czasie iż się do niej stawi.

LXXXI.

W piętnaście dni nawiciej miał Rugier nawiedzić
 Do Montalby lub jeszcze i ten czas uprzędzić;
 Tak upewnił i tak chciał, aby powiedziała,
 Gdy się do Bradamanty Hipalka wracała.
 Ale tej przygody tkwią w oczach nieszczęśliwe,
 Wie, iż na każdym miejscu strzały nieleniwe
 Na ludzki naród zwykły wysyłać i onych
 Naczęściej zażywają w wojnach ukrwawionych.

LXXXII.

- »Niestetyż — mówi — tak to upór głupi w tobie:
- »Tych czcisz, którzy krew twą łać za cześć kładą sobie;
- »Tem zaś boleści dajesz śmiertelnej przyczyny,
- »Co w ich oczach wdzięczniejszy nie jest nad cię iny.
- »Kogobyś miał miłować, Rugierze kochany,
- »Temu przykre zadajesz swą niełaską rany;
- »A na jawną nieprzyjaźń kto zarobił tobie,
- »Szanujesz go, służysz mu, czcisz, poważasz sobie.

LXXXIII.

- »Wiesz bez chyby, wiesz dobrze, bo i same skały
- »Na tak okrutny patrząc uczynek, wzdychały,
- »Iż Trojan zabił ojca umyślnie twojego,
- »Trojan, co dla potomka ważysz zdrowie jego.
- »Takaż to pomsta być ma, którą ty krwi swojej
- »Koniecznie masz uczynić z powinności twojej!
- »Taka mojej zapłata serdecznej miłości,
- »Iż wytchnąć ducha muszę, nędzna, z biednych kości?«

LXXXIV.

Tak mówiąc Bradamanta, jak do obecnego
Rugiera, kropi łzami twarz gorzkiego.
Hipalka żal uśmierza, tesknice rozwodzi,
Stokroć w jednej godzinie cieszyć ją przychodzi;
Z klątwami rozmaitemi przysięga jej śmiało,
Iż wiarę z obietnicą strzyma Rugier cało,
Tylko ona ma czekać dnia pomienionego
Cierpliwie, z serca bojaźń wypędziwszy swego.

LXXXV.

Nadzieja, która w piersiach miłością zranionych
Mieszkać zwykła, żrzenice dwie oczu zaćmionych
Rozwesela poniekąd i troski hamuje
W Bradamancie, Hipalka gdy jej ukazuje,
Iż niesłusznie Rugiera przed czasem takimi
Lży słowy, wiatr skargami stanowiąc próżnemi.
»Nie dotrzyma-li wiary po terminie swojej,
»Już on niełaski w ten czas będzie godzien twojej«.

LXXXVI.

Tak mówi sługa wierna, a nie myśli o tem,
Iż Rugier, przerażony niemniejszym kłopotem,
Przysięgę złamać musi i przerwać ustawy,
Kiedy tak niefortuna, los chce niełaskawy.
Na łóżku w ciemnem miejscu, tesknic pełen, leży,
Gdzie sam nędznik nie może, tam myśl prędką bieży:
Miedzy śmiercią i zdrowiem na poły wątpliwy,
Swej Bradamanty stawia w oczach obraz żywy.

LXXXVII.

Ta zaś, miłością zjęta, gdy darmo czekała
Dni kilka, które dosyć pilno rachowała,
Gryzie się, inszej znowu iż niema nowiny,
Różne w myślach niepewnych roją się przyczyny.
Bo choć to od Hipalki i od rodzonego
Słyszcy często o wiernej Rugiera swojego
Miłości przeciw sobie, przecię ją trapiła
Jedna rzecz, co się w głowę świeżo jej wlepiła.

LXXXVIII.

Marfizy męstwo, ludzkość i śliczną urodę
Swoje nieszczęście, swoją rozumie być szkodę.
Bo iż z Rugierem współ do króla jechała,
Aby obleżonego w trwogach ratowała,
Chwali z tem przedsięwzięciem zamysły wspaniałe,
Ale jej złe coś wróży serce ociężałe:
Boi się godnej siebie cnotą kompaniej,
Tuszając, iż do żałości da przyczynę czyjej.

LXXXIX.

»Jeśli jest tak nadobna, jako powiadają —
»Myśli sobie — ci, co ją i jej gładkość znają,
»Nie będzie dziw, że Rugier wesoły i młody
»Zakocha, więźniem kształtnej zostawszy urody.
»Ale zaż mej zapomnieć niewdzięcznik miłości,
»Zaż takiej nabawić mię będzie chciał żałości?«
Tak myśląc ustawicznie, bladła i wzdychała,
Dnia, którego się stawić obiecał, czekała.

XC.

Czeka najutrapieńsza dziewczka i trwa w błędzie,
 Aż tem czasem na Jasną Rynald Górę wjedzie,
 Rynald, co wszystkę bracią przechodzi dzielnością,
 Nie pierworodztwa, nie lat dojrzałych zacnością,
 Rynald, co męstwa swego sławnemi dziełami
 Świeci, jak złote w pół dnia słońce promieniami.
 Już dziewięć bił, do zamku gdy wjechał swojego,
 A z czeladzi chłopczyka miał tylko jednego.

XCI.

Jego przyjazdu własna ta przyczyna była:
 Wieść rąca nowiny mu przykre oznajmiła,
 Gdy z Brawy do Paryża powracał wielkiego,
 Na ślad chcąc Angeliki paść i brata swego,
 Z Malagizem Wiwian iż w łykach zostali,
 Które jem Maganzowie chytrze zgotowali;
 On, aby ich co prędzej z więzienia wybawił,
 Na Jasną Górę przeto biegł i swem się stawiał.

XCII.

Matkę, żonę i dzieci obłapia, całuje,
 Od których inakszych się wieści dowiaduje,
 Jak z Rugierem Marfiza, jednaką dzielnością
 Sławna para, pobili zdrajców i wolnością
 Dwu braci, puściwszy ich z oków, darowali
 I w dalszy czas do posług chęć ofiarowali.
 Dziwuje się, widząc ją, Rynald tej ludzkości,
 Serce mu ogniem pała nowotnej miłości.

XCIII.

I z rodziną ma różne uciechy kochaną;
 Tak więc, gdy przez długi czas ujrzy opłakaną
 Matkę najświegotliwsze jaskółczę, a ona,
 Miłością przyrodzoną dziwnie zniewolona,
 Pokarmy w pyszczku niesie, któremi zgłodniałe
 I odżywia i cieszy oraz ptaszę małe.
 Ale iż one dwa dni zdadzą się mu rokiem,
 Znowu chce jak najręszem stamtąd wybiedz krokiem.

XCIV.

Ryciardota, Alarda bierze, Ryciardyna
 W drogę i kęs starszego z niemi Gwyciardyna;
 Malagiz też, Wiwian tak ochoczy byli:
 W domu jeszcze swe zbroje na grzbiety włożyli.
 Umyślnie Bradamanta przy matce została:
 Tkwi jej w głowie czas, co go teskliwa czekała,
 Braciej się wymówiwszy, iż dla zdrowia złego
 Nie może towarzystwa dopomódz lubego.

XCV.

I prawdę ona mówi, bo tak chora była,
 Iż ledwie włął głowę we mdłościach trzeźwiła;
 Ale miłość przyczyną zdrowia jest słabego,
 Nie febry, nie gorączka, nie co przeciwnego.
 Potem wyjeżdża Rynald z Montalba swojego
 Z kwiatem młodzi przedniejszych, domostwa zacnego. —
 Jako przybeł pod Paryż i jako zarazem
 Daje pomoc Karłowi, powiem drugim razem.

KONIEC PIEŚNI TRZYDZIESTEJ.

PIEŚŃ TRZYDZIESTA PIERWSZA.

A R G U M E N T.

W surowem pojedynku Rynald się próbuje
 Z Gwidonem, po którym go za brata przymuje;
 A potem puściwszy się wciąż ku Paryżowi,
 Rozgromił wojska z bracią swą Agramantowi.
 Orlanda Brandymarte szukając głupiego,
 Bój z Rodomontem zwodzi w pół mostu wąskiego.
 Rynald o konia wyzwał króla z Serykany
 I z niem plac bitwie znaczy u jednej fontany.

A L L E G O R Y E.

W tej trzydziestej pierwszej pieśni przez piękną Fiordylizę, która wiedząc, jako serdecznie mąż jej Brandymart miłował Orlanda, namawia go na drogę; przez Brandymarta zaś, który zaraz jedzie i tak wiele niebezpieczeństw, aby go znalazł, podymuje, daje się przykład doskonałej przyjaźni. Przez Rynalda, co tak ludzko usprawiedliwia się Gradasowi i nie dopuszcza żadnemu z swoich czynić mu despektu najmniejszego, chcąc sam dla Bajarda znowu z niem pojedynek czynić, ukazuje się, jako wielkie osoby raczej się na uczciwe, aniżeli pożytek, oglądać mają; bo nie dla czego inszego zowią się wspaniałemi i zacnemi, jeno, aby wszystkie poważne sprawy ich na oku wszystkiego świata przez ich żywot cały były.

S K Ł A D P I E R W S Z Y.

Nad serce, gdy miłością ujęte prawdziwą,
 Szczere oświadcza chęci z przyjaźnią życzliwą,
 Co lepszego i co jest błogosławieńskiego?
 Inszy stan nie porówna z rozkoszami jego,
 Kiedyby jęcza, co ją złość ludzka wywiodła
 Z przepaści, serc i myśli wspaniałych nie bodła,
 Jęcza brzydka, szkaradna, pełna opaczego
 Mniemania, co ustawy rwie związku świętego.

II.

Bo choć to gorzką żółcią zapaliły serdeczne
 Zowiemy, choć słodkości są ich mniej bezpieczne,
 Wszystko człowiek znieść może, statkiem umocniony,
 Aż w doskonałość samę będzie zaprawiony.
 Cierpieć, trwać, służyć, czekać — takie ukazuje
 Nagrody zrazu miłość, gdy swoich próbuje:
 Smaczniejsza woda zda się słońcem ugrzanemu
 I pokój wdzięczniejszy jest wojną strudzonemu.

III.

A iż nasze nie widzą oczy czasem tego,
 W czym serce kochać każe i co własne jego,
 Nie już to jest śmiertelna: milej więc witamy
 Przyjaciela, w tesknicach kiedy nań czekamy.
 Ani to nam ostatniej rodzić może szkody,
 Choć dawno służym, gdy jest nadzieja nagrody,
 Nadzieja, co największe utrapienie słodzi
 I myśl z trosk ustawicznych rozmajcie wywodzi.

IV.

Gniew, wzdychania, łzy, odmów próżnych groźne słowa,
 Gdy je stateczność męska wytrzymać gotowa,
 Przydzie ten dzień, przykrości iż straciwszy swoje,
 Odmienią się w najśłodsze lubych zabaw zdroje.
 Ale jeśli zaraza piekielna swojemi
 Napuszy serca nasze jady śmiertelnemi,
 Już podejrzana miłość prawdziwa zostaje,
 Skąd nienawiść do pomsty tysiąc przyczyn daje.

V.

To jest najsroźsza rana w sercu rozpalonem,
 Której ani olejkim kosztownie sprawionem
 Ani plastrami zleczyć będziesz mógł drogiemi,
 Babiem szeptaniem, gusły czarnoksiężniczemi;
 Nie pomoże naukami Zoroaster swemi,
 Co z piekłem kołowroty władnie niebieskimi,
 Rana najokrutniejsza, której ból tak dusi,
 Iż zdesperowawszy, dać garło człowiek musi,

VI.

Nieuleczona rana, co nasze wnętrzości
 Wskróś przeniknąwszy, przykrej nabawia żalości,
 Niemniej przez pewne, jako wątpliwe, mniemania
 Do ostatniego wiedzie jednak skonania;
 Rana ciężka, co rozum ćmi nasz i mądrości,
 W gniew ostry odmieniając najśodsze miłości:
 Przekłęte podejrzenie! tyś wszystkie nadzieje
 Zgaśliło w Bradamancie, skąd w niej jad gniew grzeje.

VII.

Nie dlatego, iż owe nowiny słyszała,
 Które brat i Hipalka świeżo powiedała;
 Ale skąd inąd wieści wzięwszy mniej prawdziwe,
 Zarazem ognie gniewów nieci w sercu żywe,
 Pała chciwością pomsty, daremnem kłopotem
 Zjęta dziewczka, o czym zaś usłyszycie potem.
 Teraz napiszę, co się z Rynaldem dzieć będzie,
 Który pod Paryż z bracią jak najspieszniej jedzie.

VIII.

Potkał, ledwie godzina do wieczora była,
 Rycerza, którego tarcz czarna zasłoniła;
 Więc i w czarną dołomę zwierzchnią beł ubrany,
 A poprzek ją kraj zdobił, biało przeszywany.
 Ten zaraz Ryciardyna ujrzawszy pierwszego,
 Wyzywa do potkania z kopią srogiego;
 Z takiego się igrzyska nie wymawia drugi
 I drzewo swe gotuje do jego usługi.

IX.

Skoczą żartko do siebie, słowa najmniejszego
 Nie mówiąc więcej; Rynald zaś z boku prawego
 Zastanawia się w miejscu i patrzy na one
 Potkania, z czyją będą fortuną skończone.
 »Zaraz, zaraz na ziemi rozciągnę ja tego —
 Ryciard myśli — jeśli moc i siebie samego
 »Znam dobrze«. Ale szczęście zamysłem zuchwałem
 I skutek odpowiada opak słowom śmiałem.

X.

Bo go w podbródek drzewem, jak w pół twarzy mierzyl,
 Tak potężnie bohater postronny uderzył,
 Iż dalej na kopij dwie od konia własnego
 Zostawuje na ziemi twardej leżącego.
 Alardyn zelżywości tej mścić się gotuje,
 Lecz zaraz w kompaniej z bratem się najduje:
 Ogłuszony spadł, siodło wypróżniwszy swoje,
 Raz najtęższy rozczepił tarcz jego na dwoje.

XI.

Kładzie po nich Gwiciardyn w tok kopią duży,
 Widząc, iż Mawors braciej i szczęście nie służy,
 Choć Rynald krzyczy, woła: »Zostań: mnie należy
 »Trzecie potkanie«. Ale ten wciąż przecię bieży
 I składa zapalczywy swe drzewo straszliwe,
 Aby nasycił gniewy, prętkiej pomsty chciwe.
 Cóż potem: w ociemgnięciu leci z konia swego,
 W pół właśnie od rycerza trafiony cudzego.

XII

Wiwian i Malagiz spórkę z sobą wiedli,
 Kto z nich wprzód miał poskoczyć, gdy na konie wsiedli.
 Ale ich namężniejszy prędko Rynald godzi,
 Mówiąc, iż »omieszkanie namniejsze tu szkodzi;
 »Bo i do Paryża biedz jak najprędzej trzeba
 »I tego, ktokolwiek jest, nie pobiją z nieba
 »Pioruny; mnie tu potkać przydzie się samemu
 »I wstręt bohaterowi dać tak potężnemu«.

XIII.

To rzekszy, prosto konia obraca ku niemu;
 Nie leniwszy jest drugi: wypuszcza swojemu.
 Uderzą w się srogimi okrutnie drzewami
 Tak, jako wymierzili, jako chcieli sami.
 Moc obu niewymowna z konia spaść nie dała
 Żadnemu, w swej potędze siła zostawała;
 Kopie się do gałek, jak szklane, skruszyły,
 A samem pyszne czoła ani się ruszyły.

XIV.

Najcięższe uderzenie, raz gwałtownie srogi
Upaść konie przymusił, jak jem podciął nogi.
Bryljador przecię z miejsca zaraz się porywa,
Lecz drugi wstać nie myśli: leży, odpoczywa;
Bo prócz tego, łopatki iż wytrącił sobie,
Złamał w najtęższym starciu i goleni obie.
A ten widząc, iż zdycha koń jego na ziemi,
Nogami z siodła swego wyskoczył rączemi.

XV.

I do Rynalda mocnem głosem rzekł dobrego,
Który z ręką bezbronną wracał się do niego:
»Konia, rycerzu dobry, co z twojej padł ręki,
»Prawa żołnierskie mścić się każą mi przez dzięki:
»W kochaniu u mnie zawsze był, wielcem go ważył,
»Siła trudności, siła dla niegom ja zażył.
»Ty wiedząc to, zarazem gotuj się do boju,
»Bo pewnie nie będziesz miał, ani myśl, pokoju«.

XVI.

Uśmiechnąwszy się Rynald, rzekł: »Jeśli dla swego
»Konia w szrankach się widzieć chcesz Marsa krwawego,
»Mniejsza to: inszy zaraz będzie dany tobie,
»Którego dla cnót wielkich ważę ja też sobie«.
Opowiada mu drugi: »Próżne słowa twoje:
»Zrozumieć ponno nie chcesz, czego pragną moje
»Żądania; jaśniejsemi więc ukazać słowy,
»Czemu chcę pojedynek z tobą mieć surowy.

XVII.

»W ustawach jużbym zbłądził nie lekko żołnierskich,
»Gdybym cię jeszcze w sztukach nie doznał szermierskich,
»Nie wiedząc, jeśli z ręki twych miecz wyostrzony
»Umie tak srogi raz dać, jako grot stalony.
»Zsiadajże, nie mieszkając, zsiadaj z konia tego,
»A dobywaj go zaraz od boku twojego.
»Nie wąp nic: pierwszej tobie ustąpię ja chwały,
»Tylko chcę widzieć, z bronią jakoś też jest śmiały«.

XVIII.

Syn Amonów wspaniałem słowom się dziwuje
I bić się nieodwłocznie pieszo obiecuje,
Mówiąc: »Abyś nie wąpił o śmiałości mojej,
»Na stronę każę iść wprzód kompaniej swojej
»I nie zostawię, jeno sługę tu jednego,
»Co konia będzie trzymał opodal mego«.
Potem na bracią kinie, aby ujechali
I w ćwierci mile dobrej na drodze czekali.

XIX.

Ludzkość ta, co się męstwu równała dobremu,
Zaleciła Rynalda nad podziw drugiemu;
Widzi, iż z konia zsiadszy zarazem własnego,
Wodze do ręki sługi podaje swojego.
Szyszaka poprawuje, śmiertelnej dobywa
Szable, piersi najtwardszą paizą zakrywa
I na kilka ku niemu kroków postępuje;
Gniew mu z twarzy, a płomień z oczu wyskakuje.

XX.

Srogą, zszedwszy się współ, bitwę zaczynają;
Moc, siłę, serce, dużość oba równą mają,
Której się mniej spodziewał jeden u drugiego,
Kiedy do pojedynku mieli iść strasznego.
Teraz zaś, jako równe swe męstwo poznali,
Sztukami i nauką sobie oba odpierali;
Wściekłe poniekąd jady z gniewem uśmierzają,
O zwycięstwo samem się baczeniem starają.

XXI.

Głos najmocniejszych razów po różnej się stronie
Rozlega, raz w łeb trafią, a drugi raz w skronie;
Mięzsze u zbroje jasnej już puszczaają nity,
Przecina miecz żelazo twarde nieodbity.
Jeśli ten ostrą bronią, okiem nieścignioną,
Rany surowe czyni ręką wyćwiczoną,
Niemniej drugi naciera ani się hamuje,
Znaki śmiertelnych sztychów straszne zostawuje.

XXII.

Na półtóry godziny bitwa przykra trwała
I już noc wypędziwszy dzień, następowała,
Słońce zapadło jasne, a wieczorne zorze
Powoli w nieprzebrnione zakryły się morze:
A ci jeszcze dźwięk straszny mieczami czynili;
Hełmy posiekli, tarcze mocne zdziurawili,
Choć nie gniew ani żadne wzbudzają ich jady,
Ale najśłodsza sława do haniebnej zwady.

XXIII.

Patrzy Rynald i takie myśli ma sam w sobie,
Coby to był za rycerz, którego w tej dobie
Trafunek jakiś zesłał, tak mocny i śmiały,
Bo mu się nieczłowiecze siły jego zdały.
Dziwuje się i jużby rad poprzestał wojny,
Pot z najniebezpieczniejszej pracy płynie hojny,
A choć nie trwoży sobą, ale powątpiwa
O zwycięstwie, co go chęć pragnie, sławy chciwa.

XXIV.

I bohater nieznany także z drugiej strony,
Nie wiedząc, aby to był Rynald doświadczony,
Rynald, najmężniejszymi co dzieły podaje
Sławę domu swojego w różne świata kraje,
Rynald, we wszystkich sztukach rycerskich ćwiczony,
Jedyna swych ozdoba, jedyne obrony,
Chwali jego wspaniały umysł i przymioty,
Wysławia obyczaje, śmiałość, insze cnoty.

XXV.

Aniby się już więcej chciał bić o swojego
Konia z niem, by o zmazę nie szło uczciwego;
Zabawa mu tak straszna namniej nie smakuje:
Skończenie krwawej sprawy początkiem miarkuje.
Mrok do tego, z czarnawej co wypadał nocy,
Krył dzielność, słońca godną, ich siły i mocy;
Rzadki raz, aby na wiatr nie szedł po próżnicy,
Szabel zaledwie dojrzeć swych mogą w prawicy.

XXVI.

Potym Rynald wyrwie się wprzód słowy takim,
Iż ich męstwo, cieniami zakryte nocnymi,
Gubi cześć i lepiejby trzykroć uczynili,
Gdyby do jutra krwawą spórkę odłożyli;
Tem czasem zaprasza go do namiotu swego,
Kędy i wczasu zażyć z niem może lepszego
I od jego przyjaciół będzie szanowany,
Aż ich do wszczętej bitwy wróci zaś świt rany.

XXVII.

Pozwala Rynaldowi bohater serdeczny,
Widząc zwłaszcza, iż będzie u niego bezpieczny.
Idą wespół, gdzie bracia z drugimi czekali,
Aby do stanowiska z niemi pojechali.
Potem od giermka wzięwszy konia wybornego,
Rynald ludzki, co w wielkiej wadze był u niego,
Zarazem rycerzowi daje nieznanemu,
Ofiarując i w dalszy czas chęć swoją jemu.

XXVIII.

Z niewątpliwych podobieństw, z tak wielkiej ludzkości
Wzruszają się w rycerzu nieznanem wnętrzości;
Poczyzna znać Rynalda, brata stryjecznego,
Bo z tej szedł krwie, co i on, Amona wielkiego.
Oczy, wielką miłością pijane, pałają
I łyż z naglej radości ciepłe wynikają,
Tem barziej, jak usłyszał, iż Rynald mianował
Swe nie chcąc imię w ten czas, gdy się spać gotował.

XXIX.

Ale i wy rycerza chcecie ponno tego,
Poznać, z Rynaldem szczęścia co próbował swego?
Nie zataję: Gwidon to, który z Sansonotem
Przez morze wielką z wielkiem uczynił kłopotem
Drogę; przy niem Marfiza była i z synami
Oliwiera. Jako już wspomniałem przed wami,
Pinabel poimawszy, zabronił mu tego,
Iż prędzej poznać nie mógł Rynalda mężnego.

XXX.

Teraz, skoro przymuje to imię w swe uszy,
 Że to brat jego luby, niewątpliwie tuszy,
 Sławniejszy wódz nad sławne pod słońcem hetmany,
 Którego w sercu obraz nosił wykowany.
 O, jako on widzieć go pragnął dawno chciwie! —
 Tak zwykł wzroku pożądać ślepy niecierpliwie —
 A nie mogąc dłużej trwać, rzekł: »Bracie kochany,
 »Czemu własną krew chcemy łać przez srogie rany?«

XXXI.

»Jam Gwidon; Konstancya zrodziła mnie memu
 »Ojcu, gdzie wstręt brzeg czyni morzu Euksyńskiemu.
 »Twój brat, twój powinny i krwie jednej z tobą,
 »Krwie, której ty jedyną sam jesteś ozdobą.
 »Chęć i chciwość zawsze mię niezmierna do tego
 »Prowadziła, abym cię oglądał zdrowego;
 »Ale patrz niefortuny: gdym posługi moje
 »Miał ci oddać, w okrutne wszedłem z tobą boje!

XXXII.

»Odpuść mi, odpuść, proszę, bo niewiadości
 »Grzechu nie są przyczyną i największych złości;
 »Odpuść, a daj pokutę, którą ja gotowy
 »Pełnić jestem, bym tylko zgładził grzech takowy.
 »Nic mi zadać nie możesz nigdy tak przykrego,
 »Abym z chęcią nie konał rozkazania twego«.
 Na te skargi Rynald zaś odpowiada jemu,
 Iż w tej mierze winę dać ma nieszczęściu złemu.

XXXIII.

»Teraz dopiero wierzę, iż się urodzony
 »Z naszej krwie, kiedyś męstwem takim ozdobiony,
 »I świadectwa, upewniam, nie pragnę inszego
 »Nad tę próbę dzisiejszych sił i serca twego.
 »Tak czyń, bracie, zawsze, tak sprawuj się, mój drogi:
 »Te do sławy są słodkiej, te do nieba drogi.
 »Nie urodzi gołębia śmiały orzeł ani
 »Najserdeczniejszego lwa bojaźliwa łani«.

XXXIV.

Tak mówiąc, Rynald wielkie serce zaprawuje
 Do wielkich dzieł, prace mu rycerskie smakuje.
 On chciwie barzo słucha z przyrodzonej chęci
 I złote słowa w żywej rysuje pamięci.
 Potem go drugiej zaraz braciej ukazuje;
 W tych serdecznej miłości ogień się zajmuje.
 Patrzą mu pilno wszyscy w twarz i powiadają,
 Ojcu podobniejszego iż nie oglądają.

XXXV.

Alardyn z Ryciardotem naprzód się do niego
 Przystąpiwszy, w pół brata obłapiają swego;
 Toż czyni z Wiwianem i Aldygier młody,
 To Malagizy nad nich składniejszej urody.
 Ale któż ich wzajemne miłości wypowie?
 Tak się krwi swej radują ci bohaterowie,
 Iż mu jako największe chęci oświadczały,
 Tem barziej, im widzieć go mniej się spodziewali.

XXXVI.

Ja rozumiem, że braciej wdzięczny przyjazd jego
 Bez wątpliwości byłby czasu wszelakiego;
 Ale dla terazniejszej, co ją umyślili,
 Potrzeby łagodniejszym wzrokiem nań patrzyli.
 Nazajutrz, kiedy nowem jutrzeńka promieniem
 Błysnąwszy, mrok okropny wypędziła z cieniem,
 Wsiada na konia Gwidon z bracią, powinniemi
 I do samego jechać Paryża chce z niemi.

XXXVII.

Jadą pospołu jeden dzień, jadą i drugi,
 Oszukiwając drogę żartem i czas długi;
 A gdy dziesięć mil tylko od Paryża byli,
 Na brzegu u Sekwany z daleka zoczyli
 Gryfona z Akwilantem, w zupełne ubranych
 Zbroje, z tarczami, w hełmach dobrze hecowanych.
 Gryfon w bieli, u tego czarna suknia była;
 Oliwierowi obu Gismonda zrodziła.

XXXVIII.

Z niemi nadobna dziewczka cosi rozmawiała;
 Twarz, jako najśliczniejszy alabaster, miała,
 Szata ją z aksamitu przykryła białego,
 U której listwa tkana ze złota szczerego;
 Oko dziwnie wesołe chocia podawała,
 Wzrok smutny, a jagody łzami polewała.
 Tej jak prędko dojrżeli, wnet się domyślają,
 Iż ją kłopoty wielkie w swojej mocy mają.

XXXIX.

I Gwidon ich i ci dwa Gwidona poznali,
 Bo się niedawno, jakom pisał, rozjechali.
 Powiada Rynaldowi: »Śmiałość obu tobie
 »Zalecam, w jakim jeno bitwy chcesz sposobie.
 »Jeśli do Karłowego pójda wojska z nami,
 »Dadzą się Afrykanom znać swemi siłami.«
 Wierzy Rynald, z pierwszego i jemu się zdali
 Wejrzenia, iż rycerze oba doskonali.

XL.

Poznał ich Gwidon zaraz, a nie bez przyczyny,
 Bo takiego, jak oni, żaden nie miał iny
 Stroju: ustawiczny ten oba zwyczaj mieli,
 Iż różną barwą zbroje swe okrywać chcieli.
 Z drugiej strony Gwidona jak prędko śmiałego
 Ci zasię obaczyli, rzucą się do niego;
 Przy niem zaraz Rynalda z ochotą witają,
 Co ich wadziły długo, waśni zabywają.

XLI.

Od niemałego czasu z sobą się gniewali
 I despekty sposobem różnem wyrządzali
 Dla Trufaldyna; lecz nam ta powieść trudności
 Nie da żadnej: ja teraz piszę ich miłości.
 Rynald potem przywitał Sansoneta mile,
 Słyszac o wielkiem męstwie i o jego sile,
 Obłapia go i wielkie chęci pokazuje;
 On też dla niego ważyć zdrowie obiecuje.

XLII.

Więc i najgładsza dziewczka, jak prędko poznała
 Rynalda, bo go często w Paryżu widziała,
 Przystępuje się bliżej i mówi do niego:
 »Widziałam, nazacniejszy hetmanie, twojego
 »Widziałam, ach, niestetyż! brata temi czasy,
 »A on przez góry, skały, pola, rzeki, lasy
 »Biega, rozumu zbywszy, prawdziwie szalony:
 »Próżno kościół z cesarstwem chce jego obrony.

XLIII.

»Przyczynić nie umiem dać głupstwa tak wielkiego,
 »Bom nie mogła nic o tem zasiądz skutecznego;
 »Dosyć masz, iż patrzyły na to oczy moje,
 »Gdy go trapiły wściekłych furyj niepokoje.
 »Szaty zdrapawszy własne, potem miecz i one
 »Porozrzucał, nieszczęsny, zbroje doświadczone.
 »Te rycerz jakiś zebrał i pniak okrył wielki,
 »Aby idąc bił czołem bohater jem wszelki.

XLIV.

»Ale tegoż dnia jeszcze przyszedzsy w te strony,
 »Syn Agrykanów gwałtem wziął miecz zawieszony.
 »Tak znowu Duryndana u pogaństwa w mocy,
 »O, jak wiele krwi naszej wypije, wytoczył
 »Ty uważ, jaką przez to szkodę będą mieli
 »Chrześcijananie, iż jej wprzód z tamtych miejsc nie wzięli!
 »Porwał i Bryljadora nieuwiązanego,
 »Który wkoło rynsztunku chodził pana swego.

XLV.

»Niedawny czas, oczyma gdym Orlanda temi
 »Widziała: on członkami bez wstydu nagiemi
 »Świecił, głupstwa tak srogie czyniąc znaki swego,
 »Iż trudno uwierzyć ma, kto nie widział tego.
 »Nieszczęśliwy przypadek fortuny przekłętą
 »Wziął nadzieję obrony, przez niego zaczętej.
 »I tom jeszcze widziała, kiedy do bystrego
 »Brodu wpadł z Rodomontem z mostu wysokiego.

XLVI.

•Częstom ja powiadała sprawę tę każdemu,
 •Kogom być rozumiała przyjacielem jemu,
 •Tusząc, iż którykolwiek z nich tak ludzki będzie,
 •Że go użaliwszy się, najdzie i przywiedzie
 •Lub do Paryża lub to do powinnych jego,
 •Aż się wytrzeźwi z głupstwa tak niesłuchanego.
 •Wiem pewnie, Brandymarte gdyby wiedział o tem,
 •Szukałby go z największą pracą i kłopotem«.

XLVII.

Była to Fiordylizi najsmętniejsza ona,
 Miłością Brandymarta swego zwyciężona,
 Która nie mogąc znaleźć gdzieś obłąkanego,
 Do Paryża się na zad wraca przestronego.
 Więc i ta oznajmuje zaraz Rynaldowi,
 Na pojedynku Rugier jak Tatarzynowi
 Wziął zdrowie dla tej broni i jak, ubłagany,
 Darował ją po bitwie panu z Serykany.

XLVIII.

Nieszczęśliwą nowiną Rynald przerażony,
 Łzy leje, wzrok na ziemię trzyma pochylony;
 Serce w niem od przykrego żalu tak topnieje,
 Jak lód, gdy południowe słońce mu dogrzeje,
 Wzdycha, żalem ujęte wnętrzości go bolą.
 Nieodmienną Orlanda szpiegować ma wolą,
 Aby gdziekolwiek najdzie, nędzny mizernego,
 Do zdrowia z tej furyej przywrócił pierwszego.

XLIX.

Ale z sobą serdeczną mając kompanią,
 Bądź to niebo tak chciało, bądź poradą czyją
 Uwiedziony, wprzód myśli wpaść na Sarraceny,
 Co byli pod Paryżem na brzegu u Seny.
 A iż szturm lepszy mu się zda w pół samej nocy,
 W ten czas fortelów zażyć umyślił i mocy,
 O czwartej, a nadalej o piątej godzinie,
 Gdy natwardszem zmorzony snem zmysł odpoczynię.

L.

Tak wszystek lud swój w lasku zakrywa zgęścieniem
 Przez cały dzień; aż kiedy słońce spracowanym
 Koniom dla odpoczynku w ocean kazało,
 Noc ciemna nastąpiła, swój co żywo miało
 Pokój, lew, niedźwiedź, wilk, wąż, ptastwo malowane,
 Ryby, w głębokich rzekach wodami odziane:
 Rynald jako najciszej swe wojsko wywodzi
 I nagle na afrycki gmin uderzyć godzi.

LI.

Sam z Akwilanem naprzód i z mężnem Gryfonem,
 Wiwianem, z Alardem, z największem Gwidonem
 I z inszemi na miłą dobrą od swojego
 Idzie wojska, chcąc dostać języka pewnego.
 Zdybał Agramantową straż, co twardo spała,
 Zbił ich, najmniejsza dusza żywą nie została;
 Poszedł dalej, arabskiej gdzie kwiat stoi młodzi,
 Rozlewa krew haniebnie, srogą bitwę zwodzi.

LII.

I razu darmo krwawej szable nie wyniesie,
 Strach w zagniewanej twarzy, a śmierć w ręku niesie;
 Gdzie się obróci, zaraz wielkie widać rany,
 Kogo zarwie, od dusze leci odbieżany.
 Żadnemu nie przepuszcza, nie żywi żadnego,
 Wszyscy polegli z wojska nieprzyjacielskiego.
 Na pół śpiący, bezbronni i strachem objęci,
 Nie bronią się tem, co tak są sławni i wzięci.

LIII.

Więc dla większej bojaźni, kiedy ich mordował,
 Muzyce Rynald trąbić trwogę rozkazywał;
 Głosy się pod obłoki z wiatrami mieszają,
 Ci dusze ze krwią leją, ci jęczą, stękają.
 Potem Bajarda mocno zewrze ostrogami,
 Ten przebywa głębokie rowy z poręczami,
 Rwie sznury, wielkie, małe wywraca namioty,
 A pan z niego farbuję krwią pogańską płoty.

LIV.

Nie był żaden tak duży ani był tak śmiały,
Coby mu z strachu włosy na głowie nie wstały,
Najślawniejsze gdy słyszał imię Rynaldowe,
Które Echo śle między ściany obozowe.
Ucieka afrykańska hałastra z Hiszpany,
Drogi sprzęt w stanowisku został odbieżany.
Milsze zdrowie: to każdy w przód unosić woli,
Gdy się w nieszczęsnem razie nie dzieje po woli.

LV.

W też tropy najmężniejszy za niem Gwidon chodzi,
Gwałt wkoło niego trupów we krwi hojnej brodzi.
Gwiciardyn z Sansonetem drogę ostrą bronią
Wolną czynią, gdzie bieżą, gdzie wodzami skłonią.
Rwie gęste hufce Alard i między śmierciami
Harde rotę hiszpańskie pędzi z Arabami.
Tęż robotę wszystek pułk odprawuje, który
Wespół z swoim Rynaldem wyszedł z Jasnej Góry.

LVI.

Sześćset miał Rynald z sobą ludu walecznego,
Z Montalby i z przyległych krajów zebranego;
A tak do wojen krwawych zaprawieni byli,
Iż i zimie i lecie we zbrojach chodzili.
Mirmidonowie kiedyś Achillesa swego
Tak słuchali, tak zdrowie swe kładli dla niego.
Nie dziw: wybierano ich z mężów najprzedniejszych,
Jakowi się nie najdą wieków pośledniejszych.

LVII.

A lub to Rynald nie był tak barzo bogaty,
Aby dla nich codzienne podejmował straty,
Ochotą jednak, jawnej pełną życzliwości,
I twarzą, w której obraz tkwił słodkiej ludzkości,
Tak zniewala i tak ich pociąga ku sobie,
Iż wszyscy, byle on zdrów został, ledz chcą w grobie.
Ci zawsze w Jasnej Górze w dziedzińcu mieszkali
I nigdy, prócz gwałtownych trwóg, nie wyjeżdżali.

LVIII.

Teraz, aby posiłek prędki dał Karłowi,
Zostawiwszy swemu straż niewielką zamkowi,
Wiedzie na Sarraceny ludzie najmężniejsze,
O których to są mowy moje terazniejsze,
Ludzie, którzy wnet wielką szkodę uczynili
W pogaństwie, jak więc wilcy, gdy ich zapuścili
Głodnych do stada owiec, jak tygrys, lew srogi,
Kiedy rozdziera, zrze tłum zwierząt mdłych ubogi.

LIX.

Dał znać Karłowi Rynald, iż Paryża blisko
Krwawe z pogaństwem zacząć chce w nocy igrzysko,
Aby, jeśli potrzebę ujrzy tego jaką,
Z drugiej strony rozkazał pomoc dać wszelaką.
Czekał, wiadomość wzięwszy, cesarz z przedniejszemi
Wojska swego pospołu, chcąc się złączyć z niemi;
Przy niem był Monodantów syn, pięknej dziewczyny
Zdrowie, rozkosz, pociecha, przyjaciel jedyny.

LX.

Którego ona wiele dni pilno szukała,
Wszystkę Francją kołem i wszecz objechała,
A tam nad spodziewanie z znaku wiadomego
Poznawa go, co w środku tarczy był u niego.
Zdumiał się Brandymarte, gdy obaczył swoje
Kochania, i przykre w skok opuściwszy boje,
Bieży ku niej; miłość mu wnętrzości przejmując,
Tysiąckroć ją obłapia, tysiąckroć całuje.

LXI.

Takiej ufności, takiej o pannach był wiary
Dawniejszy świat szczęśliwy, wiek późny i stary,
Iż wolno było białej płci jeździć, gdzie chciała,
Bez baby ochmistrzyniej, co ją w mocy miała.
I lubo się to druga wędrówką bawiła
Czas długi, niesławny jej żadnej nie czyniła.
Fortunne po dziesięćkroć dni na ten czas były,
Przeklęte terazniejsze w spak to odmieniły.

LXII.

Prawi Brandymartowi Fiordylizi swemu,
Co się przydało grabi najnieszcześniejszemu;
Ten ledwie słowom wierzy pięknej białej głowy,
Choć szczerzej, choć prawdziwiej świadom już jej mowy.
Powiada mu, oczyma iż na to patrzyła
Własnymi, gdy go szukać po świecie jeździła,
Jako okrutny srodze zabijał każdego,
Gdy się trafunkiem dostał w duże ręce jego.

LXIII.

Jak był z niebezpieczeństwem dużym we złej toni
Na moście, gdzie z Algieru zły król prześcia broni,
Grób zbrojami, gwałtownie z rycerzów zdartemi,
I cmyntarz zdobiąc wkoło szatami cudzemi,
Z którym w pasy się Orland ujawszy serdeczny,
Spadł prosto w głęboki bród i wir niebezpieczny
I tam ledwie pohańca nie utopił złego,
Który dla ciężkiej zbroje dna osiągnął samego.

LXIV.

Syn Monodantów, grabię iż z dusze miłował,
Serdecznie mizernego przypadku żałował;
Odważa się szukać go, pracej nie lituje,
Aż go najdzie gdziekolwiek, aż go poszukiuje.
Wsiada na konia, smutny, zaraz w onej dobie,
Za przewodnika wzięwszy piękną dziewczkę sobie;
Myśli, jako postąpić; trudno wycisnąć
Durnego: zawsze on chce swych głupstw naśladować.

LXV.

Tam jedzie, gdzie go dziewczka nadobna widziała,
Kiedy się zapaśnicza potrzeba staczała.
Dzień po dniu drogę śpieszy, aż przybył do tego
Mostu, kędy straż broni przejazdu wolnego.
Trąbią w róg, aby słysząc Rodomont surowy,
Według zwyczaju gościa przyjąć był gotowy.
Ten w ocemgnienu zbroję wdział, miecz przypasuje,
Wsiadł na koń, Brandymarta w pół mostu pilnuje.

LXVI.

Dużem głosem, co równy jego okrutności,
Woła: »Ktokolwiek, coś tu w ten kraj i w te włości
»Lub niefortuną przybył lub błędzeniem drogi,
»Widzisz krwie niesyty most tyrański i srogi:
»Zsiądź z konia, zdejmuj zbroję wprzód, nim szyję twoję
»Utnę, wysławiaj ten grób i w niem dziewczkę moję.
»Zsiądź zaraz, bo pewnie stąd już się nie wykręcisz:
»Miłosierdzia tu nie masz, daremnie się smęcisz«.

LXVII.

Nic na to, ale drzewo w rzemienny tok włożył
Brandymarte i prosto ku niemu je złożył,
Aby onej zuchwałej ukazał dużości,
Iż choć sił nie tak wiele, lecz ma z nią śmiałości;
Bartolda ostrogami w oba boki kole,
Dla próby wypuszcza mu wprzód przez miękkie role.
Bieży i drugi na swem w najprędszym zawodzie
I ledwie się opiera przy mostowym wzwodzie.

LXVIII.

Ustawicznem zwyczajem tak był zaprawiony
Koń jego, iż po moście onem, niezłękniomy,
Biegł rażno, i już mu to nie nowina była
Zrzucić wielu, którym zaś rzeka dokuczyła.
Bartold po drżących deszczkach nie tak bieży śmiało,
Bo iż most z niem upadał, ponno mu się zdało.
Atoli przecię oba do siebie skoczyli
I gdzie niebezpieczniejszy raz, w czoła mierzyli.

LXIX.

Drzewa, które pomniejszych tramów na kształt były,
Tak w namocniejsze zbroje przykro uderzyły,
Iż choć się to w swych siedlech sami osiedzieli,
Po niesłychanem razie, który spólnie wzięli,
Konie ich oba duże i oba ćwiczone
Upadły na tarcice, przez most przełożone;
Upadły, a z ciał pańskich i z ścierva swojego
Podobieństwo pagórka czyniły mniejszego.

LXX.

Ani się z taką mogą znowu wznieść chyżością,
Z jaką jem ci ostrogi kładą w bok pilnością;
Bo deszczki tak są ślizkie mostu wążuchnego,
Iż nie mają kopyta oprzeć gdzie gładkiego.
Zaczem obu nieszczęście jednakiej przygody
Z najogromniejszym grzmiotem zrzuca w skok do wody;
Taki po Faetoncie ledwie był słyszany,
Gdy wpadszy w morze, gęste dał za sobą piany.

LXXI.

Obadwa na dno idą bródu głębokiego
Z ciężarem zbrój zupełnych i wzrostu miąższego;
Bo ich razy potężne z siodeł nie ruszyły
Ani konie mogły zbyć, gdy się powaliły.
Nie pierwszy to już był skok tam poganinowi,
Nie jednemu pomagał on bohaterowi
Tej strasznej kampaniej z koniem swoim śmiałem;
Dlatego wie, gdzie zginąć, gdzie ma zostać całem.

LXXII.

Wie, gdzie twarda jest ziemia, wie, gdzie w miękkiej może
Koń ulgnąć, skąd ratunkiem nic mu nie pomoże;
Wie, gdzie głębina wielka, w której miało stronie.
Zaczem najpierwszy zaraz swe ukazał skronie,
Boki, szerokie piersi; potem, jadowity,
Więcej mając nad tego, co wodą przykryty,
Skoczy ku niemu; ten zaś, gdy na piasek swego
Konia chciał wieść, od wiru porwany bystrego.

LXXIII.

Topi się na głębini, którego w skok one
Bystrości niosą, i już siły nademdlone
Nie mogą jem wydolać: spada z konia swego,
Ledwie nie wytchnie w pracę ducha ostatniego.
Najsmutniejsza zaś dziewczka, co z mostu patrzała,
Do Rodomonta z płaczem srogię wołała:
»Jeśliś się kiedy kochał, jeśli cię ruszyły
»Miłości, broń, by wody tego nie zgubiły!

LXXIV.

»Broń, namężniejszy królu, przez śmierć proszę tego,
»Co szanujesz i co czcisz, choć już umarłego,
»I jeśli litość jaką chcesz mieć nad ubogą,
»Nie trap mię, nie trap więcej równą śmierci trwogą!
»Dosyć, o dosyć, więźniem iż zostanie twojem
»Ten, którego miłość tkwi zawsze w sercu mojem«.
Na te słowa, choć dziwnie tyran rozgniewany,
Zmiękczył się, wzruszył nieco, został ubłagany.

LXXV.

I co zdrowie miał wydrzeć, ratunek mu daje
Pierwej, niżli zalany wodą żyć przestaje;
Ale mu ostrą szablę odpasał zarazem,
Hełm wziął i twardem trzykroć tarcz zjętą żelazem.
Potem wywłókszy z wody na poły żywego,
Morderstwa wprawdzie nad niem nie czyni żadnego,
Ale do ciemnej zamknąć wieże rozkazuje
I nadzieję wolności złotej odejmuje.

LXXVI.

Najnieszczęśliwsza dziewczka wszystkie oraz swoje
Radości w sobie gasi, hojnych tylko zdroje
Łez wylewa; lecz przecię woli mieć żywego
W więzieniu, niż w głębokiej rzece zalanego.
Na się narzeka, sobie rozgniewana łaje,
Iż go przyprowadziła, najgłupsza, w te kraje;
Bo gdyby mu o nędzy grabie szalonego
Nie powiedała, onby nie przyszedł do tego.

LXXVII.

Jedzie stamtąd, wpół martwa, częstokroć omdlewa,
Najgorętszem wzdychaniem powietrza zagrzewa
Z tą nadzieją, iż lub to Rynalda mężnego
Lubo tam przyprowadzi Gwidona śmiałego,
Coby poganinowi zrównał siłą złemu,
Zwyciężył go, swobodę wrócił jej miłemu.
»O szczęśliwa godzino, o dniu pożądanym,
»Przydź rychło — myśli sobie — zlecz serdeczne rany!«

LXXVIII.

Ku Paryżowi na zad pojazd prostowała
I już była kilka dni drogi ujechała,
A jeszcze się nie zdarza, by mogła takiego
Naleźć, coby okrócić złość króla srogiego;
Aż potem łaskawsza jej fortuna błysnęła
I potkała i oraz ścisłą przyjaźń wzięła
Z bohaterem; szatę miał drogo haftowaną
W cyprysy, a zbroję nią nakrył hecowaną.

LXXIX.

Ktoby to był, na inszem miejscu usłyszycie;
Teraz się do Paryża zemną nawróćcie
I do srogiej porażki, którą przez zacnego
Wziął Arabin Rynalda i Malagizego.
Co sromotnie pierzchając, tyły podawali
I jako chmurę gęstą, proch przed sobą gnali,
Trudno zliczyć: noc czarna skrzydłami ciemnymi
I przed Turpinem skryła to i przed inszemi.

LXXX.

W pierwospy sen natwardszy z piersi wychrapował
Agramant, do namiotu gdy jego przybywał
Rynald, krwią opojony; lecz jeden z sług jego
Obudziwszy zaledwie, tak mówi do niego:
»Jeśli nie chcesz więźniem być albo tu zabity,
»Uciekaj, ciemnych mroków mgłą, królu, zakryty!«
Ten się porywa: widzi w onej mieszaninie,
Jak jego lud ucieka nagi ku dolinie.

LXXXI.

I w tak nagłym rozruchu, nie mając porady,
Chce się oprzeć zwyciężcom, chce pokusić zwady.
Zbroję wdział doświadczoną, szablę przypasuje,
Oczy po stronach, gniewem pijane, kieruje;
Ale Falzyron z synem, Balugant szedziwy
Nie chcą pozwolić, koją gniew w niem zapalczywy.
»Wiele powinien szczęściu — powiadają — będziesz,
»Jeżeli z niebezpieczeństw tych zdrowy ujedziesz«.

LXXXII.

Toż Marsyli, toż Sobryn w radzie doświadczony,
To mówi i inszy lud, wkoło zgromadzony,
Iż tak blizki jest śmierci, tak blizki zginienia,
Jako daleki Rynald od jego złożenia;
Którego jeśli czekać chce z ludem przebranem,
Z bracią i z towarzystwem w wojsku zawołanem,
Bez pochyby rycerstwo i siebie zawiedzie,
Lub poimany z niemi lub zabity będzie.

LXXXIII.

Ale lepiej uczyni, kiedy do Narbony,
Bądź do Arle zjehawszy, swój lud rozpłoszony
Zbierze znowu i wojska przyczyni swojego,
Potem odnowi straszny czyn Marsa krwawego.
Bo jeśli jego zdrowa zostanie osoba,
W swej klubie królestw wszystkich będzie i ozdoba;
Hiszpania, Afryka, obie jeszcze całe,
Skąd pułki prędko zebrać może okazałe.

LXXXIV.

Słucha rady i na nią mądry król przypada.
Wsiadł na koń, choć mu nie w smak, drogi nie odkłada,
Bieży, jak strzała żartko puszczone z cięciwy,
Tem bezpieczniej, im gęstsze cienie przyjaźliwy
Mrok nocny rozpościera, pod których zasłoną
Wiatry żartkością konia rwie nieokróconą.
Dwadzieścia tysięcy miał z sobą wojska swego,
Co krwawej szable uszli Rynalda dzielnego.

LXXXV.

Tych zaś, których on pobił z swą bracią rodzoną,
Gdzie Gryfon i Akwilant moc nieprzełomioną
Pokazawszy przez srogie rany, gęste trupy
Kładli na kształt równiejszych gór w okrągłe kupy,
Sześćset było; ale tych, co Sansonet śmiały
I co sekwańskie wiry głębokie zalały,
Ten niech liczy, kto zliczyć najwonniesze kwiecie
Może, szerokie pola gdy przykryją lecie.

LXXXVI.

Odniośł i Malagizy cześć nieladajaką
 Z tej bitwy, w której pracą pomagał dwojaką:
 Nie jeno męstwem, szablą dawał on swojemu
 Pomoc w potrzebie nocnej bratu stryjecznemu,
 Ale i djabłów zaklął przez straszliwe mowy,
 Iż mu posłali z dolnych przepaści gotowy
 Hufiec hałustry, wszystko co pole przykryła,
 Jakiej nie da Francya, choćby większą była.

LXXXVII.

Krzyk surm, bębnow, trąb strasznych wszędzie się rozlega,
 Powtórzonemi głosy Echo gór dosięga;
 Konie żartkie rżą, kwiczą głosy rozmaitemi
 Wrzaski się pod obłoki snują wysokiem.
 Wojska gwałtowne stoją w oczach omamionych
 Arabów z pokus i larw, z piekła wypuszczonych:
 Strach ich chwyta za boki, tem skrzydła przyprawia
 Do nóg, tych w pół obozu zabitych zostawia.

LXXXVIII.

Nie zapomniał Agramant Rugiera swojego,
 Co jeszcze chory leżał w namiocie u niego;
 Na konia go, co lekko niesie, wsadzić każe,
 Z rycerzów doświadczonych dość przydawszy strażę,
 A potem, gdy na miejsce takie przyjechali,
 Iż się niebezpieczeństwa już nie spodziewali,
 W łodzi go wieźć do Arle wcześniej rozkazuje,
 Gdzie sam poprzedzić lądem wojsko obiecuje.

LXXXIX.

Ci, co przed najostrzejszą szablą uchodzili
 Rynaldową, ku lasom twarzy obrócili;
 Ze sto tysięcy albo co mniej w kupie onej
 Mógł ich liczyć, z stanowisk swoich rozplószonej;
 Farbują krwią, co się z ran leje strumieniami,
 Czarne role i piaski żółtawe z trawami.
 Gdy siecze w tył zwycięzca, sam Gradas bezpieczny
 Śpi, mając swój w obozie namiot ostateczny.

XC.

Jak zaś rozruch gwałtowny doszedł uszu jego,
 Rad z dusze, słysząc imię Rynalda zacnego,
 Zaledwie nie szaleje król hardy z radości,
 Wesele mu objęło serce i wnętrzności;
 Chwali i Makonowi dziękuje swojemu,
 Iż ku szczęściu nocy tej przyszedł tak wielkiemu,
 Które mu nagle wraca Bajarda dzielnego,
 Co mu niemasz na świecie cnotami równego.

XCI.

Pragnął — ale już sami czytaliście o tem —
 Ten król, by też z największem mieć szablę kłopotem
 Duryndanę u boku jak najprędzej swego,
 Po niej konia, co Rynald na niem siedzi tego,
 I umyślnie w te kraje z wojskiem się swem stawił,
 Aby zamysłów skutek w porę własną wprawił;
 O co i przed tem już on wyzwał był męznego
 Rynalda w krwawe szranki Marsa żelaznego.

XCII.

I na brzegu u morza miejsce sobie dali,
 Aby się o dobrego konia rozpierali;
 Lecz wszystko swą mądrością mieni Malagidzi,
 Co zbyt niem czarnoksięstwem przysze rzeczy widzi,
 I Rynalda na deszcze każe nieść na morze
 Prócz naruszenia zdrowia piekielnej potworze —
 Długoby pisać o tem — Gradasowi zasię
 Zdał się Rynald niewieściuch marny po tem czasie.

XCIII.

Dlatego, gdy usłyszał, iż Agramantowe
 On napadłszy obozy, śmierci i surowe
 Rany każdemu, kto się nawinał, zadaje,
 Porywa się i rączy z łóżka swego wstaje.
 Wdział zbroję, na Alfane wsiadł, jedzie w obozy
 Przez tak ślełą noc, pełen i gniewu i grozy;
 Zabija, kogo potka, nie dba, lub to swoi
 Zastąpili na drodze lub kto z naszych stoi.

XCIV.

Już się przez namocniejsze wojsko przebił, woła
 Rynalda, co dać głosu duże garło zdoła;
 Gdzie najgęstszy trup leży, prosto się udaje,
 Nieuleczone rany z obu stron zadaje.
 A jako trafunek chciał, zesłi się i razem,
 Aż skry do obłoków szły, swem ścięli żelazem;
 Bo drzewa ich w tysiąc sztuk tak się zdruzgotały,
 Iż trzaski nieba i gwiazd jasných dosięgały.

XCV.

Jako poznał Rynalda Serykan zacnego,
 Nie z znaku, co we śródku był puklerza jego,
 Lecz przez najokrutniejsze razy, gdy surowy
 W ocemgnienu afryckiem gminom ścinał głowy,
 Więc po Bajardzie, który z inszemi przymioty
 Żartkiem orłom mógł zrównać najprędzemi loty,
 Krzyknął nań, czci uwłócząc: »A tak to trzymają
 »Umowę, gdy rycerze bić się słowo dają?«

XCVI.

Przyda potem: »Ponno ty, skrywszy się przedemną,
 »Mniemałeś, iż już nigdy nie ujrzysz się ze mną?
 »Patrz, jakoś się oszukał: tu zdybawszy ciebie,
 »Gniew pomstą, a uciechą nakarmię sam siebie.
 »Wiedz pewnie, choćbyś poszedł w piekielne nizkości,
 »Lubo wzięty do górnych stąd był wysokości,
 »Trafiłbym tam za tobą i konia wziął tego,
 »Boś nie godzien, gdyż światem szalisz, tak dobrego.

XCVII.

»A jeśli serca nie masz ze mną krwawem bojem
 »Rozeprzeć się i raczej chcesz być za pokojem,
 »Widząc, żeś mi nie rówien, i wolisz swojego
 »Ochronić zdrowia, a zbyć całe uczciwego,
 »Dajże konia, a już żyj, kiedyś żywot miły,
 »A moje zaś tak straszne w oczach twoich siły.
 »Żyj, ale konia nie miej odtąd na czas wszelki,
 »Bo rycerskiemu czynisz stanowi wstyd wielki!«

XCVIII.

Na te słowa z Ryciardem Gwidon niecierpliwy
 Dobył miecza i już, już, srogiej pomsty chciwy,
 Do Serykana leci, aby mu ukazał,
 Iż z tak przykre mi słowy głupie się odważał;
 Ale go rącho Rynald serdeczny dogoni,
 Hamuje, trzyma, prosi, nie dopuszcza broni,
 Mówiąc: »Mnież sił nie staje, ja rąk nie mam swoich,
 »Abym się zaraz zemścił krzywd, despektów moich?«

XCIX.

Potem na poganina krzyknie gniewliwego:
 »Gradasie, pokazać ci chcę wnet, iż mojego
 »Omieszkania przyczyna dziwnie słuszna była,
 »Co mi z tobą u morza bić się zabroniła.
 »Wiedz to, żem cię tam czekał, a jeśli rozumiesz
 »Inaczej, praw rycerskich znać iż sam nie umiesz.
 »Kłamcą jesteś i słowa mówisz tu kłamliwe,
 »Abych związki praw naszych rwać miał świątobliwe.

C.

»Ale nim się czyn Marsa zacznie między nami,
 »Słuchaj wymówki mojej, co ją wywodami
 »Prawdziwą być pokażę najsprawiedliwszemi,
 »A nie szczyp na uczciwem słowy tak przykre mi.
 »Potem z ostatnią własnych sił o konia próbą
 »Będziem pieszo, jakośmy rzekli, czynić z sobą
 »Na osobliwem miejscu, nie wzięwszy żadnego
 »Przyjaciela i sługi na ten plac swojego.«

CI.

Ludzki był i wspaniałych Gradas zawsze myśli;
 Dlatego, nim do bitwy wspólnej z sobą wysli,
 Słuchać go bez tesknice z chęcią obiecuje
 I z niem na osobny brzeg sekwański wstępuje.
 Gdzie Rynald powie mu rzecz samą prawdziwie,
 Jak był na morze wiatrem wzięty nieszczęśliwie;
 Powie mu, ten słucha, a dla lepszej wiary
 Kłątew zażywa częstych i przysięg bez miary.

CII.

Potem zawołać kazał i Malagizego
Do spółnych rozmów, sprawcę przypadku owego,
Aby sam wyznał, jako nadoskonalszemi
Oszukał go sztukami czarnoksiężniczymi.
Ten prawi historiją, a oni słuchają;
Potem, gdy mówić przestał, znowu przysięgają,
Rynald zwłaszcza, iż prawdy tej życzy dowodzić
Bronią i prędko we krwi Gradasowej brodzić.

CIII.

Nie od tego i Gradasy, wojna mu smakuje,
Której najprędszy koniec widzieć usiłuje;
Ufa męstwu, potędze, siłom i śmiałości,
Bajardowe mu w oczach tkwią cnoty, dzielności.
Zaczem o plac jem tylko idzie umówiony,
Bo się na brzegu nie chcą bić u Barcellony,
Żeby to w długą nie szło; ale świt do tego
Rany i miejsce znaczą u źródła jednego

CIV.

Z tem dokładem, iż Rynald Bajarda przywiedzie,
Który zwycięży łupem i korzyścią będzie.
Jeśli Rynalda Gradasy pożyje dobrego,
Zaraz go, zaraz weźmie tak, jako własnego;
Jeśli też Mars użyczy szczęścia Rynaldowi,
Iż zdrowie lub to mieczem weźmie Gradasowi
Lub w ręce, poddawszy się, wpadnie poimany,
Ma mu ustąpić szable, mocnej Duryndany.

CV.

Dowiedział się beł — i żał miał z tego niemały —
Od Fiordylizie Rynald, jakom pisał, śmiały
O nieszczęsnem przypadku brata stryjecznego,
Iż szalonem zostawszy, różne światła tego
Obchodził, zostawiając straszne znaki, kraje,
Gdzie Apollo zapada i gdzie jasny wstaje.
Wiedział i to, iż szabla najkochańsza jego
Dostała się do ręki Gradasy mężnego.

CVI.

To kiedy między sobą spólnie umówili,
Do sług swoich obadwa na zad powrócili.
Gdzie Rynald Serykana z ludzkości wrodzonej
Do kompaniej prosił, blisko zostawionej.
Nazajutrz, gdy godzina była do świtania,
Obadwa zbroje wdziali swe bez omieszkania
I schodzą się, jak słowo rzekli, u fontany
Dla Bajarda rozlewać krew i Duryndany.

CVII.

Bracia, powinni, wszyscy, co z dusze miłują
Rynalda, smutni chodzą, barzo się frasując;
Bitwa, straszliwa bitwa z mężem doświadczonym
Trapi ich, w miejscu zwłaszcza pustem, odłączonym;
Niezmierną siłę Gradasy ma z wielką dużością,
W oczach jad wściekły, w twarzy gniew z zapalczywością,
Broń do tego u boku wisiała mięźszego,
Co najtwardszy przenika blach z kruszcu przedniego.

CVIII.

Malagizy nań oczy obraca życziwe,
Serca strach i nadzieje sięgają wątpliwe;
A choć mógłby on snadno tej zbyć przykrej trwogi,
Rozerwawszy fortelmi pojedynek srogi,
Ale iż wszystką siłą brat na to stryjeczny
Udał się, tak śmiały być nie chce i bezpieczny;
Że mu markotno, że mu niemiło, wie pewnie,
Co go uniósł z pierwszych trwóg przez morze na drewnie.

CIX.

A choć to między strachem i między nadzieją
Są wszyscy, Rynaldowi jednak serce grzeją
Bezpieczeństwo z weselem i jest tej ufności,
Iż tryumf najsławniejszy odniesie z dzielności.
Cieszy bracią, znak pięknej na twarzy ochoty
I męskiej okazuje wzór dziadów swych cnoty;
Idzie, wspaniałej pomsty chęcią uwiedziony,
Aby wieńcem zwycięstwa został ozdobiony.

CX.

I ten i ów do źródła skoro przyjechali,
 Gdzie miejsce do czynienia sobie wczora dali,
 Miłość jakąś i wprzód chęć wielką oświadczają,
 Wiernych kształtem przyjaciół wół się obłapiają,
 Jakby z jednej krwi oba urodzeni byli
 Lub w ścisłym towarzystwie nie mały czas żyli.
 Cóż po tym: w oka mgnieniu biją się serdecznie,
 O czym wam niezadługo powiem dostatecznie.

3664

KONIEC PIEŚNI TRZYDZIESTEJ PIERWSZEJ.



12984

MAJEJ S. K.
 BIBLIOTEKA PUBLICZNA
 w Radomiu

~~P. 28198~~~~P. 2048~~~~P. 32652~~

